

*Takiego fantasy jeszcze nie czytaliście!*  
Jennifer L. Armentrout



CZWARTE SKRZYDŁO

Bestsellerowa autorka USA TODAY

REBECCA YARROS

REBECCA YARROS



CZWARTE SKRZYDŁO

Przełożyła  
Sylwia Chojnacka

FILIA

*Aaronowi.*  
*Mojemu własnemu Kapitanowi Ameryce.*  
*Mimo przenosin, przeprowadzek, w trakcie słonecznych wznosów*  
*i bolesnych upadków, zawsze byliśmy razem.*  
*Dla artystów.*  
*To Wy macie moc kształtowania tego świata*

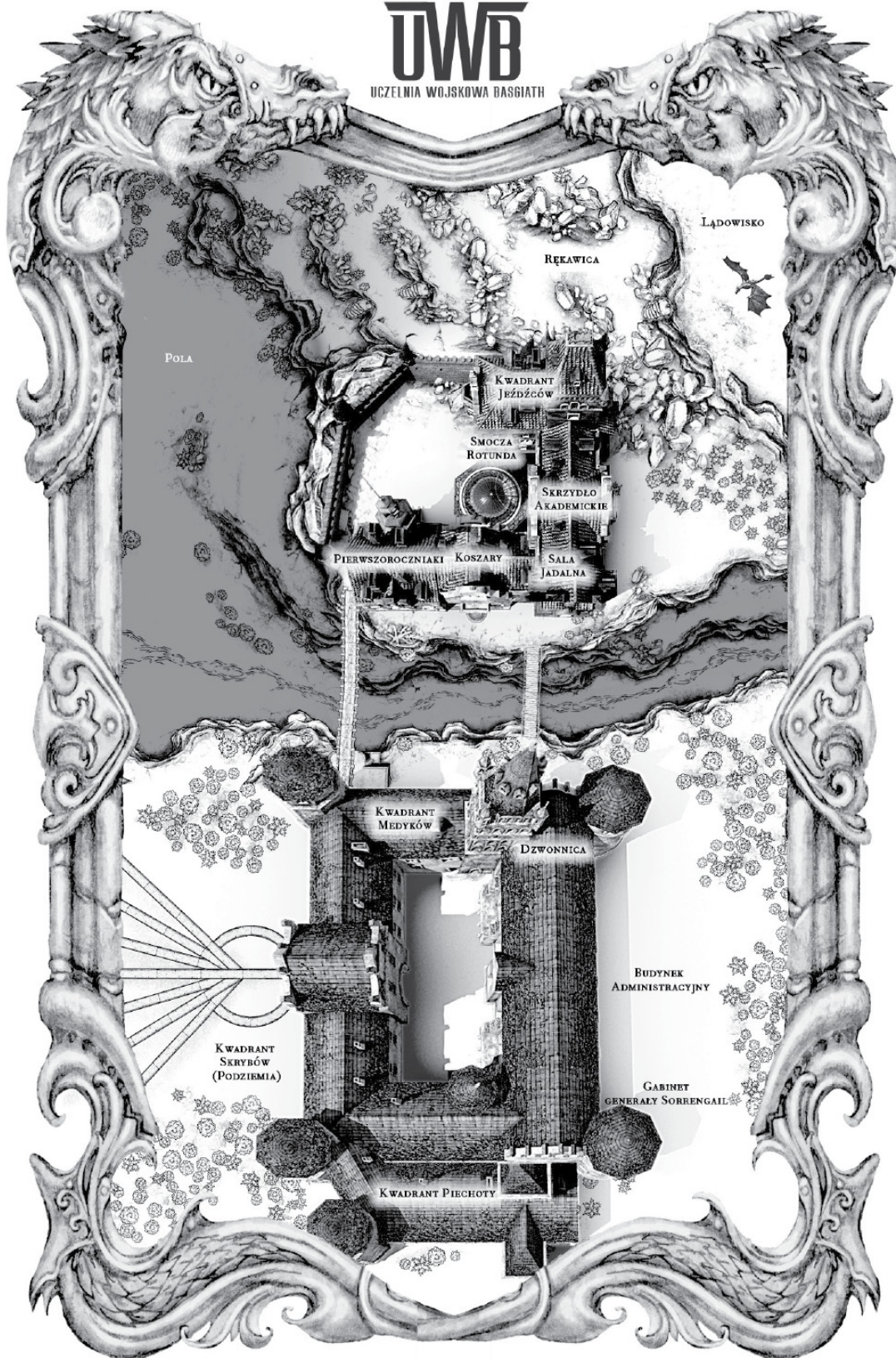
*Fourth Wing. Czwarte Skrzydło* to ekscytująca przygodowa powieść fantasy, której akcja toczy się w brutalnym, pełnym rywalizacji świecie wojskowej uczelni dla jeźdźców smoków. Książka porusza tematy wojny, bitew, pojedynków wręcz, niebezpiecznych sytuacji, krwi, przemocy, obrażeń, śmierci, zatrucia, zawiera również wulgaryzmy i opisy o zabarwieniu erotycznym, dlatego czytelnicy wrażliwi na takie tematy powinni wziąć to pod uwagę przed zanurzeniem się w świat Uczelni Wojskowej w Basgiacie.



*Niniejszy tekst został wiernie przepisany z navarriańskiego na współczesny język przez Jesinię Neilwart, kuratorkę Kwadranta Skrybów z Uczelni Wojskowej Basgiath. Przedstawione wydarzenia są zgodne z prawdą, a imiona zostały zachowane, aby uhonorować pamięć poległych. Niech Malek pobłogosławi ich dusze.*

# UWB

UCZELNIA WOJSKOWA DASGIATH



*Smok bez swojego jeźdźca cierpi.  
Jeździec bez swojego smoka ginie.*

Artykuł Pierwszy, Ustęp Pierwszy  
Kodeks Jeźdźców Smoków



## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

**N**ie ma nic gorszego niż Dzień Poboru. Może właśnie dlatego wschód słońca wydaje się dzisiaj tak wyjątkowo piękny – bo wiem, że może być moim ostatnim.

Ściągam mocniej paski mojego płóciennego plecaka i wspinam się po szerokich schodach kamiennej fortecy, którą nazywam domem. W płucach pali mnie od wysiłku, oddech przyspiesza, kiedy docieram do korytarza prowadzącego do gabinetu generały Sorrengail. Tak właśnie wyglądają moje postępy po półrocznym intensywnym treningu – ledwie mogę wspiąć się na szóste piętro z trzydziestofuntowym plecakiem.

Mam przesrane.

Tysiące dwudziestolatków czeka teraz przed bramami, aby wejść do wybranego kwadrantu i służyć Navarze jako najmądrzejsi i najsilniejsi. Setki z nich od dziecka przygotowywały się do rozpoczęcia nauki w Kwadrancie Jeźdźców, co da im szansę na dołączenie do elitarnego grona. Ja natomiast miałam na to dokładnie sześć miesięcy.

Strażnicy o twarzach pozbawionych wyrazu stoją pod ścianami szerokiego korytarza i unikają mojego wzroku, kiedy ich mijam, ale to nic nowego. Poza tym w ogóle nie mam nic przeciwko byciu ignorowaną.

Uczelnia Wojskowa Basgiath nikogo nie traktuje ulgowo, nawet tych, których matka jest tu głównodowodzącą.

Każdy navarriański żołnierz, niezależnie od tego, czy obierze ścieżkę medyka, skryby, żołnierza piechoty czy jeźdźca, przez trzy kolejne lata jest szkolony

w bezlitosnym środowisku i przyuczony do obsługi każdej broni, aby chronić nasze górzyście granice przed brutalnymi atakami ze strony królestwa Poromielu i ich jeźdźców gryfów. Słabi nie przetrwają tutaj, szczególnie w Kwadrancie Jeźdźców. Smoki już o to zadbają.

– Wysyłasz ją na pewną śmierć! – Przez masywne drewniane drzwi generalskiego gabinetu przedziera się głos. Tłumię zaskoczony okrzyk. Tylko jedna kobieta na całym Kontynencie jest na tyle niespełna rozumu, by podnosić głos na generałę i która teraz powinna być na granicy wraz ze Wschodnim Skrzydłem. Mira.

W gabinecie rozlega się ledwie słyszalna odpowiedź. Wyciągam rękę w stronę klamki.

– Ona nie ma szans – burzy się dalej Mira. Popycham ciężkie drzwi, a pękaty plecak ciągnie mnie w dół i niemal się przewracam. Cholera.

Stojąca za biurkiem generała przeklina, a ja chwytam się oparcia szkarłatnej kanapy, żeby złapać równowagę.

– Na litość boską, mamó! Ona nawet nie potrafi udźwignąć plecaka – warczy Mira i rzuca się w moją stronę.

– Nic mi nie jest! – Moje policzki płoną z upokorzenia. Prostuję się z wysiłkiem. Dopiero co wróciła, a już próbuje mnie ratować.

*Bo potrzebujesz ratunku, ty oślico.*

Nie chcę brać w tym udziału. Nie chcę mieć nic wspólnego z tym całym Kwadrantem Jeźdźców. Nie mam ochoty umrzeć. Byłabym szczęśliwsza, gdybym oblała pobór do Basgiathu i została skierowana prosto do armii, tak jak reszta poborowych. Ale swój plecak potrafię udźwignąć i dam sobie radę sama.

– Och, Violet. – Czuję na ramionach silne ręce i spoglądam w zatroskane brązowe oczy.

– Cześć, Miro. – Moje usta rozciągają się w lekkim uśmiechu. Może wróciła tu tylko po to, by się pożegnać, ale cieszę się ze spotkania z siostrą, pierwszego od wielu lat.

Jej oczy łagodnieją, uścisk się rozluźnia, jakby chciała mnie przytulić, ale ostatecznie robi krok w tył i staje obok mnie twarzą do naszej matki.

– Nie możesz jej tego zrobić.

– Już postanowione. – Matka, ubrana w czarny dopasowany uniform, wzrusza ramionami.

Prycham pod nosem. I tak oto moja szansa na odroczenie wyparowała. Chociaż wcale nie oczekiwałam ani nawet nie śmiałam mieć nadziei, że kobieta, która zasłynęła brakiem litości, nagle mi ją okaże.



– W takim razie to odkręć – syczy Mira. – Całe życie przygotowywała się, by zostać skrybką. I nie została wychowana na jeźdźczynię smoków.

– Cóż, z pewnością nie jest taka jak ty, prawda, poruczniczko Sorrengail? – Mama zaplata dłonie na nieskazitelnej powierzchni biurka i pochyła się nieznacznie, wstając. Patrzy na nas zmrużonymi, oceniającymi oczami, które wyglądają identycznie jak te smocze, wyryte w masywnych nogach mebla. Nie potrzebuję zakazanych mocy czytania w myślach, by wiedzieć, na co patrzy.

Dwudziestosześcioletnia Mira jest młodszą wersją naszej matki. Wysoka, o atletycznej sylwetce, wyćwiczonej po latach walk i setkach godzin spędzonych na grzbiecie smoka. Jej skóra dosłownie promienieje zdrowiem, a włosy w złotym odcieniu brązu są krótko przycięte dla wygody podczas boju, w tym samym stylu, co u mamy. Oprócz wyglądu, cechuje ją przede wszystkim ta sama arogancja oraz to niezachwiane przekonanie, że jej miejsce jest na niebie. Że jest prawdziwą jeźdźczynią.

Jest moim absolutnym przeciwieństwem i mama, kręcąc głową z dezaprobatą, to potwierdza. Jestem zbyt niska. Zbyt krucha. Moje krągłości powinny zastępować mięśnie; zdradzieckie ciało sprawia, że wypadam zenująco słabo.

Mama podchodzi do nas, a jej wypolerowane czarne buty lśnią w magicznym świetle mrugającym w pochodniach. Łapie za końcówkę mojego długiego warkocza i przygląda się krytycznie włosom na wysokości ramion, gdzie brązowe kosmyki tracą ciepły odcień i końcówki stopniowo przechodzą w metaliczny srebrny kolor. Upuszcza warkocz na moje ramię.

– Błada skóra, blade oczy, blade włosy. – Jej wzrok rozwiewa resztki mojej pewności siebie. – Zupełnie, jakby gorączka wraz z siłami wykradła z twojego ciała wszystkie kolory. – Marszczy brwi, a jej oczy zalewa żal. – Mówiłam mu, by nie trzymał cię w tej bibliotece.

Nie pierwszy raz przeklina chorobę, która niemal ją zabiła, gdy nosiła mnie w łonie, oraz bibliotekę, w której tata urządził mi drugi dom, kiedy mama została zatrudniona w Basgiacie jako instruktorka, a on pracował wówczas jako skryba.

– Ale ja uwielbiam tę bibliotekę – spieram się. Minał ponad rok, odkąd serce taty się poddało, a Archiwa wciąż są jedynym miejscem w tej wielkiej fortecy, w którym czuję się jak u siebie. To jedyne miejsce, gdzie wciąż wyczuwam obecność ojca.

– Mówisz jak córka skryby – stwierdza cicho mama i wtedy ją zauważam. Kobieta, którą była, gdy tata jeszcze żył. Łagodniejszą. Życzliwszą... a przynajmniej dla swojej rodziny.

– Bo jestem córką skryby. – Kręgosłup daje mi się we znaki, więc ściągam plecak i odkładam go na podłogę. W końcu mogę zaczerpnąć pełnego oddechu, po raz pierwszy od opuszczenia mojej komnaty.

Mama mruga i łagodna kobieta znika, pozostawiając tylko generałę.

– Jesteś córką jeźdźcy, masz dwadzieścia lat, a dziś jest Dzień Poboru. Pozwoliłam ci ukończyć nauki, ale jak zapowiedziałam zeszłej wiosny, nie będę patrzeć, jak jedno z moich dzieci wkracza do Kwadrantu Skrybów, Violet.

– Ponieważ skrybowie są znacznie gorsi od jeźdźców? – mamroczę, chociaż dobrze wiem, że jeźdźcy zajmują szczyty społecznych i wojskowych drabin. Nic dziwnego, skoro związane z nimi smoki smażą ludzi dla zabawy.

– Tak! – Znika jej ugodowa maska. – A jeśli ośmielisz się wejść dzisiaj do tunelu prowadzącego do Kwadrantu Skrybów, wyciągnę cię stamtąd za ten śmieszny warkocz i osobiście postawię na murze.

Mój zołądek skręca się boleśnie.

– Tata by sobie tego nie życzył! – oponuje Mira, czerwieniejąc ze złości.

– Kochałam waszego ojca, ale on nie żyje – odpowiada mama takim tonem, jakby zapowiadała pogodę. – Wątpię, by miał obecnie jakieś życzenia.

Wciągam powietrze do płuc, ale tego nie komentuję. Sprzeczką donikąd mnie nie zaprowadzi. Wcześniej mama nigdy nie słuchała tego, co miałam do powiedzenia, i dzisiaj się to nie zmieni.

– Wysłanie Violet do Kwadrantu Jeźdźców jest równoznaczne z wyrokiem śmierci. – Mira nie traci zapału do walki. Ona zawsze jest gotowa na kłótnię z matką i najgorsze w tym wszystkim jest to, że mama zawsze ją za to szanowała. Podwójne standardy w pełnej krasie. – Ona nie jest wystarczająco silna, mamo! W tym roku już złamała rękę, co tydzień skręcała któryś ze stawów i nie jest wystarczająco wysoka, aby dosięść na tyle dużego smoka, by pozwolił jej wytrwać w walce.

– Poważnie, Miro? – *Co to w ogóle ma znaczyć?* Mocno zaciskam pięści, paznokcie wbijają mi się w skórę. Oczywiście wiem, że mam marne szanse, ale co innego usłyszeć to z ust mojej siostry. – Nazywasz mnie „słabą”?

– Nie. – Mira ściska moje ramię. – Tylko... kruchą.

– To wcale nie brzmi lepiej. – Smoki nie tworzą więzi z kruchymi kobietami. One je spopielają.

– I co z tego, że jest drobna. – Mama lustruje mnie wzrokiem, przyglądając się obszernej kremowej tunice z paskiem i spodniom, które wybrałam dzisiaj rano na moją potencjalną egzekucję.

Wyrywa mi się prychnięcie.

– Widzę, że zaczynamy wymieniać listę moich wad?

– Nigdy nie uważałam tego za wadę. – Mama zwraca się do mojej siostry. – Miro, Violet do obiadu zmaga się z większym bólem niż ty przez cały tydzień. Jeśli któreś z moich dzieci jest zdolne przetrwać w Kwadrancie Jeźdźców, to ona.

Unoszę brwi wysoko. To zabrzmiało jak komplement, ale z mamą nigdy nic nie wiadomo.

– A jak wielu kandydatów na jeźdźców umiera w Dniu Poboru, mammo? Czterdziestu? Pięćdziesięciu? Tak spieszo ci pochować kolejne dziecko? – warczy Mira.

Krzywię się, gdy temperatura w gabinecie spada dzięki mocy rodzicielki, która pozwala czerpać energię burzy od jej smoka Aimsira.

W sercu łapie mnie skurcz na wspomnienie mojego brata. Nikt nie waży się wspominać Brennana czy jego smoka, odkąd pięć lat temu poległ w walce w trakcie tyrreńskiej rebelii na południu. Mama toleruje mnie, szanuje Mirę, ale to Brennana kochała.

Tak samo jak tata. Jego bóle w klatce piersiowej zaczęły się tuż po śmierci Brennana.

Mama mocno zaciska szczęki, a jej oczy obiecują zemstę, kiedy patrzy na Mirę.

Moja siostra przełyka ślinę, ale wytrzymuje walkę na spojrzenia.

– Mammo – zaczynam. – Ona nie chciała...

– Opuścić gabinet, poruczniczko. – W lodowatym powietrzu oddech mamy tworzy obłoczki pary. – Zanim zgłoszę twoją nieusprawiedliwioną nieobecność w skrzydle.

Mira prostuje się, kiwa głową i odwraca się z militarną precyzją. Maszeruje do drzwi bez słowa, a po drodze zgarnia mały plecak.

To pierwszy raz od miesiący, gdy zostajemy z mamą sam na sam.

Patrzy mi w oczy, a temperatura w pomieszczeniu podnosi się, kiedy bierze głęboki wdech.

– W trakcie egzaminów kwalifikacyjnych otrzymałaś wysoki wynik za szybkość oraz zwinność i plasujesz się w pierwszej ćwiartce. Poradzisz sobie. Jak wszyscy Sorrengailowie. – Przesuwa wierzchem dłoni po moim policzku, ledwie go muskając. – Jesteś taka podobna do swojego ojca – szepcze, a potem odchrząkuje i robi kilka kroków w tył.

Nie dostałaby nagrody za zasługi w zakresie emocjonalnego wsparcia.

– Nie będę w stanie opiekować się tobą przez następne trzy lata – oznajmia, siadając na brzegu biurka. – Jako generała Basgiathu będę twoją niebezpośrednią przełożoną.

– Wiem. – To moje najmniejsze zmartwienie, zważywszy na to, że do tej pory ledwie poświęcała mi uwagę.

– Nikt ci nie będzie pobłażać ze względu na nasze pokrewieństwo. Wręcz przeciwnie. Będą mieli wobec ciebie wyższe wymagania, każą ci udowadniać swoją wartość. – Unosi brwi.

– Jestem tego świadoma. – Dobrze, że trenowałam z majorem Gillsteadem przez ostatnie miesiące, odkąd mama wydała swój rozkaz.

Wzdycha i sili się na uśmiech.

– W takim razie chyba zobaczymy się w dolinie w trakcie Odsiewu, kandydatko. Chociaż zapewne o zachodzie słońca zostaniesz już kadetką.

*Albo będę martwa.*

Żadna z nas nie wymawia tego na głos.

– Powodzenia, kandydatko Sorrengail. – Mama staje za biurkiem, ucinając rozmowę.

– Dziękuję, generało. – Zakładam plecak na ramiona i wychodzę z gabinetu. Strażnik zamyka za mną drzwi.

– Odbiło jej – stwierdza Mira stojąca na środku korytarza, tuż przy dwóch strażnikach.

– Przekazą jej, że tak powiedziałaś.

– Jakby nie byli tego świadomi – cedzi przez zaciśnięte zęby. – Chodź. Kandydaci muszą stawić się na miejscu za godzinę, a kiedy tu przyleciałam, na zewnątrz pod bramą widziałam tysiące oczekujących. – Rusza przed siebie i prowadzi mnie kamiennymi schodami oraz korytarzami do mojej komnaty.

Cóż... mojej byłej komnaty.

Nie było mnie tu zaledwie pół godziny, a ktoś zdążył spakować wszystkie moje rzeczy do skrzyń, które teraz stoją w kącie w stosie pod ścianą. Mój żołądek zawiązuje się w supeł. Matka kazała zapakować całe moje życie.

– Jest piekielnie skuteczna, trzeba jej to przyznać – mamrocze Mira i odwraca się w moją stronę, żeby na mnie spojrzeć. – Miałam nadzieję, że będę w stanie wybić jej ten pomysł z głowy. Kwadrant Jeźdźców nie jest twoim przeznaczeniem.

– Już o tym wspominałaś. – Unoszę brew. – Niejednokrotnie.

– Przepraszam. – Krzywi się i kuca na ziemi, żeby opróżnić plecak.

– Co ty wyprawiasz?

– To, co Brennan zrobił dla mnie – odpowiada miękko. Żal ściska mi gardło. – Potrafisz posługiwać się mieczem?

Potrząsam głową.

– Jest dla mnie zbyt ciężki. Ale dobrze radzę sobie ze sztyletami. – Jestem jak błyskawica. Szybkością nadrabiam brak mięśni.

– Tak myślałam. Dobrze. A teraz odłóż plecak i zdejmij te śmieszne buty. – Grzebie w rzeczach, które ze sobą przyniosła, i podaje mi nowe obuwie oraz czarny uniform. – Włóż to.

– A co jest nie tak z moim ekwipunkiem? – pytam, ale odkładam plecak. Otwiera go niezwłocznie i wyrzuca na zewnątrz wszystko, co starannie tam poupychałam. – Mira! Spakowanie się zajęło mi całą noc!

– Wzięłaś ze sobą za dużo, a w tych butach się zabijesz. Podeszwy są tak śliskie, że od razu spadniesz z muru. Poprosiłam o zrobienie dla ciebie jeździeckich butów z gumową podeszwą, tak na wszelki wypadek, i to, moja droga Violet, jest właśnie ten moment. – Wyrzuca z plecaka książki, które lądują przy skrzyni.

– Hej, miałam wziąć tylko to, co jestem w stanie udźwignąć, a zależy mi na tych książkach! – Rzucam się, żeby uratować kolejny tom, który właśnie chce wyrzucić. Z trudem udaje mi się ocalić mój ulubiony zbiór mrocznych baśni.

– Jesteś gotowa za nie umrzeć? – pyta, patrząc na mnie potępiająco.

– Udźwignę je!

Tak nie może być. Powinnam poświęcić swoje życie książkom, a nie ciskać je w ką, żeby odciążyć plecak.

– Przeciwnie. Nie dasz rady. Ważysz ledwie trzy razy więcej niż ten plecak, a mur ma niecałe osiemnaście cali i znajduje się dwieście stóp nad ziemią. Kiedy ostatnio sprawdzałam, nadciągały ciężkie burzowe chmury, ale nie przełożą próby ze względu na ciebie, bo most mógłby zrobić się trochę za śliski, siostrzyczko. Spadniesz. Umrzesz. Czy teraz w końcu mnie posłuchasz? Czy może na jutrzejszym porannym zebraniu dołączysz do innych martwych kandydatów? – W stojącej przede mną jeźdźczyni nie ma ani śladu mojej starszej siostry. Ta kobieta jest inteligentna, sprytna i odrobinę okrutna. To wojowniczką, która przetrwała trzy lata, dorobiwszy się tylko jednej blizny. Dostała ją od własnego smoka w trakcie Odsiewu. – Bo tak właśnie skończysz. Będiesz kolejnym nagrobkiem. Kolejnym nazwiskiem wypalonym w kamieniu. Zostaw te książki.

– Tę dał mi tata – szepczę, przyciskając tom do piersi. Może to dziecinne, bo to tylko zbiór historyjek, które mają nas ostrzec przed pokusą magii, a niektóre nawet demonizują smoki, ale tylko to mi po nim pozostało.

Siostra wzdycha.

– Czy to ta stara księga z baśniami o władającym mrokiem wedminie i jego wiwernie? Mam wrażenie, że czytałaś te historie tysiące razy.

– Chyba nawet więcej – przyznaję. – I to jest venin, nie wedmin.

– Tata i jego alegorie. – Wzdycha. – Po prostu nie próbuj przyzywać mocy, nie mając więzi ze smokiem. Czerwonookie potwory nie kryją się pod twoim

łóżkiem, żeby porwać cię na swoje dwunożne jaszczury i wcielić do mrocznej armii. – Wyciąga z plecaka ostatnią książkę i mi ją podaje. – Zostaw je. Tata cię nie uratuje. Próbował. Ja również. Podejmij decyzję, Violet. Zamierzasz umrzeć jako skrybka? Czy żyć jako jeźdźcy?

Spoglądam na swoje książki i dokonuję wyboru.

– Ale ty jesteś upierdliwa. – Odkładam zbiór baśni w kącie, ale drugi tom zatrzymuję i patrzę na siostrę.

– Przynajmniej zadbam, byś przeżyła. A ta książka do czego? – pyta.

– Do zabijania ludzi. – Wręczam ją siostrze.

Na jej twarzy rozciąga się uśmiech.

– Świetnie. Możesz ją zatrzymać. A teraz się przebierz. Ja w tym czasie zajmę się resztą. – Wysoko nad nami rozlega się bicie dzwonu. Zostało nam czterdzieści pięć minut.

Szybko zmieniam strój, ale w nowych ubraniach nie czuję się dobrze – mam wrażenie, jakby były uszyte na kogoś innego, chociaż są w moim rozmiarze. Tunika została zastąpiona przylegającą czarną koszulą zakrywającą moje ramiona, a przewiewne spodnie – obcisłymi skórzanymi. Na koniec siostra pomaga mi założyć na koszulę gorset, przypominający kamizelkę.

– Uchroni cię przed otarciem – wyjaśnia.

– Wygląda jak zbroja, którą jeźdźcy wkładają do walki. – Muszę przyznać, że w tym stroju prezentuję się jak groźna przeciwniczka, mimo że czuję się jak oszustka. Na bogów, to się dzieje naprawdę.

– Zgadza się, bo właśnie to cię czeka. Walka.

Połączenie skóry i materiału, którego nie rozpoznaję, zakrywa mnie od obojczyków, okala piersi, a kończy się tuż za talią. Na plecach i barkach krzyżują się pasy. Dotykam palcami ukrytych pochew, wszytych po przekątnej – wzdłuż żeber.

– Na sztylety.

– Mam tylko cztery. – Biorę je ze sterty rzeczy leżących na podłodze.

– Zdobędziesz więcej.

Wsuwam ostrza na miejsce. Teraz moje żebra stają się bronią. Co za genialne rozwiązanie. Pochwy rozsiane między moimi żebrami a udami są łatwo dostępne.

Ledwie rozpoznaję siebie samą w lustrze. Wyglądam jak prawdziwa jeźdźcy. Mimo to wciąż czuję się jak skrybka.

Kilka minut później połowa zapakowanych przeze mnie rzeczy ląduje w skrzyniach. Siostra przepakowała mój plecak, wyrzuciwszy wszystko, co uznała za niepotrzebne, w tym niemal wszystkie przedmioty mające dla mnie wartość sentymentalną. Jednocześnie zarzucała mi porady na temat

przetrwania w kwadrancie. Potem jednak zaskakuje mnie niezwykle nostalgiczną prośbą – prosi, żebym usiadła między jej kolanami, bo chce zapleść moje włosy w koronę.

Zupełnie jakbym znowu była dzieckiem, a nie dorosłą kobietą. Jednak nie oponuję.

– Co to jest? – Drapię paznokciem materiał tuż nad moim sercem.

– Sama to zaprojektowałam – wyjaśnia, mocno zbierając moje włosy w warkocz tuż przy skórze głowy. – Poprosiłam o wykonanie zbroi z myślą o tobie. Wszyto tam łuski Teinego, więc uważaj.

– Smocze łuski? – Podrywam głowę, żeby na nią spojrzeć. – Ale jak? Przecież Teine jest ogromny.

– Znam jeźdźca, którego moce potrafią zmniejszyć duże przedmioty. – Posyła mi łobuzerski uśmiech. – I małe rzeczy... w o wiele większe.

Przewracam oczami. Mira zawsze lubiła opowiadać o swoich mężczyznach bardziej niż ja... a miałam ich tylko dwóch.

– Czyli jak duże?

Wybuchają śmiechem i ciągnie mnie za warkocz.

– Pochyl głowę. Powinnaś obciąć włosy. – Mocno ściąga pasma tuż przy skórze i zaplata dalej. – W boju i w sparingach to słaby punkt, nie wspominając już o tym, że będziesz łatwym celem. Nikt nie ma włosów, które się wysrebrzają, więc na pewno się na ciebie uwezmą.

– Dobrze wiesz, że naturalny pigment znika stopniowo, niezależnie od ich długości. – Moje oczy są równie niezdecydowane, częściowo jasnopiwe, a czasami bursztynowe i niebieskie. – Poza tym, pomijając niepokój innych o kolor, moje włosy to jedyna zdrowa część mnie. Gdybym je obcięła, miałabym wrażenie, że karzę swoje ciało za zrobienie czegoś, jak należy. I nie chcę ukrywać tego, kim jestem.

– Nie ukrywasz. – Mira pociąga za warkocz i odchyła mi głowę, żeby spojrzeć w moje oczy. – Jesteś najinteligentniejszą osobą, jaką znam. Nie zapominaj o tym. Mózg jest twoją najlepszą bronią. Wykiwaj wszystkich, Violet. Słyszysz?

Potakuję, a ona poluznia uścisk i kończy zaplatać warkocz. Potem pomaga mi wstać i stara się upchnąć lata wiedzy w piętnastominutowy wykład. Ledwie zatrzymuje się, by zaczerpnąć oddechu.

– Obserwuj otoczenie. Możesz być cicho, ale postaraj się przyglądać wszystkim i wszystkiemu wokół, żeby zyskać przewagę. Przeczytałaś Kodeks?

– Kilukrotnie. – Księga zasad Kwadrantu Jeźdźców jest znacznie cieńsza od ksiąg innych wydziałów. Pewnie dlatego, że jeźdźcy nie lubią stosować się do reguł.

– Znakomicie. W takim razie wiesz, że inni jeźdźcy mogą zabić cię w każdej chwili, a bezlitośni kadeci na pewno spróbują to zrobić. Mniej kadetów to większa szansa na przetrwanie Odsiewu. Smoków wyrażających chęć do wytworzenia więzi jest niewystarczająco, a poza tym osoby, które dają się zabić, nie są warte smoczego towarzysza.

– Tylko nie we śnie. Zabicie kadeta w trakcie snu to karygodne przewinienie. Artykuł trzeci...

– Tak, to jednak nie oznacza, że w nocy jesteś bezpieczna. Śpij w tym, jeśli możesz. – Stuka palcami w gorset na moim brzuchu.

– Na czerń jeźdźców powinno się zasłużyć. Jesteś pewna, że tunika nie byłaby lepszym wyborem? – Przesuwam dłońmi po skórzanym stroju.

– Wiatr na murze będzie szarpał luźnym materiałem jak żaglami. – Wręcza mi znacznie lżejszy plecak. – Im ciaśniejsze są ubrania, tym większe masz tam szanse, tak samo jak na macie, kiedy zaczniesz się sparring. Miej na sobie zbroję przez cały czas. I nie wyciągaj z niej sztyletów. – Wskazuje na pochwy na swoich udach.

– Inni mogą mieć pretensje, że na nie nie zasłużyłam.

– Nazywasz się Sorrengail – odpowiada, jakby taki powód wystarczał. – Pieprzyć opinię innych.

– A nie uważasz, że smocze łuski to oszustwo?

– Kiedy wespnieiesz się na wieżę, oszustwo nie będzie mieć znaczenia. Tam liczy się tylko przetrwanie i śmierć. – Rozlegają się dzwony. Zostało tylko pół godziny. Siostra przełyka ślinę. – Już czas. Gotowa?

– Nie.

– Ja też nie byłam. – Uśmiecha się blado. – A spędziłam całe życie, trenując do tej chwili.

– Nie zamierzam dzisiaj umrzeć. – Zakładam plecak na ramiona. Oddychanie jest teraz znacznie łatwiejsze niż wcześniej, kiedy miałam na sobie większy ciężar.

Kiedy schodzimy na dół, korytarze centralnej, administracyjnej części fortecy są niepokojąco ciche, ale z każdym piętrem narasta hałas dobiegający z zewnątrz. Za oknami, na trawiastym polu przed główną bramą, zauważam tysiące kandydatów ściskających swoich ukochanych na pożegnanie. Z tego, co zauważyłam w poprzednich latach, rodziny na ogół tulą kandydatów aż do wybrzmienia ostatniego dzwonu. Cztery drogi prowadzące do fortecy są obstawione końmi i powozami, szczególnie przed uczelnią. Najbardziej mierzi mnie widok tych pustych.

Na ciała.



Mira zatrzymuje się przed ostatnim zakrętem, za którym rozciąga się dziedziniec.

– Co... Och. – Niespodziewanie przyciąga mnie do siebie i ściska mocno na osobności.

– Kocham cię, Violet. Pamiętaj o wszystkim, co ci powiedziałam. Nie chcę, żebyś skończyła martwa. – Jej głos drży. Mocno ją obejmuję ramionami.

– Poradzę sobie – zapewniam ją.

Kiwa głową, a jej podbródek obija się o czubek mojej głowy.

– Wiem. Chodźmy.

Odsuwa się bez słowa i wchodzimy na zatłoczony dziedziniec położony tuż przed główną bramą fortecy. Instruktorzy, dowódcy i nawet moja matka, zebrali się tu nieformalnie i czekają na rozpętanie się za murami piekła, które zaprowadzi porządek wewnątrz nich. Spośród wszystkich wrót w wojskowej uczelni główna brama jest jedyną, przez którą nie wejdzie żaden kadet, ponieważ każdy kwadrant ma własne wejście i budynki. Co więcej, jeźdźcy mają nawet własną cytadelę. Pretensjonalne, egoistyczne dupki.

Podążam za Mirą i doganiam ją w kilku krokach.

– Znajdź Daina Aetosa – rozkazuje siostra, kiedy przemierzamy dziedziniec, kierując się w stronę otwartej bramy.

– Daina? – Na myśl o Dainie moje usta samowolnie rozciągają się w uśmiechu, a serce przyspiesza. Nie widzieliśmy się od roku. Tęskniłam za jego łagodnymi brązowymi oczami, jego śmiechem, który wstrząsał całym ciałem. Brakowało mi naszej przyjaźni i chwil, które w odpowiednich okolicznościach mogłyby przerodzić się w coś więcej. Tęskniłam za sposobem, w jaki na mnie patrzył, jakbym była kimś wartym uwagi. Po prostu tęskniłam za... nim.

– Opuściłam kwadrant zaledwie trzy lata temu, ale z tego, co słyszałam, radzi sobie całkiem nieźle i zapewni ci bezpieczeństwo. Przestań się tak szczerzyć – karci mnie Mira. – Zaczyna drugi rok. – Kiwa na mnie ostrzegawczo palcem. – Nie zabawiaj się z drugorocznikami. Jeśli chcesz sobie poużywać, a powinnaś to robić – znacząco unosi brwi – i to jak najczęściej, zważywszy na to, że nigdy nie wiesz, co przyniesie jutro, ale zabawiaj się ze studentami swojego roku. Nie ma nic gorszego niż kadeci plotkujący, że zapewniłaś sobie ochronę przez łóżko.

– A zatem mogę sypiać z każdym pierwszorocznikiem – stwierdzam z lekkim uśmiechem. – Tylko nie ze studentami drugiego i trzeciego roku.

– Zgadza się. – Puszczą do mnie oko.

Pokonujemy bramę i opuszczamy fortecę, żeby dołączyć do zebranego za murami tłumu.

Każda z sześciu prowincji Navarry wysłała w tym roku kandydatów na służbę wojskową. Niektórzy sami się zgłosili, innych wydelegowano w ramach kary. Większość została powołana. Tutaj w Basgiacie łączy nas tylko to, że wszyscy zdaliśmy egzaminy, pisemne oraz zręcznościowe – wciąż nie mogę uwierzyć, że jakoś zaliczyłam te drugie – co oznacza, że przynajmniej nie skończymy jako żywa tarcza w piechocie z pierwszej linii.

Atmosfera jest napięta, w powietrzu czuć obawy, kiedy Mira prowadzi mnie zniszczoną brukowaną ścieżką w stronę południowej wieży. Główny gmach uczelni wybudowano na zboczu Góry Basgiath, jakby wyciosano ją z wierzchołka grzbietu. Nad tłumem niespokojnych, czekających kandydatów i ich zapłakanych rodzin góruje potężna, rozwlekła budowla otoczona zwieńczonym blankami murem – mającym za zadanie strzec wysokiej strażnicy wyrastającej pośrodku – i z wybudowanymi w rogach obronnymi wieżami. W jednej z nich mieści się dzwonnica.

Większość zgromadzonych przemieszcza się w kolejce do podnóża północnej wieży, gdzie znajduje się wejście do Kwadrantu Piechoty. Część podąża w stronę bramy za nami – Kwadrantu Medyków, stanowiącego południową część uczelni. Moje serce przepętnia zazdrość, kiedy zauważam garstkę kadetów zmierzających w stronę centralnego tunelu prowadzącego do Archiwów rozciągających się pod fortecą, w których dołączą do Kwadrantu Skrybów.

Wejście do Kwadrantu Jeźdźców stanowią umocnione wrota u podnóża wieży, wyglądające podobnie jak portal prowadzący do wydziału piechoty. Niestety – w przeciwieństwie do kandydatów piechoty, którzy wchodzą bezpośrednio do kwadrantu położonego na parterze – my, jeźdźcy, musimy się wspiąć, aby dotrzeć do swojej części.

Wraz z Mirą dołączamy do kolejki jeźdźców i czekamy na znak. Popęlam błąd i zadzieram głowę.

Wysoko nad nami znajduje się kamienny mur, który w ciągu kilku następnych godzin odsieje kandydatów na jeźdźców od kadetów. Przeszkoda przecina dolinę i płynącą przez nią rzekę, oddzielającą główny gmach od wyżej położonej, potężnej cytadeli Kwadrantu Jeźdźców na południowym zboczu.

Nie mogę uwierzyć, że zaraz podążę tą drogą.

– I pomyśleć, że przez te wszystkie lata przygotowywałam się do pisemnych egzaminów na skrybkę – komentuję z sarkazmem. – A powinnam była ćwiczyć równowagę w chodzeniu po belce.

Mira puszcza moją uwagę mimo uszu, kiedy kolejka się przesuwa i kandydaci znikają za drzwiami.

– Nie pozwól, by wiatr wytrącił cię z równowagi.

Dwie osoby dalej mężczyzna odciąga od młodego chłopca szlochającą kobietę i razem opuszczają kolejkę. Zapłakani schodzą ze wzgórza w stronę gromady rodzin czekających na dole. Przed nami nie dostrzegam już żadnych rodziców, jedynie dziesiątki kandydatów zmierzających w stronę zwojowych.

– Skupiaj wzrok tylko na kamieniach znajdujących się przed tobą i nie patrz w dół – zaleca Mira, rysy jej twarzy się napinają. – Trzymaj ręce wyciągnięte po bokach dla zachowania równowagi. Jeśli plecak zacznie ześlizgiwać ci się z ramion, zrzuć go. Lepiej, żeby spadł on niż ty.

Oglądam się za siebie. Mam wrażenie, że w ciągu zaledwie kilku minut do kolejki dołączyły setki innych.

– Może powinnam ich przepuścić – zastanawiam się na głos. Panika chwyta mnie za serce. Co ja tu, u diabła, wyprawiam?

– Nie – zaprzecza siostra. – Im dłużej będziesz czekała na tych stopniach – wskazuje gestem wieżę – tym twój lęk stanie się większy. Pokonaj most, zanim strach weźmie cię we władanie.

Kolejka przesuwa się, w tle znów rozbrzmiewa dzwon. Wybiła ósma.

Tłum za nami rozdzielił się do wyznaczonych kwadrantów, a kandydaci są gotowi, by zapisać się i rozpocząć służbę.

– Skup się – warczy Mira, a ja gwałtownie obracam głowę i przenoszę wzrok na wprost. – To może zabrzmieć brutalnie, ale nie szukaj tutaj przyjaźni, Violet. Skup się na szukaniu sojuszników.

Przed nami zostały tylko dwie osoby – kobieta z wypchanym plecakiem, której wysokie kości policzkowe i owalna twarz przypomina mi wizerunki Amari – królowej bogów. Jej ciemnobrązowe włosy zostały zaplecione w kilka rzędów krótkich warkoczy, które sięgają jej równie ciemnej skóry na karku. Drugą osobą jest muskularny blondyn, któremu towarzyszyła zapłakana kobieta. On dźwiga na plecach jeszcze większy plecak.

Omijam wzrokiem kandydatów i przenoszę go na biurko zwojowego. Wytrzeszczam oczy.

– Czy to...? – zaczynam szeptem.

Mira podąża za moim spojrzeniem i mamrocze pod nosem przekleństwo.

– Dziecko separatystów? Tak, widzisz ten lśniący znak, który zaczyna się na wierzchu jego nadgarstka? To piętno rebelii.

Zaskoczona unoszę brwi. Jedyne piętno, o jakim słyszałam, to symbole pozostawiane przez smoka, który wykorzystuje magię, aby naznaczyć skórę jeźdźca, z którym się wiąże. Jednak tamte znaki są symbolem honoru, siły i na ogół mają kształt smoka, który je wypalił. Natomiast to piętno przedstawia wywijasy i ostre linie, które bardziej przypominają ostrzeżenie niż symbol jedności.

– To robota smoka?

Mira kiwa głową.

– Mama mówi, że smok generała Melgrena wypalił im to piętno, kiedy zgładził ich rodziców, ale nie jest zbyt skłonna wdawać się w szczegóły. Nie ma to jak ukarać dzieci, żeby zniechęcić innych do zdrady.

Wydaje mi się to... okrutne, lecz pierwsza zasada życia w Basgii brzmi: nigdy nie kwestionuj decyzji smoka. Mają w zwyczaju popielić każdego, kto się im sprzeciwi.

– Oczywiście większość dzieci naznaczonych symbolem rebelii pochodzi z Tyrrendoru, jednak rodzice niektórych z nich zamieszkiwali również inne prowincje... – Nagle krew odpływa z jej twarzy i siostra chwyta za mój plecak, żeby odwrócić mnie w swoją stronę. – Właśnie sobie przypomniałam – dodaje szeptem, a ja pochylam się w jej stronę. Niepokój w jej głosie potęguje dudnienie mojego serca. – Trzymaj się z daleka od Xadena Riorsona.

Powietrze uchodzi z moich płuc. To nazwisko...

– Tak, mówię o tym Xadenie Riorsonie – potwierdza. W jej oczach czai się obawa. – Jest studentem trzeciego roku i zabije cię bez wahania, gdy tylko dowie się, kim jesteś.

– Jego ojciec był Wielkim Zdrajcą. Przewodził rebelii – przypominam sobie. – Co Xaden tu robi?

– Dzieci wszystkich przywódców zostały wysłane na służbę w ramach kary za zbrodnie rodziców – wyjaśnia szeptem Mira, kiedy przesuujemy się dalej w kolejce. – Mama mówiła mi, że nie spodziewali się, że uda mu się pokonać most. Potem uznali, że najpewniej zginie z ręki jakiegoś kadeta, ale kiedy smok go wybrał... – Kręci głową. – W takiej sytuacji już nic nie można zrobić. Osiągnął rangę dowódcy skrzydła.

– To chore – warczę.

– Poprzysiągł wierność Navarze, ale w twoim przypadku chyba go to nie powstrzyma. Kiedy już uda ci się pokonać most, a na pewno tak będzie, znajdź Daina. Wciągnie cię do swojej drużyny i miejmy nadzieję, że znajdziesz się jak najdalej od Riorsona. – Mocniej ściska paski mojego plecaka. – Mówię poważnie. Trzymaj się od niego z daleka.

– Zapamiętam. – Kiwam głową.

– Następny. – Rozlega się głos dobiegający zza drewnianego biurka, przy którym trwają zapisy do Kwadrantu Jeźdźców. Naznaczony, zupełnie obcy mi jeździec, siedzi obok znanego mi starego kapitana Fitzgibbonsa, który na mój widok unosi srebrne brwi. – Violet Sorrengail?

Kiwam głową, biorę do ręki pióro i zapisuję swoje nazwisko w pustej rubryce na liście.

– Ale myślałem, że zamierzasz studiować w Kwadrancie Skrybów – wypomina cicho kapitan.

Zazdroszczę mu tego, że ma na sobie kremową tunikę. Nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Generała Sorrengail uznała inaczej – wyjaśnia moja siostra.

Oczy starszego mężczyzny wypełniają się żalem.

– Jaka szkoda. Miałaś potencjał.

– Na bogów – odzywa się siedzący obok kapitana jeździec. – A ty to Mira Sorrengail? – Opada mu szczęka. Chociaż go nie znam, wyczuwam, że wielbi swoją bohaterkę.

– Tak. – Kiwa głową. – A to moja siostra Violet. Będzie studiować na pierwszym roku.

– O ile przeżyje spacer po moście – szydzi ktoś stojący za mną. – Wystarczy lekki podmuch wiatru, żeby spadła.

– Walczyłaś w bitwie pod Strythmore – ciągnie jeździec z podziwem w głosie.

– Przyznali ci Odznakę Szpona za przeprowadzenie oddziału ogniowego za linię wroga.

Drwiny za nami ustają.

– Jak już mówiłam – Mira przykłada dłoń do moich pleców – to moja siostra Violet.

– Znasz drogę. – Kapitan kiwa głową i wskazuje na otwarte drzwi prowadzące do wieży. Wnętrze wydaje mi się niebezpiecznie mroczne. Walczę z potrzebą, by uciec gdzie pieprz rośnie.

– Oczywiście – zapewnia go i wymijamy biurko, żeby szyderca czekający za nami mógł się zapisać.

Zatrzymujemy się w przejściu i odwracamy w swoją stronę.

– Masz przeżyć, Violet. Nie chciałabym zostać jedynaczką. – Uśmiecha się szeroko i odchodzi, wymijając gapiących się kandydatów. Po zebranych roznosi się wieść o jej imieniu i zasługach.

– Pewnie trudno jest dorównać komuś takiemu – odzywa się stojąca we wnętrzu wieży dziewczyna.

– To prawda – przyznaję. Zaciskam dłonie na paskach plecaka i zanurzam się w ciemności. Moje oczy szybko przystosowują się do przyćmionego światła przeciskającego się przez równoległe ułożone okna ciągnące się wzdłuż wykutych w kamieniu schodów.

– Sorrengail tak jak...? – pyta, patrząc na mnie ponad ramieniem. Zaczynamy wspinać się po setkach stopni, które prowadzą nas do miejsca naszej potencjalnej śmierci.

– Zgadza się. – Nie ma tu balustrady, więc wodzę dłonią po kamiennej ścianie, gdy wspinamy się coraz wyżej i wyżej.

– Jak generała? – odzywa się idący przed nami blondyn.

– Właśnie tak – potwierdzam i posyłam mu uśmiech. Chłopak, którego matka tak mocno ścisnęła, nie może być chyba taki zły, prawda?

– Niesamowite. Ładne skórzane wdzianko – odpowiada mi uśmiechem.

– Dzięki. Dostałam od siostry.

– Ciekawe, ilu kandydatów spadło ze schodów i umarło, zanim w ogóle dotarło na most – zastanawia się dziewczyna, zaglądając w otchłań po drugiej stronie schodów.

– W zeszłym roku dwóch. – Przekrzywiam głowę, kiedy na mnie spogląda. – A raczej trzech, jeśli liczyć dziewczynę, na której wylądował jeden z chłopaków.

Brązowe oczy dziewczyny płoną, ale odwraca się i kontynuuje wspinaczkę.

– Ile tu jest stopni? – pyta.

– Dwieście pięćdziesiąt – odpowiadam. Przez następne pięć minut wspinamy się w milczeniu.

– Nie tak źle – stwierdza, kiedy niemal docieramy na szczyt i stajemy w kolejce. – A tak przy okazji, jestem Rhiannon Matthias.

– Dylan – wtrąca się blondyn i macha entuzjastycznie.

– Violet. – Uśmiecham się, jawnie ignorując sugestię siostry, by unikać przyjaźni i szukać jedynie sprzymierzeńców.

– Mam wrażenie, że całe życie czekałem na ten dzień. – Dylan poprawia plecak. – Dacie wiarę, że naprawdę tu dotarliśmy? To spełnienie marzeń.

Jasne. Naturalnie każdy kandydat poza mną cieszy się, że tu jest. To jedyny kwadrant, który nie przyjmuje poborowych, jedynie chętnych.

– Nie mogę się doczekać. – Rhiannon wręcz promienieje. – Kto by nie chciał latać na smoku?

*Ja.* Oczywiście w teorii nie brzmi to wcale tak źle, ale wzdrygam się na myśl o marnych szansach na przetrwanie do ceremonii rozdania dyplomów.

– A rodzice popierają wasz wybór? – pyta Dylan. – Bo moja mama od miesięcy błaga, bym zmienił zdanie. Ciągłe powtarzam jej, że mam większe szanse na awans społeczny jako jeździec, ale ona upiera się, że powinienem dołączyć do Kwadrantu Medyków.

– Moi od zawsze wiedzieli, że chcę się tu dostać, więc wspierali mnie w tej decyzji. Poza tym mają moją bliźniaczkę, którą mogą zalewać miłością. Raegan spełniła swoje marzenie i jest mężatką spodziewającą się dziecka. – Rhiannon zerka w moją stronę. – A ty? Niech zgadnę. Masz na nazwisko Sorrengail, więc załóż się, że w tym roku zgłosiłaś się jako pierwsza.

– Raczej nie miałam wyjścia. – Moja odpowiedź jest mniej entuzjastyczna niż jej.

– Rozumiem.

– I to prawda, jeźdźcy mają znacznie więcej korzyści niż inni żołnierze – zgadzam się z Dylanem, kiedy kolejka się przesuwają. Kandydat, który wcześniej ze mnie drwił, dogania nas spocony i czerwony. *I co, teraz już nie jest ci tak do śmiechu, hm?* – Lepsze wynagrodzenie, większa dowolność w kwestii munduru – kontynuuję. Nikt się nie przejmuje tym, co noszą jeźdźcy, póki przywdziewają czerń. Jedyne zasady, które ich obowiązują, to te zapisane w Kodeksie. Nauczyłam się ich na pamięć.

– I mają prawo nazywać się największymi twardzielami – dodaje Rhiannon.

– To też – zgadzam się. – Jestem niemal pewna, że napompowane ego dostajesz w zestawie wraz ze skórzanym uniformem do latania.

– Poza tym słyszałem, że jeźdźcy mogą wziąć ślub wcześniej niż w innych kwadrantach – wtrąca Dylan.

– To prawda. Zaraz po rozdaniu dyplomów. – O ile przeżyjemy. – Myślę, że ma to związek z chęcią przedłużenia rodów. – Większość odnoszących sukcesy jeźdźców to potomkowie wpływowych rodzin.

– A może dlatego, że umieramy szybciej niż w innych kwadrantach – podsuwa Rhiannon.

– Ja nie zamierzam umrzeć – odpowiada Dylan z większą pewnością siebie, niż ja czuję w tej chwili. Łapie za kołnierz tuniki, żeby odsłonić pierścień zawieszony na łańcuszku. – Moja dziewczyna powiedziała, że oświadczyń przed wyjazdem przyniosą pecha, więc czekamy do ukończenia studiów. – Całuje pierścień, a potem chowa go pod ubraniem. – Następne trzy lata zapowiadają się ciężko, ale będzie warto.

Nieomal wzdycham, bo to chyba najbardziej romantyczna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam.

– Ty pewnie dotrzesz na drugą stronę mostu – stwierdza złośliwie chłopak stojący za nami. – Ale ta tutaj spadnie przy lżejszym podmuchu wiatru.

Przewracam oczami.

– Zamknij się i skup na sobie – warczy Rhiannon. Kontynuujemy wspinaczkę, jej buty głośno stukają o kamień.

Przed nami pojawia się szczyt i drzwi, za którymi widać ciemniejące niebo. Mira miała rację. Te chmury mogą nam utrudnić spacer; musimy szybko dostać się na drugą stronę, żeby ich uniknąć.

Kolejny stopień, kolejny stukot podeszew Rhiannon.

– Pokaż mi te buty – mówię tak cicho, żeby buc za nami nie usłyszał.

Dziewczyna ściąga brwi, a w jej oczach pojawia się dezorientacja, mimo to pokazuje mi podeszwy. Są gładkie, tak jak w butach, które miałam na sobie wcześniej. Mój żołądek skręca się boleśnie.

Kolejka znowu się przesuwa, a potem staje, kiedy od wejścia dzieli nas zaledwie kilka stóp.

– Jaki masz rozmiar? – pytam.

– Co? – Rhiannon patrzy na mnie tępo.

– Pytam o buty. Jaki nosisz rozmiar?

– Ósemkę – odpowiada, wciąż nie rozumiejąc.

– Ja siódemkę – rzucam pospiesznie. – Będzie piekielnie bolało, ale chcę, żebyś wzięła mój lewy but. Zamień się ze mną.

– Słucham? – Patrzy na mnie, jakbym postradała zmysły. Może rzeczywiście tak jest.

– To buty jeździeckie, które lepiej trzymają się podłoża. Będziesz musiała podkurzyć palce i będą cię uciskać, ale przynajmniej nie poślizgniesz się tak łatwo, gdy się rozpada.

Rhiannon zerka na otwarte drzwi – na ciemniejące za nimi niebo – a potem wraca do mnie wzrokiem.

– Jesteś gotowa zamienić się ze mną butem?

– Tylko dopóki nie dotrzemy na drugą stronę. – Spoglądam w stronę wyjścia. Trójka kandydatów już idzie mostem z rozłożonymi na boki ramionami. – Ale musimy się pospieszyć, bo zaraz nasza kolej.

Rhiannon zaciska wargi i rozważa moją propozycję, a potem się zgadza i wymieniamy się lewymi butami. Ledwie udaje mi się go zawiązać, bo kolejka znowu się przesuwa, a idący za mną chłopak popycha mnie i wypadam na zewnątrz, usiłując złapać równowagę.

– Dalej. Niektórzy z nas mają coś do zrobienia po drugiej stronie. – Jego głos gra mi na nerwach.

– Nie jesteś teraz wart zachodu – mamroczę i udaje mi się stanąć prosto. Wiatr owiewa moją skórę, letni poranek jest duszny i gorący. *Dobry pomysł z tym warkoczem, Miro.*

Szczyt wieży jest goły, kamienne blanki przypominające zęby z przerwami ciągną się wzdłuż walcowatej bryły na wysokości mojej klatki piersiowej i nie przysłaniają widoków. Wąwóz i przepływająca przez niego rzeka nagle wydają się bardzo, ale to bardzo daleko stąd. Ile pod nami czeka powozów? Pięć? Sześć? Znam statystyki. Piętnaście procent kandydatów na jeźdźców nie przeżywa spaceru po moście. Każda próba w tym kwadrancie – włącznie z tą – została stworzona, aby przetestować umiejętność dosiadanania smoka przez kadeta. Jeśli



ktoś nie potrafi przejść na wietrze wąskim kamiennym mostem, to z pewnością nie będzie w stanie utrzymać równowagi i walczyć na grzbiecie smoka.

A co do odsetka śmierci... Chyba każdy jeździec uważa, że ryzyko jest warte śmierci w chwale. Albo zwyczajnie arogancja nie pozwala im myśleć, że mogliby spaść.

Nie należę do żadnej z tych grup.

Jest mi niedobrze, ale staram się oddychać głęboko nosem i wypuszczać powietrze ustami, idąc po ustępie za Rhiannon i Dylanem. Palcami przesuwam po kamiennych blankach i coraz bardziej zbliżam się do mostu.

Trójka jeźdźców czeka na nas przy wejściu, za które uchodzi ziejąca dziura w kamiennym murze wieży. Mężczyzna w koszulce z urwanymi rękawami odczytuje nazwiska kandydatów, którzy mają wstąpić na zdradziecką ścieżkę. Kolejny z wygoloną niemal całą głową, poza wąskim paskiem biegnącym przez sam środek, wyjaśnia zasady Dylanowi, który zajmuje miejsce i klepie ukryty pod tuniką pierścień, jakby miał przynieść mu szczęście. Mam nadzieję, że tak będzie.

Trzeci z nich odwraca się do mnie i moje serce zwyczajnie... zamiera.

Jest wysoki, ma czarne, potargane wiatrem włosy i gęste brwi odznaczające się od cieplej, śniadej skóry. Mocno zarysowaną szczękę pokrywa ciemny zarost, a kiedy zakłada ręce na klatce piersiowej, mięśnie jego ramion i torsu wyraźnie się napinają. To tak piękny widok, że muszę przełknąć ślinę. A jego oczy... jego oczy mają kolor onyksu upstrzonego złotymi plamkami. Kontrast jest zaskakujący i oszałamiający... podobnie jak cała sylwetka chłopaka. Rysy jego twarzy wyglądają jak wyrzeźbione w marmurze i są tak zachwycające, jakby artysta poświęcił na stworzenie go całe swoje życie, a na same tylko usta przynajmniej rok.

To najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek zobaczyłam. A mieszkałam na terenie uczelni wojskowej długo, co oznacza, że widziałam ich w swoim życiu wielu.

Nawet blizna przecinająca na ukos lewą brew i kończąca się na szczycie policzka dodaje mu atrakcyjności. Jest gorący. Ogniście gorący. Piekielnie gorący. Wygląda jak mężczyzna, który wpakuje cię w kłopoty, a tobie będzie się to podobać. Nagle zupełnie wylatuje mi z głowy, dlaczego Mira odradzała mi zabawy z chłopakami ze starszego rocznika.

– Do zobaczenia po drugiej stronie! – woła Dylan ponad ramieniem, a potem z podekscytowanym uśmiechem wchodzi na most, szeroko rozkładając ramiona.

– Jesteś gotowy na następną, Riorson? – odzywa się jeździec w koszulce bez rękawów.

*Xaden Riorson?*

– Gotowa, Sorrengail? – pyta Rhiannon, wychodząc do przodu.

Czarnowłosy przenosi na mnie spojrzenie, a moje serce z nieodpowiednich powodów zaczyna walić jak szalone. Na jego lewym nadgarstku zaczyna się wijący symbol rebelii i znika pod rękawem czarnego uniformu, a następnie wyłania się spod kołnierza i pnie aż do linii żuchwy.

– Niech to szlag – szepczę. Xaden mruży oczy, jakby słyszał mnie pomimo wyjącego wiatru, który szarpie moim warkoczem.

– Sorrengail? – Podchodzi do mnie, a ja zadzieram głowę wysoko... i jeszcze wyżej.

Na bogów, nawet nie sięgam mu do obojczyka. Jest ogromny. Musi mieć grubo ponad sześć stóp.

Czuję się dokładnie tak, jak określiła mnie Mira – krucha – mimo to kiwam głową, a w jego lśniących onyksowych oczach pojawia się zimna, intensywna nienawiść. Niemalże czuję emanującą od niego pogardę niczym gorzkie perfumy.

– Violet? – woła Rhiannon.

– Jesteś najmłodszą córką generały Sorrengail. – Jego głos jest głęboki, oskarżycielski.

– A ty jesteś synem Fena Riorsona – odgryzam się i znaczenie tych słów dociska mnie jak gład. Prostuję się jeszcze bardziej i usztywniam wszystkie mięśnie, żebym nie zaczęła drżeć.

„Z pewnością zabije cię w chwili, gdy dowie się, kim jesteś”. Słowa siostry odbijają się echem w mojej głowie, a strach zaciska mi gardło jak supeł. Zrzuci mnie w przepaść. Złapie mnie i osobiście zepchnie z wieży. Nawet nie dostanę szansy, żeby wejść na most. Umrę taka, za jaką ma mnie moja matka – słaba.

Xaden wstrzymuje oddech, mięsień na jego szczęce drga raz. Potem drugi.

– Twoja matka pojmała mojego ojca i dopilnowała, by został stracony.

Chwileczkę. Mówi tak, jakby tylko on miał tu powód do nienawiści. Zalewa mnie fala gniewu.

– Twój ojciec zabił mojego starszego brata. Wygląda na to, że jesteśmy kwita.

– Jakoś nie sędzę. – Jego mordercze spojrzenie przesuwają się po mnie, jakby próbował zapamiętać każdy szczegół mojego ciała albo szukał najmniejszych słabych punktów. – Twoja siostra należy do jeźdźców. To wyjaśnia skórzany strój.

– Jak widać. – Wytrzymuję jego spojrzenie, jakby to wygranie tego pojedynku miało mi zagwarantować przepustkę do kwadrantu, a nie przejście przez ciągnący się za nim most. W każdym razie przejdę. Mira nie straci znowu rodzeństwa.

Xaden zaciska dłonie w pięści.

Przygotowuję się na cios. Może i spróbuje zrzucić mnie z wieży, ale na pewno nie zamierzam mu tego ułatwić.

– Wszystko w porządku? – wtrąca się Rhiannon, przeskakując wzrokiem między mną a Xadenem.

Mężczyzna zerka na nią.

– Przyjaźnicie się?

– Poznałyśmy się na schodach – wyjaśnia, prostując ramiona.

Spuszcza wzrok i zauważa nasze niepasujące buty. Unosi brew, a jego dłonie się rozluźniają.

– Interesujące.

– Zamierzasz mnie zabić? – Zadzieram podbródek jeszcze bardziej.

Nagle rozlega się krzyk. Rhiannon i ja podrywamy głowy. Dylan się poślizgnął.

Zapowietrzam się, a serce podchodzi mi do gardła.

Na szczęście chłopak łapie się betonowego mostu, wierzgając nogami w powietrzu. Próbuje je o coś zahaczyć, ale nie ma podparcia.

– Podciągnij się, Dylan! – rozkazuje Rhiannon.

– Bogowie! – Zakrywam usta dłonią. Dylan ześlizguje się z mokrego kamienia i spada w otchłań. Wiatr i deszcz połykają dźwięki, jakie może wydawać ciało lądujące na dnie doliny. Ginie w nich również mój zdławiony szloch.

Xaden ani na chwilę nie odrywa ode mnie wzroku. Kiedy się do niego odwracam, nie potrafię odczytać jego miny.

– Po co miałbym tracić energię, żeby cię zabić, skoro most zrobi to za mnie? – Jego usta rozciągają się w złośliwym uśmiechu. – Twoja kolej.

*W Kwadrancie Jeźdźców panuje mylne przekonanie, jakoby jedyną obowiązującą tu zasadą miało być „zabij” lub „daj się zabić”. Jednakże zadaniem jeźdźców nie jest wymordowanie innych kadetów... Chyba że danego roku brakuje smoków albo kadet stanowi zagrożenie dla całego skrzydła. Wówczas może zrobić się... interesująco.*

*Przewodnik po Kwadrancie Jeźdźców autorstwa majora Afendry  
(wersja nieautoryzowana)*



## ROZDZIAŁ DRUGI

**D**zisiaj na pewno nie umrę.

Te słowa stają się moją mantrą, powtarzam je w głowie, kiedy Rhiannon podaje swoje nazwisko jeźdźcowi, który stoi ze zwojem przy dziurze prowadzącej na most. Nienawiść w oczach Xadena pali mój policzek jak ogień i nawet deszcz chłostający skórę przy każdym podmuchu wiatru nie łagodzi pieczenia. Ani dreszczu strachu, który spływa wzdłuż mojego kręgosłupa.

Dylan nie żyje. Teraz to tylko imię, kolejny nagrobek, który zostanie ustawiony na cmentarzach przy drogach prowadzących do Basgiathu, kolejne ostrzeżenie skierowane do ambitnych kandydatów, którzy wolą ryzykować życie jako jeździec niż wieść bezpieczny żywot w innym kwadrancie. Już teraz wiem, dlaczego Mira ostrzegła mnie, bym nie szukała przyjaciół.

Rhiannon przykłada ręce do ściany po obu stronach otworu i spogląda na mnie ponad ramieniem.

– Zaczekam na ciebie po drugiej stronie! – przekrzykuje burzę. Strach w jej oczach odzwierciedla mój własny.

– Do zobaczenia na miejscu. – Kiwam głową i siłę się na uśmiech.

Wchodzi na most i zaczyna iść. Posyłam modlitwę do Zihnala – boga szczęścia, chociaż wiem, że dzisiaj może mieć ręce pełne roboty.

– Nazwisko? – pyta jeździec stojący przy otworze. Jego towarzysz rozciąga płaszcz nad zwojem, próbując uchronić papier przed deszczem.

– Violet Sorrengail – odpowiadam w chwili, gdy nade mną rozlega się grzmot. O dziwo dźwięk działa na mnie uspokajająco. Zawsze lubiłam noc, podczas których za oknem fortecy szalała burza, a czytane przeze mnie książki na zmianę oświetlała błyskawica i spowijał mrok. Niestety ta ulewa może mnie kosztować życie. Zerkam na papier, na widniejące u spodu imiona Dylana i Rhiannon, które już rozmazał deszcz. To ostatni raz, gdy imię Dylana zostało zapisane, nie licząc jego nagrobka. Po drugiej stronie mostu będzie czekać kolejny zwój, dzięki któremu skrybowie będą mogli z uwielbieniem wyliczyć statystyki zgonów. W innym życiu to ja odczytywałabym i zapisywałam dane do analizy dla potomności.

– Sorrengail? – Jeździec unosi brwi ze zdziwienia. – Tak jak generała Sorrengail?

– Tak. – Kurde, to się zaczyna robić nudne. A wiem, że będzie gorzej. Nie uniknę porównań do mojej matki, skoro jest tutaj głównodowodzącą. Co gorsza, wszyscy będą zakładać, że jestem urodzoną jeźdźczynią albo mistrzynią strategii jak Brennan. Albo spojrzą na mnie i dojdą do wniosku, że zupełnie nie przypominam członków mojej rodziny i na mnie zapolują.

Przykładam dłonie po obu stronach otworu i przesuwam palcami po kamieniach. Wciąż czuć ciepło po porannym słońcu, lecz deszcz szybko wychładza powierzchnię. Jest gładka, ale nie śliska, jak mogłaby być od mchu czy czegoś w tym rodzaju.

Rhiannon idzie niestrudzenie z rękami wyciągniętymi po bokach, została jej połowa drogi. Przez padający deszcz jej sylwetka z każdym krokiem staje się coraz mniej wyraźna.

– Myślałem, że ma tylko jedną córkę – przyznaje jeden z jeźdźców, rozciągając płaszcz pod innym kątem, kiedy uderza w nas kolejny podmuch wiatru. Skoro w osłoniętej wieży jest tak wietrznie, to na moście będę mieć poważny problem.

– Często to słyszę. – Wciągam powietrze nosem, wypuszczam ustami, próbuję zapanować nad oddechem i galopującym sercem. Jeśli spanikuję, umrę. Jeśli się poślizgnę, umrę. Jeśli... och, pieprzyć to. Już bardziej gotowa nie będę.

Stawiam pierwszy krok na moście i pospiesznie chwytam się kamiennej ściany, kiedy uderza we mnie kolejny podmuch, popychając w stronę otworu.

– I ty myślisz, że będziesz w stanie latać na smoku? – drwi znajdujący się za mną buc. – Też mi Sorrengail, zero równowagi. Współczuję skrzydłu, do którego trafisz.

Odzyskuję równowagę i mocniej ściągam paski plecaka.

– Nazwisko? – woła znowu jeździec, ale wiem, że tym razem nie mówi do mnie.

– Jack Barlowe – odpowiada ten za mną. – Zapamiętajcie to imię. Pewnego dnia zostanę dowódcą skrzydła. – Nawet jego głos ocieka arogancją.

– Lepiej się pospiesz, Sorrengail – rozkazuje głębokim głosem Xaden.

Oglądam się przez ramię i widzę, że przeszywa mnie lodowatym spojrzeniem.

– Chyba że potrzebujesz odrobiny motywacji? – Jack rzuca się z wyciągniętymi łapami. Ja pieprzę, zamierza mnie zepchnąć.

Strach zalewa moje żyły. Ruszam przed siebie, opuszczając bezpieczną wieżę. Nie ma już odwrotu.

Moje serce bije tak głośno, że słyszę je aż w uszach. Przypomina walenie w bębny.

„Skupiaj wzrok na kamieniach przed tobą i nie patrz w dół”, wspominam słowa Miry, ale trudno jest się skupić, kiedy każdy krok może być moim ostatnim. Wyciągam ręce, żeby złapać balans, a następnie zaczynam wykonywać ostrożne miniposunięcia, które ćwiczyłam na dziedzińcu z majorem Gillsteadem. Tyle że przy wietrze, deszczu i z liczącą sobie dwieście stóp głębokości otchłaniają w ogóle nie czuję się jak na ćwiczeniach. Kamienie pod moimi stopami są nierówne, połączone zaprawą. Można się o nie łatwo potknąć. Skupiam wzrok na punkcie na wprost, żeby nie patrzeć na buty. Napinam wszystkie mięśnie i próbuję odnaleźć środek ciężkości, zachowując przy tym odpowiednią postawę.

W głowie mi się kręci, kiedy puls przyspiesza.

Uspokój się. Musisz nad sobą zapanować.

Nie jestem w stanie zanucić ani nawet wydobyć z siebie żadnego dźwięku, więc odpada śpiewanie dla odwrócenia uwagi, ale – w końcu jestem uczoną. Nie ma bardziej kojącego miejsca niż Archiwa, dlatego na tym właśnie się skupiam. Na faktach. Na logice. Na historii.

„Twój umysł zna już odpowiedź, więc uspokój się i pozwól mu sobie przypomnieć”, tak mawiał tata. Muszę zająć czymś myśli, żeby nie pozwolić rozsądkowi dojść do głosu, bo wtedy się odwrócę i ucieknę do wieży.

– Kontynent stanowi dom dla dwóch królestw, między którymi od czterystu lat toczy się wojna – recytuję podstawowe fakty, które musiałam wkuć do testu na skrybkę, i brnę przez most krok za krokiem. – Navarra, mój dom, jest większym królestwem, w którego skład wchodzi sześć odrębnych prowincji. Tyrrendor, nasza największa i najbardziej wysunięta na południe prowincja, graniczy z prowincją Krovli, będącą częścią królestwa Poromieli. – Każde słowo uspokaja mój oddech i bicie serca, a także łagodzi zawroty głowy.

– Po wschodniej stronie naszego królestwa leżą pozostałe dwie prowincje Poromielu, Braevick i Cygnisen, a Góry Esben stanowią naturalną granicę między nimi. – Mijam wymalowaną linię świadczącą o przebyciu połowy drogi. Znajduję się teraz w najwyższym punkcie, ale nie mogę o tym myśleć. Nie patrz w dół. – Za Krovlą, za naszym wrogiem, rozciągają się odległe jałowe Pustkowia...

Rozlega się grzmot. Uderza we mnie wiatr i gorączkowo wymachuję ramionami.

– Szlag!

Moje ciało leci na lewo wraz z podmuchem i upadam na most. Przytrzymuję się brzegów i przykucam, żeby nie spaść. W obliczu hulającego wokół mnie wiatru chcę stać się tak mała, jak to możliwe. Dopada mnie panika, od której przewraca mi się w żołądku, a płuca boleśnie się rozdymają.

– Tyrrendor jako ostatnia granicząca z wrogiem prowincja w Navarze dołączyła do przymierza i poprzysięgła wierność królowi Reginaldowi! – przekrzykuję wyjący wiatr, zmuszając umysł, by stawiał opór groźbie paraliżującego lęku. – Była to również jedyna prowincja, która sześćset dwadzieścia siedem lat później próbowała się uniezależnić od królestwa. Gdyby im się powiodło, nasze królestwo stałoby się bezbronne.

Rhiannon wciąż brnie po moście, została jej może jedna czwarta do końca drogi. To dobrze. Zasługuje na to, by tam dotrzeć.

– Królestwo Poromielu składa się głównie z gruntów ornych i terenów bagiennych, jest znane z produkcji niesamowitych materiałów, niekończących się pól zbóż i wyjątkowych kryształów potrafiących amplifikować pomniejsze zdolności magiczne. – Przelotnie zerkam na ciemne chmury wiszące nad moją głową, a potem zaczynam posuwać się dalej, stawiając jedną nogę za drugą. – Dla kontrastu górzyste tereny Navarry są bogate w rudy metali, twarde drewno pochodzące ze wschodnich prowincji oraz obfitują w łosie i jelenie.

Przy następnym kroku rozkopuję fragmenty luźnej zaprawy. Zamieram, bo ręce mi dygoczą, ale czekam, aż odzyskam balans. Przełykam ślinę i sprawdzam swoją siłę, a następnie ruszam dalej.

– Porozumienie handlowe zawarte w Ressonie, podpisane ponad dwieście lat temu, zapewnia wymianę mięsa i drewna z Navarry na materiały i zboża z Poromielu cztery razy do roku na posterunku w Athebyne, przy granicy Krovli i Tyrrendoru.

Z tego miejsca dostrzegam Kwadrant Jeźdźców. Potężne kamienne fundamenty cytadeli wznoszą się na zboczu góry, gdzie kończy się ścieżka i gdzie mam nadzieję dotrzeć. Ocieram krople deszczu z twarzy skórzanym rękawem i zerkam w tył na Jacka.

Zatrzymał się przy znaku symbolizującym jedną czwartą drogi, widzę jego postawną, nieruchomą sylwetkę. Wygląda... jakby na coś czekał. Ręce ma luźno opuszczone po bokach. Wiatr zdaje się nie zaburzać jego równowagi. Co za pieprzony szczęściarz. Mogłabym przysiąc, że uśmiecha się do mnie z oddali, ale przez deszcz nie widzę wyraźnie.

Nie mogę tu zostać. Jeśli chcę dożyć kolejnego wschodu słońca, muszę się ruszyć. Nie pozwolę, by strach rządził moim ciałem. Mocno spinam mięśnie nóg dla równowagi, powoli puszczam kamienny most i wstaję.

Ręce na boki. Idź.

Muszę dotrzeć tak daleko, jak tylko się da, zanim nadejdzie kolejny podmuch wiatru.

Oglądam się przez ramię na Jacka i krew odpływa z mojego ciała.

Odwrócił się do mnie plecami, a twarzą do następnego kandydata, który kroczy chwiejnie w jego stronę. Jack łapie tyczkowego chłopaka za paski pękatego plecaka, a ja obserwuję z przestraszonym, jak dryblas zrzuca chudzielca z mostu, jakby był tylko workiem zboża.

Rozlega się krzyk, który szybko cichnie, kiedy chłopak znika z pola widzenia.

A niech mnie.

– Ty jesteś następna, Sorrengail! – woła Jack. Odrywam wzrok od otchłani i widzę, że celuje we mnie palcem, uśmiechając się złowieszczo. Następnie rusza w moją stronę, zmniejszając dzielący nas dystans z zastraszającą prędkością.

*Rusz się. Teraz.*

– Tyrrendor zajmuje południowo-zachodni kraniec Kontynentu – recytuję. Na śliskiej, wąskiej powierzchni stawiam kroki miarowo, ale z obawą. Lewy but zsuwa się nieznacznie przy każdym zetknięciu z podłożem. – To kraina niemal niedostępna, jest bowiem terenem górzystym, graniczącym na zachodzie z Morzem Szmaragdowym i z Oceanem Arktylskim na południu. Mimo że geograficznie otaczają ją Klify Dralor – naturalna bariera obronna...

Uderza we mnie kolejny podmuch wiatru. Moje stopy ślizgają się na powierzchni, serce przyspiesza. Potykam się i upadam kolanami na kamień, krzycząc z bólu. Szukam dłońmi podparcia, a moja lewa noga zwisa luźno z tego piekielnego mostu. Jack jest tuż za mną. Nagle popełniam karygodny błąd i patrzę w dół.

Krople wody spływają po moim nosie i podbródku, rozbijają się na kamieniu, a następnie dołączają do przecinającej dolinę rzeki, znajdującej się ponad dwieście stóp niżej. Przetykam gulę uciskającą mi gardło i mrugam, starając się uspokoić szybkie bicie serca.

Nie zamierzam dzisiaj umrzeć.



Chwytam za brzegi kamiennego mostu i przenoszę ciężar ciała na ręce na tyle, na ile mogę, a potem podciągam nogę i odnajduję stopą podłozę. Teraz już żadne fakty nie uspokoją moich myśli. Muszę przesunąć prawą nogę pod siebie, tę z butem o lepszej przyczepności, ale jeden fałszywy ruch i dowiem się, jak zimna jest woda w rzece.

*A raczej umrzesz od zderzenia z powierzchnią.*

– Idę po ciebie, Sorrengail! – rozlega się za mną.

Odpycham się od kamienia i zrywam na równe nogi, modląc się w duchu, bym się nie poślizgnęła. Jeśli upadnę, trudno, to będzie mój błąd. Ale nie dam się zamordować temu dupkowi. *Tak, lepiej dostać się na drugą stronę, gdzie czyha na ciebie jeszcze więcej morderców.* Oczywiście nie wszyscy studenci z kwadrantu będą próbowali mnie zabić, tylko kadeci, którzy uznają mnie za osobę przynoszącą szkodę naszemu wydziałowi. Nie bez powodu siła jest najbardziej pożądaną cechą wśród jeźdźców. Drużyna, sekcja czy skrzydło są tak skuteczne jak jego najsłabsze ogniwo i jeśli ogniwo pęknie, wszyscy znajdują się w niebezpieczeństwie.

Albo Jack myśli, że jestem słabym ogniwem, albo jest niezrównoważonym brutalem, który czerpie radość z zabijania. Pewnie obie teorie są prawdziwe. W każdym razie muszę przyspieszyć. Rozkładam ręce na boki i skupiam się na końcu drogi, na dziedzińcu cytadeli, gdzie Rhiannon stoi już bezpieczna. Nabieram tempa pomimo deszczu. Napinam wszystkie mięśnie, łącznie z brzuchem, i chociaż raz jestem wdzięczna za to, że znacznie odbiegam wzrostem od innych.

– Będiesz krzyczeć całą drogę na dół? – drwi Jack, wciąż woła, lecz jego głos zdaje się teraz bliższy. Depcze mi po piętach.

Teraz nie ma już miejsca na strach, więc go blokuję – wyobrażam sobie, że wpycham tę emocję za żelazne kraty w moim umyśle. Z tego miejsca dostrzegam już koniec mostu i jeźdźców, którzy czekają przy wejściu do cytadeli.

– Nie ma szans, by takie chuchro, które nawet nie potrafi udźwignąć pełnego plecaka, zdało egzaminy wstępne. Jesteś życiową pomyłką, Sorrengail – woła Jack, tym razem jego głos brzmi wyraźniej, ale nie mogę obejrzeć się za siebie, bo stracę równowagę. – Nie sądzisz, że wyświadczę wszystkim przysługę, jeśli wykończę cię teraz? To o wiele łaskawsza śmierć niż ta w zetknięciu ze smokami. Będą zjadać cię kończyna po kończynie, żywcem. No dalej – prowokuje mnie. – Z przyjemnością ci pomogę.

– Gówno prawda – mamroczę. Do podwórza otoczonego ogromnymi murami cytadeli zostało już zaledwie kilkanaście stóp. Mój lewy but ślizga się na mokrej powierzchni. Chwieję się, ale po chwili odzyskuję równowagę i mknę

dalej. Za okazałymi blankami góruje forteca wryta w zboczu góry, stanowiąca skupisko wysokich kamiennych budynków układających się na kształt litery L. Z oczywistych względów została wzniesiona z takich materiałów, które przetrwają pożogę. Mury otaczające dziedziniec cytadeli są grube na dziesięć stóp i wysokie na osiem, a prowadzi do nich jedno wejście. Już prawie jestem na miejscu.

Powstrzymuję pełen ulgi szloch, kiedy po moich obu stronach pojawiają się kamienne mury.

– Myślisz, że będziesz tam bezpieczna? – Głos Jacka zdaje się szorstki i... bliski.

Otoczona ścianami czuję się pewniej i bezpieczniej, więc puszczam się biegiem, żeby pokonać ostatnie dziesięć stóp drogi. Adrenalina w moim ciele sięga zenitu, a za mną rozlegają się jego kroki. Rzuca się w moją stronę i próbuje chwycić mnie za plecak, ale pudłuje, jego ręka zaledwie muska moje biodro. Gnam do przodu i przeskakuję ostatnie dwanaście cali z podwyższonego parapetu na dziedziniec, gdzie już czeka dwóch jeźdźców.

Jack warczy z frustracji, a moje serce kurczy się boleśnie.

Obracam się i wyrywam sztylet z pochwy na wysokości mojej klatki piersiowej w chwili, gdy Jack zatrzymuje się nade mną. Dyszy ciężko, a jego twarz przybiera purpurowy odcień. W zmrużonych oczach w kolorze lodowca dostrzegam chęć mordy, gdy zerka na mnie i... na czubek sztyletu wycelowany w jego krocze.

– Myślę... że na razie... będę... bezpieczna – udaje mi się wysapać. Drżą mi wszystkie mięśnie, ale ręka ani drgnie.

– Jesteś tego pewna? – Głos Jacka podszywa złość. Gęste blond brwi marszczą się nad lodowatymi oczami, a jego monstrualna sylwetka pochyła się w moją stronę. Nie robi jednak kroku.

– Krzywdzenie drugiego jeźdźca jest niezgodne z prawem. Ani w formacji kwadrantu, ani w przypadku gdy agresor przewyższa ofiarę rangą, ani w obecności kadeta wyższego rangą – recytuję Kodeks, mimo że serce podchodzi mi do gardła. – Mogłoby to zaburzyć działanie skrzydła. A zważywszy na stojących za nami ludzi, myślę, że śmiało można uznać ich za formację. Artykuł trzeci, ustęp...

– Gównu mnie to obchodzi! – Wykonuje ruch, ale ja się nie ruszam. Mój sztylet przebija się przez pierwszą warstwę jego bryczesów.

– Sugeruję przemyśleć posunięcie. – Poprawiam pozycję, w razie gdyby się nie wycofał. – Bo jeszcze omsknie mi się ręka.

– Nazwisko? – mamrocze stojąca nieopodal kobieta, jakbyśmy byli najmniej interesującą rzeczą, jaką dzisiaj widziała. Przelotnie zerkam w jej kierunku.

Zakłada za ucho ogniście rude włosy sięgające podbródka, a drugą ręką trzyma zwój i obserwuje rozgrywającą się przed nią scenę. Trzy czteroramienne gwiazdy przyćwieczone do jej płaszcza sugerują, że jest na trzecim roku. – Jesteś całkiem mała jak na jeźdźca, ale wygląda na to, że ci się udało.

– Violet Sorrengail – odpowiadam, ale całą swoją uwagę skupiam teraz na Jacku. Deszcz spływa strugą po jego ściągniętej brwi. – I zanim zapytasz, tak, jestem jej córką.

– Nie dziwię się, widząc ten manewr – odpowiada kobieta i zatrzymuje pióro nad zwojem w taki sam sposób jak mama.

To chyba najmiłszy komplement, jaki w życiu słyszałam.

– A ty jak się nazywasz? – pyta. Na pewno patrzy na Jacka, ale jestem zbyt skupiona na przeciwniku, by to sprawdzić.

– Jack Barlowe. – Jego usta już nie układają się w szyderczy uśmiech i nie rzuca w moją stronę zapewnieniami o tym, że zabicie mnie sprawi mu dużą przyjemność. Na jego twarzy dostrzegam jedynie czystą złośliwość i obietnicę zemsty.

Deszcz niepokoju sprawia, że włoski stają dęba na moim karku.

– Cóż, Jack – odzywa się mężczyzna stojący po mojej prawej, przeciągając samogłoski. Drapie się po przyciętej ciemnej koziej bródce. Nie ma na sobie płaszcza, a deszcz wsiąka w liczne odznaki wszyte w jego skórzaną kurtkę. – Kadetka Sorrengail ma cię w garści, a dokładniej... trzyma cię za jaja. I ma rację. Regulamin jasno mówi, że wśród jeźdźców w formacji wymagany jest szacunek. Jeśli chcesz ją zabić, musisz to zrobić na macie sparingowej albo na osobności. Oczywiście, o ile pozwoli ci zejść z mostu. Twoja stopa jeszcze nie dotknęła ziemi, więc nie jesteś jeszcze kadetem. Ale ona tak.

– A jeśli postanowię skrócić jej szyję, gdy tylko zejdem na dół? – warczy Jack, a jego spojrzenie obiecuje, że dotrzyma słowa.

– Wtedy wcześniej spotkasz się ze smokiem – odpowiada znudzonym tonem rudowłosa. – Tutaj nikt nie czeka na proces. Sami dokonujemy egzekucji.

– To jak będzie, Sorrengail? – pyta mężczyzna. – Zrobisz z Jacka eunucha już na początku roku?

I co ja mam teraz zrobić? Nie mogę go zabić, bo pod tym kątem mi się nie uda, a pozbawienie go jaj sprawi, że znienawidzi mnie jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe.

– Zamierzasz trzymać się zasad? – Kieruję to pytanie do Jacka. W głowie mi szumi, ręce mam ociężałe, ale nie zdejmuję ostrza z celu.

– Chyba nie mam wyboru. – Kącik jego ust unosi się w drwiącym uśmiechu, jego sylwetka się rozluźnia, a ręce unosi w geście kapitulacji.

Opuszczam sztylet, ale cały czas trzymam go w dłoni na wszelki wypadek i odsuwam się w stronę rudowłosej ze zwojem.

Jack zeskakuje na dziedziniec i przechodzi obok, trącając mnie ramieniem. Zatrzymuje się na chwilę i pochyla, żeby wyszeptać:

– Jesteś już martwa, Sorrengail. I to ja cię zabiję.

*Niebieskie smoki pochodzą z niezwykłego rodu Gormfaileasa. Są znane z ogromnych rozmiarów i wyróżniają się wyjątkową brutalnością, w szczególności dotyczy to rzadkiej odmiany niebieskiego sztyletogona, którego ogon zakończony jest ostrymi jak noże kolcami i może wypatroszyć wroga za jednym machnięciem.*

*Przewodnik po rasach smoków autorstwa pułkownika Kaoriego*



## ROZDZIAŁ TRZECI

**J**eśli Jack chce mnie zabić, to niech ustawi się w kolejce. Poza tym mam wrażenie, że Xaden Riorson go ubiegnie.

– Nie dzisiaj – odpowiadam Jackowi, mocno zaciskając dłoń na sztylcie. Jakimś cudem udaje mi się powstrzymać wzdrygnięcie, kiedy pochyla się nade mną bardziej i zaciąga powietrzem. Obwąchuje mnie jak pies. Następnie prychnie z pogardą i dołącza do tłumu świętujących kadetów oraz jeźdźców, którzy zebrali się na wielkim dziedzińcu cytadeli.

Wciąż jest jeszcze wcześnie, zapewne koło dziewiątej, ale już widzę, że nie ma tu tylu kadetów, ilu stało przede mną w kolejce kandydatów. Sądząc po wszechobecnych skórzanych strojach, zjawili się tu również studenci drugiego i trzeciego roku, żeby ocenić nowo przybyłych.

Deszcz przechodzi w lekką mżawkę, jakby wcześniej rozpadało się specjalnie po to, by utrudnić moje i tak skomplikowane życie, ale... udało mi się.

Przeżyłam.

Dałam radę.

Moje mięśnie drżą, a w lewym kolanie – tym, na które upadłam na moście – zaczynam odczuwać pulsujący ból. Ostrożnie robię krok i czuję, że noga zaraz się pode mną ugnie. Muszę ją obwiązać, zanim ktokolwiek to zauważy.

– Chyba zyskałaś wroga – zauważa rudowłosa i, jakby od niechcienia, przekłada śmiertelnie niebezpieczną kuszę, którą nosi na ramieniu. Patrzy na

mnie ponad zwojem, lustrując baczным spojrzeniem piwnych oczu. – Na twoim miejscu bym na niego uważała.

Potakuję. Będę musiała mieć oczy dookoła głowy.

Kolejny kandydat schodzi z mostu i w tym samym momencie ktoś łapie mnie od tyłu i obraca.

Już sięgam po sztylet, ale dociera do mnie, że to tylko Rhiannon.

– Udało się nam! – Ściska moje ramiona i szczyrzy się od ucha do ucha.

– Tak, udało – powtarzam z wymuszonym uśmiechem. Drżą mi uda, ale jakoś chowam sztylet do pochwy. Czy mogę jej ufać, skoro obie tutaj dotarłyśmy i obie zostałyśmy kadetkami?

– Nie wiem, jak mam ci dziękować. Gdybyś mi nie pomogła, na pewno bym spadła, bo trzy razy o mało się nie poślizgnęłam. Miałaś rację, moje podeszwy były nieodpowiednie. Przyjrzałaś się już tym ludziom? Przysięgam, właśnie widziałam dziewczyny z drugiego roku z różowymi pasemkami i chłopaka ze smoczymi łuskami wytatuowanymi na obu bicepsach.

– Nijakość jest cechą charakterystyczną zarezerwowaną dla piechoty – stwierdzam. Dziewczyna łapie mnie pod łokieć i ciągnie w stronę zebranych. Kolano hamuje moje ruchy, a dojmujący ból promieniuje aż do biodra i stopy. Kuśtykam, wspierając ciężar na boku Rhiannon.

Psiakrew.

Dlaczego nagle mam mdłości? Dlaczego nie mogę przestać się trząść? Czuję, że mogę upaść w każdym momencie – na pewno nie utrzymam ciała w pionie, gdy moje nogi tak dygoczą, a w głowie wiruje.

– A skoro o tym mowa – zaczyna, patrząc w dół. – Musimy zamienić się butami. Tam jest ławka...

Z tłumu wyłania się wysoka postać w nieskazitelnym czarnym uniformie, która zmierza w naszym kierunku. Mimo że Rhiannon próbuje odciągnąć nas na bok, i tak wpadam wprost na jego klatkę piersiową.

– Violet? – Czuję na łokciach uścisk silnych dłoni, które pomagają mi złapać równowagę. Zadzieram głowę i spoglądam w znajome, zachwycające brązowe oczy, które rozszerzają się ze zdziwienia.

Zalewa mnie ulga i próbuję się uśmiechnąć, ale mój wyraz twarzy przypomina raczej krzywy grymas. Wydaje się wyższy niż zeszłego lata, jego szczękę porasta broda, której wcześniej nie było i jest wyrzeźbiony tak, że aż muszę zamrużyć, bo mam wrażenie, że wzrok płata mi figle. Piękny, swobodny uśmiech, który pojawiał się w moich licznych fantazjach, zastępuje teraz zatroskana mina, a cała jego twarz wydaje się jakaś... ostrzejsza. Mimo to pasuje mu taki wygląd. Zarys podbródka, mocno ściągnięte brwi, napięte

bicepsy pod moimi palcami – to wszystko się uwydatniło. W ciągu ostatniego roku Dain Aetos z atrakcyjnego i uroczego chłopca stał się boskim mężczyzną.

A ja zaraz zwymiotuję na jego buty.

– Co ty tu, do diabła, robisz? – warczy. Szok w jego oczach zmienia się w coś obcego, niebezpiecznego. To już nie jest ten sam chłopak, z którym dorastałam. Teraz to jeździec z drugiego roku.

– Dain. Dobrze cię widzieć. – Mało powiedziane, jednak drzenie mojego ciała przeistacza się w niepohamowany dygot, a mdłości nasilają się wraz z zawrotami głowy.

– Cholera, Violet – mamrocze, podtrzymując mnie, bo kolana się pode mną uginają. Jedną ręką łapie mnie w pasie, a drugą trzyma za łokieć i prowadzi do wnęki przy ścianie z dala od innych, bliżej pierwszej wieży strażniczej cytadeli. To ustronne, skryte w cieniu miejsce z drewnianą ławką, na której mnie sadza, a potem pomaga mi zdjąć plecak.

Moje usta wypełniają się żółcią.

– Zaraz zwymiotuję.

– Głowa między kolana – rozkazuje ostrym głosem, który zupełnie mi się z nim nie kojarzy, ale wykonuję polecenie. Dain gładzi mnie po plecach, a ja wdycham powietrze nosem i wypuszczam ustami. – To tylko adrenalina. Wytrzymaj jeszcze chwilę, a wszystko minie. – W pobliżu rozlega się chrzęst kroków na żwirze. – A ty to kto?

– Jestem Rhiannon... koleżanka Violet.

Wbijam wzrok w ziemię pod niepasującymi do siebie butami i modłę się, by zawartość mojego żołądka pozostała na miejscu.

– Posłuchaj mnie, Rhiannon – odzywa się władcym tonem Dain. – Jeśli ktokolwiek będzie pytał, mów, że to tylko zjazd po adrenalinie, rozumiesz?

– Samopoczucie Violet to nie ich sprawa – odpowiada dziewczyna równie agresywnym tonem. – Dlatego nie zamierzam nikomu o tym rozpowiadać, tym bardziej że dzięki niej udało mi się pokonać most.

– Obyś mówiła szczerze – ostrzega Dain, kąśliwość w jego głosie zupełnie nie pasuje do łagodnych, uspokajających okręgów, które zatacza dłonią na moich plecach.

– Ja też mogłabym zapytać coś ty za jeden – odgryza się Rhiannon.

– To mój stary przyjaciel. – Dreszcze powoli ustają, mdłości przechodzą, ale nie jestem pewna, czy pomógł mi czas, czy pozycja, więc dalej siedzę z głową między kolanami i zaczynam rozwiązywać lewy but.

– Och – rzuca Rhiannon.

– I do tego jeździec z drugiego roku, kadetko – warczy Dain.

Buty szurają, jakby dziewczyna zrobiła krok w tył.

– Nikt cię tutaj nie widzi, Vi, więc nie musisz się spieszyć – zapewnia łagodnie Dain.

– Ponieważ wymioty po tym, jak przetrwałam spacer po moście i dupka, który chciał mnie z niego zrzucić, uznano by za słabość. – Podnoszę się powoli.

– Zgadza się – potwierdza. – Coś cię boli? – Obrzuca mnie zaniepokojonym wzrokiem, jakby musiał osobiście obejrzeć każdy fragment mojego ciała.

– Kolano – przyznaję szeptem, ale to w końcu Dain, którego poznałam, gdy miałam pięć, a on sześć lat. Dain, którego ojciec jest zaufanym doradcą mojej matki. Dain, który trzymał mnie w ramionach, kiedy Mira dołączyła do Kwadrantu Jeźdźców, a potem po raz kolejny, gdy umarł Brennan.

Łapie mój podbródek między palec wskazujący a kciuk i odwraca moją głowę w prawo i lewo.

– To wszystko? Jesteś pewna? – Przesuwa dłońmi po moich bokach i zatrzymuje się na wysokości żeber. – Czy ty masz przy sobie sztylety?

Rhiannon zdejmuje pożyczony ode mnie but i wzdycha z ulgą, prostując palce.

Kiwam głową.

– Trzy przy żebrach i jeden w bucie. – Dzięki bogom, bo w przeciwnym razie nie byłoby mnie tu teraz.

– Hm. – Opuszcza rękę i przypatruje mi się tak, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu, jak kompletnie obcej osobie, a potem mruga i to wrażenie znika. – Zamieńcie się butami. Wyglądacie śmiesznie. Vi, ufasz tej tutaj? – Kiwa głową na Rhiannon.

Mogła poczekać na mnie na dziedzińcu i zrzucić z mostu, tak jak usiłował Jack, ale tego nie zrobiła.

Potakuję. Ufam jej tak, jak można tu ufać innemu pierwszorocznikowi.

– W porządku. – Wstaje i odwraca się do niej. Po bokach jego skórzanych spodni zauważam pochwy, zupełnie jak w moim stroju, tyle że on ma w nich sztylety, podczas gdy moje są puste. – Nazywam się Dain Aetos i jestem dowódcą Drugiej Drużyny Sekcji Ognia w Drugim Skrzydle.

Dowódca drużyny? Unoszę brwi wysoko. Najwyższymi stopniami wśród kadetów w kwadrancie są dowódca skrzydła i dowódca sekcji, oba te stanowiska piastują członkowie elit z trzeciego roku. Studenci drugiego roku mogą zostać dowódcami drużyn, ale tylko pod warunkiem że są pod jakimś względem wyjątkowi. Wszyscy inni przed Odsiewem – kiedy to smoki wybierają osobę, z którą się zwiążą – są jedynie kadetami, a dopiero potem jeźdźcami. Na tym wydziale ludzie często umierają, dlatego nie mogą rozdawać tytułów na prawo i lewo.



– Za około dwie godziny próba mostu powinna dobiec końca, w zależności od tego, jak szybko kandydaci pokonają trasę lub spadną. Idź znaleźć rudą ze zwojem. Na ogół ma przy sobie kuszę. Powiedz jej, że Dain Aetos przypisał cię i Violet Sorrengail do swojej drużyny. Jeśli będzie się stawiać, przypomnij jej, że ma u mnie dług za to, że w zeszłym roku uratowałem ją podczas Odsiewu. Wkrótce przyprowadzę Violet na dziedziniec.

Rhiannon zerka na mnie. Kiwam głową.

– Idź, zanim ktoś nas zauważy – warczy Dain.

– Już się robi – odpowiada dziewczyna, wkłada but i szybko go zawiązuje. Postępuję tak samo ze swoim.

– Przeszłaś most w za dużym bucie do jazdy konnej? – pyta Dain, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

– Umarłaby, gdybym się z nią nie zamieniła. – Wstaję i krzywię się, kiedy kolano pulsuje bólem i niemal się pode mną ugina.

– To ty umrzesz, jeśli nie znajdziemy sposobu, by cię stąd wydostać. – Podsuwa mi swoje ramię. – Złap się. Musimy dostać się do mojego pokoju. Owinę ci to kolano. – Unosi brwi. – Chyba że w zeszłym roku udało ci się znaleźć jakieś magiczne lekarstwo, o którym nie wiem?

Kręcę głową i chwytam się go kurczowo.

– A niech cię, Violet. – Dyskretnie przyciska moją rękę do swojego boku i łapie mój plecak, a następnie prowadzi mnie do tunelu znajdującego się na końcu wnęki, a którego nawet nie zauważyłam. W pochodniach błyska magiczne światło, które gaśnie, gdy już je mijamy. – Nie powinno cię tu być.

– Jestem tego świadoma. – Pozwalam sobie na lekkie kuśtykanie, skoro nikt nas teraz nie widzi.

– Powinnaś być w Kwadrancie Skrybów – syczy, prowadząc mnie tunelem. – Co się stało? Proszę, powiedz mi, że nie zgłosiłaś się na ochotniczkę do Kwadrantu Jeźdźców.

– A jak ci się wydaje? – pytam wyzywająco, kiedy docieramy do bramy z kutego żelaza, która wygląda, jakby wzniesiono ją, aby zatrzymać w środku trolla... albo smoka.

Dain przeklina pod nosem.

– Twoja matka.

– Moja matka. – Kiwam głową. – Wszyscy Sorrengailowie to jeźdźcy, nie wiesz o tym?

Docieramy do schodów o półokrągłych stopniach. Dain prowadzi mnie aż na trzecie piętro i otwiera kolejną bramę, która wydaje przy tym metaliczny zgrzyt.

– To piętro drugiego roku – wyjaśnia cicho. – Co oznacza, że...

– Nie powinno mnie tu być. Wiem. – Przysuwam się bliżej niego. – Nie martw się. Jeśli ktoś nas zobaczy, powiem, że ogarnęła mnie chcica od pierwszego wejrzenia i nie mogłam czekać ani sekundy dłużej, by dobrać ci się do gaci.

– Mistrzynie błyskotliwych ripost. Nic się nie zmieniło. – Kiedy ruszamy korytarzem, na jego ustach pojawia się delikatny uśmiech.

– Gdy znajdziemy się w pokoju, mogę krzyknąć parę razy: „Och, Dain”, żeby zwiększyć wiarygodność – proponuję, mówiąc szczerze.

Parska śmiechem i rzuca mój plecak pod drewniane drzwi, a następnie wykonuje okrężny ruch ręką na wysokości klamki. Zamek zgrzyta głośno.

– Masz moce – zauważam.

To oczywiście nic dziwnego. Jest jeźdźcem z drugiego roku i każdy z nich nabywa pomniejsze magiczne umiejętności, gdy smoki postanawiają przelać na nich swoją energię, ale... to przecież Dain.

– Nie patrz tak na mnie. – Przewraca oczami, otwierając drzwi. Bierze mój plecak i pomaga mi wejść do środka.

Pokój został urządzony surowo, są tutaj jedynie łóżko, komoda, biurko i szafa. Brakuje osobistych przedmiotów, nie licząc książek leżących na blacie. Z lekką satysfakcją zauważam, że jedną z nich jest tom na temat krovlańskiego języka, który podarowałam mu przed wyjazdem zeszłego lata. Dain zawsze miał dar do języków. Nawet narzuta na jego łóżku jest prosta, w kolorze jeździeckiej czerni, jakby w trakcie snu bał się, że zapomni, kim jest. Przechodzę obok okna mającego kształt łuku i przez przejrzystą szybę dostrzegam dalsze tereny Basgiathu, ale odwracam wzrok, żeby nie zobaczyć upadku kolejnych kandydatów. Człowiek nie jest w stanie znieść widoku tyłu śmierci w ciągu jednego dnia, a ja już dotarłam do kresu swojej wytrzymałości.

– Masz tu jakieś bandaże? – Podaje mi plecak.

– Tak, dostałam je od majora Gillsteda – odpowiadam i zajmuję miejsce na jego schludnie pościelonym łóżku, żeby poszukać ich w plecaku. Na szczęście Mira potrafi się pakować, w przeciwieństwie do mnie, i szybko zauważam opatrunki.

– Rozgość się. – Uśmiecha się szeroko i opiera o drzwi szafy, krzyżując nogi w kostkach. – Nie podoba mi się to, że tu jesteś, ale i tak miło cię widzieć, Vi.

Unoszę głowę i nasze spojrzenia się spotykają. Napięcie, które od tygodnia ścisnęło mi klatkę piersiową – a może nawet przez ostatnie pół roku – łagodnieje i przez chwilę nie liczy się nic poza nami.

– Tęskniłam za tobą. – Może w ten sposób okazuję swoją słabość, ale w tym momencie się nie przejmuję. Dain i tak wie niemal wszystko na mój temat.

– Ja też za tobą tęskniłem – przyznaje cicho, a jego oczy łagodnieją.

Czuję bolesny skurcz w sercu. Atmosfera między nami się zmienia, a on patrzy na mnie niemal z... wyczekiwaniem. Może po tych wszystkich latach w końcu znaleźliśmy się w miejscu, gdzie oboje pragniemy siebie nawzajem. A może po prostu czuje ulgę, bo zobaczył starą przyjaciółkę.

– Lepiej owiń sobie tę nogę. – Odwraca się twarzą do drzwi. – Nie będę patrzeć.

– I tak już wszystko widziałeś. – Unoszę biodra i zsuwam skórzane spodnie aż do łydek. Kurde. Lewe kolano jest opuchnięte. Gdyby ktoś inny się potknął, skończyłby jedynie z siniakiem, może ewentualnie z zadrapaniem. Ale ja? Muszę założyć opatrunek, żeby utrzymać rzepkę we właściwym miejscu. Nie chodzi tylko o to, że moje mięśnie są słabe. Więzadła utrzymujące stawy również nie działają jak należy.

– Cóż, nie wykradamy się z domu, żeby popływać w rzece, prawda? – żartuje. Dorastaliśmy razem i niezależnie od posterunku, na który zostali wysłani nasi rodzice, zawsze udawało nam się znaleźć miejsce, żeby popływać lub powspinać się po drzewach.

Owijam kolano bandażem i zabezpieczam staw tak samo jak zawsze, odkąd medycy nauczyli mnie tej sztuki. To wyćwiczony ruch, który mogłabym wykonać nawet we śnie. Działałoby to na mnie niemal kojąco, gdyby nie oznaczało, że zaczynam naukę w kwadrancie z urazem.

Zapinam końcówkę na mały metalowy zaczep, wstaję i podciągam spodnie.

– Już po wszystkim.

Odwraca się i mierzy mnie spojrzeniem.

– Wyglądasz jakoś... inaczej.

– To przez te skórzane ubrania. – Wzruszam ramionami. – A co? Czy to coś złego? – Chwilę później zapinam plecak i wkładam go na ramiona. Dzięki bogom ból w kolanie jest teraz znośniejszy.

– Po prostu... – Powoli kręci głową i przygryza dolną wargę. – Jestem zdziwiony.

– Ależ dlaczego, Dainie Aetosie? – Uśmiecham się szeroko i podchodzę do niego, żeby złapać klamkę od drzwi. – Widziałeś mnie w stroju do pływania, w tunikach, a nawet w sukniach balowych. Chcesz mi powiedzieć, że najbardziej kręca cię skóry?

Parska śmiechem, ale na jego policzkach zauważam delikatny rumieniec. Nakrywa ręką moją dłoń spoczywającą na klamce.

– Cieszę się, że pomimo rocznej rozłąki twój język dalej jest taki cięty, Vi.

– Och – rzucam ponad ramieniem, kiedy wychodzimy na korytarz. – Potrafię zrobić z językiem wiele rzeczy. Byłbyś pod wrażeniem. – Uśmiecham się tak

szeroko, że bolą mnie policzki i na chwilę niemal zapominam, że znajdujemy się w Kwadrancie Jeźdźców, albo że właśnie przeżyłam spacer po moście.

W jego oczach pojawia się żar. Wygląda na to, że on również nie zapomniał. Z drugiej strony Mira zawsze powtarza, że jeźdźcy nie hamują swoich żądy w tych murach. Po co odmawiać sobie przyjemności, skoro możesz nie dotrzeć do jutra?

– Musimy cię stąd wydostać – stwierdza, kręcąc głową, jakby musiał się otrząsnąć. Ponownie wykonuje ręką gest nad klamką i rozlega się dźwięk zamykania mechanizmu. Na korytarzu nikogo nie ma, więc szybko zacieramy w stronę schodów.

– Dzięki – odzywam się, kiedy zaczynamy schodzić. – Moje kolano ma się teraz znacznie lepiej.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że twoja matka uznała wysłanie cię do Kwadrantu Jeźdźców za dobry pomysł. – Niemalże czuję emanujący od niego gniew. Po stronie schodów, którą zmierza, nie ma balustrady, ale jemu to chyba nie przeszkadza, mimo że jeden nieopatrzny ruch i mógłby skończyć martwy.

– Ja też nie. Podjęła tę decyzję zeszłej wiosny, tuż po tym, jak zdałam egzaminy wstępne i od razu zaczęłam trenować z majorem Gillsteadem. – Ucieszy się, kiedy jutro odczyta zwoje poległych i zauważy, że mojego nazwiska nie ma wśród tych nieszczęśników.

– Na parterze pod schodami znajduje się przejście prowadzące do Kwadrantu Medyków, za wąwozem – informuje mnie Dain, kiedy docieramy na parter. – Pomogę ci się tam dostać, a potem przejdiesz do Kwadrantu Skrybów.

– Co? – Zatrzymuję się na lśniącej kamiennej podłodze na półpiętrze, on jednak idzie dalej.

Dopiero trzy stopnie niżej dociera do niego, że mu nie towarzyszę.

– Kwadrant Skrybów – powtarza powoli, odwracając się do mnie twarzą.

Jestem teraz wyższa od niego, więc rzucam mu potępiające spojrzenie.

– Nie mogę udać się do Kwadrantu Skrybów, Dain.

– Słucham? – Unosi brwi.

– Ona się na to nie zgodzi. – Kręcę głową.

Otwiera usta, po czym zaraz je zamyka i zaciska pięści.

– Jeśli zostaniesz tutaj, zginiesz, Violet. Musisz stąd odejść. Wszyscy to rozumieją. Przecież nie zgłosiłaś się na ochotniczkę. A przynajmniej nie z własnej woli.

Czuję buzujący we mnie gniew i mrużę powieki. Pomijam uwagę o zgłoszeniu na ochotniczkę i warczę:

– Po pierwsze, jestem świadoma swoich szans, Dain, a po drugie, na ogół piętnaście procent kandydatów nie dociera na drugą stronę mostu, a jednak tu

jestem, więc chyba jednak pokonałam przeciwności losu.

Dain staje na stopniu wyżej.

– Nie twierdzą, że nie dałaś rady, Vi. Ale musisz stąd odejść. Spanikujesz, gdy tylko wyślą cię na matę sparingową, i to jeszcze zanim smoki wyczują, że jesteś... – Kręci głową i ucieka wzrokiem, zaciskając szczęki.

– Jestem jaka? – Cała się zjeżam. – Dalej, powiedz to. Kiedy wyczują, że jestem słabsza od innych? O to ci chodzi?

– Ja pieprzę. – Przeczesuje dłonią krótko obcięte jasnobrązowe loki. – Przestań używać przeciwko mnie słów, których nie powiedziałem. Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Nawet jeśli uda ci się przeżyć do czasu Odsiewu, nie ma gwarancji, że jakiś smok się z tobą zwiąże. W zeszłym semestrze mieliśmy trzydziestu czterech kandydatów bez smoczej więzi, którzy siedzieli beczynnienie i czekali na rozpoczęcie nowego roku, żeby podejść do próby po raz kolejny, a wszyscy byli jak najbardziej zdrowi...

– Nie bądź wredny. – Czuję bolesny skurcz w żołądku. To, że może mieć rację, nie oznacza jeszcze, że chcę ją słyszeć... albo że chcę być nazywana „niezdrową”.

– Ja tylko chcę utrzymać cię przy życiu! – krzyczy, jego głos odbija się echem od kamiennych schodów. – Jeśli teraz pomogę ci się dostać do Kwadrantu Skrybów, zdasz ich test śpiewająco i będziesz miała arcyciekawą anegdotkę do opowiadania przy piwie. A jeśli zabiorę cię tam – wskazuje na drzwi prowadzące na dziedziniec – będę miał związane ręce. Nie mogę cię tu chronić. A przynajmniej nie przez cały czas.

– Wcale cię o to nie proszę! – Chwila... Nie chcę, by mnie chronił? Czy nie to zasugerowała Mira? – To dlaczego powiedziałeś Rhiannon, że wciągasz mnie do swojej drużyny, jeśli zamierzałeś wyprowadzić mnie stąd tajemnym przejściem?

Ucisk w moim sercu przybiera na sile. Poza Mirą, Dain jest jedyną osobą na tym przeklętym Kontynencie, która mnie zna, a nawet on uważa, że tu nie wytrzymam.

– Żeby odeszła, bo dzięki temu mogłem cię stąd wyprowadzić! – Wspina się dwa stopnie wyżej, zmniejszając dystans między nami. Gdyby determinacja miała fizyczną formę, wyglądałaby jak Dain Aetos, sądząc po jego napiętych ramionach. – Naprawdę uważasz, że chcę patrzeć na śmierć przyjaciółki? Czy uważasz, że obserwowanie, jak znęcają się nad tobą za to, że jesteś córką generały Sorrengail, sprawi mi radochę? Włożenie skórzanego stroju nie robi z ciebie jeźdźczyni, Vi. Rozerwą cię na kawałki, a jeśli nie, zrobią to smoki. Dobrze wiesz, że w Kwadrancie Jeźdźców albo zostajesz absolwentką, albo umierasz. Pozwól, że cię uratuję. – Kuli ramiona, a widok jego błagalnego spojrzenia nieco studzi moje oburzenie. – Proszę cię, pozwól mi sobie pomóc.

– Nie jesteś w stanie – szepczę. – Powiedziała, że zaciągnie mnie tu z powrotem. Albo opuszczę kwadrant jako jeźdźczyni, albo jako kolejne nazwisko na nagrobku.

– Nie mówiła poważnie. – Kręci głową. – To niemożliwe.

– Mówiła całkiem serio. Nawet Mira nie mogła wybić jej tego z głowy.

Patrzy mi głęboko w oczy i spina się, kiedy wyczytuje z nich prawdę.

– Cholera.

– Tak. Cholera. – Wzruszam ramionami, jakbyśmy wcale nie mówili o moim życiu.

– W porządku. – Zauważam, że zmienia nastawienie, adaptuje się do nowej sytuacji. – W takim razie znajdziemy inny sposób. A na razie odpuścimy. – Łapie mnie za rękę i prowadzi w stronę wnęki, z której tu przyszliśmy. – Idź tam i poznaj innych pierwszoroczników, a ja wrócę i wejdę od strony wieży. Prędzej czy później zorientują się, że się znamy, ale nie ma co im tego ułatwiać. – Ściska moją rękę, a potem puszcza ją i odchodzi bez słowa w stronę tunelu.

Mocno zaciskam dłonie na paskach plecaka i wychodzę na zalany bladym światłem dziedziniec. Chmury się przersedzają, a mżawka przechodzi, kiedy zmierzam po chrzęszczącym żwirze w stronę jeźdźców i kadetów.

Rozległy dziedziniec, na którym z łatwością mogłoby się pomieścić nawet i tysiąc jeźdźców, wygląda tak jak na mapie z Archiwów. Ma kształt kanciastej lży, a zaokrąglony koniec okala wielka zewnętrzna ściana, gruba przynajmniej na dziesięć stóp. Po bokach ciągną się kamienne korytarze. Wiem, że czterokondygnacyjny budynek wykuty w zboczu góry po lewej stronie kolistego placu to sale wykładowe, a budynek po prawej, tuż nad urwiskiem, to koszary, do których przed chwilą zabrał mnie Dain. Budowle łączy imponująca rotunda, stanowiąca jednocześnie wejście do sali jadalnej, przestrzeni wspólnej i biblioteki. Kończę rozeznanie i odwracam się w stronę dziedzińca, twarzą do zewnętrznej ściany. Na prawo od mostu znajduje się kamienne podium, przy którym stoi dwóch mężczyzn w mundurach. Poznają ich. To komendant i jego zastępca, obaj obwieszeni licznymi odznaczeniami i medalami, które migają w słońcu.

Po kilku minutach odnajduję w tłumie Rhiannon. Właśnie rozmawia z dziewczyną, której kruczoczarne włosy są obcięte tak krótko jak u Daina.

– Tu jesteś! – Rhiannon posyła mi szczery, pełen ulgi uśmiech. – Już zaczynałam się martwić. Czy wszystko... – Unosi wymownie brwi.

– Nic mi nie jest. – Kiwam głową i odwracam się w stronę kobiety. Rhiannon nas sobie przedstawia. Ma na imię Tara i pochodzi z północnej prowincji Morraine, z wybrzeża Szmaragdowego Morza. Otacza ją aura pewności siebie, przypominająca mi moją siostrę, a w jej oczach błyska ekscytacja, gdy ona

i Rhiannon rozmawiają o tym, że od dziecka mają obsesję na punkcie smoków. Skupiam się na rozmowie tylko na tyle, by później przypomnieć sobie szczegóły, w razie gdybyśmy musiały utworzyć sojusz.

Mija godzina, potem kolejna, zgodnie z biciem dzwonnicy, które słyszymy nawet stąd. Na dziedzińcu zjawiają się ostatni kadeci, a za nimi podąża trójka jeźdźców z wieży na początku mostu.

Jest wśród nich Xaden. Wyróżnia go nie tylko wzrost, ale również to, że inni jeźdźcy zdają się zachowywać przy nim ostrożnie, jakby byli rybami, a on rekinem, którego należy omijać szerokim łukiem. Ciekawe, jaka jest jego moc pochodząca ze smoczej więzi. Czy to dlatego nawet studenci trzeciego roku schodzą mu z drogi, kiedy z drapieżną gracją zmierza w stronę podium? Zebrało się ich już dziesięcioro. Zauważam, że komendant Panhek wychodzi na front i staje twarzą do nas, więc...

– Chyba zaraz się zacznie – informuję Tarę i Rhiannon. Obie odwracają się w stronę podium, a inni idą w ich ślady.

– Spacer po moście przeżyło trzysta jeden osób i od dziś jesteście kadetami – zaczyna komendant i wskazuje na nas ręką, uśmiechając się jak urodzony polityk. Przesadna gestykulacja jest cechą charakterystyczną tego człowieka. – Dobra robota. Sześćdziesięciu siedmiu osobom się to nie udało.

Dusi mnie w płucach, a umysł szybko wykonuje obliczenia. To niemal dwadzieścia procent. Czy to przez deszcz? Wiatr? To więcej niż zazwyczaj. Sześćdziesiąt siedem osób umarło, próbując się tu dostać.

– Słyszałam, że traktuje tę posadę tymczasowo – szepcze Tara. – Zależy mi na funkcji Sorrengail, a potem na stanowisku głównego generała Melgrena.

Dowódca wszystkich sił Navarry. Na widok paciorkowatych oczu Melgrena zawsze się wzdrygałam. Miałam okazję spotkać go kilkukrotnie ze względu na pracę mamy.

– Generała Melgrena? – dziwi się Rhiannon.

– Nigdy jej nie obejmie – odpowiadam półgłosem, kiedy komendant wita nas w Kwadrancie Jeźdźców. – Smok Melgrena daje mu zdolność przewidywania walki, zanim do niej dojdzie. Nie da się tego przebić i nie da się go zabić, jeśli wie, że wróg nadchodzi.

– Jak mówi Kodeks, teraz zaczyna się prawdziwy test! – wykrzykuje Panhek, a jego głos niesie się wśród, jak oszacowałam, pięciu setek zebranych. – Przełożeni będą sprawdzać wasze umiejętności, rówieśnicy będą czyhać na wasze życie, a was poprowadzi instynkt. Jeśli dotrzwacie do Odsiewu i zostanieie wybrani, będziecie mogli nazywać się jeźdźcami. A potem zobaczymy, ilu z was przeżyje do ceremonii rozdania dyplomów.

Statystyki mówią, że do końca nauki przetrwa zaledwie dwadzieścia pięć procent z nas, plus minus parę procent, w zależności od roku, a jednak w Kwadrancie Jeźdźców nigdy nie brakuje ochotników. Każdy obecny na dziedzińcu kadet myśli, że jest w stanie dołączyć do elity Navarry... czyli jeźdźców smoków. Mimo wszystko przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy ja też mam w sobie tę siłę. Może stać mnie na coś więcej niż przetrwanie.

– Instruktorzy będą was szkolić – obiecuje Panchek, wskazując ręką na profesorów stojących w drzwiach skrzydła akademickiego. – Ale to od was zależy, jakie osiągniecie wyniki. – Celuje w nas palcem wskazującym. – W waszej drużynie ma panować dyscyplina, a słowo dowódcy waszego skrzydła jest ostateczne. Jeśli będę musiał się wtrącić... – Na jego twarzy powoli rozciąga się złowieszczy uśmiech. – Cóż, tego byście nie chcieli. Na koniec zostawię was z dowódcami. A moja najlepsza rada brzmi: nie dajcie się zabić. – Schodzi z podium wraz z zastępcą, zostawiając w tyle jedynie jeźdźców.

Na środek wychodzi brunetka odznaczająca się szerokimi barkami i bliznami na twarzy, na której maluje się drwina. Srebrne kolce zdobiące naramienniki munduru lśnią w słońcu.

– Mam na imię Nyra i jestem starszą naczelniczką naszego kwadrantu oraz dowódczynią Pierwszego Skrzydła. Dowódcy drużyn i sekcji, zajmijcie pozycje.

Ktoś przepycha się między mną a Rhiannon, inni podążają za nim i nagle przed nami staje około pięćdziesięciu osób, tworzących formację.

– Drużyny i sekcje – informuję szeptem Rhiannon, w razie gdyby nie dorastała w rodzinie z wojskowymi tradycjami. – W skład każdej sekcji wchodzi trzy drużyny, a trzy sekcje w skład każdego z czterech skrzydeł.

– Dziękuję – odpowiada Rhiannon.

Dain staje w sekcji Drugiego Skrzydła, twarzą do mnie, mimo to unika mojego wzroku.

– Pierwsza Drużyna! Sekcja Szpona! Pierwsze Skrzydło! – woła Nyra.

Mężczyzna stojący koło podestu podnosi rękę.

– Kadeci, gdy wasze imię zostanie wyczytane, dołączcie do formacji za swoim dowódcą drużyny – tłumaczy Nyra.

Na środek wychodzi rudowłosa uzbrojona w kuszę i zaczyna ze zwoju odczytywać nazwiska. Kadeci jeden po drugim przesuwają się do formacji, a ja odliczam ich i odnotowuję pierwsze wrażenia na podstawie ubrań i poziomu arogancji. Wygląda na to, że każda drużyna będzie liczyła około piętnastu lub szesnastu członków.

Jack zostaje przydzielony do Sekcji Ognia w Pierwszym Skrzydle.

Tara trafia do Sekcji Ogona, a potem przechodzą do Drugiego Skrzydła.



Wzdycham z ulgą, kiedy naprzód wychodzi dowódca skrzydła i nie jest to Xaden.

Rhiannon i ja trafiamy do Drugiej Drużyny Sekcji Ognia w Drugim Skrzydle. Szybko ustawiamy się w formacji po kwadracie. Rozglądam się pobieżnie i zauważam, że w naszych szeregach jest dowódca drużyny – Dain, który wciąż unika mojego wzroku – zastępca dowódcy, czterech jeźdźców, którzy wyglądają na studentów drugiego lub trzeciego roku, oraz dziewięciu z pierwszego. Na ręce jednej z dziewczyn ze składu jeźdźców, mającej dwie gwiazdki na uniformie i różowe włosy z wygoloną połową głowy, zauważam piętno rebelii, które oplata jej nadgarstek i ciągnie się aż ponad łokieć, gdzie znika pod rękawem. Szybko odwracam wzrok, żeby mnie nie przyłapała.

Podczas trwania przydziału kadetów do kolejnych drużyn wszyscy milczą. Słońce jest już w zenicie, rozgrzewa moje skórzane ubrania i pali ciało. „Mówiłam mu, żeby nie trzymał cię w tej bibliotece”, nawiedzają mnie słowa mamy wypowiedziane tego ranka, ale przecież nie mogłam się do tego przygotować. Moja skóra zawsze przybiera dwa odcienie – błądy albo spalony na czerwono.

Kiedy rozlega się rozkaz, wszyscy odwracają się w stronę podium. Staram się skupiać spojrzenie na dziewczynie ze zwojem, ale moje oczy i tak zmiernają w innym kierunku, a puls przyspiesza.

Xaden przygląda mi się zimnym, wyrachowanym wzrokiem, jakby właśnie planował moją śmierć. Stoi w miejscu dowódcy Czwartego Skrzydła.

Zadzieram wysoko podbródek.

Unosi przeciętą blizną brew. Mówi coś do dowódcy Drugiego Skrzydła, a następnie reszta dołącza do ożywionej dyskusji.

– Jak myślisz, o czym tak dyskutują? – pyta szeptem Rhiannon.

– Cisza – syczy Dain.

Moje plecy sztywnieją. Oczywiście nie spodziewałam się, że będzie się tutaj zachowywać jak „mój” Dain, mimo to jego szorstki ton głosu mnie zabolął.

W końcu dowódcy skrzydeł odwracają się w naszą stronę, a widok lekkiego uśmiešku na ustach Xadena sprawia, że robi mi się nieswojo.

– Dainie Aetosie, zamienisz się miejscem drużyn z Aurą Beinhaven – rozkazuje Nyra.

*Chwila. Co? Kim jest Aura Beinhaven?*

Dain kiwa głową, a potem odwraca się w naszą stronę.

– Za mną – rozkazuje, a następnie przemierza formację, nie czekając, aż za nim podążymy. Po drodze mijamy inną drużynę pochodzącą z...

Z moich płuc ulatuje całe powietrze.

Przenosimy się do Czwartego Skrzydła. Do skrzydła Xadena.

Wymiana trwa minutę, może dwie. Zajmujemy miejsca w nowej formacji. Zmuszam się do wzięcia oddechu. Na przystojnej twarzy Xadena wciąż widnieje arogancki uśmieszek.

Teraz jestem zupełnie zdana na jego łaskę, bo zostałam jego podwładną. Może ukarać mnie tak, jak tylko zechce, za najmniejsze przewinienie, nawet to wyobrażone.

Nyra kończy rozdawać przydziały i zerka na Xadena, a on kiwa głową i wychodzi naprzód, przerywając naszą walkę na spojrzenia. Jestem pewna, że wygrał, biorąc pod uwagę, że moje serce galopuje tak szybko jak koń podczas wyścigu.

– Od teraz jesteście kadetami. – Głos Xadena niesie się po dziedzińcu, silniejszy niż u innych. – Przyjrzyjcie się swojej drużynie. To jedyne osoby, które was nie zabiją, jak gwarantuje kodeks. To jednak nie oznacza, że inni nie będą próbować. Chcecie dostać smoka? Musicie na niego zasłużyć.

Większość zebranych reaguje podekscytowanymi okrzykami, ale ja zachowuję milczenie.

Dzisiaj, na skutek upadku lub w inny sposób, zmarło sześćdziesięciu siedmiu ludzi. Sześćdziesięciu siedmiu takich jak Dylan, których ciała odbiorą rodzice albo władze uczelni i pochowają u podnóża góry pod jakimś nagrobkiem. Jakoś nie potrafię wymusić entuzjastycznej reakcji.

Xaden odnajduje mnie spojrzeniem, od którego przechodzi mnie lodowaty dreszcz. Szybko jednak odwraca głowę.

– Założę się, że macie się teraz za twardzieli, co, pierwszaki?

Kolejne radosne okrzyki.

– Po przejściu przez most czujecie się niezwycięzeni, prawda? – krzyczy Xaden. – Myślicie, że jesteście nietykalni! Że jesteście o krok od zostania częścią elity! Częścią nielicznej, prestiżowej grupy! Wybrańcami!

Znowu rozlegają się okrzyki, coraz głośniejsze i głośniejsze.

Nie, to nie okrzyki, tylko dźwięk łopoczących skrzydeł.

– Bogowie, ale one są piękne – szepcze Rhiannon, kiedy w polu naszego widzenia pojawia się chmara smoków.

Spędziłam całe swoje życie w ich pobliżu, ale zawsze widywałam je z daleka. One nie tolerują ludzi, których nie wybrały sobie na partnera. A jednak teraz w naszą stronę pędzi ósemka groźnych smoków.

Kiedy już mi się wydaje, że przelecą nad naszymi głowami, nurkują w powietrzu, chłoszcząc je wielkimi półtransparentnymi skrzydłami i się zatrzymują. Lądują na półokrągłym zewnętrznym murze, podmuchy wiatru są tak silne, że niemal się przewracam. Łuski na ich klatkach piersiowych falują z każdym oddechem, a ostre jak brzytwa szpony uczipiają się muru z obu

stron. Teraz już rozumiem, dlaczego te ściany mają po dziesięć stóp grubości. Ich zadaniem nie jest obrona. To pieprzona żerdź dla smoków.

Opada mi szczęka. Mieszkam tutaj od pięciu lat, a nigdy czegoś takiego nie widziałam. Z drugiej strony nigdy nie pozwalano mi oglądać Dnia Poboru.

Kilku kadetów zaczyna się wydzierać.

Wygląda na to, że wszyscy chcą być smoczymi jeźdźcami, dopóki nie staną twarzą w twarz z prawdziwym gadem.

Kiedy znajdujący się na wprost mnie granatowy smok wydycha powietrze nozdrzami, moją twarz owiewa gorąca para. Jego lśniące niebieskie rogi wyrastają z głowy, tworząc eleganckie, śmiertelnie ostre łuki, a jego skrzydła, zwieńczone pojedynczym ostrym szponem, rozbłyskują przelotnie i smok składa je po bokach ciała. Jego pazury są równie śmiertelne, ale z tego miejsca nie widzę ich, ani nie jestem w stanie stwierdzić, jakiej jest rasy.

Wszystkie jednak są potwornie groźne.

– Znowu będzie trzeba posłać po murarzy – mamrocze Dain, gdy kawałki kamieni odłamują się pod smoczymi łapami i głazy wielkości mojego torsu lądują na dziedzińcu.

Zauważam trzy smoki w różnych odcieniach czerwieni, dwa zielone – jak Teine, smok Miry, jednego brązowego – jak smok mamy, jednego pomarańczowego i tego wielkiego granatowego, który znajduje się tuż przede mną. Wszystkie są ogromne i przyćmiewają cytadelę, z potępieniem mrużąc patrzące w naszą stronę złote oczy.

Gdyby nie potrzebowały nas, nędznych ludzi, aby wytworzyć umiejętności dzięki więzi i roztoczyć wokół Navarry ochronną barierę, którą zasilają swoimi mocami, z pewnością by nas zjadły i dały już sobie spokój. One jednak chcą chronić Kocioł – dolinę położoną za Basgiathem, którą smoki nazywają domem – przed bezlitosnymi gryfonami, a my chcemy żyć, dlatego nawiązaliśmy tak niecodzienne partnerstwo.

Mam wrażenie, że serce chce mi wyskoczyć z piersi i zgadzam się z nim w pełni, bo ja również najchętniej bym uciekła. Już sama myśl, że miałabym latać na czymś takim brzmi niedorzecznie.

Z Trzeciego Skrzydła ucieka z krzykiem jeden kadet i kieruje się do kamiennego donżonu za nami. Wszyscy odwracają się i patrzą, jak mknie w stronę wielkich, zakończonych łukiem drzwi. Ledwie dostrzegam wyryte w kamieniu słowa, ale znam je na pamięć. „Smok bez swojego jeźdźca cierpi. Jeździec bez swojego smoka ginie”.

Po wytworzeniu się więzi jeźdźcy nie są w stanie przetrwać bez swoich smoków, ale smoki bez nas sobie poradzą. Dlatego też zawsze podchodzą do

zadania ostrożnie, aby nie ośmieszyć się wyborem jakiegoś tchórza. Oczywiście żaden smok nigdy nie przyznałby się do takiego błędu.

Czerwony smok po lewej otwiera przepastną paszczę, odsłaniając kły wielkości mojego wzrostu. Te szczęki mogłyby mnie zmiażdżyć jak winogrono. Na końcu jego języka widać rozniecający się ogień, a chwilę później makabryczny strumień dosięga uciekającego kadeta.

Chłopak zmienia się w kupkę popiołu, zanim dociera do bezpiecznego donżonu.

Sześćdziesięciu ośmiu martwych.

Żar płomieni owiewa moją skórę, kiedy przenoszę wzrok przed siebie. Jeśli ktoś jeszcze zamierza uciec i zostanie przez to stracony, nie chcę tego widzieć. Wokół rozlegają się kolejne krzyki. Zaciskam szczęki tak mocno jak to możliwe, żeby zachować ciszę.

Powietrze przecinają dwa kolejne ogniste pociski – jeden po mojej lewej, drugi po prawej.

Siedemdziesiąt.

Mam wrażenie, że granatowy smok przekrzywia głowę i patrzy na mnie, mrużąc złote ślepia, jakby potrafił przejrzeć mnie na wylot i wyczuć strach zaciskający się na moim żołądku oraz zwątpienie cichaczem owijające się wokół mojego serca. Mogę się założyć, że dostrzega nawet bandaż na moim kolanie. Bestia wie, że jestem ranna, że jestem zbyt mała, by wspiać się po jego łapie i go dosięść, zbyt krucha, by na nim latać. Smoki wyczuwają takie rzeczy.

Nie zamierzam jednak uciec. Nie byłoby mnie tutaj, gdybym odrzucała każde zadanie, które z pozoru wydaje się nie do przejścia. Nie zamierzam dzisiaj umrzeć. Słowa odtwarzają się w mojej głowie tak samo jak przed wędrówką po moście i w jej trakcie.

Prostuję ramiona i zadzieram podbródek.

Smok mruga ślepiami – co może być oznaką aprobaty, a może znudzenia – a potem odwraca łeb.

– Czy ktoś jeszcze ma ochotę zmienić zdanie? – krzyczy Xaden, rozglądając się po pozostałych kadetach tym samym przeszywającym wzrokiem, co granatowy smok za nim. – Nie? Wspaniale. Mniej więcej połowa z was nie dożyje następnego lata. – Większość kadetów milczy, tylko kilku po mojej lewej cicho szlocha. – Jedna trzecia z was dotrwa do kolejnego roku i tak samo będzie na ostatnim. Nikogo z nas nie obchodzi, kim jest wasza mamusia lub tatuś. Nawet drugi syn króla Tauriego zmarł podczas Odsiewu. A zatem powiedzcie mi: czy po dotarciu do Kwadrantu Jeźdźców czujecie się niezwykłeni? Nietykalni? Jak elita?

Nikt nie śmie pisnąć słowa.

Moją twarz owiewa kolejny gorący podmuch, a każdy mięsień w ciele się napina. Przygotowuję się na spopielenie. Płomienie jednak mnie nie dosięgają... to jedynie para, która rozwiewa warkocze Rhiannon, gdy smoki kończą jednoczesny wydech. Bryczesy stojącego przede mną kadeta ciemnieją w kroku i po wewnętrznej stronie ud.

Oni chcą nas nastraszyć. Misja zakończona powodzeniem.

– Dla nich nie jesteście nietykalni czy wyjątkowi. – Xaden wskazuje na granatowego smoka i nachyla się lekko w naszą stronę, jakby chciał nam zdradzić sekret. – Dla nich jesteście tylko ofiarami.

*Na macie sparingowej człowiek zaczyna być jeźdźcem albo jego historia się kończy, albowiem żaden smok nie wybrałby jeźdźca, który nie potrafi się bronić, a żaden szanujący się kadet nie naraziłby swego skrzydła dalszym treningiem.*

*Przewodnik po Kwadrancie Jeźdźców autorstwa majora Afendry  
(wersja nieautoryzowana)*



## ROZDZIAŁ CZWARTY

**E**lena Sosa, Brayden Blackburn. – Kapitan Fitzgibbons, stojący na podeście w otoczeniu dwóch skrybów, odczytuje zwój zgonów, a my czekamy w milczeniu ustawieni w formacji i mrużymy oczy we wczesnoporannym słońcu.

Tego ranka wszyscy jesteśmy ubrani w jeździecką czerń. Na moim obojczyku widnieje srebrna czteroramienna gwiazda, symbol studentki pierwszego roku, a na bicepsie odznaka Czwartego Skrzydła. Wczoraj po zakończeniu próby mostu przydzielono nam standardowe mundury, składające się z lekkich, obcisłych tunik i spodni, a także akcesoria. Jednak nie był to strój do latania. Nie ma sensu rozdawać nam grubszych, bardziej wytrzymałych uniformów stworzonych z myślą o walce, skoro połowa z nas nie dożyje Odsiewu, który odbędzie się w październiku. Wzmacniany gorset, który dostałam od siostry, nie jest zgodny z regulaminem, ale idealnie wpasowuje się w morze innych, przerobionych strojów.

Po spędzeniu ostatniej doby w koszarach na parterze zaczynam rozumieć, że podeście w tym kwadrancie waha się od hedonizmu wynikającego z myśli, że jutro wszyscy mogą nie żyć, do brutalnego zacięcia w myśl tej samej zasady.

– Jace Sutherland – kontynuuje kapitan Fitzgibbons, a skrybowie stojący obok przestępują z nogi na nogę. – Dougal Luperco.

Chyba jesteśmy koło pięćdziesiątej osoby, ale straciłam rachubę, gdy kilka minut temu padło nazwisko Dylana. To jedyne upamiętnienie, na jakie mogą

liczyć zmarli, jedyny moment, gdy ich godność wybrzmi między murami cytadeli, dlatego staram się skupić i słuchać każdego z nich, jednak jest ich zbyt wiele.

Moja skóra jest podrażniona od noszenia zbroi przez całą noc, zgodnie z sugestią Miry, a kolano pulsuje, jednak opieram się pokusie, by się pochylić i poprawić bandaż, który udało mi się założyć dzisiaj przed pobudką, pomimo braku prywatności na sali.

Na parterze koszar zamieszkało stu pięćdziesięciu sześcioro pierwszoroczniaków, a nasze łóżka ustawiono w czterech równych rzędach pośrodku otwartej przestrzeni. Mimo że Jack Barlowe trafił na drugie piętro, nie zamierzam nikomu pokazywać, że doznałam kontuzji. Najpierw muszę dowiedzieć się, komu mogę ufać. Z prywatnym pokojem jest jak ze skórzanym mundurem do latania – dostaniesz go, dopiero gdy przeżyjesz Odsiew.

– Simone Casteneda. – Kapitan Fitzgibbons zamyka zwój. – Oddajemy ich dusze pod opiekę Maleka.

Boga śmierci.

Mrugam ze zdziwieniem. Wygląda na to, że byliśmy bliżej końca, niż mi się wydawało.

Po odczytaniu nazwisk nie następuje żadne formalne zakończenie ani nawet chwila ciszy. Nazwiska odchodzą w zwoju wraz ze skrybami, a milczenie przerywają dowódcy drużyn, którzy zwracają się do swoich podopiecznych.

– Mam nadzieję, że wszyscy zjedliście śniadanie, bo do obiadu nie będziecie mieć okazji niczego przekąsić – oznajmia Dain. Przelotnie skupia na mnie spojrzenie, a potem odwraca głowę, udając obojętność.

– Nieźle mu idzie udawanie, że cię nie zna – mówi szeptem stojąca obok mnie Rhiannon.

– To prawda – odpowiadam równie cicho. Uśmiech pcha się na moje usta, ale staram się zapanować nad wyrazem twarzy. Słońce mieni się w jego jasnobrązowych włosach, a kiedy odwraca głowę, pod brodą zauważam bliznę, która wczoraj musiała mi jakoś umknąć.

– Zakładam, że drugi i trzeci rok wie, gdzie ma iść – kontynuuje Dain, kiedy skrybowie obchodzą dziedziniec wokół, mijając mnie od prawej strony, i ruszają do swojego kwadrantu. Ignoruję cichy, protestujący głosik w mojej głowie, że przecież to miał być mój kwadrant. Niestety rozpamiętywanie tego nie pomoże mi przetrwać do następnego wschodu słońca.

Stojący przed nami starsi kadeci kiwają głowami. Jako studenci pierwszego roku zajmujemy ostatnie dwa rzędy, tworząc niewielką grupę Drugiej Drużyny.

– Studenci pierwszego roku, mam nadzieję, że chociaż jeden z was nauczył się na pamięć planu zajęć, który rozdano wam wczoraj – grzmi nad nami głos

Daina. Trudno jest mi dostrzec w tym surowym, poważnym dowódcy zabawnego, wiecznie uśmiechniętego chłopaka, którego znam od dawna. – Trzymajcie się razem. Liczę, że kiedy po południu spotkamy się na sali sparingowej, wszyscy będziecie żywi.

Cholera, niemal zapomniałam, że dzisiaj wypada sparing. Trening odbywa się tylko dwa razy w tygodniu, więc jeśli dzisiaj uda mi się uniknąć obrażeń, będę mieć spokój na kolejne dwa dni. Przynajmniej będzie trochę czasu, żeby stanąć na nogi, zanim przyjdzie nam się zmierzyć z Rękawicą – przerażającym pionowym polem z przeszkodami, które wszyscy będziemy musieli pokonać, zanim za dwa miesiące liście zmienią swoje kolory.

Jeśli uda nam się przejść Rękawicę, dotrzemy do znajdującego się powyżej naturalnego kanionu, który prowadzi do lądowiska. Tam odbędzie się Prezentacja, podczas której smoki gotowe w tym roku na wytworzenie więzi będą miały okazję przyjrzeć się kadetom, którym udało się przetrwać. Dwa dni później dojdzie do Odsiewu w dolinie pod cytadelą.

Rozglądam się po nowych kolegach i koleżankach z drużyny i wbrew sobie zastanawiam się, komu z nas uda się dotrzeć do lądowiska, a tym bardziej do doliny. Jeśli w ogóle ktokolwiek będzie mieć takie szczęście.

*Nie martw się na zapas.*

– A jeśli nam się nie uda? – odzywa się siedzący za mną dowcipniś.

Nie chce mi się odwracać, ale Rhiannon ogląda się ponad ramieniem i przewraca oczami w moją stronę.

– Wtedy nie będę musiał zawracać sobie głowy zapamiętywaniem waszych imion, bo zostaną odczytane jutro rano – odpowiada Dain i wzrusza ramionami.

Siedząca przede mną dziewczyna z drugiego roku parska głośnym śmiechem, podczas gdy dwa małe kółka w jej lewym uchu podskakują, ale różowowłosa tego nie komentuje.

– Sawyer? – Dain przenosi wzrok na chłopaka z pierwszego roku po mojej lewej.

– Zaprowadzę ich tam – odpowiada wysoki, tyczkowaty kadet, którego twarz o jasnej karnacji jest usiana piegami. Widzę, że kiwa głową, mocno zaciskając szczęki. Głęboko mu współczuję. To jeden z powtarzających rok: kadet, który nie wytworzył więzi z żadnym smokiem podczas Odsiewu i teraz musi zacząć rok od początku.

– Zbierajcie się – rozkazuje Dain i nasza drużyna rozchodzi się w tym samym momencie co inne. Teraz dziedziniec, zamiast równych formacji, zalewa morze rozgadanych kadetów. Ci z drugiego i trzeciego roku, wraz z Dainem, odchodzą w przeciwnym kierunku.



– Mamy około dwudziestu minut, żeby dotrzeć na zajęcia – informuje Sawyer naszą ośmioosobową grupę. – Trzecie piętro, drugi pokój po lewej w skrzydle akademickim. Dalej, zbierajcie swoje rzeczy. Nie możecie się spóźnić. – Nie czeka na naszą odpowiedź i odchodzi w stronę koszar.

– To musiało być dla niego trudne – zauważa Rhiannon, kiedy podążamy za tłumem. – Został odrzucony i musi zacząć wszystko od początku.

– Lepiej tak, niż gdyby miał skończyć martwy – odzywa się za mną żartowniś i wymija nas. Jego ciemnobrązowe włosy z każdym krokiem falują na ciemnym czole. Ma na imię Ridoc, jeśli pamięć mnie nie myli. Wczoraj przed kolacją wszyscy się poznaliśmy.

– To prawda – odpowiadam, zmierzając w stronę kolejki, która utworzyła się przy wyjściu.

– Słyszałam, jak któryś trzecioroczniak mówił, że kiedy świeżakowi udaje się przetrwać Odsiew, ale opuszcza go bez smoka, kwadrant pozwala mu powtarzać rok, jeśli tego chce – dodaje Rhiannon. Trzeba mieć w sobie mnóstwo samozaparcia, żeby przetrwać pierwszy rok, a potem z własnej woli go powtarzać tylko po to, by dostać kolejną szansę na zostanie jeźdźcem. Za drugim razem również można umrzeć.

Nagle gdzieś po lewej rozlega się ptasi trel. Rozglądam się po zebranych, a moje serce przyspiesza, bo natychmiast rozpoznaję zawołanie. Dain.

Dźwięk się powtarza, a ja lokalizuję go koło drzwi prowadzących do rotundy. Mój przyjaciel stoi na szczycie szerokich schodów. Gdy tylko nasz wzrok się krzyżuje, delikatnym ruchem głowy wskazuje na drzwi.

– Zaraz... – zaczynam, ale Rhiannon już podążyła za moim spojrzeniem.

– Wezmę twoje rzeczy i spotkamy się na miejscu. Trzymasz je pod łóżkiem, prawda? – upewnia się.

– Nie masz nic przeciwko?

– Przecież twoje łóżko znajduje się obok mojego, Violet. To żaden problem. Idź! – Posyła mi konspiracyjny uśmiech i szturcha mnie ramieniem.

– Dzięki! – Przeciskam się przez zgromadzonych kadetów, aż w końcu udaje mi się wyjść po drugiej stronie. Na szczęście mało kto zmierza w stronę sali jadalnej, co oznacza, że nikt nie widzi, jak zakradam się do rotundy przez jedne z wysokich wrót.

Nabieram powietrza. Pomieszczenie wygląda jak na rycinach, które widziałam w Archiwach, ale żaden rysunek ani inna forma sztuki nie są w stanie oddać ogromu i piękna owej przestrzeni. Rotunda jest chyba najpiękniejszą budowlą nie tylko w cytadeli, ale również w całym Basgiacie. Pomieszczenie jest wysokie na trzy kondygnacje, marmurowe podłogi wypolerowano na błysk, a przez potężny szklany sufit przeciska się blade

światło poranka. Po lewej stronie znajdują się masywne drzwi prowadzące do skrzydła akademickiego, a po prawej identyczne, za którymi znajdują się koszary. Przede mną zauważam sześć stopni, nad którymi górują cztery portale otwarte na salę jadalną.

Wokół, w równych odstępach, rozstawiono sześć majestatycznych marmurowych posągów, przedstawiających smoki w odcieniach czerwieni, zieleni, brązu, pomarańczy, błękitu i czerni, jakby spadły tutaj z nieba. Pośrodku, naprzeciwko rozwartych paszcz, jest wystarczająco dużo miejsca, by pomieścić przynajmniej cztery drużyny, ale teraz nikogo tu nie ma.

Omijam pierwszego smoka, wykutego z czerwonego marmuru, i nagle ktoś łapie mnie za łokieć, żeby zaciągnąć za filar, we wnękę między ścianą a szponami.

– To tylko ja – oznajmia uspokajająco Dain, odwracając mnie twarzą do siebie. Całe jego ciało emanuje napięciem.

– Domyśliłam się, skoro to ty wydawałeś ptasie odgłosy. – Uśmiecham się szeroko, potrząsając głową. Używał tego sygnału, kiedy byliśmy dziećmi i mieszkaliśmy blisko krovlańskiej granicy, przy której nasi rodzice stacjonowali wraz z Południowym Skrzydłem.

Marszczy brwi i obrzuca mnie spojrzeniem, bez wątpienia szukając nowych obrażeń.

– Pewnie mamy zaledwie kilka minut, bo zaraz ściągną tu studenci. Jak twoje kolano?

– Boli, ale przeżyję. – W życiu zaznałam gorszych kontuzji i oboje o tym wiemy, ale nie ma sensu go uspokajać, bo czuję, że to i tak nic nie da.

– Nikt nie próbował się wczoraj do ciebie dobierać? – Zmarszczki, wyglądające w tym momencie jak linie troski, przecinają jego czoło. Muszę skrzyżować ramiona na klatce piersiowej, żeby nie wygładzić ich palcami. Nie lubię przysparzać mu zmartwień.

– A jest w tym coś złego? – drocę się z nim i uśmiecham szeroko.

Opuszcza ręce po bokach i wzdycha ciężko. Dźwięk odbija się echem od rotundy.

– Wiesz, że nie o to mi chodziło, Violet.

– Nikt mnie wczoraj nie próbował zabić, Dain. Ani nawet skrzywdzić. – Opieram się o ścianę, żeby zdjąć z kolana nieco ciężaru. – Myślę, że wczoraj wszyscy byli zbyt zmęczeni i zadowoleni z tego, że udało im się przetrwać, by zabrać się za wybijanie siebie nawzajem. – Po zgaszeniu świateł w koszarach błyskawicznie zapadła cisza. To był ciężki dzień.

– Zjadłaś kolację, prawda? Wiem, że kiedy dzwon wybija szóstą wieczorem, mają zwyczaj szybko wyganiać pierwszoroczników ze stołówek.

– Zjadłam posiłek razem z resztą pierwszego roku i zanim spróbujesz znowu mnie pouczać, uprzedzam, że obwiązałam swoje kolano pod pościelą i związałam włosy, zanim wybrzmiały dzwony. Od lat trzymam się rozkładu dnia skrybów, Dain, a oni wstają godzinę wcześniej od was. Właściwie to mam ochotę zgłosić się na ochotniczkę, żeby pomóc przy śniadaniu.

Spogląda na mój ciasny warkocz o srebrnym końcu, który zaplotłam w kok przy ciemniejszych włosach na czubku głowy.

– Powinnaś je obciąć.

– Nawet nie zaczynaj. – Potrząsam głową.

– Nie bez powodu kobiety noszą tutaj krótkie fryzury, Vi. Gdy tylko ktoś na macie złapie cię za włosy...

– Włosy będą wtedy moim najmniejszym zmartwieniem – odpowiadam.

Dain patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Ja tylko chcę, żebyś była bezpieczna. Masz szczęście, że dzisiaj rano nie zaciągnąłem cię do kapitana Fitzgibbonsa i nie zacząłem go błagać, by cię stąd wyrzucił.

Ignoruję jego jawną groźbę. Tylko marnujemy czas, a muszę uzyskać od niego pewną informację.

– Dlaczego twoja drużyna została wczoraj przeniesiona z Drugiego Skrzydła do Czwartego?

Sztywnieje i ucieka wzrokiem.

– Mów. – Muszę wiedzieć, czy moje podejrzenia są prawdziwe.

– Kurwa – mamrocze, przeczesując dłonią włosy. – Xaden Riorson chce cię zabić. Po wczorajszym dniu wszyscy w kadrze dowódczej o tym mówią.

A więc jednak sobie tego nie wyobraziłam.

– Przeniósł drużynę, żeby mieć nade mną kontrolę. Od teraz będzie mógł robić wszystko i nikt nie zakwestionuje jego decyzji. W ten sposób chce się zemścić na mojej matce. – Kiedy to mówię, moje serce nawet nie drgnie. – Tak właśnie myślałam. Musiałam się tylko upewnić, że sobie tego nie ubzdurałam.

– Nie pozwolę, by coś ci się stało. – Dain robi krok do przodu i łapie moją twarz w dłonie, kojąco gładząc mój policzek kciukiem.

– Nie możesz nic zrobić. – Odpycham się od ściany i odsuwam od niego. – Muszę iść na zajęcia. – W wejściu do rotundy już rozlegają się głosy pierwszych kadetów.

Zaciska mocno szczęki, a między jego brwiami na powrót pojawia się zmarszczka.

– Tylko postaraj się nie zwracać na siebie uwagi, szczególnie podczas analizy wojennej. Oczywiście twoje włosy i tak rzucają się w oczy, ale to jedyne zajęcia

na uczelni, w których bierze udział cały kwadrant. Sprawdzę, czy ktoś z drugiego roku może stać na straży...

– Nikt nie zabije mnie w trakcie lekcji historii. – Przewracam oczami. – Sale wykładowe to jedyne miejsce, gdzie nie muszę się tym martwić. Co może zrobić Xaden? Wyciągnie mnie z sali i przetnie na pół mieczem na środku korytarza? A może jednak naprawdę wierzysz, że zadźga mnie podczas zajęć?

– Nie zdziwiłbym się. Jest do tego zdolny. On nie zna litości, Violet. Jak myślisz, dlaczego jego smoczyca go wybrała?

– Mówisz o tym granatowym, który wczoraj wylądował za podium? – Żołądek podchodzi mi do gardła. Przypominam sobie te złote oczy, które przyglądały mi się oceniająco...

Dain kiwa głową.

– Sgaeyl to niebieski sztyletogon i jest... koszmarne niebezpieczna. – Przelyka ślinę. – Nie zrozum mnie źle, Cath też potrafi być brutalny, kiedy coś go rozjuszy, bo takie już są czerwone mieczogony, ale nawet większość smoków trzyma się z dala od Sgaeyl.

Patrzę na niego, na bliznę przecinającą podbródek, na uparte spojrzenie, które jednocześnie jest tak znajome i zupełnie obce.

– Co? – pyta. Głosy wokół nas przybierają na sile, rozlega się coraz więcej kroków.

– Jesteś związany ze smokiem i masz moce, o których nic nie wiem. Otwierasz drzwi za pomocą magii. Jesteś dowódcą drużyny – wyliczam powoli w nadziei, że w końcu to do mnie dotrze i zrozumiem, jak bardzo się zmienił. – Po prostu wciąż nie mogę uwierzyć, że jesteś tym samym Dainem.

– Jestem taki sam jak kiedyś. – Jego ciało się rozluźnia. Podnosi krótki rękaw tuniki, odsłaniając symbol czerwonego smoka na ramieniu. – Tylko to się zmieniło. A jeśli chodzi o moce, Cath wlewa ich we mnie całkiem sporo w porównaniu z innymi smokami, ale jeszcze nie mam doświadczenia w posługiwaniu się nimi. Aż tak się nie zmieniłem. A co do pomniejszej magii, która wypełnia mnie dzięki więzi, potrafię robić takie sztuczki, jak otwieranie drzwi, bieganie szybciej niż kiedyś i napełnianie tuszem wiecznych piór, zamiast tych zwykłych, niewygodnych.

– Jaka jest twoja moc więzi? – Każdy jeździec włada pomniejszą magią, kiedy smok zaczyna wlewać w niego swoją energię, ale moc więzi to wyjątkowa umiejętność, najsilniejsza, będąca wynikiem połączenia się smoka z jeźdźcem.

Niektórzy jeźdźcy mają takie same moce: władanie ogniem, lodem i wodą to najpopularniejsze umiejętności, wszystkie są przydatne na polu bitwy.

Są również takie, które sprawiają, że jeździec staje się wyjątkowy.

Moja matka potrafi władać mocą burz.

Melgren potrafi przewidzieć wynik bitew.

I znów mimowolnie zastanawiam się, jaka jest moc Xadena oraz czy wykorzysta ją, żeby mnie zabić, w momencie gdy nie będę się tego spodziewać.

– Potrafię odczytać ostatnie wspomnienia człowieka – przyznaje cicho Dain. – Nie tak, jak myśliłowca potrafi zaglądać do umysłów czy coś w tym rodzaju. Ja muszę przyłożyć do człowieka rękę, dlatego nie stanowią zagrożenia. Niewielu jednak wie o takiej mocy, więc myślę, że będą chcieli wykorzystać mnie w wywiadzie. – Wskazuje na odznakę z kompasem znajdującą się na jego ramieniu, tuż pod symbolem Czwartego Skrzydła. Ten znak symbolizuje, że moc została utajniona. Wczoraj tego nie zauważyłam.

– To niewiarygodne. – Uśmiecham się i zaczerpuję oddechu, bo przypominam sobie, że na mundurze Xadena nie dostrzegłam żadnego symbolu.

Dain kiwa głową z entuzjazmem.

– Wciąż się jeszcze uczę i oczywiście idzie mi coraz lepiej, im bardziej zbliżam się do Catha, ale już teraz wystarczy, że przyłożę dłonie do czyichś skroni i widzę to, co oni wcześniej. To... niesamowite.

Taka moc bez wątpienia pomoże Dainowi się wyróżnić. Dzięki temu stanie się jednym z najlepszych narzędzi ułatwiających przesłuchiwanie, jakimi dysponujemy.

– I ty mówisz, że się nie zmieniłeś – żartuję.

– To miejsce potrafi całkowicie przeobrazić człowieka, Vi. Tu zapominasz o bzdurach i uprzejmościach, bo kwadrant ukazuje to, jaka jesteś w głębi duszy. Oni tego chcą. Zależy im na tym, żeby uciąć więzi łączące cię z poprzednim życiem, abyś stała się lojalna wyłącznie wobec swojego skrzydła. Między innymi dlatego studenci pierwszego roku nie mogą korespondować ze swoją rodziną i przyjaciółmi. W przeciwnym razie bym się z tobą skontaktował. Ale przez rok nie zmieniło się to, że wciąż uważam cię za swoją najlepszą przyjaciółkę. Wciąż jestem Dainem, a za rok ty wciąż będziesz tą samą Violet. Dalej jesteśmy po prostu sobą.

– O ile przeżyję do tego czasu – żartuję. W tym momencie rozlega się dzwon. – Muszę iść na zajęcia.

– Tak, a ja spóźnię się na lądowisko. – Wskazuje ręką na filar. – Posłuchaj, Riorson wciąż jest dowódcą skrzydła. Uweźmie się na ciebie, znajdzie sposób na to, by zabić cię zgodnie z zasadami Kodeksu, a przynajmniej wtedy, gdy inni będą patrzeć. W zeszłym roku... – Czerwieni się. – Przyjaźniłem się z Amber Mavis, obecną dowódczynią Trzeciego Skrzydła, i mówię ci, Kodeks to dla nich świętość. A teraz idź przodem, spotkamy się w sali sparingowej. – Uśmiecha się pocieszająco.

– Do zobaczenia. – Odwracam się na pięcie i obchodzę masywny filar, żeby wyjść na rotundę, którą przemierza kilkudziesięciu kadetów, próbujących dostać się z jednego budynku do drugiego. Dopiero po chwili udaje mi się wziąć w garść.

Pomiędzy czarno-pomarańczowymi filarami zauważam drzwi prowadzące do budynku akademickiego. Ruszam w tamtą stronę, mieszając się z tłumem.

Włoski na moim karku stają dęba, a kręgosłup przeszywa dreszcz, kiedy przemierzam środek rotundy i nagle zamieram. Kadeci mnie mijają, ale ja patrzę w górę, w stronę schodów prowadzących do sali jadalnej.

*O cholera.*

Xaden Riorson przygląda mi się, mrużąc oczy. Rękawy jego munduru są podwinięte, a masywne ręce założył na klatce piersiowej, eksponując ostrzegawczo ramię pokryte piętnem rebelii. Stojący obok chłopak z trzeciego roku coś do niego mówi, ale ten jawnie go ignoruje.

Serce podchodzi mi do gardła. Oddziela nas może dwadzieścia stóp. Palce mi drżą i są gotowe wyciągnąć sztylety z pochew na żebrach. Zamierza zrobić to tutaj? Pośrodku rotundy? Marmurowa podłoga jest szara, więc sprzątacjom łatwo będzie pozbyć się krwi.

Przekrzywia głowę i przygląda mi się tymi niemożliwie ciemnymi oczami, jakby próbował oszacować mój najsłabszy punkt.

Powinnam uciec, prawda? Z drugiej strony, jeśli się nie ruszę, będę widzieć, czy zmierza w moją stronę.

Nagle skupia uwagę na prawo ode mnie, a potem unosi jedną brew, patrząc znowu w moją stronę.

Czuję się tak, jakbym połknęła głąz, kiedy zza filara wyłania się Dain.

– Co ty... – zaczyna Dain. Marszczy brwi, kiedy do mnie dociera.

– Schody. Czwarte drzwi – syczę, wchodząc mu w słowo.

Dain gwałtownie zadziera głowę i mamrocze przekleństwo, podchodząc do mnie w dość niesubtelny sposób. Gąszcz ludzi wokół nas się rozrzedza. Mniej osób oznacza mniej świadków, ale nie jestem głupia – Xaden mógłby mnie zabić na oczach całego kwadrantu, jeśli naszłaby go taka ochota.

– Wiem, że wasi rodzice są sobie bliscy – woła Xaden, a na jego ustach gra okrutny uśmiezek – ale czy wy musicie się tak z tym obnosić?

Kadeci zatrzymują się, żeby na nas popatrzeć.

– Niech zgadnę – ciągnie Xaden, skacząc wzrokiem między mną a Dainem. – Przyjaciele z dzieciństwa? A może połączyła was pierwsza miłość?

– Nie może skrzywdzić cię bez powodu, mam rację? – odzywam się szeptem. – Musiałby mieć powód i zwołać kworum dowódców skrzydeł, bo jesteś dowódcą drużyny. Tak mówi artykuł czwarty, ustęp trzeci.

– Zgadza się – odpowiada Dain, nie zwracając sobie głowy szeptem. – Ale ciebie nic nie chroni.

– Spodziewałem się po tobie tego, że będziesz lepiej ukrywać swoje uczucia, Aetos. – Xaden zaczyna schodzić ze stopni.

Niech to szlag!

– Uciekaj, Violet – rozkazuje Dain. – Ale już.

Rzucam się do wyjścia.

*Wiedząc, że bezpośrednio podważę rozkazy generała Melgrena, oficjalnie sprzeciwiam się planowi przedstawionemu na dzisiejszej odprawie. Jako generała nie zgadzam się, aby dzieci przywódców rebelii zostały zmuszone do patrzenia na egzekucję rodziców. Żadne dziecko nie powinno oglądać śmierci rodzica.*

*Tyrreńska Rebelia, oficjalne zawiadomienie generały Lilith Sorrengail skierowane do króla Tauriego*



## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

**W**itamy na pierwszych zajęciach z analizy wojennej – oznajmia profesora Devera z zagłębienia w podłodze pośrodku wielkiej sali wykładowej. Na jej ramieniu zauważam jasnioletową odznakę Sekcji Ognia w podobnym odcieniu, co jej krótkie włosy. To jedyne zajęcia, które odbywają się w tym okrągłym, wielopoziomowym pomieszczeniu zajmującym całą tylną część budynku akademickiego. Jest to zarazem jedno z dwóch pomieszczeń w cytadeli, w których może zmieścić się cała społeczność kadetów. Wszystkie drewniane krzesła na sali są zajęte, a każde z nich skrzypi. Starsi studenci trzeciego roku stoją pod ścianami z tyłu, aby dla wszystkich znalazło się miejsce.

Daleko temu spotkaniu do zajęć historii sprzed godziny, w których uczestniczyły jedynie trzy drużyny z pierwszego roku, ale przynajmniej teraz cała nasza grupa siedzi razem. Szkoda tylko, że nie pamiętam ich imion.

Ridoca zapamiętać najłatwiej – przez całą historię rzucał przemądrzałymi komentarzami. Liczę na to, że tutaj sobie daruje. Profesora Devera nie sprawia wrażenia osoby skorej do żartów.

– W przeszłości jeźdźcy rzadko byli powoływani do służby przed ukończeniem uczelni – ciągnie wykładowczyni. Ściąga usta, krążąc powoli przed przywieszoną do ściany, wysoką na dwadzieścia stóp mapą Kontynentu ze



skrupulatnie oznaczonymi strażnicami ciągnącymi się przez długość całej granicy naszej krainy. Przestrzeń oświetlają tuziny magicznych świateł, które rekompensują brak okien i odbijają się w długim mieczu, który Devera nosi na plecach.

– A jeśli już, zawsze byli to studenci trzeciego roku, którzy mieli okazję podążać za członkami bardziej doświadczonych skrzydeł. Mamy jednak nadzieję, że ukończycie uczelnię w pełni przystosowani do tego, co was czeka. I nie chodzi tylko o wiedzę z zakresu tego, gdzie stacjonuje każde ze skrzydeł. – Niespiesznie nawiązuje kontakt wzrokowy z każdym pierwszorzocznikiem. Odznaki na jej ramieniu świadczą o tym, że piastuje funkcję kapitaniki, ale wiem, że kiedy jej praca jako wykładowczyni dobiegnie końca, zostanie majorą. Wnioskuje to po medalach wiszących na jej klatce piersiowej. – Musicie zrozumieć politykę naszych wrogów, strategię obrony strażnic przed nieustającymi atakami i posiadać wiedzę zarówno o obecnych, jak i przeszłych bitwach. Jeśli nie opanujecie podstaw materiału, to na grzbiecie smoka będziecie bezużyteczni. – Unosi czarną brew, zaledwie kilka tonów ciemniejszą od jej brązowej skóry.

– Zero presji – mamrocze siedząca obok mnie Rhiannon, która zaciekle sporządza notatki.

– Będzie dobrze – zapewniam ją szeptem. – Trzeci rok jest wysyłany w głąb ładu jako wsparcie na posterunkach, na front nikt ich jeszcze nie oddelegował. – Wiem o tym, ponieważ w towarzystwie matki zawsze miałam uszy i oczy szeroko otwarte na takie wiadomości.

– To jedyne zajęcia, które odbywają się codziennie, ponieważ tylko dzięki nim będziecie w stanie sobie poradzić, jeśli zostaniecie powołani do służby wcześniej. – Profesora Devera wodzi wzrokiem od prawej do lewej i zatrzymuje się na mnie. Jej oczy rozszerzają się, ale po chwili uśmiecha się z aprobatą i kiwa głową. – A ze względu na to, że te zajęcia odbywają się codziennie i opierają się na najbardziej aktualnych informacjach, będziecie odpowiadać również przed profesorem Markhamem, który zasługuje na wasz najwyższy szacunek.

Przywołuje gestem skrybę, który podchodzi i staje obok niej. Jego kremowy strój wyraźnie kontrastuje z czarnym ubraniem wykładowczyni. Kobieta szepcze mu coś do ucha, a on wysoko unosi gęste brwi i zwraca głowę w moim kierunku.

Kiedy zmęczone oczy pułkownika odnajdują moje, nie dostrzegam w nich aprobaty, jedynie rozczarowanie, które przepelnia moją klatkę piersiową dojmującym smutkiem. W Kwadrancie Skrybów miałam być jego najlepszą

uczennicą, jego największym osiągnięciem przed odejściem na zasłużony odpoczynek. To przykre, bo na tych zajęciach z pewnością nie będę przodować.

– Obowiązkiem skrybów jest nie tylko nauka i analiza przeszłości, ale również przekazywanie i spisywanie teraźniejszości – oznajmia, kiedy w końcu odrywa ode mnie rozgoryczone spojrzenie i drapie się po mostku bulwiastego nosa. – Bez precyzyjnego opisu naszego frontu, bez rzetelnych informacji pozwalających podejmować strategiczne decyzje, a przede wszystkim bez godnych zaufania źródeł dokumentujących naszą historię dla dobra przyszłych pokoleń, jesteśmy skazani na porażkę nie tylko jako królestwo, lecz także jako społeczeństwo.

I właśnie dlatego zawsze chciałam zostać skrybką, ale oczywiście teraz to już jest bez znaczenia.

– Pierwszy temat dzisiejszych zajęć. – Profesora Devera podchodzi do mapy i macha ręką, przenosząc magiczne światło bezpośrednio nad wschodnią granicę z Braevickiem, prowincją Poromielu. – Zeszłej nocy Wschodnie Skrzydło zostało zaatakowane w pobliżu wioski Chakir przez grupę braevickich gryfonów i jeźdźców.

*Niemożliwe.* Przez salę przetacza się fala szeptów. Zanurzam pióro w kałamarzu leżącym na biurku przede mną, żeby zrobić notatki. Nie mogę się doczekać, aż zdobędę moce, dzięki którym będę w stanie używać upragnionych wiecznych piór, które mama trzyma na swoim biurku. Na moje usta wypływa uśmiech. Przynależność do jeźdźców zdecydowanie ma swoje zalety. I kiedyś ich doświadczę.

– Oczywiście ze względów bezpieczeństwa część informacji zachowujemy dla siebie, ale możemy wam powiedzieć, że bariery osłabły przy wierzchołkach Gór Esben. – Profesora Devera rozkłada ręce, a światło rozlewa się, rozjaśniając góry ciągnące się wzdłuż naszej granicy z Braevickiem. – Dzięki temu około północy wrogowie mogli nie tylko dostać się na navarriańskie terytorium, ale również przelać energię i się nią posłużyć.

Czuję bolesny skurcz żołądka, kiedy wśród kadetów, szczególnie tych z pierwszego roku, rozlegają się zaniepokojone szepty. Smoki nie są jedynymi stworzeniami zdolnymi do przelewania mocy na swoich jeźdźców. Gryfy z Poromielu również wykazują taką umiejętność, jednak to smoki są jedynymi, które potrafią napełnić magią bariery, niwelujące na naszych granicach wszelką magię poza ich własną. To z ich powodu granice Navarry mają kształt łuku – ich moc emanuje z Kotła, ale nie sięga zbyt daleko i nie pomagają nawet nasze drużyny stacjonujące na każdym posterunku. Kiedy oddziały Poromielu nieuchronnie nas zaatakują, najadą wszystkie wioski w Navarze. Te chciwe gnoje nie potrafią cieszyć się z zasobów, które już posiadają. Chcą położyć łapy

na tych, które należą do nas i dopóki nie będą usatysfakcjonowani naszymi warunkami handlu, pobór do navarriańskich wojsk się nie skończy. Nie ma szans na pokój.

Jeśli jednak nie ogłoszono stanu wyjątkowego, to bariery musiały zostać utkane na nowo albo przynajmniej ustabilizowane.

– Na godzinę przed dotarciem drużyny ze Wschodniego Skrzydła w ataku zginęło trzydziestu siedmiu cywilów, ale jeźdźcom i smokom udało się odepchnąć nieprzyjaciół – dokańcza Devera, krzyżując ramiona na klatce piersiowej. – Jakie pytania zadalibyście, mając te informacje? – Unosi palec ostrzegawczo. – Na początku chcę usłyszeć jedynie odpowiedzi od pierwszego roku.

Moim pierwszym pytaniem byłoby: „Dlaczego bariery w ogóle osłabły”, ale przecież nie odpowiedzą na to pytanie w sali pełnej kadetów nieposiadających poświadczenia bezpieczeństwa.

Przyglądam się mapie. Góry Esben są najwyższe przy naszej wschodniej granicy z Braevickiem, dlatego to najmniej odpowiednie miejsce na atak, tym bardziej że gryfy, w przeciwieństwie do smoków, źle znoszą lot na największych wysokościach, być może dlatego, że są pół lwami, pół orłami i nie mogą oddychać rozrzedzonym powietrzem.

To jest właśnie powód, dzięki któremu przez ostatnie sześćset lat udawało nam się odpychać wszelkie większe ataki na nasze terytorium i z powodzeniem broniliśmy naszych ziem w tej niekończącej się, czterystuletniej wojnie. Nasze magiczne umiejętności, zarówno pomniejsze, jak i moc więzi, są silniejsze, ponieważ smoki potrafią przekazywać więcej mocy niż gryfy. Dlaczego więc atak przeprowadzony został akurat w tej części łańcucha górskiego? Co spowodowało osłabienie bariery?

– No dalej, świeżaki, pokażcie mi, że jest w was coś więcej niż zdolność utrzymania równowagi. Udowodnijcie, że posiadacie umiejętność krytycznego myślenia i zasługujecie, by tu być – żąda Devera. – Musicie być bardziej niż kiedykolwiek gotowi na to, co czeka was za naszymi granicami.

– Czy to pierwsza taka sytuacja, gdy bariery osłabły? – odzywa się studentka siedząca dwa rzędy nade mną.

Devera i Markham wymieniają spojrzenia, a potem wykładowczyni odwraca się w stronę pytającej.

– Nie.

Serce podchodzi mi do gardła, a na sali zapada taka cisza, że można by usłyszeć dźwięk przelatującej muchy.

To nie jest pierwszy raz.

Dziewczyna odchrząkuje.

– A jak często... te bariery słabną?

Profesor Markham mruży oczy.

– Nie posiadasz odpowiednich uprawnień, aby uzyskać tę informację, kadetko. – Przenosi uwagę na naszą drużynę. – Czy macie jakieś istotne pytania dotyczące omawianego tematu?

– Jakie straty poniosło skrzydło? – pyta student siedzący w moim rzędzie po prawej.

– Jeden ranny smok. Jeden martwy jeździec.

Przez salę przetacza się fala szeptów. To, że przetrwamy do końca uczelni, nie oznacza, że przeżyjemy na służbie. Statystyki mówią, że większość jeźdźców umiera przed osiągnięciem podeszłego wieku, tym bardziej jeśli wziąć pod uwagę zawyżoną śmiertelność w ostatnich dwóch latach.

– Dlaczego zadałeś akurat to pytanie? – zastanawia się Devera.

– Żeby wiedzieć, ile posiłków będą potrzebować – odpowiada.

Wykładowczyni kiwa głową i odwraca się w stronę Pryora, najbardziej nieśmiałego członka naszej drużyny, który właśnie uniósł rękę, ale szybko ją opuszcza, marszcząc ciemne brwi.

– Chciałeś o coś zapytać?

– Tak. – Kiwa głową, a kilka czarnych loków opada na jego oczy. Po chwili jednak rezygnuje. – Nie. Nieważne.

– Co za zdecydowanie – komentuje drwiąco Luca, uszczypliwa dziewczyna z naszej drużyny, której za wszelką cenę wolałabym unikać. Przekrzywia głowę, kiedy kadeci wokół niej wybuchają śmiechem, i przerzuca długie brązowe włosy przez ramię, podczas gdy kącik jej ust unosi się w kpiącym uśmiechu. Podobnie jak ja jest jedną z niewielu kobiet w naszym kwadrancie, które nie obcięły włosów. Zazdroszczę jej pewności siebie, która nie zostanie wykorzystana przeciwko niej, ale nie charakteru, mimo że poznałam ją zaledwie wczoraj.

– On należy do naszej drużyny – upomina ją Aurelie (choć nie jestem pewna, czy dobrze pamiętam jej imię) i groźnie mruży czarne oczy. – Okaż trochę lojalności.

– Proszę cię. Żaden smok nie będzie chciał związać się z chłopakiem, który nawet nie potrafi zdecydować, czy chce zadać pytanie. Poza tym widziałas go dzisiaj przy śniadaniu? Wstrzymał całą kolejkę, bo nie mógł się zdecydować, czy chce wziąć bekon czy kiełbaski. – Luca przewraca oczami obrysowanymi czarnym kohlem.

– Czy Czwarte Skrzydło skończyło już sobie dokuczać? – pyta Devera, unosząc brew.

– Zapytaj, na jakiej wysokości znajduje się wioska – mówię na ucho Rhiannon.

– Co? – Marszczy brwi.

– Po prostu zapytaj – odpowiadam, starając się pamiętać o poradzie Daina. Przysięgam, że czuję na sobie jego spojrzenie, mimo że siedzi siedem rzędów za mną. Nie zamierzam jednak się odwracać i sprawdzać tego, bo wiem, że gdzieś tam jest również Xaden.

– Na jakiej wysokości znajduje się wioska? – pyta Rhiannon.

Devera unosi brwi, przenosząc wzrok na moją koleżankę.

– Markham?

– Niecałe dziesięć tysięcy stóp – odpowiada. – A dlaczego pytasz?

Rhiannon zerka na mnie kątem oka i odchrząkuje.

– Po prostu wydaje się to dość wysoko jak na zaplanowany atak z gryfami.

– Dobra robota – chwale ją szeptem.

– To w istocie nieco zbyt wysoko jak na zaplanowany atak – odpowiada wykładowniczy. – Czy zechcesz mi powiedzieć dlaczego, kadetko Sorrengail? I może od tej pory raczyłabyś sama zadawać pytania? – Przeszywa mnie ostrym spojrzeniem, od którego robi mi się głupio.

Wszyscy obecni w pomieszczeniu kierują na mnie wzrok. Jeśli ktoś nie wiedział wcześniej, kim jestem, teraz nie ma już cienia wątpliwości. Znakomicie.

– Gryfy ani ich umiejętność przekazywania mocy nie są tak silne na dużych wysokościach – odpowiadam. – W normalnych warunkach nie daliby rady przeprowadzić tam ataku, chyba że wiedzieliby o osłabieniu bariery. Tym bardziej że wioska zdaje się oddalona od najbliższej strażnicy o około... ile, godzinę lotu? – Zerkam na mapę, żeby upewnić się, czy się nie ośmieszyłam. – To Chakir, prawda?

Szkolenie na skrybkę na coś się przydało.

– Tak. – Usta Devery unoszą się w kąciku. – Podążaj tym torem myśli.

Chwileczkę.

– A nie mówiła pani, że dotarcie na miejsce zajęło drużynie godzinę? – Mrużę oczy.

– Tak. – Patrzy na mnie wyczekująco.

– W takim razie już byli w drodze – stwierdzam, ale zaraz potem dociera do mnie, jak absurdalnie to zabrzmiało. Moje policzki zalewają się zarem, kiedy wokół wybucha salwa śmiechu.

– Tak, to ma sens. – Jack siedzący w rzędzie przede mną odwraca się i śmieje mi się w twarz. – Generał Melgren zna wynik bitew, zanim do nich dojdzie, ale nawet on nie wie, kiedy będą miały miejsce, kretynko.

Śmiech studentów rezonuje aż w moich kościach. Mam ochotę osunąć się pod to durne biurko i rozpląnąć w powietrzu.

– Odwal się, Barlowe – warczy Rhiannon.

– To nie ja wierzę w przewidywanie przyszłości – rzuca z drwiną. – Niech nas bogowie strzegą, jeśli ona kiedyś dosiędzie smoka. – Po kolejnej fali śmiechu płonie nawet moja szyja.

– Dlaczego tak uważasz, Violet... – Profesor Markham się krzywi. – Kadetko Sorrengail?

– Ponieważ nie da się logicznie wyjaśnić, jak dotarli tam w ciągu godziny, chyba że już byli w drodze – spieram się, posyłając Jackowi mrożące spojrzenie. Pieprzyć go i jego drwiny. Może i jestem od niego słabsza, ale za to o wiele mądrzejsza. – Zapalenie świateł ostrzegawczych w okolicy łańcucha górskiego i wezwanie pomocy zajęłoby przynajmniej pół godziny, a żadna pełna drużyna nie siedzi i nie czeka na wezwanie. Połowa jeźdźców pewnie wciąż by spała, dlatego żeby zdążyć, musieli być już w drodze.

– A dlaczego mieliby być w drodze? – ciągnie profesora Devera. Błysk w jej oku mówi, że mam rację i to dodaje mi odwagi, żeby podążyć dalej tym tokiem myślenia.

– Ponieważ jakimś cudem wiedzieli, że bariery pękają. – Zadzieram podbródek, jednocześnie mam nadzieję, że to prawda i modłę się do Dunne, bogini wojny, bym się myliła.

– To najbardziej... – zaczyna Jack.

– Ona ma rację – przerywa mu Devera i na sali zapada cisza. – Jeden ze smoków wyczuł osłabiającą się barierę i całe skrzydło poderwało się do lotu. Gdyby zwlekali, ofiar byłoby znacznie więcej, a wioska ucierpiałaby jeszcze bardziej.

Moją klatkę piersiową rozpira duma, którą szybko gasi spojrzenie Jacka przypominające, że nie zapomniał o swojej obietnicy i wciąż zamierza mnie zabić.

– Drugi i trzeci rok, teraz wasza kolej – rozkazuje wykładowczyni. – Sprawdźmy, czy potraficie odnosić się do swoich kolegów z nieco większym szacunkiem.

Patrzy wymownie na Jacka, a od siedzących za mną jeźdźców zaczynają napływać pytania.

Ilu jeźdźców zostało wysłanych na front?

Jak zginął ten nieszczęśnik?

Ile czasu zajęło pozbycie się gryfów z wioski?

Czy jacyś wrogowie przeżyli? Czy da się ich przesłuchać?

Zapisuję każde pytanie i odpowiedź, a mój umysł przetwarza fakty w raport, który wypełniłabym, gdybym teraz należała do Kwadrantu Skrybów – począwszy od najważniejszej informacji do tej najmniej istotnej.

– Jaki był stan wioski? – odzywa się głęboki głos z końca sali.

Włoski na moim karku stają dęba, moje ciało natychmiast rozpoznaje nadciągające zagrożenie.

– Riorson? – pyta Markham, osłaniając oczy przed magicznymi światłami, żeby spojrzeć na najwyżej położone siedzenia.

– Wioska – powtarza Xaden. – Profesora Devera powiedziała, że szkody mogły być większe, ale w jakim dokładnie była stanie? Spalono ją? Zdewastowano? Nie zniszczyliby jej, gdyby zamierzali ją zdobyć, dlatego stan wioski ma znaczenie, jeśli chcemy odkryć motyw ataku.

Devera uśmiecha się z aprobatą.

– Budynki, które już odwiedzili, zostały doszczętnie spalone, a resztę dopiero grabili, kiedy zjawilo się skrzydło.

– Szukali czegoś – stwierdza z całym przekonaniem Xaden. – I nie są to bogactwa. Ta wioska nie leżała w dystrykcie kopalni klejnotów. Stąd nasuwa się pytanie, co mamy takiego, na czym tak bardzo im zależy?

– Zgadza się. Oto najważniejsze pytanie. – Profesora rozgląda się po sali. – I właśnie dlatego Riorson jest dowódcą skrzydła. Trzeba czegoś więcej niż siła i odwaga, by być dobrym jeźdźcem.

– A więc jak brzmi odpowiedź? – pyta pierwszorocznik siedzący po lewej ode mnie.

– Nie wiemy – odpowiada wykładowczyni, wzruszając ramieniem. – To kolejny brakujący element układanki. Nie wiemy, dlaczego król Poromielu nieustannie odrzuca nasze prośby o pokój. Czego szukali? Dlaczego akurat ta wioska? Czy byli odpowiedzialni za osłabienie bariery, czy osłabła samoistnie? Jutro, za tydzień, za miesiąc dojdzie do kolejnego ataku i może wtedy dostaniemy następną wskazówkę. Jeśli chcecie odpowiedzi, szukajcie ich w historii. Poprzednie wojny już zostały wnikliwie przeanalizowane i wyciągnięto z nich wnioski. Na analizie wojennej omawiamy dynamicznie zmieniającą się sytuację. Chcemy nauczyć was stawiania właściwych pytań, abyście wszyscy mieli taką samą szansę na przetrwanie.

Coś w jej głosie mówi mi, że w tym roku nie tylko trzeciorocznicy mogą zostać wezwani na służbę, i zimny dreszcz spływa mi po plecach.

\* \* \*

y naprawdę znasz odpowiedź na każde pytanie i najwyraźniej wiesz, jakie pytania zadawać na analizie – stwierdza Rhiannon, kręcąc głową. **T**Niedawno skończyliśmy obiad i właśnie stoimy na obrzeżach maty sparingowej, obserwując, jak Ridoc i Aurelie krążą wokół siebie, odziani w skórzane stroje do walki. Zostali dobrani pod względem gabarytów. Ridoc jest drobnym chłopakiem, a Aurelie jest zbudowana jak Mira, co wcale mnie nie dziwi, bo rodzina od strony jej ojca również służy armii. – Ty nawet nie będziesz musiała uczyć się do testów, co?

Pozostali studenci pierwszego roku stoją po naszej stronie, a drugi i trzeci otacza nas półkolem. Mają znaczną przewagę, bo odbyli już przynajmniej rok treningu.

– Byłam szkolona, żeby zostać skrybką. – Wzruszam ramionami, a kamizelka od Miry delikatnie mieni się podczas ruchu. Czasami łuski pod kamuflującą siateczką odbijają światło, ale poza tym wygląda jak mundur, który otrzymaliśmy wczoraj od uczelni. Teraz wszystkie kobiety są ubrane podobnie, chociaż kroje skózanego stroju zostały dobrane według własnej preferencji.

Faceci są w większości półnadzy, ponieważ uważają, że koszulka dałaby przeciwnikowi szansę na złapanie ich. Nie zamierzam spierać się z ich logiką, więc wolę podziwiać widoki... Oczywiście z poszanowaniem, to znaczy skupiam wzrok na macie mojej drużyny i unikam patrzenia na dwadzieścia pozostałych, rozłożonych w wielkiej sali treningowej, która zajmuje cały parter skrzydła akademickiego. Jedna ze ścian jest w całości przeszklona, wszystkie okna i drzwi zostały pootwierane, żeby wpuścić świeże powietrze, chociaż wciąż jest tutaj nieznośnie gorąco. Pot spływa po moich plecach pod kamizelką.

Dzisiaj trenują po trzy drużyny z każdego skrzydła i – ale ze mnie szczęściara – Pierwsze Skrzydło wysłało tę, do której należy Jack Barlowe. Odkąd tu przyszedłam, chłopak rzuca mi mordercze spojrzenia z miejsca położonego dwie maty dalej.

– To chyba oznacza, że nie przejmujesz się nauką – stwierdza Rhiannon i marszczy brwi. Ona również wybrała skózaną kamizelkę, ale jej jest wycięta nad obojczykami i oplata szyję, pozostawiając ramiona nieskrępowane.

– Przestańcie krążyć wokół siebie jak w tańcu i zaatakujcie! – rozkazuje profesor Emetterio stojący po drugiej stronie maty obok Daina, który przygląda się pojedynekowi Ridoca i Aurelie wraz z Cianną, naszą zastępczynią dowódcy drużyny. Na szczęście Dain ma na sobie koszulkę, bo chyba nie byłabym w stanie się skupić, kiedy nadeszłyby moja kolej.

– Martwię się tym – przyznaję, wskazując na matę.

– Poważnie? – Posyła mi sceptyczne spojrzenie. Jej warkocze są zwinięte w ciasne koczki tuż nad karkiem. – Myślałam, że skoro nazywasz się



Sorrengeil, będziesz stanowić poważne zagrożenie.

– Nie do końca. – Kiedy Mira była w moim wieku, miała za sobą już dwanaście lat treningów, natomiast ja przeszłam tylko półroczne szkolenie, które wcale by mnie tak nie martwiło, gdyby nie fakt, że jestem krucha jak porcelanowa laleczka, ale mówi się trudno.

Ridoc rzuca się na Aurelie, ale dziewczyna robi unik i próbuje podciąć mu nogi. Przeciwnik chwieje się, ale nie upada; obraca się szybko, zaciskając sztylet w dłoni.

– Nie używamy dzisiaj żadnej broni! – grzmi Emetterio z drugiego końca maty. To dopiero czwarty profesor, którego poznałam, ale – jak do tej pory – uznałam go za najbardziej przerażającego. A może po prostu postrzegam jego krępą sylwetkę jako gigantyczną przez pryzmat przedmiotu, którego naucza. – Dzisiejsze zajęcia to tylko weryfikacja umiejętności!

Ridoc warczy niezadowolony i chowa sztylet, w ostatniej chwili unikając prawego sierpowego Aurelie.

– Brunetka ma niezły cios – komentuje z uznaniem Rhiannon, a potem zerka w moją stronę.

– A ty? – pytam, kiedy Ridoc zamierza się na żebra dziewczyny.

– Szlag! – Chłopak kręci głową i robi krok w tył. – Nie chcę zrobić ci krzywdy. Aurelie łapie się za żebra, ale zadziera podbródek wysoko.

– Kto powiedział, że zrobiłeś mi krzywdę?

– Powstrzymywanie się od ciosów robi jej większą krzywdę – oznajmia Dain, krzyżując ramiona na klatce piersiowej. – Jeśli spadnie ze smoka na terenie wroga, Cygnisi z północno-wschodniej granicy nie będą traktować jej ulgowo tylko dlatego, że jest kobietą, Ridoc. Zabiją ją jak wszystkich innych.

– Dalej! – krzyczy Aurelie i zachęca chłopaka ruchem palca. Widać, że większość kadetów trenowała całe swoje życie, żeby znaleźć się w kwadrancie. Szczególnie Aurelie, która unika ciosu Ridoca i obraca się, żeby wbić pięść w okolice jego nerek.

– Aua!

– To... kurde – mamrocze Rhiannon, obrzucając dziewczynę kolejnym spojrzeniem, a potem odwraca się w moją stronę. – Całkiem dobrze radzę sobie na macie. Moja wioska znajduje się tuż przy cygniskiej granicy, więc wszyscy dość wcześnie musieliśmy nauczyć się bronić. Fizyka i matematyka też nie stanowią dla mnie problemu, ale historia? – Kręci głową. – Te zajęcia mnie wykończą.

– Nie zabiją cię za to, że nie zaliczysz historii – zapewniam. Ridoc rzuca się na Aurelie i powala ją na matę z taką siłą, że aż robi mi się słabo. – Za to ja umrę na tych matach.

Dziewczyna owija wokół niego nogi i jakimś cudem udaje jej się znaleźć na górze. Zaczyna okładać go pięściami po twarzy, przez co krew tryska na matę.

– Chyba mogę podzielić się kilkoma wskazówkami na temat tego, jak przetrwać w trakcie ćwiczeń – odzywa się stojący obok Rhiannon Sawyer i przesuwa ręką po jednodniowym brązowym zaroście, który nie zakrywa jego piegowatej twarzy. – Ale historia też nie jest moją mocną stroną.

Zauważam ząb wylatujący w powietrze. Żółć podchodzi mi do gardła.

– Wystarczy! – krzyczy profesor.

Aurelie zsuwa się z Ridoca i wstaje. Dziewczyna dotyka palcami rozwalonej wargi i przygląda się krwi, a potem wyciąga do niego rękę, żeby pomóc mu wstać.

Ridoc się nie opiera.

– Cianna, zabierz Aurelie do medyków. Szkoda by było stracić ząb podczas próbnego treningu.

– Dogadajmy się – proponuje Rhiannon, patrząc na mnie swymi brązowymi oczami. – Pomóżmy sobie nawzajem. My przeszkolimy cię w walce, a ty pomożesz nam z historią. Co ty na to, Sawyer?

– Świetny pomysł.

– Umowa stoi. – Przelykam ślinę, kiedy chłopak z trzeciego roku wyciera matę ręcznikiem. – Wydaje mi się, że ja wyjdę na tym lepiej.

– Chyba nie widziałaś, jak kiepsko idzie mi zapamiętywanie dat – żartuje Rhiannon.

Dwie maty dalej rozlega się krzyk i wszyscy odwracamy się w stronę źródła dźwięku. Jack Barlowe trzyma za szyję kolejnego pierwszoroczniaka. Chłopak jest niższy i chudszy od Jacka, ale i tak dobre pięćdziesiąt funtów cięższy ode mnie.

Jack mocniej zaciska ramię pod jego szyją.

– Ten gość tak mnie wkurza, że... – zaczyna Rhiannon.

Nagle na sali rozlega się mdlący odgłos pękających kości i pierwszak wiotczeje w uścisku Jacka.

– Słodki Maleku – szepczę, kiedy Jack rzuca chłopaka na matę. Zaczynam się zastanawiać, czy bóg śmierci mieszka tutaj, skoro jego imię jest tak często wzywane. Mój obiad chce się wydostać na zewnątrz, ale wdycham powietrze nosem i wypuszczam ustami. Niestety nie mogę usiąść z głową ukrytą między kolanami.

– Co ja mówiłem? – krzyczy ich instruktor, rzucając się w stronę maty. – Oszalałeś? Skręciłeś mu kark!

– Skąd miałem wiedzieć, że ma tak kruchą szyję? – spiera się Jack.

„Jesteś już martwa, Sorrengail. I to ja cię zabiję”. Przypomina mi się jego wczorajsza groźba.

– Wzrok skierowany naprzód – rozkazuje Emetterio, ale jego głos brzmi łagodniej niż wcześniej. Odwracamy spojrzenia od martwego chłopaka. – Nie musicie się do tego przyzwyczajać – oznajmia – ale musicie się nauczyć, jak sobie z tym radzić. Ty i ty. – Wskazuje na Rhiannon i chłopaka z naszej drużyny. Jest krępy, ma kruczoczarne włosy i kanciaste rysy twarzy. Nie pamiętam jego imienia. Trevor? Może Thomas? Tu jest zbyt wielu ludzi, by ich wszystkich spamiętać.

Zerkam na Daina, ale on przygląda się parze wchodzącej na matę.

Rhiannon porusza się zwinnie jak na studentkę pierwszego roku i zaskakuje mnie za każdym razem, kiedy unika ciosu albo zadaje własny. Jest szybka i silna – to śmiertelne połączenie, dzięki któremu wyróżnia się tak jak Mira.

– Poddajesz się? – pyta chłopaka, kiedy przyciska go do maty, zatrzymując rękę nad jego gardłem przygotowaną do ciosu.

Może Tanner? Jestem niemal pewna, że coś na „T”.

– Nie! – krzyczy i owija nogi wokół bioder Rhiannon, a następnie przewraca ją na plecy. Ona jednak szybko się przetacza, podnosi i wbija go w matę tak samo jak wcześniej, tym razem przyciskając but do jego szyi.

– No nie wiem, Tynan, może lepiej się poddaj – stwierdza Dain z szerokim uśmiechem. – Rozłożyła cię na łopatki.

Ach, racja. Tynan.

– Odwal się, Aetos! – warczy chłopak, ale Rhiannon mocniej wbija podszewę w jego gardło. To ona ma ostatnie słowo. Twarz Tynana pokrywa się czerwonymi plamami.

Okazuje się, że Tynan może pochwalić się tylko wybujałym ego, bo na pewno nie rozumem.

– Poddaje się – woła Emetterio, a Rhiannon robi krok w tył i wyciąga do chłopaka rękę.

Tynan ją przyjmuje.

– Ty... – Profesor wskazuje na różowowłosą dziewczynę z drugiego roku, tę z piętnem rebelii. – I ty. – Celuje palcem we mnie.

Jest przynajmniej o głowę wyższa ode mnie i jeśli reszta jej ciała jest tak samo umięśniona jak ramiona, to mam przesrane.

Nie mogę pozwolić, by mnie dorwała.

Serce wali mi tak szybko, jakby chciało wyrwać się z piersi, ale kiwam głową i wchodzę na matę.

– Dasz sobie radę – zapewnia mnie Rhiannon i klepie po ramieniu, kiedy się mijamy.

– Sorrengail. – Różowowłosa patrzy na mnie jak na robaka przyklejonego do podeszwy buta i mruży bladozielone oczy. – Powinnaś pofarbować włosy, jeśli nie chcesz, by wszyscy wiedzieli, kto jest twoją matką. Jesteś jedynym srebrnowłosym dziwadłem w tym kwadrancie.

– Nie przejmuję się tym, że inni dowiedzą się o mojej matce. – Okrażam dziewczynę na macie. – Jestem dumna z tego, że chroni nasze królestwo przed wrogami, zarówno tymi z zewnątrz, jak i z wewnątrz.

Mocno zaciska szczęki, wpieniona komentarzem, a w mojej klatce piersiowej kielkuje nadzieja. Naznaczeni – bo, jak dzisiaj słyszałam, tak niektórzy odnoszą się do osób mających na ręce piętno rebelii – winią moją matkę za egzekucję swoich rodziców. Dobra. Mogą mnie nienawidzić. Mama zawsze powtarza, że jeśli pozwolisz sobie na emocje w trakcie walki, to już przegrałeś. Chociaż raz pragnęłam, by moja zlodowaciała matka miała rację.

– Ty suko – syczy. – Twoja matka zamordowała moją rodzinę.

Rzuca się na mnie i energicznie zamierza, ale błyskawicznie robię krok w bok z uniesionymi rękami. Wykonujemy ten taniec przez kilka rund, a mnie udaje się trafić ją kilka razy. Zaczynam myśleć, że mój plan może zadziałać.

Warczy gardłowo, kiedy znowu pudłuje i wymierza mi kopniaka w głowę, ale z łatwością się uchylam, jednak zaraz potem opada na matę i wykonuje kopnięcie drugą nogą. Trafia mnie w klatkę piersiową, wskutek czego zataczam się w tył i zaliczam bliskie spotkanie z matą. Różowowłosa natychmiast zawisa nade mną.

– Nie możesz wykorzystywać tu swoich mocy, Imogen! – upomina Dain.

Imogen robi wszystko, żeby mnie zabić.

Uśmiecha się do mnie i szybko przesuwa czymś ostrym po moich żebrach. Kiedy obie spuszczaamy głowę, jej mina rzednie. Zauważam, że mój sztylet wysunął się z pochwy.

Zbroja właśnie uratowała mi życie. *Dziękuję, Miro.*

Na twarzy Imogen maluje się zdziwienie, dzięki czemu mam okazję zdzielić ją pięścią w policzek i przetoczyć się na bok.

Moja ręka pulsuje bólem, mimo że na pewno zacisnęłam pięść poprawnie, ale staram się go zablokować, kiedy obie stajemy na nogach.

– Co to za zbroja? – pyta, patrząc na moje żebra. Znowu zaczynamy się okrażać.

– Moja. – Robię unik, kiedy znowu mnie atakuje, jednak jej ruchy rozmywają mi się przed oczami.

– Imogen! – krzyczy Emetterio. – Jeśli zrobisz to jeszcze raz, zostaniesz...

Tym razem uchylam się w złą stronę i dziewczyna łapie mnie, przyciska mi twarz do maty, a następnie wbija kolano w moje plecy i unieruchamia prawą

rękę z tyłu.

– Poddaj się! – krzyczy.

Nie mogę. Jeśli odklepię pierwszego dnia, co mnie czeka w kolejnym?

– Nie! – Teraz to ja tracę zdrowy rozsądek, tak jak Tynan, a jestem o wiele bardziej krucha.

Mocniej ciągnie mnie za rękę i ból pochłania wszelkie moje myśli, a wzrok zasnuwa się czernią. Wirywa mi się krzyk, kiedy więzadła naciągają się, nadrywają i pękają.

– Poddaj się, Violet! – warczy Dain.

– Poddaj się! – rozkazuje Imogen.

Jej ciężar dociska mnie tak bardzo, że nie mogę złapać oddechu. Odwracam twarz w drugą stronę, kiedy szarpie za moje ramię. Ból jest nie do zniesienia.

– Poddaje się – oznajmia Emetterio. – Dostyc tego.

I znowu słyszę ten makabryczny dźwięk pękającej kości. Jednak tym razem jest to moja ręka.

*W mojej opinii ze wszystkich mocy, które jeźdźcy otrzymują od smoków, odnowienie jest najcenniejsze. To jednak nie oznacza, że możemy spocząć na laurach, albowiem moce te występują niezwykle rzadko, rannych zaś jest całe mnóstwo.*

*Współczesny podręcznik dla odnowicieli* autorstwa majora Fredericka



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

**M**oje ramię i pierś zalewa fala bólu. Dain wynosi mnie ukrytym wyjściem, ciągnącym się nad wąwozem w stronę Kwadrantu Medyków. Można powiedzieć, że to kamienny most otoczony głazami, więc bardziej kojarzy się z zawieszonym tunelem z kilkoma oknami, ale nie myślę teraz na tyle jasno, by się temu przyjrzeć. Dain pokonuje go pospiesznie.

– Jesteśmy już niemal na miejscu – zapewnia. Trzyma mnie na wysokości zeber i pod kolanami – stanowczo, ale ostrożnie, a moja bezwładna ręka spoczywa oparta o jego klatkę piersiową.

– Wszyscy widzieli, że straciłeś nad sobą panowanie – szepczę, starając się wyprzeć ból z umysłu. Robiłam tak już wielokrotnie. Zazwyczaj jest to tak proste jak wzniesienie mentalnego muru wokół pulsującego bólu w moim ciele, a potem wystarczy sobie wmówić, że ból istnieje jedynie w tej zamkniętej przestrzeni, a ja go nie czuję. Tym razem to nie działa.

– Wcale nie straciłem nad sobą panowania. – Kiedy docieramy do drzwi, kopie w nie trzykrotnie.

– Krzyczałeś i wyniosłeś mnie stamtąd, jakbym coś dla ciebie znaczyła. – Skupiam się na bliźnie przecinającej jego podbródek, na zaroście pokrywającym opaloną skórę, byle tylko nie myśleć o bólu przeszywającym moje ramię.

– Bo tak jest. – Znowu kopie w drzwi.

*I teraz wszyscy o tym wiedzą.*

Drzwi się otwierają i Winifred, medyczka, która składała mnie do kupy więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć, robi krok w tył, żeby wpuścić Daina.

– Kolejny ranny? Wy, jeźdźcy, nie pozwalacie nam się nudzić... O nie, Violet?  
– Otwiera szeroko oczy.

– Cześć, Winifred – udaje mi się wydusić.

– Tędy. – Prowadzi nas do podłużnej sali z łózkami. Połowę z nich zajmują ubrani w czerń jeźdźcy. Medycy nie władają żadną magią, polegają na tradycyjnych nalewkach i medycznym przeszkoleniu, żeby zrobić, co w ich mocy, w przeciwieństwie do odnowicieli. Oby Nolon miał dzisiaj zmianę, bo to on stawiał mnie na nogi przez ostatnie pięć lat.

Moc uzdrawiania jest niezwykle rzadka wśród jeźdźców. Taka osoba potrafi naprawić wszystko, przywrócić to do pierwotnego stanu – od podartych ubrań po zawałone mosty, a nawet złamane ludzkie kości. Odnowicielem był mój brat Brennan – i stałby się najsilniejszym, jaki istniał.

Dain delikatnie kładzie mnie na łóżku, które podprowadza Winifred. Kobieta pochyla się nade mną i pomarszczoną dłonią gładzi moje czoło, patrząc na mnie z troską.

– Helen, idź po Nolona – rozkazuje czterdziestoletniej medyczce, która właśnie przechodzi obok.

– Nie! – wykrzykuje spanikowanym głosem Dain.

Słucham?

Kobieta w średnim wieku przeskakuje wzrokiem między Dainem a Winifred, wyraźnie rozdarta.

– Helen, to Violet Sorrengail i jeśli Nolon dowie się, że była tutaj, a ty go nie wezwałaś, to... cóż, sama za to odpowiesz – stwierdza ze zwodniczym spokojem Winifred.

Pomimo pulsującego rwania w ramieniu próbuję się skupić na Dainie, ale pomieszczenie zaczyna wirować. Chcę zapytać, dlaczego jest przeciwny odnowicielowi, ale w tym momencie uderza we mnie spazm bólu i niemal tracę przytomność. Wyrывa mi się cichy jęk.

– Idź po Nolona, bo w przeciwnym razie pozwoli swojemu smokowi zjeść cię żywcem. I nie powstrzyma go ta twoja kwaśna mina, Helen. – Winifred unosi srebrną brew i ignoruje Daina, który wciąż upiera się, by nie wzywać odnowiciela.

Kobieta robi się biała jak płótno i znika.

Dain z zgrzytem przesuwając drewniane krzesło bliżej mojego łóżka.

– Violet, wiem, że cierpisz, ale może...

– Może co, Dainie Aetosie? Chcesz patrzeć, jak skręca się z bólu? – poucza go Winifred. – Mówiłam jej, że oni cię skrzywdzą – mamrocze nade mną,

przyglądając mi się z z troskaniem. Winifred jest najlepszą medyczką w Basgii, sama przygotowuje wywary, które przepisuje chorym, i widziała wszystkie moje rany. – Ale czy ona mnie słuchała? W żadnym razie. Twoja matka jest uparta jak osioł.

Krzywię się, kiedy delikatnie unosi moją rękę.

– Cóż, bez wątpienia złamana. – Winifred cmoka z dezaprobatą, marszcząc brwi. – I wygląda na to, że będziemy potrzebować chirurga do tego ramienia. Co się stało? – zwraca się do Daina.

– Sparing – wyjaśniam krótko.

– Ty siedź cicho. Oszczędzaj siły. – Winifred ponownie przenosi wzrok na mojego przyjaciela. – Przydad się do czegoś chłopcze i zaciągnij zasłony. Im mniej osób widzi ją w takim stanie, tym lepiej.

Dain zrywa się na równe nogi i zaciąga niebieski materiał wokół nas, tworząc małą, ale szczelnie osłoniętą przestrzeń, z dala od ciekawskiego wzroku innych jeźdźców.

– Wypij. – Winifred wyciąga zza pasa fiołkę bursztynowego płynu. – Pomoże na ból, póki cię nie poskładamy.

– Nie możesz prosić go, żeby ją uzdrowił – protestuje Dain, kiedy ona odkorkowuje szklane naczynie.

– Leczymy ją w ten sposób od pięciu lat – poucza go i przysuwa fiołkę bliżej moich ust. – Nie mów mi, co mam robić.

Dain wsuwa jedną rękę pod moje plecy, a drugą pod głowę i pomaga mi usiąść, żebym wypila płyn. Jest gorzki jak zawsze, ale przełykam go, bo wiem, że zadziała. Przyjaciel odkłada mnie na łóżko i zwraca się do Winifred:

– Nie chcę, żeby cierpiała i właśnie dlatego tu jesteśmy. Ale skoro została tak poważnie ranna, na pewno możemy sprawdzić, czy skrybowie przyjmą ją z opóźnieniem. Minał tylko dzień od poboru.

Dociera do mnie powód, dla którego chciał pozbawić mnie pomocy uzdrowiciela, i mój gniew przedziera się przez ból na tyle, że jestem w stanie wycedzić:

– Nie wybieram się do Kwadrantu Skrybów.

Wzdycham i zamykam oczy, kiedy przyjemne otępienie rozlewa się po moich żyłach. Zaraz potem cierpienie przygasa wystarczająco, bym mogła myśleć w miarę jasno. Otwieram oczy.

Okazuje się jednak, że właśnie trwa rozmowa, której w ogóle nie słyszałam, więc ewidentnie musiało upłynąć kilka chwil.

Zasłona rozsuwa się z szelestem i do mojego łóżka podchodzi Nolon, opierając się mocno na swojej lasce. Uśmiecha się do żony, a jego śnieżnobiałe zęby kontrastują wyraźnie z brązową skórą.



– Wzywałaś mnie, moja... – Uśmiech spływa z jego twarzy, kiedy mnie zauważa. – Violet?

– Cześć, Nolonie. – Zmuszam się do uśmiechu. – Pomachałabym, ale jednorękami nie działa druga jest zbyt ciężka. – Na bogów, czy ja mówię niewyraźnie?

– Serum przeciwbólowe – oznajmia Winifred i posyła mężowi krzywy uśmiech.

– Przyszła z tobą, Dain? – Nolon obrzuca mojego przyjaciela oskarżycielskim spojrzeniem, a ja znowu czuję się, jakbym miała piętnaście lat i znalazła się tutaj ze skreconą kostką, bo wspinaliśmy się w miejscu, w którym nawet nie powinno nas być.

– Jestem dowódcą jej drużyny – odpowiada Dain i odsuwa się, żeby Nolon mógł podejść bliżej. – Pomyślałem, że przyjęcie jej pod swoje skrzydła będzie najlepszym sposobem na ochronę.

– Chyba nie idzie ci za dobrze, hm? – Nolon mruży oczy.

– Dzisiaj odbyły się pierwsze pojedynki weryfikujące umiejętności – wyjaśnia Dain. – Imogen, dziewczyna z drugiego roku, wybiła jej bark i złamała rękę.

– Na weryfikacji? – warczy Nolon i rozcina sztyłem swoją koszulkę z krótkim rękawem. Mężczyzna ma osiemdziesiąt cztery lata, a wciąż nosi czerń i jest uzbrojony po zęby.

– Jej matka byyyła... jedną z seppa...sepppara... sssseparatyssstów Fennna Riorsona – wyjaśniam powoli, starając się wymawiać starannie każde słowo, ale chyba mi nie wychodzi. – A jaaa... nazywam sssię Sorrengail, więc rozumiem.

– A ja nie – burczy Nolon. – Nigdy nie zgadzałem się z tym, żeby w ramach kary wysyłać dzieci do Kwadrantu Jeźdźców za winy ich rodziców. I mam ku temu dobry powód. Większość kadetów umiera przed trzecim rokiem. I zapewne taki był cel. Mimo to nie powinnaś cierpieć w imię swojej matki. Generała Sorrengail uratowała Navarrę, bo udało jej się pojmać Wielkiego Zdrajcę.

– A więc jej nie uzdrowisz, prawda? – pyta cicho Dain, żeby nikt nie słyszał go zza zasłony. – Ja tylko proszę, żeby medycy zrobili, co do nich należy i pozwolili, by doszła do siebie o własnych siłach. Bez magii. Nie będzie miała szans, jeśli wróci tam w gipsie albo będzie musiała się bronić z ramieniem ledwo co wygojonym po operacji. Po ostatniej odzyskała siły dopiero po czterech miesiącach. To nasza szansa, by wydostać ją z Kwadrantu Jeźdźców, póki jeszcze oddycha.

– Nie idę do skyfów. – I znowu bełkoczę. – Skyfów – powtarzam. – Skyfów. – A, pieprzyć to. – Ulecz mnie.

– Zawsze cię ulecę – obiecuje Nolon.

– Tylko. Ten. Jeden. Raz. – Koncentruję się na każdym słowie. – Jeśli. Inni. Zobaczą. Że. Potrzebuję. Uzdrawienia. Cały czas. Pomyślą. Że. Jestem. Słaba.

– Właśnie dlatego musimy wykorzystać okazję, żeby cię stąd wydostać! – Panika w głosie Daina narasta, a moje serce kurczy się boleśnie. Nie może chronić mnie przed wszystkim, a patrzenie, jak cierpię i prędzej czy później umieram, w końcu go zniszczy. – Opuśczenie tego miejsca i dostanie się prosto do Kwadrantu Skrybów to twoja najlepsza szansa na przetrwanie.

Piorunuję Daina wzrokiem i ostrożnie wymawiam każde słowo.

– Nie. Opuśczę. Jeźdźców. Żeby mama. Mnie tu znowu. Wysłała. Zostaję. – Odwracam głowę. Pomieszczenie wiruje, mimo to zwracam się do Nolona. – Ulecz mnie... ale tylko ten jeden raz.

– Wiesz, że będzie piekielnie boleć w trakcie, a potem jeszcze przez około dwa tygodnie, prawda? – upewnia się Nolon. Siada na krześle przy moim łóżku i patrzy na moje ramię.

Kiwam głową. To nie jest moje pierwsze uzdrawianie. Kiedy jest się tak kruchym jak ja, ból wynikający z uleczenia trwa zaledwie sekundę w porównaniu z pierwotnym. Dla mnie to chleb powszedni.

– Proszę cię, Vi – błaga łagodnie Dain. – Proszę cię, przejdź do innego kwadrantu. Jeśli nie chcesz tego zrobić dla siebie, to chociaż dla mnie, bo nie mogę znieść myśli, że nie wtrąciłem się wystarczająco szybko. Nie powstrzymałem jej. Nie jestem w stanie cię bronić.

Żałuję, że nie zorientowałam się, jakie ma zamiary, zanim wypilałam miksturę od Winifred, bo mogłabym mu to lepiej wyjaśnić. To nie była jego wina, a mimo to i tak weźmie ją na siebie. Jak zawsze zresztą. Biorę głęboki wdech i oznajmiam:

– Podjęłam decyzję.

– Wracaj do kwadrantu, Dain – rozkazuje Nolon, nie odrywając ode mnie wzroku. – Gdyby była zwykłą studentką pierwszego roku, już dawno byś sobie poszedł.

Dain wbija we mnie udręczony wzrok, a ja upieram się dalej:

– Idź. Znajdę cię rano na zbiorce. – Nie chcę oglądać go w takim stanie.

Przełyka porażkę i kiwa głową, a następnie bez słowa odsuwa zasłonę i wychodzi. Mam szczerą nadzieję, że dzisiejszy wybór nie przyczynił się do rozpadu jedynej przyjaźni w moim życiu.

– Gotowa? – pyta Nolon, kiedy jego ręce zawisają nad moim ramieniem.

– Zagryź. – Winifred przysuwa do moich ust skórzany pas, a ja umieszczam go między zębami.

– To do dzieła – rzuca Nolon i unosi dłonie. Marszczy brwi z koncentracją, a potem wykonuje dłońmi ruch naśladowujący skręt.

W moim ramieniu eksploduje palący ból. Krzyczę, mocno zaciskając zęby na pasku. Wytrzymuję sekundę, a po drugiej tracę przytomność.

\* \* \*

**K**iedy wieczorem wracam do kwadrantu, niemal wszyscy studenci są już w koszarach. Tulę do siebie prawą rękę w jasnoniebieskim temblaku, przez co rzucam się w oczy jeszcze bardziej niż zazwyczaj.

Temblak to znak, że jestem „słaba”. Określą mnie mianem „kruchej”. „Słabego ogniwa skrzydła”. Skoro tak łatwo mnie zranić na macie, to co stanie się na grzbiecie smoka?

Słońce już dawno zaszło, jednak korytarze oświetlają miękkie magiczne światła, kiedy kobiety z pierwszego roku przygotowują się do spania. Uśmiecham się do dziewczyny, która trzyma przy nabrzmiałej wardze przesiąkniętą krwią szmatkę, a ona odpowiada mi tym samym z wyraźnym wysiłkiem.

Doliczam się trzech pustych łóżek w naszym rzędzie, ale to jeszcze nie oznacza, że te kadetki nie żyją, prawda? Wciąż mogą tkwić w Kwadrancie Medyków, tak jak ja, a może dopiero się myją.

– Wróciłaś! – Rhiannon zeskakuje z łóżka. Ma na sobie spodenki i koszulkę do spania, a w jej oczach oraz uśmiechu dostrzegam ulgę na mój widok.

– Tak – odpowiadam. – Straciłam jedną koszulkę, ale wróciłam.

– Jutro dadzą ci kolejną w punkcie zaopatrzenia. – Wygląda tak, jakby chciała mnie uściskać, ale zauważa mój temblak i robi krok w tył. Zajmuje miejsce na swoim łóżku, a ja siadam na swoim, twarzą do niej. – To coś poważnego?

– Będzie bolało przez kilka dni, ale wszystko się zagoi, o ile będę trzymać rękę unieruchomioną. Dojdę do siebie, zanim zaczną się kolejne wyzwania na macie.

Mam dwa tygodnie, żeby wymyślić, jak nie dopuścić więcej do takiej sytuacji.

– Pomogę ci się przygotować – obiecuje. – Jesteś tu moją jedyną koleżanką, więc wolałabym, żebyś nie umarła, kiedy zrobi się poważnie. – Kącik jej ust unosi się nieznacznie.

– Postaram się. – Uśmiecham się pomimo pulsowania w ręce i barku. Mikstura już dawno przestała działać i ból zaczyna być nie do zniesienia. – A ja pomogę ci z historią. – Opieram ciężar ciała na lewej ręce. Moja dłoń wsuwa się pod poduszkę.

Coś tam jest.

– Będziemy niepowstrzymane – oznajmia Rhiannon, śledząc wzrokiem Tarę, ciemnowłosą, tęszą dziewczynę z Morraine, która właśnie przechodzi obok naszych łóżek.

Wyciągam niewielką książkę – nie, to dziennik – z załączonym liścikiem, na którego wierzchu zauważam słowo „Violet”. To pismo Miry. Rozkładam kartkę jedną ręką.

*Violet,*

*dzisiaj rano zostałam na tyle długo, by poczekać na odczytanie zwoju i na szczęście Twojego nazwiska nie usłyszałam. Nie mogę tu dłużej zostać. Muszę wracać do mojego skrzydła, a nawet gdybym mogła, nie pozwolono by mi się z Tobą zobaczyć. Przekupiłam skrybę, żeby zakradł się do Twojego łóżka. Jestem dumna z tego, że mogę być Twoją siostrą. Mam nadzieję, że o tym wiesz. Brennan spisał dla mnie wszystkie cenne informacje w formie dziennika tuż przed tym, jak dostałam się do kwadrantu. To pomogło mi przetrwać i mam nadzieję, że Tobie również się przyda. Dodałam od siebie kilka własnych wskazówek, ale większość pochodzi od niego. Wiem, że chciałby Ci to przekazać. Chciałby, żebyś przeżyła.*

*Kocham Cię,  
Mira*

Przełykam gulę i odkładam list.

– Co to? – pyta Rhiannon.

– Dziennik mojego brata – słowa ledwie przechodzą mi przez gardło, kiedy otwieram prezent. Po jego śmierci matka spaliła wszystko, co do niego należało, zgodnie z wieloletnią tradycją. Minęły wieki, odkąd po raz ostatni widziałam jego zamaszyste pismo. Czuję ucisk w klatce piersiowej i zalewa mnie ponowne uczucie tęsknoty. – Dziennik Brennana – odczytuję napis z pierwszej strony i przewracam na kolejną.

*Miro,*

*masz na nazwisko Sorrengail, więc na pewno przetrwasz. Być może nie ukończysz uczelni z takim przytupem jak ja, ale nie każdy może się ze mną równać, prawda? Dobra, żarty na bok. Tu znajdziesz wszystko, czego się nauczyłem. Pilnuj tego dziennika. Trzymaj go w bezpiecznym miejscu. Musisz przetrwać, ponieważ Violet wszystko widzi. Nie możesz pozwolić, by patrzyła na Twoją porażkę.*

*Brennan*

Łzy pieką mnie pod powiekami, ale je powstrzymuję.

– To tylko jego dziennik – kłamie i kartkuje notatnik. Kiedy przesuwam wzrokiem po słowach, dosłownie słyszę jego cięty, sarkastyczny ton głosu. Do każdego niebezpieczeństwa podchodzi z uśmiechem i swobodą. Cholera, tęsknię za nim. – Zmarł pięć lat temu.

– Och, to... – Rhiannon nachyla się, a jej oczy wypełnia współczucie. – My również nie palimy wszystkiego. Czasami miło mieć jakąś pamiątkę, wiesz?

– Tak – odpowiadam szeptem. Dla mnie to najcenniejszy skarb, a mimo to wiem, że jeśli mama kiedykolwiek go znajdzie, wrzuci go do ognia.

Rhiannon rozsiada się na swoim łóżku i otwiera podręcznik do historii, a ja zanurzam się w historii Brennana, zaczynając od trzeciej strony.

*Przetrwałaś spacer po moście. Znakomicie. Przez kilka następnych dni skup się na obserwowaniu otoczenia i nie ściągaj na siebie uwagi. Narysowałem mapę, na której znajdziesz nie tylko sale wykładowe, ale również miejsca spotkań instruktorów. Wiem, że denerwujesz się wyzwaniem, ale wierz mi, nie ma takiej potrzeby – masz niezły prawy sierpowy. Pojedyńki wydają się przypadkowe, ale takie nie są. Instruktorzy nie mówią ci, że ustalają wyzwania na tydzień wcześniej, Miro. Oczywiście każdy kadet może rzucić komuś wyzwanie, ale instruktorzy parują przeciwników tak, by wyeliminować najłabszych. To oznacza, że kiedy zaczną się prawdziwe pojedynki, instruktorzy już będą wiedzieć, z kim przyjdzie ci się zmierzyć. A oto cały sekret – jeśli wiesz, gdzie szukać i potrafisz wykraść się niepostrzeżenie, dowiesz się, kto będzie twoim partnerem, żebyś mogła się przygotować.*

Wstrzymuję oddech i doczytuję wpis, a nadzieja rozkwita w mojej klatce piersiowej. Jeśli dowiem się, z kim będę walczyć, to będę mogła zacząć pojedynek, zanim w ogóle znajdziemy się na macie. Moje myśli wirują, a w głowie zaczyna tworzyć się plan.

Dwa tygodnie. Właśnie tyle czasu potrzebuję, żeby przygotować wszystko przed wyzwaniem. Nikt nie zna uczelni lepiej niż ja sama. Wszystko, czego potrzebuję, znajduje się tutaj.

Uśmiech powoli rozciąga się na mojej twarzy. Już wiem, jak przetrwać.

*Aby zachować pokój w Navarze, do drużyn w danym kwadrancie może zostać przypisanych nie więcej niż trzech kadetów z piętnem rebelii.*

*Aneks 5.2 do Kodeksu Postępowania Uczelni Wojskowej Basgiath*

*Oprócz zeszłorocznych zmian zabrania się tworzenia grup naznaczonych, składających się z trzech lub więcej członków. Zostanie to uznane za akt podlegający do konspiracji, co stanowi zbrodnię karaną śmiercią.*

*Aneks 5.3 do Kodeksu Postępowania Uczelni Wojskowej Basgiath*



## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

**N**iech to szlag – mamroczę, gdy potykam się o kamień i wpadam w trawę do pasa, która porasta brzeg rzeki tuż pod cytadelą. Drogę oświetla mi księżyc w pełni, co niestety oznacza, że pocę się niemiłosiernie w pelerynie, która pozwala mi przejść niezauważenie. Włożyłam ją na wszelki wypadek, żeby ukryć się przed tymi, którym zachciałoby się szwendać po wybiciu ciszy nocnej.

Rzeka Lakobos spływa ze szczytów pode mną, a letnie prądy są o tej porze roku wyjątkowo gwałtowne i niebezpieczne, szczególnie w miejscu stromego zbocza wąwozu. Nic dziwnego, że wczoraj kadet z pierwszego roku, który spadł tu w trakcie naszego wolnego czasu, nie przeżył upadku. Od spaceru po moście nasza drużyna jest jedyną w całym kwadrancie, która nie straciła żadnego członka, ale wiem, że w tej bezlitosnej szkole nie można długo cieszyć się takim szczęściem.

Poprawiam na temblaku pas ciężkiej torby i podchodzę bliżej do rzeki, do miejsca, gdzie rosną stare dęby. Wiem, że wkrótce zaczną dojrzewać jagody wichrzypnacza oplatające jedną z gałęzi. Dojrzałe fioletowe owoce są kwaśne i ledwie jadalne, ale zebrane przedwcześnie i ususzone będą stanowić

wspaniały dodatek do mojego „arsenału”. Od dziewięciu nocy zbieram jego części w trakcie moich potajemnych wycieczek. Właśnie dlatego zabrałam ze sobą księgę trucizn.

Wyzwania zaczynają się już w przyszłym tygodniu, więc potrzebuję każdej możliwej przewagi.

Zauważam głąz, który przez ostatnie pięć lat stanowił mój punkt orientacyjny, i odliczam drzewa porastające brzeg rzeki.

– Jeden, dwa, trzy – szepczę i dostrzegam właściwy dąb. Jego rozłożyste gałęzie sięgają wysoko, niektóre nawet ośmielają się rozciągać nad rzeką. Na szczęście na najniższą z nich łatwo się wspiąć, tym bardziej – ku mojemu zdziwieniu – że trawa pod nią jest wydeptana.

Kiedy ściagam temblak i zaczynam się wspinać, sięgając pamięcią w poszukiwaniu trasy, na oświetlone nikłym blaskiem księżyca drzewo, moje ramię przeszywa ból, który znika szybko, tak jak za każdym razem, po tym gdy w ostatnich dniach Rhiannon dawała mi popalić na macie. Mam nadzieję, że jutro Nolon pozwoli mi zdjąć ten wkurzający temblak.

Wichrzypnącze, wijące się wokół pnia, wygląda ludozjadco podobnie do bluszczu, ale obdrapałam to drzewo tyle razy, że jestem go pewna. Po prostu wcześniej nigdy nie musiałam wspinać się w tej przeklętej pelerynie. Jak na złość materiał haczy o każdą gałąź, kiedy powoli wspinam się coraz wyżej, mijając szeroki konar, na którym kiedyś godzinami czytałam książki.

– Cholera! – Stopa ześlizguje się z pnia, a moje serce na chwilę zamiera, kiedy próbuję odnaleźć stabilniejsze oparcie. W ciągu dnia byłoby o wiele łatwiej, ale nie mogę ryzykować, że ktoś mnie przyłapie.

Im wyżej się wspinam, tym bardziej kora ociera mi rękę. Na tej wysokości czubki liści pnącza są białe, ledwie widoczne w słabym świetle księżyca i w gąszczu zieleni, mimo to uśmiecham się, bo znalazłam to, czego szukałam.

– Mam was. – Niedojrzałe jagody mają piękny lawendowy kolor. Są idealne. Wbijam paznokcie w wiszącą nad moją głową gałąź, żeby się przytrzymać, i wyciągam z torby pustą szklaną fiolkę. Zdejmuję korek zębami, napełniam naczynie jagodami zerwanymi z pnącza i je zamykam. Dzięki nim, a także grzybom, które udało mi się dzisiaj zebrać oraz innym specyfikom, powinnam przetrwać następne miesiące wyzwań.

Już niemal docieram na sam dół, zostało mi do pokonania zaledwie kilka gałęzi, gdy nagle pod sobą zauważam jakiś ruch. Zamieram. Mam nadzieję, że to tylko jeleni.

Niestety nie.

Do drzewa podchodzą dwie postaci w czarnych pelerynach – najwyraźniej to popularna stylizacja tego wieczora. Niższa osoba opiera się o pień i ściąga

z głowy kaptur, odsłaniając różowe włosy z wygoloną połową głowy. Znam ją aż za dobrze.

To Imogen, dziewczyna, która dziesięć dni temu niemal wyrwała mi rękę.

Mój żołądek się kurczy, a potem skręca w supeł, kiedy druga osoba odsuwa kaptur.

Xaden Riorson.

A niech mnie.

Dzieli nas może piętnaście stóp i nic ani nikt nie powstrzymałoby go przed pozbawieniem mnie życia. Strach łapie mnie za gardło, mocno zaciskam palce na gałęziach i rozważam, czy wstrzymać oddech, żeby mnie nie usłyszał, ale boję się, że zemdleję z niedotlenienia i spadnę z drzewa.

Zaczynają rozmawiać, ale przez szum płynącej obok rzeki niczego nie słyszę. Ogarnia mnie ulga. Jeśli ja ich nie słyszę, to oni mnie również, o ile nie będę zwracać na siebie uwagi. Wystarczyłoby jednak, że zadarłby głowę i będę spalona – dosłownie, jeśli postanowi rzucić mnie na pożarcie swojej smoczy. Światło księżyca, za które jeszcze chwilę temu byłam wdzięczna, teraz działa na moją niekorzyść.

Powoli, ostrożnie i bezgłośnie wycofuję się z plamy księżycowej poświaty na sąsiednią gałąź, ukrywając się w cieniu. Co on tutaj robi z Imogen? Mają romans? Przyjaźnią się? Oczywiście to nie moja sprawa, ale mimowolnie zaczynam się zastanawiać, czy właśnie takie kobiety mu się podobają – kobiety, których brutalność tylko podkreśla ich piękno. Oboje są siebie warci.

Xaden odwraca się, jakby szukał kogoś wzrokiem i zaraz potem zjawiają się kolejni jeźdźcy, którzy zbierają się pod drzewem i witają uściskiem dłoni. Wszyscy mają na sobie czarne peleryny i piętna rebelii.

Wytrzeszczam oczy i zaczynam liczyć. Jest ich ponad dwudziestu – kilku kadetów z trzeciego roku, dwóch z drugiego, a reszta to pierwszaki. Znam zasady. Naznaczeni nie mogą zbierać się w grupy większe niż trzy osoby. Już samo to zebranie stanowi zbrodnię karaną śmiercią. Widać, że spotkali się tu w jakimś celu, a ja czuję się jak kot uczepiony liściastych gałęzi drzewa, pod którym krążą wilki.

Przecież to spotkanie może być zupełnie niewinne, prawda? Może tęsknią za domem, podobnie jak kadeci z Morraine, którzy w każdą sobotę zbierają się przy jeziorze, bo przypomina ocean, którego tak im brakuje.

A może naznaczeni coś knują? Może chcą spalić Basgiath do gołej ziemi i dokończyć to, co zapoczątkowali ich rodzice?

Mogłabym tu siedzieć i ich ignorować, ale moja zuchwałość – oraz strach – najpewniej poskutkuje śmiercią wielu ludzi, jeśli naznaczeni rzeczywiście coś



kombinują. Najlepiej będzie powiedzieć o wszystkim Dainowi, ale nawet nie słyszę, o czym rozmawiają.

Do jasnej cholery. Mdłości podchodzą mi do gardła. Muszę zakraść się bliżej.

Trzymając się drugiej strony pnia, schowana w mroku, osuwam się na niższą gałąź w tempie leniwca i wstrzymuję oddech, gdy delikatnie stawiam czubek buta na gałęzi i sprawdzam jej wytrzymałość, a dopiero potem znajduję oparcie dla całych stóp. Szum rzeki wciąż tłumi ich głosy, ale słyszę najgłośniejszego z nich – ciemnowłosego, wysokiego mężczyznę o bladej skórze, którego barki są szersze niż u dwójki pierwszoroczniaków. Stoi naprzeciwko Xadena i ma na sobie odznakę trzeciego roku.

– Już straciliśmy Sutherlanda i Luperco – mówi. Niestety nie słyszę odpowiedzi.

Muszę zejść niżej o kolejne dwie gałęzie, żeby móc wyraźnie słyszeć ich rozmowy. Serce tłucze mi tak, jakby chciało wyskoczyć z klatki piersiowej. Znajduję się tak blisko, że gdyby ktokolwiek z nich uniósł głowę i dobrze się przyjrzał, bez wątpienia by mnie zobaczył – cóż, wszyscy poza Xadenem, bo on stoi odwrócony do mnie plecami.

– Czy ci się to podoba, czy nie, będziemy musieli trzymać się razem, jeśli chcemy wytrwać do końca ostatniego roku – stwierdza Imogen. Wystarczyłby jeden mały skok na prawo i mogłabym kopnąć ją w locie w głowę, żeby odwdzińczyć się za moje ramię.

W tym momencie jednak bardziej cenię sobie moje życie niż chęć zemsty, więc zostaję na gałęzi.

– A co, jeśli dowiedzą się o naszym spotkaniu? – pyta opalona dziewczyna z pierwszego roku, rozglądając się po kręgu.

– Spotykamy się od dwóch lat i jeszcze się nie dowiedzieli – odpowiada Xaden. Krzyżuje ramiona na klatce piersiowej i opiera się o pień po mojej prawej stronie. – I nie odkryją tego, chyba że któreś z was zacznie sypać. Więc jeśli piśnecie chociaż słówko, dowiem się o tym. – W jego głosie wyraźnie pobrzmiewa groźba. – Tak jak powiedział Garrick, już i tak straciliśmy dwóch pierwszoroczniaków przez ich własne zaniedbanie. W Kwadrancie Jeźdźców jest nas tylko czterdziestu jeden i nie chcemy ponieść większych strat, ale tak się stanie, jeśli nie będziecie sobie pomagać. Okoliczności nam nie sprzyjają, a wierzcie mi, każdy inny Navarriańczyk w kwadrancie będzie szukał okazji, by nazwać was zdrajcami lub podłożyć wam świnię.

Przez grupę przetaczają się szeptu poparcia. Wstrzymuję oddech, urzeczona siłą w jego głosie. Po prostu świetnie. Nie chcę czuć podziwu wobec Xadena Riorsona, a mimo to widać, że wzbudza w innych szacunek. Dupek.

Muszę przyznać, że byłoby miło, gdyby dowódcy z mojej prowincji zależało, by kadeci pochodzący z tej samej okolicy przeżyli.

– Kto z was nie radzi sobie na macie? – pyta Xaden.

W powietrze unoszą się cztery ręce, ale żadna z nich nie należy do chłopaka o nastroszonych blond włosach, który jest o głowę wyższy od większości obecnych. Liam Mairi. Należy do Drugiej Drużyny Sekcji Ogona w naszym skrzydle i już znalazł się w czołówce kadetów naszego roku. Po moście praktycznie przebiegł, a w trakcie weryfikacji rozłożył swojego przeciwnika na łopatki.

– Ja pieprzę – przeklina Xaden i przesuwa ręką po twarzy. Dałabym wszystko, by zobaczyć teraz jego minę.

Ten największy – Garrick – wzdycha ciężko.

– Przeszkolę ich. – Już go rozpoznaję. To dowódca Sekcji Ognia z Czwartego Skrzydła. Przełożony Daina, a zarazem i mój.

Xaden kręci głową.

– Jesteś naszym najlepszym wojownikiem...

– Ty jesteś naszym najlepszym wojownikiem – stwierdza jakiś chłopak stojący obok Xadena i błyska uśmiechem. Jest przystojny, ma śniadą twarz okoloną burzą czarnych loków, a na mundurze pod peleryną dostrzegam cały wachlarz odznak. Rysy jego twarzy przypominają te Xadena, więc mogą być ze sobą spokrewnieni. Może to kuzyni? Fen Riorson miał siostrę, jeśli dobrze pamiętam. Kurde, jak ten facet się nazywa? Ostatni raz czytałam akta wiele lat temu, ale wydaje mi się, że jego imię zaczynało się na B.

– Ja bym powiedziała, że z nas wszystkich walczy najbardziej nieczysto – prychna Imogen.

Niemal wszyscy wybuchają śmiechem, nawet pierwszaki się uśmiechają.

– Według mnie bardziej pasuje „bezlitośnie” – dodaje Garrick.

Zgodnie kiwają głowami. Przyłącza się nawet Liam Mairi.

– Garrick to nasz najlepszy wojownik, ale Imogen mu dorównuje, a do tego jest bardziej cierpliwa – zauważa Xaden. Co za bzdura. Kiedy łamała mi rękę, nie wydawała się zbyt cierpliwa. – Dobra, wasza czwórka podzieli się między tę dwójkę. Trzyosobowa grupa nie będzie przyciągać niechcianej uwagi. Co jeszcze sprawia wam kłopoty?

– Nie dam rady – odzywa się szczupły pierwszoroczniak i przesuwa palcami po twarzy.

– O co ci chodzi? – pyta ostro Xaden.

– Nie dam rady! – Kręci głową. – Cała ta śmierć, walki... to wszystko! – Jego głos staje się wyższy z każdym słowem. – W dniu weryfikacji chłopakowi skrecono kark na moich oczach! Chcę do domu! Pomożesz mi w tym?

Wszyscy przenoszą wzrok na Xadena.

– Nie. – Dowódca wzrusza ramionami. – Nie przeżyjesz. Najlepiej już teraz się z tym pogódź i nie marnuj mojego czasu.

Z całych sił staram się zdusić zszokowany okrzyk. Niektórym członkom grupy się to nie udaje. Co za kutas.

Drobny chłopak wygląda na przerażonego. Mimo wszystko mu współczuję.

– To było trochę zbyt brutalne, kuzynie – zauważa kadet z drugiego roku, ten podobny do Xadena, i unosi brwi.

– A co mam niby powiedzieć, Bodhi? – Xaden przekrzywia głowę, jego głos jest spokojny i opanowany. – Nie dam rady uratować wszystkich, a już na pewno nie kogoś, kto nie jest nawet skłonny zapracować na ratunek.

– Ty to potrafisz zmotywować człowieka, Xaden. – Garrick zaciska palce na grzbiecie nosa.

– Jeśli trzeba ich motywować, to obaj dobrze wiemy, że nie wylecą stąd na smoku na koniec uczelni. Bądźmy szczerzy, mógłbym złapać ich za rękę i wciskać puste obietnice o tym, że wszyscy przetrwamy, jeśli dzięki temu będą spać spokojnie, ale z doświadczenia wiem, że prawda jest o wiele bardziej wartościowa. – Obraca głowę i mogę się tylko domyślać, że patrzy na spanikowanego pierwszaka. – Ludzie umierają w trakcie wojny. I nie ma w tym żadnej chwały, jak śpiewają bardowie. Będziecie widzieć skręcone karki i upadki z dwustu stóp. Nie ma niczego romantycznego w spalonej ziemi czy zapachu siarki. To – wskazuje ręką na cytadelę – nie jest żadna bajeczka, na której końcu wszyscy uchodzą z życiem. To brutalna, smutna i ponura rzeczywistość. Nie wszyscy tu obecni wrócą do domów... a raczej do tego, co z nich zostało. I pamiętajcie, że bierzemy udział w wojnie za każdym razem, gdy przekraczamy próg tego kwadrantu. – Nieznacznie pochyla się w ich stronę. – Dlatego, jeśli nie weźmiecie się w garść i nie zaczniecie walczyć o przetrwanie, to czeka was śmierć.

Tylko cykady mają odwagę przerwać ciszę.

– A teraz dajcie mi problem, który jestem w stanie rozwiązać – rozkazuje Xaden.

– Analiza wojenna – odzywa się dziewczyna z pierwszego roku. Rozpoznaje jej głos. Ma łóżko obok mojego i Rhiannon. Hm... jak ona ma na imię? Na sali jest zbyt dużo kobiet, by wszystkie spamiętać, ale wydaje mi się, że należy do Trzeciego Skrzydła. – Nie chodzi o to, że nie nadażam, ale informacje... – Wzrusza ramionami.

– To skomplikowane – oznajmia Imogen i odwraca się w stronę Xadena. W blasku księżyca jej profil zupełnie nie pasuje do osoby, która pokiereszowała mi rękę. Tamta Imogen jest okrutna, wręcz bezlitosna. Kiedy jednak patrzy na

Xadena, jej oczy, usta i cała postawa łagodnieją. Zakłada krótki kosmyk różowych włosów za ucho.

– Uczcie się tego, co wam każą – zwraca się surowym głosem Xaden do dziewczyny z pierwszego roku. – Nie zapominajcie o tym, co wiecie, ale recytujcie to, co wam wmawiają.

Marszczę brwi. Co to ma, u licha, znaczyć? Analiza to jedyne zajęcia prowadzone przez skrybów, którzy mają przekazywać kwadrantowi wrażliwe informacje na temat obecnych walk. Jediną rzeczą, którą każą nam recytować, są aktualne wydarzenia i powszechna wiedza na temat tego, co dzieje się na liniach frontu.

– Ktoś jeszcze ma jakieś pytania? – docieka Xaden. – Lepiej zróbcie to teraz. Nie mamy całej nocy.

Wtedy coś do mnie dociera – poza tym, że zebrali się w grupę liczącą więcej niż trzy osoby, nie robią nic złego. Niczego nie knują, nie planują zamachu, nie stanowią zagrożenia. To tylko grupa starszych jeźdźców udzielająca rad pierwszacom pochodzącym z tej samej prowincji. Gdyby jednak Dain się o tym dowiedział, byłby zmuszony...

– A kiedy zabijemy Violet Sorrengail? – odzywa się stojący z tyłu chłopak.

Krew w moich żyłach zamarza.

Od potakujących szeptów, które rozbrzmiewają w grupie, dreszcz przerażenia spływa po moim kręgosłupie.

– No właśnie, Xaden – rzuca słodkim głosem Imogen i przenosi na niego jasnozielone oczy. – Kiedy w końcu się zemścimy?

Odwraca się na tyle, że jestem w stanie zobaczyć jego profil i bliźnię przecinającą jego twarz. Mruży oczy, wbijając spojrzenie w różowowłosą.

– Już ci mówiłem, najmłodsza córka Sorrengail jest moja i to ja uporam się z nią, gdy nadejdzie odpowiedni moment.

Upora się ze mną? Moje stężałe mięśnie zalewa ogień oburzenia. Nie jestem czymś problemem, żeby trzeba było się ze mną „uporać”. Moja krótka fascynacja Xadenem mija natychmiast.

– Nie dostałaś nauczki, Imogen? – wtrąca się chłopak podobny do Xadena. – Z tego, co słyszałem, Aetos kazał ci szorować naczynia po kolacji przez cały miesiąc za to, że użyłaś mocy na macie.

Imogen przenosi na niego wściekłe spojrzenie.

– Jej matka jest odpowiedzialna za egzekucję mojej mamy i siostry. Żałuję, że skończyło się jedynie na złamanej ręce.

– To jej matka jest odpowiedzialna za pojmanie niemal wszystkich naszych rodziców – wtrąca się Garrick, krzyżując ramiona na szerokiej klatce

piersiowej. – Nie ona. Karanie dzieci za grzechy rodziców jest w stylu Navarriańczyków, nie Tyrreńczyków.

– A więc zostaliśmy siłą wcieleni do armii tej morderczej uczelni za to, co nasi rodzice zrobili wiele lat temu... – zaczyna Imogen.

– W razie gdybyś nie zauważyła, na nią również wydano podobny wyrok – oponuje Garrick. – Wygląda na to, że ona już cierpi tak samo jak my.

Czy ja naprawdę jestem świadkiem debaty na temat tego, czy powinnam zostać ukarana za bycie córką Lilith Sorrengail?

– Nie zapominajcie, że jej bratem był Brennan Sorrengail – wtrąca Xaden. – Ona ma taki sam powód, by nas nienawidzić, jak my ją. – Wbija wymowne spojrzenie w Imogen oraz w dziewczynę z pierwszego roku, która zadała to pytanie. – Nie zamierzam się powtarzać. Ja się nią zajmę. Czy ktoś jeszcze chce się ze mną spierać?

Zapada głucha cisza.

– Znakomicie. W takim razie wracajcie do łóżek w trójkach. – Odprawia ich ruchem głowy i wszyscy zaczynają się powoli rozchodzić, w trzyosobowych grupkach, tak jak kazał. Xaden znika jako ostatni.

Powoli zaczerpuję oddechu. O w mordę, chyba uda mi się to przetrwać.

Najpierw muszę się jednak upewnić, że odeszli. Stoję w absolutnym bezruchu, nawet kiedy mięśnie moich ud drżą, a palce sztywnieją. Odliczam w głowie do pięciuset i oddycham tak równomiernie, jak tylko się da, żeby uspokoić galopujące serce.

Mam pewność, że jestem bezpieczna, kiedy po ziemi przemykają wiewiórki, i dopiero wtedy zsuwam się z drzewa, a potem ląduję na trawie. Zihnal chyba musi mieć do mnie słabość, bo jestem największą szczęściarą na całym Kontynencie...

Kątem oka zauważam za sobą jakiś cień i otwieram usta, żeby przekląć, ale ktoś zaciska ramię wokół mojej szyi, odcinając mi dopływ powietrza, i przyciąga do twardej klatki piersiowej.

– Spróbuj krzyknąć, a skończysz martwa – szepcze, a mój brzuch się zaciska, kiedy zamiast łokcia do mojego gardła przyciska się ostry sztylet.

Zamieram. Wszędzie rozpoznałabym chrapliwy głos Xadena.

– Pieprzona Violet Sorrengail. – Zszarpuje kaptur z mojej głowy.

– Skąd wiedziałeś? – pytam jawnie oburzona, ale nie mam zamiaru się płaszczyć. Jeśli chce mnie zabić, to umrę z godnością. – Niech zgadnę, wyczułeś moje perfumy. W książkach to zawsze zapach zdradza bohaterkę, mam rację?

Xaden prycha.

– Władam cieniami, ale jasne, myśl sobie, że to twoje perfumy. – Opuszcza sztylet i się odsuwa.

Wyrywa mi się cichy okrzyk.

– Twoją mocą jest poskramianie cieni? – Nic dziwnego, że piastuje tak wysoką funkcję. Poskramiacze cieni pojawiają się niezwykle rzadko i są bardzo pożądani w walce. Potrafią zdezorientować całe stado gryfów, a nawet doprowadzić do ich upadku, jeśli są wystarczająco silni.

– A co, Aetos jeszcze cię nie ostrzegł, żeby nie utknąć sam na sam ze mną po ciemku?

Jego głos prześlizguje się po mojej skórze jak aksamit. Drzę, a potem wyciągam własny sztylet z pochwy na udzie i obracam się w jego stronę, gotowa bronić się aż do utraty tchu.

– W ten sposób chcesz się ze mną uporać? – podkreślam ostatnie słowo.

– Podśluchiwałaś, co? – Unosi czarną brew i chowa broń, jakbym nie stanowiła dla niego żadnego zagrożenia. Wkurza mnie to jeszcze bardziej. – Teraz chyba będę zmuszony cię zabić. – W jego oczach dostrzegam cię prawdziwie.

To po prostu... niewiarygodne.

– No to dalej, miejmy to już z głowy. – Wyciągam kolejny sztylet, tym razem spod peleryny, i robię kilka kroków w tył, żeby się zamierzyć. O ile mnie nie ubiegnie.

Patrzy wymownie na pierwsze ostrze, potem na drugie i wzdycha, krzyżując ramiona na klatce piersiowej.

– Ta postawa to najlepsze, na co cię stać? Nic dziwnego, że Imogen niemal wyrwała ci rękę.

– Jestem groźniejsza, niż myślisz – rzucam. To oczywiście jawne kłamstwo.

– Właśnie widzę. Trzęsę się ze strachu. – Kącik jego ust unosi się w drwiącym uśmiechu.

Pieprzony drań.

Poprawiam uchwyt na sztyletach, łapiąc je za koniuszki ostrzy, i ruchem ręki ciskam broń w jego głowę. Przelatują tuż obok, jeden po drugim, i wbijają się w pień drzewa tuż za nim.

– Spudłowałaś. – Nawet nie drgnął.

– Na pewno? – Dobywam kolejne dwa sztylety. – Może cofnij się o kilka kroków i sprawdź tę teorię?

W jego oczach błyska zaciekawienie, ale szybko przyćmiewa je zimna obojętność.

Wszystkie moje zmysły są w stanie najwyższej gotowości. Xaden cofa się, patrząc mi w oczy, a cienie wokół nas nawet nie drgną. Plecami opiera się o drzewo, a rękojeści moich sztyletów ocierają się o jego uszy.

– Powiedz mi jeszcze raz, że spudłowałam – grozę, waząc w dłoni kolejne ostrze.

– Fascynujące. Wydajesz się krucha i słaba, ale tak naprawdę jesteś całkiem groźna, co? – Jego idealnie wykrojone usta wykrzywiają się z uznaniem. Cienie zaczynają tańczyć na pniu, układając się w kształt palców. Wyszarpują z drzewa sztylety i umieszczają je w wyciągniętych dłoniach Xadena.

Wypuszczam oddech ze świstem. Potrafi poskramiać cienie. To moc, dzięki której mógłby mnie wykończyć i nawet nie kiwnąłby przy tym palcem. Nie widzę sensu się bronić, bo będzie to bezcelowe.

Wkurza mnie to, że jest taki piękny, a jego umiejętności są zabójcze. Xaden rusza w moją stronę, cienie owijają się wokół jego stóp. Jest jak jeden z tych toksycznych kwiatów, o których czytałam – występują w lesie Cygnis na wschodzie. Jego powab to ostrzeżenie, by trzymać się z daleka, a mimo to ciągnie mnie do niego.

Zaciskam dłonie na rękojeściach sztyletów i przygotowuję się do ataku.

– Powinnaś pokazać tę sztuczkę Jackowi Barlowe’owi – sugeruje Xaden i wyciąga w moją stronę broń na otwartej dłoni.

– Słucham? – To musi być jakiś żart. Nie mam co do tego wątpliwości.

Podchodzi bliżej. Unoszę ostrze, a moje serce wali nieregularnie, ponieważ ogarnia mnie strach.

– Mówię o tym pierwszoroczniku, który skreślił komuś kark i przy wszystkich ogłosił, że cię zabije – wyjaśnia Xaden. Dociskam sztylet do jego brzucha. Wsuwa rękę pod poły mojej peleryny i umieszcza jedno z ostrzy w pochwie na udzie, a potem odchyła materiał i zamiera. Jego wzrok skupia się na moim długim warkocz, który opada na ramię, i mogłabym przysiąc, że na chwilę przestaje oddychać, ale zaraz potem umieszcza drugie ostrze w kieszonce na wysokości moich żeber. – Pewnie dwa razy zastanowiłby się nad pozbawieniem cię życia, gdybyś rzuciła w jego głowę kilkoma sztyletami.

To jest... to takie... dziwne. To na pewno jakaś gra, która ma mi namieszać w głowie, prawda? Jeśli tak, idzie mu świetnie.

– Bo zaszczyt zabicia mnie przypada tylko tobie? – pytam wyzywająco. – Chciałeś mnie zabić na długo przed tym, jak twój mały klub postanowił spotkać się pod moim drzewem, więc wyobrażam sobie, że w myślach wszyscy już dawno mnie zakopaliście.

Zerka na ostrze wbijające się w jego brzuch.

– Zamierzasz powiedzieć komuś o moim małym klubie? – Patrzy mi w oczy i widzę czającą się w nich zimną, bezlitosną śmierć.

– Nie – odpowiadam zgodnie z prawdą i powstrzymuję drżenie ciała.

– Dlaczego nie? – Przekrzywia głowę na bok i przygląda mi się jak dziwadłu.

– Dzieci dowódców rebelii nie mogą zbierać się w...

– Grupy większe niż trzy osoby. Tak, jestem tego świadoma. Mieszkam w Basgiacie dłużej od ciebie. – Butnie zadzieram podbródek.

– I nie pobeigniesz do mamusi albo do swojego kochanego Daina, żeby poinformować ich o naszym spotkaniu? – Mruży oczy.

Czuję bolesny skurcz w żołądku, podobny do tego, który pojawił się u mnie tuż przed zejściem z mostu, jakby ciało było świadome tego, że niezależnie od podjętej przeze mnie decyzji, moje życie zmieni się od teraz na zawsze.

– Ty tylko im pomagałeś. Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby was za to karać. – To nie byłoby w porządku. Czy to małe zgromadzenie było nielegalne? Zdecydowanie. Powinni za to umrzeć? Absolutnie nie. A właśnie tak by się stało, gdybym komuś o tym powiedziała. Pierwszaki zostałyby skazane za to, że szukały pomocy w nauce, a starsi kadeci dołączyliby do nich, ponieważ okazali im wsparcie. – Nikomu nie zamierzam o tym powiedzieć.

Patrzy na mnie tak, jakby próbował przejrzeć mnie na wylot. Aż mrowi mnie skóra na głowie.

Trzymam rękę stabilnie, ale w środku cała drzę, bo nie wiem, co przyniesie następne pół minuty. Może zabić mnie na miejscu, wrzucić moje ciało do rzeki i nikt nie będzie świadomy mojej śmierci, dopóki nie znajdą mnie daleko stąd.

Nie pozwolę mu jednak mnie wykończyć, dopóki sama go nie zranię. Tego jestem pewna.

– Interesujące – stwierdza cicho. – Zobaczymy, czy jesteś w stanie dotrzymać słowa. Jeśli tak, to niestety chyba będę ci winien przysługę.

Odsuwa się ode mnie, odwraca i odchodzi w stronę schodów wykutych w skale, które prowadzą do cytadeli.

Chwila. Co?

– Nie zamierzasz się ze mną „uporać”? – wołam za nim, wysoko unosząc brwi ze zdziwienia.

– Nie dzisiaj! – rzuca ponad ramieniem.

– A na co czekasz? – pryham.

– Nie będę mieć z tego żadnej satysfakcji, jeśli spodziewasz się śmierci – odpowiada i coraz bardziej zanurza się w mroku. – A teraz wracaj do łóżka, zanim dowódca twojego skrzydła zauważy, że wyszłaś bez pozwolenia.

– Co? – Patrzę na niego oniemiała. – Przecież to ty jesteś dowódcą mojego skrzydła!

On jednak już zniknął w ciemności, a ja wyglądam tak, jakbym mówiła sama do siebie. Jak idiotka.

Nawet nie zapytał, co mam w torbie.

Uśmiech powoli wypływa na moje usta, kiedy wsuwam rękę ponownie do temblaka i wzdycham z ulgą, bo w końcu mogę odciążyć bark.



Idiotka z jagodami wicherzypnacza.

*Jeśli chodzi o trucizny, cała sztuka tkwi w jednej rzeczy, często pomijanej, i jest nią wyczucie czasu. Tylko prawdziwy mistrz jest w stanie dobrać odpowiednią dawkę i podać ją o odpowiedniej porze, tak aby osiągnąć najlepsze rezultaty. Należy wziąć pod uwagę masę człowieka oraz metodę podania.*

*Skuteczne zastosowanie dzikich i uprawnych ziół autorstwa kapitana Lawrence'a Mediny*



## ROZDZIAŁ ÓSMY

**K**iedy ubieram się rano, w sali sypialnej panuje cisza. Słońce, które ledwie wzniosło się nad horyzont, już zagląda przez okna. Ściągam z wieszaka za łóżkiem kamizelkę ze smoczych łusek – zostawiłam ją tam do wyschnięcia – i wkładam na czarną koszulkę z krótkim rękawem. Dobrze, że zawiązywanie pasków na plecach idzie mi coraz lepiej, bo nie mogę liczyć na pomoc Rhiannon – nie ma jej w łóżku.

Przynajmniej jedna z nas zalicza orgazmy. Jestem pewna, że w sali znajdzie się kilku partnerów, których dziewczyny przemyciły do swoich łóżek. Dowódcy drużyn zaznaczyli, że jest to zabronione, ale tak naprawdę nikt się tym nie przejmuje. Cóż, nikt poza Dainem. On traktuje poważnie każdą zasadę.

Dain. Czuję rozpieranie w klatce piersiowej i uśmiecham się, kończąc zaplatanie włosów w koronę. Widuję go przez większość dnia, kiedy zachowuje profesjonalizm przy innych. I kiedy jest zajęty próbą wydostania mnie z tego miejsca.

W drodze do wyjścia biorę swoją torbę i wymijam kilkanaście pustych łóżek należących do kobiet, którym nie udało się przetrwać do sierpnia.

Otwieram drzwi i oto jest. Dain.

W jego oczach pojawia się błysk. Chłopak odpycha się od ściany na korytarzu, gdzie na mnie czekał.

– Dzień dobry.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu cisnącego mi się na usta.

– Nie musisz eskortować mnie do kuchni co rano, wiesz?

– To jedyna okazja, by cię zobaczyć, kiedy nie muszę odgrywać roli dowódcy twojej drużyny – odpowiada. Mijamy korytarze prowadzące do pokoi, które staną się nasze, jeśli uda nam się przetrwać Odsiew. – Wierz mi, warto wstawać co rano godzinę wcześniej, chociaż nie potrafię zrozumieć, dlaczego wolałaś wybrać pracę w kuchni zamiast innych obowiązków.

Wzruszam ramionami.

– Mam swoje powody.

I to są bardzo, ale to bardzo ważne powody. Mimo że mnie również brakuje dodatkowej godziny snu, bo zaledwie tydzień temu, przed wybraniem obowiązkowego zajęcia, mogłam spać dłużej.

Drzwi po mojej prawej się otwierają. Dain błyskawicznie zasłania mnie swoim ciałem tak, bym stała twarzą do jego pleców. Pachnie skórą, mydłem i...

– Rhiannon? – warczy.

– Przepraszam! – krzyczy zszokowana.

Wysuwam się zza Daina i staję obok, żeby ją zobaczyć.

– Właśnie się zastanawiałam, gdzie zniknęłaś. – Uśmiecham się na widok Tary, która właśnie wychodzi z pokoju. – Hej, Taro.

– Cześć, Violet. – Macha mi na powitanie, a potem odchodzi korytarzem, wciskając koszulę do spodni.

– Nie bez powodu panuje tu zakaz opuszczania łóżek po wyznaczonej godzinie – poucza ją Dain, a ja walczę sama ze sobą, żeby nie przewrócić oczami. – I dobrze wiesz, że nikt nie powinien przebywać w prywatnych pokojach, dopóki nie przetrwa Odsiewu.

– Może po prostu wstałyśmy wcześniej – sugeruje Rhiannon. – Wiesz, tak jak wy. – Patrzy na nas z przebiegłym uśmiechem.

Dain zaciska palce na grzbiecie nosa.

– Po prostu... wracaj do łóżka i udawaj, że tam śpisz, co?

– Taki mam zamiar! – Wymija nas, po drodze ściskając mi rękę.

– Brawo – rzucam szeptem. Zauważyłam, że Tara podobała jej się od początku.

– Wiem. – Posyła mi uśmiech i popycha drzwi do sali.

– Kiedy ubiegałem się o stanowisko dowódcy drużyny, nie sądziłem, że będę musiał pilnować życia erotycznego pierwszaków – mamrocze Dain, kiedy ruszamy w stronę kuchni.

– Och, nie przesadzaj. Mówisz tak, jakbyś przez ostatni rok sam nie był pierwszakiem.

Unosi brwi w zamyśleniu, a potem wzrusza ramionami.

– Trafna uwaga. Ty również jesteś teraz na pierwszym roku... – Zerka na mnie kątem oka. Kiedy podchodzimy do wejścia prowadzącego do rotundy, rozdziawia

usta, jakby chciał kontynuować, ale ostatecznie odwraca wzrok i otwiera dla mnie drzwi.

– No proszę! Czyżby Dain Aetos pytał mnie o moje życie erotyczne? – Mijamy filar z zielonym smokiem, a ja przesuwam palcem po obnażonych kłach stwora i staram się powstrzymać uśmiech.

– Nie! – Kręci głową, a potem się zamyśla. – To znaczy... czy w ogóle masz jakieś życie erotyczne?

Wspinamy się po stopniach prowadzących do sali jadalnej. Tuż przed drzwiami odwracam się w jego stronę. Dain zatrzymuje się dwa stopnie niżej, więc nasze oczy znajdują się na tej samej wysokości.

– Odkąd się tu znalazłam? – Stukam palcem w podbródek i się uśmiecham. – To nie twoja sprawa. Czy może wcześniej? To również nie twoja sprawa.

– Znowu trafna uwaga. – Uśmiecha się w taki sposób, że chciałabym, aby łączyło nas coś więcej. Odwracam się, żeby nie zrobić czegoś skrajnie głupiego, na przykład nie zacząć z nim flirtować. Wchodzimy do wspólnej przestrzeni, mijamy puste biurka do nauki i docieramy do biblioteki. Nie jest tak zachwycająca jak archiwa skrybów, ale znajdują się tu wszystkie książki, których będę potrzebować do nauki.

– Dzisiaj po południu zaczynają się wyzwania – zaczyna Dain, kiedy docieramy do sali jadalnej. – Jesteś gotowa?

Strach sprawia, że ściska mnie w żołądku.

– Poradzę sobie – zapewniam, jednak on staje przede mną i mnie zatrzymuje.

– Wiem, że trenujesz z Rhiannon, ale... – Jego czoło przecinają linie troski.

– Dam sobie radę – obiecuję i patrzę mu w oczy, żeby to do niego dotarło. – Nie musisz się o mnie martwić. – Wczoraj nazwisko Orena Seiferta zostało sparowane z moim. Brennan się nie mylił. Oren to wysoki blondyn z Pierwszego Skrzydła. Nie za dobrze obchodzi się z nożem, ale potrafi zadać mocarny cios.

– Ja zawsze się o ciebie martwię. – Dain zaciska pięści.

– To przestań. – Kręć głową. – Poradzę sobie sama.

– Nie chcę znowu patrzeć, jak cierpisz.

Serce rozpiera mi klatkę piersiową.

– To nie patrz. – Łapię jego szorstką dłoń. – Przed tym mnie nie ochronisz, Dain. Będę wzywana do walki raz w tygodniu jak każdy inny kadet. I na tym się nie skończy. Nie możesz ochronić mnie przed Odsiewem, Rękawicą czy przed kimś takim jak Jack Barlowe.

– Lepiej nie zwracaj na siebie jego uwagi. – Dain robi zbolaną minę. – Unikaj tego nadętego gnoja, Vi. Nie dawaj mu okazji do ataku. Już i tak jest odpowiedzialny za śmierć wielu kadetów.

– W takim razie smoki go pokochają. – One zawsze wybierają tych najbardziej agresywnych.

Dain delikatnie ściska moją dłoń.

– Po prostu trzymaj się od niego z daleka.

Mrugam. Jego rada jest zupełnym przeciwieństwem zaleceń Xadena, który kazał mi rzucić w Jacka kilkoma sztyletami.

Xaden. Poczucie winy, które dręczy mnie od zeszłego tygodnia, jeszcze bardziej daje się we znaki. Zgodnie z Kodeksem powinnam powiedzieć Dainowi o spotkaniu naznaczonych pod dębem, jednak tego nie zrobię. Nie dlatego, że obiecałam to Xadenowi. Po prostu mam wrażenie, że zachowanie tego sekretu jest właściwą decyzją.

A nigdy wcześniej nie miałam tajemnic przed Dainem.

– Violet? Czy ty mnie słuchasz? – pyta Dain i unosi rękę, żeby przycisnąć ją do mojej twarzy.

Zaskoczona patrzę mu w oczy i kiwam głową, powtarzając:

– Mam trzymać się z daleka od Barlowe’a.

Opuszcza rękę i wkłada ją do kieszeni spodni.

– Mam nadzieję, że przejdzie mu ochota na zemstę.

– Czy inni mężczyźni zapomnieliby o tym, że kobieta przycisnęła nóż do ich jaj?  
– Unoszę brew.

– Nie. – Wzdycha. – Wiesz, nie jest jeszcze za późno, żeby wyprowadzić cię stąd ukradkiem do Kwadrantu Skrybów. Fitzgibbons na pewno cię tam zabierze...

Rozlegają się dzwony informujące, że jest już kwadrans po piątej. Sygnał ratuje mnie przed koniecznością odpowiedzi na kolejne prośby Daina o ucieczkę do Kwadrantu Skrybów.

– Dam sobie radę. Do zobaczenia na formacji. – Ściskam jego dłoń, a potem odchodzę w stronę kuchni. Zawsze zjawiam się pierwsza i dzisiaj jest tak samo.

Wyciągam z torby fiolkę ze sproszkowanymi jagodami wichrzypnacza, chowam ją w kieszeni i biorę się do pracy. Wkrótce potem zjawiają się zaspani, marudni kadeci. Gdy godzinę później zajmuję miejsce w kolejce do wydawki, posypuję jajecznicę białym, niemal niewidocznym proszkiem i podaję talerz Orenowi Seifertowi.

\* \* \*

**W**trakcie Odsiewu miejcie na uwadze temperament każdej rasy, bo to pomoże wam zdecydować, do których smoków podejść, a od których lepiej uciekać – zaznacza profesor Kaori. Wodzi po pierwszakach poważnymi, ciemnymi oczami, a następnie zmienia projekcję zielonego sztyletogona na czerwonego skorpiogona. Jest iluzjonistą i jedynym profesorem w całym kwadrancie, który włada mocą projektowania tego, co widzi w swoim umyśle, dlatego jego zajęcia

należą do moich ulubionych. To również dzięki niemu wiedziałam, jak wygląda Oren Seifert.

Czy czuję się winna, ponieważ perfidnie okłamałam profesora na temat tego, dlaczego muszę znaleźć konkretnego kadeta? Nie. Czy uważam, że to oszustwo? Również nie. Robię dokładnie to, co sugerowała Mira – wykorzystuję swój mózg.

Czerwony skorpion widniejący pośrodku kręgu stolików znacznie odbiega od swoich rzeczywistych rozmiarów – ma co najwyżej sześć stóp wysokości – ale poza tym to wiernie odwzorowana replika ognistego gada, który będzie czekać na nas w Kotle w trakcie Odsiewu.

– Czerwone skorpiony, tak jak widoczny tu Ghrian, są najbardziej drażliwe – ciągnie profesor. Idealnie przycięty wąs mężczyzny faluje, kiedy ten uśmiecha się do iluzji, jakby sam był smokiem. Wszyscy pilnie robimy notatki. – A zatem jeśli go urazicie, to...

– Zostaniemy jego obiadem – dokańcza siedzący po mojej lewej Ridoc i cała sala wybucha śmiechem. Prycha nawet Jack Barlowe, który nie przestał wbijać we mnie wzroku, odkąd jego drużyna zajęła swoją ćwiartkę sali pół godziny temu, zupełnie jakby chciał mnie w ten sposób zasztyletować. – Zgadza się – potwierdza Kaori. – Jaki jest więc najlepszy sposób, aby podejść do czerwonego skorpiona? – Rozgląda się po sali.

Znam odpowiedź, ale trzymam rękę przy sobie. Zamierzam stosować się do rady Daina i nie zwracać na siebie uwagi.

– Najlepiej wcale – mamrocze Rhiannon, która zajmuje miejsce obok mnie. Cicho parskam śmiechem.

– Wola, kiedy podchodzi się do nich od lewej lub od przodu, jeśli to możliwe – odpowiada dziewczyna z innej drużyny.

– Znakomicie. – Profesor Kaori energicznie kiwa głową. – W trakcie nadchodzącego Odsiewu traficie na cztery czerwone skorpiony chętne wytworzyć więź. – Obraz przed nami zmienia się na innego smoka.

– Ile smoków będzie na nas czekać? – pyta Rhiannon.

– W tym roku setka – odpowiada profesor i znowu zmienia projekcję. – Ale niektóre mogą rozmyślić się w trakcie Prezentacji, która odbędzie się za dwa miesiące.

Przeszywa mnie zimny dreszcz.

– To o trzydzieści siedem mniej niż w zeszłym roku. – Może nawet jeszcze mniej, jeśli nie spodobamy im się w trakcie Prezentacji, która odbędzie się dwa dni przed Odsiewem. Oczywiście do tego czasu liczba kadetów również zmaleje.

Profesor Kaori unosi ciemne brwi.

– Tak, kadetko Sorrengail, to prawda. I o dwadzieścia sześć mniej niż dwa lata temu.

Coraz mniej smoków jest skłonnych wytworzyć więź z ludźmi, ale liczba jeźdźców dołączających do kwadrantu pozostaje niezmienna. Moje myśli galopują. Ataki na wschodnią granicę są coraz częstsze, zgodnie z informacjami przedstawionymi w trakcie analizy wojennej, a mimo to coraz mniej smoków jest chętnych do wytworzenia więzi, aby chronić Navarrę.

– A powiedzą, dlaczego nie chcą się wiązać? – odzywa się jakiś pierwszorocznik.

– Nie, głąbie – prycha Jack i mruży na kadeta lodowate niebieskie oczy. – Smoki komunikują się tylko ze swoimi jeźdźcami i tylko im zdradzają swoje pełne imię. Powinieneś już to wiedzieć.

Profesor Kaori posyła Jackowi spojrzenie, które natychmiast zamyka mu usta, ale to nie powstrzymuje go przed drwiącym uśmieszkiem rzucanym drugiemu kadetowi.

– Nie dzielą się z nami powodem – przyznaje nasz wykładowca. – A nikt, komu życie miłe, nie będzie zadawał pytania, na które smoki nie są chętne odpowiadać.

– Czy liczba smoków wpływa na moc barier? – pyta Aurelie, która siedzi za mną i nieustannie stuka piórem o blat biurka. Ona nie potrafi wysiedzieć w bezruchu.

Profesor Kaori zaciska szczęki.

– Nie jesteśmy pewni. Liczba związanych smoków nie miała wcześniej wpływu na szczelność barier Navarry, ale nie zamierzam was okłamywać i mówić, że nie widzimy powiększających się wyrw, skoro z analizy wiecie, że takowe istnieją.

Bariery słabną w takim tempie, że spinam się za każdym razem, gdy Devera zaczyna zajęcia. Albo my słabniemy, albo nasi wrogowie rosą w siłę. Niezależnie od odpowiedzi, oznacza to, że znajdujący się na tej sali kadeci są potrzebni bardziej niż kiedykolwiek.

Nawet ja.

Projekcja się zmienia i ukazuje Sgaeyl, granatową smoczycę związaną z Xadenem. Wzdrygam się na wspomnienie spojrzenia, którym obrzuciła mnie pierwszego dnia.

– Nie będziecie musieli przejmować się kwestią zbliżenia do niebieskich smoków, bo żaden z nich nie jest skłonny do wytworzenia więzi w trakcie nadchodzącego Odsiewu, ale powinniście być w stanie rozpoznać Sgaeyl, jeśli ją zobaczycie – wyjaśnia profesor.

– Żeby spieprzyć jak najszybciej – rzuca Ridoc.

Kiwam głową, inni parszczą śmiechem.

– To niebieski sztyletogon, najrzadszy z niebieskich smoków i tak, jeśli zobaczycie ją bez jeźdźca, to zdecydowanie powinniście jak najszybciej... się oddalić. Powiedzieć, że jest bezwzględna, to za mało. Nie stosuje się do żadnych reguł, które według nas mogą być smoczym prawem. Co więcej, związała się

z krewnym swoich poprzednich jeźdźców, a jak wszyscy z pewnością wiecie, jest to na ogół zakazane, ale Sgaeyl robi to, na co ma ochotę i kiedy ma ochotę. Właściwie jeśli zobaczycie jakiegokolwiek niebieskiego smoka, trzymajcie się od niego z daleka. Po prostu musicie...

– Uciec – powtarza Ridoc, przeczesując przylizane brązowe włosy.

– Uciec – zgadza się z uśmiechem profesor. Wąs nad jego wargą delikatnie drży.

– Obecnie służbę pełni kilka niebieskich smoków, ale wszystkie znajdziecie w górach Esben na wschodzie, gdzie najczęściej dochodzi do walk. Każdy z nich jest przerażający, ale to Sgaeyl jest najpotężniejsza.

Oddech grzęźnie mi w gardle. Nic dziwnego, że Xaden włada cieniami, które potrafią wyciągać sztylety z pni drzew i najpewniej mogłyby tymi sztyletami rzucać. A jednak... pozwolił mi żyć. Odpędzam jak najdalej promyczek ciepła, który pociąga za sobą ta myśl.

Zrobił to pewnie tylko po to, by się nade mną poznęcać. Jak drapieznik, który bawi się swoją ofiarą, zanim ją zje.

– A co z czarnym smokiem? – pyta siedzący obok Jacka pierwszak. – Jest tu jeden z nich, prawda?

Jack się ożywia.

– Chcę takiego mieć.

– To, co chcesz, jest bez znaczenia. – Profesor macha ręką. Sgaeyl znika i jej miejsce zajmuje ogromny czarny smok. Nawet jego iluzja jest wielka. Muszę dosłownie odchylić się, żeby zobaczyć jego łeb. – Ale, aby zaspokoić waszą ciekawość, bo to pierwsza i ostatnia okazja, aby go zobaczyć, oto jedyny czarny smok poza tym należącym do generała Melgrena.

– Jest kolosalny – rzuca Rhiannon. – Czy to maczugon?

– Nie. Gwieździstogon. Potrafi grzmocić ogonem tak samo jak maczugon, ale te kolce, jak w kropaczu, mogą wypatroszyć człowieka tak samo jak sztyletogon.

– Połączenie dwóch najlepszych smoków – woła Jack. – Wygląda jak maszyna do zabijania.

– Bo nią jest – przyznaje profesor. – Szczerze mówiąc, nie widziałem go od pięciu lat, dlatego ta iluzja jest trochę przestarzała. Ale skoro już na niego patrzymy, co możecie mi powiedzieć o tej rasie smoków?

– Są najmądrzejsze i najbardziej spostrzegawcze – oznajmia Aurelie.

– I najrzadsze – dodaje. – Żaden nie narodził się od... stu lat.

– Zgadza się. – Kaori obraca iluzję. Napotykam spojrzenie groźnych żółtych ślepi. – Są również najbardziej przebiegłe. Nie da się przechytrzyć czarnego smoka. Ten ma nieco ponad sto lat, więc jest mniej więcej w średnim wieku. Uznaje się go za smoka bitewnego i gdyby nie on, najpewniej przegralibyśmy w trakcie tyrreńskiej rebelii. Jeśli dołączymy do tego fakt, że jest również gwieździstogonem, otrzymujemy najgroźniejszego smoka w całej Navarze.



– Mogę się założyć, że ma zarąbistą moc więzi. Jak się do takiego zbliżyć? – pyta Jack, nachylając się w stronę wykładowcy. W jego oczach czai się czysta chciwość, którą podziela siedzący obok niego kolega.

To ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje to królestwo – żeby ktoś tak okrutny jak Jack zdobył czarnego smoka. Oby nigdy do tego nie doszło.

– Nie da się – odpowiada profesor. – Czarny smok nie zgodził się na wytworzenie więzi, odkąd jego poprzedni i jedyny jeździec został zabity w trakcie powstania. Można się do niego zbliżyć tylko będąc w Kotle, ale wam się to nie uda, bo zostaniecie spopieleni, zanim zdołacie przeprowić się przez wąwóz.

Błada rudowłosa dziewczyna zajmująca miejsce po drugiej stronie kręgu wierci się na krześle i obciąża rękaw bluzki, żeby zakryć piętno rebelii.

– Ktoś powinien znowu go wyzwać – upiera się Jack.

– To tak nie działa, Barlowe. Obecnie w naszych szeregach służy tylko jeden czarny smok...

– Należący do generała Melgrena – wtrąca Sawyer. Notes leży zamknięty naprzeciwko niego i wcale mu się nie dziwię. Gdybym brała udział w tych samych zajęciach po raz kolejny, też bym nie notowała. – Codagh, prawda?

– Tak. – Profesor kiwa głową. – To najstarszy smok w ich rodzaju. Mieczogon.

– Ale tak z ciekawości. – Jack wciąż nie może oderwać wzroku od czarnego, niezwiązanego z nikim smoka. – Jaką moc miałby jego jeździec?

Profesor Kaori zaciska dłoń w pięść i iluzja znika.

– Nie da się tego stwierdzić. Moce są wynikiem wyjątkowej więzi między jeźdźcą i jego smokiem, na ogół mówią więcej na temat człowieka niż smoka. Im silniejsza więź i smok, tym silniejsza jest moc.

– Dobra. Jaka była moc jego poprzedniego jeźdźcy? – drażni niestrudzenie Jack.

Profesor wzdycha ciężko.

– Naolin potrafił absorbować moce z innych źródeł, od innych smoków i jeźdźców, a potem wykorzystywał je albo przekazywał innym.

– Ale odjazd – szepcze z podziwem Ridoc.

– To prawda – potwierdza profesor.

– Co może zabić kogoś z taką mocą? – pyta Jack, krzyżując ramiona na masywnej klatce piersiowej.

Kaori na chwilę przenosi na mnie spojrzenie, a potem odwraca głowę.

– Próbował wykorzystać tę moc, aby wskrzesić poległego jeźdźcy. Oczywiście nie udało mu się, ponieważ nie istnieją moce potrafiące kogoś wskrzesić. Naolin wyczerpał się w trakcie, a dokładniej, używając terminu, który stanie się wam bliższy po Odsiewie, wypalił się i zmarł obok tamtego jeźdźcy.

Rozlega się dzwon sygnalizujący koniec godziny lekcyjnej. Wszyscy zaczynają zbierać swoje rzeczy. Drużyny wylewają się na korytarz, ale ja powoli zakładam

torbę na ramię. Rhiannon czeka na mnie przy drzwiach z dezorientacją wymalowaną na twarzy.

– To był Brennan, prawda? – pytam profesora.

Patrzy mi w oczy ze smutkiem.

– Tak. Naolin zmarł, próbując uratować twojego brata, ale dla Brennana było już o wiele za późno.

– Dlaczego to zrobił? – Poprawiam torbę na ramieniu. – Wskrzeszenie nie jest możliwe. Dlaczego świadomie doprowadził do swojej śmierci, skoro wiedział, że dla Brennana nie ma już ratunku? – Przez moje serce przetacza się fala smutku, która wydusza powietrze z płuc. Brennan nie chciałby, żeby ktokolwiek oddał za niego życie. To nie leżało w jego naturze.

Profesor Kaori odchyła się na krześle i patrzy na mnie, gładząc palcami krótkie ciemne włosy swoich wąsów.

– Pewnie nie jest łatwo żyć tu, mając na nazwisko Sorrengail, co?

Potakuję.

– Niejeden kadet chce się mnie pozbyć, a niektórzy tylko przez samo nazwisko. Kiwa głową ze zrozumieniem.

– Zmieni się to w dniu, w którym ukończysz uczelnię. Wtedy odkryjesz, że inni zrobią wszystko dla córki generały Sorrengail. Będą cię chronić, zadowalać, ale nie z miłości do twojej matki, lecz strachu lub chęci wkupienia się w jej łaski.

– Jakie podejście miał Naolin?

– Zarówno jedno, jak i drugie. Czasami trudno jest tak potężnemu jeźdźcowi zaakceptować swoje granice. Dzięki więzi stajesz się jeźdźcem, ale jeśli uda ci się kogoś wskrzesić... czujesz się jak bóg. Sądzę jednak, że Malek nie patrzy przychylnie na śmiertelników wchodzących mu w paradę.

– Dziękuję za odpowiedź. – Ruszam do wyjścia.

– Violet – woła za mną profesor. Odwracam się. – Uczyłem twoje rodzeństwo. Taka moc jak moja jest zbyt użyteczna na sali wykładowej, żeby wysłać mnie na pole bitwy. Brennan był wybitnym jeźdźcem i dobrym człowiekiem. Mira na smoku jest sprytna i utalentowana.

Kiwam głową.

– Ale ty jesteś bystrzejsza od nich obojga.

Mrugam oszołomiona. Rzadko jestem porównywana do siostry i brata, a do tego oceniana lepiej od nich.

– Widziałem również, że pomagasz kolegom uczyć się w bibliotece, i wygląda na to, że jesteś również od nich bardziej empatyczna. Nie zapominaj o tym.

– Dziękuję, ale inteligencja i empatia nie pomogą mi w trakcie Odsiewu. – Śmieję się ponuro. – Wie pan na temat smoków więcej niż ktokolwiek w kwadrancie, a być może na całym Kontynencie. One szukają w kadetach siły i sprytu.

– Wybierają nas z powodów, którymi nie chcą się z nami dzielić. – Profesor wstaje. – I siła nie zawsze musi być fizyczna, Violet.

Kiwam głową, bo nie jestem w stanie znaleźć odpowiedniej reakcji na jego pochwały. Odwracam się i zmierzam w stronę czekającej przy drzwiach Rhiannon. Jedyne, czego jestem teraz pewna, to fakt, że empatia nie pomoże mi przetrwać na macie po obiedzie.

\* \* \*

**N**erwy targają mną tak bardzo, że chce mi się rzygać. Właśnie stoję przy brzegu szerokiej czarnej maty i obserwuję, jak Rhiannon miażdży swojego przeciwnika. To chłopak z Drugiego Skrzydła i w okamgnieniu udaje jej się go chwycić i zacisnąć ramię wokół jego szyi, odcinając mu dostęp powietrza. To manewr, którego próbowała mnie nauczyć przez ostatnie dwa tygodnie.

– Sprawia wrażenie, jakby to było takie proste – komentuję, kiedy Dain staje obok mnie, a jego łokieć ociera się o mój.

– On będzie próbował cię zabić.

– Co? – Unoszę głowę i podążam za jego spojrzeniem na dwie maty dalej.

Dain niemal sztyletuje wzrokiem Xadena, na którego twarzy maluje się wyraz czystego znudzenia. Tymczasem Rhiannon mocniej zaciska ramię wokół szyi kadeta.

– Twój przeciwnik – rzuca cicho Dain. – Podśluchałem jego rozmowę z kolegami. Uważają, że przez tego Barlowe’a jesteś kłopotem dla skrzydła. – Przenosi spojrzenie na Orena mierzącego mnie wzrokiem jak zabawkę, którą planuje roztrzaskać.

Mimo to uśmiecham się na widok zielonkawego odcienia jego twarzy.

– Poradzę sobie – odpowiadam. To ostatnio moja mantra. Mam na sobie spodnie i kamizelkę ze smoczych łusek, w której zaczynam czuć się jak we własnej skórze, oraz cztery sztylety, a jeśli wszystko pójdzie zgodnie z moim planem, wkrótce dodam do kolekcji kolejny.

Pierwszak z Drugiego Skrzydła traci przytomność, a Rhiannon podnosi się triumfalnie. Nagradzamy ją oklaskami. Nachyla się do swojego przeciwnika i wyciąga sztylet z za jego pasa.

– Wygląda na to, że teraz należy do mnie. Miłej drzemki. – Klepie go po głowie, a ja wybucham śmiechem.

– Nie wiem, czemu jest ci tak do śmiechu, Sorrengail – słyszę za sobą drwiący głos.

Odwracam się i widzę Jacka, który stoi pod drewnianą ścianą na szeroko rozstawionych nogach i uśmiecha się podle.

– Odwal się, Barlowe. – Pokazuję mu środkowy palec.

– Mam nadzieję, że wygrasz dzisiejsze wyzwanie. – W jego oczach pojawia się sadystyczny błysk, od którego robi mi się nieswojo. – Szkoda by było, żeby ktoś cię zabił, zanim ja dostanę swoją szansę. Ale wcale bym się nie zdziwił. Fiołki[1] są takie delikatne... i kruche.

Delikatne, też mi coś.

„Zastanowi się dwa razy nad zabiciem cię, jeśli rzucisz sztyletami w jego głowę”.

Wyciągam dwa sztylety i płynnym ruchem ciskam je w jego stronę. Oba ostrza trafiają tam, gdzie chciałam – jeden kaleczy jego ucho, a drugi wbija się w drewnianą ścianę tuż pod jajami.

Oczy Jacka rozszerzają się ze strachu.

Uśmiecham się bezwstydnie i macham mu palcami.

– Violet – syczy Dain, kiedy Jack ostrożnie odchodzi od ściany, unikając moich ostrzy.

– Zapłacisz mi za to. – Celuje we mnie palcem i oddala się, ale po ruchu jego ramion widzę, że oddycha nierównomiernie.

Odprowadzam go wzrokiem, a następnie wyciągam sztylety ze ściany, chowam je do pochew na biodrach i odwracam się w stronę Daina.

– Co to miało znaczyć? – cedzi mój przyjaciel. – Mówiłem ci, że masz nie zwracać na siebie jego uwagi, a ty... – Potrząsa głową. – Wkurzyłaś go jeszcze bardziej?!

– Niezwracanie uwagi nie zdało egzaminu – odpowiadam i wzruszam ramionami. Przeciwnik Rhiannon zostaje zniesiony z maty. – Musi zrozumieć, że nie jestem słaba.

I że zabicie mnie będzie trudniejsze, niż myśli.

Nie jestem w stanie zignorować mrowienia na skórze głowy, więc przenoszę wzrok na Xadena.

Moje przekłute serce znów traci rytm, jakby wysłał swoje cienie, żeby ścisnąć organ pomiędzy moimi żebrami. Xaden unosi przeciętą blizną brew i mogłabym przysiąc, że na jego ustach dostrzegam uśmiech. Zaraz potem podchodzi, żeby obejrzeć kolejną walkę kadetów Czwartego Skrzydła.

– To było niezłe – chwali mnie Rhiannon, stając obok. – Myślałam, że Jack posra się ze strachu.

Znowu się uśmiecham.

– Przestań ją zachęcać – gani ją Dain.

– Sorrengail. – Profesor Emetterio zerka na swój notatnik i unosi czarną krzaczastą brew, po czym kontynuuje: – Seifert.

Przełykam panikę, która wspina się po moim gardle, i wchodzę na matę. Zatrzymuję się naprzeciwko Orena, który teraz jest już wyraźnie zielony.

No, w porę.

Przygotowałam się najlepiej, jak się dało: owinęłam bandażami kostki i kolana, w razie gdyby próbował przypuścić atak na moje nogi.

– Nie bierz tego do siebie – odzywa się, kiedy zaczynamy się okręzać z uniesionymi rękami. – Ale stanowisz niebezpieczeństwo dla swojego skrzydła.

Rzuca się na mnie, ale powłóczy nogami, więc mam czas okręcić się i wbić pięść w jego nerkę, a następnie odskoczyć i chwycić sztylet.

– Nie stanowią większego zagrożenia niż ty – stwierdzam.

Dyszy ciężko, pot występuje na jego czoło, ale otrząsa się i mruga pospiesznie, sięgając po własny nóż.

– Moja siostra jest medyczką. Słyszałam, że twoje kości są kruche jak gałązki.

– To chodź i się przekonaj. – Siłę się na uśmiech i czekam, aż znowu się na mnie rzuci. Nie pomyliłam się. Miałam okazję przyglądać mu się przez trzy ostatnie wyzwania. Jest silny jak byk, ale pozbawiony gracji.

Jego ciałem wstrząsają spazmy, jakby miał zaraz zwymiotować. Zakrywa usta wolną ręką, oddycha głęboko i się prostuje. Powinnam go zaatakować, ale zamiast tego czekam. Rzuca się na mnie, unosząc wysoko nóż do ataku.

Z walącym sercem czekam, aż w końcu do mnie dotrze. Mój mózg jakimś cudem przekonał ciało, by stać nieruchomo do ostatniej chwili. Oren zadaje cios z góry, a ja odskakuję i tnę go sztyletem w bok, potem się odwracam i kopnięciem posyłam go na matę.

Teraz.

Wykorzystuję przewagę i wbijam kolano w jego kręgosłup, tak jak wcześniej Imogen postąpiła ze mną.

– Poddaj się. – Przykładam ostrze do jego gardła.

Komu potrzebna jest siła, kiedy ma się szybkość i stal?

– Nie! – wydziera się, ale jego ciałem wstrząsają torsje i pozbywa się na matę wszystkiego, co zjadł tego dnia od śniadania.

Obrzydliwe.

– Na bogów – woła z niesmakiem Rhiannon.

– Poddaj się – rozkazuję znowu, ale mdłości nie przestają go męczyć, więc zabieram nóż, żeby przypadkiem nie poderżnąć mu gardła.

– Poddaje się – oznajmia Emetterio, jego mina wyraża odrazę.

Chowam sztylet i schodzę z chłopaka, omijając kałużę rzygów. Podnoszę z maty nóż, który Oren upuścił chwilę temu. Jest cięższy i dłuższy od moich, ale teraz należy do mnie. Zasłużyłam sobie na niego. Chowam go do pustej pochwy na lewym udzie.

– Wygrałaś! – krzyczy Rhiannon i ściska mnie, kiedy podchodzę.

– Pochorował się – stwierdzam ze wzruszeniem ramion.

– Nie ma nic złego w tym, że wygrało się dzięki odrobinie szczęścia – zapewnia Rhiannon.

– Muszę znaleźć kogoś, kto to posprząta – mamrocze Dain. Jego twarz też robi się nieco zielonkawa.

Wygrałam.

\* \* \*

**W** moim planie najtrudniejsze jest wycucie czasu.

Tydzień później wygrywam, bo krępa dziewczyna z Pierwszego Skrzydła nie może się skoncentrować na tyle, by mnie powalić, a to dzięki grzybkom lekarskim i ich halucynogennym właściwościom, które jakimś cudem dostały się do jej obiadu. Fuksem wymierza mi porządny cios w linii prostej w kolano, ale to rana z rodzaju tych, które wystarczy na kilka dni obwiązać bandażem.

W następnym tygodniu również udaje mi się wyjść z walki obronną ręką, ponieważ wysoki chłopak z Trzeciego Skrzydła traci tymczasowo czucie w nogach – zażył korzeń zihna, który rośnie przy jednej z wychodni skalnej koło wąwozu. Okazuje się jednak, że specyfik podałam za późno, bo udaje mu się zadać mi kilka dotkliwych ciosów w twarz. Zostaje mi siniak na policzku i rozwalona warga, które goją się dopiero po jedenastu dniach, ale przynajmniej nie mam złamanej szczęki.

Tydzień później również wygrywam. W trakcie starcia wzrok kadetki okazałych kształtów rozmywa się, a to wszystko zasługa liści tarsilli, które udało mi się dosypać do jej herbaty. Dziewczyna jest szybka, rzuca mnie na matę i zadaje potężne kopnięcia w brzuch, po których zostają mi kolorowe krwiaki, a na moich żebrach widać nawet odcisk buta. Niemal się poddam i chcę iść z tym do Nolona, ale zaciskam zęby i owijam żebra bandażem, bo nie zamierzam dać innym powodu, żeby się mnie pozbyć, tak jak chcą tego Jack i naznaczeni.

Zdobywam piąty sztylet o pięknej rubinowej rękojeści. Podczas ostatniego wyzwania w sierpniu trafiam na wyjątkowo spoconego faceta z przerwą między zębami. Kora karminowego drzewa, która znalazła się w jego manierce, przyprawia go o zawroty głowy i mdłości. Skutki są podobne do jagód wichrzypnącza. Jaka szkoda, że cała Trzecia Drużyna Sekcji Szpona z Trzeciego Skrzydła zachorowała na tę samą chorobę. To pewnie jakiś wirus, a przynajmniej tak mówię, kiedy chłopak traci przytomność w moim stanowczym uścisku. Wcześniej jednak udało mu się wybić mi kciuk i niemal złamać nos.

Gdy nadchodzi wrzesień, wchodzę na matę sprężystym krokiem. Pokonałam pięciu przeciwników i żadnego z nich nie zabiłam, czego nie można powiedzieć o ćwierci naszego roku – w zeszłym miesiącu życie straciło niemal dwadzieścia osób, i to tylko spośród pierwszaków.

Niestety Rayma Corrie z Trzeciego Skrzydła nie stawia się na wyzwanie, tak jak się tego spodziewałam.

– Przykro mi, Violet – odzywa się profesor Emetterio i drapie się po krótkiej czarnej brodzie. – Miałaś zmierzyć się dzisiaj z Raymą, ale została zabrana do medyków, ponieważ nie jest w stanie przejść kilku kroków w prostej linii.

Taki skutek mają owoce walwynu zjedzone na surowo... na przykład wtedy, gdy ktoś doda je do sosu, którym polewa śniadanie na słodko.

– To... – Cholera... – Szkoda. – Krzywię się. Podałam jej to za wcześnie. – Czy powinnam... – zaczynam, wycofując się z maty.

– Chętnie ją zastąpię.

Ten głos. Ten ton. Ten lodowaty dreszcz przeszywający skórę mojej głowy...

O nie. Tylko nie to. Nie. Nie. Nie.

– Jesteś pewien? – pyta profesor Emetterio, oglądając się przez ramię.

– Absolutnie.

Głośno przełykam ślinę.

A Xaden wchodzi na matę.

[1] *Violet* (ang.) – fiołek (przyp. tłum.).

*Nie zamierzam dzisiaj umrzeć.*

Osobisty wpis w *Dzienniku Brennana* autorstwa Violet Sorrengail



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

**M**am przesrane.

Xaden wychodzi naprzeciw mnie. Mierzy ponad sześć stóp i jest ubrany w skórzane spodnie do walki w kolorze północy i obcisłą koszulkę z krótkim rękawem, która zdaje się uwydatniać groźny, lśniący symbol rebelii na jego ramieniu. Wiem, że to śmieszne, ale takie mam wrażenie.

Bicie mojego serca przechodzi w galop, jakby ciało już знаło prawdę, ale umysł jeszcze jej nie zaakceptował. Zaraz skopie mi tyłek... albo gorzej.

– Wszyscy możecie popatrzeć – oznajmia profesor i klaszcze w dłonie. – Xaden to jeden z naszych najlepszych wojowników. Patrzcie i ucicie się.

– Oczywiście, że najlepszy – kpię pod nosem, a mój żołądek burzy się, jakbym to ja najadła się skórek owocu walwynu.

Kącik ust Xadena unosi się w drwiącym uśmiechu, a złote plamki w jego oczach migają. Ten sadystyczny gnojek czerpie z tego chorą satysfakcją.

Moje kolana, kostki i nadgarstki są owinięte białym materiałem, obandażowany kciuk wyraźnie kontrastuje z czarnym skórzanym strojem.

– To trochę za wysokie progi jak na nią, nie sądzisz? – komentuje stojący z boku Dain, każde słowo wypowiada z napięciem.

– Wyluzuj, Aetos. – Xaden skupia ostry wzrok ponad moim ramieniem, gdzie stoi mój przyjaciel, tak jak zawsze, kiedy wchodzę na matę. Dociera do mnie, że dostawałam łagodniejszą wersję groźnego spojrzenia Xadena, bo na Daina patrzy z czystą nienawiścią. – Będzie w jednym kawałku, kiedy skończę ją uczyć.

– Myślę, że to nie jest sprawiedliwe... – zaczyna wyższym głosem Dain.



– Nikt ci nie każe myśleć, dowódco drużyny – wypala Xaden i odchodzi na bok, żeby się rozbroić. Nosi przy sobie mnóstwo oręża, które przekazuje Imogen.

Moje usta wypełnia gorzki, niezrozumiały posmak zazdrości, ale nie mam czasu zastanowić się nad tą dziwną reakcją, bo Xaden wyrasta przede mną w ciągu sekundy.

– Nie uważasz, że będziesz tego potrzebować? – pytam, zaciskając w garści własne ostrza. Jego klatka piersiowa jest masywna, barki szerokie, ręce mocno umięśnione. W tak wielki cel powinnam trafić bez trudu.

– Nie. Ty przyniosłaś wystarczająco broni dla nas dwojga. – Na jego usta wypływa przebiegły uśmiech. Wyciąga rękę i macha palcami w geście przywołania. – Zaczynamy.

Moje serce trzepocze jak skrzydła kolibra w locie. Przybieram pozycję do walki i czekam na jego uderzenie. Mata rozciąga się zaledwie na dwadzieścia stóp w każdym kierunku, a mój cały świat kurczy się do jej granic i znajdującego się pośrodku zagrożenia.

Xaden nie należy do mojej drużyny. Może mnie zabić i nie poniesie za to konsekwencji.

Rzucam sztyletem w jego niewiarygodnie wyrzeźbiony tors.

A on zwyczajnie łapie go i cmoka z dezaprobatą.

– Już widziałem ten ruch.

Jasna cholera, ale jest szybki.

W takim razie muszę być szybsza. To moja jedyna przewaga. Z tą myślą rzucam się naprzód z zamiarem zamachnięcia się i kopnięcia – Rhiannon niestrudzenie uczyła mnie tego ruchu przez ostatnie sześć tygodni – jednak on z gracją unika mojego ciosu, a potem chwyta mnie za nogę. Ziemia wiruje i padam na plecy z taką siłą, że powietrze uchodzi z moich płuc.

On jednak nie przygotowuje się do śmiertelnego ciosu. Upuszcza sztylet, który złapał, i kopnięciem pozbywa się go z maty, a chwilę później, kiedy moje płuca znowu napełniają się powietrzem, podnoszę się z wyciągniętym ostrzem i zamierzam się na jego udo.

Blokuje mój cios przedramieniem. Drugą ręką łapie mnie za nadgarstek, wyrywa mi nóż z dłoni i pochyla się tak, że nasze twarze dzielą dosłownie cale.

– Masz dzisiaj ochotę na rzeź, co, Violence? – pyta szeptem. Metal znów łąduje na macie. Xaden pozbywa się go kopnięciem.

Nie odbiera mi sztyletów, żeby je wykorzystać; zamiast tego rozbraja mnie, by po prostu udowodnić, że może to zrobić. Krew we mnie wrze.

– Mam na imię Violet – syczę.

– Myślę, że moja wersja lepiej do ciebie pasuje. Jesteś taka agresywna. – Puszczą mój nadgarstek i wstaje, wyciągając do mnie rękę. – Jeszcze nie skończyliśmy.

Dyszę ciężko i wciąż próbuję dojść do siebie po tym, jak wytrącił mnie z równowagi, więc korzystam z propozycji. Xaden podciąga mnie, a potem wykręca mi rękę za plecami i przyciska mnie do swojej twardej klatki piersiowej, nie dając mi nawet szansy na odzyskanie równowagi.

– Pogięło cię? – krzyczę oburzona.

Czuję szarpnięcie na wysokości uda i kolejny sztylet zostaje przyciśnięty do mojego gardła. Za głowę wyczuwam jego klatkę piersiową, a przedramieniem trzyma mnie na wysokości żeber. Jest tak nieruchomy, że mógłby uchodzić za posąg. Nie mogę nawet zamachnąć się głową, żeby go uderzyć – tylko bym go rozżłóściła.

– Nie ufaj nikomu, z kim walczysz na macie – ostrzega, jego ciepły oddech owiewa płatek mojego ucha. Mimo że otacza nas mnóstwo ludzi, dociera do mnie, że mówi tak cicho nie bez powodu. Ta lekcja jest przeznaczona tylko dla mnie.

– Nawet komuś, kto jest mi winien przysługę? – odpowiadam równie cicho. Moje ramię wykręcone pod nienaturalnym kątem zaczyna protestować, ale się nie ruszam. Nie dam mu tej satysfakcji.

Upuszcza trzeci sztylet, który mi odebrał, i kopie go w stronę Daina. Mój przyjaciel już trzyma w ręce pozostałe dwa i patrzy na Xadena z chęcią mordy w oczach.

– To ja zdecyduję, kiedy przyznać ci prawo do tej przysługi. Nie ty. – Poluzowuje uścisk i się odsuwa.

Okręcam się i zamierzam na jego gardło, ale odpycha moją rękę.

– Dobrze – chwali z uśmiechem i bez trudu paruje mój następny ruch. – Celowanie w gardło to w twoim przypadku najlepsza możliwość, o ile jest ono odsłonięte.

Kierowana furią znowu wykonuję to samo kopnięcie. Pamięć mięśniowa przejmuje kontrolę. Xaden znowu łapie mnie za nogę i tym razem wyciąga ukryty tam nóż, rzuca go na matę i dopiero potem mnie puszcza, unosząc brew z rozczarowaniem.

– Oczekuję, że będziesz uczyć się na własnych błędach. – Stopą odpycha broń na bok.

Zostało mi tylko pięć sztyletów, wszystkie tkwiące w pochwach na wysokości żeber.

Chwytam jeden z nich i okrążam Xadena z uniesionymi rękami. Ku mojemu rozdrażnieniu nawet nie chce mu się odwrócić twarzą do mnie. Stoi w miejscu

nieruchomo, trzymając ręce luźno po bokach.

– Zamierzasz tak brykać, czy w końcu zaatakujesz?

Niech się pieprzy.

Nacieram na niego, ale Xaden robi unik i mój nóż przelatuje nad jego ramieniem, omijając go o całe sześć cali. Oblatuje mnie strach, kiedy chwytam mnie za rękę i szarpie w drugą stronę. Przez chwilę lecę w powietrzu, a potem uderzam o matę. Cały impet absorbują żebra.

Unieruchamia mi rękę. Krzyczę, kiedy moją kończynę przeszywa palący ból. Upuszczam sztylet, ale on jeszcze nie skończył. Wbija kolano w mój mostek i wyrywa kolejny sztylet z pochwy, żeby rzucić go Dainowi. Sięga po następny i przyciska go do miękkiego miejsca pod moją zuchwą, tuż przy szyi.

Nachyla się jeszcze bliżej.

– Załatwienie wroga przed bitwą jest mądrym posunięciem, to ci muszę przyznać – szepcze, a jego ciepły oddech muska moje ucho.

O Boże. Wie, co robię. Ból w ramieniu jest niczym w porównaniu z mdłościami wywołanymi myślą, co może zrobić z tą wiedzą.

– Problem w tym, że jeśli nie będziesz sprawdzać tutaj swoich umiejętności – przesuwa końcówką ostrza po mojej skórze, ale nie czuję spływającej krwi, więc wiem, że mnie nie zaciął – to nie staniesz się lepsza.

– I tak wolisz, bym umarła. To nie ulega wątpliwości – cedzę z policzkiem przyciśniętym do maty. Nie dość, że to bolesna pozycja, to jeszcze upokarzająca.

– I miałbym odmówić sobie zaszczytu twojego towarzystwa? – drwi.

– Nienawidzę cię – wyrywa mi się mimowolnie.

– Nie ty jedna.

Nacisk znika z mojej klatki piersiowej i ręki. Xaden wstaje i kopie oba sztylety w stronę Daina.

Jeszcze dwa. A teraz moje upokorzenie i złość są silniejsze niż strach.

Ignoruję wyciągniętą dłoń Xadena i podnoszę się o własnych siłach. Uśmiecha się z aprobatą.

– A więc da się cię czegoś nauczyć.

– Jestem całkiem pojętna – odpowiadam.

– To się jeszcze okaże. – Robi dwa kroki w tył, żeby zwiększyć między nami dystans, i przywołuje mnie ruchem palca.

– Oszalałeś? Przecież już udowodniłeś, kto jest górą – warczę na tyle głośno, że słyszę oburzony okrzyk Imogen.

– Wierz mi, dopiero się rozkręcam. – Zakłada ramiona na klatce piersiowej i odchyła się na piętach, ewidentnie czekając na mój następny ruch.

Działam bez zastanowienia i kopię go w tył kolan.

Pada na matę jak ścięte drzewo, a głośnie plaśnięcie jest muzyką dla moich uszu. Rzucam się na niego i próbuję owinać mu ramię wokół szyi. Niezależnie od gabarytów każdy potrzebuje powietrza. Gdy mi się to udaje, mocno go przyduszam.

Zamiast złapać mnie za ręce, wykręca się, chwyta za tył moich ud tak, że tracę przewagę i oboje się przetaczamy. On znowu jest na górze.

Mogłam się tego domyślić.

Dociska przedramię do mojej szyi, ale nie odcina mi dopływu powietrza, choć z pewnością jest do tego zdolny. Jego biodra napierają na moje, a nogi spoczywają między moimi. Nie da się go ruszyć.

Wszystko wokół znika, a ja skupiam się na tym aroganckim błysku w jego spojrzeniu. Widzę tylko jego. Czuję tylko jego.

I nie mogę pozwolić mu wygrać.

Wysuwam z pochwy przedostatni sztylet i zamierzam się na jego ramię.

Łapie mnie za nadgarstek i unieruchamia rękę nad moją głową.

Ja pieprzę.

Po mojej szyi wspina się rumieniec, płomienie liżą policzki, kiedy Xaden pochyla głowę tak, że jego usta dzieli od moich zaledwie kilka cali. Dosłownie widzę każdą plamkę złota w jego onyksowych oczach, każde zagłębienie w skórze i zgrubienie na bliźnie.

Piękny... pieprzony... dupek...

Wstrzymuję oddech, a moje ciało, ten przeklęty zdrajca, rozgrzewa się coraz bardziej. Nie podobają ci się toksyczni mężczyźni, upominam siebie, a mimo to on właśnie mnie pociąga. Czuję to przyciąganie, odkąd ujrzałam go po raz pierwszy, jeśli mam być ze sobą szczerą.

Siłą rozwiera mi palce i wyrzuca nóż na bok, a potem puszcza mój nadgarstek.

– Wyjmij sztylet – rozkazuje.

– Co? – Otwieram szeroko oczy. Przecież mnie rozbroił i unieruchomił w takiej pozycji, że może mnie teraz zabić.

– Wyjmij. Sztylet – powtarza, łapie mnie za rękę i wyciąga ostatnie ostrze. Jego palce zaciskają moje na rękonożce.

Moją skórę zalewa żywy ogień, kiedy czuję jego palce splatające się z moimi.

Toksyczny. Niebezpieczny. I chce cię zabić. Nie, to bez znaczenia. Mój puls i tak przyspiesza jak u nastolatki.

– Jesteś taka drobna – stwierdza tonem przywodzącym na myśl obelgę.

– Wiem o tym. – Mrużę oczy.

– Więc daruj sobie skomplikowane ruchy, przez które stajesz się bezbronna. – Przesuwa ostrym czubkiem po swoim boku. – Cios w żebra byłby idealny. –

Potem przenosi nasze dłonie na swoje plecy, odsłaniając się jeszcze bardziej. – Pod tym kątem możesz również dosięgnąć nerek.

Przełykam ślinę, starając się nie myśleć o innych częściach jego ciała, których mogę dosięgnąć pod tym kątem.

Nasze ręce wędrują w stronę jego talii, on ani na chwilę nie odrywa ode mnie wzroku.

– Jeśli twój przeciwnik ma na sobie zbroję, istnieje szansa, że tu jest jego słaby punkt. To trzy miejsca, które z łatwością możesz zaatakować, zanim wróg cię powstrzyma.

Takie rany zadałyby również śmiertelne obrażenia, których do tej pory unikałam za wszelką cenę.

– Słyszysz mnie?

Kiwam głową.

– To dobrze. Bo nie będziesz w stanie otruć każdego wroga, na którego trafisz – szepcze, a ja tężeję. – Nie będziesz miała czasu zaoferować herbatki jeźdźcowi gryfów, kiedy cię zaatakuje.

– Skąd o tym wiesz? – wyduszam z trudem. Wszystkie moje mięśnie są napięte, nawet uda, które wciąż leżą po obu bokach jego ciała.

Jego oczy ciemnieją.

– Och, Violence. Jesteś dobra, ale znam lepszych mistrzów trucizn. Cała sztuka w tym, by nie dać niczego po sobie poznać.

Otwieram usta, ale powstrzymuję się od komentarza, że starałam się być dyskretna.

– Myślę, że nauczyła się dzisiaj już wystarczająco – warczy Dain, co przypomina mi, że nie jesteśmy tu sami. Urządziliśmy przedstawienie.

– On zawsze jest taki nadopiekuńczy? – mamrocze Xaden i nieznacznie odpycha się od maty.

Piorunuję go wzrokiem.

– Troszczy się o mnie.

– Raczej jest jak kula u nogi. Nie martw się. Twój trujący sekret jest u mnie bezpieczny. – Xaden unosi brew, jakby chciał mi przypomnieć, że ja również znam jego tajemnicę.

Powoli przysuwa nasze ręce do moich bioder i wciska sztylet o rubinowej rękojeści na swoje miejsce.

Ten ruch jest irytująco... podniecający.

– Nie zamierzasz mnie rozbroić? – pytam wyzywająco, kiedy mnie puszcza i się podnosi. W końcu mogę odetchnąć pełną piersią.

– Nie. Bezbronne kobiety nie są w moim typie. Na dziś to już koniec. – Wstaje i odchodzi bez słowa, żeby odebrać swoją broń od Imogen. Powoli podnoszę się

na kolana. Boli mnie każda część ciała, ale udaje mi się wstać.

Kiedy docieram do Daina, w jego oczach dostrzegam nieskrywaną ulgę.

– Wszystko w porządku?

Kiwam głową i drżącymi palcami obwieszam się bronią. Miał szansę i powód, by mnie zabić, ale dwukrotnie pozwolił mi ujść z życiem. Co to za gra?

– Aetos? – woła Xaden stojący po drugiej stronie maty.

Dain odwraca głowę, mocno zaciskając szczęki.

– Przyda jej się mniej ochrony, a więcej wskazówek. – Xaden patrzy na Daina tak długo, aż mój przyjaciel kiwa głową.

Profesor Emetterio ogłasza kolejne wyzwanie.

\* \* \*

**J**estem zdziwiony, że pozwolił ci żyć – zaczyna Dain, kiedy później siedzimy w jego pokoju, a on rozmasowuje kciukami mięśnie na moich barkach i szyi.

To tak przyjemny ból, że warto było pocierpieć całą drogę, by tu dotrzeć.

– Raczej nie wzbudziłby w innych szacunku, gdyby skręcił mi kark na macie.

– Leżę brzuchem na miękkich kocach na jego łóżku, goła od pasa w górę, nie licząc opaski uciskowej wokół moich piersi i żeber. – Poza tym to nie w jego stylu.

Dain zatrzymuje dłonie na moim ciele.

– Bo niby wiesz, jaki on ma styl?

Dręczą mnie wyrzuty sumienia z powodu trzymania w tajemnicy sekretu Xadena.

– Powiedział mi, że nie widzi powodu, by zabić mnie osobiście, skoro zginę na moście – odpowiadam zgodnie z prawdą. – I bądźmy szczerzy, gdyby naprawdę chciał się mnie pozbyć, miał ku temu mnóstwo okazji.

– Hm. – Mruczy w zamyśleniu Dain, siedzący obok mnie na łóżku, i wraca do rozmasowywania moich sztywnych, obolałych mięśni. Po kolacji Rhiannon znęcała się nade mną przez dwie godziny i po ćwiczeniach ledwie byłam w stanie się ruszyć.

Wygląda na to, że Xaden nastraszył dzisiaj nie tylko mnie.

– Uważasz, że byłby w stanie spiskować przeciwko Navarze i wciąż być związanym ze Sgaeyl? – pytam, dociskając policzek do koca.

– Z początku tak myślałem. – Przesuwa dłonie wzdłuż mojego kręgosłupa, wywierając nacisk na spięte punkty, przez które na koniec treningu nie byłam w stanie podnieść rąk. – A potem związałem się z Cathem i zrozumiałem, że smoki zrobiłyby wszystko, żeby chronić Kocioł i swój święty obszar wylęgu.

Żaden smok nigdy nie związałby się z Riorsonem lub którymkolwiek separatystą, gdyby nie zależało im na ochronie Navarry.

– Ale czy smok w ogóle wiedziałby, że kłamiesz? – Odwracam głowę tak, żeby zobaczyć jego twarz.

– Tak. – Uśmiecha się. – Cath by o tym wiedział, ponieważ ciągle siedzi mi w głowie. Nie da się ukryć czegoś takiego przed swoim smokiem.

– Zawsze jest w twojej głowie? – Wiem, że rozmowa na ten temat i właściwie na każdy związany z więzią jest zakazana, ponieważ smoki są bardzo skrytymi stworzeniami, ale przecież przyjaźnimy się z Dainem.

– Tak – odpowiada, a jego uśmiech łagodnieje. – Mogę go zablokować, jeśli zajdzie taka potrzeba, a smok nauczy cię tego po Odsiewie... – Nagle markotnieje.

– O co chodzi? – Siadam prosto, przykładam do piersi jedną z jego poduszek i opieram się o wezglowie.

– Rozmawiałem dzisiaj z pułkownikiem Markhamem. – Podchodzi do biurka i odsuwa krzesło, żeby na nim usiąść.

– Czy coś się stało? – Czuję, jak strach spływa wzdłuż mojego kręgosłupa, kiedy Dain ukrywa twarz w dłoniach. – Chodzi o skrzydło Miry?

– Nie! – Dain podrywa głowę. W jego oczach dostrzegam taką rozpacz, że natychmiast zsuwam nogi z łóżka. – Nic w tym stylu. Powiedziałem mu, że... że Riorson chyba chce cię zabić.

Mrugam i ponownie opieram się o wezglowie.

– Och. Cóż, ale to przecież nic nowego, prawda? Każdy, kto przeczytał historię rebelii, potrafi dodać dwa do dwóch, Dain.

– Tak, cóż, wspomniałem również o Jacku Barlowe i Seifercie. – Przeczesuje włosy dłońmi. – Nie myśl sobie, że nie zauważyłem, jak dzisiaj przed formacją Seifert popchnął cię na ścianę. – Unosi wymownie brwi.

– Po prostu jest wkurzony, bo po wyzwaniu odebrałam mu sztylet. – Mocniej zaciskam ramiona na poduszce.

– A Rhiannon wspomniała, że w zeszłym tygodniu znalazłaś na łóżku zgniecione kwiaty? – Wbija we mnie wyczekujące spojrzenie.

Wzruszam ramionami.

– To tylko zwiędłe rośliny.

– To były porozrywane fiołki. – Zaciska usta. Podchodzę do niego i przykładam dłoń do jego głowy.

– Przecież nie załączono do nich żadnego liściku z groźbami ani nic podobnego – żartuję, gładząc go po miękkich brązowych włosach.

Przenosi na mnie spojrzenie. W magicznym świetle jego oczy stają się nieco jaśniejsze.

– Te kwiaty to groźba.

Wyrywa mi się prychnięcie.

– Każdy kadet dostaje pogróżki.

– Nie każdy kadet musi codziennie owijać bandażami kolana – wytyka.

– Ci z kontuzjami muszą. – Marszczę brwi, czując napływającą irytację. – Dlaczego w ogóle powiedziałeś o tym Markhamowi? To skryba, więc nic z tym nie zrobi, nawet gdyby mógł.

– Powiedział, że wciąż może cię przyjąć – oznajmia Dain i zaciska ręce na moich biodrach, kiedy próbuję się odsunąć. – Zapytałem go, czy przyjąłby cię do Kwadrantu Skrybów ze względu na twoje bezpieczeństwo i się zgodził. Dołączyłabyś do pierwszego roku. Nie musiałabyś czekać na następny pobór czy coś.

– Że co zrobiłeś? – Wyrywam mu się i robię krok w tył.

– Dostrzegłem sposób, żeby uchronić cię przed niebezpieczeństwem i go wykorzystałem. – Wstaje.

– Zrobiłeś to za moimi plecami, bo uważasz, że sobie nie radzę. – Nagła świadomość zaciska się wokół mojego serca jak imadło, odcina mi dopływ powietrza, pozostawia słabą i bez tchu. Dain zna mnie lepiej niż ktokolwiek, a jednak wciąż uważa, że sobie nie poradzę, mimo że wytrzymałam już tak długo...

W moich oczach zbierają się łzy, ale nie pozwalam im spłynąć. Spuszczam wzrok, biorę kamizelkę ze smoczych łusek i wkładam ją przez głowę, po czym zawiązuję paski w dole pleców.

Dain wzdycha.

– Nigdy nie powiedziałem, że sobie nie radzisz, Violet.

– Mówisz tak codziennie! – warczę. – Mówisz tak, kiedy odprowadzasz mnie po formacji, a wiem, że przez to spóźniasz się na ćwiczenia. Mówisz tak, kiedy wydzierasz się na dowódcę twojego skrzydła, gdy ten bierze mnie na matę...

– Nie miał prawa...

– To dowódca mojego skrzydła! – Wkładam tunikę przez głowę. – Ma prawo robić, co zechce. Nawet mnie zabić.

– I właśnie dlatego powinnaś stąd uciec! – Dain zaplata palce na karku i zaczyna krążyć. – Obserwuję was, Vi. On się tobą bawi jak kot myszą, zanim ją zabije.

– Do tej pory wytrzymałam. – Zakładam na ramię ciężką od książek torbę. – Do tej pory wygrałam każde wyzwanie...

– Za to dzisiaj wytarł tobą podłogę. – Łapie mnie za ramiona. – A może nie zwróciłaś uwagi, jak pozbawił cię wszystkich sztyletów, abyś wiedziała, jak łatwo jest cię pokonać?



Zadzieram podbródek i piorunuję go wzrokiem.

– Byłam tam i przetrwałam w tym miejscu niemal dwa miesiące, czego nie można powiedzieć o jednej czwartej mojego roku!

– Wiesz, co się dzieje podczas Odsiewu? – pyta poważniejszym tonem.

– Chcesz powiedzieć, że jestem ignorantką? – Moja krew aż wrze ze złości.

– Tam nie chodzi tylko o wytworzenie więzi – kontynuuje. – Wrzucają każdego pierwszaka na pole treningowe, na którym nigdy wcześniej nie byłeś, a potem kadeci drugiego i trzeciego roku obserwują, jak decydujecie, do którego smoka się zbliżyć, a od którego uciec.

– Wiem, jak to działa. – Zaciskam szczęki.

– Tak, i podczas gdy jeźdźcy się przyglądają, studenci pierwszego roku mają okazję, żeby się zemścić i wyeliminować wszelkie... słabe ogniwa w skrzydle.

– Nie jestem słabym ogniwem, do cholery. – Znowu czuję ucisk w klatce piersiowej, bo w głębi duszy wiem, że pod względem fizycznym niestety nim jestem.

– Dla mnie nie – odpowiada szeptem i przykładą dłoń do mojego policzka. – Ale oni nie znają cię tak jak ja, Vi. Podczas gdy kadeci pierwszego roku, tacy jak Barlowe i Seifert, będą na ciebie polować, my będziemy patrzeć. Ja będę musiał na to patrzeć, Violet. – Na dźwięk jego łamiącego się głosu natychmiast wyparowuje ze mnie cała złość. – Nie wolno nam ci pomagać. Ani cię ratować.

– Dain...

– A kiedy zbiorą ciała na powozy, nikt nie udokumentuje tego, jak umarli kadeci. Równie dobrze możesz nadzieć się na nóż Barlowe'a, jak i na smoczy szpon.

Oblatuje mnie cień strachu, ale staram się oddychać.

– Markham mówi, że przyjmie cię na pierwszy rok, nie mówiąc twojej matce. Zanim ona się dowie, ty zostaniesz mianowana skrybką. Nic nie będzie mogła z tym zrobić. – Unosi rękę i łapie moją twarz w obie dłonie, podnosząc ją. – Proszę cię. Jeśli nie chcesz tego zrobić dla siebie, to chociaż zrób to dla mnie.

Moje serce gubi rytm i mam wrażenie, że tracę grunt pod nogami. Jego argumentacja do mnie przemawia. *Ale wytrwałaś już tak długo* – rozlega się szept w mojej głowie.

– Nie mogę cię stracić, Violet – mamrocze, opierając swoje czoło o moje. – Po prostu... nie mogę.

Mocno zaciskam powieki. To sposób, by się stąd wydostać, a jednak nie chcę z niego skorzystać.

– Obiecuj mi, że się nad tym zastanowisz – błaga. – Do Odsiewu zostały jeszcze cztery tygodnie. Przynajmniej... przemyśl to. – Nadzieja w jego głosie

i to, jak delikatnie trzyma mnie w objęciach, przebija się przez moje mury obronne.

– Obiecuję.

*Nie lekceważ wyzwania na Rękawicy, Miro. Została zaprojektowana tak, żeby poddać próbie twoją równowagę, siłę oraz zwinność. Nie ma znaczenia, ile czasu zajmie ci pokonanie przeszkód, najważniejsze, żebyś dotarła na górę. Sięgaj po liny, gdy będziesz musiała. Lepiej ukończyć zadanie jako ostatnia niż martwa.*

Strona czterdziesta szósta, *Dziennik Brennana*



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

**Z**adzieram głowę wysoko, wyżej i jeszcze wyżej, mam wrażenie, że strach wiję się w moim żołądku jak wąż gotowy do ataku.

– Cóż, to... – Rhiannon przełyka ślinę. Odchyliła głowę tak samo jak ja i obie patrzymy na przerażający tor przeszkód wykuty w skale tak wysoko, że można by go nazwać urwiskiem. Nad nami wznosi się śmiertelna, zygzakowata pułapka składająca się z pięciu odrębnych poziomów, z których każdy przechodzi się slalomem, o zwiększającym się poziomie trudności i ciągnących się aż na szczyt urwiska oddzielającego lądowisko od cytadeli i Kotła.

– Niesamowite. – Wzdycha Aurelie.

Odwracamy się z Rhiannon i patrzymy na nią, jakby upadła na głowę.

– Uważasz, że ten piekielny tor przeszkód jest niesamowity? – pyta Rhiannon.

– Czekałam na to latami! – Aurelie uśmiecha się od ucha do ucha i zaciera ręce, a jej czarne oczy, na ogół poważne, lśnią z ekscytacji. Dziewczyna aż podskakuje z radości. – Mój tata, który był jeźdźcem aż do zeszłego roku, ciągle rozstawiał nam takie tory przeszkód, żebyśmy razem z moim bratem Chase'em mogli trenować. Chase twierdził, że to najlepszy element Odsiewu. Prawdziwy zastrzyk adrenaliny.

– Służył w Południowym Skrzydle, prawda? – pytam, skupiając się na torze biegnącym po zboczu pieprzonego urwiska. Według mnie wygląda to bardziej

na śmiertelną pułapkę niż zastrzyk adrenaliny, ale co komu pasuje. W końcu warto podchodzić do wyzwań z pozytywnym nastawieniem, prawda?

– Tak. Generalnie wszystko, co dzieje się na krovlańskiej granicy, widział na własne oczy. – Wzrusza ramionami i wskazuje na punkt położony mniej więcej na wysokości dwóch trzecich toru. – Powiedział, że trzeba uważać na te wielkie słupy wystające z boku urwiska. One się okręcają i jeśli nie jesteś wystarczająco szybka, mogą cię zmiażdżyć.

– Och, to dobrze, bo już się zastanawiałam, kiedy zrobi się trudniej – mamrocze Rhiannon.

– Dzięki, Aurelie. – Odnajduję wzrokiem niemal stykające się, szerokie na trzy stopy pnie, które wystają ze skał jak spiralne schody wznoszące się aż do następnego zakosu nad nim, i kiwam głową. Należy pokonać przeszkodę błyskawicznie. Jasne. *Mogłeś o tym wspomnieć w dzienniku, Brennan.*

Tor przeszkód stanowi ucieleśnienie moich najgorszych koszmarów. Zaczynam na poważnie rozważać propozycję Markhama – po raz pierwszy, odkąd Dain błagał mnie tydzień temu, bym odeszła. W Kwadrancie Skrybów nie ma czegoś takiego jak zabójcze zajęcia, tego jestem pewna.

*Ale wytrwałaś już tak długo.* Ach, i znowu ten cichy głosik, który ostatnio mnie nie opuszcza i daje mi nadzieję, że naprawdę uda mi się przetrwać Prezentację.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego nazywają to Rękawicą – odzywa się Ridoc, który stoi obok i chucha w złączone dłonie, żeby przegonić poranny chłód. Słońce jeszcze tu nie dotarło, ale już zaczyna wznosić się nad ostatnią ćwiartką toru.

– Żeby rzucić rękawicę najsłabszym i się ich pozbyć, a tym samym zachęcić smoki do przybycia na Odsiew – odpowiada z drwiną w głosie Tynan i krzyżuje ręce, patrząc na mnie wymownie.

Odpowiadam mu groźnym spojrzeniem, a potem postanawiam odpuścić. Tynan jest marudny, odkąd Rhiannon stłukła go na kwaśne jabłko na macie.

– Odwal się – warczy Ridoc, czym skupia na sobie uwagę całej drużyny.

Unoszę brwi. Jeszcze nigdy nie widziałam, by Ridoc stracił nad sobą panowanie albo podszedł do problemu inaczej niż z humorem.

– O co ci chodzi? – Tynan odgarnia z oczu kosmyk gęstych, ciemnych włosów i próbuje napędzić Ridocowi strachu samym spojrzeniem, co oczywiście nie działa, bo Ridoc jest dwa razy szerszy i o pół stopy wyższy.

– O co mi chodzi? Myślisz, że skoro zakumpłowałaś się z Barlowe'em i Seifertem, to możesz czepiać się kadetki z własnej drużyny? – wygarnia Ridoc.

– Zgadza się. To też moja drużyna. – Tynan wskazuje na tor przeszkód. – Nasze próby nie są oceniane tylko indywidualnie, Ridoc. Podlegamy ocenie również jako całość i na tej podstawie dowódca ustala kolejność w trakcie Prezentacji. Naprawdę uważasz, że jakikolwiek smok będzie chciał związać się z kadetem, który pojawi się na szarym końcu?

– Dzisiaj nie oceniamy nas pod kątem Prezentacji, dupku. – Ridoc robi krok do przodu.

– Przestańcie. – Sawyer wciska się między chłopaków i odpycha Tynana z taką siłą, że ten wpada na dziewczynę stojącą z tyłu. – Posłuchaj kogoś, kto w zeszłym roku brał udział w Prezentacji: to, w jakim czasie ukończysz zadanie, nie ma najmniejszego znaczenia. Kadet, który w zeszłym roku był ostatni, jest teraz związany ze smokiem. A niektórzy kadeci z pierwszej drużyny, która dotarła na górę, zostali z niczym.

– Pewnie wciąż nad tym rozpaczasz, co? – szydzi Tynan.

Sawyer ignoruje przytyk.

– Poza tym to miejsce nie nazywa się Rękawicą ze względu na to, by pozbyć się kadetów.

– Nazywa się to Rękawicą, ponieważ jest to urwisko, które ochrania Kocioł – wtrąca się profesor Emetterio, podchodząc do naszej drużyny. Jego ogolona głowa błyszczy we wschodzącym słońcu. – Poza tym prawdziwe rękawice, te od zbroi, wykonane z metalu, są piekielnie śliskie. I właśnie dlatego ta nazwa przyjęła się jakieś dwadzieścia lat temu. – Unosi brew, patrząc na Tynana i Sawyera. – Skończyliście już się kłócić? Ponieważ macie ma dokładnie godzinę, żeby dostać się na sam szczyt, zanim nadejdzie kolej następnej, a sądząc po waszej zwinności na macie, przyda wam się każda sekunda.

Przez naszą grupę przetacza się pomruk zgody.

– Jak zapewne wiecie, wyzwania na macie zostają wstrzymane na dwa i pół tygodnia przed Prezentacją, żebyście mogli skupić się na torze przeszkód. – Profesor Emetterio przewraca stronę w notesie, który nosi przy sobie. – Sawyer, pokażesz im, jak to się robi, bo znasz już układ toru. Potem kolejno wyruszą Pryor, Trina, Tynan, Rhiannon, Ridoc, Violet, Aurelie i Luca. – Kiedy kończy wymieniać imiona, a my ustawiamy się w kolejce, jego surowe usta rozciągają się w uśmiechu. – Jesteście jedyną drużyną, która od spaceru po murze pozostała w nienaruszonym składzie. To niesamowite. Wasz dowódca musi być dumny. Zaczekajcie tu chwilę. – Wymija nas i macha do kogoś stojącego wysoko na skale.

Bez wątpienia ta osoba trzyma w ręce zegar.

– Aetos jest szczególnie zadowolony z Sorrengail. – Tynan posyła mi pełen jadu uśmiech, kiedy nasz instruktor odchodzi na bok.

Ogarnia mnie gniew.

– Posłuchaj, jeśli chcesz mieszać mnie z błotem, proszę bardzo, ale od Daina trzymaj się z daleka.

– Tynan – upomina go Sawyer, kręcąc głową.

– A co, wam niby nie przeszkadza to, że dowódca naszej drużyny dyma się z jedną z nas? – Tynan wymachuje rękami.

– Wcale się z nim nie... – zaczynam oburzona, ale potem zaczerpuję oddechu.

– Szczerze mówiąc, to nie twój zasrany interes, z kim sypiam, Tynan. – Z drugiej strony, jeśli zamierzają mnie oskarżać, to czy chociaż mogłabym coś z tego mieć? Znam Daina i wiem, że podziela zdanie tego cymbała w kwestii zakazu spoufalania się między kadetami a dowództwem. Ale gdyby Dainowi naprawdę na mnie zależało, z pewnością już dawno wykonałby jakiś ruch, prawda?

– To nasz interes, jeśli masz przez to jakieś przywileje! – wtrąca Luca.

– Na litość boską – mamrocze Rhiannon, łapiąc się za głowę. – Luca, Tynan, zamknijcie się. Oni ze sobą nie sypiają. Przyjaźnią się od dzieciństwa. Naprawdę tak mało wiecie na temat naszego dowódcy? Jego ojciec to prawa ręka jej matki.

Tynan wytrzeszcza oczy, jakby nigdy wcześniej o tym nie słyszał.

– Poważnie?

– Poważnie. – Kręcę głową i przyglądam się torowi przeszkód.

– Cholera. Prze... przepraszam. Barlowe powiedział...

– I to był twój pierwszy błąd – wtrąca się Ridoc. – Jeśli dalej będziesz słuchał tego sadystycznego gnoja, skończysz martwy. I masz szczęście, że nie ma tu Aetosa.

To prawda. Dain pewnie nie puściłby tego płazem i wyznaczyłby Tynanowi miesiąc sprzątanina. Dobrze, że o tej porze jest na polu treningowym.

*Xaden przerobiłby go na miazgę.*

Mrugam i wypycham z głowy to porównanie, bo nie chcę teraz myśleć o Xadenie Riorsonie.

– No to zaczynamy! – Profesor Emetterio podchodzi do naszej grupy. – Na pogaduszki będziecie mieć czas na szczycie, o ile tam dotrzecie. I pamiętajcie, wciąż pozostało wam dziewięć sesji treningowych przed Prezentacją, która odbędzie się za dwa i pół tygodnia. Wtedy też smoki sprawdzą w trakcie Odsiewu, czy jesteście ich warci.

– A czy nie sensowniej byłoby pozwolić, aby pierwszoroczniki zaczęły trening na torze przeszkód zaraz po spacerze przez mur? – pyta Rhiannon. – Dzięki temu mielibyśmy więcej czasu i większe szanse na przeżycie.

– Nie – odpowiada profesor. – Czas jest częścią tego wyzwania. Masz jakąś złotą radę, Sawyer?

Wspomniany powoli wypuszcza powietrze z płuc i przesuwając wzrokiem po zdradzieckim torze.

– Co sześć stóp, poczynawszy od szczytu urwiska aż po sam dół, ciągną się liny – informuje. – Jeśli więc zaczniecie spadać, chwycicie się ich. Straciecie na tym pół minuty, ale to śmierć będzie was kosztować o wiele więcej.

*Wspaniale.*

– A co z tymi schodami, które się tam wiją? Wyglądają na zdatne do użytku. – Ridoc wskazuje na strome schody wykute w skale obok szerokich zakosów Rękawicy.

– Schody mają ułatwić dotarcie na lądowisko na szczycie, ale dopiero po Prezentacji – wyjaśnia profesor, a następnie wyciąga rękę w stronę toru i macha dłonią, wskazując na przeróżne przeszkody.

Mierzący około piętnastu stóp pień rozpoczynający tor zaczyna się obracać, filary przy trzecim wzniesieniu drżą, wielkie koło przy pierwszym zakręcie obraca się ruchem odwrotnym do wskazówek zegara, a słupy, o których wspomniała Aurelie... każdy z nich obraca się w przeciwnym kierunku.

– Każdy z tych pięciu poziomów został zaprojektowany tak, aby odzwierciedlać wyzwania, które napotkacie w czasie walki. – Profesor odwraca się w naszą stronę, a wyraz jego twarzy jest równie surowy, co podczas treningów na macie. – Od równowagi, którą musicie utrzymywać na grzbiecie smoka, przez siłę potrzebną do utrzymania się podczas manewrów, aż po – wskazuje ręką w górę, w stronę ostatniej przeszkody, która z dołu wygląda jak rampa biegnąca pod kątem dziewięćdziesięciu stopni – wytrzymałość potrzebną wam do walki na lądzie i wspięcia się na smoka w każdym momencie.

Drażki odrywają kawałek luźnej skały, kamienie staczają się po ścianie urwiska, po drodze uderzając we wszystkie przeszkody, a następnie lądują dwadzieścia stóp przed nami. Jeśli istnieje jakaś metafora opisująca moje życie... to jest nią właśnie Rękawica.

– O matko – szepcze Trina i patrzy na pokruszony kamień szeroko otwartymi oczami. Jestem najmniejsza z naszej drużyny, ale Trina uchodzi za najcichszą, najbardziej powściągliwą. Na palcach obu dłoni mogę policzyć, ile razy odezwała się do mnie od czasu spaceru po moście. Gdyby nie miała przyjaciół w Pierwszym Skrzydle, zaczęłabym się martwić, ale nie musi się do nas odzywać, żeby przetrwać.

– Wszystko w porządku? – pytam ją szeptem.

Przełyka ślinę i kiwa głową, a jej kasztanowe loki podskakują na czole.

– A co, jeśli nie uda nam się dotrzeć na górę? – pyta Luca i zaplata długie włosy w luźny warkocz. Na ogół emanuje arogancją, ale dzisiaj wydaje się mniej pewna siebie. – Czy istnieje jakaś alternatywna droga?

– Nie. Jeśli nie uda wam się dotrzeć na górę, nie weźmiecie udziału w Prezentacji, to chyba jasne? Zajmij pozycję, Sawyer – rozkazuje Emetterio i wywołany staje na początku trasy. – Sawyer pokona wszystkie przeszkody, żebyście mogli się temu przyjrzeć, a kiedy dotrze do ostatniej, pozostali z was zaczną wchodzić na tor co sześćdziesiąt sekund. Czas... start!

Sawyer rzuca się naprzód jak błyskawica. Z łatwością pokonuje piętnaście stóp pnia, który obraca się równolegle do powierzchni urwiska, oraz wzniesione filary, jednak czeka przez trzy obroty koła, zanim udaje mu się z niego wyskoczyć. Poza tym nie zauważam żadnego błędu przy pierwszym poziomie. Ani jednego.

Okręca się i biegnie w stronę rzędu wiszących kul, które wchodzi w skład drugiego poziomu. Płynnie przeskakuje z jednej na drugą i zatrzymuje się tylko po to, by złapać równowagę. Gdy ląduje na ziemi, odwraca się i przechodzi do trzeciego poziomu, który został podzielony na dwie części – początkowa składa się z wielkich metalowych prętów wiszących równolegle do ściany urwiska. Sawyer chwytając się pierwszego z nich i bez wysiłku, ręka po ręce, dociera na sam koniec, a po rozbujaniu się przeskakuje na kolejny, wiszący pół stopy wyżej. W ten sposób wspina się po boku urwiska. Z ostatniego drążka przeskakuje na drgające filary, które stanowią drugą część tego poziomu, i ląduje na zwirowej ścieżce.

Dociera do czwartego poziomu, gdzie znajdują się wirujące pnie, przed którymi ostrzegwał brat Aurelie. W wykonaniu Sawyera wygląda to jak bułka z masłem i pojawia się we mnie promyczek nadziei. Może jednak ten tor nie jest tak trudny, jak się wydaje, patrząc na niego z dołu.

Potem jednak chłopak staje twarzą do wysokiej konstrukcji przypominającej komin, która wznosi się nad nim pod kątem dwudziestu stopni, i zamiera.

– Dasz radę! – krzyczy Rhiannon.

Sawyer, jakby ją usłyszał, puszcza się biegiem w stronę pochylego komina i chwytając się boków, układając ciało w symbol iksa, po czym podciąga się i przeskakuje coraz wyżej, aż dociera na sam koniec i spada przed ostatnią z przeszkód – masywną rampą, która niemal pionowo ciągnie się aż na sam szczyt urwiska.

Wstrzymuję oddech, kiedy rusza biegiem i wykorzystuje siłę rozpędu, żeby pokonać dwie trzecie rampy. Tuż przed upadkiem wyciąga jedną rękę i chwytając się krawędzi, żeby się podciągnąć.



Rhiannon i ja krzyczymy triumfalnie. Udało mu się. Pokonał tor przeszkód niemal bezbłędnie.

– Doskonała technika! – chwali profesor Emetterio. – Właśnie tak to powinno wyglądać.

– Doskonała, a jednak żaden smok nie chciał go wybrać w trakcie Odsiewu – prycha Luca. – Wygląda na to, że smoki mają jednak jakieś poczucie wartości.

– Opuść, Luca – ucisza ją Rhi.

Jak to możliwe, że ktoś tak mądry i wytrenowany jak Sawyer został pominięty przez smoki? A jeśli nie wybrały jego, to jaka jest dla nas nadzieja?

– Jestem za niska na tę rampę – szepczę do Rhi.

Spogląda na mnie, a potem przenosi wzrok na przeszkodę.

– Jesteś diabelnie szybka. Założę się, że przy odpowiednim rozpędzie uda ci się dostać na samą górę.

Pryor – nieśmiały kadet pochodzący z okolic krovlańskiej granicy – ma problem z rozbijaniem się na metalowych drążkach na trzecim poziomie, bo za długo się waha, ale udaje mu się ukończyć tor w tym samym momencie, gdy Trina niemal spada z rozedrganych filarów. Na szczęście w ostatniej chwili łapie za linę. Widzę tylko smugę jej kasztanowych włosów, kiedy dociera do obrotowych stopni, ale w uszach wciąż mam jej krzyk, gdy kołysała się na linie blisko ziemi.

– Dasz radę! – krzyczy Sawyer z góry.

– Obracają się w przeciwnych kierunkach! – uprzedza ją Aurelie.

– Tynan, ruszaj – rozkazuje profesor Emetterio, patrząc w swój kieszonkowy zegarek, a nie na tor.

Kiedy Trina pokonuje schody, serce mi wali, ale nie uspokaja się, bo zaraz potem do próby podchodzi Rhiannon. Pokonuje pierwszy poziom z gracją, której się po niej spodziewałam, a potem się zatrzymuje.

Tynan wisi na drugiej z pięciu kul na drugim poziomie, a pod nim ziele pustka. Jeśli upadnie, istnieje niewielka szansa, że wyląduje na obracającym się pniu z pierwszego poziomu i ogromne prawdopodobieństwo na to, że grzmotnie o ziemię trzydzieści stóp niżej.

– Nie zatrzymuj się, Tynan! – krzyczę, mimo że najpewniej mnie nie słyszy. Może i jest naiwnym osłem, ale to wciąż członek mojej drużyny.

Chłopak krzyczy, mocno zaciskając ramiona wokół bujającej się kuli. Nie jest jednak w stanie objąć jej w pełni i złapać się za rękę, przez co zaczyna się zsuwać.

– Przez niego Rhiannon będzie mieć gorszy czas – stwierdza Aurelie i wzdycha.

– Dobrze, że to tylko trening – zauważa Ridoc, a potem krzyczy do Tynana. – I co, Tynan? Boisz się wysokości? I kto tu jest teraz słabym ogniwem?

– Przestań. – Dźgam Ridoca łokciem w bok. Już nie jest taki smukły jak na początku. Przez ostatnie tygodnie nabrał masy mięśniowej. – To, że on jest futem, nie oznacza, że ty też musisz nim być.

– Ale on sam się o to prosi – odpowiada Ridoc. Uśmiecha się łobuzersko i rusza na miejsce startu.

– Rozbujaj się i przeskocz na następną! – instruuje Trina z samego szczytu.

– Nie mogę! – Wrzask Tynana jest tak ostry, że mógłby rozbić szkło. Odbija się echem od skał i wywołuje ucisk w moim sercu.

– Ridoc, już! – popędza profesor.

Ridoc śmiga w stronę pnia.

– Rhi! – krzyczę. – Między pierwszą a drugą jest lina!

Kiwa głową, a potem rzuca się na pierwszą kulę i chwytą się jej przy samej górze w miejscu, gdzie łańcuch łączy ją z żelaznym prętem. Następnie przesuwa się po jej boku na drugą stronę.

To improwizacja, ale może mi ułatwić wyzwanie.

Idę na miejsce startu, wsłuchując się w żwir chrzęszczący pod butami. Okazuje się jednak, że moje serce może bić jeszcze szybciej. Teraz dosłownie chce się wyrwać z klatki piersiowej. Mokre od potu ręce wycieram o skórzane spodnie.

Rhiannon wciska Tynanowi linę do ręki, ale on nie wykorzystuje jej, żeby przedostać się na kolejną kulę, tylko... zaczyna schodzić.

Dosłownie opada mi szczęka. Tego się nie spodziewałam.

– Violet, zacznaj! – rozkazuje Emetterio.

*Miej mnie w swojej opiece, Zihnalu.* Nie spędzałam w świątyni wystarczająco dużo czasu, żeby teraz bóg szczęścia przejął się moim losem, ale warto spróbować.

Sprintem pokonuję pierwszą część początkowego poziomu i w ciągu zaledwie kilku sekund zbliżam się do wirującego pnia. Mam wrażenie, że mój żołądek zachowuje się podobnie jak przeszkody, które muszę pokonać.

– To ćwiczenie na równowagę, potrafisz to – mówię do siebie. – Szybko przebieraj nogami. Szybko – powtarzam i zeskakuję z krańca na pierwszą z czterech granitowych kolumn. Każda kolejna jest wyższa od poprzedniej.

Dzieli je odległość mniej więcej trzech stóp, ale bez problemu udaje mi się przeskoczyć z jednego filara na drugi. *I to była ta łatwa część.* Supeł strachu zawiązuje się na moim gardle.

Wskakuję w obracające się koło i biegnę. Przeskakuję jedyne wyjście, które się zbliża, ale bacznie wyczekuję, aż znowu pojawi się przede mną. W tym

ćwiczeniu najważniejsze jest wycucie czasu.

Nadchodzi okazja, więc ją wykorzystuję – wyskakuję przez otwór i ląduję na drugim poziomie. Zatrzymuję się przed kulami. Wiem, że spadnę, jeśli się nie uspokoję i nie zapanuję nad spoconymi dłońmi.

*Piórogony to smoki, o których wiemy najmniej*, recytuję w myślach, bo muszę skupić się na oddechu, kiedy z rozbiegu wpadam na pierwszą kulę i chwytam się jej od góry, tak jak Rhiannon. Wysiłek sprawia, że muszę napiąć wszystkie mięśnie ramion, aby uniknąć wybicia stawów.

Spokojnie. Tylko spokojnie.

Przerzucam ciężar ciała na drugą stronę kuli i zmuszam ją do obrotu, żeby zbliżyć się do kolejnej. *To dlatego, że piórogony wykazują znaczny poziom agresji i nie nadają się do tworzenia więzi.*

Powtarzam manewr z kołysaniem kulą, skupiając wzrok wyłącznie na łańcuchach.

*Jednakże nie mogę mieć co do tego pewności, albowiem za mojego żywota żaden z piórogonów nie opuścił Kotła*, kontynuuję cytowanie w myślach zapisków uczonego i docieram do piątej, a zarazem ostatniej kuli. Wprawiam ją w ruch i zeskakuję w bok, po czym ląduję na wąskiej ścieżce. Na szczęście nie skręcam sobie przy tym kostki.

W następnym ćwiczeniu chodzi o rozpęd.

– Zielone smoki – mamroczę pod nosem – znane są ze znacznej inteligencji, jako że wywodzą się z wyjątkowego rodu Uaineloidsigów, i uchodzą za najbardziej racjonalne spośród wszystkich ras smoków. Z tego względu są idealną bronią w trakcie oblężenia. Dotyczy to w szczególności odmiany maczugonów – dokańczam. Ustawiam się naprzeciwko pierwszego metalowego pręta i przygotowuję do rozpędu.

– Czy ty się... uczysz? – woła za mną Aurelie, która właśnie ląduje na pierwszej kuli poniżej.

– To mnie uspokaja – odpowiadam pospiesznie. Nie ma czasu na wstyd. To może poczekać do później.

Przede mną znajdują się trzy żelazne pręty, ustawione względem siebie na wprost niczym tarany.

– Kwadrant Skrybów zaczyna kusić mnie coraz bardziej. – Wzdycham pod nosem i rzucam się na pierwszy drąg. Chropowata powierzchnia zapewnia mi przynajmniej pewny uchwyt. Kiedy docieram na skraj, w moich ramionach odzywa się pulsujący ból. Zaczynam kołysać nogami, żeby rozbujać pręty.

Zderzenie z metalem sprawia, że moje palce powoli się ześlizgują. Wyrzywa mi się okrzyk przerażenia, a żołądek kurczy się ze strachu. *Pomarańczowe smoki występujące w różnych odcieniach, od brzoskwiнового po marchewkowy są*

*najbardziej* – przeskakuję na kolejny – *nieprzewidywalne ze wszystkich odmian smoków i z tego względu stanowią największe ryzyko*. Pokonuję pręt tak samo jak poprzedni, ręka po ręce, ignorując protest nadwyręzonych ramion. Wywodzą się z rodu *Fhaicorainów*...

Moja prawa ręka ześlizguje się z pręta i ciężar ciała popycha mnie w stronę skalnej ściany, o którą ocieram się policzkiem. W uszach mi dzwoni i mam mroczyki przed oczami.

– Violet! – krzyczy z góry Rhiannon.

– Obok jest lina! Chwyć się jej! – poleca Aurelie.

Moja lewa ręka się ślizga, metal obdrapuje mi skórę, ale zauważam linę i chwytam się jej, opierając stopy na węźle. W tej pozycji czekam, aż dzwonięcie w głowie ucichnie. Teraz będę musiała się rozhuścić i dosięgnąć drążka albo zejść.

Przeżyłam w tym przeklętym kwadrancie już siedem tygodni i to zadanie mnie dzisiaj nie pokona.

Odpycham się od ściany i na rozkołysanej linie docieram do drążka. Natychmiast chwytam go i pokonuję ręka po ręce, aż docieram do kolejnego i kolejnego. W końcu puszczam się i ląduję na pierwszym rozdygotanym żelaznym pniu. Czuję, że nawet mózg mi się trzęsie, ale przeskakuję do następnego i bez zatrzymywania opadam na żwirową ścieżkę poniżej.

Aurelie podąża tuż za mną i ląduje z szerokim uśmiechem.

– To jest najlepsze!

– Chyba powinnaś odwiedzić medyków, jeśli to jest według ciebie rozrywka. – Dyszę ciężko, ale nie mogę pohamować uśmiechu na widok jej ewidentnej radochy.

– Po tym po prostu trzeba przebiec – wyjaśnia, kiedy docieramy do wijących się stopni wystających z boku skalnej ściany.

Każdy szeroki na trzy stopy pień wije się u podstawy. To najbardziej stroma część toru. Szybko obliczam w głowie, że gdyby ktoś teraz spadł z jakiegoś stopnia, wylądowałby na kamienistej powierzchni około czterdziestu stóp poniżej. Przelykam wspinający się po moim gardle strach i skupiam się na przeszkodzie. Istnieje możliwość, że moja zwinność i niewielka postura dadzą mi przewagę.

– Wierz mi – kontynuuje – jeśli się zatrzymasz, od razu spadniesz.

Kiwam głową i podskakuję, próbując skumulować w sobie resztki odwagi. I puszczam się biegiem. Przebieram nogami szybko, zatrzymuję się na każdym pniu dosłownie na moment, żeby tylko się od niego odbić i wskoczyć na kolejny. W ciągu kilku chwil docieram na drugą stronę.

– Tak! – krzyczę, wymachując triumfalnie pięścią, a potem odchodzę na bok, żeby zrobić miejsce dla Aurelie.

– Brawo, Violet! – odpowiada. – Nadchodzę! – Ruchy jej stóp są o wiele zwinniejsze, więc z łatwością przemyka od jednego pieńka do drugiego.

Nagle nad nami rozlega się głośny ryk. Zadzieram głowę i zauważam podbrzusze zielonego sztyletogona, który w drodze do Kotła przelatuje dokładnie tuż nad nami.

Nigdy do tego nie przywyknę.

Dociera do mnie krzyk Aurelie i odwracam głowę w chwili, gdy chwije się i ześlizguje z piątego pnia. Powietrze uchodzi z mojej klatki piersiowej, kiedy niemal w zwolnionym tempie dziewczyna rzuca się naprzód i uderza brzuchem o przedostatni pień.

– Aurelie! – wołam i wyciągam się w jej stronę, ale moje palce ledwie sięgają siódmego pnia.

W jej szeroko otwartych czarnych oczach dostrzegam szok i przerażenie, kiedy zsuwa się z pnia i spada. Na sam dół.

\* \* \*

**S**toimy na porannej zbiórce, a wschodzące słońce pali mnie w oczy.

– Calvin Atwater – odczytuje kapitan Fitzgibbons, a jego głos jak zwykle brzmi uroczyście.

*Pierwsza Drużyna, Sekcja Szpona, Czwarte Skrzydło.* Na analizie wojennej siedział dwa rzędy za mną. No właśnie, siedział.

Ten poranek nie jest w żaden sposób wyjątkowy. Nasza pierwsza próba na Rękawicy wydłużyła zwój poległych, a to tylko kolejna lista w kolejnym dniu... ale nie dla mnie. Wyjątkowe okrucieństwo tego rytuału nigdy przedtem tak bardzo mnie nie uderzyło. Od pierwszego dnia wiele się zmieniło. Znam połowę osób, których nazwiska dzisiaj padły. Łzy rozmazują mi obraz.

– Newland Jahvon – kontynuuje kapitan.

*Druga Drużyna, Sekcja Ognia, Czwarte Skrzydło.*

To już dwudziesta-któraś osoba. Dlaczego to musi tak wyglądać? Dlaczego wypowiadamy te nazwiska raz, a potem mamy o nich zapomnieć, jakby nigdy nie istnieli?

Rhiannon wspiera na mnie ciężar ciała i pociąga nosem, a jej ramiona drżą.

– Aurelie Donans.

Pojedyncza łza spływa po moim policzku, ale szybko ją ścieram, podrażniając świeże zadrapanie na twarzy. Gdy zostaje wywołane kolejne nazwisko, czuję sunącą po skórze kroplę krwi, ale puszczam ją wolno.

\* \* \*

Jesteś pewna? – pyta Dain następnego wieczora, łapiąc mnie za ramiona. Między jego brwiami pojawia się zmarszczka.

– Skoro jej rodzice nie przyjadą, żeby pochować ciało, to ja powinnam zająć się jej rzeczami. Jestem ostatnią osobą, która ją widziała – wyjaśniam i poruszam ramionami, żeby poprawić ciężki plecak wypełniony przedmiotami należącymi do Aurelie.

Kiedy kadet umiera, każdy rodzic ma dwie możliwości: może odebrać ciało swojego dziecka i jego drobiazgi, żeby je pochować lub spalić, albo szkoła sama pochowa ciało i oznaczy nagrobkiem, a przedmioty spali. Rodzice Aurelie wybrali opcję drugą.

– I nie chcesz, żebym poszedł z tobą? – pyta, przykładając dłoń do mojego karku.

Potrząsam głową.

– Wiem, gdzie jest ognisko.

Dain przeklina pod nosem.

– Powinienem był się tam zjawić.

– Przecież nie mógłbyś na to nic poradzić – zauważam łagodnie i nakrywam jego dłoń swoją. Nasze palce się splatają. – Nikt z nas nie mógł nic zrobić. Nie miała nawet czasu, żeby chwycić się liny – przyznaję szeptem. Wielokrotnie odtwarzałam w głowie moment jej upadku i za każdym razem dochodziłam do tej samej konkluzji.

– Nie miałem okazji zapytać cię, czy dotarłaś na samą górę – zmienia temat.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Utknęłam przy kominie i musiałam skorzystać z liny, żeby wrócić na dół. Jestem za niska, żeby przeskoczyć dystans, ale nie zamierzam dzisiaj o tym myśleć. Coś wykombinuję, zanim nadejdzie ostateczna próba w dniu Prezentacji.

Nie mam wyjścia. Ostatniego dnia nie pozwolą kadetom zejść. Albo ukończysz tor przeszkód, albo spadniesz i umrzesz.

– W porządku. Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować. – Puszczam mnie.

Kiwam głową i z ociąganiem przemierzam korytarz koszar. Ciężar plecaka Aurelie utrudnia mi chodzenie. Była na tyle silna, by przejść z nim po moście, a mimo to spadła.

Ja natomiast wciąż tutaj stoję.

Kiedy wspinam się po schodach w wieży akademickiej, nie mogę opędzić się od myśli, że niosę ją ze sobą. Mijam salę, w której odbywa się analiza wojenna,

a po drodze na kamienny dach spotykam kilku kadetów, którzy właśnie zmierzają na dół. Palenisko jest niczym więcej jak szeroką żelazną beczką, która służy jedynie do spopielenia. Gdy wychodzę na zewnątrz, jasny ogień rozświetla nocne niebo, a moje płuca z trudem wypełniają się powietrzem.

Jeszcze dwa miesiące temu nie byłam w stanie udźwignąć tak ciężkiego plecaka.

Ściągam go powoli, ciesząc się, że nikogo więcej tu nie ma.

– Tak mi przykro – szepczę i wbijam palce w szerokie ramiączka plecaka, żeby przerzucić go przez brzeg metalowej beczki.

Płomienie buchają, nakarmione materiałem. Kolejny hołd dla Maleka, boga śmierci.

Zamiast udać się na dół, podchodzę na skraj wieży. Nocne niebo zasnuwają chmury, mimo to zauważam sylwetki trzech smoków nadciągających z zachodu i nawet dostrzegam urwisko Rękawicy, które tylko czeka, by pochłonąć kolejną ofiarę.

*To nie będę ja.*

Ale dlaczego? Bo je pokonam? Czy dlatego, że ulegnę namowom Daina i ukryję się w Kwadrancie Skrybów? Mój umysł opiera się drugiemu rozwiązaniu i przez to zaczynam wszystko kwestionować, stojąc nieruchomo. W końcu rozlegają się dzwony ogłaszające ciszę nocną. Idę po schodach w dół, wciąż nie znając odpowiedzi.

Pokonuję dziedziniec, na którym koło podestu kręci się jedynie para, która nie może się zdecydować, czy się całować, czy też nie. Odwracam wzrok i zmierzam w stronę wnęki, do której zaciągnął mnie Dain, gdy ukończyłam spacer po moście.

Minęły niemal dwa miesiące, a ja wciąż tu jestem. Wciąż budzę się każdego ranka o wschodzie słońca. Czy to nic nie znaczy? Może jednak istnieje mała szansa, że uda mi się przetrwać Odsiew? Że może jednak tu jest moje miejsce?

Nagle drzwi znajdujące się po lewej stronie od budynku akademickiego, prowadzące do tunelu, którym dzisiaj rano dotarliśmy do Rękawicy, zostają otwarte. Kto wraca o tak późnej porze?

Przysiadam pod ścianą i pozwalam, by pochłonął mnie mrok, a tymczasem Xaden, Garrick oraz Bodhi przechodzą pod magicznymi światłami i zmierzają prosto w moją stronę.

Wcześniej widziałam trzy smoki. Gdzieś polecieeli... tylko po co? Dzisiaj nie odbywał się żaden trening, o którym bym wiedziała. Chociaż oczywiście nie interesuję się wszystkim, czym zajmują się kadeci trzeciego roku.

– Na pewno możemy zrobić coś więcej – spiera się szeptem Bodhi, patrząc na Xadena. Ich buty chrzęszczą na żwirze, kiedy mnie mijają.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy – syczy Garrick.

Czuję mrowienie na skórze głowy i Xaden zatrzymuje się w połowie kroku dziesięć stóp dalej. Zauważam napięte mięśnie jego ramion.

Cholera.

Wie, że tu jestem.

Nie czuję jednak strachu – tak jak zazwyczaj w jego obecności – jedynie gniew kotłujący się w mojej piersi. Jeśli chce mnie zabić, w porządku. Mam już dosyć czekania. Dosyć przemierzania korytarzy z duszą na ramieniu.

– Co się stało? – pyta Garrick i ogląda się przez ramię. Zawiesza wzrok na parze, która doszła do wniosku, że całowanie jest jednak ważniejsze niż dotarcie do swoich łóżek przed ciszą nocną.

– Idźcie. Spotkamy się w środku – rozkazuje Xaden.

– Jesteś pewien? – Bodhi wodzi wzrokiem po dziedzińcu, marszcząc czoło.

– Tak – potwierdza Xaden i w całkowitym bezruchu czeka, aż pozostali wrócą do koszar, kierując się schodami, które prowadzą na piętra drugiego i trzeciego roku. Odwraca się twarzą do mnie dopiero, gdy całkowicie znikają.

– Wiem, że wiesz, że tu jestem. – Wstaję niechętnie i zmierzam w jego stronę, żeby nie pomyślał sobie, że się ukrywam albo, co gorsza, że się go boję. – I proszę cię, daruj sobie przechwałki o tym, że władasz mrokiem. Nie jestem dzisiaj w nastroju.

– Nie zapytasz, gdzie byłem? – Krzyżuje ręce na klatce piersiowej i mi się przygląda. W blasku księżyca jego blizna wygląda jeszcze upiorniej, ale nie mam w sobie tyle siły, by wykrzesać choć namiastkę lęku.

– Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to. – Wzruszam ramionami, a pulsowanie w barkach przybiera na sile. *Wspaniale, idealnie przed jutrzejszym treningiem na Rękawicy.*

Xaden przekrzywia głowę na bok.

– Mówisz poważnie, co?

– Tak. Poza tym sama szlajam się po zapadnięciu ciszy nocnej.

– No właśnie, a co ty tutaj robisz po zapadnięciu ciszy nocnej, świeżaku?

– Rozważam ucieczkę – odpowiadam. – A ty? Masz ochotę mi się zwierzyć? – pytam drwiąco, bo wiem, że nie powie prawdy.

– Ja też.

Sarkastyczny palant.

– Posłuchaj, zamierzasz mnie zabić czy nie? Niewiedza zaczyna mnie wkurzać. – Unoszę ramię i wymachuję nim, żeby rozluźnić obolałe mięśnie, ale to nic nie daje.

– Jeszcze nie zdecydowałem – odpowiada, jakbym zapytała go o to, co będzie jadł na kolację. Zauważam, że zawiesza wzrok na moim policzku.



– Cóż, a mógłbyś? – Wzdycham. – Pomogłoby mi to w zaplanowaniu następnego tygodnia.

– A co, mam wpływ na twoje plany, Violence? – Jestem pewna, że na jego ustach czai się ironiczny uśmiech.

– Chcę wiedzieć, jakie mam szanse. – Zaciskam pięści.

– Muszę przyznać, że to najdziwniejszy tekst na podryw, jaki...

– Nie chodzi mi o szanse u ciebie, ty zarozumiała łajzo!

Mam tego dosyć. Mam tego wszystkiego dosyć. Omijam go, ale Xaden łapie mnie za nadgarstek – delikatnie, acz stanowczo.

Dotyk jego palców sprawia, że mój puls przyspiesza.

– Szanse na co? – pyta i przyciąga mnie bliżej siebie tak, że moje ramię ociera się o jego biceps.

– Na nic. – Nie zrozumiałby tego. To pieprzony dowódca skrzydła, co oznacza, że musiał być dobry we wszystkim. Nikt nie przyczepił się nawet do jego nazwiska!

– Na co szanse? – powtarza. – Nie zmuszaj mnie, żebym powtórzył to po raz trzeci. – Jego groźny ton zupełnie nie pasuje do łagodnego uścisku. I dlaczego on musi tak przyjemnie pachnieć? Jak mięta, skóra i coś jeszcze, czego nie potrafię zidentyfikować, ale kojarzy mi się to z jakimiś cytrusami albo kwiatami.

– Na przeżycie tego wszystkiego! Nie jestem w stanie pokonać tej przeklętej Rękawicy. – Próbuję wyszarpnąć rękę z jego lekkiego uścisku, ale mnie nie puszcza.

– Rozumiem. – Jest tak wkurzająco spokojny, podczas gdy ja nie potrafię zapanować nad emocjami.

– Wcale nie. Pewnie się ucieszysz, kiedy spadnę i umrę. W ten sposób oszczędzę ci kłopotu, bo nie będziesz musiał mnie zabijać.

– Zabicie ciebie nie byłoby żadnym problemem, Violence. To pozostawienie cię przy życiu zdaje się generować większość moich problemów. – Wbijam w niego spojrzenie, ale jego twarz pozostaje nieczytelna, spowita cieniem. Typowe.

– Przykro mi, że przysparzam ci zmartwień. – Mój głos ocieka sarkazmem. – Wiesz, jaki jest problem tego miejsca? – Wyrywam mu się, ale jest zbyt szybki i znowu mnie łapie.

– Na pewno mi powiesz. – Czuję łaskotanie w dole brzucha, kiedy przesuwa kciukiem po moim pulsie na nadgarstku, a potem mnie puszcza.

Odpowiadam bez zastanowienia.

– Nadzieja.

– Nadzieja? – Przekrzywia głowę, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Nadzieja – powtarzam, kiwając głową. – Ktoś taki jak ty nigdy tego nie zrozumie, ale ja wiedziałam, że przyjście tutaj jest równoznaczne z wyrokiem śmierci. To, że całe życie byłam szkolona, aby dołączyć do Kwadrantu Skrybów, nie miało znaczenia; kiedy generała Sorrengail wydaje rozkaz, nie można go zignorować. – Na bogów, dlaczego zwierzam się temu mężczyźnie? *A co najgorszego może ci zrobić? Zabić?*

– Oczywiście, że możesz. – Wzrusza ramionami. – Ale konsekwencje mogą ci się nie spodobać.

Przewracam oczami i zawstydzam się, kiedy zdaję sobie sprawę, że zamiast mu się wyrwać, pochylam się jeszcze bardziej, jakbym chciała zaczerpnąć jego siły. Zdecydowanie ma jej aż nadto i mógłby się podzielić.

– Wiedziałam, jakie mam szanse, a i tak tutaj przyszedłam. Skoncentrowałam się na niewielkim procencie szans, jakie miałam na przeżycie. A kiedy udało mi się przetrwać niemal dwa miesiące, zaczęłam... – Kręcę głową i zaciskam szczęki. – Mieć nadzieję. – To słowo w moich ustach smakuje niczym kwas.

– Ach. A potem straciłaś koleżankę z drużyny i nie możesz przejść przez komin, więc się poddajesz. Zaczynam to rozumieć. To nie jest godne pochwały, ale jeśli chcesz uciec do Kwadrantu Skrybów...

Zapowietrzam się, wydaje mi się, że strach uderza mnie w żołądek jak pięść.

– Skąd o tym wiesz? – Jeśli on wie... jeśli komuś o tym powie, Dain będzie w niebezpieczeństwie.

Na jego idealnych ustach pojawia się złowieszczy uśmiech.

– Wiem o wszystkim, co dzieje się w tym miejscu. – Wokół nas kumuluje się ciemność. – Cienie, pamiętasz? One wszystko słyszą, wszystko widzą i wszystko potrafią ukryć. – Cały świat znika. Mógłby zrobić tu ze mną wszystko i nikt by się nie zorientował.

– Moja matka z pewnością by cię nagrodziła, gdybyś zdradził jej plan Daina – przyznaję cicho.

– I z pewnością nagrodziłaby cię, gdybyś powiedziała jej o moim... jak to nazwałaś? Klubie.

– Nie zamierzam jej o tym powiedzieć – rzucam defensywnie.

– Wiem. I dlatego wciąż żyjesz. – Patrzy mi głęboko w oczy. – Coś ci powiem, Sorrengail. Nadzieja jest zdradliwa i niebezpieczna. Przez nią zaczynasz skupiać się na nierealnych możliwościach, zamiast na tym, co jest najbardziej prawdopodobne.

– A więc, co mam teraz zrobić? Przestać mieć nadzieję, że przeżyję? Przygotować się na śmierć?

– Powinnaś skupić się na tym, co może cię zabić, żeby znaleźć sposoby, aby nie umrzeć. – Kręci głową. – Nie jestem w stanie zliczyć osób w tym

kwadrancie, które życzą ci śmierci albo z powodu chęci zemsty na twojej matce, albo dlatego, że tak dobrze idzie ci wkurzanie innych, ale ty wciąż tu jesteś, na przekór wszystkiemu. – Spowijają mnie cienie i mogłabym przysiąc, że czuję muśnięcie na moim rannym policzku. – Muszę przyznać, że przyglądam się temu ze zdziwieniem.

– Cieszę się, że zapewniam ci rozrywkę. A teraz wracam do łóżka. – Obracam się na pięcie i zmiierzam w stronę wejścia prowadzącego do koszar, ale on podąża tuż za mną. Gdyby nie był tak nadnaturalnie szybki, zatrzasnąłabym mu drzwi przed nosem.

– Może gdybyś przestała się tak nad sobą użalać, zobaczyłabyś, że masz wszystko, czego potrzebujesz, aby pokonać Rękawicę – woła za mną, a jego głos odbija się echem od ścian.

– Użalam się nad sobą? – Odwracam się z otwartymi ustami.

– Ludzie umierają – stwierdza, mówiąc powoli. Zaciska szczęki, a potem bierze głęboki wdech. – I to się nie skończy. Właśnie tak wygląda życie w tym miejscu. Ale na to, czy jesteś dobrym jeźdźcem, ma wpływ to, co zrobisz po śmierci innych ludzi. Chcesz wiedzieć, dlaczego jeszcze żyjesz? Bo obecnie jesteś skalą, do której porównuję się każdego wieczora. Po każdym dniu, gdy pozwoliłem ci żyć, wmawiam sobie, że wciąż jest we mnie cząstka dobra. Więc jeśli chcesz odejść, to proszę cię, nie kuś mnie i po prostu zniknij. Ale jeśli chcesz coś zrobić, to działaj.

– Jestem zbyt niska, żeby pokonać tamtą odległość! – syczę, nie przejmując się tym, że ktoś może nas usłyszeć.

– Właściwa droga nie zawsze jest tą jedyną. Zastanów się nad tym. – A potem odwraca się i odchodzi.

Niech go szlag.

*Zachowanie przedmiotów zmarłego jest ogromną obrazą Maleka. Te przedmioty należą bowiem do zaświatów, tam, gdzie jest miejsce boga śmierci i umarłych. W przypadku braku odpowiedniej świątyni nada się każdy ogień. Ten, kto nie pali pamiątek dla Maleka, sam zostanie przez niego spopielony.*

*Przewodnik po bogach autorstwa majora Rorileego, wydanie drugie*



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

**M**oje kolejne treningi na Rękawicy są równie nieskuteczne, co poprzednie, ale przynajmniej nie tracimy żadnego członka drużyny. Tynan przestał dogryzać innym, ponieważ sam nie jest w stanie dotrzeć na górę.

Największą przeszkodą dla niego są kule. Dla mnie – komin.

Przy dziewiątym – i przedostatnim – treningu jestem gotowa podpalić cały tor. Fragment, który sprawia mi największy problem, ma reprezentować siłę i zwinność potrzebne do wspięcia się na smoczy grzbiet i zaczyna do mnie docierać, jak jestem niska w porównaniu do innych. Świadomość tego mnie wykańcza.

– Może mogłabyś wspiąć się na moje ramiona, a potem... – Rhiannon kręci głową, kiedy przyglądamy się szczelinie, która została moim największym nemezis.

– Wtedy i tak utknę w połowie – odpowiadam, ocierając pot z czoła.

– To bez znaczenia. Na torze nie możesz dotknąć innego kadeta. – Sawyer staje obok mnie, zakładając ramiona na klatce piersiowej. Czubek jego nosa jest czerwony od palącego słońca.

– Przyszedłeś tutaj, żeby niszczyć marzenia i nadzieje, czy masz jakąś sugestię? – odgryza się Rhiannon. – Prezentacja jest już jutro, więc jeśli wpadłeś na jakiś genialny pomysł, to dobry moment, by się nim podzielić.

Jeśli mam uciec do Kwadrantu Skrybów, to dziś w nocy jest na to najlepsza okazja. Ta myśl wywołuje u mnie ucisk w klatce piersiowej. To logiczny wybór.

Bezpieczny.

Tylko dwie myśli mnie powstrzymują.

Po pierwsze – nie ma gwarancji, że moja matka się nie dowie. Markham może i nie piśnie ani słowa, ale to nie oznacza, że inni instruktorzy pójdą w jego ślady.

Ale co ważniejsze, jeśli ucieknę, jeśli się ukryję... nigdy nie dowiem się, czy jestem na tyle dobra, by wytrwać w Kwadrancie Jeźdźców. Jeśli tu zostanę, mogę nie przeżyć, ale jednocześnie nie wiem, czy po ucieczce będę w stanie żyć z myślą, że zrezygnowałam, zanim dowiedziałam się, jak jest naprawdę.

\* \* \*

**D**oria Merrill – ogłasza z mównicy kapitan Fitzgibbons. Dobrze widzę rysy jego twarzy. Nie tylko dlatego, że słońce schowało się za chmurami, ale również przez to, że stoję teraz bliżej. Liczebność drużyn zmniejsza się z każdym dniem.

Zgodnie ze statystykami i tym, co napisał w dzienniku Brennan, tego dnia śmiertelność wśród pierwszego roku będzie najwyższa.

Dziś jest dzień Prezentacji i aby dotrzeć na smocze lądowisko, najpierw musimy wspiąć się na Rękawicę. Wszystkie wyzwania rzucane nam przez kwadrant mają na celu odsiać słabych od silnych i tym razem nie będzie inaczej.

– Kamryn Dyre – odczytuje ze zwoju kapitan Fitzgibbons.

Krzywię się. Siedział przede mną na zajęciach z ras smoków.

– Arvel Pelipa.

Stojące przede mną Imogen i Quinn – obie będące na drugim roku – gwałtownie wciągają powietrze. Najczęściej umierają studenci pierwszego roku, ale nie tylko my jesteśmy zagrożeni.

– Michel Iverem. – Kapitan zwija papier. – Niech Malek ma ich dusze w opiece. – Po tych słowach formacja się rozchodzi.

– Kadeci drugiego i trzeciego roku proszeni są o powrót na zajęcia, chyba że pełnią wartę przy Rękawicy. Pierwszaki, czas pokazać, na co was stać. – Dain sili się na uśmiech i rozgląda się po naszej drużynie. Omija mnie wzrokiem.

– Powodzenia. – Imogen zakłada luźny kosmyk różowych włosów za ucho, a w moją stronę kieruje fałszywy do bólu uśmiech. – Mam nadzieję, że nie spadniesz... zbyt szybko.

– Do zobaczenia później – odpowiadam, zadzierając głowę.

Przez chwilę patrzy na mnie z nieskrywaną pogardą, a potem odchodzi w towarzystwie Quinn i Cianny, zastępczyni naszego dowódcy, której blond loki

podskakują w ruchu tuż nad ramionami.

– Trzymam za was kciuki. – Należące do naszej drużyny Heaton, najmaszywniejsze z trzeciego roku, z czerwonymi płomieniami wyciętymi i wymalowanymi we włosach, klepie się po sercu, tuż nad dwiema odznakami, a potem uśmiecha się do nas szczerze, choć z wyraźnym napięciem, i odchodzi w stronę budynku akademickiego.

Odprowadzam je wzrokiem, zastanawiając się, co oznacza okrągła odznaka na prawym ramieniu przedstawiająca wodę i dryfujące kule. Rozpoznaję trójkątny symbol po lewej, przedstawiający miecz, co oznacza, że lepiej z niem nie zadzierać na macie. Odkąd Dain powiedział mi o swojej odznace, symbolizującej jego sekretną moc, zaczęłam zwracać większą uwagę na naszywki widniejące na uniformach innych kadetów. Większość nosi je jak honorowe odznaczenia, ale ja wiem, czym są naprawdę – informacją, która kiedyś może ułatwić mi ich pokonanie.

– Nie wiedziałem, że Heaton potrafi mówić. – Między brwiami Ridoca pojawiają się dwie zmarszczki.

– Może doszło do wniosku, że powinno się przywitać, w razie gdyby któreś z nas skończyło dzisiaj martwe – sugeruje Rhiannon.

– Wracać do formacji – rozkazuje Dain.

– Idziesz z nami? – pytam.

Kiwa głową, ale nie patrzy na mnie.

Cała nasza ósemka ustawia się w dwa rzędy po cztery osoby, podobnie jak inne drużyny obok nas.

– Powiało chłodem – odzywa się szeptem Rhiannon. – Chyba jest na ciebie wkurzony.

Przenoszę wzrok na smukłe ramiona Triny. Wiatr targa moim warkoczem, który zaplotłam dzisiaj w koronę. Podmuchy rozwiewają również jej sprężyste loki.

– Chce czegoś, czego nie mogę mu dać.

Unosi brwi, a ja przewracam oczami.

– Nie chodzi o... to.

– Nie miałabym nic przeciwko, gdyby o to chodziło – odpowiada pod nosem. – Jest niezły. Jak chłopak z sąsiedztwa, który przy okazji może skopać ci dupę.

Powstrzymuję uśmiech, bo ma rację. Właśnie tak bym go opisała.

– Jesteśmy największą drużyną – zauważa Ridoc stojący z tyłu, kiedy z Pierwszego Skrzydła te znajdujące się najdalej po lewej, zaczynają opuszczać dziedziniec przez zachodnią bramę.

– Ilu nas zostało? – pyta Tynan. – Stu osiemdziesięciu?

– Stu siedemdziesięciu jeden – odpowiada Dain. Następnie nadchodzi kolej Drugiego Skrzydła, które prowadzi ich dowódca, co oznacza, że Xaden jest gdzieś przed nami.

Będę się stresować dopiero, gdy dotrę do ostatniej przeszkody, ale mimowolnie zastanawiam się, jaki będzie mieć dzisiaj humor.

– Na sto smoków? Ale to oznacza, że... – zaczyna Trina, jednak urywa zaniepokojona.

– Nie pozwól, by strach doszedł do głosu – warczy na nią Luca, która stoi za Rhiannon. – Jeśli smoki pomyślą, że jesteś tchórzem, jutro będziesz tylko nazwiskiem.

– Powiedziała, wzbudzając jeszcze więcej strachu – komentuje Ridoc.

– Zamknij się – strofuje go Luca. – Dobrze wiesz, że to prawda.

Kiedy Trzecie Skrzydło rusza w stronę bramy, pochylam się tak, żeby kadeci z tyłu mnie nie słyszeli.

– Po prostu udawaj pewną siebie, a na pewno sobie poradzisz.

– Dzięki – odpowiada szeptem Trina.

Dain w końcu przenosi na mnie mrożące spojrzenie, ale przynajmniej nie wytyka mi kłamstwa. W jego oczach widzę oskarżenie, przez co czuję się jak czarny charakter.

– Boisz się, Rhi? – pytam, bo wiem, że zaraz nas wywołają.

– O ciebie? – odpowiada. – Wcale. Poradzimy sobie.

– Och, chodziło mi o jutrzejszy test z historii – żartuję. – Dzisiaj nie ma żadnego powodu do paniki.

– Skoro już o tym wspomniałaś, ten cały Traktat Arifski mnie wykończy – przyznaje z szerokim uśmiechem.

– Ach, układ między Navarrą a Krovłą zapewniający podział przestrzeni zarówno dla smoków, jak i dla gryfów nad wąskim pasmem gór Esben, pomiędzy Sumertonem a Draithusem – przypominam sobie, kiwając głową.

– Twoja pamięć jest niesamowita – parska śmiechem.

Szkoda tylko, że pamięć nie pozwoli mi przejść Rękawicy.

– Czwarte Skrzydło! – woła z oddali Xaden. Nawet nie muszę na niego patrzeć, żeby wiedzieć, że to on wydał rozkaz, a nie jego zastępca. – Ruchy!

Ustawiamy się kolejno: najpierw Sekcja Ognia, potem Szpona, a na końcu Ogona.

Przy bramie robi się korek, ale wkrótce potem wychodzimy na zewnątrz i podążamy tunelem rozjaśnionym magicznym światłem, który każdego ranka prowadził nas do Rękawicy. Skraj kamienistej ścieżki tonie w mroku.

Jakie są granice mocy Xadena? Czy mógłby wykorzystać cienie, aby udusić wszystkie osoby z naszej drużyny? Czy po takim wysiłku musiałby odpocząć

albo się zregenerować? Czy taka moc wymaga zachowania jakiejś równowagi?

Dain zwalnia na tyle, by iść między mną a Rhiannon.

– Rozmyśl się. – Jego głos jest ledwie słyszalny.

– Nie – brzmie na bardziej zdecydowaną, niż się czuję.

– Zmień. Zdanie. – Łapie mnie za rękę, ale na szczęście tego nie widać, bo idziemy korytarzem w ścisłej formacji. – Proszę.

– Nie mogę. – Kręcę głową. – Tak samo jak ty nie mógłbyś opuścić Catha i uciec do Kwadrantu Skrybów.

– To coś innego. – Ścisła moja dłoń. Wyczuwam napięcie w jego palcach i ramieniu. – Ja jestem jeźdźcem.

– Cóż, może ja też jestem – odpowiadam szeptem, kiedy przed nami pojawia się światło. Wcześniej, gdy nie mogłam odejść, bo matka by mi na to nie pozwoliła, nie wierzyłam w to, co właśnie powiedziałam, ale teraz mam wybór. I zamierzam zostać.

– Nie bądź... – urywa i puszcza moją rękę. – Nie chcę cię pochować, Vi.

– To nieuniknione. Jedno z nas będzie musiało pochować to drugie. – Nie jestem bezduszna, stwierdzam tylko fakt.

– Wiesz, co mam na myśli.

Światło się rozrasta i wypełnia wysoki na dziesięć stóp otwór, za którym znajduje się podnóże Rękawicy.

– Proszę, nie rób tego – błaga Dain, kiedy wychodzimy na zewnątrz. Już nawet nie zawraca sobie głowy szeptaniem.

Widok jak zwykle jest spektakularny. Znajdujemy się wysoko w górach, tysiące stóp nad doliną, a roślinność, na którą składają się skupiska niskich drzew i kolorowe dzikie kwiaty porastające pagórki, zdaje się ciągnąć na południe w nieskończoność. Przenoszę wzrok na Rękawicę wykutą w zboczu góry i wodzę wzrokiem po każdej przeszkodzie, coraz wyżej i wyżej, aż dosięgam szczytu, gdzie – zgodnie z mapami, które przestudiowałam – znajduje się wąwóz, czyli lądowisko. Przygryzam wargi, patrząc na szczelinę w drzewach.

Na ogół tylko jeźdźcy mogą wchodzić na lądowisko, ale dzień Prezentacji jest wyjątkiem.

– Nie wiem, czy jestem w stanie to oglądać – przyznaje Dain. Przenoszę uwagę na ostre rysy jego twarzy. Idealnie przycięta broda okala pełne, ściągnięte w grymasie usta.

– To zamknij oczy.

Mam plan – jest raczej wątpliwy, ale warto spróbować.

– Co się zmieniło od czasu spaceru po moście? – pyta Dain. Przez jego oczy przemyka kalejdoskop emocji, których nawet nie mam czasu zinterpretować.



Może poza strachem. To widać jak na dłoni.

– Ja.

\* \* \*

Godzinę później przeskakuję po wirujących pniach i ląduję na bezpiecznej żwirowej ścieżce. Poziom trzeci ukończony. Zostały dwa. I jeszcze nie tknęłam ani jednej liny.

Przysięgam, że czuję na sobie wzrok Daina, stojącego na początku trasy obok Tynana i Luki, którzy jeszcze nie zaczęli, ale nie patrzę w dół. Nie ma czasu na rzucanie mu – jak zapewne mu się wydaje – ostatniego spojrzenia, żeby go pocieszyć, bo przede mną jeszcze dwie przeszkody.

Co oznacza, że jest wśród nich ta, której do tej pory nie miałam okazji pokonać – niemalże pionowa rampa na samym końcu.

– Dasz radę! – krzyczy Rhiannon z góry, kiedy docieram do przypominającej komin konstrukcji.

– Ale możesz również wyświadczyć nam wszystkim przysługę i spaść! – odzywa się ktoś inny. Bez wątpienia Jack. Wcześniej na ćwiczeniach wspinałam się tylko w towarzystwie mojej drużyny, ale teraz każdy pierwszak może mi się przyglądać albo z dołu, albo z góry.

Przenoszę spojrzenie na wydrążoną kolumnę, po której mam się wspiąć, a potem cofam się o kilka kroków.

– Co ty wyprawiasz? – krzyczy Rhiannon, kiedy łapię jedną z lin i przeciągam ją poziomo nad klifem. Okruchy skały spadają na ziemię.

Jest piekielnie ciężka i z trudem się napina, ale udaje mi się dotrzeć do dolnej części komina. Naciągam linę tak mocno, jak się da, opieram jedną stopę o ścianę szybu i szarpnię za sznur, jednocześnie modląc się do Zihnala, by mi się udało.

– To tak można? – oburza się ktoś.

*Jak widać. Idziemy.*

Unoszę drugą stopę i zaczynam wspinać się po kominie, wykorzystując w tym celu tylko prawą stronę. Przytrzymuję się liny i podciągam się ręka po rękę. Mniej więcej w połowie sznur zahacza o większy głaz i ześlizguje, ale szybko go napinam i ruszam dalej. Mam wrażenie, że serce dudni mi w uszach, ale najbardziej doskwierają mi zmęczone ramiona. Wydaje mi się, że skóra moich dłoni płonie. Zaciskam jednak zęby, żeby się nie rozplakać.

Już widzę szczyt.

Lina ledwie sięga krańca konstrukcji, więc wykorzystuję resztki sił w ramionach, żeby się podciągnąć. Moje dłonie i kolana ocierają się o szorstkie

podłoże.

– Brawo! – krzyczy Ridoc z góry. – Świetnie sobie poradziłaś!

– Wstawaj! – przyłącza się Rhiannon. – Już niedaleko!

Dyszę ciężko, płuca mnie palą, ale stoję na nogach. To już ostatnia prosta, lądowisko znajduje się tuż przede mną. Oddziela mnie od niego jedynie drewniana rampa, oddalona od skalnej ściany o dziesięć stóp, wyginająca się w górę jak wnętrze misy. Jej koniec znajduje się na tym samym poziomie, co kraniec klifu, całe dziesięć stóp nade mną.

Ta przeszkoda ma sprawdzić umiejętność wspinania się po przedniej łapie smoka, żeby dotrzeć do grzbietu. I jestem na to za niska.

Przez całą noc odtwarzałam w głowie słowa Xadena o tym, że właściwa droga nie jest jedyną. I kiedy wstało słońce, przeganiając ciemność, miałam już gotowy plan.

Oby tylko udało mi się go wykonać.

Wyciągam z pochwy najdłuższy sztylet, który zabrałam z domu, i ocieram czoło wierzchem brudnej dłoni. Zapominam o palącym bólu w rękach, pulsowaniu w ramionach i kluciu w kolanie po niefortunnym skoku z filaru. Odcinam się od całego bólu, zamykam go za murami tak, jak robiłam to całe życie, i skupiam się na rampie, jakby od dotarcia tam zależało moje życie.

Nie ma tu żadnej liny. Uda mi się pokonać tę drogę tylko w jeden sposób.

Dzięki sile woli.

Puszczam się biegiem, wykorzystując swoją szybkość.

W uszach słyszę dźwięk podobny do walenia w bębny, gdy moje stopy uderzają o rampę, a wzniesienie pnie się w górę. Nie pokonałam tej przeszkody osobiście, ale to nie oznacza, że nie przyglądałam się uważnie, jak moi koledzy z drużyny wielokrotnie ją przeskakiwali. Wykonuję skok, a rozpęd popycha mnie naprzód.

Czekam na zmianę, na moment, aż grawitacja upomni się o moje ciało niemal dwie stopy od krawędzi skały, i wykonuję zamach ręką, wbijając sztylet w śliskie, miękkie drewno rampy. Wykorzystuję go, żeby podciągnąć się o ostatnią stopę.

Z mojego gardła wyrywa się zwierzęcy wrzask, gdy ramię protestuje bólem. Palcami już dosięgam krawędzi. Zahaczam o nią łokciem, żeby się podciągnąć, a sztylet traktuję jako podpórkę dla stopy, dzięki której odpycham się i wdrapuję na lądowisko.

*To jeszcze nie koniec.*

Leżąc na brzuchu, odwracam się w stronę rampy i wyciągam rękę, żeby wydobyć sztylet, a potem chowam go do pochwy i stoję na rozedrganych nogach. Udało mi się. Ulga wysysa z mojego ciała całą adrenalinę.

Rhiannon zamyka mnie w uścisku i pozwala mi się o siebie oprzeć, żeby złapać oddech. Ridoc obejmuje mnie od tyłu i wyje z radości. Czuję się jak w potrzasku. Pewnie zaczęłabym protestować, ale w tym momencie stoję tylko dzięki nim.

– Tak nie można! – Rozlega się czyjś okrzyk.

– Właśnie udowodniła, że można! – rzuca Ridoc ponad ramieniem i poluzowuje uścisk.

Kolana mi drżą, ale się nie uginają. Łapczywie wciągam powietrze do płuc.

– Dałaś radę! – Rhiannon łapie moją twarz w dłonie, jej brązowe oczy wypełniają się łzami.

– Miałam szczęście. – Biorę kolejny wdech i modlę się, by moje serce się uspokoiło. – I dużo adrenaliny.

– To oszustwo!

Odwracam się w stronę źródła głosu. To Amber Mavis, dziewczyna o blond włosach w truskawkowym odcieniu, dowódczyni Trzeciego Skrzydła, która w zeszłym roku była „bliską przyjaciółką Daina”. Teraz na jej twarzy maluje się furia. Podbiega do Xadena, który stoi ze zwojem i mierzy czas stoperem, jednocześnie wyglądając na znudzonego swoim zadaniem.

– Odsuń się, Mavis – ostrzega Garrick, dowódca sekcji o kręconych włosach. Słońce odbija się od dwóch mieczy, które nosi skrzyżowane na plecach, kiedy wypycha się między Amber i Xadena.

– Oszustka wykorzystwała zakazane przedmioty nie raz, a dwa! – jazgocze Amber. – Nie tolerujemy takich zachowań! Żyjemy według zasad albo za nie umieramy!

Nic dziwnego, że ona i Dain byli sobie tacy bliscy – oboje są ślepo zapatrzeni w Kodeks.

– Nie pozwolę nazywać oszustem żadnego członka mojej sekcji – zaznacza Garrick. Kiedy się odwraca, jego masywne barki zasłaniają jej widok. – I to dowódca mojego skrzydła będzie rozpatrywał łamanie zasad we własnym skrzydle. – Odchodzi na bok, a ja spoglądam w nienawistne niebieskie oczy Amber.

– Sorrengail? – pyta Xaden, unosząc brwi wyzywająco, i czeka z piórem zawieszonym nad papierem. Nie pierwszy raz zauważam, że poza odznakami Czwartego Skrzydła i dowódcy nie ma żadnych innych naszywek, z którymi inni tak bardzo lubią się obnosić.

– Oczekuję doliczenia trzydziestu sekund za użycie liny – odpowiadam, siląc się na spokojny oddech.

– A co z nożem? – Amber mruży oczy. – Powinna zostać zdyskwalifikowana. – Kiedy Xaden nie odpowiada, piorunuje go wzrokiem. – Powinna odpaść! Nie

możesz tolerować takiego bezprawia w swoim własnym skrzydle, Riorson!

Xaden jednak ani na chwilę nie odrywa ode mnie wzroku i czeka w milczeniu na moją odpowiedź.

– Jeździec może wnieść do kwadrantu tylko przedmioty, które jest w stanie udźwignąć... – zaczynam.

– Czy ty cytujesz mi Kodeks? – wpienia się Amber.

– ...i niezależnie od rodzaju przedmiotu nie zostanie go pozbawiony – kontynuuję. – Przedmioty przeniesione przez most są uznawane za część swojego właściciela. Artykuł trzeci, ustęp szósty, aneks B.

Jej niebieskie oczy się rozpalają.

– Ten aneks został dopisany, aby zaliczyć kradzież do karalnych występków.

– Zgadza się. – Kiwam głową i wodzę wzrokiem między nią a spojrzeniem onyksowych oczu, które wciąż się we mnie wwierca. – Ale tym samym dało to każdemu przedmiotowi przyniesionemu przez most status nieodzownej części jeźdźca. – Obolałymi dłońmi wyciągam wyszczerbiony, zniszczony sztylet. – To nie jest sztylet wygrany w trakcie wyzwania. Przyniosłam go tutaj z domu, dlatego uważam go za część siebie.

W oczach Xadena pojawia się błysk i nie umyka mi cień uśmiechu przetaczający się przez te wkurzająco doskonałe usta. Taka atrakcyjność i zarazem bezwzględność powinny być zakazane przez Kodeks.

– Właściwa droga nie jest jedyną – wypominam mu jego własne słowa.

Xaden wytrzymuje moje spojrzenie.

– Tu cię ma, Amber.

– To tylko kwestia interpretacji!

– I tak cię zagięła. – Odwraca się nieznacznie i posyła mi spojrzenie, którego wolałabym nie widzieć.

– Myślisz jak skrybka – warczy na mnie Amber.

Miało mnie to obrazić, ale tylko kiwam głową.

– Wiem.

Amber odchodzi z fochem, a ja znowu chowam sztylet, opuszczam ręce po bokach i zamykam oczy, czując ciężar spływający z moich ramion. Dałam radę. Przetrwałam kolejną próbę.

– Sorrengail – woła Xaden. Natychmiast otwieram oczy. – Coś ci kapie. – Znacząco wbija wzrok w moje dłonie.

Krew cieknie z moich palców.

Na widok rozwalonych dłoni czuję eksplozję bólu, który w końcu przeciska się przez moją mentalną tamę jak rwąca rzeka. Dosłownie je zmasakrowałam.

– Zrób coś z tym – rozkazuje.

Kiwam głową i odsuwam się, żeby dołączyć do mojej drużyny. Rhiannon pomaga mi oderwać rękawy mojej koszulki, żeby owinać mi ręce, a potem kibicujemy ostatnim członkom grupy, którzy docierają na górę.

Wszyscy sobie poradziliśmy.

*Dzień Prezentacji nie przypomina żadnego innego. Powietrze pachnie nowymi możliwościami, jak również smrodem siarki smoka, który został urażony. Nigdy nie patrz w oczy czerwonemu smokowi. Nigdy nie uciekaj od zielonego. A jeśli okażesz trwogę przed brązowym... cóż, lepiej tego nie robić.*

*Przewodnik po rasach smoków autorstwa pułkownika Kaoriego*



## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

**G**dy nadchodzi południe, na górę dociera stu sześćdziesięciu dziewięciu kadetów i nawet z moją karą za użycie liny zajmujemy jedenaste miejsce spośród trzydziestu sześciu drużyn w kolejce do Prezentacji – przerażającej parady kadetów na oczach smoków, które w tym roku są gotowe wytworzyć więź.

Niepokój ciąży mi jak kula u nogi na myśl o tym, że mam przejść tak blisko smoków, które chcą wyłapać słabych przed Odsiewem. Nagle załuję, że nie jesteśmy ostatni.

Najszybciej dotarł Liam Mairi i dostał za to odznakę Rękawicy. Wcale mnie to nie dziwi. Jestem pewna, że ten chłopak nie wie, jak to jest zająć drugie miejsce. Okazuje się, że nie byłam najwolniejsza i to mi wystarczy.

W popołudniowym słońcu kanion stanowiący lądowisko prezentuje się spektakularnie. Czekamy w jego najwyższym punkcie, tuż przy wejściu do doliny, a przed nami rozciągają się połacie zabarwionych jesiennymi kolorami łąk i lasów, nad którymi wznoszą się wierzchołki gór. Na samym końcu zauważam wodospad, który teraz wygląda jak zwykły strumień, ale wiosną woda płynie w nim wartko.

Liście drzew już zmieniają kolor na złoty, jakby ktoś przyniósł pędzel i tylko jedną farbę, żeby pomalować nią cały krajobraz.

Przed nami czekają smoki.

Mają średnio po dwadzieścia pięć stóp wysokości i tworzą własną formację tuż za ścieżką. Są na tyle blisko, że będą mogły nas ocenić, kiedy przejdziemy obok.

– Dobra, Druga Drużyna, jesteście następni – oznajmia Garrick, przywołując nas gestem ręki. Symbol rebelii na jego gołym przedramieniu lśni w słońcu.

Dain i pozostali dowódcy stoją z tyłu. Nie jestem pewna, czy mój przyjaciel się cieszy, że udało mi się dotrzeć na sam szczyt, czy jest rozczarowany tym, że nagięłam zasady. Najważniejsze jest jednak to, że jeszcze nigdy nie byłam taka podekscytowana.

– Utworzyć formację – rozkazuje Garrick rzeczowym tonem. Jego styl dowodzenia można określić jako „najpierw misja, potem uprzejmości”. Wcale mnie więc nie dziwi, że on i Xaden są sobie tacy bliscy. Ale w przeciwieństwie do Xadena prawa strona jego munduru jest obszyta ciągiem odznak świadczących o tym, że jest dowódcą Sekcji Ognia, jak również o jego umiejętnościach w posługiwaniu się pięcioma różnymi orężami.

Wykonujemy rozkaz – i tym razem Rhiannon i ja kończymy prawie na samym końcu.

W oddali słychać dźwięk przypominający świst wiatru, który kończy się tak szybko, jak się zaczął, więc domyślam się, że ktoś został uznany za niegodnego.

Garrick przygląda się nam piwnymi oczami.

– Mam nadzieję, że Aetos wykonał swoje zadanie i poinformował was, że musicie przemierzyć łąkę i dotrzeć na jej drugi koniec. Sugeruję zachować odstęp przynajmniej siedmiu stóp...

– W razie gdyby któreś z nas zostało spopielone – mamrocze Ridoc przede mną.

– Zgadza się. Jeśli chcecie, możecie iść w grupie, ale wiedźcie, że jeśli któreś z was podpadnie smokom, te są gotowe spalić wszystkich, byle tylko pozbyć się tej jednej osoby – ostrzega Garrick, patrząc nam wymownie w oczy. – Pamiętajcie również, że nie należy się do nich zbliżać, bo jeśli to zrobicie, nie wrócicie dzisiaj do swoich łóżek.

– Czy mogę zadać pytanie? – odzywa się stojąca na początku Luca.

Garrick kiwa głową, ale sądząc po mięśni drgającym na jego szczęce, jest zirytowany. Wcale się nie dziwię. Mnie również drażni ta dziewczyna. Większość z nas trzyma ją na dystans przez to, że nieustannie wszystkich krytykuje.

– Trzecia Drużyna Sekcji Ogona z Czwartego Skrzydła już pokonała łąkę. Rozmawiałam z kilkoma kadetami...

– To nie jest pytanie. – Dowódca unosi brew.

Tak, jest wyraźnie rozdrażniony.

– Racja. Chodzi o to, że według nich jest tam piórogon – dokańcza wysokim głosem.

– P-piórogon? – jąka się Tynan, który zajmuje miejsce tuż przede mną. – Kto chciałby związać się z piórogonem?

Przewracam oczami, a Rhiannon kręci głową.

– Profesor Kaori nigdy nie wspominał, że będzie na nas czekać piórogon – wtrąca się Sawyer. – Wiem o tym, ponieważ zapamiętałem wszystkie smoki, które nam wyświetlał. Całą setkę.

– Wygląda na to, że będzie ich teraz sto jeden – odpowiada Garrick i patrzy na nas jak na dzieciaki, których ma już dosyć, a potem ogląda się przez ramię na wejście do doliny. – Spokojnie. Piórogony nie są skłonne do wytworzenia więzi. Nawet nie pamiętam, kiedy widziano jakiegoś poza Kotłem. Pewnie przyleciał tutaj z ciekawości. Teraz wasza kolej. Trzymajcie się ścieżki. Idziecie prosto, czekacie, aż zbierze się cała drużyna, a potem wracacie. Od tego momentu będzie coraz trudniej, dzieciaki, więc jeśli nie potraficie wypełnić prostego rozkazu, zasługujecie na to, co was tam czeka. – Odwraca się i rusza w stronę ścieżki biegnącej pod ścianą kanionu, gdzie siedzą wszystkie smoki.

Podążamy za nim, oddalając się od skupiska pierwszoroczników. Po oderwaniu rękawów wiatr szczypie skórę moich nagich ramion, ale przynajmniej udało się zatamować krew na dłoniach.

– Teraz są twoi – rzuca Garrick do starszej dowódczyni kwadrantu, kobiety, którą widziałam kilka razy w trakcie sprawozdania z frontu, jak rozmawiała z Xadenem. Na mundurze ma charakterystyczne kolce, które teraz są złote i wydają się piekielnie ostre, jakby chciała zrobić dzisiaj lepsze wrażenie.

Kiwa głową i pozwala mu odejść.

– Pojedynczo.

Ustawiamy się w kolejce. Rhiannon jest tuż za mną, a Tynan z przodu, co oznacza, że będę musiała znosić jego komentarze przez cały czas. Fantastycznie.

– Rozmawiajcie – odzywa się starsza dowódczyni, krzyżując ramiona na piersi.

– Ładny dzień na Prezentację – żartuje Ridoc.

– Nie dla mnie – odpowiada dowódczyni, mrużąc groźnie oczy, a potem wskazuje na kolejkę kadetów przed sobą. – Gdy będziecie szli ścieżką, rozmawiajcie z najbliższymi kadetami. Dzięki temu smoki będą mogły wyczuć, jacy jesteście i jak potraficie współpracować z innymi. Istnieje korelacja między kadetami, którzy wytworzyli więź ze smokiem, a poziomem ich rozmowy.

Z radością zamieniłabym się z kimś miejscami.



– Możecie patrzeć na smoki, szczególnie jeśli będą pokazywać wam ogony, ale odradzam nawiązywania kontaktu wzrokowego, chyba że życie wam nie miłe. Jeśli natraficie na ślad spalenizny, najpierw upewnijcie się, że nic się nie pali, a dopiero potem idźcie dalej. – Czeka, aż przyswoimy tę informację, a potem przytakuje. – Do zobaczenia później.

Macha nam ręką, a potem odchodzi na bok, odsłaniając żwirową ścieżkę, która przecina dolinę przez sam jej środek. Nad nią, w idealnym bezruchu niczym gargulce, siedzi sto jeden smoków, które w tym roku postanowiły wytworzyć więź.

Rozpoczyna się spacer, a my utrzymujemy zalecaną odległość siedmiu stóp.

Jestem świadoma każdego kroku, który stawiam. Powierzchnia pod moimi stopami jest twarda, a w powietrzu unosi się charakterystyczny odór siarki.

Na początku mijamy trójkę czerwonych smoków. Ich szpony mają długość połowy mojego ciała.

– Nawet nie widzę ich ogonów! – krzyczy idący przede mną Tynan. – Skąd mamy wiedzieć, co to za odmiana?

Kiedy je mijamy, skupiam wzrok na ich masywnych, umięśnionych barkach.

– W tym momencie nie interesuje nas, co to za odmiana – stwierdzam.

– Co za idiotyzm – rzuca ponad ramieniem. – Muszę wiedzieć, do którego zbliżyć się w trakcie Odsiewu.

– Wydaje mi się, że prowadzimy tę rozmowę właśnie po to, żeby to one zdecydowały – zauważam.

– Mam nadzieję, że któryś z nich nie dopuści go do Odsiewu – stwierdza Rhiannon tak cicho, że ledwie ją słyszę.

Parskam śmiechem, kiedy docieramy do dwóch brązowych smoków, nieznacznie mniejszych niż Aimsir mojej matki.

– Są nieco większe, niż się spodziewałam – przyznaje głośniejszym głosem Rhiannon. – Oczywiście widziałam inne smoki po przejściu przez most, ale...

Obracam głowę i zauważam, że przygląda się smokom szeroko otwartymi oczami. Denerwuje się.

– Wiesz już, czy będziesz miała siostrzeńca czy siostrzenicę? – pytam, mijając garstkę pomarańczowych smoków.

– Co? – odpowiada.

– Słyszałam, że medycy potrafią to ocenić pod koniec ciąży.

– Och. Nie – zaprzecza. – Nie mam pojęcia. Ale mam nadzieję, że to będzie dziewczynka. Dowiem się tego najpewniej wtedy, gdy ukończymy rok i będziemy mogli napisać do naszych rodzin.

– Co za głupia zasada – stwierdzam i natychmiast opuszczam wzrok, kiedy nawiązuję kontakt z pomarańczowym smokiem. *Oddychaj normalnie. Przełknij*

*strach*. Okazanie niepokoju i słabości może skutkować moją śmiercią, a mam na to nieco wyższe szanse, bo już krwawię.

– Uważasz, że nie ma to wpływu na lojalność wobec skrzydła? – docieka Rhiannon.

– Uważam, że jestem tak samo lojalna wobec swojej siostry, niezależnie od tego, czy dostałam od niej list, czy nie – odpowiadam. – Są więzi, których nie da się rozerwać.

– Ja też byłbym lojalny wobec twojej siostry – wtrąca się Tynan. Odwraca się i idzie tyłem, szczerząc się głupkowato. – To twarda jeźdźczyni, i jeszcze ta dupa. Widziałem ją tuż przed spacerem po moście. Cholera, Violet, niezła jest.

Mijamy kolejne skupisko czerwonych smoków, potem jednego brązowego i dwa zielone.

– Odwróć się. – Zataczam palcem koło w powietrzu. – Mira zjadłaby cię na śniadanie, Tynan.

– Po prostu zastanawiam się, jak to możliwe, że jedna z was wygląda, jakby stała w kolejce po urodę, a drugą to ominęło. – Taksuje mnie wzrokiem.

Aż się wzdrygam z obrzydzenia.

– Jesteś nie do zniesienia. – Pokazuję mu środkowy palec.

– Może powinienem napisać do niej list, kiedy już dostaniemy ten przywilej? – Odwraca się i idzie dalej.

– Siostrzeniec też byłby w porządku – ciągnie Rhiannon, jakby nasza rozmowa nie została przerwana. – Chłopcy wcale nie są tacy źli.

– Mój brat był niesamowity, ale poza nim i Dainem nie miałam w dzieciństwie kontaktu z chłopakami. – Mijamy kolejne smoki, a mój oddech zaczyna się uspokajać. Zapach siarki znika, a może po prostu do niego przywykłam. Gady znajdują się na tyle blisko, że mogłyby nas usmażyć, o czym świadczy sześć wypalonych plam na ziemi, ale nie słyszę sapania, ani ich nie wyczuwam. – Chociaż wydaje mi się, że Dain był nieco bardziej posłuszny niż większość dzieci. Lubi zasady i nie znosi, kiedy coś idzie nie po jego myśli. Pewnie później, tak jak Amber Mavis, opieprzy mnie za to, w jaki sposób dotarłam na szczyt Rękawicy.

Dochodzimy do punktu oznaczającego połowę drogi i kroczymy dalej.

Czy sposób, w jaki patrzą na nas smoki, jest przerażający? Absolutnie, ale zależy im na naszej obecności, więc liczę na to, że podejdą do spopielenia sprawiedliwie.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o pomysłe z liną? Albo sztyletem? – pyta Rhiannon, a w jej głosie pobrzmiwa zranienie. – Wiesz przecież, że możesz mi ufać.

– Wpadłam na to dopiero dzisiaj w nocy – przyznaję i oglądam się na nią. – A gdyby to nie zadziało, nie chciałam, żebyś czuła się współwinna. Wiem, że osiągniesz wiele w tym kwadrancie i nie chciałam pociągnąć cię za sobą w dół, jeślibym nie przetrwała.

– Nie musisz mnie chronić.

– Wiem, ale tak postępują przyjaciele, Rhi. – Wzruszam ramionami. Właśnie mijamy trójkę brązowych smoków. Przez kilka następnych minut jedynym towarzyszącym nam dźwiękiem jest cichy chrzęst naszych butów na ciemnym żwirze.

– Masz jeszcze jakieś sekrety? – odzywa się w końcu Rhiannon.

Przypominam sobie Xadena oraz jego spotkanie z innymi naznaczonymi i poczucie winy zżera mnie od środka.

– Wydaje mi się, że nie można dowiedzieć się wszystkiego na czyjś temat. – Czuję się okropnie, ale przynajmniej nie kłamię.

Kwituje to prychnięciem.

– Cóż za piękny unik. Tak. Obiecuj mi, że jeśli będziesz potrzebować pomocy, pozwolisz mi jej udzielić.

Przez twarz przemyka mi uśmiech, mimo że właśnie omijamy skupisko przerażających zielonych gadów.

– Może jeszcze inaczej – rzucam ponad ramieniem. – Obiecuję, że jeśli będę potrzebować pomocy, której jesteś w stanie mi udzielić, zapytam cię, ale tylko pod warunkiem – unoszę palec wskazujący – że ty obiecasz mi to samo.

– Umowa stoi. – Odpowiada mi szerokim uśmiechem.

– Już skończyłyście zacieśniać więzy? – dogryza nam Tynan. – Jeśli nie zauważyłyście, jesteśmy już prawie na końcu drogi. – Zatrzymuje się pośrodku ścieżki i patrzy w prawo. – A ja wciąż nie wiem, którego wybiorę.

– Każdy smok będzie zachwycony, mogąc dzielić umysł z kimś tak zadufanym w sobie.

Współczuję smokowi, który go wybierze. O ile którykolwiek to zrobi.

Reszta drużyny zatrzymała się przed końcem ścieżki, ale wszyscy patrzą w prawo.

Kiedy mijamy ostatniego brązowego smoka, gwałtownie wciągam powietrze do płuc.

– Co to ma być? – Tynan gapi się bezczelnie.

– Nie zatrzymuj się – rozkazuję, ale sama nie mogę oderwać wzroku.

Przy samym końcu ścieżki znajduje się mały złoty smok. Słońce odbija się w jego łuskach i rogach. Stoi wyprostowany i macha ogonem owiniętym po boku ciała. *To piórogon.*

Z szeroko otwartymi oczami przypatruję się ostrym zębom i szybkim ruchom głowy przyglądającego nam się smoka. Wyprostowane stworzenie jest zaledwie kilka stóp wyższe ode mnie i wygląda jak idealna replika większego brązowego gada stojącego obok.

Jestem w niego tak zapatrzona, że wpadam na Tynana. Dotarliśmy na koniec ścieżki, gdzie czeka reszta drużyny.

– Odsuń się ode mnie, Sorrengail – syczy Tynan i mnie odpycha. – Kto w ogóle chciałby związać się z czymś takim?

Powietrze uchodzi z moich płuc.

– One cię słyszą – przypominam.

– Przecież on jest żółty. – Luca wskazuje na smoka, wykrzywiając usta w obrzydzeniu. – Nie dość, że jest za mały, by udźwignąć jeźdźca podczas walki, to jeszcze nie jest na tyle silny, by się wybarwić.

– Może to jakaś pomyłka – podsuwa cicho Sawyer. – Może to dziecko pomarańczowego smoka.

– On jest dorosły – spiera się Rhiannon. – Żadne smoki nie pozwoliłyby związać się młodemu. Żaden żyjący człowiek nie widział młodego smoka.

– To zdecydowanie pomyłka. – Tynan przygląda się złotemu smokowi, a potem prychnie. – Totalnie powinniście się związać, Sorrengail. Oboje jesteście załóżnie słabi. Pasujecie do siebie.

– Wygląda na wystarczająco silnego, by cię usmażyć – odgryzam się, czując żar na policzkach. Nazwał mnie słabą i to nie tylko na oczach całej drużyny, ale również na oczach smoków.

Sawyer staje między nami i łapie Tynana za kołnierz.

– Nigdy więcej nie mów czegoś takiego o członku swojej drużyny, a już na pewno nie przed wolnymi smokami.

– Puść go. On tylko mówi to, co wszyscy i tak myślą – mamrocze Luca.

Powoli odwracam się w jej stronę z rozdziawionymi ustami. Czy tacy właśnie się stajemy w chwili, gdy nie towarzyszy nam żaden dowódca? Skaczemy sobie do gardeł?

– No co? – Dziewczyna wskazuje na moją głowę. – Połowa twoich włosów jest srebrna i jesteś... drobna – dokańcza ze sztucznym uśmiechem. – Żółty i... mały. Rzeczywiście do siebie pasujecie.

Trina kładzie rękę na ramieniu Sawyera.

– Nie popełniaj przy nich błędu. Nie wiemy, jak zareagują – upomina szeptem.

Wygląda na to, że podzieliliśmy się na grupy.

Odsuwam się, a Sawyer puszcza kołnierz Tynana.

– Powinno się go zabić, zanim wytworzy z kimś więź – mamrocze Tynan i po raz pierwszy w życiu mam ochotę kogoś kopnąć... i kopać tak długo, aż przerobię go na miazgę. – Jeszcze doprowadzi swojego jeźdźca do śmierci. A jeśli nas wybierze, nie będziemy mieć wyboru.

– Teraz to do ciebie dotarło? – Ridoc kręci głową.

– Powinniśmy wracać – odzywa się Pryor, przeskakując wzrokiem po wszystkich członkach grupy. – To znaczy... Jeśli nie macie nic przeciwko, ale jeśli chcecie zostać, to w porządku.

– Chociaż raz w życiu – zaczyna Tynan, popychając Pryora na początek grupy – podejmij jakąś decyzję, Pryor.

Ruszamy jeden po drugim, zachowując sugerowany odstęp. Tym razem Rhiannon idzie przede mną, Ridoc z tyłu, a pochod zamyka Luca.

– Są niesamowite, prawda? – zachwyca się Ridoc, co wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

– To prawda – zgadzam się.

– Szczerze mówiąc, jestem trochę rozczarowana po tym, jak wcześniej widziałam tego niebieskiego po przejściu przez most. – Głos Luki niesie się aż do Rhiannon, która odwraca się i patrzy na nią z niedowierzaniem.

– Czy ty naprawdę musisz je obrażać? Ten spacer chyba w ogóle cię nie stresuje – zarzuca dziewczynie Rhi.

Muszę szybko zapanować nad sytuacją.

– Zawsze mogło być gorzej, prawda? Moglibyśmy przechodzić obok stada wiwern.

– Proszę cię, Violet, daruj nam swoje pogadanki – prycha Luca. – Niech zgadnę. Wiwerny to jakaś elitarna drużyna jeźdźców gryfów, która powstała tylko dlatego, że zrobiliśmy coś złego na polu bitwy, i tylko twój umysł skrybki o tym pamięta.

– Nie wiesz, czym jest wiwerna? – dziwi się Rhi i kontynuuje marsz. – Rodzice nie opowiadali ci historii na dobranoc?

– Oświeć mnie zatem – rzuca znudzona Luca.

Przewracam oczami.

– To stworzenia rodem z folkloru – wołam ponad ramieniem. – Przypominają smoki, ale są znacznie większe i mają dwie nogi zamiast czterech, grzywę ostrych jak brzytwa piór wystających z szyi, a ich ulubioną przekąską są ludzie. W przeciwieństwie do smoków, które uważają, że jesteśmy trochę za łykowaci.

– Moja mama uwielbiała grozić mi i mojej siostrze, że jeśli będziemy pyskować albo podkradać słodycze, wiwerna porwie nas z podwórka,

a dojeżdżający ją venin o strasznych oczach zamknie nas w lochu – przyznaje Rhi i posyła mi uśmiech. Zauważam, że nieco się rozluźniła.

Ja również. Wciąż zerkam na każdego mijanego smoka, ale moje serce się uspokaja.

– Tata czytał mi te bajki co wieczór – odpowiadam. – Raz nawet na poważnie zapytałam go, czy mama zmieni się w venina, bo potrafi przekierowywać energię.

Rhiannon chichocze, mijając grupę łypiących na nas czerwonych gadów.

– A mówił ci, że ludzie rzekomo zmieniają się w veniny tylko wtedy, gdy pobierają energię prosto ze źródła?

– Tak, ale moje obawy wynikały z tego, że mieliśmy za sobą długą noc blisko wschodniej granicy i jej oczy zrobiły się czerwone, więc zaczęłam panikować i krzyczeć. – Uśmiecham się na to wspomnienie. – Po tamtym wydarzeniu na miesiąc zabrała mi książkę z baśniami, bo zlecieli się wszyscy strażnicy, zaniepokojeni moim krzykiem, a ja ukryłam się za moim bratem, który nie mógł przestać się śmiać i... cóż, było gorąco. – Skupiam wzrok na wprost, a pomarańczowy smok zaczyna węszyć w powietrzu, kiedy go mijam.

Rhiannon trzęsie się ze śmiechu.

– Żałuję, że nie miałam takiej książki. Moja mama pewnie przekreślała wszystkie te historie, żeby nas nastraszyć, gdy byłyśmy niegrzeczne.

– To brzmi jak wioskowe bzdury – szydzi Luca. – Veniny? Wiwerny? Każdy średnio wykształcony człowiek wie, że nasze bariery zatrzymują wszelką magię nie pochodzącą bezpośrednio od smoków.

– To tylko baśnie, Luca – woła ponad ramieniem Rhi. Z satysfakcją zauważam, że mamy już za sobą szmat drogi. – Pryor, jeśli chcesz, możesz przyspieszyć.

– Może powinniśmy jednak zwolnić? – sugeruje idący przed Rhiannon Pryor i pociera dłońmi boki swojego munduru. – A właściwie moglibyśmy iść szybciej, jeśli chcemy się stąd wydostać.

Czerwony smok wychodzi z szeregu, wysuwając w naszą stronę jeden szpon, a ja czuję, że moje żyły skuwają się lodem ze strachu.

– Nie, nie, nie – szepczę i zamieram, ale już jest za późno.

Czerwony smok otwiera paszczę, odsłaniając ostre, lśniące zębiska. Z jego gardła wypływa strumień ognia, który dosięga ścieżki tuż przed Rhiannon.

Moja przyjaciółka wydaje okrzyk przerażenia.

Żar uderza w twarz również mnie.

A potem ogień znika.

W powietrzu unosi się zapach siarki, palonej trawy i zwęglonego... czegoś. Na ziemi przed Rhiannon została wypalona dziura, której wcześniej tam nie było.

– Wszystko w porządku, Rhi? – wołam.

Kiwa głową, ale widać, że jest oszołomiona.

– Pryor... on...

*Nie żyje.* Mdłości podchodzą mi do gardła, ale wciągam powietrze nosem i wypuszczam ustami, aż mi przechodzi.

– Nie zatrzymujcie się! – rozkazuje Sawyer z początku.

– Już dobrze, Rhi. Musisz tylko... – Co musi? Ominąć zwłoki? Czy w ogóle zostały jakieś zwłoki?

– Ogień przygasł – informuje mnie Rhiannon.

Kiwam głową, bo nie wiem, co powiedzieć, żeby ją pocieszyć.

Ja pieprzę, jesteśmy tylko nic nieznaczącymi istotami.

Rhiannon idzie do przodu, a ja podążam za nią, omijając stertę popiołu, która została po Pryorze.

– Na bogów, co za smród – narzeka Luca.

– Czy ty naprawdę nie masz ani odrobiny przyzwoitości? – Odwracam się i gromię ją spojrzeniem, ale na widok miny Ridoca zamieram.

Oczy i usta ma szeroko otwarte.

– Violet.

Jego głos jest tak cichy, że zastanawiam się, czy go usłyszałam, czy tylko zobaczyłam ruch jego ust.

– Vi...

Moją szyję owiewa gorąca para. Serce wali mi jak młotem, ale zaczerpuję oddechu, który może być moim ostatnim, i odwracam się w stronę smoków.

Mam przed sobą złote oczy nie jednego, a dwóch zielonych smoków.

Kurwa.

„Aby zbliżyć się do zielonego smoka, spuść pokornie wzrok i poczekaj na jego aprobatę”. Tak właśnie czytałam.

Wbijam więc wzrok w ziemię, gdy jeden ze smoków na mnie dyszy. Jego oddech jest parzący i szokująco wilgotny, ale jeszcze nie jestem martwa, a to chyba dobrze.

Ten po prawej warczy gardłowo. Chwila, czy to dźwięk aprobaty, na który mam czekać? Cholera, szkoda, że nie zapytałam Miry.

*Mira.* Będzie zrozpaczona, gdy rano odczytają listę poległych.

Unoszę głowę i gwałtownie zaczerpuję oddechu. Smoki podchodzą jeszcze bliżej. Jeden z nich szturcha wielkim nosem moją dłoń, ale jakimś cudem udaje mi się utrzymać równowagę.

„Zielone są najrozsądniejsze”.

– Skaleczyłam dłonie, gdy wspinałam się po torze przeszkód. – Unoszę ręce, jakby miały przejrzeć na wylot prowizoryczny czarny opatrunek.

Smok po prawej przysuwa nos do mojej piersi i znowu węszy.

O co mu chodzi?

Zaciąga się powietrzem i po raz kolejny warczy gardłowo, a drugi napiera nosem na moje żebra. Unoszę ręce, w razie gdyby chciały mnie skubnąć.

– Violet! – szepcze przerażona Rhiannon.

– Nic mi nie jest! – uspokajam ją, a potem tego załuję. Mam nadzieję, że właśnie nie przypieczętowałam losu, krzyżąc smokom wprost do ucha.

Kolejne zaciągnięcie się powietrzem, kolejny warkot, jakby się ze sobą komunikowały.

Smok znajdujący się bliżej mnie przesuwa nozdrza na moje plecy i znowu wciąga powietrze.

Nagle doznaję olśnienia i wyrywa mi się nerwowy śmiech.

– Czujecie Teinego, prawda? – pytam cicho.

Oba smoki odsuwają się gwałtownie, żeby spojrzeć na mnie złotymi ślepiami, ale szczęki mają zamknięte, więc mam odwagę kontynuować.

– Jestem Violet, siostra Miry. – Powoli opuszczam ręce i przesuвам palcami po pokrytej smoczymi smarkami kamizelce. – Zebrała łuski Teinego po tym, jak je zrzucił w zeszłym roku, żeby wszyć je w kamizelkę, która ma mnie chronić.

Ten po prawej mruga powiekami.

Ten po lewej znowu zbliża do mnie nos i głośno się zaciąga.

– Łuski już kilka razy mnie uratowały – przyznaję szeptem. – Ale nikt nie wie, że tam są. Tylko Mira i Teine.

Smoki mrugają, a ja spuszczam wzrok i pochylam głowę, bo mam wrażenie, że właśnie tak powinnam postąpić. Profesor Kaori wielokrotnie powtarzał nam, jak zbliżyć się do smoka, ale ani razu nie wytłumaczył, jak się od niego uwolnić.

Smoki odchodzą krok po kroku i kątem oka widzę, że zajmują swoje miejsca w rzędzie. W końcu unoszę głowę.

Biorę kilka głębokich wdechów i próbuję rozluźnić mięśnie, żeby nie zacząć dygotać.

– Violet. – Rhiannon stoi zaledwie kilka stóp dalej, a jej oczy są szeroko otwarte ze strachu. Musiała stać tuż za ich głowami.

– Nic mi nie jest. – Zmuszam się do uśmiechu i kiwam głową. – Pod kamizelką mam zbroję ze smoczych łusek – wyjaśniam szeptem. – Wyczuły na mnie smoka mojej siostry. – Jeśli zależy jej na zaufaniu, oto ono. – Tylko proszę cię, nikomu o tym nie mów.

– Masz moje słowo – zapewnia. – Wszystko w porządku?

– Tak. Jedynie najadłam się strachu – parskam roztrzęsionym, niemal histerycznym śmiechem.



– Chodźmy stąd. – Przełyka ślinę i przenosi wzrok na rząd smoków.

– Dobry pomysł.

Odwraca się i wraca na swoje miejsce. Podążam za nią, a oddziela nas piętnaście stóp.

– Chyba popuściłem ze strachu – przyznaje Ridoc. Mój śmiech staje się jeszcze bardziej piskliwy.

– Szczerze mówiąc, myślałam, że cię zjedzą – wtrąca Luca.

– Ja też – zgadzam się.

– I wcale bym ich nie winiła – kontynuuje.

– Jesteś nie do zniesienia. – Wzdycha Ridoc.

Skupiam się na drodze i idę dalej.

– No co? Poza Pryorem jest z nas wszystkich najsłabsza, więc wcale im się nie dziwię, że go spaliły – oponuje. – Nie potrafił podjąć prostej decyzji, a żaden smok nie chciałby kogoś takiego za jeźdźca...

Za moimi plecami czuję eksplozję ognia. Zatrzymuję się.

*Oby to nie był Ridoc. Tylko nie...*

– Wygląda na to, że smoki również nie mogły jej znieść – komentuje Ridoc.

W naszej drużynie zostało już tylko sześciu pierwszaków.

*Nie ma niczego równie pouczającego i inspirującego, jak udział w Odsiewie...  
o ile się go przetrwało.*

*Przewodnik po rasach smoków autorstwa pułkownika Kaoriego*



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Odsiew zawsze odbywa się pierwszego października. Nie ma znaczenia, czy ten dzień przypada w danym roku na poniedziałek, środę czy niedzielę. Pierwszego października kadeci pierwszego roku z Kwadrantu Jeźdźców wchodzi do porośniętej lasami, przypominającej kształtem misę doliny położonej na południowy zachód od cytadeli i modlą się, by ujść z życiem.

Dzisiaj nie zamierzam umrzeć.

Rano nie miałam apetytu, więc niczego nie zjadłam, ale teraz współczuję Ridocowi, który właśnie opróżnia zawartość żołądka pod drzewem.

Rhiannon podskakuje w miejscu i rozciąga ramiona, a rękojeść przewieszona przez jej plecy miecza obija się o kręgosłup.

– Pamiętajcie, żeby nasłuchiwać. – Profesor Kaori przemawia przed stu czterdziestoma siedmioma kadetami, klepiąc się po piersi. – Jeśli smoki już was wybrały, będą was wzywać. – Znowu stuka dłonią w klatkę piersiową. – Dlatego miejcie na uwadze nie tylko swoje otoczenie, ale również uczucia. Kierujcie się nimi. – Na jego twarzy pojawia się grymas. – A jeśli uczucia mówią wam, że powinniście odejść w przeciwnym kierunku... to tak zróbcie.

– Do którego chcesz podejść? – pyta cicho Rhiannon.

– Nie mam pojęcia. – Kręcę głową, ale nie mogę pozbyć się uczucia absolutnej porażki. Mira w tym momencie już wiedziała, że wybierze Teinego.

– Nauczyłaś się na pamięć wszystkich ras, prawda? – dopytuje, unosząc brwi.  
– Żebyś wiedziała, co cię czeka?

– Tak. Po prostu nie czuję więzi z żadnym z nich. – Co w sumie jest lepsze, niż gdybym miała czuć więź do smoka, którego upatrzył sobie inny jeździec. Nie

mam ochoty walczyć dzisiaj na śmierć i życie. – Dain przekonywał mnie do brązowego.

– Dain stracił prawo głosu, kiedy próbował namówić cię na odejście – ripostuje.

Jest w tym wiele prawdy. Od czasu Prezentacji, która miała miejsce przedwczoraj, rozmawiałam z nim dwa razy i już po pięciu minutach konwersacji próbował znowu zmusić mnie do ucieczki. Dzisiaj widzieliśmy się tylko z profesorami, ale wiem, że jeźdźcy z drugiego i trzeciego roku są rozstawieni gdzieś po dolinie, żeby nas obserwować.

– A ty wiesz?

Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Myślę o zielonym. O tym, który podszedł najbliżej mnie, kiedy zaczęły cię obwąchiwać.

– Cóż, nie zjadły cię, więc to chyba dobrze o nich świadczy. – Uśmiecham się, mimo że moimi żyłami płynie czysty strach.

– Też mi się tak wydaje. – Łapie mnie pod ramię i ponownie skupiam się na tym, co mówi profesor.

– Jeśli będziecie poruszać się w grupach, macie większe szanse na to, że smoki was usmażą, zamiast się z wami związać – wyjaśnia profesor jakimś kadetowi, który stoi pośrodku doliny. – Skrybowie mają na poparcie tej tezy odpowiednie statystyki. Wyjdziecie na tym lepiej, jeśli będziecie radzić sobie sami.

– A co, jeśli do kolacji nie zostaniemy wybrani? – odzywa się chłopak z krótką brodą, stojący po mojej lewej stronie.

Omijam go wzrokiem i zauważam Jacka Barlowe'a, który przesuwa palcem po szyi, patrząc na mnie. Cóż za oryginalna groźba. Zaraz potem podchodzą do niego Oren i Tynan.

To by było na tyle, jeśli chodzi o lojalność w drużynie. Wygląda na to, że dzisiaj każdy radzi sobie sam.

– Jeśli do zapadnięcia zmroku żaden smok was nie wybierze, to będzie problem – informuje profesor Kaori. Krańce jego gęstego wąsa dziś są skierowane ku dołowi. – Przyjdzie po was inny wykładowca albo starszy dowódca, więc nie martwcie się, nie zapomnimy o was. – Zerka na swój kieszonkowy zegarek. – Pamiętajcie, żeby się rozejść i wykorzystać każdy fragment tej doliny. Jest już druga, co oznacza, że smoki lada chwila powinny nadlecieć. Pozostało mi życzyć wam powodzenia. – Kiwa głową i wodzi wzrokiem po zebranych z taką uwagą, która najpewniej pozwoli mu później wykorzystać ten moment w projekcji.

Profesor maszeruje w stronę wzgórza po naszej prawej stronie i znika między drzewami.

W głowie mam chaos. Już czas. Albo opuszczę ten las jako jeźdźczyni, albo... nie opuszczę go wcale.

– Miej się na baczności. – Rhiannon zamyka mnie w mocnym uścisku, a jej warkocze opadają na moje ramię.

– Ty też. – Odwzajemniam gest, a zaraz potem ktoś przyciąga mnie do siebie.

– Nie daj się zabić – rozkazuje Ridoc.

To nasz nadrzędny cel. Rozchodzimy się w przeciwnym kierunku, jakby siła odśrodkowa kręcącego się koła wyrzuciła nas na boki.

\* \* \*

Sądząc po pozycji słońca na niebie, upłynęły przynajmniej dwie godziny, odkąd smoki nadleciały i wylądowały w dolinie z takim hukiem, że wprawiły ziemię w drgania.

Do tej pory natknęłam się już na dwa zielone, jednego brązowego, cztery pomarańczowe i...

Moje serce zamiera, stopy tak samo, bo w polu mojego widzenia pojawia się czerwony. Zauważam jego głowę tuż pod koronami drzew.

To nie jest mój smok. Nie mam pojęcia, skąd to wiem, ale tak czuję.

Wstrzymuję oddech i staram się nie wydać żadnego dźwięku, kiedy bestia obraca łeb na prawo, a potem na lewo. Szybko pochylam głowę i wbijam wzrok w ziemię.

Przez godzinę widziałam niejednego smoka, który wzbił się w powietrze wraz z kadetem – a teraz już jeźdźcem – na grzbiecie, ale zauważyłam również smugi dymu. Jakoś nie kusi mnie, by zostać kolejną kupką popiołu.

Smok wypuszcza powietrze nosem, a potem rusza ścieżką, machając ogonem przypominającym maczugę, którym uderza w mniejsze drzewo i powala je na ziemię z ogłuszającym trzaskiem. Unoszę głowę dopiero wtedy, gdy jego kroki cichną w oddali.

Mogę już powiedzieć, że natknęłam się na smoka każdego koloru i żaden z nich do mnie nie przemówił ani ja nie poczułam namiastki więzi, która powinna się między nami wytworzyć.

Pochmurnieję. A co, jeśli jestem jedną z tych osób, które nigdy nie będą latać? Jedną z tych, które będą musiały powtarzać pierwszy rok, aż w końcu ktoś mnie zabije? Czy to wszystko było na nic?

Ta myśl jest zbyt dołująca, by teraz się w nią zagłębiać.

Może jeśli uda mi się zobaczyć całą dolinę, poczuję w końcu to, o czym mówił profesor.

Odnajduję wzrokiem najbliższe drzewo, na które da się wspiąć i biorę się do działania, pokonując gałąź po gałęzi. Moje ręce pulsują bólem, ale nie pozwalam, by to mnie rozproszyło. Kora haczy się o bandażę, którymi wciąż mam owinięte ręce. To dopiero jest irytujące! Co chwilę się zatrzymuję, żeby odrywać materiał.

Jestem pewna, że najwyższe gałęzie nie utrzymają mojego ciężaru, więc staję mniej więcej na trzech czwartych wysokości drzewa i stąd oglądam najbliższą okolicę.

Po lewej zauważam kilka zielonych smoków stojących przy jesiennych koronach drzew. O dziwo to jedyny czas w roku, gdy pomarańczowe, brązowe i czerwone smoki mają szansę wtopić się w tło. Przyglądam się drzewom, szukając jakiegoś ruchu i zauważam jeszcze dwie bestie na południu, ale nie czuję żadnej siły ciągnącej mnie w tamtym kierunku, co najpewniej oznacza, że to również nie są moje smoki.

Kiedy zauważam przynajmniej pół tuzina pierwszoroczników błakających się bez celu, zalewa mnie ulga. Nie powinno cieszyć mnie to, że nie odnaleźli swoich smoków, ale przynajmniej nie jestem jedyna, więc wciąż istnieje dla mnie nadzieja.

Na północy zauważam polanę i jakiś błysk, jakby słońce odbiło się w lustrze.

*Albo w łuskach złotego smoka.*

Pewnie wciąż jest tam ten mały piórogon, który nadal wzbudza sensację. Nie znajdę smoka na drzewie, więc schodzę na dół ostrożnie, tak cicho jak to możliwe. Ląduję na ziemi tuż przed tym, jak nieopodal rozlegają się głosy. Szybko przyciskam się do drzewa, żeby nikt mnie nie zauważył.

Nie powinniśmy przemieszczać się w grupach.

– Mówię wam, widziałem, jak zmierza w tamtym kierunku. – Natychmiast rozpoznaję arogancki głos należący do Tynana.

– Obyś miał rację, bo jeśli wspinaliśmy się tutaj na darmo, to pożałujesz. – Dosłownie skręca mnie w środku. To Jack. Tylko jego głos ma na mnie taki, wręcz fizyczny, wpływ. Nawet głos Xadena tak na mnie nie działa.

– Nie uważasz, że powinniśmy szukać własnych smoków, zamiast polować na tego odmienca? – Coś mi świta w głowie, ale muszę wychylić się z kryjówki, żeby mieć pewność. Tak, to Oren.

Kiedy ta trójca nadchodzi, ponownie ukrywam się za drzewem. Każdy z nich dzierży śmiertelnie niebezpieczny miecz. Mam przy sobie dziewięć sztyletów umieszczonych w różnych miejscach przy ciele, więc nie mogę powiedzieć, że jestem nieuzbrojona, ale mam wrażenie, że moja nieudolność we władaniu

mieczem stawia mnie z góry na przegranej pozycji. To wszystko przez to, że sztylety są tak piekielnie ciężkie.

Chwilę... co oni powiedzieli? Że polują?

– Przecież nasze smoki nie zamierzają związać się z innymi jeźdźcami – upomina go Jack. – Poczekają na nas. Trzeba się tym zająć. Przez tę szkapę ktoś zginie. Musimy się go pozbyć.

Wbijam paznokcie w dłonie, czując mdłości. Chcą zabić tego złotego.

– Jeśli nas złapią, mamy przekichane – lamentuje Oren.

Mało powiedziane. Nie wyobrażam sobie, by smoki przymknęły oko na zabicie jednego z nich, ale z drugiej strony zdają się skupiać na pozbyciu się najsłabszych kadetów, więc zapewne tak samo mogłyby postąpić ze swoimi.

– To lepiej zamknij gębę, żeby nikt nas nie usłyszał – cedzi Tynan tym drwiącym tonem, przez który mam ochotę rozkwasić mu nos.

– Robimy to dla dobra ogółu – spiera się Jack, spuszczać nieco z tonu. – Na tym smoku nie da się jeździć, jest dziwadłem, a poza tym wiecie, że piórogony są zupełnie nieużyteczne w bitwach. One nie chcą walczyć. – Jego głos cichnie, kiedy odchodzą dalej, zmierzając na północ.

W stronę polany.

– Cholera – mamroczę pod nosem, mimo że dawno znaleźli się poza zasięgiem mojego słuchu. Na temat piórogonów wiemy niewiele, więc nie mam pojęcia, skąd Jack bierze te informacje, ale w tym momencie nie mam czasu skupiać się na jego domysłach.

Nie skontaktuję się z profesorem Kaorim, a do tej pory nigdzie nie widziałam starszych jeźdźców, więc nie mogę liczyć na ich pomoc. Złoty smok powinien ziać ogniem, ale co, jeśli tego nie potrafi?

Istnieje szansa, że w ogóle go nie znajdą, ale... niech to szlag, nie jestem w stanie sobie tego wmówić. Zmierzają we właściwym kierunku, a ten smok jest jak latarnia morska. Na pewno go zauważą.

Wzdycham z frustracją, wbijając wzrok w niebo.

Nie mogę stać beczynnym.

*Możesz dotrzeć tam pierwsza i ostrzec smoka.*

To dobry plan, znacznie lepszy niż opcja numer dwa, która zakłada pokonanie trzech uzbrojonych mężczyzn przewyższających mnie wagą łącznie o dobre dwieście funtów.

Przemykam przez las bezszelestnie, trzymając się z dala od grupki Jacka. Jak dobrze, że w dzieciństwie często bawiłam się z Dainem w lesie w chowanego. Potrafię z łatwością poruszać się po takich terenach.

Wyruszyli wcześniej ode mnie, a polana znajduje się bliżej, niż zakładałam, więc przyspieszam, przeskakując wzrokiem pomiędzy pokrytą liśćmi ścieżką,

którą podążam, a tą po lewej, którą – jak mi się wydaje – wybrali. Nie, wiem to na pewno, bo dostrzegam ich masywne sylwetki w oddali.

Nagle słyszę cichy trzask i ziemia osuwa mi się spod nóg. Zakrywam twarz rękami tuż przed upadkiem i przygryzam dolną wargę, żeby pohamować okrzyk. Moja kostka pulsuje bólem. Takie chrupnięcie nigdy nie oznacza nic dobrego.

Oglądam się za siebie i przeklinam leżącą na ziemi gałąź, ukrytą pod liściastym kocem, przez którą właśnie skręciłam sobie kostkę. Cudownie.

*Zablokuj ból. Zablokuj go.* Niestety tym razem sztuczka nie działa i nie udaje mi się zapomnieć o bólu, od którego dosłownie przewraca mi się w żołądku. Podnoszę się na kolana i wstaję ostrożnie, utrzymując ciężar całego ciała na lewej nodze.

Nie mam innego wyjścia. Muszę pokonać ostatnie kilkanaście stóp do polany, kuśtykając, więc zaciskam zęby. Udało mi się jednak przegonić Jacka i ta mała satysfakcja wystarczy, żeby wywołać uśmiech na mojej twarzy.

Polana otoczona kilkoma wielkimi drzewami jest na tyle duża, że mogłoby się tu pomieścić dziesięć smoków, ale złoty stoi pośrodku sam, jakby się opalał. Okazuje się tak piękny, jak go zapamiętałam, ale jeśli nie potrafi ziać ogniem, jest łatwym celem.

– Uciekaj stąd! – syczę ukryta za drzewami, ale wiem, że powinien mnie usłyszeć. – Zabiją cię, jeśli stąd nie odleczysz!

Smok obraca się w moją stronę i przekręca głowę pod takim kątem, że aż boli mnie szyja.

– Tak! – potwierdzam gorączkowym szeptem. – Ty! Złoty!

Smok mruga złotymi ślepiami i zarzuca ogonem.

*To są chyba jakieś jaja.*

– Znikaj! Uciekaj! Leć! – przeganiam go, a potem przypominam sobie, że to pieprzony smok, zdolny rozszarpać mnie na kawałki, więc szybko opuszczam dłonie. Nie jest dobrze.

Drzewa szeleszczą od strony południa i na polanę wchodzi Jack, wymachując mieczem. Chwilę później otaczają go Oren i Tynan, obaj uzbrojeni.

– Świetnie. – Wzdycham, czując ucisk w klatce piersiowej. Teraz jest tragicznie.

Złoty smok gwałtownie obraca głowę w ich kierunku, a z jego gardła dobywa się ostrzegawczy warkot.

– Nie będzie bolało – obiecuje Jack. Jakby tym zapewnieniem chciał usprawiedliwić morderstwo.

– Spal ich – wołam szeptem. Mój niepokój rośnie wraz z każdym ich krokiem. Smok jednak nie wypuszcza ognistego pocisku i gdzieś w głębi duszy wiem, że

tego nie potrafi. Ma jedynie groźne zęby, ale poza tym w starciu z trzema wyszkolonymi wojownikami jest bezbronny.

Umrze tylko dlatego, że jest mniejszy i słabszy od innych smoków... tak jak ja. Czuję w gardle bolesny ścisk.

Smok się wycofuje, obnaża zęby, jego warkot przybiera na sile.

Dopada mnie to samo uczucie, co tuż po przejściu mostu – niezależnie od tego, co zrobię, istnieje spora szansa, że skończę martwa.

A jednak i tak się wtrączę, bo nie godzę się na takie okrucieństwo.

– Nie możecie tego zrobić! – Wychodzę szybko na polanę, gdzie trawa sięga mi do łydki, a Jack natychmiast przenosi uwagę na mnie. Czuję, że moja kostka pulsuje. Ból sunie po kręgosłupie, wprawia zęby w drgania, ale i tak przenoszę swój ciężar na ranną kostkę, by nie zobaczyli, że kuleję. Nie mogą wiedzieć, że doznałam kontuzji, bo zaatakują jeszcze szybciej.

Jeśli naskoczą na mnie oddzielnie, mam szansę spowolnić ich na tyle, by umożliwić smokowi ucieczkę, ale kiedy zrobią to razem...

*Nawet o tym nie myśl.*

– Och, patrzcie! – Jack szczyrzy się, celując we mnie mieczem. – Możemy pozbyć się dwóch słabeuszy za jednym razem! – Patrzy na swoich kolegów i wybucha śmiechem, a oni się zatrzymują.

Każdy krok sprawia, że kostka boli mnie bardziej niż przy poprzednim, ale udaje mi się dotrzeć na środek polany i stanąć między bandą Jacka a złotym smokiem.

– Długo na to czekaliśmy, Sorrengail. – Powoli rusza w moją stronę.

– Jeśli potrafisz latać, teraz jest odpowiedni moment – krzyczę ponad ramieniem do małego smoka, wyciągając dwa sztylety z pochew na żebrach.

Smok prycha. Bardzo pomocne.

– Nie możecie zabić smoka – próbuję przemówić im do rozumu, kręcąc głową. Strach napęła moje żyły adrenaliną.

– Oczywiście, że możemy. – Jack wzrusza ramionami, ale Oren wydaje się nieprzekonany, więc skupiam na nim spojrzenie, kiedy rozchodzą się na boki, tworząc idealną formację do ataku.

– Nie możesz – zwracam się bezpośrednio do Orena. – To wbrew wszystkiemu, w co wierzymy!

Oren się krzywi. Twarz Jacka pozostaje beznamiętna.

– Pozostawienie przy życiu czegoś tak słabego, co nawet nie potrafi walczyć... to jest dopiero wbrew naszym wierzeniom! – wydziera się Jack i wiem, że nie mówi w tym momencie o smoku.

– W takim razie najpierw będziesz musiał pokonać mnie. – Z sercem dudniącym w piersi unoszę sztylety, a jeden z nich łapię za czubek ostrza



i przygotowuję się, by cisnąć nim przez około dwadzieścia stóp oddzielających mnie od napastników.

– Nie widzę w tym problemu – odwarkuje Jack.

Wszyscy unoszą miecze, a ja oddycham głęboko i szykuję się do walki. To już nie są ćwiczenia na macie. Nie towarzyszą nam instruktorzy. Nie można się poddać. Nic nie powstrzyma ich przed zabiciem mnie... a raczej nas.

– Radzę przemyśleć waszą decyzję – odzywa się głos z drugiego końca polany. Jego głos.

Czuję mrowienie na skórze głowy, gdy wszyscy przenosimy na niego spojrzenie.

Xaden opiera się o drzewo z rękami skrzyżowanymi na piersi, za nim stoi Sgaeyl – jego przerażający granatowy sztyletogon z obnażonymi kłami, mrużąc niebezpiecznie złote ślepia.

*Przez sześć wieków udokumentowanej historii smoków i jeźdźców odnotowano setki przypadków gadów, które nie mogły dojść do siebie po stracie swojego człowieka. Dzieje się tak, kiedy więź jest wyjątkowo silna. W trzech znanych nam przypadkach skutkiem rozstania była nawet przedwczesna śmierć.*

*Navarra, niecenzurowana historia autorstwa pułkownika Lewisa Markhama*



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

**X**aden. Po raz pierwszy jego widok napawa mnie nadzieją. Nie dopuści do mojej śmierci. Może i mnie nienawidzi, ale jest dowódcą skrzydła. Do tego nie może tak po prostu patrzeć, jak zabijają smoka.

Niestety znam zasady, najpewniej lepiej niż ktokolwiek inny w tym kwadrancie.

On nie ma wyjścia. Żółć podchodzi mi do gardła, więc zadzieram głowę, żeby spłynęła. To, czego chce Xaden – co zawsze jest dość niejasne – nie ma tu żadnego znaczenia. Może co najwyżej obserwować, ale nie powinien interweniować.

Będę mieć widownię w trakcie śmierci. Znakomicie.

To by było na tyle, jeśli chodzi o nadzieję.

– A jeśli nie chcemy „przemyśleć naszej decyzji”? – kontruje Jack.

Xaden patrzy na mnie i mogłabym przysiąc, że nawet z daleka widzę mięsień drgający na jego zaciśniętej szczęce.

„Nadzieja jest podstępna i niebezpieczna. Przez nią zaczynasz skupiać się na nierealnych możliwościach zamiast na tym, co najbardziej prawdopodobne”. Słowa Xadena wracają do mnie z niepokojącą dosadnością. Przenoszę wzrok na trójkę „prawdopodobieństw” stojących przede mną.

– Nic nie możesz zrobić, prawda? Dowódczo? – wytyka Jack.

Wygląda na to, że on również zna zasady.

– To nie mną powinniście się martwić – odpowiada Xaden. Sgaeyl przekrzywia głowę, a w jej oczach płonie czysta nienawiść.

– Naprawdę zamierzasz to zrobić? – zwracam się do Tynana. – Zaatakujesz osobę ze swojej drużyny?

– Dzisiaj drużyny gównu znaczą – syczy, wykrzywając usta w złośliwym uśmiechu.

– Rozumiem, że nie zamierzasz odlecieć? – rzucam przez ramię i złoty smok znowu prycha w odpowiedzi. – Świetnie. To chociaż wspomóż mnie tymi szponami. Docenię to.

Smok parska dwukrotnie, więc zerkam na jego szpony.

A raczej powinnam powiedzieć... łapy.

– Ja pieprzę. Nie masz szponów?

Odwracam się twarzą do trójki mężczyzn w chwili, gdy Jack wydaje okrzyk bojowy i rzuca się na mnie sprintem. Nie waham się ani chwili. Ciskam ostrzem. Broń pokonuje gwałtownie zmniejszającą się między nami odległość i zatapia się w ramieniu, w którym Jack trzyma miecz. Chłopak upuszcza oręż i pada na kolana, wyjąc z bólu.

I dobrze.

Mimo to Oren i Tynan rzucają się na mnie w tym samym czasie i niemal mnie dopadają. Rzucam drugim sztyletem, który trafia Tynana w udo. Spowalnia go to, ale nie zatrzymuje.

Oren zamierza się na moją szyję, ale robię unik i szybko dobywam kolejnego ostrza, żeby chlasnąć go po żebrach, tak jak w trakcie ćwiczeń na macie. Kostka nie pozwoli mi go kopnąć ani nawet zadać porządnego ciosu, więc jestem zdana na swoją broń.

Chłopak szybko dochodzi do siebie i wymachuje mieczem, który tnie poziomo kamizelkę na moim brzuchu. Pewnie by mnie to zabiło, gdyby nie zbroja Miry. Na szczęście ostrze prześlizguje się przez łuski.

– Co jest? – Oren otwiera szeroko oczy.

– Rozwaliła mi ramię! – zawodzi Jack. Podnosi się z ziemi i rozprasza uwagę pozostałych. – Nie mogę nim ruszyć! – Zaciska rękę na stawie, a ja posyłam mu szeroki uśmiech.

– Posiadanie słabych stawów ma swoje plusy – odpowiadam, zaciskając w dłoni kolejny sztylet. – Dzięki temu doskonale wiem, gdzie uderzyć.

– Zabić ją! – rozkazuje Jack. Wciąż trzymając się za ramię, oddala się o kilka kroków, a potem odwraca i ucieka w przeciwnym kierunku, znikając między drzewami.

Pieprzony tchórz.

Tynan naciera na mnie z uniesionym mieczem. Okręcam się, ale palący ból na chwilę przysłania mi wzrok. Szybko odskakuję i zanurzam metal w jego boku. Zaraz potem wykonuję kolejny obrót, żeby wbić łokieć w podbródek atakującego mnie Orena.

– Ty pierdolona suko! – wrzeszczy Tynan, dociskając rękę do sączącej się rany.

– Co za oryginalne – wykorzystuję oszołomienie Orena i przecinam tkanę na jego biodrze – wyzwisko!

Ten ruch sporo mnie kosztuje, bo miecz Tynana rozcina mi rękę wzdłuż kości. Z mojego gardła wyrzywa się krzyk.

Dzięki zbroi miecz nie zatapia się w moich żebrach, ale wiem, że jutro będę mieć koszmarne siniaka. Odskakuję na bok, czując kapiącą z rany krew.

– Za tobą! – ostrzega Xaden.

Odwracam się i zauważam, że Oren szykuje się do odseparowania głowy od moich ramion, ale złoty smok kłapie zębiskami i chłopak robi unik ze strachem malującym się w jego oczach, jakby właśnie dotarło do niego, że ten maluch ma zęby.

Przesuwam się w bok i uderzam rękojeścią w podstawę jego czaszki.

Nieprzytomny Oren osuwa się na ziemię, ale nie mam czasu na to patrzeć, bo szybko odwracam się do Tynana, który już unosi zakrwawiony miecz.

– Nie możesz się wtrącać! – wypomina Xadenowi Tynan, ale nie ośmielam się oderwać wzroku od przeciwnika, żeby zobaczyć reakcję dowódcy skrzydła.

– Nie, ale mogę komentować – odpowiada Xaden.

Widać, że w tym starciu trzyma moją stronę, co jest dla mnie niezrozumiałe, bo jestem pewna, że wciąż zależy mu na mojej śmierci. Może jednak nie ochrania mnie, ale złotego smoka?

Odważam się zerknąć w ich stronę. Tak jak myślałam, Sgaeyl wygląda na wkurzoną. Kołysze głową niczym żmija – co jest jawnym sygnałem jej podenerwowania – złote oczy skupia na Tynanie, który okrąża mnie teraz tak, jakbyśmy znów znaleźli się na macie. Nie pozwolę mu jednak dopaść małego smoka.

– Rozplatałem ci rękę, Sorrengail – syczy Tynan. Jego twarz jest blada i spocona.

– Przywykłam do funkcjonowania w bólu. A ty, dupku? – Unoszę sztylet prawą ręką, by udowodnić, że jestem w stanie to zrobić pomimo krwi spływającej z mojego przedramienia i kapiącej z ostrego czubka broni. Wbijam wymowne spojrzenie w jego bok. – Dobrze wiem, gdzie cię zraniłam. Jeśli szybko nie dotrzesz do medyka, dostaniesz krwotoku wewnętrznego i umrzesz.

Rysy jego twarzy ściąga gniew i chłopak przygotowuje się do kolejnego natarcia.

Usiłuję rzucić w niego nożem, ale broń wyslizguje się z mojej zakrwawionej ręki i ląduje na trawie kilka stóp dalej z cichym łoskotem.

Teraz już wiem, że moja zuchwałość nie wystarczy, by mnie uratować.

Zostałam ranna w rękę, skręciłam kostkę, ale przynajmniej udało mi się przed śmiercią przepędzić Jacka Barlowe'a.

Jeśli to będzie moja ostatnia myśl, to nie jest tak źle.

Kiedy Tynan już wznosi miecz obiema rękami, przygotowując się do śmiertelnego ciosu, po prawej zauważam jakiś ruch. To Xaden. Chyba postanowił zignorować zasady i chce wkroczyć do akcji, żeby mnie ocalić.

Ledwie dopada mnie szok wywołany myślą, że Xaden miałby mnie uratować niezależnie od powodu, gdy nagle od tyłu atakuje mnie podmuch wiatru i popycha do przodu. Ląduję na rannej nodze i gorączkowo macham rękami, żeby utrzymać balans. Ból jest nie do zniesienia.

Tynan otwiera usta ze zdziwienia i cofa się, wysoko zadzierając głowę. Na nas obojga pada cień.

Dysząc ciężko, odważam się zerknąć w tył, żeby sprawdzić, dlaczego Tynan nagle zaczął się wycofywać.

Moje serce łomocze jeszcze bardziej.

Za mną, osłaniając poblížnionym czarnym skrzydłem złotego, stoi największa bestia, jaką w życiu widziałam – niezwiązany czarny smok, którego profesor Kaori pokazywał nam na zajęciach. Jest tak wysoki, że nie sięgam mu nawet do kostki.

Olbrzym pochyla gigantyczną głowę, obnaża zębiska, a w jego klatce piersiowej rezonuje warkot, od którego ziemia drży.

Gdy owiewa mnie jego gorący oddech, strach przeszywa każdą komórkę mojego ciała.

*Odsuń się, srebrnowłosa*, rozkazuje głębokim, ochryplym i bez wątpienia męskim głosem.

Mrugam powiekami. Chwila. Co? Czy on właśnie się do mnie odezwał?

*Tak. Ty. Rusz się*, powtarza tonem nieznoszącym sprzeciwu, więc kuśtykam na bok. Niemal potykam się o nieprzytomnego Orena, a Tynan rzuca się z krzykiem w stronę lasu.

Czarny smok mruży oczy i otwiera paszczę, żeby wypuścić strumień ognia, który trawi wszystko na swojej drodze... włącznie z Tynanem. Nawet ja odczuwam na policzku uderzenie gorąca.

Płomienie trzaskają na skraju pociemniałej ścieżki, a ja powoli odwracam się w stronę smoka, zastanawiając się, czy będę następna.

Przygląda mi się wielkimi złotymi ślepiami, ale stoję nieruchomo, zadzierając podbródek.

*Powinnaś dobić wroga leżącego u twoich stóp.*

Unoszę brwi wysoko. Nie poruszył paszczą. Przemówił do mnie, ale... jej nie utworzył. Cholera. To dlatego, że jest w mojej głowie.

– Nie mogę zabić nieprzytomnego człowieka. – Kręcę głową, ale nie jestem pewna czy to protest wobec jego sugestii, czy wyraz mojego zdziwienia.

*Gdyby dostał taką samą szansę, zabiłby cię.*

Zerkam na Orena, który wciąż leży nieprzytomny na trawie obok moich stóp. Nie mogę spierać się z tym trafnym wnioskiem.

– Cóż, to świadczy o jego charakterze. Nie o moim.

Smok mruga w odpowiedzi. Nie jestem pewna, czy to dobra reakcja.

Kątem oka dostrzegam niebieski błysk, potem świst powietrza, kiedy Xaden i Sgaeyl odlatują, zostawiając mnie tu samą z gigantycznym czarnym smokiem i małym złotym. Wygląda na to, że troska Xadena się skończyła.

Smok nadyma wielkie nozdrza.

*Jesteś ranna. Zatamaj krwawienie.*

Moja ręka.

– To nie takie proste, kiedy zostałam przecięta... – Znowu potrząsam głową. Czy ja naprawdę spieram się ze smokiem? To niewiarygodne. – Wiesz co? Dobry pomysł. – Odcinam fragment materiału z tego, co pozostało z mojego prawego rękawa i owijam ranę. Przytrzymuję prowizoryczną opaskę zębami, a drugą ręką zawiązuję supeł, żeby docisnąć ranę i zatamować krwawienie. – No i proszę, lepiej?

*Wystarczy. Smok przekrzywia łeb. Masz obwiązane również dłonie. Często krwawisz?*

– Staram się tego nie robić.

Smok prychnie w odpowiedzi.

*Chodźmy, Violet Sorrengail.*

Zadzierą głowę, a złoty smok wygląda spod jego skrzydła.

– Skąd znasz moje nazwisko? – Patrzę na niego oniemiała.

*Ach, niemal zapomniałem, jak gadatliwi są ludzie.* Wzdycha, a jego oddech wstrząsa koronami drzew. *Wejdz mi na grzbiet.*

O w mordę. On... mnie wybrał.

– Mam wejść ci na grzbiet? – powtarzam jak papuga. – Czy ty siebie widziałeś? Czy masz w ogóle pojęcie, jaki jesteś ogromny? – Potrzebowałabym drabiny, by się na niego wspiąć.

Spojrzenie, które mi rzuca, wyraża czyste rozdrażnienie.

*Nie da się przeżyć całego wieku, nie będąc świadomym własnych gabarytów.*

Złoty wyłania się z ukrycia pod ogromnym skrzydłem. W porównaniu z wielką bestią jest maleńki i najwyraźniej zupełnie bezbronny, jeśli nie liczyć tych ostrych kłów. Jest jak mały szczeniaczek.

– Nie mogę go tu tak po prostu zostawić – spieram się. – A co, jeśli Oren oprzytomnieje albo wróci Jack?

Czarny smok prycha głośno.

Złoty pochyła się, ugina nogi i wzbija się w powietrze, a jego złote skrzydła odbijają promienie słoneczne, kiedy przelatuje nad koronami drzew.

A więc potrafi latać. Miło byłoby to wiedzieć dwadzieścia minut temu.

*Wskakuj*, warczy czarny, aż trzęsie się ziemia i drzewa na skraju polany.

– Wcale mnie nie chcesz – oponuję. – Jestem...

*Nie zamierzam się powtarzać.*

Słuszna uwaga.

Strach zaciska się na moim gardle jak pięść, ale kuśtykam w stronę jego nogi. Nie można tego porównać do wspinaczki po drzewie. Nie mam czego się złapać, nie ma łatwiejszej drogi, jedynie twarde jak kamień łuski, które nie zapewniają podpory dla nóg. Boląca kostka i ramię wcale nie pomagają. Cholera, jak mam się tam dostać? Wstrzymuję oddech i unoszę lewą rękę, kładąc ją na przedniej łapie.

Łuski są większe i grubsze niż moja ręka, a do tego, o dziwo, ciepłe w dotyku. Układają się na sobie w zawily wzór, przez co nie mam się czego uchwycić.

*Jesteś jeźdźczynią czy nie?*

– W tym momencie to raczej dyskusyjna kwestia. – Moje serce wali jak młotem. Zamierza mnie usmażyć za to, że jestem zbyt wolna?

W jego klatce piersiowej pobrzmiwa niski pomruk frustracji, a potem smok wprawia mnie w osłupienie, kiedy wyciąga się tak, by z przedniej nogi uczynić rampę. Smoki nigdy się do nikogo nie dostosowują, a mimo to on właśnie się pochylił, żeby ułatwić mi wejście. Droga jest stroma, ale do przejścia.

Bez wahania wdrapuję się po jego łapie na czworakach, żeby utrzymać równowagę i odciążyć nogę, ale ból w mojej ręce staje się nie do wytrzymania, kiedy docieram do jego barku i wspinam się na grzbiet, omijając kolce, które pokrywają jego kark jak grzywa.

Jasna cholera. Wspięłam się na plecy smoka.

*Siadaj.*

Zauważam siedzisko – pokryte gładkimi łuskami wgłębienie między jego skrzydłami – i zajmuję miejsce, zginając kolana tak, jak uczył nas profesor Kaori. Przytrzymuję się grubej krawędzi łusek w miejscu, gdzie szyja spotyka się z ramionami, które nazywamy łękiem. Każdy element tego smoka jest większy niż jakikolwiek model, na którym ćwiczyliśmy. Moje ciało nie jest

stworzone do tego, by siedzieć na smoku, a tym bardziej na tak ogromnym. Za nic nie uda mi się utrzymać na grzbiecie. Jestem pewna, że będzie to pierwsza i ostatnia przejażdżka w moim życiu.

*Mam na imię Tairneanach, syn Murtcuideama i Fiaclanfuil, potomek sławetnego rodu Dubhmadinnów. Smok prostuje się, a ja mocniej zaciskam na nim uda. Mój wzrok znajduje się teraz na wysokości wierzchołków drzew. Ale jestem pewien, że gdy dotrzemy na lądowisko, nie będziesz już tego pamiętać, możesz zatem nazywać mnie Tairnem, póki nie przypomnę ci pełnego imienia.*

Wypuszczam krótki oddech, ale nie mam czasu zastanowić się nad jego imieniem – albo historią – bo delikatnie ugina nogi i wzbija się w powietrze.

– Ja pierniczę! – Ziemia oddala się, kiedy Tairn wymachuje potężnymi skrzydłami.

Z całych sił przytrzymuję się rękami, ale wiatr i kąt, pod jakim lecimy, to dla mnie zbyt wiele i moje palce zaczynają się ześlizgiwać.

– Kurwa! – Przesuwam się między jego skrzydłami i w zastraszającym tempie zbliżam się do ostrych łusek wieńczących jego ogon zakończony kropaczem. – Nie, nie... nie!

Smok odbija w lewo i opuszcza mnie wszelka nadzieja na to, że uda mi się utrzymać.

Zaczynam spadać.



*To, że przetrwałaś Odsiew, nie oznacza jeszcze, że przeżyjesz lot na lądowisko.  
Zostałaś wybrana, ale to nie jedyny test. Jeśli nie potrafisz utrzymać się na  
grzbiecie smoka, to wyrznisz w ziemię.*

Strona pięćdziesiąta, *Dziennik Brennana*



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

**T**rwoga dusi mnie w gardle i przyprawia moje serce o szybsze bicie. Powietrze śwista mi w uszach, kiedy szybuję w stronę górzystego terenu, a słońce odbija się w łuskach złotego smoka lecącego daleko przede mną.

*Zaraz umrę. To jedyna możliwość.*

Nagle czuję gwałtowne szarpnięcie i ucisk wokół moich żeber oraz ramion. Przeszuję spadać.

*Robisz z nas pośmiewisko. Przestań.*

Znajduję się między szponami Tairna. On mnie... złapał, zamiast uznać, że nie jestem go warta i pozwolić mi rozbić się o skały.

Zerka na mnie i mogłabym przysiąc, że łuk nad jego okiem się unosi.

*Zwykły lot nie wymaga akrobacji.*

– W tobie nie ma absolutnie nic zwykłego! – Owijam ręce wokół jego palca i zauważam, że ostre szpony zamykają się wokół mnie delikatnie. Jest potężny, ale również ostrożny.

„To jeden z najniebezpieczniejszych smoków w Navarze”, przypominam sobie zajęcia profesora Kaoriego. Co jeszcze powiedział? Że to jedyny wolny czarny smok, który nie jest skłonny do wytworzenia więzi. Nikt nie widział go od pięciu lat. Jego jeździec zmarł w trakcie tyrreńskiej rebelii.

Tairn podrzuca mnie wysoko w powietrze. Czuję, że żołądek mi się skręca, kiedy zaczynam spadać, ale smok wzbija się i pozwala mi opaść na jego grzbiet, w miejsce między skrzydłami.

*A teraz siedź i trzymaj się mocno, bo nikt nie uwierzy, że cię wybrałem.*

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że mnie wybrałeś! – Już chcę mu powiedzieć, że siedzenie na nim nie jest takie łatwe, jak mu się wydaje, ale smok wyrównuje lot, a jego skrzydła łagodnie przecinają powietrze. Czołgam się w stronę wgłębienia cal po calu, aż w końcu siadam i przytrzymuję się łąku z taką siłą, że bolą mnie palce.

*Będziesz musiała wzmocnić nogi. Nie trenowałaś?*

Oburzona prostuję plecy.

– Oczywiście, że trenowałam!

*Nie ma potrzeby krzyczeć. Doskonale cię słyszę. Właściwie wszyscy u podnóża góry cię słyszeli.*

Czy każdy smok jest takim mrukiem? Czy tylko mój?

Wytrzeszczam oczy. Mam... smoka. I to nie byle jakiego smoka – czarnego Tairneanacha.

*Ściśnij mnie mocniej kolanami. Ledwie cię tam czuję.*

– Próbuję. – Napieram na niego nogami tak mocno, że drżą mi mięśnie ud. Smok odbija w lewo, tym razem łagodniej niż ostatnio, i zmienia kurs szerokim łukiem, żeby zabrać nas z powrotem do Basgiathu. – Po prostu... nie jestem tak silna jak inni jeźdźcy.

*Doskonale wiem, kim i czym jesteś, Violet Sorrengail.*

Nogi mi się trzęsą, ale zaraz potem mięśnie zastygają w miejscu, jakby owinęła się wokół nich sztywna opaska, jednak nie czuję bólu. Oglądam się przez ramię i widzę jego kropaczowy ogon, który wygląda tak, jakby znajdował się wiele mil stąd.

To jego sprawka. To on utrzymuje mnie w miejscu.

Poczucie winy drażni mnie od środka. Powinnam była bardziej skupiać się na treningu nóg. Powinnam była poświęcić więcej czasu na przygotowanie się do tego. Smok nie może poświęcać energii, żeby utrzymać swoją jeźdźczynię na grzbiecie.

– Przepraszam. Nie sądziłam, że zajdę tak daleko.

W mojej głowie rezonuje głębokie westchnięcie.

*Ja też nie sądziłem, że się tu znajdzie, więc coś nas łączy.*

Siadam prościej i wodzę wzrokiem po krajobrazie. Podmuchy wiatru wyciskają łzy z moich oczu. Nie dziwię się, że większość jeźdźców nosi gogle. W powietrzu unosi się przynajmniej tuzin smoków, które testują swoich jeźdźców w trakcie próby ostrych skrętów i nagłego nurkowania.

Moje serce kurczy się na widok jeźdźcy, który spada z grzbietu czerwonego mieczogona, ale smok, w przeciwieństwie do Tairna, nie kwapi się do złapania pierwszoroczniaka. Odwracam głowę, kiedy ciało ląduje na ziemi.

To nie może być nikt z moich bliskich. A przynajmniej tak sobie wmawiam. Rhiannon, Ridoc, Trina, Sawyer... Oni na pewno znaleźli już swojego smoka i czekają bezpiecznie na lądowisku.

*Musimy zrobić widowisko.*

– Cudownie. – W ogóle nie podoba mi się ten pomysł.

*Nie upadniesz. Nie pozwolę na to.* Wyczuwam pulsowanie energii i niewidzialne opaski na moich nogach rozciągają się aż na ręce. *Zaufaj mi.*

To nie jest prośba, tylko rozkaz.

– Miejmy to już z głowy. – Nie mogę ruszyć nogami, palcami ani dłońmi, więc pozostaje mi tylko siedzieć i mieć nadzieję, że spodoba mi się to, co dla mnie szykuje.

Jego skrzydła młóca w powietrzu i wznosimy się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Dosłownie tężeję ze strachu. Smok zatrzymuje się na wysokości pokrytego śniegiem wierzchołka góry, a po chwili pochyła się i gwałtownie pikujemy.

To najbardziej przerażająca, a zarazem ekscytująca chwila mojego życia.

Szybko jednak zmieniam zdanie, kiedy smok przechodzi do wirowania w powietrzu.

Moim ciałem szasta na boki z każdym raptownym skrętem, a potem obracamy się tak bardzo, że ziemia na moment staje się niebem. Tairn powtarza ten manewr tak długo, aż na mojej twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

Latania na smoku nie można porównać do niczego innego.

*Chyba czas kończyć przedstawienie.* Wyrównuje lot i obraca się, zmierzając w stronę doliny, która prowadzi do lądowiska. Słońce z wolna zachodzi za górami, ale daje wystarczająco dużo światła, by dostrzec złotego smoka unoszącego się przed nami, który jakby czekał na nas. Może nie wybrał sobie jeźdźca, ale przeżył, więc będzie miał szansę spróbować za rok i tylko to się liczy.

A może doszedł do wniosku, że ludzie jednak nie są wcale tacy dobrzy.

– Dlaczego mnie wybrałeś? – Muszę to wiedzieć, bo gdy tylko wylądujemy, zaczną się pytania.

*Bo ją uratowałaś.* Tairn kiwa głową na złotego smoka, który właśnie podąża za nami. Zwalniamy.

– Ale... – Potrząsam głową. – Smoki cenią w jeźdźcach siłę, przebiegłość i... brutalność.

*Nie krępuj się, chętnie postucham o tym, co według ciebie powinienem cenić.* Jego głos ocieka sarkazmem. Właśnie przelatujemy nad Rękawicą i zmierzamy wąskim przejściem prowadzącym do lądowiska.

Na widok gromady smoków wstrzymuję oddech. Na kamienistych zboczach, tuż za trybunami, które wzniesiono w ciągu nocy, zebrały się setki bestii. Widownia. Na dole, na tej samej polanie, którą przemierzałam zaledwie dwa dni temu, stoją dwa rzędy smoków, zwrócone do siebie.

*Smoki zostały podzielone na te, które dokonały wyboru w poprzednich latach oraz te, które zdecydowały się na to dzisiaj, informuje mnie Tairn. Jesteśmy siedemdziesiątą pierwszą parą, która zaraz wyląduje na polanie.*

Doskonale wiem, że zastanę tam mamę – na podium, tuż przy trybunach – i może rzuci mi coś więcej niż tylko przelotne spojrzenie, ale jej uwaga na pewno będzie skierowana głównie na siedemdziesiąt – lub więcej – nowych par.

Kiedy nadlatujemy, smoki wydają zatrważający triumfalny ryk, każda głowa jest zwrócona w naszą stronę i wiem, że to ze względu na Tairna. Ponadto smoki rozsunęły się, żeby zrobić dla niego miejsce. Niewidzialne więzy na moich ramionach i nogach się poluzowują, a czarne stworzenie zatrzymuje się w powietrzu tuż nad ziemią na kilka ruchów skrzydeł. Żłota smoczyca gorączkowo próbuje za nami nadążyć.

Co za ironia. Tairn jest najbardziej cenionym smokiem w Kotle, a ja najmniej szanowaną jeźdźczynią w całym kwadrancie.

*Jesteś najmądrzejsza na swoim roku. I najsprytniejsza.*

Przełykam komplement, lekceważąc go. Zostałam wyszkolona na skrybkę, nie jeźdźczynię.

*Zaciekle bronisz nawet najmniejszych. Siła twojej odwagi jest ważniejsza niż siła fizyczna. Skoro już musisz to wiedzieć, zanim wylądujemy.*

Emocje ściskają mi gardło, tworząc gulę, której nie mogę przełknąć.

Cholera. Nie wypowiedziałam tych słów na głos. Pomyślałam je.

On potrafi czytać mi w myślach.

*Mówiłem, że jesteś najmądrzejsza na roku.*

To mogę się pożegnać z prywatnością.

*Już nigdy nie będziesz sama.*

*Brzmi to raczej jak groźba niż pocieszenie, myślę.* Oczywiście wiedziałam, że smoki wytwarzają psychiczną więź ze swoimi jeźdźcami, ale nieco przeraża mnie zakres tej umiejętności.

Tairn prycha w odpowiedzi.

Żłota smoczyca w końcu nas dogania, łopocząc skrzydełkami dwukrotnie szybciej niż Tairn. Gdy lądujemy na środku polany, nieco mną wstrząsa, ale siedzę prosto i nawet puszczam łąk.

*Widzisz, kiedy się nie ruszasz, jestem w stanie wysiedzieć na twoim grzbiecie.*

Tairn składa skrzydła i obraca głowę z taką miną, jakby chciał przewrócić oczami.

*Powinnaś ze mnie zejść, zanim podam swój wybór w wątpliwość, a potem przekaż...*

– Nie wiem, co mam robić. – Wypuszczam drżący oddech. – Po prostu nie myślałam, że wytrwam na tyle długo, by to zrobić. – Oceniam oba sposoby na zejście i przesuвам się na prawo, żeby móc odciążać prawą kostkę tak długo, jak się da. Na lądowisku nie zezwala się na obecność medyków, ale mam nadzieję, że ktoś pomyślał o spakowaniu apteczki, bo będą mi potrzebne szwy i usztywnienie.

Ześlizguję się po łapie Tairna na jego łuskach. Już jestem gotowa narzekać na dystans, który będę musiała pokonać skokiem, tym samym uszkadzając sobie bardziej kostkę, ale Tairn porusza się nieznacznie i odchyła na bok przednią kończynę.

Na skałach rozlega się dźwięk przypominający mamrotanie... o ile smoki potrafią mamrotać.

*Potrafią i właśnie to robią. Zignoruj je.* Po raz kolejny jego ton budzi we mnie poczucie, że nie ma miejsca na dyskusję.

– Dzięki – odpowiadam szeptem. Ześlizguję się po nim jak po niebezpiecznej konstrukcji na placu zabaw i przy lądowaniu przenoszę cały ciężar ciała na lewą nogę.

*Można i tak.*

Nie jestem w stanie powstrzymać uśmiechu na mojej twarzy ani pieczenia pod powiekami na widok innych pierwszaków stojących obok swoich smoków. Żyję i już nie jestem kadetką. Jestem jeźdźczynią.

Pierwszy krok sprawia mi niemiłosierny ból, ale udaje mi się odwrócić w stronę złotej smoczy, która stoi obok Tairna i przygląda mi się jasnymi oczami, machając pierzastym ogonem.

– Cieszę się, że nic ci się nie stało. – Mało powiedziane. Jestem wdzięczna, czuję ulgę i zachwyty. – Ale może następnym razem postaraj się odlecieć, kiedy ktoś zasugeruje, że masz się ratować, co?

Smoczyca mruga powiekami.

*Może ratowałam cię.* Jej głos w mojej głowie jest wyższy, słodszy niż czarnego smoka.

Otwieram usta ze zdziwienia.

– Czy nikt ci nie powiedział, że nie powinnaś odzywać się do ludzi, z którymi nie jesteś związana? Nie chcę, żebyś miała kłopoty, Złotko – szepczę. – Z tego, co słyszałam, smoki traktują tę zasadę bardzo poważnie.

W odpowiedzi jedynie składa skrzydła i przekrzywia głowę pod niewiarygodnym kątem, na którego widok chce mi się śmiać.

– Ja pierdzielę! – wykrzykuje jeździec czerwonego smoka stojący po prawej. Odwracam się w jego stronę. To student pierwszego roku, z Sekcji Szpona w Czwartym Skrzydle, ale nie pamiętam jego imienia. – Czy to... – Spogląda rozwartymi ze strachu oczami na Tairna.

– Tak – odpowiadam, a mój uśmiech jeszcze się poszerza. – To on.

Czuję pulsowanie w kostce. Boli mnie tak bardzo, jakby zaraz miała mi odpaść, mimo to kuśtykam przez polanę w stronę niewielkiej formacji znajdującej się bezpośrednio na wprost. Z tyłu od czasu do czasu wyczuwam podmuchy wiatru po przylocie smoków, które odstawiają swoich jeźdźców, aby podali ich imiona, jednak z każdym krokiem mam wrażenie, że powiew słabnie.

Zapada zmierzch, rozświetlany skupiskiem magicznych świateł znajdujących się przy wejściu i trybunach. Na samym środku, tuż nad rudowłosą ze zwojem, którą widziałam po zejściu z mostu, siedzi moja matka ubrana w mundur ozdobiony wszystkimi odznaczeniami i medalami, żeby nikt nie zapomniał, kim jest. Mimo że obok zgromadziło się więcej generałów reprezentujących swoje skrzydła, jest wśród nich tylko jeden wyżej odznaczony niż Lilith Sorrengail.

Melgren, najwyższy dowódca wszystkich navarriańskich wojsk, wbija swoje paciorkowate oczy w Tairna, a potem przenosi wzrok na mnie. Nieomal się wzdrygam. W tych oczach dostrzegam jedynie zimną kalkulację.

Mama wstaje, kiedy podchodzę do stojącej przy podium rudej ze zwojem, która zapisuje każdą nową parę, a dopiero potem wzywa kolejną, żeby zachować w sekrecie pełne imiona smoków.

Profesor Kaori zeskakuje z wysokiej na sześć stóp platformy i patrzy z otwartymi ustami na Tairna. Przygląda się wszystkim szczegółom, żeby móc je zapamiętać.

– Czy to naprawdę... – zaczyna komendant Panchek i wychyla się na podwyższeniu wraz z kilkunastoma innymi oficerami wysokiej rangi. Na twarzach wszystkich maluje się zdziwienie.

– Nie mów tego – syczy mama, skupiając wzrok na czarnym smoku, nie na mnie. – Najpierw ona.

Mówi tak, ponieważ tylko jeździec i zwojowy mogą poznać pełne imię smoka, a matka nie jest pewna, czy naprawdę mnie wybrał. Właśnie zaakcentowała swoje nieprzekonanie. Jakbym była w stanie wymusić więź na Tairnie. Krew się we mnie gotuje, co z kolei przyćmiewa ból całego ciała, ale idę naprzód. W kolejce przede mną stoi już tylko jeden jeździec.

Mama zmusiła mnie do wstąpienia do Kwadrantu Jeźdźców. Nie przejmowała się tym, czy przeżyję spacer po moście. W tym momencie obchodzi ją tylko to, czy moje wady zszargają jej dobre imię albo to, jak moja więź ze smokiem wpłynie na jej plany.

A teraz gapi się na Tairna i nawet nie zawraca sobie głowy sprawdzeniem, czy jestem cała.

Niech się pieprzy.

Mimo że się tego spodziewałam, jestem rozczarowana.

Jeździec przede mną kończy i odchodzi, a zwojowa unosi głowę i patrzy szeroko otwartymi oczami na smoka, po czym z jeszcze większym szokiem przenosi wzrok na mnie i przywołuje mnie do siebie.

– Violet Sorrengail – zaczyna, zapisując nazwisko w Księdze Jeźdźców. – Dobrze widzieć, że ci się udało. – Posyła mi przelotny, niepewny uśmiech. – Aby dopełnić formalności, proszę o przekazanie imienia smoka, który cię wybrał.

Zadzieram głowę.

– Tairneanach.

*Mogłabyś popracować nieco nad wymową*, odzywa się Tairn w mojej głowie.

*Hej, przynajmniej je zapamiętałam*, odpowiadam mu w myślach i zastanawiam się, czy w ogóle słyszy mnie z takiej odległości.

*Przynajmniej nie pozwoliłem ci spaść i rozbić się o ziemię*. Zdaje się znudzony, ale bez wątpienia mnie słyszał.

Kobieta uśmiecha się szeroko i kręci głową, zapisując jego imię.

– Nie mogę uwierzyć, że się związał. Violet, to żywa legenda.

Otwieram usta, żeby się z nią zgodzić...

*Andarnaurram*. W moich myślach pojawia się słodki, wysoki głos złotej smoczycy. *W skrócie Andarna*.

Czuję, że krew odpływa z mojej twarzy i robi mi się słabo. Odwracam się na zdrowej kostce i patrzę na złote stworzenie – Andarnę – które teraz stoi między przednimi nogami Tairna.

– Słucham?

– Violet, wszystko w porządku? – pyta rudowłosa, a zebrani wokół nas pochylają się w naszą stronę.

*Powiedz jej*, upiera się złota.

*Tairn, co ja mam teraz...*

*Przełącz zwojowej jej imię*, powtarza Tairn.

– Violet? – powtarza ruda. – Potrzebujesz pomocy medyka?

Odwracam się do kobiety i odchrząkuję.

– Oraz Andarnaurram – dodaję szeptem.

Wytrzeszcza oczy.

– Oba smoki? – piszczy.

Przytakuję.

I wtedy rozpętuje się piekło.

*Mimo że uważam siebie za eksperta w dziedzinie ras smoków, wciąż wiemy niezwykle mało na temat tego, jakie obowiązują wśród nich zasady. Pomędzy najsilniejszymi istnieje wyraźna hierarchia, a największą cześć oddaje się starszym, jednak nie udało mi się odkryć, jak powstaje ich system prawny albo na jakiej podstawie smok decyduje wiązać się tylko z jednym jeźdźcem, zamiast mieć większe szanse z dwoma.*

*Przewodnik po rasach smoków autorstwa pułkownika Kaoriego*



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

**W**ykluczone! – odzywa się któraś generała na tyle głośno, że słyszę ją z niewielkiego punktu medycznego dla rannych jeźdźców, który wzniesiono przy trybunach. Składa się na niego jedynie rząd kilkunastu stołów i trochę przyborów, które mają postawić nas na nogi, dopóki nie dotrzemy do Kwadrantu Medyków, ale przynajmniej ból po lekach staje się bardziej znośny.

Dwa smoki. Mam... aż dwa smoki.

Generałowie krzyczą na siebie od pół godziny. W tym czasie zdążyło się już ochłodzić, a instruktor, którego nigdy nie poznałam, pozszywał mi rękę.

Na szczęście miecz Tynana prześlizgnął się po mięśniach, ale ich nie przeciął.

Na nieszczęście Jack siedzi niedaleko i wykładowcy właśnie oglądają mu ramię. Zszedł z pomarańczowego skorpionogona dumnym krokiem, żeby przekazać informację o swojej więzi dziewczynie ze zwojem, która dalej wykonywała swoją pracę, mimo że generałowie nieustannie spierali się na podium za nią.

Jack nie przestaje gapić się na Tairna, który stoi na drugim końcu polany.

– I jak? – pyta cicho profesor Kaori, zaciskając pasy wokół mojej skręconej kostki. Wiem, że ma ochotę zadać milion innych pytań, które pchają mu się na język, ale zachowuje je dla siebie.



– Piekielnie boli. – Mam tak spuchniętą stopę, że muszę maksymalnie poluzować sznurowadła, by włożyć but, ale przynajmniej nie byłam zmuszona do tego, by wczołgać się na lądowisko jak dziewczyna z Drugiego Skrzydła, która złamała nogę przy schodzeniu ze smoka. Leży siedem stolików dalej, a grupa instruktorów próbuje ją opatrzyć.

– Od teraz przez następne dwa miesiące będziesz musiała skupić się na wzmacnianiu więzi i lataniu, aż nie będziesz miała problemu ze wspięciem się na grzbiet lub zejściem z niego. – Kiwa głową, patrząc na moją skrzyżowaną kostkę. – Ale z tego, co widziałem, to cię nie dotyczy. Noga powinna zagoić się przed następną rundą wyzwań. – Między jego brwiami pojawiają się dwie głębokie zmarszczki. – Mogę również wezwać Nolona...

– Nie. – Kręcę głową. – Sama dojdę do siebie.

– Jesteś tego pewna? – Widać, że nie podziela mojego zdania.

– Wszyscy w dolinie patrzą teraz na mnie i mojego smoka... a raczej smoki – poprawiam się. – Nie mogę wyjść na słabą.

Niechętnie zgadza się ze mną.

– Czy wiadomo już, kto z mojej drużyny przetrwał? – pytam ze ściśniętym gardłem. Proszę, oby Rhiannon przeżyła. I Trina. I Ridoc. I Sawyer. Wszyscy.

– Nie widziałem Triny ani Tynana – odpowiada powoli profesor, jakby próbował złagodzić cios. Nie udaje mu się.

– Tynan nie wróci – odpowiadam szeptem, dręczona poczuciem winy.

*Nie ty go zabiłaś, więc nie przypisuj sobie zasług, warczy w mojej głowie Tairn.*

– Rozumiem – mruczy profesor.

– Jak to będę potrzebował operacji? Porąbało was? – krzyczy Jack.

– Wygląda na to, że broń przerwała dwa więzadła, ale będziemy musieli zabrać cię do medyków, żeby się upewnić – wyjaśnia instruktor cierpliwie, zakładając Jackowi temblak.

W magicznym świetle dostrzegam czerwieniejące od furii policzki chłopaka. Zrywa się ze stołu i rzuca w moją stronę.

– Ty!

– Co znowu? – Zsuwam się z blatu i trzymam ręce luźno po bokach, na wysokości sztyletów ukrytych w pochwach na udach.

Profesor Kaori przeskakuje między nami wzrokiem.

– Ty? – upewnia się.

– Ja – odpowiadam, nie odrywając spojrzenia od Jacka.

Kaori staje między nami, zatrzymując Jacka ręką.

– Na twoim miejscu bym się nie zbliżał.

– Chowasz się za instruktorami, Sorrengail? – Jack zaciska dłoń zdrowej ręki.

– Nie ukrywałam się wtedy i nie ukrywam się teraz. – Zadzieram butnie głowę. – To nie ja uciekłam.

– Ona nie musi się za mną ukrywać, bo jest związana z najpotężniejszym smokiem na waszym roku – ostrzega profesor, a Jack mruży oczy, patrząc na mnie. – Twój pomarańczowy to dobry wybór, Barlowe. Ma na imię Baide, prawda? Miała już czterech innych jeźdźców.

Jack kiwa głową.

Profesor Kaori przenosi wzrok na rząd smoków.

– Baide jest agresywna, ale sądząc po spojrzeniu, jakie rzuca ci Tairn, czarny smok bez problemu mógłby cię spopielić, jeśli zrobisz krok w stronę jego jeźdźczyny.

Oczy Jacka rozwierają się ze zdziwienia.

– Ona?

– Ja. – Pulsowanie w mojej kostce jest już do wytrzymania, nawet kiedy stoję.

Chłopak kręci głową, a przez jego wzrok przemyka wyraz szoku, potem zazdrości, a na końcu strachu. Odwraca się w stronę profesora.

– Nie wiem, co panu powiedziała o tym, co się tam wydarzyło...

– Nic. – Instruktor krzyżuje ramiona na klatce piersiowej. – A powinienem coś wiedzieć?

Twarz Jacka w magicznym świetle robi się blada jak płótno. Obok nas kuśtyka kolejny ranny pierwszak; krew leje się z jego uda i torsu.

– Wiedzą ci, którzy powinni. – Patrzę mu odważnie w oczy.

– Wygląda na to, że na dzisiaj już skończyliśmy – zauważa Kaori, kiedy nadlatują kolejne smoki. W ciemności widać jedynie zarys ich sylwetek. – Wrócili starsi jeźdźcy. Powinniście dołączyć do swoich smoków.

Jack prychnie i odchodzi.

Zerkam na generałów, wciąż są pogrążeni w rozmowie na podeście.

– Profesorze, czy wcześniej ktokolwiek był związany z dwoma smokami? – Jeśli ktoś miałby o tym wiedzieć, to tylko wykładowca ras smoków.

Odwraca się wraz ze mną w stronę spierających się dowódców.

– Ty byłabyś pierwsza. Nie rozumiem jednak, dlaczego się o to kłóć. Decyzja i tak nie zależy od nich.

– Nie? – Uderza we mnie podmuch wiatru, kiedy kilkanaście smoków ląduje naprzeciwko pierwszaków, oświetlanych rzędem wiszących między nimi magicznych świateł.

– To, kogo wybierają smoki, nie jest zależne od ludzi – zapewnia mnie Kaori.

– Lubimy mieć poczucie, że kontrolujemy sytuację. – Coś mi mówi, że czekali

na powrót reszty, zanim dojdzie do spotkania.

– Dowódcy? – Ściągam brwi.

Kaori kręci głową.

– Smoki.

Smoki się spotkają?

– Dziękuję za zajęcie się moją kostką. Lepiej już tam pójde. – Posyłam mu blade uśmiech i przemierzam słabo oświetloną polanę, żeby dotrzeć do Tairna i Andarny. Kiedy zatrzymuję się między moimi smokami, czuję na sobie spojrzenia wszystkich obecnych w dolinie.

– Zrobiło się przez was zamieszanie, wiecie? – Zerkam na Andarnę, potem na Tairna, a następnie obracam się twarzą do polany, tak jak inni pierwszorocznicy.

– Nie pozwolą nam na to.

Cholera, a co, jeśli każą mi wybrać?

To dopiero przerażająca myśl.

*Decydujący głos ma Empireum, odpowiada Tairn, ale w jego głosie wyczuwam nutę napięcia. Nie opuszczaj polany. To trochę potrwa.*

*Co może...* pytanie zamiera mi w gardle, gdy w wejściu na polanę staje największy smok, jakiego w życiu widziałam, większy nawet od Tairna. Smoki stojące po bokach polany dołączają do niego, gdy zmierza na drugi koniec doliny.

– Czy to...

*Codagh, odpowiada Tairn.*

Smok generała Melgrena.

Kiedy bestia się zbliża, w jego pobliznionych skrzydłach zauważam dziury. Jego złoty wzrok jest skupiony na Tairnie w taki sposób, że chce mi się wymiotować. Codagh warczy gardłowo, przenosząc na mnie złowrogie spojrzenie.

Tairn również wydaje pomruk i wychodzi naprzód, więc znajduję się teraz między jego masywnymi szponami.

Nie mam wątpliwości co do tego, że jestem przedmiotem ich powarkiwań.

*Tak! Mówią o tobie!*, potwierdza Andarna i dołącza do pochodu smoków.

*Do naszego powrotu trzymaj się blisko dowódcy skrzydła, rozkazuje Tairn.*

Pewnie chodziło mu o dowódcę drużyny.

*Nie przestyszałaś się.*

Albo i nie.

Rozglądam się i zauważam Xadena stojącego po drugiej stronie polany. Przygląda się Tairnowi z ramionami skrzyżowanymi na piersi i szeroko rozstawionymi nogami.

Jeźdźcy wydają się dziwnie spokojni, kiedy smoki opuszczają łąkę, po kolei lecąc w stronę ujścia doliny. Potem lądują w połowie najbardziej wysuniętej na południe góry. W blasku księżyca ledwie widzę ich zarys.

Gdy w powietrzu wznoszą się ostatnie smoki, wybucha chaos. Pierwszorocznicy zalewają środek polany, gdzie akurat stoję i nawołuję swoich przyjaciół. Rozglądam się po tłumie, licząc na to, że zauważę...

– Rhi! – krzyczę i kuśtykam w jej stronę.

– Violet! – Zamyka mnie w ciasnym uścisku, ale szybko się odsuwa, kiedy syczę z bólu. – Co się stało?

– Miecz Tynana. – Ledwie udaje mi się dokończyć, bo zaraz potem Ridoc podnosi mnie i okręca dookoła.

– Patrzcie, kto dorwał największą bestię!

– Odstaw ją! – rozkazuje Rhiannon. – Ona krwawi!

– Kurde, przepraszam – rzuca pospiesznie Ridoc i stawia mnie szybko na ziemi.

– Nic mi nie jest. – Na bandażu zauważam świeżą krew, ale chyba nie rozerwałam szwów. A poza tym środki przeciwbólowe potrafią zdziałać cuda. – Nic wam nie jest? Z kim się związaliście?

– Z zielonym sztyletogonem! – szczerzy się Rhiannon. – Feirge. I to było takie... łatwe. – Wzdycha. – Po prostu zobaczyłam ją i już wiedziałam.

– Aotrom – chwali się Ridoc. – Brązowy mieczogon.

– Sliseag! – Sawyer obejmuje od tyłu Rhiannon i Ridoca za szyję. – Czerwony mieczogon!

Wspólnie mu gratulujemy, a Sawyer otacza mnie ramieniem. Jego sukces cieszy mnie najbardziej, bo tyle musiał przejść, żeby się tu znaleźć.

– A Trina? – pytam, kiedy mnie puszcza.

Wszyscy kolejno kręcą głową, patrząc na siebie w poszukiwaniu odpowiedzi. Czuję w sercu niespodziewany smutek i próbuję znaleźć jakieś inne wytłumaczenie.

– Ale chyba... może być tak, że po prostu nie znalazła swojego smoka, prawda?

Sawyer kręci głową, kuląc ramiona.

– Widziałem, jak spada z grzbietu pomarańczowego maczugona.

To okropne.

– Tynan? – pyta Ridoc, przesuwając po nas wzrokiem.

– Tairn go zabił – przyznaję cicho. – Na jego obronę muszę powiedzieć, że Tynan zranił mnie pierwszy. – Wskazuję na obandażowane ramię. – I próbował...

– Co niby próbował?

Nagle ktoś obraca mnie za ramiona i przyciska do swojej klatki piersiowej. Dain. Otaczam go ramionami i wzdycham głęboko.

– Cholera, Violet... Po prostu... – Przytula mnie mocno, a potem odsuwa na długość ramion. – Jesteś ranna.

– Nic mi nie jest – zapewniam go, ale to nie wymazuje niepokoju, który widzę w jego oczach. Nie wiem, czy to uczucie kiedykolwiek zniknie. – Ale z naszej drużyny jesteśmy jedynymi pierwszakami, które przetrwały.

Dain unosi głowę, żeby rozejrzeć się po pozostałych.

– Czterech z dziewięciu. To... – Mięsień drga na jego szczęce. – Było do przewidzenia. Smoki właśnie biorą udział w zgromadzeniu ich przywódców – Empireum. Zostańcie tutaj do ich powrotu – rozkazuje innym, a potem przenosi wzrok na mnie. – A ty chodź ze mną.

Pewnie chodzi o moją matkę, która wezwała mnie poprzez niego. Chce zobaczyć, czy wszystko u mnie w porządku po tym, co się wydarzyło. Przenoszę wzrok na drugi koniec pola, ale to nie mama mnie obserwuje, tylko Xaden. Nie jestem w stanie niczego odczytać z jego miny.

Dain łapie mnie za rękę, więc odwracam się od Xadena i podążam za nim do ustronnego miejsca. Wygląda na to, że nie chodzi o mamę.

– Co tam się, kurwa, stało? Bo Cath przekazał mi, że nie tylko Tairn cię wybrał, ale również ten mały. Adarn? – Splata nasze palce, a w jego brązowych oczach tli się panika.

– Andarna – poprawiam go. Na wspomnienie o małej złotej smoczycy uśmiech sam ciśnie mi się na usta.

– Zmuszą cię do wyboru. – Rysy jego twarzy napinają się, a pewność w jego głosie rodzi we mnie opór.

– Nie zamierzam wybierać. – Kręcę głową i wrywam dłonie z jego uścisku. – Żaden człowiek nigdy nie musiał i nie zamierzam być pierwsza.

A w ogóle za kogo on się ma, żeby mi to wmawiać?

– Ale będziesz. – Przeczesuje włosy dłońmi i przybiera błagalny ton. – Musisz mi zaufać. Ufasz mi, prawda?

– Oczywiście, że tak.

– W takim razie musisz wybrać Andarnę. – Kiwa głową, jakby jego rozkaz równał się podjętej decyzji. – Złoty jest lepszym wyborem.

Dlaczego? Bo Tairn to... Tairn? Czy Dain uważa, że jestem zbyt słaba na tak silnego smoka?

Otwieram usta, a potem zamykam je jak ryba wyciągnięta z wody, szukając w głowie odpowiedzi, która nie brzmiałaby „spadaj”. Nie zamierzam odrzucić Tairna. Ale serce również nie pozwoli mi zrezygnować z Andarny.

*Czy oni zmuszą mnie do wyboru?*, posyłam myśl w stronę smoków.

Nie dostaję odpowiedzi, a w miejscu, gdzie czułam w głowie... przestrzeń rozciągającą moje mentalne bariery, która pojawiła się, odkąd Tairn po raz pierwszy odezwał się do mnie na tamtej polanie, teraz... nie ma niczego.

Zostałam odcięta. Tylko nie panikuj.

– Nie zamierzam wybierać – powtarzam, tym razem łagodniej. Tylko co, jeśli nie mogę mieć ich obojga? Co, jeśli, wybrawszy mnie jednocześnie, naruszyli jakieś święte prawo i teraz wszyscy poniesiemy konsekwencje?

– Musisz. To musi być Andarna. – Dain zaciska ręce na moich ramionach i się pochyla. W jego głosie pobrzmiewa zdenerwowanie. – Wiem, że jest zbyt mała, by udźwignąć jeźdźca...

– Jeszcze tego nie sprawdziłam – odpowiadam defensywnie, chociaż wiem, że to prawda. Nasze gabaryty są do siebie zbyt zbliżone.

– To bez znaczenia. Nie będziesz w stanie latać z całym skrzydłem, ale pewnie dostaniesz posadę jako instruktorka na uczelni, tak jak Kaori.

– On uczy, ponieważ dzięki mocy więzi jest nie do zastąpienia, a nie dlatego, że jego smok nie potrafi go udźwignąć – oponuję. – I nawet on przeszedł wymagane czteroletnie szkolenie bojowe w skrzydle, zanim wysłano go za biurko.

Dain odwraca wzrok, a ja niemal dostrzegam trybiki obracające się w jego głowie, gdy kalkuluje... no właśnie, co? Moje ryzyko? Mój wybór? Moją wolność?

– Jeśli weźmiesz do walki Andarnę, istnieje prawdopodobieństwo, że umrzesz, ale to nic pewnego. Jeśli wybierzesz Tairna, Xaden bez wątpienia doprowadzi do twojej śmierci. Myślisz, że Melgren jest przerażający? Jestem tu rok dłużej od ciebie, Vi. W przypadku Melgrena przynajmniej wiesz, co cię czeka, ale Xaden jest dwa razy bardziej bezwzględny, a do tego nieprzewidywalny.

Mrugam oszołomiona.

– Chwila, co ty usiłujesz mi powiedzieć?

– Tairn i Sgaeyl są swoimi towarzyszami. To najsilniejsza więź, jaka wytworzyła się między parą od stuleci.

Moje myśli wirują. Towarzysze nie mogą zostać rozdzieleni na zbyt długo, bo w przeciwnym razie podupadają na zdrowiu, dlatego zawsze zostają wysłani na ten sam posterunek. Zawsze. Co oznacza, że... o bogowie.

– Po prostu powiedz mi... jak do tego doszło. – Chyba dostrzega mój strach, bo jego głos łagodnieje.

I opowiadam. Mówię mu o Jacku i jego bandzie polującej na Andarnę, o skręconej kostce, o spotkaniu na polanie, o obserwującym nas Xadenie, o tym, że mnie ostrzegł, kiedy Oren rzucił się do ataku. Miał okazję mnie

wykończyć i nawet nie musiałby przy tym kiwnąć palcem, ale wolał mi pomóc. I co ja mam teraz z tym zrobić?

– Xaden tam był – szepcze mi Dain, ale w jego głosie brakuje łagodności.

– Tak. – Kiwam głową. – Ale zniknął po tym, jak pojawił się Tairn.

– A więc Xaden był na miejscu, kiedy bronilaś Andarny, a potem Tairn tak po prostu... się pojawił? – upewnia się.

– To właśnie powiedziałam. – Nie zgadza mu się kolejność wydarzeń? – Do czego zmierzasz?

– Nie widzisz, co tu się wydarzyło? Co Xaden zrobił? – Mocniej zaciska na mnie palce. Całe szczęście mam na sobie zbroję ze smoczych łusek, bo w przeciwnym razie jutro miałabym siniaki.

– Śmiało, powiedz jej, co według ciebie zrobiłem. – Z mroku wyłania się postać i mój puls przyspiesza, kiedy Xaden staje w plamie księżycowego blasku, a ciemność spływa z niego jak zrzucona peleryna.

Wydaje mi się, że żar płynie moimi żyłami, rozbudza każde zakończenie nerwowe. Nie podoba mi się reakcja mojego ciała na jego widok, ale nie mogę jej zaprzeczyć. Dlaczego on musi mi się podobać?

– Manipulowałaś Odsiewem. – Dain puszcza moje ramiona, zwraca się twarzą do naszego dowódcy skrzydła i staje między nami wyprostowany.

O kurde, to poważny zarzut.

– Dain, to... – Paranoja. Odsuwam się od mojego przyjaciela. Gdyby Xaden chciał mnie zabić, nie czekałby tak długo, żeby to zrobić. Do tej pory miał wiele możliwości, a jednak wciąż tu stoję i jestem związana. Z towarzyszem jego smoczycy.

Xaden mnie nie zabije. Ta myśl zapiera mi dech w piersiach, każe przyjrzeć się pod innym kątem wszystkiemu, co wydarzyło się na polanie, sprawia, że grunt osuwa mi się spod nóg.

– Czy to oficjalne oskarżenie? – Xaden patrzy na Daina jak na robaka, jak na irytujący problem.

– Wtrąciłeś się? – pyta agresywnie Dain.

– O co pytasz? – Xaden unosi ciemną brew i mierzy Daina takim spojrzeniem, że niejeden człowiek skuliłby się ze strachu. – Czy widziałem, że jest ranna, a napastnicy mają nad nią liczebną przewagę? Czy pomyślałem, że jej odwaga jest urocza, ale jednocześnie cholernie naiwna? – Odwraca głowę w moją stronę, a ja wyczuwam jego zarzut aż w palcach u stóp.

– I zrobiłabym to ponownie. – Zadzieram dumnie głowę.

– Jestem tego, kurwa, świadomy! – grzmi Xaden. Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, traci nad sobą panowanie.

Zaczerpuję oddechu, a on robi to samo, jakby jego wybuch zaskoczył go w takim samym stopniu jak mnie.

– Czy widziałem, jak walczy z trzy razy większymi od siebie kadetami? – Przenosi wkurzone spojrzenie na Daina. – Bo odpowiedź na wszystkie te pytania brzmi: tak. Zadajesz jednak niewłaściwe pytanie, Aetos. Powinieneś zapytać, czy Sgaeyl również to widziała.

Dain przęłyka ślinę i ucieka wzrokiem. Ewidentnie ponownie rozważa swój zarzut.

– Jego towarzyszką mu o tym powiedziała – olśniewa mnie. Sgaeyl wezwała Tairna.

– Nigdy nie przepadała za dręczycielami – zwraca się do mnie Xaden. – Ale nie bierz tego za gest życzliwości wobec ciebie. Ona po prostu ma słabość do małego smoka. Niestety Tairn wybrał cię z własnej woli.

– Ja pieprzę – mamrocze Dain.

– To samo pomyślałem. – Xaden kręci głową. – Sorrengail jest ostatnią osobą na całym Kontynencie, do której chciałbym być przykuty. To nie moja sprawa.

*Auc.* Z całej siły powstrzymuję się, żeby nie dotknąć klatki piersiowej i nie sprawdzić, czy rzeczywiście wyrwał mi serce, bo tak się czuję, co nie ma sensu, ponieważ mam o nim takie samo zdanie. To w końcu syn Wielkiego Zdrajcy. Jego ojciec ponosi bezpośrednią winę za śmierć mojego brata.

– A nawet gdybym to zrobił... – Xaden podchodzi do Daina i góruje nad nim wzrostem. – Naprawdę byś mnie o to oskarżył, wiedząc, że uratowało to kobietę, którą nazywasz swoją najlepszą przyjaciółką?

Przenoszę wyzywający wzrok na Daina. To proste pytanie, a jednak wstrzymuję oddech. Co tak naprawdę dla niego znaczę?

– Obowiązują nas... zasady. – Dain zadziera głowę, żeby spojrzeć Xadenowi w oczy.

– A tak z ciekawości, czy ty byłbyś skłonny, powiedzmy, nagiąć te zasady, żeby uratować swoją drogą Violet na tamtej polanie? – drąży lodowatym tonem, patrząc na Daina z wielkim zaciekawieniem.

Widziałam, że Xaden zrobił krok w moją stronę tuż przed tym, jak Tairn wylądował. Jakby chciał mnie uratować.

Dain zaciska szczęki, a w jego oczach dostrzegam walkę.

– To nie jest sprawiedliwe. Nie powinieneś go o to pytać. – Przysuwam się w stronę przyjaciela w chwili, gdy nocną ciszę przerywa łopot skrzydeł. Wróciły smoki. Podjęły decyzję.

– Rozkazuję ci odpowiedzieć, dowódco drużyny. – Xaden nawet nie poświęca mi spojrzenia.

Dain przęłyka ślinę i zamyka oczy.



– Nie. Nie zrobiłbym tego.

Moje serce rozpada się na kawałki. W głębi serca zawsze wiedziałam, że Dain ceni sobie zasady i porządek bardziej niż relacje, bardziej niż mnie, ale przyznanie tego na głos rani mnie bardziej niż miecz Tynana.

Xaden prycha z pogardą.

Dain natychmiast przenosi na mnie wzrok.

– Dobiłoby mnie patrzenie na twoją krzywde, Vi, ale zasady...

– Nic się nie stało – wyduszam z trudem, dotykając przelotnie jego ramienia.

Ale wcale nie jest w porządku.

– Smoki wracają – zauważa również Xaden, kiedy pierwszy z nich ląduje na oświetlonym polu. – Wracaj do formacji, dowódco drużyny.

Dain odrywa ode mnie spojrzenie i znika w tłumie zbierających się jeźdźców i ich smoków.

– Dlaczego mu to zrobiłeś? – warczę na Xadena, a potem kręcę głową. Nie obchodzi mnie odpowiedź. – Zapomnij o tym – mamrocze, a potem odchodzę w stronę miejsca, gdzie Tairn kazał mi czekać.

– Ponieważ pokładasz w nim zbyt wielką wiarę. – Xaden i tak odpowiada, doganiając mnie bez pośpiechu. – A świadomość tego, komu możesz ufać, to jedyne, co utrzyma cię przy życiu, a także nas, nie tylko w kwadrancie, ale również po ukończeniu uczelni.

– Nie ma żadnych nas – odpowiadam, omijając jeźdźczynię przecinającą mi drogę. Smoki lądują wszędzie, ziemia trzęsie się od ich ciężaru. Jeszcze nigdy nie widziałam tylu smoków latających jednocześnie.

– Och, wydaje mi się, że wkrótce przejrzysz na oczy – mamrocze Xaden. Niespodziewanie łapie mnie za łokieć i przyciąga do siebie, żeby nie staranował mnie kolejny rozpędzony jeździec.

Jeszcze wczoraj pozwolilby mi się z nim zderzyć.

Może nawet popchnąłby mnie w jego kierunku.

– Więzi Tairna są takie potężne, zarówno między nim a towarzyszką, jak i jeźdźcem, ponieważ on sam jest niezwykle potężny. Utrata ostatniego jeźdźca niemal go zabiła, co tym samym niemal zabiło Sgaeyl. Życie smoczych towarzyszy jest...

– Od siebie zależne. Tak, wiem. – Idziemy dalej, aż docieramy na sam środek rzędu jeźdźców. Gdybym nie była tak rozżłoszczona okrutnym zachowaniem Xadena w stosunku do Daina, skupiłabym się na podziwianiu setek smoków, które właśnie lądują wokół nas. A może zaczęłabym się zastanawiać, jak to jest, że czuję, jakby stojący obok mnie mężczyzna pochłaniał całe powietrze z tak ogromnej polany.

– Kolejna więź smoka jest silniejsza niż poprzednia, co oznacza, że jeśli ty umrzesz, Violence, potencjalnie możesz zapoczątkować łańcuch wydarzeń, wskutek którego ja również umrę. – Jego twarz jest jak wykuta z zimnego marmuru, ale w oczach goreje ogień, od którego tracę oddech. To czysty... gniew. – Więc ku rozpaczy wszystkich zaangażowanych, żyjemy teraz w pakiecie, o ile Empireum pozwoli Tairnowi utrzymać swoją decyzję.

Na bogów.

Jestem związana z Xadenem Riorsonem.

– A odkąd Tairn jest w grze, odkąd inni kadeci wiedzą, że jest skłonny do więzi... – Wzdycha rozdrażniony i odwraca wzrok.

– To dlatego Tairn kazał mi się trzymać blisko ciebie – dokańczam szeptem, a konsekwencje wydarzeń dzisiejszego dnia wywracają mój żołądek do góry nogami. – Z powodu niezwiązanych. – Po drugiej stronie pola stoją ich przynajmniej trzy tuziny i wszyscy patrzą na nas z chciwością w oczach. Nawet Oren Seifert.

– Niezwiązani będą chcieli cię zabić z nadzieją, że Tairn później wybierze któregoś z nich. – Kiedy podchodzi do nas Garrick i przeskakuje między nami wzrokiem, Xaden kręci głową i dowódca sekcji się oddala. – Tairn jest jednym z najsilniejszych smoków na Kontynencie i znaczna część jego mocy zostanie przelana na ciebie. Przez kilka następnych miesięcy niezwiązani będą próbowali zabić każdego nowego jeźdźca, póki więź jest jeszcze słaba i świeża, póki jeszcze mają szansę na to, że smok zmieni zdanie i wybierze ich, bo nie chcą później powtarzać całego roku. A dla Tairna zrobią absolutnie wszystko. – Wzdycha ciężko, jakby już zmęczył go ciężar nowego zadania. – Na roku pozostało czterdziestu jeden niezwiązanych kadetów, a ty właśnie stałaś się celem numer jeden. – Unosi palec wskazujący.

– A Tairn uważa, że będziesz odgrywał rolę mojego ochroniarza. – Prycham głośno. – Nie wie jednak, jak bardzo mną gardzisz.

– Wie za to, jak bardzo cenię sobie własne życie – odpowiada Xaden i taksuje mnie spojrzeniem. – Jesteś zaskakująco spokojna jak na kogoś, kto dowiedział się, że inni dybią na jego życie.

– Dzień jak co dzień. – Wzruszam ramionami, ignorując to, jak moja skóra rozpala się pod jego spojrzeniem. – I szczerze mówiąc, mniej boję się czyhających na mnie czterdziestu jeden kadetów niż rozglądania się za tobą w każdym mrocznym zaułku.

W plecy mnie uderza mnie podmuch powietrza, kiedy ląduje Andarna, a potem ziemia drga pod łapami Tairna.

Xaden odwraca się bez słowa i przechodzi na skos przez polanę w stronę Sgaeyl, która góruje wzrostem nad smokami innych dowódców skrzydeł.

*Powiedzcie, że będzie dobrze, proszę w głowie Andarnę i Tairna.*

*Będzie tak, jak ma być,* odpowiada czarny smok głosem burkliwym i znudzonym jednocześnie.

*Wcześniej nie odpowiadaliście.* Dobra, to brzmi jak zarzut.

*Ludzie nie mogą wiedzieć, o czym rozmawiamy na zgromadzeniu Empireum,* odpowiada Andarna. *Takie są zasady.*

A zatem wszyscy jeźdźcy zostali zablokowani, nie tylko ja. O dziwo pociesza mnie ta myśl. Poza tym dzisiaj poznałam nowy termin. Empireum. Kaori jest pewnie zachwycony smoczą polityką, której może być świadkiem. Ciekawe, co postanowili.

Zerkam na swoją matkę, ale ona patrzy wszędzie, byle nie na mnie.

Generał Melgren podchodzi na skraj podestu, prezentując mundur obwieszony licznymi medalami. Dain poniekąd miał rację – naczelny generał naszego królestwa rzeczywiście jest przerażający. Nie ma problemu z traktowaniem piechoty jak tarczy i znany jest z okrucieństwa przy nadzorowaniu przesłuchań i egzekucji więźniów, a przynajmniej tak mówiło się przy obiedzie w moim rodzinnym domu. Jego kolosalny smok rodem z koszmarów zajmuje całą przestrzeń obok podestu, a kiedy generał unosi rękę przy twarzy, tłum natychmiast cichnie.

– Codagh poinformował mnie, że smoki naradziły się w sprawie dziewczyny, Violet Sorrengail. – Pomniejsze umiejętności magiczne sprawiają, że jego głos staje się na tyle głośny, by wszyscy zgromadzeni byli w stanie go usłyszeć.

*Kobiety, poprawiam go w duchu.* Nerwy zżerają mnie od środka.

– Tradycja pokazała nam, iż na jednego jeźdźca przypada jeden smok i nigdy nie zdarzyło się, aby dwa smoki wybrały tę samą osobę, dlatego też w smoczym prawie nie ma takiego zakazu – oświadcza. – Mimo że jeźdźcy mogą uznać to za... niesprawiedliwe. – Jego ton głosu sugeruje, że podziela tę opinię. – Smoki tworzą własne prawa. Zatem jeśli Tairn i... – Ogląda się przez ramię, a osoba uznawana za jego prawą rękę podbiega, żeby wyszeptać mu imię na ucho. – Andarna wybrali Violet Sorrengail, to ich wybór pozostaje ważny.

Przez tłum przetacza się szmer. Mam wrażenie, że z moich ramion znika ciężar, bo nie muszę dokonywać niemożliwego wyboru.

*I tak właśnie powinno być, burczy Tairn. Ludzie nie mają nic do powiedzenia w kwestii smoczego prawa.*

Mama wychodzi do przodu i wykonuje dłońmi ten sam gest, żeby wzmocnić swój głos. Oficjalnie zamyka formalną część ceremonii Odsiewu i obiecuje niezwiązanym kadetom kolejną próbę za rok, ale nie jestem w stanie skupić się na jej słowach. *O ile ci kadeci nie zabiją nas w nadchodzących miesiącach, żeby zdobyć smoka, póki nasze więzi są jeszcze słabe.*

Należę teraz do Tairna i Andarny... i w jakiś popieprzony sposób również do... Xadena.

Czuję mrowienie na skórze głowy i odnajduję go wzrokiem po drugiej stronie polany.

Odwraca się, zupełnie jakby wyczuł na sobie moje spojrzenie, i unosi palec wskazujący. Wróg numer jeden.

– Witajcie w rodzinie, która nie zna granic, ograniczeń i końca – dokańcza moja matka, a zebrani odpowiadają radosnymi okrzykami. – Jeźdźcy, wystąpcie.

Zdezorientowana rozglądam się na prawo i lewo, podobnie jak wszyscy inni jeźdźcy.

*Mniej więcej pięć kroków, podsuwa Tairn.*

Wykonuję pięć kroków.

– Smoki, cała przyjemność po naszej stronie, jak zawsze – woła mama. – A teraz świętujmy.

Nagle czuję na plecach żar i syczę z bólu, jeźdźcy wokół również krzyczą. Mam wrażenie, jakby moja skóra płonęła, a mimo to większość osób nam kibicuje, zaledwie garstka biegnie w naszą stronę.

Inni jeźdźcy zostają zamknięci w objęciach.

*Spodoba ci się, obiecuje Tairn. Będzie wyjątkowy.*

Ból znika, pozostaje po nim zaledwie tępe pulsowanie. Oglądam się przez ramię. Pod kamizelką zauważam jakiś ciemny... znak.

*Co niby mi się spodoba?*

– Violet! – W tym momencie dociera do mnie Dain i łapie moją twarz w dłonie. – Zatrzymałaś oba!

– Na to wygląda. – Uśmiech ciśnie mi się na usta. To niewiarygodne... dzisiaj wydarzyło się tak wiele.

– A gdzie masz swój... – Puszczą mnie i okrąży. – Mogę to rozwiązać? Tylko górę – prosi, pociągając za kołnierz kamizelki.

Kiwam głową. Kilka szarpnięć i pociągnięć, a po chwili październikowe powietrze owiewa mój kark.

– Ja pierdzielę. Musisz to zobaczyć.

*Każ chłopakowi się odsunąć, rozkazuje Tairn.*

– Tairn mówi, że masz się odsunąć.

Nagle przestaję widzieć swoimi oczami i spoglądam na własne plecy... oczami Andarny. Na mojej skórze, od ramienia do ramienia, rozciąga się czarny symbol walczącego smoka, a w środku sylwetka lśniącego złotego smoka.

– Jest piękny – zachwycam się. Zostałam naznaczona ich magią jako jeźdźczynie. Ich jeźdźczynie.

*Wiemy*, odpowiada Andarna.

Mrugam szybko i znów patrzę na świat swoimi oczami. Dain szybko zawiązuje mi gorset, a potem znowu łapie moją twarz w dłonie i ją unosi.

– Musisz wiedzieć, że zrobiłbym wszystko, żeby cię uratować, Violet, żeby zadbać o twoje bezpieczeństwo – zapewnia z paniką w głosie. – To, co powiedział Riorson... – Kręci głową.

– Wiem – zapewniam go pocieszającym tonem, mimo że coś w moim sercu pęka. – Tobie zawsze zależało na moim bezpieczeństwie. – Zrobiłby dla mnie wszystko. Tylko nie złamałby zasad.

– Musisz wiedzieć, co do ciebie czuję. – Gładzi kciukiem mój policzek, patrzy mi w oczy, jakby próbował się tam czegoś doszukać, a potem jego usta odnajdują moje.

Jego wargi są miękkie, ale pocałunek stanowczy. Przeszywa mnie przyjemny dreszcz. Dain w końcu mnie całuje, po tylu latach.

Mój zachwyty jednak znika moment później. Nie czuję w tym żadnego żaru. Żadnej energii. Żadnej fali podniecenia. Rozczarowanie psuje mi tę chwilę bliskości, ale nie Dainowi. On odsuwa się i patrzy na mnie z uśmiechem.

Pocałunek skończył się po chwili.

Pragnęłam go od zawsze, tylko że...

Cholera. Już nie chcę.

*To naturalne, iż manifestująca się moc jeźdźca jest tym silniejsza, im potężniejszy jest smok. Należy bać się silnego jeźdźca, który związał się z mniejszym smokiem, ale jeszcze groźniejszy jest niezwiązany kadet, który nie cofnie się przed niczym, aby zdobyć smoka.*

*Przewodnik po Kwadrancie Jeźdźców autorstwa majora Afendry*



## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

**P**rzez ostatnie dwa miesiące spałam w zatłoczonych koszarach, dlatego dziwnie się teraz czuję we własnym pokoju. Już nigdy więcej nie będę lekceważyć luksusu, jakim jest prywatność.

Kuśtykając, opuszczam pomieszczenie i zamykam za sobą drzwi.

Wejście do pokoju Rhiannon, który znajduje się naprzeciwko mojego, otwiera się i ze środka wychodzi Sawyer. Przeczesuje włosy palcami, a kiedy mnie zauważa, unosi brwi i zamiera, a jego policzki przybierają kolor zbliżony do piegów.

– Dzień dobry. – Uśmiecham się od ucha do ucha.

– Violet. – Sili się na blady uśmiech i odchodzi w stronę głównego holu sypialni pierwszego roku.

Z pokoju obok wychodzi para z Drugiego Skrzydła trzymająca się za ręce. Witam ich uśmiechem i opieram się o drzwi, poruszając kostką, żeby ją sprawdzić. Wciąż jest obolała, jak za każdym razem, gdy ją nadwyręzałam, ale usztywnienie i but trzymają ją na tyle stabilnie, że da się wytrzymać. Gdyby nie to miejsce, poprosiłabym o kule, ale nie chcę jeszcze bardziej wyróżniać się. Według Xadena i tak jestem chodzącym celem.

Rhiannon wychodzi ze swojego pokoju i uśmiecha się na mój widok.

– Nie masz dzisiaj zmiany w kuchni?

– Powiedziano mi, że wszystkie bardziej wymagające czynności zostały zlecone niezwiązanym, żebyśmy mieli siły na lekcje latania. – Co oznacza, że

będę musiała znaleźć inny sposób na osłabienie moich przeciwników przed wyzwaniem. Xaden ma rację – nie zawsze mogę mieć pod ręką trucizny, ale nie zamierzam ignorować przewagi, którą tutaj mam.

– Jeszcze jeden powód, by niezwiązani nas nienawidzili – podsumowuje.

– A więc Sawyer, Rhi? – Idziemy korytarzem, mijając po drodze kilka innych pokoi, a potem docieramy do głównego korytarza, który prowadzi do rotundy. Muszę przyznać, że pokoje jeźdźców z pierwszego roku nie są tak przestronne jak tych z drugiego, ale przynajmniej mamy lepszy widok z okien.

Rhiannon unosi kącik ust w uśmiechu.

– Miałam ochotę poświętować. – Zerka na mnie z ukosa. – A dlaczego nie słyszałam, żebyś ty świętowała?

Wtapiamy się w tłum zmierzający w stronę sali jadalnej.

– Nie znalazłam nikogo, z kim chciałabym świętować.

– Naprawdę? Bo słyszałam, że wczoraj ty i pewien dowódca drużyny mieliście się ku sobie.

Gwałtownie wbijam w nią spojrzenie i niemal potykam się o własne stopy.

– Daj spokój, Vi, otaczał was cały kwadrant. Nie sądzisz, że ktoś was widział?

– Przewraca oczami. – Nie będę cię pouczać. Kogo obchodzi to, że nie powinno się wchodzić w relację z dowódcą wyższym od siebie rangą? Nie ma oficjalnego zakazu, a poza tym – nie ma gwarancji, że dożyjemy jutra.

– Masz rację – przyznaję. – Ale... – Kręcę głową i szukam odpowiednich słów.

– To nie do końca tak. Zawsze chciałam, by łączyło nas coś więcej, ale kiedy mnie pocałował... nic nie poczułam. Zupełnie nic. – Nie potrafię ukryć rozczarowania w głosie.

– Przykro to słyszeć. – Łapie mnie pod ramię.

– Mnie również. – Wzdycham.

Dalej na korytarzu otwierają się kolejne drzwi i z pokoju wychodzi Liam Mairi, który obejmuje w talii dziewczynę z pierwszego roku, która związała się z brązowym maczugonem. Wygląda na to, że wczoraj świętowali wszyscy poza mną.

– Dzień dobry, drogie panie. – Ridoc przeciska się przez tłum i łapie nas pod ramiona, kiedy wchodzimy do rotundy. – A może powinienem powiedzieć jeźdźczynie?

– Podoba mi się to słowo – odpowiada Rhiannon, posyłając mu uśmiech.

– To prawda, ładnie brzmi – stwierdza Ridoc.

– Na pewno lepiej niż „martwe”. Gdzie masz symbol? – zwracam się do chłopaka, kiedy mijamy kolumny z wyrzeźbionymi smokami i wspinamy się po schodach do wspólnej przestrzeni.

– Tutaj. – Zabiera rękę z moich ramion i podciąga rękaw tuniki, żeby odsłonić brązowy symbol smoka na bicepsie. – A ty?

– Nie da się go zobaczyć. Mam go na plecach.

– Tak będzie bezpieczniej, jeśli kiedyś rozstaniesz się z tym swoim gigantycznym smokiem. – W jego oczach błyszczą szelmowskie iskierki. – Przysięgam, kiedy zobaczyłem go na polanie, myślałem, że posram się ze strachu. A co z twoim znakiem, Rhi?

– Jest w takim miejscu, że nigdy go nie zobaczysz – odpowiada.

– Zraniłaś mnie. – Ridoc łapie się za serce.

– Szczerze w to wątpię – odgryza się, ale na jej twarzy dostrzegam uśmiech. Pokonujemy wspólną przestrzeń i docieramy do sali jadalnej, a potem ustawiamy się w kolejce po śniadanie.

Dziwnie jest być po tej stronie kuchni. Na widok chłopaka za ladą podskakuję ze strachu.

To Oren.

Patrzy na mnie z taką nienawiścią, że lodowaty dreszcz spływa po moim kręgosłupie. Omijam jego stanowisko i postanawiam wziąć owoc, bo mam pewność, że nie mógł być niczym doprawiony. Tak na wszelki wypadek, w razie gdyby chciał skorzystać z mojej metody i mnie otruć.

– Co za dupek – mamrocze za mną Ridoc. – Nie mogę uwierzyć, że próbował cię zabić.

– A ja mogę. – Wzruszam ramionami i biorę kubek soku jabłkowego. W tym przypadku muszę zaryzykować. – Jestem najsłabszym ogniwnem, prawda? Na moje nieszczęście to oznacza, że ludzie będą próbować mnie zabić dla dobra ogółu. – Zmierzamy w stronę sekcji Czwartego Skrzydła i znajdujemy stolik z trzema dodatkowymi krzesłami.

– Czy możemy się... – zaczyna Ridoc.

– Oczywiście! Jest wasz! – Dwóch chłopaków z Sekcji Ogona zrywa się z ławek.

– Przepraszamy, Sorrengail! – krzyczy ten drugi ponad ramieniem i odchodzą znaleźć nowy stolik, a ten zostawiają nam pusty.

Co, u licha?

– Cóż, to dopiero dziwne. – Rhiannon okrąża stolik, a ja podążam za nią i siadamy plecami do ściany, kładąc przed sobą tace.

– Chcecie zobaczyć coś jeszcze dziwniejszego? – dodaje Ridoc i wskazuje na drugi koniec stołówki, w stronę Pierwszego Skrzydła.

Podążam za jego wzrokiem i unoszę brwi. Jack Barlowe właśnie został wypchnięty ze swojego stolika, a inni zajęli jego miejsce.

– Co tu się dzieje? – Rhiannon bierze kęs gruszki i przeżuwa go.



Jack podchodzi do innego stolika, ale tam nikt nie chce zrobić dla niego miejsca. Udaje mu się usiąść dopiero dwa stoliki dalej.

– Nisko upadł – komentuje Ridoc. Oglądamy to samo przedstawienie, ale ja nie odczuwam satysfakcji z porażki Jacka. Wiem, że dzikie psy, które znajdują się w potrzasku, gryzą jeszcze mocniej.

– Hej, Sorrengail – odzywa się krępa dziewczyna z Pierwszego Skrzydła, którą pokonałam w trakcie drugiego wyzwania, i uśmiecha się z napięciem, mijając nasz stolik.

– Cześć. – Macham jej nieporadnie, a potem zwracam się szeptem do przyjaciół: – Nie odezwała się do mnie, odkąd odebrałam jej sztylety podczas wyzwania.

– To dlatego, że jesteś związana z Tairnem. – Imogen zdmuchuje z twarzy różowe włosy. Przekłada nogę przez ławkę i zajmuje miejsce przy naszym stoliku, podciągając rękawy tuniki, żeby odsłonić symbol rebelii. – Rano po Odsiewie zawsze robi się chaos. Zmienia się układ sił, a ty, mała Sorrengail, jesteś teraz najsilniejszą osobą w całym kwadrancie. Wszyscy mający chociaż odrobinę oleju w głowie powinni się ciebie bać.

Mrugam oszołomiona, a mój puls przyspiesza. A więc o to chodzi? Rozglądam się wokół. Grupy towarzyskie się rozpadły, a niektórzy kadeci, których wcześniej uważałam za zagrożenie, nie zajmują już swoich ulubionych miejsc.

– I to dlatego postanowiłaś do nas dołączyć? – Rhiannon unosi brew, patrząc na dziewczynę z drugiego roku. – Bo jestem w stanie policzyć na palcach jednej ręki, ile razy powiedziałaś w naszą stronę coś miłego. – Unosi dłoń i zaciska palce w pięść. – Zero.

Quinn – należąca do naszej drużyny, wysoka dziewczyna z drugiego roku, która wcześniej nawet nie raczyła spojrzeć w naszą stronę – teraz zajmuje miejsce obok Imogen. Zjawia się również Sawyer, który siada obok Rhiannon. Quinn zakłada blond loki za uszy i odgarnia włosy z oczu, a jej okrągłe policzki unoszą się, kiedy uśmiecha się po jakimś komentarzu Imogen. Muszę przyznać, że jej kolczyki, ciągnące się przez większą część małżowiny usznej, wyglądają zarąbiście, a pośród sześciu różnych odznak zauważam jedną, która najbardziej mnie intryguje – ciemnozieloną, w kolorze jej oczu, przedstawiającą dwie postaci. Powinnam poznać znaczenie wszystkich odznak, ale z tego, co słyszałam, zmieniają się co roku.

Sama nie jestem fanką pierwszych odznak, które dostaliśmy. Musiałam naszyć symbol płomieni z herbem Czwartego Skrzydła oraz umieszczoną pośrodku czerwoną liczbą dwa. Należało zrobić to ostrożnie, na gorsecie nałożonym na zbroję, bo żadna igła nie przebiłaby się przez łuski.

Natomiast moja ulubiona naszywka znajduje się obok tej symbolizującej Sekcję Ognia. Jesteśmy drużyną, w której od czasu spaceru po moście przeżyło najwięcej osób – odznaka Żelaznej Drużyny.

– Wcześniej nie byliśmy na tyle zainteresowani tym, by siedzieć razem – odpowiada Imogen i w gryza się w muffina.

– Na ogół siedzę z moją dziewczyną z Sekcji Szpona. Poza tym nie ma sensu nawiązywać znajomości, skoro większość z was i tak umiera – dodaje Quinn. Odgarnia loki z twarzy, ale chwilę później wracają na swoje miejsce. – Bez urazy.

– Nic się nie stało... chyba. – Biorę kęs jabłka.

Niemal je wypluwam, kiedy Heaton i Emery, jedyne osoby z trzeciego roku należące do naszej drużyny, siadają obok Imogen i Quinn naprzeciwko nas.

Brakuje jedynie Daina i Cianny, którzy jak zwykle jedzą przy stoliku dowódców.

– Myślałam, że Seifert znajdzie swojego smoka – mówi Heaton do Emery'ego, jakbyśmy zastali ich w trakcie dyskusji. Czerwone płomienie w jeno włosach są dziś zielone. – Wygrał niemal każde wyzwanie, tylko z Sorrengail mu się nie udało.

– Próbował zabić Andarnę. – Kurde, może powinnam była zachować to dla siebie?

Głowy wszystkich obecnych przy stole odwracają się w moją stronę.

– Podejrzewam, że Tairn powiadomił inne smoki. – Wzruszam ramionami.

– A Barlowe znalazł smoka? – dziwi się Ridoc. – Chociaż z tego, co słyszałem, jego pomarańczowy skorpionogon jest dość niewielkich rozmiarów.

– To prawda – potwierdza Quinn. – I dlatego dzisiaj ma tak pod górkę.

– Spokojna głowa, na pewno jakoś odbije sobie brak społecznego poparcia – stwierdza niechętnie Rhiannon i łypie podejrzliwie na moją tacę. – Powinnaś jeść więcej białka, Vi. Nie możesz żyć na samych owocach.

– Oren pracuje w kuchni i to jedyna rzecz, której nie mógł doprawić trucizną.

– Och, do jasnej cholery. – Imogen przerzuca na mój talerz trzy kielbaski. – Ona ma rację. Potrzebujesz energii, żeby latać na smoku, szczególnie tak wielkim jak Tairn.

Patrzę na kielbaski. Przecież Imogen nienawidzi mnie tak samo jak Oren. Co więcej, pierwszego dnia treningu złamała mi rękę i niemal wyrwała ramię.

*Możesz jej zaufać, zapewnia mnie Tairn. Zaskoczona upuszczam pomarańczę.*

*Ona mnie nienawidzi.*

*Przestań się ze mną spierać i zjedz coś, rozkazuje Tairn głosem nieznoszącym sprzeciwu.*

– Jaką masz moc? – zwraca się do Emery'ego Rhiannon.

Stolik owiewa podmuch, który wstrząsa naczyniami. Kontrola powietrza. Łapię.

– Ale super. – Ridoc wytrzeszcza oczy. – Jak potężna jest twoja moc?

– Nie twoja sprawa – rzuca chłopak, ledwie zaszycając go spojrzeniem.

– Sorrengail, dzisiaj po zajęciach jesteś moja – oznajmia Imogen.

Przełykam kęs jedzenia, który właśnie skończyłam przeżuwać.

– Słucham?

Wbija we mnie jasnozielone spojrzenie.

– Spotkajmy się na sali treningowej.

– Ona już trenuje ze mną... – zaczyna Rhiannon.

– I bardzo dobrze. Nie możemy pozwolić, by przegrała jakiegokolwiek wyzwanie – odpowiada Imogen. – Tyle że ja zamierzam pomóc ci z ciężarami. Przed rozpoczęciem wyzwań musimy wzmocnić mięśnie okalające twoje stawy. Tylko dzięki temu przeżyjesz.

Włoski na moim karku stają dęba.

– A od kiedy przejmujesz się moim przetrwaniem?

Na pewno nie chodzi o dobro całej drużyny. To niemożliwe. Wcześniej miała to gdzieś.

– Od teraz – odpowiada. Mocno zaciska widelec w pięści, ale wydaje ją przelotne spojrzenie, które rzuca na drugi koniec sali, w stronę podwyższenia. Jej troska nie wynika z dobroci serca. Coś mi mówi, że to rozkaz. – Na porannej zbiórce drużyny zostaną połączone tak, by w każdej sekcji były po dwie – kontynuuje. – Aetos miał w swojej drużynie największą liczbę pierwszaków, które przetrwały, stąd też wasza odznaka. Dlatego będzie mógł zachować dotychczasowy skład, ale zapewne zyskamy kilku członków z tych grup, które nie osiągnęły takiego sukcesu.

Tak dyskretnie, jak tylko się da, zerkam na prawo, na dwa stoliki Czwartego Skrzydła na podwyższeniu, gdzie siedzi Xaden wraz ze swoim zastępcą i dowódcami sekcji, wliczając w to Garricka, którego ramiona wyglądają tak, jakby potrzebowały osobnego krzesła. On pierwszy patrzy w moją stronę, a na jego twarzy odciska się... co? Czy to troska? Szybko jednak odwraca głowę.

Jedynym powodem, dla którego mógłby się martwić, jest to, że... wie. Wie o więzi łączącej mnie z Xadenem.

Przenoszę spojrzenie na Xadena i czuję ucisk w klatce piersiowej. Jest tak cholernie piękny. Najwyraźniej moje ciało nie przejmuje się tym, że jest najbardziej niebezpieczną osobą w całym kwadrancie, bo zalewa mnie żar i aż się rumienię.

Sztyletem obiera jabłko, którego skórka tworzy nieprzerwaną spiralę. Nie przestając, unosi głowę i odnajduje mój wzrok.

Mrowi mnie skóra na całej czaszce.

Bogowie, czy istnieje jakaś część mojego ciała, która nie reaguje na jego widok?

Zerka na Imogen, potem wraca do mnie i to wystarczy, bym utwierdziła się w przekonaniu, że to on kazał jej mnie trenować. Xaden Riorson postanowił utrzymać przy życiu swojego śmiertelnego wroga.

\* \* \*

**K**ilka godzin później, po zmianie składów drużyn i odczytaniu listy poległych, wszyscy studenci pierwszego roku z Czwartego Skrzydła stoją w nowych, skórzanych strojach do latania i czekają na lądowisku przed swoimi smokami. Mundur jest o wiele grubszy niż poprzedni i wyposażony w kurtkę z długim rękawem, którą zapięłam na zbroi ze smoczycich łusek.

W przeciwieństwie do naszych normalnych strojów – jakiegokolwiek byśmy sobie wybrali – uniform do latania jest pozbawiony wszelkich symboli poza stopniem na ramieniu i przynależnością do skrzydła. Żadnych imion, żadnych odznak. Nic, co mogłoby nas wydać, gdybyśmy rozstali się z naszymi smokami za granicą wroga. Najważniejsze, że strój jest wyposażony w mnóstwo otworów na broń.

Staram się nie myśleć o tym, że kiedyś prawdopodobnie będę brać udział w wojnie i skupiam się na otoczeniu. Nie umykają mi spojrzenia, jakimi obdarzają Tairna inni jeźdźcy albo to, że inne smoki omijają go szerokim łukiem. Szczerze mówiąc, gdyby wyszczerzył te kły w moją stronę, też bym się wycofała.

*Nie, nie zrobiłabyś tego, bo wcześniej też nie stchórzyłaś. Zostałaś i broniłaś Andarny, moją głowę wypełnia jego głos i po tonie rozpoznaję, że w tym momencie wolałby być gdzie indziej.*

*Tylko dlatego, że wtedy wiele się działo, odpowiadam. Andarna dzisiaj się nie zjawi?*

*Nie ma powodu, by brała udział w lekcjach latania, skoro nie jest w stanie cię udźwignąć.*

Trafna uwaga. Chociaż byłoby miło się z nią zobaczyć. Andarna w mojej głowie jest cichsza niż Tairn. I nie tak wścibska.

*Słyszałem to. A teraz się skup.*

Przewracam oczami, ale przenoszę uwagę na to, co mówi Kaori stojący pośrodku lądowiska. Unosi rękę i wykorzystuje pomniejszą magię, żebyśmy wszyscy go słyszeli.

Niech bogowie mają nas w swojej opiece, gdy Ridoc się tego nauczy. Powstrzymuję uśmiech, bo wiem, że na pewno znajdzie jakiś sposób, żeby wkurzyć każdego jeźdźcę w kwadrancie, nie tylko w naszej drużynie.

– ...i tylko dziewięćdziesięciu dwóch jeźdźców, co czyni z was najmniejszą grupę do tej pory.

Wzdycham ciężko.

*Myślałam, że jest sto smoków chętnych do wytworzenia więzi. Plus ty.*

*To, że któreś są chętne, nie oznacza, że znajdą kogoś godnego siebie, wyjaśnia Tairn.*

*A jednak wasza dwójka wybrała mnie? Przy czterdziestu jeden wolnych kadetach? Co za obraza.*

*Jesteś nas warta. A przynajmniej tak mi się wydaje, mimo że nie słuchasz na zajęciach. Prycha, a ciepły podmuch pary owiewa mi szyję.*

– Pozostało czterdziestu jeden wolnych jeźdźców, którzy są gotowi zabić, żeby zająć wasze miejsce – ciągnie Kaori. – I wasze smoki dobrze wiedzą, że łącząca was więź jest teraz najsłabsza, więc jeśli upadniecie, jeśli zawiedziecie, istnieje spora szansa, że wasz smok pozwoli wam spaść, o ile uzna, że inny student może być lepszym wyborem.

– Jakie to pocieszające – drwię.

Tairn wydaje odgłos podobny do prychnięcia.

– Teraz wsiądziemy na grzbiet, a następnie wykonamy serię konkretnych manewrów, które smoki już znają. Wasze zadanie jest dzisiaj proste. Musicie utrzymać się na miejscu – dokańcza profesor. Następnie obraca się i biegnie sprintem w stronę swojego smoka, żeby wspiąć się po jego pionowo ustawionej nodze.

Tak samo jak po ostatniej przeszkodzie na Rękawicy.

Przełykam ślinę i zaczynam żałować, że zjadłam takie obfite śniadanie. Odwracam się twarzą do Tairna. Wszyscy inni jeźdźcy wykonują ten sam manewr, aby znaleźć się na grzbiecie. Nie ma mowy, żeby mi się to udało, tym bardziej że moja kostka jeszcze się nie wygoiła.

Tairn wyciąga łapę na bok, żeby ułatwić mi wejście.

Czuję, że porażka zaraz mnie przygniecie. Właśnie związałam się z największym i bez wątpienia najbardziej marudnym smokiem w kwadrancie, a jednak to on musi mi ułatwiać zadania.

*Robię to dla siebie. Widziałem twoje wspomnienia. Nie pozwolę, byś wbiła we mnie sztylety, żeby wspiąć się na górę. A teraz do dzieła.*

Parskam śmiechem i kręcę głową, ale wykonuję polecenie. Przytrzymuję się kolców, żeby zająć miejsce. Uda wciąż mnie bolą po wczorajszym locie, więc z trudem siadam i chwytam za łuskowy łąk.

Smok Kaoriego wzbija się w niebo.

*Trzymaj się mocno.*

Znów czuję energię zaciskającą się wokół moich nóg. Tairn kuca, a potem wznosi się ku chmurom.

Silny wiatr drażni moje oczy, które natychmiast zaczynają łzawić, a żołądek ściska się ze strachu, ale odważam się puścić jedną rękę, żeby nałożyć gogle do latania. Natychmiastowa ulga.

*Musieliśmy polecieć jako drudzy?*, pytam Tairna, gdy wylatujemy z kanionu i wznosimy się wysoko nad łańcuchem górskim. Rozumiem, dlaczego wcześniej tak rzadko widywałam treningi smoków, chociaż praktycznie dorastałam w Basgiacie. Jedynymi ludźmi wokół nas są inni jeźdźcy. *Jeśli zacznę spadać, wszyscy to zobaczą.*

*Zgodziłem się podążyć za Smachdem tylko dlatego, że jego jeździec jest twoim instruktorem.*

*A więc lubisz być pierwszy. Dobrze wiedzieć. Przypomnij mi, żebyś zaczęła więcej czasu spędzać w świątyni, bo może wtedy Dunne wysłucha moich licznych próśb.* Skupiam spojrzenie na Kaorim i czekam na rozpoczęcie manewrów.

*Bogini wojny i siły?* – tym razem prychnięcie Tairna jest wyraźniejsze.

*Co, smoki uważają, że nie potrzebujemy bogów po naszej stronie?* Cholera, ale tu zimno. Mocno zaciskam odziane w rękawiczki dłonie na łęku.

*Smoki nie oddają czci waszym śmiesznym bogom.*

Kaori odbija w prawo, a Tairn podąża za nim, nurkując w dół równolegle do stromego wierzchołka. Mocno zaciskam uda, ale wiem, że Tairn i tak trzyma mnie w miejscu.

Przytrzymuje mnie w trakcie następnego wzniesienia i spirali. Zauważam również, że wykonuje każdy manewr Kaoriego, ale w trudniejszej wersji.

*Wiesz, nie możesz przytrzymywać mnie w nieskończoność.*

*Ale będę. Chyba że chcesz zostać zeskrobana z lodowca poniżej – jak jeździec Gleanna.*

Gwałtownie odwracam głowę, ale widzę tylko kołyszący się w powietrzu ogon Tairna. Masywne kolce blokują mi wszelki widok.

*Nie patrz.*

*Już straciliśmy jeźdźca?* Czuję ucisk w gardle.

*Gleann źle wybrał. Poza tym jego więzi nigdy nie są silne.*

Na bogów.

*Jeśli będziesz trzymać mnie w ten sposób, skupisz się na trzymaniu, a nie na przelewaniu we mnie mocy, która będzie nam potrzebna w bitwie, spieram się.*

*To tylko ułamek mojej mocy.*

Jak niby mam być jeźdźczynią, skoro nawet nie potrafię sama utrzymać się na swoim smoku?

*Niech będzie po twojemu.*

Opaski opadają.

*Dziękuuuuuję... Cholera! Tairn odbija w lewo, a moje uda zaczynają zjeżdżać. Zaraz po nich dłonie. Zsuwam się z jego boku, gorączkowo próbując znaleźć jakieś oparcie dla rąk, ale nic takiego nie ma.*

Szybuję w stronę lodowca, świst powietrza wypełnia moje uszy, a strach chwyta serce, jakby zamknął je w imadle. Kształt ciała na dole staje się coraz wyraźniejszy.

Nagle Tairn łapie mnie między szpony, tak jak w trakcie Odsiewu, i wznosi się wyżej, podrzucając mnie w powietrze. Tym razem jednak jestem przygotowana na zderzenie mojego tyłka z jego grzbietem.

W głowie pojawia mi się zniesmaczony pomruk, którego nie jestem w stanie zrozumieć.

*Co to niby miało znaczyć? – Usiłuję usadowić się w zagłębieniu i przyjąć odpowiednią postawę ciała w locie.*

*Najbliższym tłumaczeniem na ludzki byłoby zapewne „do jasnej cholery”. Ale do rzeczy. Zamierzasz tym razem wysiedzieć spokojnie? Zajmuje miejsce w formacji, a mnie udaje się utrzymać równowagę.*

*Muszę być w stanie utrzymać się sama. Oboje na tym skorzystamy, upieram się.*

*Uparty srebrny człowiek, mamrocze Tairn i nurkuje, podążając za Kaorim.*

Znowu spadam.

I znowu.

I znowu.

\* \* \*

**W**ieczorem po kolacji udaję się na salę treningową. Tyle razy ześlizgnęłam się z grzbietu Tairna, że wszystko mnie boli. Mogłabym przysiąc, że mam siniaki nawet pod pachami, w miejscu, gdzie mnie łapał.

Właśnie przemierzam rotundę i kieruję się w stronę skrzydła akademickiego, gdy słyszę wołającego mnie Daina. Próbuje mnie dogonić.

Czekam na znajomy przypływ radości wynikający z tego, że będziemy mieć chwilę dla siebie, ale on nie nadchodzi. Zamiast tego atmosfera robi się niezręczna i nie wiem, jak mam się z nią uporać.

Co jest ze mną, u licha, nie tak? Dain jest boski, ma wielkie serce, a w dodatku to naprawdę dobry człowiek. Jest honorowy i od zawsze uważam

go za swojego najlepszego przyjaciela, dlaczego więc nie ma między nami chemii?

– Rhiannon powiedziała, że zmierzasz w tym kierunku – mówi, kiedy do mnie dociera. Między jego brwiami dostrzegam zmarszczkę troski.

– Idę na trening. – Zmuszam się do uśmiechu. Pokonujemy zakręt i sala treningowa znajduje się tuż przed nami. Wysokie drzwi są otwarte na oścież.

– Mało ci po dzisiejszym lataniu? – Dotyka mojego ramienia i zatrzymuje się, więc robię to samo. Staję twarzą do niego w pustym korytarzu.

– Spadłam dzisiaj wystarczająco dużo razy. – Sprawdzam bandaż na ramieniu. Przynajmniej nie rozerwałam sobie szwów.

Dain mocno zaciska szczęki.

– Myślałem, że będziesz sobie radzić, skoro Tairn cię wybrał.

– I będę – zapewniam go, podnosząc głos. – Muszę tylko wzmocnić mięśnie, żeby utrzymać się na grzbiecie w trakcie manewrów, tym bardziej że Tairn upiera się, by wykonywać trudniejsze warianty ćwiczeń pokazywanych przez Kaoriego.

*Dla twojego własnego dobra.*

*Czy ty zawsze musisz się przysłuchiwać?, warczę w głowie.*

*Tak. Przywyknij do tego.*

Walczę z potrzebą, by warknąć na tego wścibskiego, nadopiekuńczego...

*Wciąż tu jestem.*

– Violet? – pyta Dain.

– Przepraszam, po prostu nie przywykłam do tego, że Tairn wtrąca się do moich myśli.

– To dobrze. To znak, że więź staje się silniejsza. I szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego tak cię forsuje w trakcie ćwiczeń. Przecież poza gryfami nie ma w powietrzu żadnego zagrożenia i wszyscy wiedzą, że wystarczy jeden ognisty oddech, by usmażyć te ptaszyska. Powiedz, żeby ci trochę odpuścił.

*Powiedz mu, żeby nie wtykał nosa w nie swoje sprawy.*

– Tak... hm... zrobię. – Powstrzymuję śmiech.

*Nie bądź dla niego taki surowy. To mój najlepszy przyjaciel.*

Tairn prycha ostentacyjnie.

Dainowi wyrywa się westchnięcie. Łapie moją twarz w dłonie, zawiesza wzrok na moich ustach, a zaraz potem się cofa.

– Posłuchaj. Co do wczorajszej nocy...

– Mówisz o tym, jak próbowałeś mnie przekonać, że Xaden mnie zabije, jeśli zwiążę się z Tairnem? Czy o tym, jak mnie pocałowałeś? – Krzyżuję ramiona na klatce piersiowej, uważając na prawą rękę.



– O pocałunku – przyznaje nieśmiało. – Nigdy nie powinno było do niego dojść.

Ogarnia mnie ulga.

– To prawda. – Posyłam mu uśmiech. Całe szczęście podziela moje uczucia. – I to wcale nie oznacza, że nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Najlepszymi przyjaciółmi – zgadza się, jednak w jego oczach dostrzegam smutek, którego nie rozumiem. – I nie chodzi o to, że cię nie pragnę...

– Co? – Unoszę brwi. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Chyba się nie zrozumieliśmy.

– Mówię o tym samym, co ty. – Marszczy brwi. – Ludzie krzywo patrzą na romans z podwładnym.

– Och. – Tak, mnie chodziło o coś zupełnie innego.

– I dobrze wiesz, jak ciężko pracowałem, żeby zostać dowódcą drużyny. Za rok chcę ubiegać się o pozycję dowódcy skrzydła i chociaż wiele dla mnie znaczysz... – Kręci głową.

Och. A więc jemu chodzi wyłącznie o zasady.

– No tak. – Z rozmysłem przytakuję. Rozumiem. To, że jego jedynym powodem przeciwko relacji jest awans, w ogóle mnie nie boli. Jednak tracę do niego odrobinę szacunku, a nie sądziłam, że kiedyś do tego dojdzie.

– Ale może za rok, jeśli będziesz w innym skrzydle, albo w ogóle po rozdaniu dyplomów – zaczyna z nadzieją w oczach.

– Sorrengail, dalej. Nie będę tu czekać całą noc – woła Imogen z progu, krzyżując ramiona na klatce piersiowej. – Oczywiście jeśli dowódca naszej drużyny z tobą skończył.

Dain zdziwiony odchyła głowę i przeskakuje wzrokiem między mną a Imogen.

– Ona cię trenuje?

– Sama zaproponowała. – Wzruszam ramionami.

– Kwestia lojalności wobec drużyny i tak dalej. Bla, bla, bla. – Imogen posyła mu uśmiech, który nie sięga jego oczu. – Nie martw się. Zaopiekuję się nią. Na razie, Aetos.

Rzucam Dainowi przelotne spojrzenie i odchodzę. Nie mam zamiaru oglądać się, żeby sprawdzić, czy dalej tam stoi. Imogen podąża za mną i prowadzi mnie do miejsca, w którym szkło spotyka się z kamieniem, a potem otwiera drzwi, których wcześniej tu nie zauważyłam.

Magiczne światła roztaczają w pomieszczeniu blask i moim oczom ukazują się najróżniejsze drewniane przyrządy z półkami, linami i krążkami, a także ławki z dźwigniami oraz drążki przytwierdzone do ścian.

Po drugiej stronie na macie jedna z Tyrrenek, którą tamtej nocy widziałam pod drzewem, ćwiczy pompki, a obok niej kuca Garrick i ją pospiesza.

– Nie przejmuj się, Sorrengail – rzuca cukierkowo słodkim tonem Imogen. – Jest nas tutaj tylko trójka. Nic ci nie grozi.

Garrick odwraca się i napotyka moje spojrzenie. Kiwa mi głową i wraca do zadania.

– Jesteś tu jedyną osobą, którą mogę się przejmować – stwierdzam, kiedy dziewczyna prowadzi mnie do maszyny z wypolerowanym drewnianym siedzeniem i dwiema obitymi kostkami, które spotykają się na wysokości kolan.

Imogen wybucha śmiechem. Wydaje mi się, że to pierwszy szczery dźwięk, który usłyszałam z jej ust.

– Trafna uwaga. Skoro nie możemy trenować z tymi twoimi kontuzjami, dopóki się nie wygoją, będziemy musiały zacząć pracować z najważniejszymi mięśniami, dzięki którym utrzymasz się na smoku. – Obrzuca moje ciało spojrzeniem i wzdycha z wyraźnym niesmakiem. – Tymi słabymi mięśniami po wewnętrznej stronie ud.

– Robisz to tylko dlatego, że Xaden cię zmusił, prawda? – pytam, usadawiając tyłek na siedzeniu. Kolana przykładam do obitych kostek, a ona ustawia maszynę.

Patrzy mi w oczy, jednocześnie mrużąc swoje.

– Zasada numer jeden. Dla ciebie to Riorson, żółtodziobie, i nigdy nie podważaj jego zdania. Przenigdy.

– To dwie zasady. – Zaczynam podejrzewać, że moje początkowe domysły są prawdziwe. Wykazują wobec siebie taką lojalność, że muszą być kochankami.

Nie jestem zazdrosna. Nie. To nieprzyjemne uczucie rozlewające się po mojej piersi nie jest zazdrością. Nie może nią być.

Imogen parska ironicznym śmiechem i podnosi dźwignię, dzięki której na kostki zostaje wywarty większy nacisk i moje uda rozsuwają się na boki.

– A teraz bierz się do roboty. Zaciśnij je tak, jak w początkowej pozycji. Trzydzieści powtórzeń.

*Nie ma nic świętszego niż Archiwa. Świątynie mogą zostać odbudowane, lecz księzek nie da się napisać od nowa.*

*Jak odnieść sukces w Kwadrancie Skrybów autorstwa pułkownika Daxtona*



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ciągnę skrzypiący drewniany wózek biblioteczny przez most łączący Kwadrant Jeźdźców z Kwadrantem Medyków, a potem mijam drzwi izby chorych i docieram do serca Basgiathu.

Znajomą drogę, którą mogłabym pokonać nawet z zamkniętymi oczami, oświetlają mi magiczne światła. Gdy docieram niżej, moje płuca wypełniają się zapachami ziemi i kamienia. Ukłucie tęsknoty w sercu, które doskwierało mi codziennie przez ostatni miesiąc, odkąd przypisano mnie do obowiązkowego dyżuru w Archiwach, z dnia na dzień staje się coraz znośniejsze.

Kiwam głową na skrybę z pierwszego roku, który zrywa się z krzesła przy wejściu do Archiwów i pospiesznie otwiera mi wielkie drzwi przypominające wrota do skarbcza.

– Dzień dobry, kadetko Sorrengail – wita się, przytrzymując mi drzwi. – Wczoraj się minęliśmy.

– Dzień dobry, kadecie Pierson. – Uśmiecham się i popycham wózek naprzód. – Cieszę się, że mam okazję odbyć obowiązkowe dyżury w moim ulubionym miejscu. – Wczoraj nie czułam się dobrze. Cały dzień kręciło mi się w głowie, zapewne z powodu odwodnienia, ale przynajmniej udało mi się odpocząć.

Archiwa pachną pergaminem, klejem introligatorskim oraz tuszem. Pachną domem.

Wzdłuż ogromnej przestrzeni ciągną się rzędy wysokich na dwadzieścia stóp regałów. Napawam się tym widokiem, czekając przy biurku obok wejścia. W tym miejscu spędzałam większość swojego czasu przez ostatnie pięć lat. Tylko skrybowie mogą wejść dalej, a ja jestem jeźdźczynią.

Ta myśl wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Podchodzi do mnie kobieta w kremowej tunice i kapturze, z pojedynczym złotym trójkątem wyszytym na ramieniu. Jest na pierwszym roku. Kiedy ściąga z głowy nakrycie i odsłania długie brązowe włosy, uśmiecham się jeszcze szerzej.

– Jesinia! – migam.

– Kadetka Sorrengail – odpowiada gestem dłoni. Jej jasne oczy błyszczą, ale powstrzymuje się od uśmiechu.

W tym momencie, tylko przez sekundę, czuję wstręt do rytuałów i zwyczajów obowiązujących skrybów. Mogłabym bez problemu wyściskać przyjaciółkę na powitanie, ale ona dostałaby naganę za brak opanowania. Bo jeśli się uśmiechną, jeszcze ktoś sobie pomyśli, że nie traktują swojej pracy na poważnie i nie są jej oddani.

– Naprawdę dobrze cię widzieć – migam, nie mogąc przestać się szczerzyć. – Słyszałam, że zdałaś egzamin.

– Tylko dlatego, że przez ostatni rok uczyłam się z tobą – odpowiada i zaciska usta, żeby powstrzymać uśmiech. Szybko jednak mina jej rzednie. – Przeraziłam się, kiedy usłyszałam, że zostałam wysłana do Kwadrantu Jeźdźców wbrew swojej woli. Jak sobie radzisz?

– W porządku – zapewniam ją i szukam w pamięci odpowiedniego znaku dla smoczej więzi. – Jestem związana ze smokiem i... – Moje uczucia są skomplikowane, ale przypominam sobie, jak to było latać na grzbiecie Tairna, jak Andarna motywowała mnie w trakcie treningów z Imogen, gdy już myślałam, że moje mięśnie dłużej nie wytrzymają, jak to jest mieć prawdziwych przyjaciół. – Jestem szczęśliwa.

Jej oczy otwierają się ze zdziwienia.

– A nie martwisz się nieustannie, że... – Rozgląda się na prawo i lewo, by upewnić się, że nikt się nam nie przysłuchuje. – No wiesz... umrzesz?

– Jasne. – Kiwam głową. – Ale, o dziwo, można się do tego przyzwyczaić.

– Skoro tak twierdzisz. – Nie wydaje się przekonana. – A teraz zajmijmy się twoją pracą. Czy wszystkie te książki są do zwrócenia?

Przytakuję i sięgam do kieszeni po niewielki zwój papieru. Podaję go koleżance, a potem migam:

– Profesora Devera prosi o te pozycje. – Opiekujący się naszą niewielką biblioteką jeździec wysłał listę potrzebnych ksiąg i tomów do zwrotu co wieczór, a ja co rano przed śniadaniem udaję się do Archiwów. Pewnie dlatego teraz burczy mi w brzuchu.

Dzięki lotom, lekcjom sparingu z Rhiannon i torturom Imogen spalam więcej kalorii, co oznacza, że potrzebuję więcej jedzenia.

– Coś jeszcze? – pyta, wkładając zwój do kieszeni ukrytej w połach szaty.

Niespodziewanie uderza mnie tęsknota za domem. Może to przez wizytę w Archiwach.

– Czy macie tutaj może egzemplarz *Baśni z Pustkowi*? – Mira miała rację, kiedy odradziła mi zabranie tej książki, ale byłoby miło spędzić wieczór z ulubioną historią.

Jesinia marszczy brwi.

– Nie kojarzę takiej pozycji.

Mrugam ze zdziwienia.

– To nie jest książka na zajęcia ani nic w tym rodzaju, tylko zbiór baśni, które kiedyś dostałam od taty. To, mówiąc szczerze, dosyć mroczna książka, ale ją uwielbiam. – Waham się przez chwilę, ale nikt ostatnio nie słyszał o wiwernach ani tym bardziej o veninach, więc postanawiam doprecyzować. – To historia o wiwernach, veninach, magii, walce dobra ze złem... no wiesz, same przyjemne tematy. – Uśmiecham się. Jeśli miałabym wskazać osobę, która podziela moją miłość do książek, na pewno byłaby to Jesinia.

– Nigdy o niej nie słyszałam, ale rozejrzę się, gdy będę odkładać te tomy.

– Dziękuję. Będę ci wdzięczna. – Skoro wkrótce sama będę władać magią, przyda mi się kilka opowiadań o tym, jak kończą ludzie, którzy profanują jej źródło. Bez wątpienia napisano je jako parabolę, aby ostrzec nas przed niebezpieczeństwem wiązania się ze smokami, ale w trakcie trwającego od sześciuset lat zjednoczenia Navarry ze smokami jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby jakiś jeździec zatracił duszę z powodu mocy.

Jesinia kiwa głową, popycha wózek i znika między regałami.

Na ogół zebranie wszystkich pozycji dla wykładowców i kadetów z mojego kwadrantu zajmuje około piętnastu minut, ale chętnie poczekam. Mijają mnie skrybowie, niektórzy zebrani w grupach odbywających praktykę do roli historyków naszego królestwa, a ja przyglądam się każdej zakapturzonej postaci, szukając twarzy, której na pewno nie znajdę – mojego ojca.

– Violet?

Odwracam się w lewo i zauważam profesora Markhama, który prowadzi grupę skrybów z pierwszego roku.

– Dzień dobry, panie profesorze. – Utrzymanie przy nim neutralnego wyrazu twarzy jest łatwiejsze, bo wiem, że się tego spodziewa.

– Nie miałem pojęcia, że zlecono ci sprawunki w bibliotece. – Zerka w stronę miejsca, gdzie Jesinia zniknęła za regałami. – Czy ktoś już cię obsługuje?

– Jesinia... – zaczynam i pluję sobie w brodę. – To znaczy kadetka Neilwart jest bardzo pomocna.

– Wiecie – zwraca się w stronę pięcioosobowej drużyny, która mnie otacza. – Kadetka Sorrengail była moją najlepszą uczennicą, dopóki nie wykradł jej

Kwadrant Jeźdźców. – Spogląda na mnie spod kaptura. – Miałem nadzieję, że tu wróci, lecz ona związała się nie z jednym, a z dwoma smokami.

Stojącej na prawo od niego dziewczynie wyrywa się okrzyk zdumienia, ale szybko zakrywa usta i mamrocze przeprosiny.

– Nie przejmuj się. Moja reakcja była taka sama.

– Być może mogłabyś wyjaśnić coś kadetowi Nasyemu, który dopiero co narzekał, że w Archiwach nie ma świeżego powietrza. – Profesor przenosi wzrok na chłopaka stojącego po lewej. – Ta grupa właśnie zaczyna zmianę w Archiwach.

Kadet Nasya pod kremowym kapturem robi się czerwony jak burak.

– To element systemu bezpieczeństwa przeciwdziałający pożarom – wyjaśniam. – Im mniej powietrza, tym mniejsza szansa, że nasza historia doszczętnie spłonie.

– A te duszące kaptury? – Nasya unosi brew.

– Dzięki nim nie wyróżniasz się na tle tomów – informuję go. – Ma to oznaczać, że nikt ani nic nie jest ważniejsze od dokumentów i książek trzymany w tym pomieszczeniu. – Rozglądam się wokół i znowu uderza mnie poczucie tęsknoty za domem.

– Zgadza się. – Profesor wbija w chłopaka karcące spojrzenie. – A teraz proszę nam wybaczyć, kadetko Sorrengail, musimy zająć się pracą. Zobaczymy się jutro na analizie wojennej.

– Tak jest. – Odsuwam się, żeby grupa mogła przejść.

*Czemu jest ci przykro?*, w mojej głowie odzywa się cichy głos Andarny.

*Właśnie odwiedzam Archiwa. Nie musisz się martwić*, odpowiadam.

*Trudno jest kochać drugi dom tak samo jak pierwszy.*

Przełykam ślinę.

*To łatwe, jeśli drugi dom jest tym właściwym. I tym właśnie musi stać się Kwadrant Jeźdźców. Właściwym domem. Tęsknota za spokojem i samotnością, które potrafiłam odnaleźć tylko tutaj, nie może się równać z adrenaliną towarzyszącą mi podczas lotu.*

Jesinia wraca z wózkiem wyladowanym niezbędnymi książkami oraz listami zaadresowanymi do profesorów z mojego kwadrantu.

– Przykro mi, ale nie mogłam znaleźć tej książki – miga. – Nawet przeszukałam katalog pod kątem słowa wiwerna, bo, jeśli dobrze pamiętam, wspomniałaś o niej, ale niczego takiego się nie doszukałam.

Patrzę na nią zdezorientowana. Nasze Archiwa posiadają kopię lub oryginał niemal każdej książki w Navarze. Wyjątek stanowią jedynie zakazane lub niezwykle rzadkie tomy. Kiedy folklor został zaliczony do którejś z tych kategorii? Chociaż, jak się nad tym zastanowić, gdy przygotowywałam się tutaj

do egzaminu na skrybkę, ani razu nie trafiłam na egzemplarz *Baśni z Pustkowi* na półkach. Chimery? Tak. Kraken? Owszem. Ale wiwerny czy veniny, które je tworzą? Nigdy. To dziwne.

– Nic się nie stało. Dziękuję, że to sprawdziłaś – odpowiadam na migi.

– Wyglądasz jakoś inaczej – zauważa i podaje mi wózek.

Robię wielkie oczy.

– Nie w złym znaczeniu tego słowa. Po prostu... inaczej. Masz smuklejszą twarz i nawet postawa jest... – Kręci głową.

– Dużo trenuję. – Zawieszam głos i opuszczam ręce, zastanawiając się nad odpowiedzią. – Jest ciężko, ale nie narzekam. Robię się coraz szybsza na macie.

– Na macie? – Marszczy brwi.

– W trakcie sparingów.

– Ach, tak. Zapominam, że wy ze sobą walczyacie. – Jej oczy wypełnia współczucie.

– Naprawdę nic mi nie jest – zapewniam. Nie zamierzam jednak mówić, ile razy widziałam Orena ściskającego w mojej obecności szept, albo o tym, jak Jack posyła mi pełne nienawiści spojrzenia. – A co u ciebie? Jest tak, jak sobie wyobrażałaś?

– Nawet lepiej. Jestem odpowiedzialna nie tylko za dokumentowanie historii, ale również za szybkie przekazywanie informacji z frontu. Dzięki temu czuję się spełniona. – Zaciska wargi.

– To dobrze. Cieszę się – mówię szczerze.

– Ale martwię się o ciebie. – Zaczerpuje oddechu. – Powiększająca się liczba ataków na granicy... – Marszczy czoło z zatroskaniem.

– Wiem. Słyszeliśmy o nich w trakcie analizy wojennej. – Zawsze jest to samo. Atak na słabnące bariery, grabienie wioski w górach i śmierć wielu jeźdźców. Serce mi się kraje za każdym razem, gdy dostajemy raporty, które coraz trudniej mi je analizować.

– A Dain? – pyta, kiedy zmierzamy w stronę wyjścia. – Widziałaś się z nim?

Mój uśmiech blednie.

– To historia, którą opowiem przy innej okazji.

Wzdycha.

– Postaram się być tu, gdy zjawisz się ponownie, żebyśmy mogły się zobaczyć.

– W takim razie nie mogę się doczekać. – Mam ochotę ją wyściskać, ale powstrzymuję się i wychodzę na korytarz.

Kiedy wracam z biblioteki i docieram do kolejki po obiad, nasza przerwa niemal dobiega końca, co oznacza, że muszę szybko zjeść. W międzyczasie przysłuchuję się rozmowom naszej starej drużyny. Nowi członkowie, dwie osoby z pierwszego roku i dwie z drugiego, które dołączyły do nas po rozwiązaniu

trzeciej drużyny, zajmują stolik obok. Nie chcą siedzieć z nikim, kto nosi symbol rebelii.

To niech się pieprzą.

– Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś tak zaręczystego – ciągnie Ridoc. – W jednej chwili walczył z tym gościem z trzeciego roku, który wymachuje mieczem jak profesjonalista, a potem Sawyer...

– Może pozwól, żeby to on opowiedział tę historię – wtrąca się Rhiannon, przewracając oczami.

– Nie, dziękuję – odpowiada Sawyer i kręci głową, jednocześnie patrząc z obawą na swój widelec.

Ridoc z zadowoleniem dokańcza historię.

– A potem miecz w ręce Sawyera wykręcił się i wygiął w stronę chłopaka z trzeciego roku. Co prawda daleko mu było do celu... – Rzuca Sawyerowi przepaszające spojrzenie. – Wybacz, stary, ale tak było. Gdyby twój miecz się nie wykrzywił, facet straciłby rękę...

– Jesteś metalurgikiem? – Quinn unosi brwi. – Naprawdę?

O cholera, Sawyer potrafi kontrolować metale? Przelykam kęs indyka i patrzę na niego oniemiała. Z tego, co mi wiadomo, jest jedynym spośród nas, który wykazał jakieś umiejętności magiczne, a tym bardziej moc więzi.

Sawyer kiwa głową.

– Tak właśnie mówi Carr. Kiedy Aetos to zobaczył, zaprowadził mnie prosto do profesora.

– Ale ci zazdroszczę! – Ridoc łapie się za klatkę piersiową. – Też chcę, żeby moja moc się objawiła!

– Na moim miejscu byś się tak nie cieszył. Teraz boję się, że widelec wbije mi się w podniebienie, bo nie jestem w stanie nad tym zapanować. – Sawyer odpycha tacę.

– Masz rację. – Ridoc wbija wzrok we własny talerz.

– Moc się objawi, kiedy twój smok zaufa ci na tyle, by ją w ciebie przelać – wyjaśnia Quinn. – Módlcie się jednak, by doszło do tego szybciej niż za pół roku, bo... – Naśladuje dźwięk eksplozji i wykonuje stosowny gest.

– Przestań straszyć dzieci – wtrąca Imogen. – Coś takiego nie wydarzyło się od – milknie, żeby się zastanowić – wielu dekad. – Kiedy wszyscy przenoszą na nią spojrzenie, przewraca oczami. – Posłuchajcie, symbole, które smoki wymalowały na waszych skórkach w trakcie Odsiewu, mają przewodzić energię do waszego ciała. Jeśli nie objawi wam się moc i nie znajdzie ona ujścia, to po kilku miesiącach dzieją się złe rzeczy.

Wszyscy patrzą na nią z przerażeniem.

– Magia was pochłonie – dodaje Quinn i znowu naśladuje odgłos eksplozji.



– Wyluzujcie, to nie jest żaden sztywny termin, ani nic z tych rzeczy. Po prostu po takim czasie częściej dochodzi do kumulacji i eksplozji mocy.

– No świetnie, tutaj człowiek nigdy się nie nudzi – narzeka Ridoc.

– Teraz zaczynam się cieszyć – stwierdza Sawyer, patrząc na swój widelec.

– Załatwimy ci jakieś drewniane sztucce – zapewniam go. – I pewnie powinieneś unikać zbrojowni, a także... sparingów z jakąkolwiek bronią.

Sawyer parska śmiechem.

– Dobry pomysł. Przynajmniej podczas popołudniowych lotów będę bezpieczny.

Od czasu Odsiewu poobiednie lekcje latania na dobre weszły do naszego planu zajęć. Skrzydła korzystają z lądowiska na zmianę i dziś jest nasz szczęśliwy dzień tygodnia.

Czuję mrowienie na skórze głowy i wiem, że jeśli się odwrócę, zobaczę przyglądającego się nam Xadena, który obserwuje mnie badawczo. Nie obrócę się jednak, bo nie chcę dać mu tej satysfakcji. Od Odsiewu nie odezwał się do mnie słowem. To jednak nie oznacza, że zostawił mnie na pastwę losu. Co to, to nie. Ktoś ze starszych roczników zawsze mnie pilnuje, gdy przemierzam korytarze albo idę wieczorem do sali treningowej.

I wszyscy ci studenci mają na rękach symbole rebelii.

– Wolałam, kiedy mieliśmy te zajęcia rano – przyznaje Rhiannon z kwaśną miną. – Po śniadaniu i obiedzie jest jeszcze gorzej.

– Zgadzasz się – udaje mi się wydusić pomiędzy kęsami.

– Lepiej zjedz tego indyka – rozkazuje Imogen. – Zobaczymy się wieczorem. – Razem z Quinn zabierają tace do okienka zmywalni.

– Jest trochę miłsza, kiedy cię trenuje? – pyta Rhiannon.

– Nie. Ale jest skuteczna. – Dokańczam mięso. Kadeci zaczynają opuszczać stołówkę, więc my też podchodzimy do zmywalni.

– Jaki jest profesor Carr? – pytam Sawyera i odkładam tacę na stos. Profesor umiejętności magicznych jest jedynym, którego jeszcze nie poznałam, ponieważ nie objawiła mi się żadna moc.

– Przerazający – odpowiada. – Nie mogę się doczekać, aż reszta roku również zacznie u niego zajęcia i doświadczy jego osobliwego traktowania.

Mijamy salę jadalną, rotundę i wychodzimy na dziedziniec, zapinając płaszcze. Listopad przywitał nas rano oszronioną trawą i silnym wiatrem, co oznacza, że wkrótce zacznie padać śnieg.

– Wiedziałem, że to zadziała! – wykrzykuje idący przed nami Jack Barlowe. Prowadzi pod rękę jakąś dziewczynę i czule tarmosi jej włosy.

– Czy to nie jest Caroline Ashton? – pyta Rhiannon i szeroko rozdziawia usta na widok Caroline, która kieruje się do skrzydła akademickiego

w towarzystwie Jacka.

– Tak. – Ridoc cały się spina. – Dzisiaj rano związała się z Gleannem.

– A czy on nie miał przypadkiem jeźdźca? – Rhiannon odprowadza ich wzrokiem.

– Jego jeździec zmarł podczas naszej pierwszej lekcji latania. – Skupiam wzrok na bramie prowadzącej na lądowisko.

– Wygląda na to, że niezwiązani wciąż czekają na swoją szansę – mamrocze Rhiannon.

– Tak. – Sawyer przytakuje z miną wyrażającą niepokój. – Na to wygląda.

\* \* \*

**W** trakcie tego lotu spadłaś tylko kilkanaście razy, zauważa Tairn, kiedy wracamy na lądowisko.

*Nie jestem pewna, czy uznać to za komplement. Oddycham głęboko i staram się uspokoić szalejące serce.*

*Jak wolisz.*

W duchu przewracam oczami i podnoszę się, a Tairn wyciąga nogę w bok, żebym mogła ześlizgnąć się na dół. Mamy ten ruch wyćwiczony do tego stopnia, że ledwie zauważam innych jeźdźców, którzy są w stanie zeskokczyć lub zejść we właściwy sposób.

*Poza tym zawsze mógłbyś mi to ułatwić.*

*Och, dobrze o tym wiem.*

*To nie ja wykonuję gwałtowne spirale, podczas gdy Kaori uczy nas pikowania. Ląduję na ziemi i patrzę na smoka z uniesioną brwią.*

*Przygotowuję cię do bitwy, a on uczy was sztuczek dla dzieci. Mruga złotymi ślepiami i odwraca głowę.*

*Myślisz, że moglibyśmy poprosić Andarnę, żeby dołączyła do nas za tydzień? Oglądam smoka tak, jak uczył nas Kaori: szukam odłamków skał, które mogły utknąć między jego szponami albo pod łuskami na brzuchu.*

*Nie jestem głupi. Wiem, kiedy coś tkwi między moimi łuskami. A poza tym nie prosiłbym Andarny, chyba że sama wyrazi chęć. Nie byłaby w stanie nadążyć i ściągałaby na siebie niepotrzebnie uwagę.*

*Prawie wcale jej nie widuję, jęczę. Ciągle muszę się użerać z tobą, marudo.*

*Zawsze tu jestem, odzywa się Andarna, jednak nigdzie nie dostrzegam błysku złota. Najpewniej jak zawsze siedzi w Kotle, ale tam przynajmniej jest bezpieczna.*

*Ten maruda właśnie złapał cię kilkanaście razy, srebrnowłosa.*

*Wiesz, mógłbyś mówić mi po imieniu.* Uważnie przyglądam się wszystkim rzędom łusek. Jednym z największych zagrożeń dla smoków są małe obiekty, które dostają się pod ich łuski i przyczyniają do infekcji, a one nie są w stanie się ich pozbyć.

*Wiem,* odpowiada. *Mógłbym również nazywać cię Violence jak dowódca skrzydła.*

*Nie ośmieliłbyś się.* Mrużę oczy i przesuwam się, żeby przyjrzeć się klatce piersiowej i szyi. *Dobrze wiesz, jak ten drań mnie wkurza.*

*Wkurza cię?* Tairn chichocze. Brzmi przy tym jak parszający kot. *A więc tak to się nazywa, kiedy twoje serce przyspiesza...*

*Nawet nie zaczynaj.*

W piersi Tairna rozlega się warkot, który wprawia moje kości w drżenie. Odwracam się gwałtownie, zbliżając dłonie do pochew z ostrzami.

*To tylko Dain.* Wychodzę spomiędzy przednich łap Tairna, a Dain zatrzymuje się kilkanaście stóp dalej.

*Z gniewem nie jest mu do twarzy,* warczy znowu, a buchająca z jego nozdrzy para owiewa mi kark.

*Spokojnie,* mówię i oglądam się przez ramię. Moje brwi wędrują aż po linię włosów.

Tairn wbija złote ślepia w Daina tak, jakby chciał go zabić, a z obnażonych zębów kapie ślina.

*Zachowuj się,* upominam go.

*Powiedz mu, że jeśli cię skrzywdzi, spalę go na miejscu.*

*Do jasnej cholery, Tairn.* Przewracam oczami i podchodzę do Daina, który mocno zaciska szczęki, ale jego oczy są pełne obawy.

*Powiedz mu, bo będę musiał rozmówić się z Cathem.*

– Tairn mówi, że jeśli mnie skrzywdzisz, to cię spali – zaznaczam. Smoki wznoszą się w powietrze bez swoich jeźdźców i zmierzają w stronę Kotła. Ale nie Tairn. O nie, on wciąż stoi za mną jak nadopiekuńczy ojciec.

– Przecież cię nie skrzywdzę! – oponuje Dain.

*Co do słowa, srebrnowłosa.*

Powoli wypuszczam powietrze.

– Przepraszam. Powiedział dokładnie, że spali cię na miejscu, jeśli mnie skrzywdzisz. – Obracam się do smoka. – Teraz lepiej?

Tairn mruga w odpowiedzi.

Dain przygląda mi się w milczeniu, ale zauważam gniew, przed którym ostrzegwał mnie Tairn.

– Prędzej bym umarł, niż cię skrzywdził, i dobrze o tym wiesz.

*Zadowolony?,* zwracam się do Tairna.

*Jestem głodny. Chyba dołączę do stada. Zrywa się, machając wielkimi skrzydłami.*

– Muszę z tobą porozmawiać – oznajmia posępnie Dain i mruży oczy.

– Dobra, odprowadź mnie. – Gestem daję znać Rhiannon, by szła beze mnie, więc dołącza do pozostałych, a my z Dainem zostajemy na końcu.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że nie potrafisz utrzymać się na grzbiecie? – wykrzykuje, łapiąc mnie za łokieć.

– Słucham? – Wyrrywam mu się.

Tairn warczy w moim umyśle.

*Poradzę sobie, uprzedzam go.*

– Przez cały ten czas pozwalałem, by Kaori cię uczył, bo myślałem, że masz wszystko pod kontrolą. W końcu gdyby jeźdźczyni najsilniejszego smoka w całym kwadrancie nie mogła utrzymać się na grzbiecie, to wiedzielibyśmy o tym. – Przeczesuje ręką włosy. – A już na pewno ja bym wiedział, że moja najlepsza przyjaciółka spada za każdym pieprzonym razem, gdy wsiada na smoka!

– To nie jest żaden sekret! – Krew się we mnie gotuje. – Wszyscy w naszym skrzydle o tym wiedzą! Przykro mi, że nie nadążasz za swoją drużyną, ale zaufaj mi, Dain. I nie dam ci się pouczać jak dziecko. – Odchodzę zamaszystym krokiem.

– Nie powiedziałaś mi o tym – wytyka, a gniew w jego głosie ustępuje bólowi. Szybko mnie dogania.

– Nie widzę problemu. – Kręcę głową. – W razie potrzeby Tairn potrafi przytrzymać mnie na miejscu za pomocą magii, ale to ja proszę go, by poluzował opaski. I na twoim miejscu dobrze bym się zastanowiła, zanim poszłabym do niego z pretensjami. To taki typ, który najpierw zionie ogniem, a dopiero potem zadaje pytania.

– To wielki problem, ponieważ on nie może przelać...

– Pełni swoich mocy? – dokańczam, kiedy schodzimy z lądowiska i podążamy schodami, które ciągną się obok Rękawicy. – Wiem o tym. Jak ci się wydaje, dlaczego poprosiłam go, żeby przestał mnie przytrzymywać? – Frustracja rozpiera mnie od środka i pochłania wszelkie racjonalne myśli.

– Latasz już od miesiąca i wciąż spadasz – wypomina, podążając za mną po stopniach.

– Tak jak połowa skrzydła, Dain!

– Ale nie po kilkanaście razy – odszczekuje. Depcze mi po piętach, więc przyspieszam, żeby dotrzeć do ścieżki prowadzącej do cytadeli. Żwir chrzęści pod moimi stopami. – Ja chcę tylko ci pomóc, Vi. Jak mogę to zrobić?

Wzdycham, słysząc płaczliwy ton jego głosu. Zapominam, że to mój najlepszy przyjaciel i że każdego dnia musi obserwować, jak ryzykuję życiem. Nie wiem, jak ja bym się czuła, gdyby sytuacja się odwróciła. Pewnie byłabym równie zmartwiona, więc staram się rozluźnić atmosferę i rzucam:

– Trzeba było widzieć mnie miesiąc temu, kiedy spadałam po trzydzieści razy dziennie.

– Trzydzieści razy? – podnosi głos.

Zatrzymuję się przy wejściu do tunelu i uśmiecham.

– To brzmi gorzej niż w rzeczywistości, Dain. Zapewniam cię.

– Czy powiesz mi chociaż, z jaką częścią latania masz problem? Pozwól mi sobie pomóc.

– Chcesz poznać listę moich wad? – Przewracam oczami. – Mam za słabe uda, ale je wzmacniam. Nie mogę utrzymać rękami łęku, ale je też trenuję. Mój biceps zagoił się dopiero po dwóch tygodniach, więc już mogę ćwiczyć. Nie musisz się jednak o mnie martwić. Imogen pomaga mi nabrać masy mięśniowej.

– Bo Riorson ją o to poprosił – domyśla się, krzyżując ramiona na klatce piersiowej.

– Pewnie tak, a jakie to ma znaczenie?

– Bo on nie ma na względzie twojego dobra. – Kręci głową. Nagle wydaje mi się zupełnie obcym człowiekiem. – Najpierw nagięłaś zasady, żeby wspiąć się po Rękawicy. Amber przez godzinę suszyła mi głowę o tym, że zachowałam się haniebnie.

Haniebnie? Mam tego dosyć.

– A ty tak po prostu jej uwierzyłeś? I nie zapytałeś mnie o to, co się wydarzyło?

– Ona jest dowódczynią skrzydła, Vi. Nie mogę kwestionować jej wiedzy!

– Udowodniłam, że zgodnie z Kodeksem mogłam tak postąpić, a Riorson to zaakceptował. On również jest dowódcą skrzydła.

– Dobra. Upiekło ci się. Nie zrozum mnie źle, ale nie byłbym w stanie niczego zrobić, gdyby doszło do procesu. A kiedy już myślałem, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko przetrwasz Odsiew, ty związałaś się z najsilniejszym smokiem... – Kręci głową.

– No dalej, powiedz to. – Zaciskam dłonie w pięści, a paznokcie wbijam w skórę.

– Jestem przerażony tym, że nie dotrwasz do rozdania dyplomów, Vi. – Zwiesza ramiona i dodaje: – Dobrze wiesz, co do ciebie czuję i nawet jeśli nic nie mogę z tym zrobić, jestem przerażony.

A po tych ostatnich słowach miarka się przebrała. Śmiech podchodzi mi do gardła.

Dain wytrzeszcza oczy.

– Ta szkoła odsłania to, jaki człowiek jest naprawdę. Tu nie ma miejsca na bzdury i uprzejmości, bo każdemu opadają klapki z oczu. – Powtarzam słowa, które usłyszałam od niego tego lata. – Chyba tak mi powiedziałeś? Czy taki właśnie jesteś naprawdę? Tak bardzo zakochany w zasadach, że nawet nie wiesz, kiedy je nagiąć lub złamać dla kogoś, na kim ci zależy? Jesteś kimś tak skupionym na mojej potencjalnej porażce, że nawet nie zauważasz, do czego jestem zdolna?

Całe ciepło ulatuje z jego oczu.

– Ustalmy sobie jedno, Dain. – Robię krok w jego stronę, mimo to dystans między nami, a przynajmniej ten metaforyczny, powiększa się. – To nie przez twoje zasady nigdy nie będziemy kimś więcej niż przyjaciółmi, tylko dlatego, że nie pokładasz we mnie wiary. Nawet teraz, kiedy wbrew wszystkiemu przetrwałam i związałam się nie z jednym, lecz dwoma smokami, ty wciąż uważasz, że mi się nie uda. A więc wybaczone, ale właśnie opadły mi klapki z oczu. – Wymijam go i ruszam tunelem, oddychając głęboko.

Nie pamiętam życia bez Daina, poza ostatnim rokiem, gdy dołączył do Kwadrantu Jeźdźców. Nie jestem jednak w stanie dłużej znieść jego pesymistycznego poglądu na moją przyszłość.

Gdy wychodzę na dziedziniec, ogrzewa mnie słońce. Kadeci wylewają się z sal wykładowych po skończonych zajęciach. Zauważam Xadena i Garricka opartych o ścianę budynku akademickiego, którzy niczym bogowie rozglądają się po swoim królestwie.

Xaden patrzy na mnie z uniesioną brwią, gdy go mijam.

Pokazuję mu środkowy palec.

Nie mam ochoty użerać się z nim dzisiaj.

– Wszystko w porządku? – pyta Rhiannon, kiedy dołączam do niej i reszty.

– Dain to wkurzający...

– Przestańcie! – wydziera się chłopak, który zbiega po schodach rotundy, trzymając się za głowę. Jest na pierwszym roku i należy do Trzeciego Skrzydła. Na analizie wojennej siedzi dwa rzędy przede mną i ciągle upuszcza pióro. – Na bogów, niech to się skończy! – wrzeszczy i wpada na dziedziniec.

Moje dłonie natychmiast odnajdują sztylety.

Po lewej przesuwam się cień. Zerkam w tamtym kierunku i zauważam, że Xaden na wszelki wypadek stanął przede mną.

Tłum się odsuwa i otacza chłopaka z pierwszego roku, który wciąż krzyczy, trzymając się za głowę.

– Jeremia! – woła ktoś przedzierający się przez zebranych.

– Ty! – Jeremia odwraca się i celuje palcem w chłopaka z trzeciego roku. – Uważasz, że mi odbiło! – Przekrzywia głowę, a jego oczy się rozpalają. – Skąd on o tym wie? Nie powinien wiedzieć! – Jego ton się zmienia, ostatnie słowa wypowiada jakby cudzym głosem.

Dreszcz prześlizguje się po moim kręgosłupie.

– I ty! – Znowu się odwraca i wskazuje na chłopaka z drugiego roku, który należy do Pierwszego Skrzydła. – Co jest z nim nie tak? Dlaczego on krzyczy? – Odwraca się po raz kolejny i skupia wzrok na Dainie. – Czy Violet znienawidziła mnie na dobre? Dlaczego nie rozumie, że zależy mi na jej bezpieczeństwie? Skąd...? On mi czyta w myślach!

Cała ta sytuacja jest nieprawdopodobna, zawstydzająca i przerażająca.

– Na bogów – szepczę, a moje serce wali tak głośno, że dosłownie słyszę je w uszach. Zapomnij o wstydzie. Kogo obchodzi, czy Dain o mnie myśli. U Jeremiaha objawiła się moc więzi. Potrafi zaglądać do umysłów – jest myśliłowcą. Ta umiejętność jest równoznaczna z wyrokiem śmierci.

Ktoś odpycha stojącego obok mnie Ridoca i mocno zaciska umięśnioną rękę na moim ramieniu. Zapach mięty, o dziwo, uspokaja bicie mojego serca i nawet nie muszę sprawdzać, kto to.

Jeremiah dobywa miecza.

– Niech ktoś to powstrzyma! Czy nikt tego nie widzi? Myśli nie ustaną! – Jego panika jest wręcz namacalna, dusi mnie w gardle.

– Zrób coś – błagam Xadena, zadzierając głowę, żeby na niego spojrzeć.

Skupia na chłopaku mordercze spojrzenie, ale na dźwięk mojej prośby jego ciało się spina i przygotowuje do ataku.

– Zaczynaj recytować w myślach te książkowe bzdury, których się uczysz.

– Słucham? – syczę.

– Jeśli cenisz sobie swoje sekrety, zajmij czymś myśli. Ale już – rozkazuje Xaden.

Och. Racja.

Nic nie przychodzi mi do głowy, bo ewidentnie znajdujemy się w niebezpieczeństwie. Ee... *Wiele navarriańskich posterunków leży poza naszymi barierami. Te miejsca są uważane za strefy bezpośredniego zagrożenia i mogą stacjonować tam wyłącznie wojskowi, natomiast cywile nie powinni im towarzyszyć.*

– I ty! – Jeremia odwraca się, skupiając spojrzenie na Garricku. – Niech to szlag. Zaraz dowie się o... – Wokół nóg Jeremiaha wiją się cienie, prześlizgują się po klatce piersiowej, a utworzony z nich ciemny knebel zakrywa mu usta.

Przełykam gulę blokującą mi gardło.

Przez tłum przeciska się profesor, a burza białych włosów podskakuje przy każdym jego kroku.

– Jest myśliwca! – krzyczy jeden z gapiów i wygląda na to, że ta informacja wystarcza.

Profesor chwyta głowę Jeremiaha w obie dłonie i rozlega się chrupnięcie, które odbija się echem od ścian dziedzińca. Cienie Xadena rozwiewają się, a chłopak upada na ziemię z głową skreconą pod nienaturalnym, makabrycznym kątem. Ma złamany kark.

Profesor pochyla się i podnosi ciało chłopaka z zaskakującą łatwością, po czym wnosi go do rotundy.

Xaden gwałtownie wciąga powietrze, a potem odchodzi w towarzystwie Garricka w stronę skrzydła akademickiego. *Ciebie też miło widzieć*, myślę.

– Może jednak nie chcę mieć żadnej mocy – zastanawia się na głos Ridoc.

– Ta śmierć jest łaskawa w porównaniu z tym, co cię czeka, jeśli moc się u ciebie nie objawi – wyjaśnia Dain i mogłabym przysiąc, że symbole na moich plecach zaczynają parzyć, mimo że smoki jeszcze nie przelały we mnie mocy.

– I to właśnie był profesor Carr – informuje mnie Sawyer.

\* \* \*

**Z**awsze powinnaś sprawdzać źródła – zaznacza tata. Staje obok mnie przy stole w Archiwach i mierzwi mi włosy. – Pamiętaj, że informacje z pierwszej ręki najczęściej są wiarygodniejsze, ale zawsze musisz szukać głębiej, Violet. Musisz sprawdzić, kto opowiada daną historię.

– Ale co, jeśli chcę latać na smoku? – pytam głosem młodszej wersji mnie. – Jak mama lub Brennan?

*OBUDŹ SIĘ.* Przez Archiwa przetacza się znajomy władczy głos. Głos, którego miejsce nie znajduje się w Archiwach.

– Nie jesteś taka jak oni, Violet. To nie jest twoja droga. – Tata posyła mi przepaszający uśmiech, który oznacza, że mi współczuje, ale nie może nic zrobić. Taki sam pojawia się na jego twarzy zawsze, gdy mama podejmuje decyzję, z którą on się nie zgadza. – I tak będzie lepiej. Twoja matka nigdy nie rozumiała, że chociaż jeźdźcy są bronią naszego królestwa, to skrybowie dzierżą w tym świecie prawdziwą władzę.

*Obudź się, bo umrzesz!* Regały w Archiwach drżą, a moje serce podskakuje ze strachu. *Ale już!*

Otwieram oczy z przestraszeniem, a sen się rozwiewa. Nie znajduję się w Archiwach. Jestem w swoim pokoju w Kwadrancie...

*Rusz się!*, ryczy Tairn.



– Kurwa! Ona nie śpi! – Blask księżycy odbija się na mieczu, który właśnie przecina powietrze tuż nad moją głową.

Cholera. Przetaczam się na drugą stronę łóżka, ale nie jestem wystarczająco szybka, więc ostrze chlasta moje plecy z taką siłą, że nawet zimowe koce nie są w stanie złagodzić ciosu.

Na szczęście, kiedy miecz odbija się od nieprzeniknionych smoczycich łusek, adrenalina przyćmiewa ból.

Łąduję kolanami na twardej drewnianej podłodze i wpycham ręce pod poduszkę, żeby wyciągnąć dwa sztylety. Oswobadzam się z pościeli i zrywam na równe nogi. Jak im się udało otworzyć zamknięte drzwi mojego pokoju?

Zdmuchuję z twarzy rozpuszczone włosy i napotykam szeroko otwarte oczy niezwiązanego chłopaka z pierwszego roku. I nie jest tutaj sam. W moim pokoju zebrało się siedmiu kadetów. Czterech niezwiązanych mężczyzn i trzy kobiety. Kiedy rozpoznaję jedną z nich, wyrywa mi się okrzyk zaskoczenia. Gdy to zauważa, wypada z pokoju i zatrzaskuje za sobą drzwi. A więc zostały tylko dwie kobiety.

To ona musiała otworzyć drzwi. Nie ma innego wytłumaczenia.

Pozostali również są uzbrojeni i chcą mnie zabić. Stoją między mną a wyjściem. Zaciskam palce na rękojeściach sztyletów, a moje serce wali jak młotem.

– Wygląda na to, że nie wystarczy ładnie poprosić, abyście wyszli, co?

Będę musiała siłą utorować sobie drogę.

*Odsuń się od ściany! Nie pozwól, by cię otoczyli!*

Słusznie. Tylko że w tym małym pokoju nie ma za bardzo gdzie się przesunąć.

– Ty idioto! Mówiłem, że jej zbroja jest nie do przebicia! – syczy Oren, który stoi po drugiej stronie pokoju i blokuje mi wyjście. Pieprzony padalec!

– Powinnam była zabić cię w trakcie Odsiewu – przyznaję. Drzwi są zamknięte, ale z pewnością ktoś mnie usłyszy, jeśli...

Jedna z kobiet rzuca się na mnie przez łóżko, ale robię unik, przesuwając się wzdłuż lodowatej szyby. Okno!

*Pokój znajduje się za wysoko. Spadniesz do wąwozu, a ja nie zdążę w porę tam dotrzeć!*

A więc okno odpada. No dobra. Druga kobieta ciska we mnie nożem, ale ostrze rozcina jedynie materiał mojej koszuli nocnej i wbija się w szafę. Odwracam się, rozrywając rękaw i rzucając sztyletem, który trafia ją w ramię – mój ulubiony cel. Napastniczka osuwa się na podłogę z okrzykiem bólu, a ja okrążam łóżko.

Reszta mojego oręża jest schowana w komodzie przy drzwiach. Cudownie.

*Koniec z rzucaniem. Nie wypuszczaj tego noża z ręki!*

Jak na kogoś, kto nie jest w stanie mi pomóc, Tairn nie ma problemu z wydawaniem rozkazów.

– Musicie celować w jej gardło! – krzyczy Oren. – Sam to zrobię!

Przenoszę sztylet do prawej ręki i paruję atak nadchodzący z lewej strony, rozcinając kobiecie rękę, a potem z prawej, wbijając ostrze w udo mężczyzny. Kolejnego kopię w brzuch, kiedy próbuje mnie zaatakować. Łąduje na moim łóżku, a miecz wypada mu z ręki.

Tkwię teraz unieruchomiona między biurkiem a szafą.

Jest ich zbyt wielu.

Nacierają na mnie w tym samym momencie.

Ktoś z zaskakującą łatwością wytrąca broń z mojej ręki. I serce mi staje, kiedy Oren łapie mnie za gardło i przyciąga do siebie. Próbuję kopać go po kolanach, ale moje bose stopy nie robią mu krzywdy. Podnosi mnie w powietrze i odcina mi dopływ tlenu do płuc.

Nie. Nie. Nie.

Wbijam paznokcie w jego ramiona aż do krwi. Może zostaną mu blizny, ale jego uścisk nie znika.

Powietrze. Potrzebuję powietrza.

*Zaraz tu będzie!*, obiecuje Tairn głosem podszytym paniką.

Ale kto? Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć.

– Wykończcie ją! – rozkazuje jeden z mężczyzn. – Możemy liczyć na jego szacunek, tylko jeśli ją wykończymy!

Zależy im na Tairnie.

W głowie rozbrzmiewa ryk mojego smoka, kiedy Oren opuszcza mnie na ziemię i obraca tak, żeby przycisnąć plecami do swojej klatki piersiowej, a ręką złapać mnie za gardło. Przynajmniej stoję na ziemi. Niestety robi mi się ciemno przed oczami i mam wrażenie, że płuca dosłownie wołają o tlen, którego nie dostają.

Patrzę na wprost w chciwe oczy krwawiącej dziewczyny z pierwszego roku.

– Zrób to! – woła.

– Smok jest mój – syczy mi do ucha Oren i zabiera rękę, żeby wyciągnąć nóż.

Moje płuca napełniają się powietrzem, ale zaraz potem zimny metal ociera się o moje gardło. Myśli przejaśniają mi się na tyle, by dotarło do mnie, że to już koniec. Zaraz umrę. Moje serce przepełnia dojmujący smutek i mimowolnie zastanawiam się, czy dałabym radę. Czy byłabym na tyle silna, by ukończyć uczelnię? Czy stałabym się godna Tairna i Andarny? Czy w końcu moja matka byłaby ze mnie dumna?

Czubek noża wbija się w moją skórę.

W tym momencie drzwi sypialni otwierają się z rozmachem, drewno roztrzaskuje się po kontakcie z kamienną ścianą, ale nie mogę się odwrócić i sprawdzić, kto się zjawił.

Moje uszy przeszywa krzyk.

*Moja!*, ryczy Andarna. Po kręgosłupie spływa mi szumiąca energia, która dociera do palców dłoni i stóp, a w następnej chwili zapada całkowita cisza.

*Uciekaj!*, rozkazuje Andarna.

Mrugam i dociera do mnie, że stojąca na wprost dziewczyna ma nieruchome oczy. Nie oddycha. Nie rusza się.

Nikt się nie porusza.

Wszyscy zastygli w miejscu... poza mną.

*Wskutek Wielkiej Wojny smoki zajęły zachodnie ziemie, a gryfy centralne, opuściwszy Pustkowiec. Generał Daramor, który z pomocą swojej armii niemalże zniszczył cały Kontynent, odszedł w niepamięć. Nasi sprzymierzeńcy wrócili drogą morską do swoich domów, a na należących do nas terenach zapanował okres pokoju i dobrobytu, albowiem prowincje Navarry zjednoczyły się po raz pierwszy, chronione dzięki barierom oraz pierwszym jeźdźcom.*

*Navarra, niecenzurowana historia autorstwa pułkownika Lewisa Markhama*



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

**C**o tu się wyprawia?

Wszyscy obecni w moim pokoju zmienili się w kamień, ale wiem, że to nie może być prawda. Ciało Orena za moimi plecami jest ciepłe, czuję pod palcami jego miękką skórę, kiedy wyswobadzam się z jego uścisku i odpycham ramię, żeby oddalić je od swojej szyi.

Z ostrza kapie pojedyncza kropla krwi i rozpryskuje się na drewnianej podłodze, a po mojej szyi spływa strużka cieczy.

*Szybko! Dłużej nie wytrzymam!*, ponagla mnie słaby głos Andarny.

A więc to jej sprawka? Łapię oddech mimo bolącej tchawicy i pochylam się pod ramieniem Orena, a następnie odsuwam się bezgłośnie.

Wokół panuje głucha cisza. Nawet zegar na biurku przestał tykać.

Ostrożnie przeciskam się między Orenem a osiłkiem z Drugiego Skrzydła. Nikt nie odrycha. Ich oczy wyglądają jak zamrożone. Kobieta po lewej, którą zraniłam, trzyma się za ramię i zgina w pół, a mężczyzna dźgnięty w udo opiera się o ścianę po prawej i przerażony patrzy na swoją nogę.

Odliczam głośno uderzenia swojego serca i zatrzymuję się w jedynej pustej przestrzeni w moim pokoju, ale przejście jest zablokowane.

Xaden stoi w drzwiach jak mroczny anioł mściciel, wysłannik królowej bogów. Jest w pełni ubrany, jego twarz wyraża czystą furję, a wokół niego wiją się

zawieszony w powietrzu cienie.

Po raz pierwszy od spaceru po moście czuję niewysłowioną ulgę na jego widok.

Andarna dyszy w moich myślach i chaos wraca.

Robi mi się niedobrze.

*Najwyższa pora*, burczy Tairn.

Xaden gwałtownie przenosi na mnie wzrok, a w jego onyksowych oczach błyska szok, ale zaraz potem podchodzi do mnie otoczony swoimi cieniami. Pstryka palcami i w pokoju zapalają się magiczne światła.

– Wszyscy jesteście już martwi – oznajmia złowieszczą spokojnym tonem.

Napastnicy odwracają głowy w jego kierunku.

– Riorson! – Nóż Orena opada z brzdękiem na podłogę.

– Myślisz, że kapitulacja cię uratuje? – Głos Xadena sprawia, że ciarki przebiegają mi po ramionach. – Atakowanie innego jeźdźca we śnie jest wbrew Kodeksowi.

– Ale przecież wiesz, że on nie powinien był się z nią związać! – Oren unosi ręce w powietrze, stając twarzą do nas. – Kto jak kto, ale ty masz powód, żeby zabić tę miernotę. My tylko chcemy naprawić błąd.

– Smoki nie popełniają błędów. – Cienie Xadena chwytają za gardło wszystkich poza Orenem i się zaciskają. Kadeci wierzgają rękami i nogami, ale to bez znaczenia. Ich twarze przybierają purpurowy odcień, a oni opadają na kolana niczym pozbawione życia marionetki.

Nie potrafię odnaleźć w sobie współczucia.

Xaden niespiesznie podchodzi do Orena i wyciąga rękę, kiedy kolejna cienista macka unosi z podłogi mój sztylet.

– Pozwól wyjaśnić. – Oren zawiesza wzrok na broni, a jego ręce drżą.

– Słyszałem już wystarczająco. – Xaden zaciska palce na rękojeści. – Powinna była zabić cię na polanie, ale jest zbyt łaskawa. Ja natomiast nie posiadam takiej cechy. – Rzuca się naprzód tak szybko, że ledwie rejestruję ten ruch. Sztylet tnie gardło Orena i krew spływa strumieniem z poprzecznej rany na jego klatkę piersiową.

Łapie się za szyję, ale nie ma już dla niego ratunku. Wykrwawia się w ciągu kilku sekund, lądując na podłodze w kałuży szkarłatu.

– Kurde, Xaden. – Do pokoju wchodzi Garrick i chowa nóż do pochwy, wodząc wzrokiem po ciałach. – Nie miałeś czasu na przesłuchania? – Obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów, jakby doszukiwał się ran i zauważa rozcięcie na szyi.

– Nie było takiej potrzeby – odpowiada Xaden, kiedy zjawia się Bodhi i rozgląda tak samo jak jego kompan przed chwilą. Podobieństwo między

kuzynami jest tak uderzające, że na chwilę zamieram. Bodhi ma taką samą śniadą skórę i wyraziste brwi, ale rysy jego twarzy są łagodniejsze, a brązowe oczy jaśniejsze niż u Xadena. Wygląda jak delikatniejsza, bardziej przyjazna wersja starszego kuzyna, jednak moje ciało na jego widok nie rozpala się tak jak przy Xadenie. A może po prostu Oren wydusił ze mnie zdrowy rozsądek.

Ta nielogiczna myśl pociąga za sobą atak śmiechu i trójka mężczyzn patrzy na mnie, jakbym uderzyła się w głowę.

– Niech zgadnę – zaczyna Bodhi i drapie się po szyi. – Mamy posprzątać?

– Wezwijcie mnie, gdy zajdzie taka potrzeba – odpowiada Xaden, potakując głową.

Mówią o ciałach.

Żyję. Żyję. Żyję, powtarzam w głowie jak mantrę, a Xaden wyciera mój zakrwawiony sztylet w tunikę Orena.

– Tak. Żyjesz. – Xaden omija ciało Orena i dwóch pozostałych, żeby wyciągnąć mój drugi sztylet z ramienia kobiety, a potem podchodzi do szafy. Nie rozpoznaję jej, a mimo to próbowała mnie zabić.

Garrick i Bodhi zaczynają wyciągać pierwsze trupy.

– Nie zauważyłam, że powiedziałam to na głos. – Moje kolana zaczynają drżeć, a potem dopadają mnie mdłości. Cholera, myślałam, że takie zjazdy po adrenalinie mam już za sobą, ale widocznie się myliłam. Znowu trzęsę się jak osika, obserwując Xadena, który właśnie przegląda moją szafę, jakby przed chwilą wcale nie zabił pół tuzina ludzi.

Jakby taka rzeź była na porządku dziennym.

– To skutek szoku – oznajmia. Zdejmuje z wieszaka mój płaszcz i wyciąga buty. – Jesteś ranna? – pyta szorstkim tonem. Wewnętrzna tama, która do tej pory blokowała mój ból, w końcu pęka i zalewa mnie uciążliwa fala koncentrująca się na moich plecach. A więc to koniec przyływu adrenaliny.

Przy każdym oddechu mam wrażenie, jakby moje płuca wypełniały się odłamkami szkła, więc oddycham płytko i przełykam ślinę. Udaje mi się zachować równowagę i zaczynam się wycofywać pod ścianę, żeby oprzeć się o nią bokiem, który nie został zraniony i odciążyć ten drugi.

– Chodź, Violence. – Jego troskliwa prośba zupełnie nie pasuje do napiętego tonu. Przewiesza sobie mój płaszcz przez ramię, a buty bierze w dłoń i zmierza w stronę wyjścia, omijając trupy wyściełające podłogę. – Weź się w garść i powiedz mi, gdzie cię boli. – Zabił sześciu ludzi i nawet nie ubrudził przy tym skórzanego munduru w kolorze północy. Zaraz potem rzuca mi buty pod nogi, a płaszcz ląduje na fotelu w kącie.

Ledwie mogę oddychać, ale czy mogę przyznać się przed nim do swojego obecnego stanu?

Ciepłymi palcami łapie mnie za podbródek, żeby spojrzeć mi w oczy. Chwila... czy w jego oczach dostrzegam cień paniki?

– Masz problem z oddychaniem, więc musi mieć to związek z...

– Żebrami – dokańczam za niego. Nie daje się nabrać na moją próbę zamaskowania bólu. – Dostałam mieczem w bok, ale wydaje mi się, że są tylko poobijane. – Nie usłyszałam żadnego chrupnięcia charakterystycznego dla złamanych kości.

– To musiał być tępy miecz. – Unosi ciemną brew. – Chyba że ma to jakiś związek z tym, że śpisz w skórzanej kamizelce.

*Zaufaj mi, nalega Tairn.*

*To nie jest takie łatwe.*

*Na razie nie ma wyjścia.*

– Jest wykonana ze smoczycich łusek. – Unoszę rękę i delikatnie się obracam, żeby mógł spojrzeć przez dziurę w mojej koszuli nocnej. – Mira ją dla mnie zamówiła. To dzięki niej udało mi się tak długo przetrwać.

Spuszcza wzrok, zaciska usta, a potem kiwa głową.

– To całkiem pomysłowe, chociaż muszę przyznać, że wytrwałaś tak długo z wielu różnych powodów. – Nie mam czasu się spierać, bo skupia wzrok na moim gardle i mruży oczy na widok, jak się domyślam, fioletowego odcisku dłoni. – Mogłem zabić go wolniej.

– Nic mi nie jest. – Kłamstwo.

Patrzy mi w oczy.

– Nigdy mnie nie okłamuj – mówi to z takim żarem, że odruchowo przytakuję.

– Boli – przyznaję.

– Daj zobaczyć.

Na zmianę dwukrotnie otwieram i zamykam usta.

– To prośba czy rozkaz?

– Sama zdecyduj, bylebym tylko się upewnił, że ten skurwiol nie złamał ci żeber. – Zaciska dłonie w pięści.

Do pokoju wchodzi dwóch mężczyzn, a Garrick i Bodhi podążają tuż za nimi. Wszyscy są... ubrani. W pełni ubrani, mimo że jest – zerkam na zegarek – druga w nocy.

– Zabierzcie tych dwóch, a my zajmiemy się ostatnimi – rozkazuje Garrick. Mężczyźni biorą się do pracy i wynoszą ostatnie ciała. Zauważyłam, że wszyscy mają na rękach lśniące symbole rebelii, ale zachowuję tę obserwację dla siebie.

– Dziękuję – woła za nimi Xaden, a potem ruchem ręki delikatnie zamyka moje drzwi. – A teraz daj mi zobaczyć żebra, bo tylko marnujemy czas.

Przelykam ślinę, a potem kiwam głową. Lepiej sprawdzić, czy niczego sobie nie złamałam. Odwracam się do niego plecami, ale w wysokim lustrze dostrzegam jego twarz. Wysuwam ręce z obszernych rękawów koszuli nocnej i przyciskam materiał na wysokości piersi, odsłaniając plecy.

– Musisz...

– Wiem, jak uporać się z gorsetem. – Zaciska szczęki, a przez jego twarz przemyka coś, co przypomina mi szczerą żądzę, szybko jednak opanowuje rysy twarzy i z zaskakującą delikatnością odgarnia mi włosy na ramię.

Kiedy jego palce muskają moją nagą skórę, nieomal drzę, ale napinam wszystkie mięśnie, żeby nie rozczulić się jego dotykiem.

Co jest ze mną nie tak? Krew na podłodze jeszcze nie zaschła, a mimo to moje piersi napinają się, kiedy Xaden wprawnymi ruchami rozplata sznurki, zaczynając od dołu. Nie kłamał. Widać, że potrafi obchodzić się z gorsetem.

– Jakim cudem wciskasz się w to każdego ranka? – pyta i odchrząkuje, odsłaniając coraz większy fragment moich pleców.

– Jestem strasznie giętka. To dlatego, że mam takie kruche kości i elastyczne stawy – rzucam ponad ramieniem.

Nasze oczy się spotykają, ciepło rozplywa się w dole mojego brzucha. Nić porozumienia znika tak szybko, jak się pojawiła, bo Xaden rozsuwa mój gorset, żeby przyjrzeć się prawemu bokowi. Delikatnie wodzi palcami po obitych zebrach, a potem ostrożnie je dociska.

– Masz koszmarne siniaka, ale chyba nie są złamane.

– Tak myślałam. Dziękuję, że sprawdziłeś. – Powinno zrobić się niezręcznie, ale, o dziwo, tak nie jest, nawet kiedy zasznurowuje mój gorset.

– Przeżyjesz. Odwróć się.

Wykonuję polecenie i naciągam koszulę na ramiona, a on pada przede mną na kolana.

Oczy niemal wychodzą mi na wierzch. Xaden Riorson przede mną klęczy, a jego gęste włosy znajdują się na takiej wysokości, że kusi mnie, by przeczesać je palcami. To pewnie jedyny element jego osoby, który można by określić jako miękkie. Ile kobiet czuło między palcami te kosmyki?

– Będziesz musiała iść pomimo bólu, bo nie mamy czasu do stracenia. – Łapie but, a potem klepie moją stopę. – Dasz radę ją podnieść?

Kiwam głową i wyciągam nogę. A potem każda logiczna myśl ulatuje z mojej głowy, kiedy zakłada mi buty i je zawiązuje.

To ten sam mężczyzna, który jeszcze kilka miesięcy temu chciał mnie zabić, i mój umysł nie potrafi połączyć dwóch tak odmiennych stron jego osobowości.

– Chodźmy. – Okrywa mnie płaszczem i zapina go pod szyją z namaszczeniem, jakby uważał mnie za coś cennego. Teraz jestem w szoku, bo



przecież nie mogę być cenna dla Xadena Riorsona. Przesuwa wzrokiem po moich włosach i mruga, a potem naciąga kaptur na stopniowo blednące kosmyki i łapie mnie za rękę, żeby pociągnąć korytarzem. Zaciska na mnie palce mocno, ale nie boleśnie.

Wszystkie inne drzwi są zamknięte. Atak nie był na tyle głośny, by obudzić moich sąsiadów. Gdyby Xaden się nie zjawił, byłabym już martwa, nawet jeśli udałoby mi się uwolnić od Orena. Ale jak w ogóle do tego doszło?

– Dokąd idziemy? – Korytarze rozświetlają blade magiczne światła w niebieskim odcieniu, które mają sygnalizować, że jest noc w miejscach, gdzie nie ma okien.

– Gadaj tak głośno dalej, a ktoś na pewno nas usłyszy i zatrzyma, zanim gdziekolwiek dotrzemy.

– A nie możesz ukryć nas swoimi cieniami czy coś?

– Jasne, bo wielka czarna chmura przesuwająca się korytarzem nie wzbudzi większego zainteresowania niż zakradająca się gdzieś para. – Posyła mi spojrzeń, które ucina wszelkie moje riposty.

Tu mnie ma.

Oczywiście wcale nie jesteśmy parą.

Chociaż w odpowiednich okolicznościach pewnie bym się na niego rzuciła. Krzywię się, kiedy docieramy do głównego holu koszar. Nigdy, ale to przenigdy nie nastaną odpowiednie okoliczności, żeby cokolwiek połączyło mnie z tym mężczyzną, tym bardziej po tym, jak niedawno zabił sześć osób.

Ale na swoją obronę muszę powiedzieć, że jego ratunek był poniekąd podniecający. Nawet jeśli teraz ciągnie mnie korytarzem z zastraszającą prędkością. Nawet jeśli zrobił to tylko dlatego, że jego życie jest związane z moim. Moje płuca wołają o odpoczynek, ale na to się na razie nie zapowiada, bo Xaden prowadzi mnie obok spiralnych schodów, które wiodą do sypialni drugiego i trzeciego roku, a potem docieramy do rotundy.

Zanim moje zebra się wygoją, minie wiele tygodni.

Kiedy przechodzimy do skrzydła akademickiego, towarzyszy nam jedynie stukot naszych butów. Xaden, zamiast skrócić w lewo w stronę sali treningowej, prowadzi mnie w prawo i schodami na dół, gdzie – jak mi wiadomo – znajduje się składzik.

Zatrzymuje się w połowie schodów, a ja niemal wpadam na jego plecy z przewieszonym przez nie mieczem. Xaden wyciąga rękę w prawo, a drugą wciąż mnie trzyma.

Klik. Naciska kamienie i nagle otwierają się ukryte drzwi.

– Jasna cholera – szepczę, kiedy moim oczom ukazuje się szeroki korytarz.

– Mam nadzieję, że nie boisz się ciemności. – Wciąga mnie do środka, a kiedy drzwi się zamykają, pochłania nas duszący mrok.

Nic się nie dzieje. Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Ale tak na wszelki wypadek... – dodaje głośno Xaden i pstryka palcami. Nad nami unoszą się magiczne światła, które rozświetlają otoczenie.

– Dzięki. – Korytarz wspierany kamiennymi łukami jest gładki, jakby przechadzano się nim częściej, niż wskazywałoby na to ukryte przejście. Pachnie tu ziemią, ale nie wilgocią, a droga zdaje się ciągnąć w nieskończoność.

Xaden puszcza moją rękę i wychodzi naprzód.

– Nie zatrzymuj się.

– Czy mógłbyś... – Krzywię się. Cholera, boli mnie w klatce piersiowej. – Mieć trochę więcej wyrozumiałości? – Rzucam się za nim, zsuwając z głowy kaptur.

– Nie zamierzam cię niańczyć jak Aetos – odpowiada, nawet się nie odwracając. – Przez coś takiego skończysz martwa, gdy już opuścisz Basgiath.

– On mnie wcale nie niańczy.

– Właśnie, że tak, i dobrze o tym wiesz. I tobie również się to nie podoba, jeśli dobrze odczytałem napięcie między wami. – Zwalnia, żeby zrównać się ze mną krokiem. – A może się mylę?

– On uważa, że ta szkoła jest zbyt niebezpieczna dla kogoś takiego jak... jak ja, a po tym, co właśnie się wydarzyło, chyba nie mogę się z nim spierać. – Przecież spałam. To jedyna sytuacja, w której rzekomo mamy zagwarantowane bezpieczeństwo. – Teraz chyba już nie będę w stanie zmrużyć oka. – Zerkam na niego z ukosa, na jego irytująco atrakcyjny profil. – I jeśli chociaż pomyślisz o tym, by zaproponować wspólne spanie, żeby zadbać o moje bezpieczeństwo...

Parska pogardliwym śmiechem.

– Możesz sobie pomarzyć. Nie pieprzę się z dziewczynami z pierwszego roku i nie robiłem tego, nawet gdy sam byłem żółtodziobem. I tym bardziej nie zrobię tego z... tobą.

– A czy ja coś mówiłam o pieprzeniu? – odgryzam się i przeklinam samą siebie, bo ból w klatce piersiowej jeszcze bardziej się nasila. – Musiałabym być masochistką, żeby się z tobą przespać, a zapewniam cię, że nią nie jestem.

Fantazje się nie liczą.

– Masochistką, tak? – Kąciki jego ust unoszą się w bezwstydnym uśmiechu.

– Raczej nie sprawiasz wrażenia osoby, która lubi rano przytulać się na łyżeczkę. – Teraz to ja uśmiecham się perfidnie. – Chyba że boisz się, że to ja zabiję cię we śnie. – Skręcamy w kolejny tunel.

– W ogóle się tym nie przejmuję. Może i jesteś agresywna, a do tego potrafisz posługiwać się tymi sztyletami, ale nie byłabyś w stanie zabić nawet muchy.

Nie myśl sobie, że tego nie zauważyłem. Zraniłaś trzech kadetów, ale żadnego z nich nie zabiłaś. – Posyła mi spojrzenie pełne dezaprobaty.

– Nigdy nikogo nie zabiłam – przyznaję szeptem, jakby w sekrecie.

– Będziesz musiała pogodzić się z tą myślą. Po ukończeniu uczelni wszyscy staniemy się bronią i lepiej się w tym wprawić, zanim opuścimy mury Basgiathu.

– To właśnie robimy? Zamierzamy opuścić mury uczelni? – Zupełnie straciłam orientację.

– Zamierzamy zapytać Tairna, co tam się, do cholery, wydarzyło. – Xaden zaciska szczęki. – I wcale nie mówię o ataku. Jak w ogóle zdołali otworzyć drzwi?

Wzruszam ramionami, ale nawet nie próbuję tego wyjaśniać. I tak by mi nie uwierzył. Sama ledwie mogę w to uwierzyć.

– Lepiej się tego dowiedzmy, żeby sytuacja się nie powtórzyła. Nie zamierzam spać na twojej podłodze jak jakiś pieprzony pies stróżujący.

– Chwila. A da się dotrzeć na lądowisko inną drogą? – Staram się odciąć mentalnie od bólu w gardle i żebrach.

*Prowadzi mnie do ciebie, informuję Tairna.*

*Wiem.*

*Zamierzasz mi powiedzieć, co tam się wydarzyło?*

*Zrobiłbym to, gdybym sam wiedział.*

– Tak – odpowiada Xaden i ścieżka znowu skręca. – Ale mało kto o niej wie. Muszę cię poprosić, abys schowała istnienie tego tunelu do teczki z sekretami na mój temat.

– Niech zgadnę, będziesz wiedział, jeśli komuś o tym powiem?

– Oczywiście. – Jego usta rozciągają się w kolejnym bezczelnym uśmiechu. Odwracam głowę, zanim przyłapie mnie na patrzeniu.

– A zamierzasz obiecać mi za to kolejną przysługę? – Ścieżka zaczyna piąć się wyżej, zakręt staje się jeszcze ostrzejszy. Każdy oddech przypomina mi o tym, co wydarzyło się niecałą godzinę temu.

– Wystarczy, że masz u mnie zapewnioną jedną przysługę. Poza tym oboje zostaliśmy zmuszeni złożyć broń przeciwko sobie. A teraz, czy możesz się pospieszyć? Czy jednak mam cię nieść?

– To zabrzmiało jak obraza, nie propozycja.

– W końcu zaczęłaś łapać. – Mimo to zwalnia nieznacznie, żeby się ze mną zrównać.

Ziemia osuwa mi się spod nóg, jakby ktoś wprawił ją w drgania, ale wiem lepiej. To tylko moja głowa, skutek bólu i stresu. Zaczynam się chwiać.

Xaden otacza mnie ręką w talii i pomaga odzyskać równowagę. Nie podoba mi się to, że jego dotyk potęguje bicie mojego serca w trakcie wędrówki, ale nie protestuję. Nie chcę być mu za nic wdzięczna, ale... kurde, pachnie tak rozkosznie – jakąś przyjemną miętową nutą.

– Tak w ogóle – co robiłeś dzisiaj w środku nocy?

– Dlaczego pytasz? – Jego ton insynuuje, że nie powinnam drażnić tematu.

Jaka szkoda.

– Dotarłeś do mojego pokoju w ciągu kilku minut i nie jesteś ubrany jak do spania. – Na litość boską, na plecach ma nawet miecz.

– Może ja też śpiam w mojej zbroi.

– W takim razie powinienesz lepiej dobierać kompanki do spania.

Parska śmiechem, a jego twarz przecina przelotny, autentyczny uśmiech. Nie taki sztuczny, wymuszony grymas szyderstwa, do którego przywykłam, ani nawet ten zarozumiały. Prawdziwy uśmiech, na którego widok staje mi serce. Nie jestem na niego odporna. Na szczęście znika równie szybko, jak się pojawił.

– A zatem nie zamierzasz mi powiedzieć? – pytam. Pewnie czułabym frustrację, gdybym aż tak bardzo w tej chwili nie cierpiała. I nawet nie zamierzam dopytywać, dlaczego zaciąga mnie taki szmat drogi do Tairna, skoro mogę porozmawiać z nim, kiedy tylko zechcę.

Chyba że to on chce porozmawiać z Tairnem. A to byłoby... Niezwykłe śmiałe posunięcie.

– Nie. To sprawy trzeciego roku. – Puszczam mnie, kiedy docieramy do kamiennej ściany na końcu tunelu. Po kilku ruchach ręką rozlega się kolejne kliknięcie i Xaden popycha drzwi.

Za nimi owiewa mnie mroźne listopadowe powietrze.

– Jak to w ogóle możliwe? – pytam oszołomiona. Drzwi są wbudowane w nawał kamieni po wschodniej stronie lądowiska.

– Są zakamuflowane. – Xaden macha ręką i drzwi się zamykają, ponownie wtapiając się w skały.

Dociera do mnie dźwięk, który już rozpoznałem – rytmiczne łopotanie skrzydeł. Zadzieram głowę i zauważam trzy smoki przecinające rozgwieżdżone niebo. Ziemia drży pod ich stopami, kiedy lądują naprzeciwko nas.

*Domyślam się, że dowódca skrzydła chce zamienić ze mną słowo?* Tairn wychodzi naprzód, a Sgaeyl podąża za nim ze skrzydłami złożonymi po bokach i mruży na mnie złote oczy.

Andarna przebiega między nogami Sgaeyl i galopuje w naszą stronę. Zatrzymuje się kilka stóp ode mnie, wbijając łapy w ziemię. Przysuwa nos do moich żeber, a w głowie wyczuwam niepokój, który nie należy do mnie.

– Nie mam żadnych złamań – zapewniam ją, gładząc dłonią jej chropowatą głowę. – Żebra są jedynie poobijane.

*Jesteś pewna?*, pyta z szeroko otwartymi, zmartwionymi oczami.

– Tak. – Zmuszam się do uśmiechu. Warto było męczyć się tu całą drogę, żeby ją uspokoić.

– Tak, chcę zamienić słowo. Mów, jakie przelewasz w nią moce? – rozkazuje Xaden i patrzy na Tairna, jakby... w ogóle nie bał się najstraszniejszego smoka.

Mówiłam, że to śmiałe posunięcie. Napinam wszystkie mięśnie, przekonana o tym, że Tairn zaraz spopieli Xadena za jego bezczelność.

*To nie twoja sprawa. Sam decyduję, jakie moce przeleję w moją jeźdźczynię.*

Cóż, jak na razie idzie nam świetnie.

– On mówi, że... – zaczynam.

– Słyszałem go – odpowiada Xaden, nawet nie zaszczycając mnie spojrzeniem.

– Że co? – Unoszę brwi aż po linię włosów. Andarna wycofuje się, żeby stanąć wraz z pozostałymi. Przecież smoki rozmawiają tylko ze swoimi jeźdźcami. A przynajmniej tak zawsze mnie uczono.

– To moja sprawa, skoro oczekujesz, że będę ją chronić – odparowuje Xaden podniesionym głosem.

*To ja przekazałem ci wiadomość, człowieku.* Tairn porusza głową na boki niczym wąż, aż ogarnia mnie niepokój. Jest rozsierdzony.

– I ledwie zdążyłem – cedzi przez zaciśnięte zęby. – Gdybym dotarł na miejsce trzydzieści sekund później, już byłaby martwa.

*Wygląda na to, że podarowano ci te dodatkowe trzydzieści sekund.* Głos Tairna zakrawa na warkot.

– I dlatego chciałbym wiedzieć, co tam się, kurwa, wydarzyło!

Gwałtownie wstrzymuję powietrze.

*Nie rób mi krzywdy*, błagam Tairna. On mnie uratował. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktokolwiek odważył się odezwać do smoka innego jeźdźca, a tym bardziej na niego krzyczeć, szczególnie na tak potężną bestię jak Tairn.

Mój smok warczy w odpowiedzi.

– Muszę wiedzieć, co wydarzyło się w tamtym pokoju. – Wzrok Xadena przeszywa mnie niczym nóż, a zaraz potem skupia się ponownie na Tairnie.

*Nie próbuj czytać mi w myślach, człowieku, bo tego pożałujesz.* Tairn otwiera paszczę i cofa język w znajomej mi groźbie.

Staję między nimi i zadzieram głowę w stronę smoka.

– On jest zwyczajnie zaniepokojony. Nie zabijaj go.

*Przynajmniej w tej kwestii się zgadzamy*, przez moją głowę przetacza się kobiecy głos.

Sgaeyl.

Patrzę oszołomiona na granatowego sztyletogona, a Xaden staje u mojego boku.

– Odezwała się do mnie.

– Wiem. Słyszałem. – Krzyżuje ramiona na klatce piersiowej. – To dlatego, że są swoimi towarzyszami. I to dlatego ja jestem związany z tobą.

– W twoich ustach brzmi to tak, jak coś dobrego.

– Ale tak nie jest. – Odwraca się twarzą do mnie. – Niestety, Violence, jesteśmy ze sobą związani. Połączeni na śmierć i życie. Jeśli ty umrzesz, ja również, więc zasługuję na to, by wiedzieć, dlaczego w jednej chwili Seifert trzymał cię na ostrzu noża, a w drugiej znalazłaś się na końcu pokoju. Czy to twoja moc, którą zyskałaś dzięki Tairnowi? Przyznaj się. Ale już. – Przeszywa mnie spojrzeniem.

– Nie wiem, co się stało – odpowiadam szczerze.

*Natura ceni sobie równowagę, oznajmia Andarna, jakby recytowała jakieś fakty, tak samo jak ja, gdy się denerwuję. To pierwsza rzecz, jakiej nas uczył.*

Odwracam się w stronę złotej smoczycy i powtarzam Xadenowi jej słowa.

– Co to niby ma znaczyć? – zwraca się do mnie, a nie do niej.

Wygląda na to, że słyszy Tairna, ale Andarny już nie.

*Cóż, nie do końca pierwsza. Andarna siada na ziemi i podryguje pierzastym ogonem po oszronionej trawie. Pierwszą rzeczą jest to, że nie powinniśmy wiązać się z człowiekiem, dopóki nie dorośniemy. Przekrzywia głowę na bok. A może pierwszą jest to, gdzie szukać owiec? Chociaż ja wolę kozy.*

*I właśnie dlatego piórogony nie powinny się wiązać, wzdycha zrezygnowany Tairn.*

*Pozwól jej wyjaśnić, nalega Sgaeyl i stuka pazurami w ziemię jak zniecierpliwiony człowiek paznokciami.*

*Piórogony nie powinny się wiązać, ponieważ mogą przez przypadek podarować człowiekowi swoje moce, kontynuuje Andarna. Smoki nie są w stanie przelewać mocy, dopóki nie dojrzeją, ale każdy z nas rodzi się z wyjątkową umiejętnością.*

Próbuję przetrwać tę wiadomość.

– Jak moc więzi? – pytam na głos, żeby Xaden również usłyszał.

*Nie, odpowiada Sgaeyl. Moc więzi jest wynikiem połączenia naszych mocy z waszą własną umiejętnością jej czerpania. Odzwierciedla to, jacy jesteście w głębi duszy.*

Andarna prostuje się i przekrzywia dumnie głowę.

*Ale ja przekazałam mój dar bezpośrednio tobie. Bo wciąż jestem piórogonem.*

Powtarzam jej słowa w głowie, patrząc na mniejszego smoka. Na temat piórogonów nie wiemy praktycznie niczego, bo nikt nie widuje ich poza Kotłem.

Są pilnie strzeżone. Są... przelykam ślinę. Chwila, co ona powiedziała?

– Wciąż jesteś piórogonem?

*Tak! Jeszcze przez mniej więcej dwa lata.* Powoli mruga ślepiami, a potem ziewa głośno, machając rozwidlonym ogonem.

Na bogów.

– Jesteś... jesteś pisklęciem – wyduszam szeptem.

*Wcale nie! Andarna wypuszcza nosem obłok pary. Mam dwa lata! Pisklaki nawet nie potrafią latać!*

– Czym? – Xaden przenosi spojrzenie między mną a złotą smoczą.

Patrzę z wyrzutem na Tairna.

– Pozwoliłeś, aby pisklę związało się z człowiekiem? Pozwoliłeś, żeby pisklę trenowało do wojny?

*Dorastamy znacznie szybciej niż ludzie, oponuje. I ma czelność brzmieć na oburzonego. Wydaje mi się, że nikt nie jest w stanie zmusić Andarny do niczego.*

– Co to znaczy szybciej? – wyduszam. – Przecież ona ma dopiero dwa lata!

*Za rok lub dwa osiągnie dojrzałość, chociaż niektórym smokom zajmuje to więcej czasu,* odpowiada Sgaeyl. *I gdybym sądziła, że ona rzeczywiście się z kimś zwiąże, bardziej oponowałabym w kwestii jej Prawa Łaski.* Prycha na Andarnę z wyraźną dezaprobatą.

– Chwila. Andarna jest waszym dzieckiem? – Xaden podchodzi do Sgaeyl. Jeszcze nigdy nie słyszałam z jego ust takiego tonu. Jest... zraniony. – Chcesz powiedzieć, że przez ostatnie dwa lata ukrywałaś przede mną pisklę?

*Cóż za niedorzeczność.* Sgaeyl wypuszcza oddech, który rozwiewa Xadenowi włosy. *Naprawdę uważasz, że pozwoliłabym mojemu opierzonemu potomstwu się związać?*

*Jej rodzice zmarli, zanim się wykluła,* wyjaśnia Tairn.

Moje serce wypełnia się bólem.

*Och, tak mi przykro, Andarno.*

*Mam mnóstwo opiekunów,* odpowiada, jakby to jej wszystko wynagradzało. Ale ja straciłam ojca... i wiem, że to niemożliwe.

*A mimo to nikt nie jest w stanie powstrzymać cię przed udziałem w Odsiewie,* mamrocze Tairn. *Piórogony nie wiążą się z człowiekiem, ponieważ ich moc jest zbyt nieprzewidywalna. Zbyt niestabilna.*

– Nieprzewidywalna? – powtarza Xaden.

*Nie pozwoliłbyś, aby ludzkie dziecko postugiwało się twoją mocą więzi, prawda, dowódco? To analogiczna sytuacja,* warczy Tairn, kiedy Andarna kładzie się przy jego nodze.

– Na bogów, mowy nie ma. Sam ledwie ją kontrolowałem, gdy byłem na pierwszym roku. – Xaden kręci głową.

Dziwnie jest wyobrażać sobie Xadena, który nie ma nad czymś kontroli. Co więcej, sporo bym zapłaciła, żeby zobaczyć, jak ją traci. Albo żeby stracić ją razem z nim. Nie! Natychmiast odpycham tę myśl.

*Zgadza się. W przypadku wytworzenia więzi zbyt wcześnie piórogony mogą przekazać swój dar bezpośrednio, a jeźdźcy mógłby z łatwością wyczerpać ich pokłady i je wypalić.*

– Nigdy bym tego nie zrobiła! – Zaprzeczam głową.

*I właśnie dlatego cię wybrałam.* Andarna opiera głowę o nogę Tairna. Jak mogłam wcześniej tego nie zauważyć? Te okrągłe oczy, te łapy...

*Bo miałaś nie wiedzieć. Nikt nie powinien widzieć piórogonów,* odpowiada Tairn, zerkając z ukosa na swoją towarzyszkę.

Ona nawet nie zaszczycą go przewróceniem oczu.

– Gdyby dowództwo wiedziało, że jeźdźcy mogą przejąć ich dar na własność, zamiast polegać na mocy więzi... – zaczyna Xaden, patrząc na Andarnę, która mruga powiekami coraz wolniej i wolniej.

– Zaczęliby na nią polować – dokańczam cicho.

*I dlatego nikomu nie możecie powiedzieć, czym ona jest, wtrąca Sgaeyl. Mam nadzieję, że zdąży dojrzeć, kiedy opuścisz kwadrant, a starszyzna smoków już obmyśla sposób na... wzmocnienie ochrony piórogonów.*

– Nikomu o tym nie powiem – obiecuję. – Andarno, dziękuję. Cokolwiek zrobiłaś, uratowało mi to życie.

*Zatrzymałam czas.* Rozwiera szczęki do kolejnego donośnego ziewu. *Ale tylko na chwilę.*

Momencik. Że co? Przewraca mi się w żołądku i patrzę w złote oczy Andarny, zapominając o bólu. Kolana mi drżą, a powietrze uchodzi z płuc, kiedy przetacza się przeze mnie szok pozbawiający mnie logicznego myślenia.

Nikt nie może zatrzymać czasu. Nic nie może zatrzymać czasu. Do tej pory... o tym nie słyszano.

– Co takiego powiedziała? – pyta Xaden, łapiąc mnie za ramiona, żeby pomóc mi złapać równowagę.

Tairn warczy i parska na nas podmuchem pary.

*Na twoim miejscu zabrałabym ręce z jeźdźczyni,* ostrzega Sgaeyl.

Xaden poluzowuje uścisk, ale mnie nie puszcza.

– Powiedz mi, co usłyszałaś. Proszę. – Zaciska usta i domyślam się, że to ostatnie słowo wiele go kosztowało.

– Potrafi zatrzymać czas – wyduszam z trudem. – Na krótką chwilę.

Oszołomienie odmalowuje się na twarzy Xadena i po raz pierwszy nie wygląda jak silny, śmiertelnie niebezpieczny dowódca skrzydła, którego



poznałam na moście. Jest dosłownie porażony. Przenosi wzrok na Andarnę i pyta: – Potrafisz zatrzymać czas?

*A teraz my potrafimy zatrzymać czas.* Mruga powoli. Wyczuwam emanujące z niej zmęczenie. Przekazanie mi tego daru kosztowało ją dzisiaj sporo wysiłku. Ledwie utrzymuje otwarte powieki.

– Na razie tylko na moment, ale potem jej moc urośnie – szepczę.

– Urośnie – powtarza Xaden jak echo, jakby próbował wchłonąć tę myśl.

– A jeśli wykorzystam twoją moc za bardzo, mogę cię zabić – zwracam się cicho do Andarny.

*Zabić nas.* Staje na czterech łapach. *Ale wiem, że tego nie zrobisz.*

*Postaram się być ciębie godna.* Konsekwencje tego daru, tej niezwykłej mocy, uderzają mnie jak obuchem.

– Czy profesor Carr mnie zabije?

Wszyscy przenoszą na mnie spojrzenie. Xaden zaciska palce na moich ramionach i delikatnie gładzi mnie kciukami.

– Skąd ten pomysł?

– Bo zabił Jeremiaha. – Odpycham panikę i skupiam się na złotych plamkach w onyksowych oczach Xadena. – Widziałeś, jak skręcił mu kark na oczach całego kwadrantu.

– Jeremiah był myśliwcą. – Xaden spuszcza z tonu. – A czytanie w myślach jest przestępstwem karanym śmiercią. Dobrze o tym wiesz.

– A co zrobią, jeśli dowiedzą się, że potrafię zatrzymać czas? – Przerazenie ścina krew w moich żyłach.

– Nie dowiedzą się – zapewnia Xaden. – Nikt im o tym nie powie. Ani ty, ani ja. Ani oni. – Wskazuje na trójkę naszych smoków. – Rozumiesz?

*On ma rację, wtrąca Tairn. Nikt nie może się dowiedzieć. I nie wiadomo, jak długo będziesz posiadać tę zdolność. Większość darów piórogonów znika po okresie dojrzewania, gdy zaczynają przekierowywać moc.*

Andarnie znowu wrywa się ziewnięcie. Wygląda, jakby zaraz miała zasnąć na stojąco.

*Prześpij się, polecam. Dziękuję za to, że mi dzisiaj pomogłaś.*

*Chodźmy, złotołuska,* odzywa się Tairn i wszyscy nieznacznie przykucają, a potem wzbijają się w powietrze. Silny podmuch uderza mnie w twarz. Andarna leci z wyraźnym trudem, wachlując skrzydłami ze zdwojoną mocą. Tairn ustawia się pod nią i podtrzymuje ją w drodze do Kotła.

– Obiecuj mi, że nikomu nie powiesz o mocy zatrzymywania czasu – prosi Xaden, kiedy wracamy do tunelu, ale jego słowa brzmią raczej jak rozkaz. – Tu nie chodzi tylko o twoje bezpieczeństwo. Rzadkie umiejętności trzymane w sekrecie są najcenniejszym darem, jaką możemy osiąść.

Marszczę brwi i przyglądam się wyraźnym liniom jego piętna rebelii, które jakby wije się po szyi i świadczy o tym, że jest synem zdrajcy, któremu nie można ufać. Może każe mi trzymać język za zębami, żeby coś na tym zyskać, żeby potem móc mnie wykorzystać.

To mogłoby oznaczać, że przynajmniej zamierza utrzymać mnie przy życiu na dłużej.

– Musimy się dowiedzieć, jak niezwiązani kadeci dostali się do twojego pokoju – oznajmia.

– Był tam ktoś jeszcze – informuję go. – Ale uciekł, zanim się pojawiłeś. Musiała otworzyć drzwi od zewnątrz.

– Kto? – Xaden zatrzymuje się i odwraca w moją stronę.

Kręcę głową. Na pewno mi nie uwierzy. Sama ledwie w to wierzę.

– Prędzej czy później będziemy musieli sobie zacząć ufać, Sorrengail. Od tego zależy nasze życie. – W oczach dowódcy tli się furia. – A teraz mów, kto to był.

*Oskarżenie dowódcy skrzydła o złe zamiary jest najpoważniejszym zarzutem.  
Jeśli masz rację, zawiedliśmy jako kwadrant przy wyborze najlepszych  
dowódców skrzydeł. A jeśli się mylisz, już jesteś martwy.*

*Wspomnienia kadeta, memuar generała Augustine'a Melgrena*



## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

Oren Seifert. – Następnego ranka kapitan Fitzgibbons kończy odczytywać listę poległych i zamyka zwój. Stoimy w formacji, a nasze oddechy wznoszą się obłokami w chłodnym powietrzu. – Niech Malek ma ich dusze w opiece.

Nie znajduję w swoim sercu żalu z powodu śmierci sześciu z ośmiu nazwisk, bo nieustannie przestępuję z nogi na nogę, żeby odciążyć poobijane, czarno-fioletowe żebra, i ignoruję spojrzenia innych kadetów rzucane w stronę mojej posiniaczonej szyi.

Pozostała dwójka z dzisiejszej listy to jeźdźcy z trzeciego roku, którzy należeli do Drugiego Skrzydła i zostali zabici w trakcie operacji koło braevickiej granicy, a przynajmniej takie w uczelni krążyły pogłoski. Ciekawe, czy to stamtąd wracał Xaden, zanim przybył mi wczoraj na ratunek.

– Nie mogę uwierzyć, że próbowali cię zabić podczas snu. – Rhiannon gotuje się ze złości podczas śniadania po tym, jak opowiedziałam wszystkim przy stoliku o wczorajszym ataku.

Może Xaden chce utrzymać wczorajsze wydarzenia w sekrecie, ukryć to, jakim jestem dla niego ciężarem, bo nikt z dowództwa o tym nie wie. Gdy wyjawiałam, kto otworzył drzwi, nie powiedział ani słowa, więc nie mam pojęcia, czy mi wierzy.

– Co gorsza zaczynam się do tego przyzwyczajać. – Albo jestem mistrzynią wypierania trudnych informacji, albo przywykłam do tego, że ciągle jestem na celowniku.

Kapitan Fitzgibbons ogłasza kilka drobnych komunikatów, ale puszczam to mimo uszu, bo ktoś zmierza w naszą stronę, przecinając Sekcję Ognia oraz Ogona w naszym skrzydle.

I moje głupie, kierowane hormonami serce jak zwykle przyspiesza na widok Xadena. Nawet najskuteczniejsze trucizny porażają swoim pięknem i z Xadenem nie jest inaczej – to mężczyzna równie piękny, co niebezpieczny. Podchodzi do nas z pozornym spokojem, mimo to potrafię wyczuć jego napięcie jak swoje własne. Kojarzy mi się z panterą, która zakrada się do ofiary. Wiatr targa jego włosami, a ja wzdycham, nie mogąc pogodzić się z tym, że ma niesprawiedliwą przewagę nad każdym mężczyzną obecnym na dziedzińcu. On nawet nie stara się wyglądać pociągająco... po prostu jest pociągający.

Cholera. Właśnie coś do mnie dotarło. Przez to uczucie – ten urywany oddech i to, jak mnie do niego ciągnie, gdy jest w pobliżu – do tej pory nie zaciągnęłam nikogo do łóżka ani nie świętowałam po Odsiewie tak jak moi normalni przyjaciele. I właśnie przez to uczucie nie pragnęłam nikogo innego.

Bo zależało mi tylko na nim.

Nie ma na tym świecie wystarczających przekleństw, by to podsumować.

Jego spojrzenie krzyżuje się z moim na tyle długo, by przyspieszyć mój puls, a potem Xaden zwraca się do Daina, zupełnie ignorując kapitana i jego ogłoszenia.

– Zaszła zmiana w składzie twojej drużyny.

– Dowódco skrzydła – wita się Dain, prostując plecy. – Dopiero co zyskaliśmy czterech nowych członków po rozpadzie trzeciej drużyny.

– Tak. – Xaden przenosi wzrok w prawo, gdzie stoi druga drużyna z Sekcji Szpona. – Belden, wprowadzimy zmiany w drużynach.

– Tak jest. – Dowódca kiwa głową.

– Aetos, twoje szeregi opuści Vaughn Penley i jego miejsce zajmie Liam Mairi z Sekcji Ogonu.

Dain zaciska szczękę i kiwa głową.

Wszyscy patrzymy, jak pierwszoroczni jeźdźcy zamieniają się miejscami. Penley doszedł do nas po Odsiewie, więc nie żegnamy go z bólem serca, ale pozostałe trzy nowe osoby lamentują z niezadowoleniem.

Liam kiwa głową na Xadena, a mnie skręca w żołądku. Doskonale wiem, dlaczego chłopak został przeniesiony. Jest potężny, tak wysoki jak Sawyer i zbudowany tak dobrze jak Dain. Ma blond włosy, wyraźny nos, niebieskie oczy, a piętno rebelii zaczynające się na jego nadgarstku i znikające pod rękawem tuniki zdradza jego misję.

– Wcale nie potrzebuję ochroniarza – warczę na Xadena. Czy okazuję brak szacunku, odzywając się tak do własnego dowódcy? Bez wątplenia. Czy mnie to

obchodzi? Ani trochę.

Xaden mnie ignoruje i spogląda na Daina.

– Liam jest najsilniejszym pierwszakiem w całym kwadrancie. Jako pierwszy ukończył tor na Rękawicy, nie przegrał żadnego wyzwania i związał się z wyjątkowo silnym czerwonym sztyletogonem. Każda drużyna będzie mieć szczęście, mając w składzie kogoś takiego, a teraz jest cały twój, Aetos. Podziękujesz mi wiosną, kiedy wygracie Bitwę Drużyn.

Liam ustawia się w formacji za mną, zajmując miejsce Penleya.

– Nie potrzebuję ochroniarza – powtarzam, podkreślając każde słowo głośniejsze niż poprzednio. Nie obchodzi mnie, kto może nas usłyszeć.

Jakiś pierwszak za mną zapowietrza się, bez wątplenia porażony moim brakiem szacunku.

Imogen parska szyderczo.

– Powodzenia z takim podejściem.

Xaden omija Daina, zatrzymuje się naprzeciwko mnie i pochyla.

– Potrzebujesz, czego dowiodła wczorajsza noc. A nie mogę być wszędzie tam, gdzie ty. Za to Liam – wskazuje na blondwłosego Tyrreńczyka – jest na pierwszym roku, więc będzie ci towarzyszyć na wszystkich zajęciach, podczas każdego wyzwania i nawet załatwiłem mu zmianę w bibliotece razem z tobą, więc mam nadzieję, że do niego przywykniesz, Sorrengail.

– Przesadzasz. – Wbijam paznokcie w dłonie.

– Jeszcze się nie rozkręciłem – ostrzega niepokojąco niskim głosem, od którego dreszcz spływa mi po kręgosłupie. – Wszystko, co stanowi zagrożenie dla ciebie, jest również zagrożeniem dla mnie, a – jak już ustaliliśmy – mam ważniejsze rzeczy na głowie niż spanie na twojej podłodze.

Rumieniec wspina się po mojej szyi i rozlewa po policzkach.

– On wcale nie śpi w moim pokoju.

– Oczywiście, że nie. – Ma czelność uśmiechnąć się cynicznie, a moje zdradzieckie serce przyspiesza. – Przeniosłem go do pokoju obok ciebie. Nie chciałem przesadzać. – Okręca się na pięcie i wraca na swoje miejsce na początku formacji.

– Pieprzone, sparowane smoki – syczy Dain ze wzrokiem wbitym na wprost.

Fitzgibbons kończy ogłoszenia i schodzi z podestu, co zazwyczaj oznacza koniec formacji, ale jego miejsce zajmuje komendant Panhek. Nie przepada za porannymi zbiórkami, a to oznacza, że coś się kroi.

– Co tu robi Panhek? – pyta stojąca obok mnie Rhiannon.

– Nie jestem pewna. – Zaczerpuję oddechu i zaciskam zęby, kiedy moje żebra pulsują bólem.

– Chyba chodzi o coś poważnego, skoro ma przy sobie Kodeks – stwierdza moja przyjaciółka.

– Cisza – rozkazuje Dain i odwraca się w naszą stronę po raz pierwszy tego ranka. Na widok mojej szyi jego oczy wręcz płoną. – Vi?

Nie odezwał się do mnie od czasu naszej wczorajszej kłótni. Na bogów, jak to możliwe, że minęła niecała doba, a mimo to czuję się jak zupełnie inna osoba?

– Nic mi nie jest – zapewniam go, ale on wciąż patrzy zszokowany na moją szyję. – Dowódco, ludzie się gapią. – Kiedy komendant informuje, że musimy dzisiaj poruszyć jeszcze jedną kwestię, uwaga większości osób skupia się na nas. Dain wciąż nie odwraca ode mnie wzroku. – Dain!

Otrząsa się, a na widok przeprosin w jego łagodnych brązowych oczach dosłownie ściska mnie w gardle.

– Czy to miał na myśli Riorson, mówiąc o wczorajszej nocy?

Kiwam głową.

– Nie miałem pojęcia. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

*Bo nie uwierzyłbyś mi.*

– Nic mi nie jest – powtarzam, kiwając głową w stronę podestu. – Później.

Odwraca się, ale widać, że robi to niechętnie.

– Jako że jestem waszym komendantem, zwrócono mi uwagę, że doszło do naruszenia zasad Kodeksu – grzmi Panchek. – Jak zapewne wam wiadomo, nie tolerujemy sprzeciwiania się naszym świętym prawom – ciągnie. – Dlatego rozwiążemy tę sprawę tu i teraz. Niech oskarżyciel wyjdzie na środek.

– Ktoś tu ma kłopoty – szepcze Rhiannon. – Myślisz, że Ridoc w końcu został przyłapany w łóżku Tyvona Varena?

– To nie jest wbrew Kodeksowi – oponuje Ridoc.

– To zastępca dowódcy Drugiego Skrzydła. – Posyłam mu znaczące spojrzenie ponad ramieniem.

– I co w związku z tym? – Ridoc wzrusza ramionami i uśmiecha się bez cienia skruchy. – Spoufalanie się z wyższymi rangą nie jest pochwalane, ale nie można tego nazwać wykroczeniem.

Wzdycham, patrząc przed siebie.

– Brakuje mi seksu. – Naprawdę zaczynam za tym tęsknić i nie chodzi tylko o fizyczne doznania. Pragnę poczucia intymnej więzi, chwilowego przegonienia samotności.

Xaden nie zapewniłby mi tej pierwszej rzeczy, bo nie jest do tego zdolny, o ile kiedykolwiek spojrzalby na mnie w ten sposób, ale co do tego drugiego? Jest ostatnią osobą, której powinnam pragnąć, ale pożądanie i logika chyba nigdy nie idą w parze.

– Jeśli chcesz się trochę rozerwać, z radością ci... – zaczyna Ridoc i odgarnia z twarzy przyklapnięte brązowe włosy, figlarnie puszczając do mnie oko.

– Brakuje mi dobrego seksu – podkreślam i powściągam uśmiech, bo w tym momencie ktoś opuszcza formację i zmierza w stronę podestu. Nie widzę jednak tej osoby przez rzędy stojących przede mną drużyn. – Poza tym jesteś zajęty. – Muszę przyznać, że miło poprzekomarzać się z przyjacielem o takie błaźnoki. To niewielki strzępek normalności w tym makabrycznym miejscu.

– To nie jest związek na wyłączność – wyjaśnia Ridoc. – Tak samo jak Rhiannon i... jak jej tam było?

– Tara – podsuwa Rhi.

– Czy możecie się w końcu zamknąć? – warczy Dain nieznośnym sprzeciwu głosem.

Natychmiast zamykamy usta.

Szczęka mi opada, gdy dociera do mnie, że na podium wspina się Xaden. Zapowietrzam się.

– Tu chodzi o mnie – szepczę.

Dain zerka w moim kierunku, zdeorientowany marszczy brwi, a potem przenosi uwagę na podest, na którym Xaden już stoi i jakimś cudem zdaje się zajmować całą przestrzeń.

Z tego, co kiedyś czytałam, jego ojciec wyróżniał się takim samym magnetyzmem. Potrafił zaskarbić sobie uwagę tłumów samymi słowami... słowami, które doprowadziły do śmierci Brennana.

– Wcześniej rano – zaczyna głębokim głosem, który rozbrzmiewa w uszach zebranych – jeźdźczyni z mojego skrzydła została brutalnie i bezprawnie zaatakowana w trakcie snu przez grupę niezwiązanych, którzy zamierzali ją zabić.

Przez formację przetaczają się zbiorowe szepty i okrzyki zdziwienia, a ramiona Daina sztywnieją.

– Jak wszyscy wiemy, to naruszenie artykułu trzeciego, ustępu drugiego z Kodeksu Smoczycy Jeźdźców. Nie dość, że to niehonorowe, to jeszcze karane śmiercią.

Czuję na sobie ciężar dziesiątek spojrzeń, ale przede wszystkim – Xadena.

Zaciska dłonie w pięści po bokach ciała.

– Zostałem zawiadomiony przez mojego smoka i wraz z dwoma innymi jeźdźcami z Czwartego Skrzydła udaremniłem atak. – Kiwa głową w stronę naszego skrzydła i od formacji odłączają się Bodhi oraz Garrick, a potem wspinają się na podium i stają obok Xadena. – Jako że była to sprawa życia i śmierci, osobiście zabiłem sześciu niedoszłych morderców, czego świadkiem są

dowódca Sekcji Ognia Garrick Tavis i zastępca dowódcy Sekcji Ogona Bodhi Durran.

– Obaj to Tyrreńczycy. Cóż za zbieg okoliczności – komentuje stojąca za Ridokiem i Liamem Nadine, która niedawno dołączyła do naszej drużyny.

Odwracam głowę i przeszywam ją spojrzeniem.

Liam w skupieniu patrzy na wprost.

– Jednak atak został zorganizowany przez jeźdźczynię, która uciekła przed moim przybyciem – kontynuuje podniesionym głosem Xaden. – Jeźdźczyni, która miała dostęp do map z pokojami przypisanymi do poszczególnych kadetów. I tę osobę musi spotkać sprawiedliwość.

Cholera. Zaraz zrobi się nieciekawie.

– Wzywam cię, abyś odpowiedziała za zbrodnię przeciwko kadetce Sorrengail – Xaden zawiesza wzrok pośrodku formacji – dowódczyni skrzydła Amber Mavis.

Obecni kolektywnie wstrzymują oddech, a potem przez tłum przetacza się szmer.

– Że co? – cedzi Dain.

Moje serce się kurczy. Bogowie, nie znoszę, kiedy moje podejrzenia co do Daina się potwierdzają.

Rhiannon łapie mnie za rękę, żeby dodać mi otuchy, kiedy uwaga wszystkich jeźdźców na dziedzińcu zwraca się ku Xadenowi, Amber oraz... mnie.

– To również Tyrrenka, Nadine – rzuca ponad ramieniem Ridoc. – A może jesteś uprzedzona tylko do tych naznaczonych?

Rodzina Amber pozostała lojalna Navarze, więc nie była zmuszona patrzeć na egzekucję swoich rodziców i nie została naznaczona piętnem rebelii.

– Amber nigdy by tego nie zrobiła. – Dain potrząsa głową. – Żaden dowódca skrzydła by się tego nie dopuścił. – Odwraca się w moją stronę. – Idź tam i powiedz wszystkim, że on kłamie, Vi.

– Tyle że nie kłamie – odpowiadam tak cicho, jak się da.

– Ale to niemożliwe. – Jego policzki pokrywają się plamami czerwieni.

– Byłam tam, Dain. – Jego brak wiary w moje słowa boli bardziej, niż się spodziewałam. Jest jak cios w poobijane zebra.

– Dowódcy skrzydła nie można niczego zarzucić...

– To dlaczego bez wahania nazwałeś dowódcę własnego skrzydła kłamcą? – Unoszę brwi wyzywająco i czekam, aż powie w końcu to, co ma na końcu języka.

Amber wyłania się z tłumu.

– Nie dopuściłam się żadnej zbrodni!



– Widzisz? – Dain wymachuje ręką i wskazuje na rudowłosą. – Zakończ to w tej chwili, Violet.

– Była z nimi w moim pokoju – odpowiadam dosadnie. Krzyki go nie przekonają. Nic go nie przekona.

– To niemożliwe. – Unosi ręce, jakby chciał ująć moją twarz w dłonie. – Daj mi zobaczyć.

Jestem tak zszokowana jego intencją, że robię chwiejny krok w tył. Jak mogłam zapomnieć, że jego moc pozwala mu widzieć wspomnienia innych?

Jeśli jednak pozwolę mu zobaczyć wspomnienie potwierdzające udział Amber, zauważy również, że zatrzymałam czas, a do tego nie mogę dopuścić. Kręcę głową i robię kolejny krok w tył.

– Pokaż mi wspomnienie – rozkazuje.

Oburzona zadzieram głowę.

– Dotknij mnie bez pozwolenia, a będziesz tego żałować do końca życia.

Wytrzeszcza oczy ze zdziwienia.

– Dowódcy skrzydeł. – Xaden wzmacnia swój głos magią, żeby przekrzyczeć panujący tu chaos. – Musimy się naradzić.

Nyra i Septon – dowódcy Pierwszego i Drugiego Skrzydła – wspinają się na podwyższenie, mijając Amber, która stoi sama pośrodku dziedzińca.

W powietrzu rozlega się znajomy dźwięk i wszyscy przenosimy wzrok w stronę góry, na której tle widać szóstkę smoków zmierzających prosto na nas. Największym z nich jest Tairn.

Docierają do cytadeli w ciągu zaledwie kilku sekund i zatrzymują się nad murem. Między zebranymi przetacza się silny podmuch wiatru wywołany ich skrzydłami. Następnie jeden po drugim przysiadają na żerdzi. Tairn zajmuje miejsce pośrodku.

Jego sylwetka emanuje furia, szpony wbijają się w kamienny mur, który kruszy się pod jego naciskiem, a wściekle oczy skupia na Amber.

Sgaeyl siedzi po jego prawej stronie dokładnie za Xadenem. Jest równie straszna jak pierwszego dnia, ale wtedy nie wyobrażałam sobie, że byłabym w stanie związać się ze smokiem jeszcze bardziej przerażającym od niej. A teraz wzbudza grozę we wszystkich... poza mną. Za Nyra ustawia się również jej czerwony skorpiogon, a brązowy sztyletogon Septona zajmuje miejsce po lewej. Na końcach siedzą zielony maczugon komendanta Pancheka i pomarańczowy sztyletogon Amber.

– Zrobiło się poważnie – zauważa Sawyer, który opuszcza formację i staje obok mnie. Za plecami wyczuwam Ridoca.

– Możesz położyć temu kres, Violet. Musisz to zrobić – upiera się Dain. – Nie wiem, kogo widziałas tamtej nocy, ale to nie była Amber. Za bardzo zależy jej

na zasadach, by je łamać.

I ona uważa, że złamałam je, korzystając ze swojego sztyletu, żeby pokonać ostatni poziom Rękawicy.

– Robisz to specjalnie, żeby zemścić się na mojej rodzinie! – zarzuca Xadenowi Amber. – Za to, że nie poparła twojego ojca w trakcie rebelii!

To dopiero cios poniżej pasa. Xaden jednak puszcza to mimo uszu i odwraca się w stronę pozostałych dowódców.

W przeciwieństwie do Daina nie żąda dowodu. Wierzy mi i jest gotowy uśmiercić dowódczynię skrzydła wyłącznie na podstawie mojego słowa. Zaczynam czuć, że moje mury obronne wzniesione przeciwko Xadenowi zaczynają powoli kruszeć.

*Czy jesteś w stanie zobaczyć moje wspomnienia?, zwracam się do Tairna. I się nimi podzielić?*

*Tak. Nieznacznie przekrzywia głowę na prawo i lewo. Jednak nigdy nie przekazano wspomnień poza więzią łączącą smoka i jego jeźdźca. Jest to uważane za pogwałcenie zasad.*

*Xaden stoi tam teraz i walczy, ponieważ wyznałam mu, że to ona. Pomóż mu. Bogowie, podziwiam go za to. Biorę głęboki wdech. Ale tylko to, co muszą zobaczyć.*

Pragnę go, a do tego jeszcze podziwiam? Mam przekichane.

Tairn prycha i wszystkie smoki na ścianie poza Sgaeyl, nawet sztyletogon Amber, zamierają. Zaraz potem to samo dzieje się z jeźdźcami. Wkrótce na dziedzińcu zapada cisza i dociera do mnie, że wszyscy to zobaczyli.

– Co za fałszywa żmija – syczy Rhiannon, mocniej ściskając moją dłoń.

Dain błędnie.

– Teraz mi wierzysz? – pytam go z wyrzutem. – Nie zachowujesz się jak mój najlepszy przyjaciel, którego znam od dziecka, Dain. Nie bez powodu nie chciałam ci powiedzieć.

Robi chwiejny krok w tył.

– Dowódcy skrzydeł naradzili się i doszli do jednogłośnej decyzji – oznajmia Xaden, otoczony Nyrą i Septonem. Komendant trzyma się na uboczu. – Uznajemy cię za winną, Amber Mavis.

– Nie! – krzyczy. – Pozbycie się najsłabszego jeźdźca w kwadrancie nie jest żadną zbrodnią! Zrobiłam to, żeby chronić nas wszystkich! – Zaczyna krążyć przed zebranymi w panice i szuka wśród nich poparcia.

Cała formacja jednomyślnie robi krok w tył.

– Zgodnie z naszym prawem sprawiedliwość zostanie tradycyjnie wymierzona ogniem – oznajmia Nyra.

– Nie! – Amber patrzy na swojego smoka. – Claidh!

Pomarańczowy sztyletogon Amber warczy na pozostałe smoki i podnosi szponiastą łapę.

Tairn odwraca w jego stronę masywny łeb, a jego ryk wstrząsa ziemią pod moimi stopami. Kłapie paszczą tuż przed mniejszym pomarańczowym gadem, który wycofuje się, mocno zaciskając szpony na murze i zwiesza głowę.

Ten widok rozdziera mi serce. Nie z powodu Amber, tylko Claidh.

*Naprawdę musisz to robić?,* pytam Tairna.

*Tak postępujemy ze zdrajcami.*

– Proszę cię, nie – błagam go, zapominając, że nie muszę używać głosu. Ukaranie Amber to jedno, ale przecież Claidh też będzie cierpieć.

Może udałoby mi się porozmawiać z Amber, przemówić jej do rozumu, jakoś rozgryźć nasz problem. Może dojdziemy do porozumienia, przekazujemy złość w przyjaźń albo chociaż w zwykłą obojętność. Potrząsam głową z przestraszonym. To wszystko moja wina. Tak bardzo skupiłam się na tym, by wszyscy mi uwierzyli, że nie zastanowiłam się nawet, co może się stać, jeśli już uwierzą.

Odwracam się w stronę Xadena i znowu próbuję błagać łamiącym się głosem:

– Proszę, daj jej szansę.

Wytrzymuje moje spojrzenie, ale w jego oczach nie dostrzegam nawet błysku emocji.

*Raz pozwoliłem komuś żyć i wczoraj niemal cię zabił, srebrnowłosa,* przypomina Tairn, jakby ostatecznie tylko to miało znaczenie. *Sprawiedliwość nie zawsze jest łaskawa.*

– Claidh – woła płaczliwie Amber, a jej głos niesie się po całym dziedzińcu, bo wszyscy dosłownie zamierają.

A potem formacja rozsuwa się pośrodku.

Tairn pochyla się nisko i wyciąga szyję za podest, w stronę Amber. Otwiera paszczę, cofa język i zabija ją ognistym pociskiem, tak gorącym, że nawet ja odczuwam go na skórze. I po chwili jest już koniec.

Rozlega się pełen rozpaczony ryk, od którego pęka okno w skrzydle akademickim, a wszyscy jeźdźcy zatykają uszy, kiedy Claidh oplakuje stratę.

*Nie panikuj, jeśli nie jesteś w stanie od razu czerpać z mocy swojego smoka, Miro. Tak, wiem, że we wszystkim musisz być najlepsza, ale tego nie jesteś w stanie kontrolować. Smok podzieli się z tobą mocą, gdy wyczuje, że jesteś gotowa. I kiedy do tego dojdzie, lepiej nastaw się psychicznie na objawienie się nowej zdolności. Póki się ona nie manifestuje, oznacza to, że ten moment jeszcze nie nadszedł. Nie wymuszaj tego.*

Strona sześćdziesiąta pierwsza, *Dziennik Brennana*



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

**T**o naprawdę nie jest konieczne. – Zerkam na Liama, kiedy zmierzamy w stronę wrót Archiwów. Wózek już nie skrzypi. Naprawił go pierwszego dnia.

– To samo mówiłaś w zeszłym tygodniu. – Posyła mi szeroki uśmiech, od którego w jego policzkach pojawiają się dołeczki.

– A mimo to wciąż tu jesteś. Każdego dnia. Przez cały dzień. – Nie chodzi o to, że go nie lubię, bo ku mojemu absolutnemu rozdrażnieniu okazał się całkiem... sympatyczny. Jest szarmancki, zabawny i niesamowicie pomocny. Nie da się go nie lubić, mimo że nie odstępował mnie na krok i wszędzie zostawia po sobie drewniane opiłki, bo nie rozstaje się z małym nożykiem, którym ciągle dłubie w drewnie. Wczoraj skończył figurkę niedźwiedzia.

– I będę tu, dopóki nie dostanę innego rozkazu – odpowiada.

Kręcę głowę zrezygnowana. Do drzwi Archiwów podbiega Pierson, wygładzając kremową tunikę.

– Dzień dobry, kadecie Pierson.

– Dzień dobry, kadetko Sorrengail. – Uśmiecha się do mnie uprzejmie, ale jego mina rzednie na widok Liama. – Kadecie Mairi.

– Kadecie Pierson – odpowiada Liam, jakby ton głosu skryby w ogóle się nie zmienił.

Napinam ramiona, kiedy Pierson rzuca się do drzwi, by je otworzyć. Przed rozpoczęciem nauki w Basgacie nie miałam styczności z naznaczonymi, ale teraz wyraźna wrogość, z którą codziennie się spotykają, zaczyna coraz bardziej rzucać mi się w oczy.

Wchodzimy do Archiwów i czekamy przy stole tak jak każdego ranka.

– Jak sobie z tym radzisz? – pytam szeptem Liama. – Jak możesz nie reagować, kiedy ludzie są dla ciebie tacy niemili?

– Ty ciągle jesteś dla mnie niemila – żartuje, stukając palcami o rączkę wózka.

– To dlatego, że mnie niańczysz, a nie...

– Przez to, że jestem synem owianego złą sławą pułkownika Mairiego? – Zaciska szczęki i marszczy brwi, ale po chwili odwraca wzrok.

Kiwam głową ponuro, przypominając sobie ostatnie miesiące.

– Pewnie sama nie jestem lepsza. Z miejsca znienawidziłam Xadena, mimo że nic o nim nie wiedziałam. – Nie żebym teraz coś wiedziała. Wkurza mnie to, jaki jest niedostępny.

Liam parska śmiechem, za co zostaje zgromiony wzrokiem przez siedzącego w kącie skrybę.

– On tak właśnie działa na ludzi, szczególnie na kobiety. Albo gardzą nim za to, kim był jego ojciec, albo chcą go przelecieć z tego samego powodu. Zależy, gdzie akurat przebywamy.

– Ty naprawdę dobrze go znasz, co? – Wyciągam szyję, żeby na niego spojrzeć. – Nie wybrał cię do roli mojego ochroniarza tylko dlatego, że jesteś najlepszy na naszym roku.

– W końcu załapałaś, co? – Na jego twarz wypływa uśmiech. – Powiedziałbym ci to pierwszego dnia, gdybyś nie była taka zajęta narzekaniem na moje towarzystwo.

Przewracam oczami, kiedy podchodzi do nas Jesinia z włosami przysłoniętymi kapturem.

– Cześć, Jesinio – migam.

– Dzień dobry – wita się i uśmiecha nieśmiało, zerkając na Liama.

– Dzień dobry – odpowiada gestem i puszcza do niej oko. Ewidentnie z nią flirtuje.

Kiedy pierwszego dnia dowiedziałam się, że zna język migowy, dosłownie odjęło mi mowę, ale, szczerze mówiąc, byłam na niego cięta, bo nie chciałam mieć niani.

– Dzisiaj tylko to? – upewnia się Jesinia, zaglądając do wózka.

– I jeszcze to. – Podaję listę ksiąg, przerywając ich wymianę spojrzeń.

– Doskonale. – Dziewczyna pąsowieje. Przygląda się liście, a potem chowa ją do kieszeni. – Och, i przy okazji, profesor Markham wyszedł, zanim dotarło najświeższe sprawozdanie. Czy możecie mu to przekazać?

– Oczywiście. – Czekam, aż odchodzi z wózkiem, a potem szturcham Liama w pierś. – Przestań – szepczę.

– Ale niby co? – Odprowadza ją wzrokiem, aż dziewczyna znika za regałem, żeby odłożyć książki.

– Przestań flirtować z Jesinią. To kobieta, która szuka związku na stałe, więc jeśli ty wolisz przelotne relacje to... po prostu sobie daruj.

Unosi brwi aż po linię włosów.

– Jak w ogóle można tu myśleć o czymś takim jak stały związek?

– Nie każdy należy do kwadrantu, gdzie śmierć jest codziennością. – Zaciągam się zapachem Archiwów i próbuję wchłonąć spokój, który za sobą pociąga.

– A więc chcesz powiedzieć, że niektórzy ludzie wciąż próbują mieć coś tak abstrakcyjnego jak plany na przyszłość? Urocze.

– Zgadza się. I Jesinia jest właśnie taką osobą. Wierz mi, znam ją od lat.

– Jasne. Bo jako dziecko chciałaś zostać skrybką. – Rozgląda się po Archiwach z taką uwagą, że chce mi się śmiać. Jakby nagle ktoś miał się wyłonić zza regałów i mnie zaatakować.

– Skąd o tym wiesz? – pytam cicho, kiedy mija nas grupa kadetów z drugiego roku, którzy z powagą debatuje na temat dwóch historyków.

– Sprawdziłem cię po tym, jak... otrzymałem to zadanie. – Kręci głową. – Widziałem, jak w tym tygodniu trenowałaś ze swoimi ostrzami, Sorrengail. Riorson ma rację. Gdybyś została skrybką, zmarnowałabyś swój potencjał.

Duma rozpira mi klatkę piersiową.

– To się jeszcze okaże. – Przynajmniej jeszcze nie rozpoczęły się wyzwania. Wygląda na to, że zbyt dużo osób umiera podczas lekcji latania, by dopuścić do śmierci kolejnych w walkach na macie. – A ty kim chciałaś być, jak dorośniesz? – pytam, żeby podtrzymać rozmowę.

Wzrusza ramionami.

– Żywym.

Cóż... można i tak.

– A skąd w ogóle znasz Xadena? – Nie jestem na tyle głupia, by myśleć, że wszyscy mieszkańcy Tyrrendoru się znają.

– Riorson i ja po separacji trafiliśmy do tego samego domu zastępczego – wyjaśnia, używając tyrreńskiego terminu na rebelię, którego nie słyszałam chyba od wieków.

– Trafiłeś do domu zastępczego? – Opada mi szczęka. Osierocenie dzieci wśród arystokracji było zwyczajem, który skończył się po zjednoczeniu Navarry ponad sześćset lat temu.

– Cóż, tak. – Znowu wzrusza ramionami. – A jak ci się wydaje, gdzie trafiły dzieci zdrajców – krzywi się na dźwięk tego słowa – po egzekucji naszych rodziców?

Spoglądam na rozległe regały z tekstami, zastanawiając się, czy może w jednym z nich tkwi odpowiedź.

– Nie pomyślałam o tym – przyznaję ze ściśniętym gardłem.

– Większość naszych domów trafiła do arystokratów, którzy pozostali lojalni. – Odchrząkuje. – I tak też powinno być.

Nie zawracam sobie głowy odpowiedzią na coś, co jest ewidentnie wyuczoną odpowiedzią. Reakcja króla Tauriego na rebelię była błyskawiczna, może nawet okrutna, ale byłam wtedy piętnastolatką zbyt pogrążoną we własnym smutku, by współczuć ludziom, którzy przyczynili się do śmierci mojego brata. Mimo to spalenie do gołej ziemi Aretii, która była stolicą Tyrrendoru, nigdy nie wydawało mi się słuszne. Liam miał wtedy tyle samo lat co ja. To nie jego wina, że matka sprzeciwiła się rządowi Navarry.

– Ale nie przeniosłeś się ze swoim ojcem do jego nowego domu?

Wbija we mnie wzrok i ściąga brwi.

– Trudno jest mieszkać z ojcem, który został stracony tego samego dnia co moja matka.

Oblatuje mnie zimny dreszcz.

– Nie. Nie, to niemożliwe. Twój ojciec to Isaac Mairi, prawda? Przystudiowałam wszystkie rodziny arystokrackie w każdej prowincji, włącznie z Tyrrendorem.

Czy coś mi się pomyliło?

– Tak. Isaac był moim ojcem. – Przekrzywia głowę i patrzy tam, gdzie niedawno zniknęła Jesinia. Odnoszę wrażenie, że ten temat jest już dla niego skończony.

– Ale przecież on nie był częścią rebelii – stwierdzam, starając się to zrozumieć. – Nie widnieje na liście poległych z Calldyru.

– Czytałaś listy poległych z Calldyru? – Jego oczy błyskają gniewem.

Wytrzymuję jego spojrzenie, chociaż kosztuje mnie to sporo odwagi.

– Musiałam sprawdzić, czy ktoś inny na nich widnieje.

Odchyła głowę.

– Fen Riorson.

Kiwam głową.

– Zabił mojego brata w bitwie pod Aretią. – Wyteżam umysł, żeby ułożyć w całość to, co kiedyś przeczytałam, i to, co właśnie mi powiedział. – Ale nazwiska twojego ojca nie było na tej liście. – Za to Liama tak, w roli świadka. Jestem ogromnie zażenowana. Co ja sobie myślałam? – Tak bardzo mi przykro. Nie powinnam była o to pytać.

– Został zabity w naszym domu rodzinnym. – Rysy jego twarzy się napinają. – Ale oczywiście budynek został przekazany innemu arystokracji. I tak, wszystkiemu się przyglądałem. Już wtedy nosiłem piętno rebelii, ale ból był taki sam. – Ucieka wzrokiem i głośno przetyka ślinę. – Potem zostałem wysłany do Tirvainnu, gdzie zajął się mną księżę Lindell, podobnie jak Riorsonem. A moja młodsza siostra została wysłana gdzie indziej.

– Rozdzielili was? – Szczęka dosłownie mi opada. Nigdzie w żadnym tekście na temat rebelii, który przeczytałam – a przeczytałam ich tonę – nie widziałam żadnych wzmianek na temat domów zastępczych czy rozdzielanych rodzeństw.

Przytakuje.

– Jest tylko rok młodsza ode mnie, więc zobaczę się z nią, kiedy od sierpnia zacznie naukę w kwadrancie. Jest silna, szybka, a równowaga to jej mocna strona. Przeżyje. – Panika zabarwiająca jego głos przypomina mi o Mirze.

– Zawsze mogłaby wybrać inny kwadrant – zauważam cicho, mając nadzieję, że go uspokoję.

Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Wszyscy jesteśmy jeźdźcami.

– Co?

– Wszyscy jesteśmy jeźdźcami. Taki był układ. Pozwolili nam przeżyć, dali nam szansę, aby udowodnić naszą lojalność, pod warunkiem że dołączymy do Kwadrantu Jeźdźców. – Jego mina wyraża jeszcze większy szok. – Nie słyszałaś o tym?

– To znaczy... – Kręcę głową. – Wiem, że dzieci przywódców i oficerów zostały zmuszone do poboru, ale to wszystko. A przecież wszystkie aneksy traktatu zostały zastrzeżone.

– Osobiście uważam, że wysłano nas do tego kwadrantu, żeby dać nam szansę na awans społeczny, ale inni... – Krzywi się. – Inni uważają, że skoro wśród Kwadrantu Jeźdźców odsetek zmarłych jest największy, władze myślały, że sami wymrzemy, a oni nie przyłożą do tego ręki. Kiedyś Imogen mówiła, że pierwotnie myśleli, że smoki mają bezwzględny honor, dlatego nigdy nie związałyby się z naznaczonym, a teraz władze nie do końca wiedzą, co z nami począć.

– Ilu was jest? – Myślę o mojej matce i mimowolnie zastanawiam się, co ona wie, na co się zgodziła, kiedy została generałą Basgiathu po śmierci Brennana.



– Xaden nigdy ci nie mówił? – Zawiesza głos. – Sześćdziesięciu ośmiu oficerów miało dzieci w wieku poniżej dwudziestu lat. Jest nas łącznie stu siedmiu i wszyscy zostaliśmy naznaczeni piętnem rebelii.

– Xaden jest najstarszy – zgaduję.

Przytakuje.

– A najmłodsza Julianne ma obecnie prawie sześć lat.

Chyba się porzygam.

– Ona też została naznaczona?

– Urodziła się z piętnem.

Rozumiem, że zrobił to smok, ale przecież to chore.

– I nie ma nic złego w tym, że pytasz. Ludzie powinni wiedzieć. Ktoś powinien o tym pamiętać. – Wzdycha ciężko. – W każdym razie trudno ci tu przebywać? Czy może te wizyty cię jakoś pocieszają?

*Odnutowuję subtelną zmianę tematu.*

Przenoszę wzrok na rzędy stołów, do których powoli ściągają skrybowie przygotowujący się do pracy, i wyobrażam sobie pośród nich ojca.

– Czuję się tutaj jak w domu, ale nie. I nie chodzi o to, że coś się tu zmieniło, bo to miejsce zawsze pozostaje takie samo. Co więcej, myślę, że zmiana jest śmiertelnym wrogiem każdego skryby. Ale zaczynam rozumieć, że to ja się zmieniłam. Już tutaj nie pasuję.

– Tak. Rozumiem to. – Coś w jego głosie mówi mi, że tak jest.

Na końcu języka mam już kolejne pytanie – chcę zapytać, jak radził sobie przez te ostatnie pięć lat – ale nagle pojawia się Jesinia z wózkiem załadowanym zamówionymi książkami.

– Mam dla was wszystko, o co prosiliście – miga i wskazuje na zwój leżący na samej górze. – Oraz sprawozdanie dla profesora Markhama.

– Dopilnujemy, by je dostał – obiecuję i pochylam się, żeby wziąć wózek. Wysoki kołnierz mojego ubrania odsuwa się i Jesinia krzyczy cicho, zakrywając usta dłonią.

– Na bogów, Violet. Twoja szyja! – miga nerwowym ruchem rąk, a na widok współczucia w jej oczach coś dusi mnie w płucach. Współczucie, którego próżno szukać w naszym kwadrancie. Mamy tam mnóstwo gniewu, złości i oburzenia... ale żadnego współczucia.

– To nic takiego. – Poprawiam kołnierz, żeby przesłonić żółknące siniaki, a Liam wyciąga rękę po wózek. – Zobaczymy się jutro.

Kiwa głową i wykręca sobie palce, a my zmierzamy w stronę wyjścia. Pierson zamyka za nami drzwi.

– Riorson nauczył mnie walczyć, kiedy mieszkał w Tirvainnie. – Doceniam zmianę tematu, która znów bez wątplenia jest celowa. – Nigdy nie widziałem,

by ktoś poruszał się tak jak on. To dzięki niemu udało mi się wygrać wszystkie wyzwania. Może tego nie okazuje, ale dba o swoich ludzi.

– Próbujesz mnie do niego przekonać? – Docieramy do wzniesienia i z satysfakcją zauważam, że moje nogi są dzisiaj silne. Uwielbiam dni, gdy ciało ze mną współpracuje.

– Tak jakby utknęłaś z nim na... – Robi przeproszącą minę. – Cóż, na wieczność.

– Albo dopóki jedno z nas nie umrze – żartuję, ale jego to nie bawi. Skręcamy i zmierzamy drogą prowadzącą przez Kwadrant Medyków. – Ale jak ty to znosisz? Jak możesz chronić osobę, której matka nadzorowała skrzydło odpowiedzialne za zatrzymanie twojego ojca? – Od tygodnia chciałam zadać to pytanie.

– Zastanawiasz się, czy możesz mi ufać? – Znowu posyła mi szelmowski uśmiech.

– Tak – odpowiadam prosto z mostu.

Wybuchają śmiechem, który odbija się echem od ścian tunelu i okien izby chorych.

– Dobra odpowiedź. Mogę jedynie powiedzieć, że twoje przetrwanie zapewni przetrwanie Riorsonowi, a wiele mu zawdzięczam. Właściwie zawdzięczam mu wszystko. – Przy ostatnim słowie patrzy mi głęboko w oczy, nawet kiedy wózek zahacza o wystający kamień.

Leżący na samej górze zwój spada na podłogę. Pochylam się po niego, zaciskając zęby na skutek tępego bólu w zębach. Rolka rozwija się na nieco spadzistej drodze tunelu.

– Mam go. – Gruby pergamin nie chce się zwinąć i przez przypadek zauważam jedno zdanie, na widok którego zamieram.

„Szczególny niepokój wzbudza stan Sumertonu. Zeszłej nocy splądrowano wioskę oraz karawan z zaopatrzeniem...”

– Co tam wyczytałaś? – pyta Liam.

– Sumerton został zaatakowany. – Odwracam zwój, żeby sprawdzić, czy został oznaczony jako zastrzeżony, ale nie jest.

– Przy południowej granicy? – Wydaje się zdezorientowany. Czuję się tak samo.

– Tak. – Przytakuję. – To kolejny atak na dużej wysokości, jeśli dobrze pamiętam z geografii. Tu napisano, że konwój z zaopatrzeniem został splądrowany. – Zagłębiam się w tekst. – Podobnie jak zbiorowa spiżarnia w pobliskiej jaskini. Ale przecież to bez sensu. Przecież mamy umowę handlową z Poromielem.

– W takim razie to zwykli najeźdźcy.

Wzruszam ramionami.

– Nie mam pojęcia. Pewnie usłyszymy o tym dzisiaj na analizie. – Ostatnio nasiliły się ataki na południową granicę, wszystkie wyglądają podobnie. Ktoś dalej atakuje wioski w górach za każdym razem, gdy słabną bariery.

Nagle uderza mnie silny, nieokiełznany głód, a mój pusty żołądek domaga się zaspokojenia krwią...

– Sorrengail? – Liam patrzy na mnie, marszcząc czoło z niepokojem.

– Tairn się obudził – udaje mi się wydukać i chwytam się za brzuch, jakbym to ja miała ochotę na całe stado owiec. Albo kóz. Albo cokolwiek dzisiaj wybierze.

*Na bogów, proszę cię, zjedz coś.*

*To samo można by powiedzieć o tobie, warczy.*

Widzę, że nie jesteś rannym ptaszkiem, co? Uczucie głodu znika i domyślam się, że to jego sprawka, ponieważ ja jeszcze nie potrafię wyciszać więzi. Jego emocje docierają do mnie tylko wtedy, kiedy wymykają mu się spod kontroli. *Dziękuję. A co z Andarną?*

*Wciąż śpi. Regeneracja po takim zużyciu mocy zajmie jej jeszcze kilka dni.*

– Czy to z czasem robi się łatwiejsze? – zwracam się do Liama. – Mówię o napływie ich emocji?

Liam zaciska usta.

– Dobre pytanie. Deigh na ogół nad sobą panuje, ale kiedy wpada w złość? – Liam potrząsa głową. – Podobno ma być lepiej, kiedy smoki zaczną przelewać w nas swoją moc, dzięki której uczymy się je blokować, ale dobrze wiesz, że do tego czasu Carr nie będzie się z nami cackać.

Już się domyśliłam, że Liam nie ma jeszcze mocy, bo towarzyszy mi na wszystkich zajęciach, ale miło wiedzieć, że nie jestem sama w coraz bardziej kurczącej się grupie jeźdźców bez mocy. Co prawda Andarna podarowała mi moc zatrzymywania czasu, ale jestem pewna, że nie będę korzystać z niej często, tym bardziej że regeneracja zajmuje jej tyle czasu.

– A więc Tairn jeszcze nie napełnił cię mocą, tak? – pyta Liam z wyrazem niepewności i wrażliwości na twarzy.

Przeczę ruchem głowy.

– Myślę, że ma problemy z zaangażowaniem się – szepczę.

*Słyszałem to.*

*W takim razie trzymaj się z dala od mojej głowy.*

Atakuje mnie kolejna fala paralizującego głodu i niemal zgniatam w dłoni zwój Markhama.

*Nie bądź wredny.*

Przysięgam, że w odpowiedzi słyszę jego szyderczy śmiech.

- Lepiej się pospieszmy, inaczej ominie nas śniadanie.
- Masz rację. – Zwijam pergamin i wkładam go do wózka.

\* \* \*

**C**hcę być jak wszystkie zarąbiste dzieciaki – mamrocze Rhiannon, kiedy pierwszoroczniki z Drugiego i Trzeciego Skrzydła wylewają się na klatkę schodową wieży, w której znajduje się sala wykładowa profesora Carra. W następnej kolejności czeka nas analiza wojenna.

– Kiedyś będziemy – zapewniam ją i chwytam pod łokieć. Muszę przyznać, że jest we mnie ukłucie zazdrości.

– Może i jesteście zarąbiste, ale nigdy nie będziecie tak zarąbiste jak ja! – Ridoc przepycha się obok Liama i otacza mnie ramieniem.

– Rhi mówi o wszystkich, którzy już mają moc – wyjaśniam i poprawiam książki, żeby ich nie upuścić. – Chociaż póki nie czerpiemy energii, nie musimy martwić się tym, że nie zdążymy doświadczyć objawienia mocy, zanim magia nas zabije. – Symbol na moich plecach łaskocze i zastanawiam się, czy dar Andarny wprawił mój zegar w ruch.

– Och, a ja myślałem, że mówimy o tym, jak pozamiatałem na teście z fizyki. – Uśmiecha się od ucha do ucha. – To najwyższy wynik w całej grupie.

Rhiannon przewraca oczami.

– Proszę cię. Zdobyłam pięć punktów więcej od ciebie.

– Przestaliśmy liczyć twoje oceny kilka miesięcy temu – nachyla się nieznacznie – bo przez nie reszta ma kompleksy. – Ogląda się przez ramię. – Chwila, a ty co dostałeś, Mairi?

– Nie zamierzam się w to mieszać – odpowiada wymijająco Liam.

Wybucham śmiechem, kiedy się rozłączamy i zatrzymujemy w kolejce kadetów przed wejściem do sali.

– Przepraszam, Sorrengail – rzuca ktoś, odsuwa się i łapie swojego kolegę, żeby zejść nam z drogi.

– Nie masz za co przepraszać! – wołam, ale oni już są kilka rzędów wyżej. – Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

– Ale przynajmniej nie masz problemów z dostaniem się do różnych miejsc – żartuje Rhiannon, kiedy schodzimy po stopniach ciągnących się w górę masywnej wieży.

*Okazują ci należyty szacunek, burczy Tairn.*

*Bo mają na względzie to, kim według nich zostanę, a nie to, kim jestem. Znajdujemy nasz rząd i zajmujemy miejsce pomiędzy innymi pierwszakami.*

*To tylko świadczy o ich przezorności.*

Powietrze aż buzuje od energii, kiedy sala wypełnia się jeźdźcami, a ja mimowolnie zauważam, że nikt już nie musi tu stać na własnych nogach. Przez ostatnie cztery miesiące liczba kadetów drastycznie się zmniejszyła. Widok pustych krzeseł dosłownie mnie otrzeźwia. Wczoraj straciliśmy kolejnego pierwszaka, kiedy na lądowisku za bardzo zbliżył się do czerwonego skorpionoga innego jeźdźca. W jednej chwili stał na polanie, w drugiej została po nim wypalona plama na ziemi. Przez resztę zajęć trzymałam się tak blisko Tairna jak to możliwe.

Czuję mrowienie na skórze głowy, ale siłą woli powstrzymuję się przed odwróceniem.

– Właśnie zjawił się Riorson – informuje siedzący obok mnie Liam i przestaje rzeźbić figurkę małego smoka, żeby przenieść wzrok na rzędy zajmowane przez trzeci rok.

– Domyśliłam się. – Unoszę środkowy palec, dalej patrząc na wprost. Nie żebym nie lubiła Liama, ale wciąż jestem zła na Xadena za to, że zlecił mi opiekę nade mną.

Liam parska śmiechem i uśmiecha się, pokazując dołeczek w policzku.

– A teraz przewierca cię spojrzeniem. Czy naprawdę wkurzanie najpotężniejszego jeźdźca w całym kwadrancie jest taką dobrą zabawą?

– Możesz sam spróbować i się przekonać – sugeruję i otwieram notatnik na następnej pustej stronie. Nie mogę się obejrzeć. Nie zrobię tego. Nie ma nic złego w pożądanu Xadena. Ale uleganie impulsom, które we mnie wzbudza? To czysta głupota.

– Spasuję.

Przegrywam walkę z samą sobą i oglądam się przez ramię. Rzeczywiście Xaden siedzi w ostatnim rzędzie obok Garricka i szlifuje sztukę znudzonego wyrazu twarzy. Kiwa Liamowi głową, a chłopak to odwzajemnia.

Przewracam oczami i siadam twarzą zwróconą do przodu sali.

Liam skupia się na dłubaniu w drewnie. Jego figurka przypomina teraz Deigha, jego czerwonego sztyletogona.

Potrząsam głową.

– Kazał ci nie opuszczać mnie na krok, jakby nawet na sali wykładowej ktoś czyhał na moje życie.

– Na jego obronę muszę przyznać, że ludzie ostatnio ciągle chcą cię zabić. – Rhiannon rozkłada swoje przybory.

– Tylko jeden raz! Taka sytuacja miała miejsce tylko jeden raz, Rhi! – Poprawiam się na krześle, żeby odciążyć poobijane zebra. Są ciasno owinięte, ale nie jestem w stanie się oprzeć.

– Jasne. A jak nazwałabyś to, co zaszło z Tynanem? – Unosi jedną brew.

– To był Odsiew.

– A nieustające groźby Barlowe’a? – podsuwa Sawyer, wychylając się zza Rhiannon.

– To tylko czeze pogrózki. Znalazłam się na celowniku tylko raz, w nocy. Więc nie zamierzam pozwolić, żeby Liam spał w mojej sypialni.

– Cóż, nie jestem temu przeciwny... – komentuje, a jego nóż zawisa nad kawałkiem drewna.

– Nawet nie zaczynaj. – Odwracam głowę w jego kierunku, ale nie mogę powstrzymać się od śmiechu. – Jesteś bezwstydnym flirciarzem.

– Dziękuję. – Uśmiecha się z zadowoleniem i wraca do rzeźbienia.

– To nie był komplement.

– Nie zwracaj na nią uwagi. Jest po prostu sfrustrowana, bo dawno nie zaliczyła. Dziewczyna może stać się przez to marudna. – Rhiannon zapisuje datę na pustej stronie, a ja idę w jej ślady i zanurzam pióro w kałamarzu. Tante bezproblemowe, niebrudzące pióra, z których część jeźdźców może już korzystać, to kolejna rzecz, której nie mogę się doczekać. Koniec z piórami i tuszem.

– To nie ma z tym nic wspólnego. – Bogowie, niech mówi jeszcze głośniejsze, bo chyba nie wszyscy usłyszeli.

– A jednak nie zaprzeczasz. – Uśmiecha się przebiegle.

– Przykro mi, że nie przeszedłem eliminacji – żartuje Liam. – Ale jestem pewien, że Riorson nie będzie mieć nic przeciwko, jeśli znajdę i prześwietlę kilku kandydatów, szczególnie jeśli oznacza to, że przestaniesz pokazywać mu obsceniczne gesty na oczach całego skrzydła.

– A jak niby miałbyś prześwietlać tych kandydatów? Pod jakim kątem byś ich oceniał? – dopytuje Rhiannon z szerokim uśmiechem i uniesioną brwią. – Muszę wiedzieć.

Udaje mi się zachować powagę przez całe dwie sekundy, a potem wybucham śmiechem na widok jego spłoszonej miny.

– Ale dzięki za propozycję. Będę pamiętać, żeby skonsultować się z tobą w sprawie potencjalnych kandydatów.

– Wiesz, zawsze możesz obserwować – ciągnie Rhiannon i mruga niewinnie. – Żeby się upewnić, że jest bezpiecznie. No wiesz, żeby nikt... nie przebił jej na wylot.

– Och, a więc teraz żartujemy na sprośne tematy? – odzywa się Ridoc. – Czekałem na tę chwilę całe życie.

Nawet Sawyer rechocze.

– Ja nie wierzę – mamrocze pod nosem Liam. – Chcę tylko powiedzieć, że skoro jesteś strzeżona w nocy... – Rżymy jeszcze głośniejsze, więc chłopak

wzdycha głęboko.

– Chwila. – Uspokajam się. – Co masz na myśli, mówiąc, że jestem strzeżona w nocy? Bo śpisz w pokoju obok? – Uśmiech spływa mi z twarzy. – Proszę cię, powiedz, że on nie kazał ci spać na korytarzu czy coś w tym rodzaju.

– Nie, oczywiście, że nie. Zabezpieczył twoje drzwi następnego dnia po ataku. – Jego mina wyraźnie mówi, że powinnam o tym wiedzieć. – Zgaduję, że ci nie powiedział?

– Że co zrobił?

– Zabezpieczył twoje drzwi magią tak, żebyś tylko ty mogła je otworzyć – tłumaczy ciszej Liam.

Cholera. Nie wiem, co o tym sądzić. Trochę pachnie mi to nadmierną kontrolą i przekroczeniem jakiejś granicy, ale to również... słodkie.

– Ale jeśli to on zabezpieczył drzwi, sam również może do mnie wejść, prawda?

– Cóż, tak. – Liam wzrusza ramionami, kiedy Devera i Markham zjawiają się w sali i zmierzają na jej początek. – Ale przecież Riorson cię nie zabije.

– Jasne. Wiesz, jeszcze nie przyzwyczyłam się, że jego podejście zmieniło się tak drastycznie. – Bawię się piórem, które upuszczam przez przypadek. Już chcę się pochylić, żeby je podnieść, ale cienie pod moją ławką podnoszą je i wyciągają w moją stronę. Biorę narzędzie z cienistych macek i spoglądam na Xadena.

Jest pogrążony w rozmowie z Garrickiem i nie zwraca na mnie uwagi.

Choć najwyraźniej jest inaczej.

– Czy możemy zacząć? – woła Markham. Zapada cisza, a on kładzie na mównicy zwój, który ja i Liam dostarczyliśmy mu dzisiaj przed śniadaniem. – Doskonale.

Zapisuję na stronie słowo „Sumerton”, a Liam wymienia nóż na pióro.

– Pierwsze ogłoszenie – zaczyna Devera, wychodząc naprzód. – Zdecydowaliśmy, że zwycięzcy tegorocznej Bitwy Drużyn nie tylko zyskają prawo do przechwałek – uśmiecha się, jakby już samo to miało zachęcić nas do udziału – ale dostaną również możliwość udania się na front wraz z aktywnym skrzydłem.

Wokół nas rozlegają się okrzyki ekscytacji.

– A więc jeśli wygramy, będziemy mogli umrzeć szybciej? – komentuje Rhiannon.

– Może chcą na nas zastosować odwróconą psychologię. – Rozglądam się wokół i zaczynam martwić się o poczytalność moich podekscytowanych kolegów i koleżanek. Z drugiej strony większość z nich jest w stanie utrzymać się na smoku podczas lotu.

*Ty też.*

*Nie masz lepszych rzeczy do robienia niż przysłuchiwanie się mojemu wewnętrznemu krytykowi?*

*Raczej nie. A teraz się skup.*

*Przestań się wtrącać, to może będę miała szansę, odparowuję.*

Tairn głośno parska. Być może kiedyś uda mi się poznać znaczenie tego dźwięku, ale nie dzisiaj.

– Wiem, że Bitwa Drużyn przypada dopiero na wiosnę – ciągnie Devera – ale uznałam, że ta informacja da wam motywację, żeby bardziej się przyłożyć.

Jej słowa znowu spotykają się z przychylną reakcją kadetów.

– A teraz, skoro już przyciągnęliśmy waszą uwagę... – Markham unosi ręce i wszyscy cichną. – Na liniach frontu panuje dzisiaj względny spokój, dlatego wykorzystamy tę okazję, żeby przeanalizować bitwę pod Gianfarem.

Moje pióro zatrzymuje się nad notesem.

Nie wierzę, że to powiedział.

Magiczne światła migają nad Klifami Dralor w Tyrrendorze, które wynoszą całą prowincję tysiące stóp nad resztę Kontynentu, a potem przelatują nad starą twierdzą położoną przy południowej granicy.

– Była to kluczowa bitwa w procesie zjednoczenia Navarry i chociaż doszło do niej ponad sześć wieków temu, wciąż możemy wyciągnąć z niej ważną lekcję, która do dziś ma duży wpływ na nasze formacje w trakcie lotu.

– Czy on mówi poważnie? – zwracam się szeptem do Liama.

– Tak. – Chłopak mocno zaciska dłoń na piórze. – Wygląda na to, że tak.

– A z jakiego powodu ta bitwa jest tak wyjątkowa? – odzywa się Devera z uniesionymi brwiami. – Bryant?

– Twierdza powstała z myślą nie tylko o siedzibie – odzywa się kadet z drugiego roku siedzący wysoko nad nami – ale została również wyposażona w pierwszą balistę, która okazała się śmiertelną bronią na smoki.

– Tak. I? – ponagla Devera.

– To była jedna z ostatnich bitew, podczas której gryfy i smoki współdziałały ze sobą, żeby rozprawić się z armią z Pustkowi – ciągnie chłopak.

Zerkam na prawo i lewo, przyglądając się jeźdźcom robiącym notatki. To niewiarygodne. Nawet Rhiannon zapisuje coś zaciekle.

Żadne z nich nie wie tego, co my – że wczoraj w nocy splądrowano całą navarriańską wioskę położoną przy granicy i ograbiono ją ze wszystkich zapasów. A mimo to właśnie omawiamy bitwę, do której doszło przed wynalezieniem kanalizacji.

– A teraz się skupcie – poleca Markham. – Bo za trzy dni macie oddać szczegółowy raport, w którym porównacie ją z bitwami z ostatnich dwudziestu



lat.

– Czy ten zwój został oznaczony jako zastrzeżony? – pyta pod nosem Liam.

– Nie – odpowiadam równie cicho. – Ale może to przeoczyłam?

Tyle że na mapie wojennej nawet nie oznaczono aktywności w tamtym rejonie łańcucha górskiego.

– No tak. – Kiwa głową i bierze się za notatki, skrobiąc piórem po pergaminie. – To pewnie dlatego. Musiałś nie zauważyć.

Mrugam powiekami i zmuszam się do pisania o wojnie, którą analizowałam z moim ojcem dziesiątki razy. Liam ma rację. Jest tylko jedno wyjaśnienie. Nie jesteśmy upoważnieni do tych informacji albo jeszcze nie skończyli zbierać wszystkich danych, aby spisać szczegółowy raport.

Albo został oznaczony jako zastrzeżony. A ja tego nie zauważyłam.

*Nie da się nie zauważyć początkowej fali mocy. Kiedy doświadczasz jej po raz pierwszy, czujesz się przepelniona pozornie niekończącą się energią. Uzależniasz się od haju, od możliwości, które się przed tobą otworzą, od poczucia kontroli będącej w zasięgu twojej dłoni. Jednak rzecz w tym, że ta moc może z łatwością zwrócić się przeciwko tobie.*

Strona sześćdziesiąta czwarta, *Dziennik Brennana*



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

**L**istopad mija i zaden z wykładowców nie wspomina o wydarzeniach w Sumertonie, a kiedy lodowate wiatry grudnia zasypują nas śniegiem, porzucam nadzieję, że dowództwo odniesie się do tej informacji. Nie możemy jednak zwrócić się z Liamem bezpośrednio do profesorów, bo wyda się, że zaglądaliśmy do raportu, który niewątpliwie był zastrzeżony – mimo że nie zauważyłam żadnego stosownego oznaczenia.

Zastanawiam się przez to, jakie inne informacje nigdy nie dotarły na analizę wojenną, ale zachowuję to dla siebie. Właściwie ostatnio mnóstwo rzeczy zachowuję dla siebie, zarówno ze względu na to, jak i moją rosnącą frustrację wynikającą z braku połączenia z mocą – co udało się już trzem czwartym kadetów z mojego roku.

*Nie zgodziłbym się, burczy Tairn.*

*Nie masz prawa komentować, szczególnie po tym, jak dzisiaj niemal pozwoliłeś mi zderzyć się ze zboczem góry. Ścisła mnie w żołądku na myśl o tym, jak nisko dzisiaj spadłam.*

Dziewczyna z pierwszego roku, należąca do Trzeciego Skrzydła, nie miała tyle szczęścia. Straciła równowagę w trakcie nowego manewru i dzisiaj rano wyczytano jej nazwisko ze zwoju poległych.

Rhiannon wymachuje kijem, a ja odchylam się w tył, ledwie unikając ciosu, ale ku mojemu zdumieniu udaje mi się utrzymać równowagę.

*To następnym razem utrzymaj ją na grzbiecie.*

*Zaczynij przelewać we mnie moc, to może będę w stanie, odgryzam się.*

– Jesteś dzisiaj jakaś roztargniona. – Rhiannon robi krok w tył, podczas gdy ja się prostuję. Okazuje mi litość, mimo że żaden inny przeciwnik w trakcie wyzwania by tego nie zrobił. Przenosi spojrzenie na ławkę po drugiej stronie maty, gdzie siedzi Liam i struga kolejnego smoka, a potem znowu patrzy na mnie, dając mi do zrozumienia, że wrócimy do tej rozmowy później, kiedy nieodstępujący mnie ani na krok cień da mi na dzisiaj spokój. – Ale jesteś szybsza niż kiedyś. Nie wiem, do czego zmusza cię Imogen, ale to najwyraźniej działa.

*Jeszcze nie jesteś gotowa na moc, srebrnowłosa.*

– To nigdy nie ulegało wątpliwości – woła z sąsiedniej maty Imogen, która trzyma rękę zaciśniętą wokół szyi Ridoca i czeka, aż ten odklepie.

Po lewej Sawyer i Quinn krążą wokół siebie, przygotowując się do kolejnej rundy, a za Rhiannon – Emery i Heaton starają się przeszkolić pierwszaków, którzy dołączyli do nas po Odsiewie, Dain natomiast rozgląda się po sali i ostentacyjnie mnie ignoruje.

Zgodnie z jego najnowszym rozkazem, wtorkowe wieczory całą drużyną poświęcamy na trening wręcz, bo ze względu na plan zajęć obłożony obecnie lekcjami latania i władania mocą, na które uczęszczają niektórzy, nie mamy zbyt dużo okazji do ćwiczeń. Kilka mat na końcu sali zajęli inni kadeci, którzy wpadli na podobny pomysł. Wśród nich jest Jack Barlowe.

I właśnie dlatego Liam odmawia, kiedy Ridoc zaprasza go na pojedynek.

– Dajesz mi fory – wytykam Rhiannon. Pot spływa mi po plecach i wsiąka w obcisłą tunikę, którą wybrałam do ćwiczeń, podczas gdy moja kamizelka ze smoczych łusek schnie na ławce obok Liama.

On wcale nie potrzebuje dodatkowego treningu. Już i tak pokonał na macie wszystkich poza Dainem. Nasz dowódca drużyny nie chce podjąć wyzwania, bo zapewne boi się, że pokona go młodszy kadet.

– Trenujemy od godziny. – Rhiannon wymachuje kijem w powietrzu. – Jesteś zmęczona, a ja nie chcę zrobić ci krzywdy.

– Po przesileniu zimowym zaczynają się wyzwania – przypominam. – Nie pomożesz mi, jeśli dalej będziesz się powstrzymywać.

– Ma rację – odzywa się za mną głęboki głos.

Kątem oka zauważam, że Liam wstaje. Mamroczę przekleństwo pod nosem.

– Jestem tego świadoma – rzucam ponad ramieniem, kiedy Xaden omija naszą matę, jak zwykle w towarzystwie Garricka. I nie mogę oderwać od niego wzroku. Na bogów, źle ze mną. – Daruj sobie, chyba że masz coś mądrego do powiedzenia.

– Ruszaj się szybciej. Mniejsza szansa, że zginiesz. Czy to dla ciebie wystarczająco mądre? – woła, zajmując pozycję na macie pośrodku sali.

Rhiannon robi wielkie oczy, a Liam kręci głową.

– No co?

– To, jak się do niego odzywasz... – zauważa Rhiannon.

– A co mi zrobi? Zabije mnie? – Ruszam do ataku i zamachuję się kijem na jej nogi.

Podsłakuje i się okręca. Nasze kije spotykają się z głośnym trzaskiem.

– Raczej wykończycie siebie nawzajem – wtrąca Liam, zajmując miejsce na ławce. – Nie mogę się doczekać, aż zobaczę, jak będziecie funkcjonować po rozdaniu dyplomów.

*Po rozdaniu dyplomów.*

– Nie wybiegam myślami na tydzień do przodu, a tym bardziej tak daleko. – Dręczy mnie zbyt wiele trudnych pytań, których nie jestem gotowa zadać.

– Posłuchaj. Wiem, że jesteś... rozdrażniona tym, ile czasu zajmuje Tairnowi przelanie mocy – zaczyna Rhiannon, okrążając mnie znowu na macie. – Chcemy tylko powiedzieć, że bezpieczniej jest wyżyć się tutaj na macie ze mną niż na tym strasznym, władającym cieniami dowódcy skrzydła.

– Nie chcę się na tobie wyżywać. Jesteś moją przyjaciółką. – Wskazuję gestem na Xadena. – A to przez niego utknęłam z niańką, bo uważa, że jestem jego słabym punktem. Ale czy on mi w jakiś sposób pomaga? – Zamachuję się kijem, a ona paruje mój cios. – Nie. Czy ze mną trenuje? – Wyprowadzam kolejny atak, kije znów się spotykają. – Nie. Magicznie pojawia się w chwili, gdy jestem bliska śmierci. Eliminuje zagrożenie, ale to wszystko. – A unikanie patrzenia w moim kierunku w ogóle nie sprawia mu żadnego trudu, w przeciwieństwie do mnie.

– Widzę, że aż kipisz ze złości – zauważa Rhiannon, odkręcając się z łatwością.

– Ty też byłabyś wściekła na osobę, która odebrała ci wolność. Gdyby Liam, mimo że jest świetnym gościem, czekał przy twoich drzwiach każdego ranka i zostawiał cię dopiero przed pójściem spać.

– Doceniam to – wtrąca Liam, co tylko potwierdza moją opinię na jego temat.

– Tak – zgadza się. – Też bym się wściekła. I jestem zła w twoim imieniu. A teraz wykorzystajmy ten gniew. – Rhiannon zasypuje mnie serią ciosów. Udaje mi się nadażyć, ale tylko dlatego, że robi to, o co przed chwilą ją oskarżyłam, i obchodzi się ze mną łagodnie.

Przez przypadek zerkam na środek maty. I to ogromny błąd.

Co. Za. Widok.

Xaden i Garrick pozbyli się koszulek i walczą ze sobą, jakby zależało od tego ich życie, wymieniając kopniaki i ciosy, od których napinają się ich mięśnie. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby poruszali się tak szybko. To piękny, hipnotyzujący taniec ze śmiertelną choreografią. Za każdym razem wstrzymuję oddech, kiedy Garrick zadaje mocarny cios, a Xaden robi unik.

Przez ostatnie miesiące widziałam niejednego jeźdźca trenującego bez koszulki. To dla mnie nic nowego. Powinnam być już oswojona z nagim męskim torsem, ale jeszcze nigdy nie widziałam w tym wydaniu Xadena. Owca

Każdy fragment jego twardego ciała, w którym czai się ta ledwie powstrzymywana moc, jest perfekcyjny niczym dopracowane ostrze. Piętno rebelii odznaczające się od śniadej skóry wije się wokół jego torsu i niemal faluje wraz z każdym ciosem, a jego brzuch... Jest tak doskonale wyrzeźbiony, że mogłabym chyba policzyć każdy mięsień, gdybym tylko potrafiła się skupić. A jego smoczy symbol... tak dużego jeszcze nie widziałam. Mój zajmuje przestrzeń między łopatkami, natomiast znak Sgaeyl pokrywa całe jego plecy.

Dobrze wiem, jak to jest czuć ciężar tego ciała na sobie, ile mocy...

Czuję pieczenie na biodrze i zaskoczona otrząsam się z transu.

*Zasłużyłaś sobie, wymądrza się Tairn.*

– Skup się! – krzyczy Rhiannon i cofa kij. – Mogłam cię... Och. – Najwyraźniej zauważyła to, co ja. To, czemu przygląda się niemal każda kobieta oraz kilku mężczyzn.

Nic dziwnego. Ich taniec jest urzekający.

Garrick ma szersze barki, jest bardziej umięśniony niż Xaden, a jego symbol rebelii pokrywa jedynie ramię i jest drugim co do wielkości, jaki widziałam. Piętno Xadena sięga aż do jego szczęki.

– To... – mamrocze Rhiannon.

– Zgadzam się – potwierdzam.

– Czy możecie przestać traktować naszego dowódcę skrzydła przedmiotowo? – wytyka ze śmiechem Liam.

– A tak robimy? – zastanawia się Rhiannon, nie odrywając wzroku.

Dosłownie ślinię się na widok tych umięśnionych pleców i wyrzeźbionego tyłka.

– Myślę, że tak to można nazwać.

Liam parska szyderczo.

– Mogłybyśmy po prostu podziwiać technikę.

– Tak. Bez wątpienia. – Tyle że ja wcale się na tym nie skupiam. Bezwstydnie wyobrażam sobie, jaka byłaby jego skóra pod moimi palcami, jak moje ciało reagowałoby, gdyby skupił całą swoją uwagę na mnie. W żyłach płynie mi żar, który rozlewa się po policzkach.

Moją uwagę przyciąga odgłos odklepywania. Ridoc się poddał. Imogen rzuca go na matę, a mnie uderza fala niechcianej, absolutnie nielogicznej i paskudnej zazdrości, kiedy przygląda się Xadenowi i Garrickowi z tęsknym wyrazem twarzy.

– Jeśli tak łatwo was rozproszyć, to w Bitwie Drużyn mamy przekichane – warczy Dain. – Możecie pożegnać się z perspektywą odwiedzenia frontu.

To nas otrzeźwia. Potrząsam głową, jakbym w ten sposób mogła pozbyć się otepiałej potrzeby, przez którą mam ochotę zrobić coś więcej niż tylko patrzeć na Xadena, co jest... żałosne. On toleruje moje istnienie tylko dlatego, że nasze smoki są ze sobą związane, a ja właśnie ślinię się na widok jego półnagiego ciała.

Bez wątpienia to półnagie ciało jest wyjątkowo atrakcyjne.

– Wracajcie do treningu. Zostało nam pół godziny – rozkazuje Dain, a ja mam wrażenie, jakby mówił bezpośrednio do mnie. Byłby to pierwszy raz, odkąd przez moje wspomnienie zginęła Amber.

*Zginęła, ponieważ złamała zasady Kodeksu, warczy Tairn.*

Kiedy odwracam głowę, Dain patrzy na mnie, mrużąc oczy, ale na pewno źle odczytuję jego minę. Wcale nie ma w niej poczucia zdrady.

– Kontynuujemy? – pyta Rhiannon, unosząc kij.

– Tak, zdecydowanie. – Rozluźniam ramiona i wracamy do treningu. Napotykam każdy jej cios, wykorzystuję ruchy, których mnie uczyła, ale przy następnym ataku mnie zaskakuje.

*Przestań się bronić i zacznij atakować!*, rozkazuje Tairn. Jego gniew zalewa moje ciało i tracę równowagę.

Rhiannon wyprowadza niski cios i popycha mnie na plecy, a kiedy dociska mnie do maty, powietrze uchodzi z moich płuc.

Nie mogę oddychać.

– Cholera, Vi, przepraszam. – Rhiannon stacza się ze mnie i siada na piętach. – Rozluźnij się i daj sobie chwilę.

– I to jest właśnie jeźdźczyni, którą wybrał Tairn – szydzi Jack w rozmowie z osobą ze swojej drużyny i posyła mi perfidny uśmiech. – Zaczynam myśleć, że źle wybrał, ale biorąc pod uwagę, że jeszcze nie widziałem twoich mocy, założę się, że myślisz tak samo, co, Sorrengail? A czy przy dwóch smokach nie powinnaś mieć przypadkiem podwójnych umiejętności?

Z Andarną to tak nie działa, ale nikt o tym nie wie.

Liam staje między mną a Jackiem, tymczasem ja po raz pierwszy wypełniam płuca powietrzem.

– Uspokój się, Mairi. Nie zamierzam zaatakować twojej małej podopiecznej, kiedy mogę wyzwać ją za kilka tygodni i przez przypadek skrócić jej tę chudą

szyjkę na oczach wszystkich. – Jack zakłada ręce na klatce piersiowej i z chorą satysfakcją przygląda się, jak walczę o oddech. – Ale powiedz mi, nie jesteś zmęczony odgrywaniem roli niańki? – Jego kolega z Pierwszego Skrzydła podsuwa mu cząstkę pomarańczy, którą podjada, a Jack z obrzydzeniem odpycha jego rękę.

– Zabieraj ode mnie to gówno. Chcesz, żebym skończył w izbie chorych?

– Spadaj stąd, Barlowe – cedzi Liam, zaciskając w ręce sztylet.

Udaje mi się złapać pełen oddech, a potem kolejny, kiedy Jack przenosi wzrok ze mnie na osobę stojącą z tyłu. Jego mina, będąca połączeniem zawiści i przestachu, sugeruje, że musi to być Xaden.

– Ona żyje tylko dzięki tobie – warczy Jack, ale krew odpływa z jego twarzy.

– Jasne, bo to ja zanurzyłem sztylet w twoim ramieniu w trakcie Odsiewu.

Mój oddech w końcu wraca do normy, więc podnoszę się, trzymając kij w obu rękach.

– Możemy sprawdzić to teraz – sugeruje Jack i omija Liama, żeby spojrzeć mi w oczy. – O ile przestałaś już chować się za wielkimi, silnymi facetami.

Żołądek skręca mi się w supeł, bo Jack ma rację. Nie akceptuję jego wyzwania tylko dlatego, że nie jestem pewna wygranej, a on jeszcze mnie nie zaatakował, bo chronią mnie Liam i Xaden. Jeśli teraz rzucę się na Barlowe'a, zabiją go. Kątem oka zauważam potężną sylwetkę Garricka i w myślach dodaję go niechętnie do listy moich obrońców. Cholera, nawet Imogen przysunęła się bliżej, ale nie ze względu na mnie. Tylko przez niego.

– Tak właśnie myślałem – rzuca Jack i posyła mi buziaka.

– Uciekłeś – przypominam. Mam ochotę rzucić się na niego i przerobić go na miazgę, ale zmuszam się do bezruchu. – Tamtego dnia na polanie, kiedy zaatakowaliście mnie we trójkę, spieprzałeś, aż się kurzyło, i oboje dobrze wiemy, że jeśli przyjdzie co do czego, zrobisz to znowu. Tchorze już tak mają.

Jack oblewa się rumieńcem, a oczy niemal wychodzą mu na wierzch.

– Na litość boską, Violet – marudzi Dain.

– Violet mówi prawdę – wtrąca Xaden.

Garrick wybucha śmiechem, a Liam spycha Jacka z maty, kiedy ten się na mnie rzuca. Jego buty skrzypią na drewnianej podłodze i z trudem utrzymuje równowagę, ale Liam zmusza go do opuszczenia sali.

Xaden macha ręką i z pomocą magii zatrzaskuje wielkie drzwi przed nosem Jacka.

– Odbiło ci? Po jakie lichy go tak podjudzasz? – Dain podchodzi do mnie, unosząc brwi ze zdziwienia.

– O, teraz chcesz się bawić w mojego obrońcę? – Zadzieram podbródek, ale Xaden staje między nami. Furia w jego oczach jest wręcz namacalna, ale stoję

nieruchomo.

– Daj nam chwilę na osobności. – Patrzy mi w oczy, ale oboje wiemy, że nie mówi do mnie.

Mój puls przyspiesza.

Rhiannon się wycofuje.

– Chcesz mi powiedzieć, dlaczego nie masz tego na sobie? – pyta spokojnym, ale śmiertelnie groźnym tonem, wskazując na moją kamizelkę leżącą na ławce.

– Musiałam ją kiedyś wyprać.

– I uznałaś, że najlepszym momentem będzie pojedynek? – Dyszy ciężko, jakby z trudem nad sobą panował.

Staram się nie patrzeć na jego klatkę piersiową ani nie skupiać się na żarze, który emanuje z jego ciała.

– Wyprałam ją przed treningiem, bo wiedziałam, że zdąży wyschnąć, kiedy twój pies stróżujący będzie miał mnie na oku. To bezpieczniejsze niż spanie bez niej, bo oboje wiemy, co tu się dzieje za zamkniętymi drzwiami.

– Za twoimi już nie. – Mięsień na jego szczęce drga. – Zadbałem o to.

– I niby mam ci zaufać?

– Tak. – Żyła na jego szyi pulsuje.

– Mhm, bardzo mi to ułatwiasz. – Mój głos ocieka sarkazmem.

– Dobrze wiesz, że nie mogę cię zabić. Co więcej, Sorrengail, cały kwadrant wie, że nie mogę tego zrobić. – Nachyla się, przysłaniając mi widok na resztę sali.

– To nie oznacza, że nie możesz mnie zranić.

Mruga, jakbym go uderzyła, i robi krok w tył, ale chwilę później bierze się w garść, podczas gdy ja nie mogę zapanować nad swoim sercem.

– Nie marnuj czasu na trening z kijem. Łatwo ci go wytrącić z rąk. Trzymaj się sztyletów.

Ku mojemu zdziwieniu nie wyrwał mi go, by udowodnić, że jest w stanie to zrobić.

– Świetnie sobie radziłam, dopóki Tairn nie wprosił się do mojej głowy, a jego gniew mnie rozproszył – spieram się.

– To naucz się go blokować – mówi takim tonem, jakby to była bułka z masłem.

– Co? Mam to zrobić tymi mocami, których nie posiadam? – drwię. – A może o tym zapomniałaś?

Mam ochotę go udusić albo potrząsnąć nim, żeby wbić trochę rozumu do tego zakutego, pięknego łba.

Nachyla się tak, że nasze nosy niemal się stykają.

– Niestety jestem świadomy wszystkiego, co robisz.



Dzięki Liamowi.

Każdy cal mojego ciała wibruje gniewem, irytacją i... tym skwierczącym napięciem między nami, kiedy prowadzimy walkę na spojrzenia.

– Dowódco – zaczyna Dain. – Ona po prostu jeszcze nie przywykła do więzi. Wkrótce nauczy się ją blokować.

Słowa Daina bolą jak cios wymierzony w twarz. Zacerpuję oddechu i robię krok w tył. Bogowie, zrobiliśmy przedstawienie. Co takiego jest w nim, że dosłownie zapominam o całym świecie?

– Bronisz jej wtedy, kiedy nie ma potrzeby, Aetos. – Xaden przewraca oczami, patrząc na Daina. – A kiedy trzeba, wolisz tego nie robić.

Dain zaciska dłoń w pięści, zgrzytając zębami.

Xaden mówi o Amber. Jestem tego pewna. Dain również. Wszyscy w tym pomieszczeniu to wiedzą. Cała nasza drużyna była świadkiem tego, jak Dain zażądał, żebyśmy wytknęła Xadenowi kłamstwo.

Xaden przenosi na mnie nieodgadnione spojrzenie.

– Wyświadczyć nam obojgu przysługę i załóż tę cholerną zbroję – dokańcz. –

Nie mam szansy na ripostę, bo odwraca się i schodzi z maty, żeby podejść do Garricka.

Jego plecy.

Wyrywa mi się zduszony okrzyk, a Xaden na chwilę tężeje. Bierze od Garricka koszulkę i wkłada ją przez głowę, zakrywając granatowy symbol smoka, który rozpościera się od jego talii aż do barków – chropowaty od wypukłych srebrnych linii, niewidocznych z daleka.

Srebrne linie, które rozpoznaję, to blizny.

*Potrafiłaś się obronić i zapanować nad gniewem*, zauważa Tairn, a moją klatkę rozpiera niezaprzeczalna duma.

*Jest gotowa*, dodaje Andarna z radosnym chichotem, od którego natychmiast jest mi lżej na sercu.

*Tak, jest gotowa*, zgadza się.

\* \* \*

**K**ilka godzin później stoję w swoim pokoju i rozczesuję włosy, wciąż mając na sobie buty oraz zbroję. Nie mogę uwierzyć, że wygłupiłam się na oczach całej drużyny, bo Xaden postanowił trenować bez koszulki.

Chyba powinnam zaliczyć.

Zamieram z grzebieniem we włosach, bo niespodziewanie po moim kręgosłupie prześlizguje się energia i przyspiesza bicie serca.

Hm... dziwne.

Może to... Nie. Niemożliwe. Kiedy Andarna zatrzymała czas, odczucie było zupełnie inne – zalało całe moje ciało, aż po palce stóp i rąk, a potem... zniknęło.

Przetacza się przeze mnie kolejna fala, tym razem silniejsza. Upuszczam grzebień i przytrzymuję się brzegów toaletki, żeby nie upaść, gdy kolana się pode mną uginają. Ta energia nie znika; zostaje, szumi pod moją skórą, dzwoni w uszach, przytłacza wszystkie zmysły.

Coś rozpiera mnie od środka, coś zbyt dużego jak na moje ciało. Każdy mój nerw zalewa ból, kiedy się rozrywa, a dźwięk w mojej czaszce jest jak trzask kości. Czuję się tak, jakbym pękała w szwach.

Łąduję na kolanach i przykładam dłonie do skroni, starając się skupić, upchnąć swoją istotę do ciała, żeby się skurczyć.

Przepływa przeze mnie niekończąca się, nieokiełznana energia, usuwa to, czym byłam, i kształtuje mnie na nowo, wypełniając każdy por, każdy organ i każdą kość. W głowie mi huczy, jakby Tairn wzniósł się zbyt wysoko i ciśnienie zatkało mi uszy. Mogę jedynie leżeć nieruchomo na podłodze i modlić się, że napięcie ustąpi.

Wbijam wzrok w grzebień, twarda podłoga uciska mój policzek. Próbuję oddychać miarowo.

Wdech, wydech.

Wdech... a potem wydech... i poddaję się naporowi mocy.

W końcu ból ustaje, ale energia nie znika. Jest we mnie, przetacza się przez każdą żyłę, nasycza każdą komórkę ciała. Jest mną i jednocześnie tym, kim mogłabym się stać.

Siadam powoli i obracam dłonie, przyglądając się mrowiącym palcom. Mam wrażenie, że powinny wyglądać inaczej, jakoś się zmienić, ale tak nie jest. To wciąż moje ręce, moje smukłe nadgarstki, mimo to wydają się czymś o wiele więcej, jakby były wystarczająco silne, by ujarzmić rozpętaną we mnie burzę i ukształtować z niej to, co tylko zechcę.

*To nie jest twoja moc, prawda?*, zwracam się do Tairna, ale nie odpowiada. *Andarno?*

Cisza.

Typowe. Na ogół ciągle wpychają się do mojej głowy, kiedy potrzebuję odrobiny przestrzeni, a teraz ich nie ma, gdy są potrzebni. Wcześniej słyszałam, jak mówią, że jestem gotowa, ale założyłam, że zajmie to jeszcze dzień lub dwa, zanim mój umysł otworzy się na tyle, by przyjąć moc. Chyba się jednak myliłam.

Rhiannon. Muszę powiedzieć o tym Rhiannon. Padnie, kiedy się dowie, że w końcu mogę chodzić z nią na zajęcia profesora Carra. A Liam? Udaje, że nie

władą żadną mocą, żeby nie zostawiać mnie na godzinę bez dozoru, więc w końcu mógłby przestać.

Nagle gorąco rozlewa się po moim brzuchu i rozpala skórę.

Dziwne, ale co tam. To pewnie tylko skutek uboczny mocy. Przekręcam zamek w drzwiach i otwieram je szarpnięciem.

Wzrok mi się rozmazuje i uderza we mnie potrzeba, wypychając wszelkie logiczne myśli poza przytłaczającą, obezwładniającą...

– Violet? – Na korytarzu zauważam niewyraźną postać mężczyzny. Mrugam i obraz się wyostriża. To Liam. – Wszystko w porządku?

– Śpisz na korytarzu? – Przytrzymuję się framugi, kiedy mój umysł wypełnia obraz spadania, a na rozpalonej skórze wyczuwam deszcz iskier. Wrażenie znika równie szybko, jak się pojawiło, ale pozostaje szalejące we mnie pożądanie.

O cholera. To... żądza.

– Nie. – Liam kręci głową. – Po prostu chciałem sprawdzić korytarz przed pójściem spać.

Patrzę na niego. Przyglądam mu się tak naprawdę. Uważnie. Jest wyjątkowo przystojny, ma mocne rysy twarzy i zachwycająco piękne oczy w kolorze nieba.

– Czemu tak na mnie patrzysz? – Odkłada nóż i niedokończoną figurkę smoka.

– Jak? – Przygryzam wargę. Jednocześnie mam ochotę otrzeć się o niego jak kotka w rui i zażądać, by zaspokoił to niewyobrażalne pragnienie.

*Ale przecież to nie jego chcesz.*

To nie jest Xaden.

– Jak... – Przekrzywia głowę na bok. – Jakby coś się stało. Zachowujesz się jakoś... inaczej.

*Kurde.*

To dlatego, że nie jestem sobą. To całe pożądanie, potrzeba, pragnienie skierowane do jedynej osoby, z którą powinnam być... to sprawka Tairna.

Emocje Tairna nie tylko mnie przytłaczają, ale również kontrolują.

– Nic mi nie jest! Idę do łóżka! – Wracam do pokoju i zatraskuję drzwi, póki jestem do tego zdolna.

Potem zaczynam krążyć, ale to nie przygasza następnego uderzenia żaru ani ochoty, by...

Muszę się stąd wydostać, zanim popełnię kolosalny błąd i przeleję uczucia Tairna na Liama.

Do jednej ręki biorę obszyty futrem płaszcz, drugą podnoszę włosy i okrywam się, zapinając zatrask pod gardłem. Chwilę później wyglądam na korytarz i upewniam się, że teren jest czysty, a potem puszczam się biegiem.

Docieram do wejścia przy spiralnych schodach – tych, które prowadzą nad rzekę – ale muszę oprzeć się o kamienną ścianę i zwalczyć kolejny napływ emocji Tairna.

Gdy mi przechodzi, zbiegam po schodach, trzymając się jedną ręką ściany, w razie gdyby znowu zakreśliło mi się w głowie.

Po drodze zapalają się magiczne światła i gasną, gdy już je mijam, jakby moja nowa moc już zaczęła działać, już oddziaływała na świat.

Muszę uciec. Oddalić się od wszystkich, dopóki Tairn... nie skończy tego, co robi ze Sgaeyl.

Pokonuję schody chwiejnym krokiem i docieram do fundamentów cytadeli. Świat zasypuje śnieg. Odchylam głowę, rozkoszując się przelotnym pocałunkiem płatków śniegu na mojej skórze, która rozgrzała się z niewłaściwych powodów.

Powietrze jest rześkie, chłodne i...

Gwałtownie otwieram oczy, kiedy wyczuwam w powietrzu zapach i obracam się, a mój płaszcz łopocze na wietrze. Odnajduję źródło słodkiego, charakterystycznego dymu.

Xaden opiera się o ścianę z jedną nogą wspartą na kamieniu i pali, obserwując mnie tak, jakby nic na świecie go nie obchodziło.

– Czy to... churam?

Wypuszcza obłok dymu.

– Chcesz spróbować? Chyba że przyszedł tu ciągnąć naszą wcześniejszą sprzeczkę. W takim razie niczego nie dostaniesz.

Dosłownie opada mi szczeka.

– Nie! Nie wolno nam tego palić!

– Cóż, ludzie, którzy wymyślili ten zakaz, ewidentnie nie byli związani ze Sgaeyl i Tairnem, nie sądzisz? – Kącik jego ust unosi się w drwiącym uśmiechu.

Na bogów, mogłabym patrzeć na te usta w nieskończoność. Są idealnie zarysowane, a jednocześnie tak miękkie, że wyraźnie kontrastują z jego mocną szczeką.

– To pomaga... się zdystansować. – Wyciąga do mnie zwinięty churam i unosi brew, tę przeciętą blizną. – Oczywiście poza tym, co daje wzniesienie osłon.

Zaprzeczam ruchem głowy i przechodzę po świeżym śniegu, żeby oprzeć się o ścianę obok niego, odchylając głowę.

– Jak tam chcesz. – Zaciąga się głęboko, a potem gasi niedopałek o skałę.

– Mam wrażenie, że cała płonę.

Mówiąc łagodnie.

– Tak. Zdarza się. – Śmieje się donośnie, a ja popełniam karygodny błąd i odwracam się, żeby zobaczyć jego uśmiech.

Xaden, na ogół ponury, władczy, niebezpieczny i bezlitosny, teraz stanowi ucztę dla oczu. Jego śmiech, to, jak odchyła głowę i rozciąga usta w uśmiechu, wprost zapiera dech w piersiach. Mam wrażenie, że na moim głupim sercu zaciska się pięść.

Oddałabym wszystko, żeby przeżyć jedną chwilę zapomnienia z tym mężczyzną, z którym będę związana do końca życia.

To na pewno wina Tairna. Po prostu... tak musi być.

A mimo to wiem, że tylko siebie oszukuję. Na górze podziwiałam Liama, ale to na punkcie Xadena niemal dostaję obsesji.

Napotyka moje spojrzenie w blasku księżyca.

– Och, Violence, będziesz musiała nauczyć się wznosić osłony przeciwko Tairnowi, w przeciwnym razie jego eskapady ze Sgaeyl doprowadzą cię do szału. Albo do czyjegoś łóżka.

Mocno zaciskam powieki, żeby nie patrzeć na jego piękną twarz, bo właśnie przeszywa mnie żar, od którego mrowi każdy centymetr mojej skóry. Wyciągam rękę, żeby przytrzymać się ściany.

– Wiem o tym. Boję się znowu spojrzeć na Liama.

– Na Liama? Dlaczego? – Obraca się do mnie twarzą, opierając ramieniem o skałę. – A tak w ogóle, gdzie jest twój ochroniarz?

– Sama potrafię o siebie zadbać – odgryzam się, wtulając policzek w lodowatą ścianę. – Jest w łóżku.

– Twoim łóżku? – Jego głos brzmi jak grzmot.

Otwieram oczy i napotykam jego spojrzenie. Przez śnieg wszystko wydaje się jaśniejsze, nawet jego ściągnięte brwi i zaciśnięte usta.

– Nie. Chociaż to nie twoja sprawa.

Czy on jest zazdrosny? O dziwo... mnie to pociesza.

Xaden wypuszcza oddech, a jego ramiona się rozluźniają.

– Nie obchodzi mnie to, dopóki oboje wyrażacie na to zgodę, a wierz mi, teraz nie jesteś w stanie wyrazić na nic zgody.

– Nie masz pojęcia, co mogę... – Kolana się pode mną uginają, kiedy dopada mnie niezaprzeczone, nienasycone pragnienie.

Xaden łapie mnie w pasie i przytrzymuje.

– Dlaczego nie wznosisz osłon?

– Nie każdy z nas miał okazję się tego nauczyć! Zanim... to się zaczęło, dopiero co przelał we mnie energię, a w razie gdybyś nie pamiętał, na zajęcia profesora Carra można uczyć tylko wtedy, gdy ma się moc.

– Zawsze uważałem, że to niedorzeczne. – Wzdycha. – W porządku. Udzielę ci przyspieszonej lekcji. Ale tylko dlatego, że kiedyś byłem na twoim miejscu i nieraz budziłem się rano, żałując poprzedniej nocy.

– Naprawdę zamierzasz mi pomóc?

– Przecież pomagam ci od wielu miesięcy. – Zaciska rękę na mojej talii i mogłabym przysiąc, że wyczuwam ciepło jego dotyku pod moim płaszczem i skórzanym ubraniem.

– Nie, wysłałeś Liama, żeby mi pomógł. To on pomaga mi od miesięcy. – Marszczę czoło. – Tygodni. Nieważne.

Ma czelność wyglądać na urażonego.

– To ja wpadłem do twojego pokoju i zabiłem wszystkich, którzy cię zaatakowali, a potem pozbyłem się kolejnego zagrożenia w trakcie publicznego, niezbyt chwalebego przejawu mściwości. Liam tego nie zrobił. Ja tak.

– Widzowie nie byli temu nieprzychylni. Sami na to czekali. Byłam tam.

– Byłaś rozdarta. Zaczęłaś błagać Tairna, żeby jej nie zabijał, chociaż dobrze wiesz, że znowu by cię zaatakowała.

To wciąż kwestia dyskusyjna.

– Dobra. Ale nie udawajmy, że zrobiłeś to wszystko dla mnie. Moja śmierć źle by się dla ciebie skończyła. – Wzruszam ramionami. Dogryzam mu bezczelnie, bo dzięki temu mogę ignorować nasilający się przyływ pożądania.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Wiesz co? Nie zamierzam się z tobą dzisiaj kłócić. Tym bardziej jeśli chcesz nauczyć się stawiania osłon.

– Niech ci będzie. Nie będziemy się kłócić. Naucz mnie tego. – Zadzieram głowę. Bogowie, ledwie sięgam mu do obojczyka.

– Poproś ładnie. – Nachyla się do mnie.

– Zawsze byłeś taki wysoki? – wyrywa mi się pierwsza rzecz, która przychodzi mi do głowy.

– Nie. Kiedyś byłem dzieckiem.

Przewracam oczami.

– Poproś mnie ładnie, Violence – szepcze. – Albo sobie pójdę.

Wyczuwam Tairna na skraju umysłu, jego emocje wycofują się i napływają. Domyślam się, że kolejna fala uderzy we mnie mocno. Ile to może trwać?

– Jak często to robią?

– Na tyle często, że będziesz potrzebować mocnych osłon. Nie zawsze będziesz w stanie całkowicie ich zablokować, a czasami to oni zapominają zablokować nas, tak jak dzisiaj. Dlatego churam pomaga. Dzięki temu czujesz się, jakbyś tylko przechodziła przez burdel, a nie brała udział w orgii.

No pięknie.

– Okej. W porządku. Nauczysz mnie stawiać bariery?

Na jego ustach czai się uśmiech.

– Powiedz „proszę”.

– Zawsze jesteś taki męczący?

– Tylko wtedy, gdy wiem, że mam coś, na czym ci zależy. Cóż mogę powiedzieć, uwielbiam patrzeć, jak się męczysz. To słodka zemsta za to, co przez ciebie przechodziłem w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. – Strzepuje śnieg z moich włosów.

Niewiarygodne.

– A niby co takiego zrobiłam?

– Raz lub drugi przeraziłaś mnie na śmierć, więc myślę, że zwykle „proszę” nie jest zbyt wygórowanym żądaniem.

Niby on zawsze grał fair? Biorę głęboki wdech i ścieram z nosa płatek śniegu.

– Jak sobie chcesz, Xaden? – Uśmiecham się do niego słodko i podchodzę bliżej. – Czy mógłbyś mnie nauczyć, jak stawiać osłony, zanim przez przypadek się na ciebie rzucę i oboje obudzimy się rano, żałując pewnej rzeczy? Ładnie proszę.

– Och, wierz mi, ja potrafię się kontrolować. – Znowu się uśmiecha, a ja odbieram to jak czułą pieśczętę.

To niebezpieczne. Robi mi się tak gorąco, że zrzucam płaszcz na ziemię, żeby sobie ulżyć. Zauważam, że Xaden nie ma na sobie żadnego okrycia.

– Skoro tak ładnie prosisz. – Prostuje się i przykłada dłoń do moich policzków, żeby odchylić mi głowę. – Zamknij oczy.

– Czy musisz mnie dotykać? – Zamykam powieki, rozkoszując się doznaniem jego skóry na mojej.

– Nie. Ale to skutek tego, że nie myślę jasno. Masz niezwykle pociągającą skórę.

Słyszając ten komplement, wstrzymuję oddech. To by było na tyle, jeśli chodzi o kontrolowanie się w jego wykonaniu.

– Musisz wyobrazić sobie jakieś miejsce. Jakiegokolwiek. Ja przypominam sobie moje ulubione wzgórze w pobliżu tego, co zostało z Aretii. Gdziekolwiek to będzie, musisz się tam czuć jak w domu.

Archiwa są jedynym miejscem, które przychodzi mi na myśl.

– Poczuj, jak twoje stopy dociskają się do ziemi i poruszaj nimi delikatnie.

Wyobrażam sobie moje buty na wypolerowanej marmurowej podłodze Archiwów i przesuwam nimi po powierzchni.

– Już.

– To się nazywa uziemianie. Dzięki temu skupiasz uwagę na bezpiecznym miejscu, w którym moc cię nie przytłoczy. A teraz przyzwij ją. Otwórz zmysły.

Skóra dłoni mrowi, otacza mnie napływ energii, równie dojmujący, jak w moim pokoju, ale bez bólu. Jest dosłownie wszędzie, wypełnia Archiwa, rozpieiera ściany, aż się uginają, jakby zaraz miały się zawalić.

– To dla mnie zbyt wiele.

– Skup się na stopach. Poczuj ziemię pod podeszwami. Widzisz, skąd wypływa moc? Jeśli nie, sama wybierz jakieś miejsce.

W myślach odwracam się i widzę strumień płynnej, gorącej mocy dobiegającej od strony drzwi.

– Widzę ją.

– Doskonale. Masz talent. Większość ludzi dopiero po tygodniu pojmuje sztukę uziemiania. A teraz zrób w głowie to, co musisz, żeby odciąć się od tego zalewu. Tairn jest źródłem, więc zablokuj jego moc, a częściowo odzyskasz kontrolę.

Drzwi. Muszę zamknąć drzwi i przekręcić wielką, okrągłą gałkę, która zabezpiecza Archiwa przed ewentualnym pożarem.

Pożądanie przyspiesza bicie mojego serca. Chwytam się ramion Xadena, żeby zakotwiczyć się w rzeczywistości.

– Dasz sobie radę. – Jego głos zdaje się napięty. – Cokolwiek stworzyłaś w swoim umyśle, dla ciebie jest prawdziwe. Zamknij zawór. Zbuduj ścianę. Cokolwiek ma dla ciebie sens.

– To drzwi. – Wbijam palce w miękki materiał jego tuniki i w głowie napieram bokiem na drzwi, zamykając je cał po calu.

– Doskonale. Nie przestawaj.

Moje ciało trzęsie się od mentalnego wysiłku, jaki jest potrzebny do zamknięcia drzwi, ale mi się udaje.

– Zamknęłam je.

– Świetnie. Teraz przekręć klucz.

Wyobrażam sobie wielką gałkę i słyszę dźwięk zapadek wskakujących na miejsce. Natychmiast odczuwam ulgę, podmuch zimowego powietrza gasi moją rozgrzaną skórę. Moc pulsuje i sprawia, że drzwi robią się przejrzyste.

– Zmieniły się. Teraz widzę, co jest po drugiej stronie.

– Tak, nigdy nie będziesz w stanie zablokować go w pełni. Zamknęłaś je na klucz?

Kiwam głową.

– Otwórz oczy i rób wszystko, żeby utrzymać drzwi zamknięte. W tym celu musisz cały czas znajdować się tam jedną nogą, być uziemiona. Nie zdziw się, jeśli się poślizgniesz. Wtedy zaczniemy od początku.

Otwieram oczy, utrzymując w myślach obraz zamkniętych drzwi Archiwów, i chociaż moje ciało wciąż jest rozgrzane, to ta bezlitosna, wszechogarniająca



potrzeba w końcu zostaje... przygaszona.

– Tairn... – zaczynam, ale nie mogę znaleźć odpowiednich słów.

Xaden przygląda mi się tak przeszywającym spojrzeniem, że pochylam się bardziej w jego stronę.

– Jesteś niesamowita. – Potrząsa głową. – Ja nie mogłem tego zrobić przez kilka tygodni.

– Wygląda na to, że mam dobrego nauczyciela. – Zalewające mnie uczucia są silniejsze niż radość. To prawdziwa euforia, od której szczerzę się jak głupia. W końcu jestem w czymś nie tylko dobra, ale i niesamowita.

Kciukami gładzi miękką skórę pod moimi uszami, a jego rozpalony wzrok zatrzymuje się na moich ustach. Zaciska dłonie, przyciąga mnie do siebie jeszcze bardziej, a potem nagle puszcza i robi krok w tył.

– Cholera. Nie powinienem był cię dotykać. To zły pomysł.

– Najgorszy – zgadzam się, mimo to oblizuję dolną wargę.

Xadenowi wyrywa się jęk, a ja dosłownie roztapiam się od tego dźwięku.

– Gdybym cię pocałował, popełniłbym fatalny błąd.

– Katastrofalny. – Co musiałabym zrobić, żeby znowu usłyszeć ten dźwięk z jego ust?

Dzielące nas całe są jak podpałka, wystarczy iskra, by stanąć w ogniu. Powinnam od niego uciec, a mimo to przewyciężenie tej pierwotnej pokusy jest absolutnie niemożliwe.

– Będziemy tego żałować. – Kręci głową, ale patrzy na moje usta z zachłannością.

– Naturalnie – odpowiadam. Może i będziemy żałować, ale to mnie nie powstrzymuje przed pragnieniem. Wyrzuty sumienia to problem przyszłej Violet.

– Walić to.

W jednej chwili znajduje się daleko, a w następnej jego usta, gorące i natarczywe, napierają na moje.

Bogowie, tak. Właśnie tego potrzebuję.

Zostaję unieruchomiona między skalną ścianą a twardym ciałem Xadena i w tej chwili nie chciałabym znajdować się nigdzie indziej. Otrzeźwia mnie ta myśl, ale i tak wyciągam się jeszcze bardziej.

Wplata palce w moje włosy i łapie mnie z tyłu głowy, żeby pogłębić pocałunek, a ja ochoczo rozwieram usta. Przyjmuje zaproszenie i wsuwa w nie język wyćwiczonym, zaczepnym ruchem, od którego zaciskam dłonie na jego ubraniu, żeby przyciągnąć go bliżej, gdy dreszcze rozkoszy prześlizgują się po moim kręgosłupie.

Smakuje churamem i miętą, jak zakazany owoc, którego nie powinnam pragnąć, a jednak nie mogę się powstrzymać. Oddaję pocałunki z zapałem, ssąc jego dolną wargę i skubiąc ją zębami.

– Violence – jęczy. Na dźwięk mojego przezwiska w jego ustach dopada mnie jeszcze większy głód.

Blżej. Chcę mieć go jeszcze bliżej.

Xaden, jakby czytał mi w myślach, atakuje moje usta z taką gorliwością, że cała drzę. Jest równie zachłanny, jak ja i kiedy łapie mnie za tyłek i podnosi, otaczam go nogami w talii tak, jakby od tego pocałunku zależało moje życie.

Skalna ściana wbija się w moje plecy, ale mam to gdzieś. W końcu mogę zatopić palce w jego włosach, które okazują się tak miękkie, jak to sobie wyobrażałam. Xaden całuje mnie tak długo i pieczołowicie, aż czuję się w pełni usatysfakcjonowana, a potem zaprasza mój język do swoich ust, żebym mogła zrobić to samo.

To czyste szaleństwo, a jednak nie potrafię się powstrzymać. Nie mogę się nim nasycić. Czas mógłby się zatrzymać, żebym pozostała tu na wieczność i już zawsze czuć jego usta na swoich. Mój świat sprowadza się teraz do żaru jego ciała i umiejętnych pociągnięć języka.

Kiedy Xaden napiera na mnie biodrami, krzyczę cicho, zaskoczona doznaniem cudownego tarcia. Przerywa pocałunek i przesuwając ustami po mojej zuchwie, szyi, a ja już wiem, że zrobię wszystko, byle zatrzymać go tu przy sobie. Chcę poczuć jego usta wszędzie.

Skupiam się tylko na naszych językach, zębach, na ustach i dłoniach odkrywających siebie nawzajem, wokół sypie śnieg, pocałunek pochłania mnie tak samo jak wcześniej moc, wypełnia mnie tak, że odczuwam go dosłownie w każdej komórce mojego ciała. Czuję pulsowanie między nogami i zaskakuje mnie myśl, że mógłby zrobić ze mną wszystko, a ja nie stawiałabym oporu. Pragnę go.

Tylko jego. Tutaj. Teraz. Wszędzie. Zawsze.

Jeszcze nigdy zwykły pocałunek nie pozbawił mnie kontroli. Nigdy nie pragnęłam nikogo tak jak jego. To jednocześnie ekscytujące i przerażające, bo wiem, że w tym momencie ma nade mną przewagę i mógłby mnie zniszczyć.

A ja bym mu na to pozwoliła.

Oddaję się zupełnie, wtapiam się w jego ciało, ulegam mu i tracę opanowanie, które on nazywa uziemieniem. Pod zamkniętymi powiekami widzę rozbłysk, zaraz potem rozlega się grzmot. Burze śnieżne nie są w tej okolicy rzadkością i pogoda doskonale podsumowuje to, jak się teraz czuję – dzika i pozbawiona kontroli.

Nagle Xaden przerywa pocałunek, gwałtownie wciągając powietrze do płuc. Marszczy brwi, a w jego oczach pojawia się coś na kształt paniki. Zaciska powieki.

Ledwie mogę złapać oddech, kiedy niespodziewanie odsuwa się od ściany i stawia mnie na ziemi. Gdy upewnia się, że złapałam równowagę, odsuwa się na kilka stóp, jakby ten dystans miał uratować mu życie.

– Musisz już iść – cedzi napiętym głosem, który zupełnie nie pasuje do żaru w jego oczach i przyspieszonego oddechu.

– Dlaczego? – Brak jego ciała sprawia, że przeszywa mnie dreszcz.

– Bo ja nie mogę tego zrobić. – Przeczesuje ręką włosy i pozostawia je sterczące na czubku głowy. – I nie zamierzam zrobić niczego pod wpływem pożądania, które nie jest twoje. Dlatego musisz wrócić na górę. Ale już.

Potrząsam głową.

– Ale chcę... wszystkiego.

– To nie jest twoja potrzeba. – Odchyła głowę i wbija wzrok w niebo. – Właśnie w tym problem. Oraz w tym, że nie mogę zostawić cię tu samej, więc zlituj się nade mną i wróć na górę.

Zapada cisza, kiedy próbuję wziąć się w garść. On mi odmawia.

A najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie ma w jego odmowie żadnej szlachetności. Chodzi o to, że ma rację. Wszystko zaczęło się przez to, że nie potrafiłam odróżnić swoich uczuć od emocji Tairna. Ale te emocje już zniknęły, prawda? Moje mentalne drzwi stoją otworem, a ja nie czuję już niczego ze strony czarnego smoka.

Udaje mi się pokiwać głową, a potem puszczam się biegiem po raz kolejny tego wieczora. Pokonuję schody tak szybko jak to możliwe, żeby dotrzeć do cytadeli. Moje osłony pozostają otwarte, ale nie zawracam sobie głowy zamknięciem ich, bo Tairn już się nie wpycha do mojego umysłu.

Gdy docieram na górę, wraca mi zdrowy rozsądek, a mięśnie ud płoną od wysiłku. Xaden powstrzymał nas przed popełnieniem ogromnego błędu.

Ale ja tego nie zrobiłam.

Co, do licha ciężkiego, jest ze mną nie tak? Jak to możliwe, że byłam gotowa zaraz zerwać z siebie ubrania, żeby zbliżyć się do mężczyzny, którego nawet nie lubię, a co gorsza – któremu nie potrafię w pełni zaufać?

Dotarcie do mojego pokoju jest trudniejsze, niż powinno, bo pragnę wrócić na dół po tych głupich schodach.

Jutro będzie ciężki dzień.

*Najtrudniejszą sytuacją dla każdego wykładowcy jest to, kiedy energia wymyka się spod kontroli. W trakcie mojego pierwszego roku straciliśmy dziewięciu kadetów z powodu mocy, których nie potrafili kontrolować, odkąd po raz pierwszy się u nich objawiły. To przykre.*

*Przewodnik po Kwadrancie Jeźdźców majora Afendry  
(wersja nieautoryzowana)*



## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

**C**o ja sobie w ogóle myślałam? – pytam Rhiannon. Siedzę na jej łóżku ze skrzyżowanymi nogami i obserwuję, jak wypycha torbę książkami potrzebnymi na zajęcia. Dzisiaj symbol na moich plecach płonie, jakby chciał mi przypomnieć, że już mogę korzystać z mocy. Kręcę ramionami, żeby pozbyć się tego wrażenia, ale to niemożliwe. Mój zegar zaczął tykać.

– Nie mogę uwierzyć, że tak długo czekałaś, żeby mi o tym powiedzieć. – Przewiesza torbę przez ramię, odwraca się i opiera plecami o swoje biurko. – I nie mam do ciebie pretensji, w żadnym razie. Kibicuję ci, jeśli chcesz poeksplorować to... na co masz ochotę.

– Liam towarzyszył mi, odkąd tylko dzisiaj rano opuściłam pokój, a wczoraj byłam nieco zbyt roztargniona, by ubrać to w słowa. – Kręcę głową, żeby rozluźnić napięcie w ramionach. Wszystko mnie boli, bo lekcje latania oraz treningi z obciążeniem z Imogen, które mają na celu wzmocnienie mięśni wokół moich stawów, żeby tak często się nie wybijały (teraz jest większe ryzyko, że do tego dojdzie), dają mi nieźle w kość. – Ostatnio tyle się dzieje. Tairn w końcu zaczął przelewać we mnie moc, a to był tylko jeden raz.

– Racja. – Na jej ustach rozciąga się uśmiech, a brązowe oczy błyszczą. – A było dobrze? Powiedz, że ci się podobało. Ten facet wygląda tak, jakby wiedział, co robi.

– To był tylko pocałunek. – To jawne kłamstwo, które potwierdza rumieniec rozlewający się po moich policzkach. – Ale tak. On doskonale wie, co robi. – Marszczę brwi, a moja wyobraźnia analizuje tysiąc różnych konsekwencji wczorajszej nocy. To samo robiłam przez cały poranek.

– Masz wątpliwości? – Przekrzywia głowę, przyglądając mi się. – Bo wyglądasz, jakbyś miała ich multum.

– Nie. – Kręcę głową. – Chociaż może? Ale tylko jeśli przez to między nami zrobi się dziwnie.

– Jasne. Bo jesteście na siebie skazani do końca waszych karier. I życia. Rozmawialiście już o tym, co będzie po zakończeniu roku, gdy opuści uczelnię? – Unosi brwi. – Och, założę się, że będzie mógł sobie wybrać posterunek. Dowódcy skrzydeł zawsze mają wybór.

– On wybierze – burczę pod nosem, bawiąc się luźną nitką z mojej torby. – A ja będę musiała za nim podążyć. Tairn i Sgaeyl nie byli rozdzieleni od lat. Jej ostatni jeździec zmarł pięćdziesiąt lat temu i, z tego, co mi wiadomo, zanim Naolin – jego ostatni jeździec – zmarł w Tyrrendorze, latała za nim wszędzie. W zależności od tego, jaki posterunek wybierze, dotarcie tam zajmie do dwóch dni lotu, więc co zrobimy z tym za rok i za dwa?

Rhiannon zaciska usta.

– Nie jestem pewna. Feirge twierdzi, że nie będziemy w stanie wytrzymać bez siebie dłużej niż dwa dni, więc czy to oznacza, że jedno z was zawsze będzie musiało podążać za drugim?

– Nie mam zielonego pojęcia. Podejrzewam, że to dlatego większość związanych jeźdźców znajduje sobie partnera na trzecim roku, żeby uniknąć takich dylematów. Jak niby mam skupić się na nauce za rok, jeśli co chwilę będę musiała latać na front z Tairnem? Jak Xaden ma skupiać się na pracy, jeśli miałby ciągle tu wracać? – Markotnieję. – To najpotężniejszy jeździec naszego pokolenia. Będzie potrzebny na froncie, nie tutaj.

– Na razie. – Rhiannon patrzy na mnie wymownie, unosząc brwi. – Na razie jest najpotężniejszym jeźdźcą naszego pokolenia.

– Co?

Rozlega się trzykrotne pukanie do drzwi i obie przenosimy wzrok w tamtym kierunku.

– Rhi? – woła Liam z wyraźną paniką w głosie. – Sorrengail jest tam z tobą? Bo...

Rhiannon otwiera drzwi i Liam wpada do środka, tracąc równowagę. Rozgląda się wokół i odnajduje mnie wzrokiem.

– Tu jesteś! Poszedłem tylko do łazienki, a ty zniknęłaś!

– Nikt nie zabije jej w moim pokoju, Mairi. – Rhiannon przewraca oczami. – Nie musisz towarzyszyć jej przez każdą sekundę dnia. A teraz daj nam kilka minut i potem pójdziemy na zajęcia.

Wypycha go z pokoju, a on otwiera usta, jakby próbował wymyślić jakiś argument, ale Rhi zamyka mu drzwi przed nosem.

– Trzeba przyznać, że jest – wzdycham – oddany.

– Można tak to nazwać – mamrocze. – Wygląda to tak, jakby facet zawdzięczał Riorsonowi życie, bo tak się do ciebie przykleił.

Liam powiedział mi to samo, ale zachowuję tę informację dla siebie. Ostatnio mam tyle sekretów na głowie – spotkania Xadena, zatrzymywanie czasu, wiek Andarny – że powoli zaczynają mnie przytłaczać.

– Och! – Nagle otwiera szeroko oczy i siada na brzegu łóżka obok mnie. – Wczoraj też mi się coś przydarzyło.

– Tak? – Odwracam się w jej stronę. – To mów!

– Dobra. – Bierze głęboki wdech. – Na razie zrobiłam to tylko trzy razy – dwa wczoraj wieczorem i raz dzisiaj rano, więc cierpliwości.

– Jasne. – Kiwam głową.

– Patrz na książkę leżącą na moim biurku.

– Okej. – Skupiam wzrok na podręczniku do historii, który znajduje się po jej lewej stronie. Mija minuta, ale nie odwracam wzroku.

A potem przedmiot znika.

– Co się stało? – Zrywam się na równe nogi i odwracam głowę w jej stronę. – Rhi... – Opada mi szczęka.

W ręce trzyma książkę i patrzy na mnie z szerokim uśmiechem.

– To ten sam podręcznik? – Pochylam się, żeby to potwierdzić. Tak, to ten sam.

– Chyba potrafię przyzywać przedmioty. – Jej uśmiech staje się jeszcze szerszy.

– Ja nie wierzę! – Podekscytowana chwytam ją za ramiona. – To niesamowite! To... wspaniale! Nawet nie potrafię tego opisać! – Pomniejsza magia pozwala nam przesuwac przedmioty albo zamykać drzwi, co jest wynikiem nieustannej więzi z naszymi smokami możliwej dzięki symbolom. Zaczyna się to w momencie, kiedy przelewają w nas energię. Ale chyba od stu lat nie było nikogo, kto potrafiłby sprawić, że przedmioty znikną, a potem pojawią się w twojej ręce. To potężna moc.

– No nie? – Przyciska podręcznik do klatki piersiowej. – Potrafię wezwać przedmioty leżące kilka stóp dalej, ale nie te zza ściany ani nic w tym rodzaju.

– Na razie – poprawiam ją. Wprost nie posiadam się z radości. – Na razie nie potrafisz ściągać przedmiotów zza ściany. Rhi, to tak rzadka moc, że masz już

ustawioną całą karierę.

– Mam taką nadzieję. – Wstaje i odkłada książkę na biurko. – Muszę tylko nad nią popracować.

– Dasz radę – zapewniam ją, będąc święcie o tym przekonana.

Kilka minut później idziemy we trójkę do skrzydła akademickiego. Po drodze z biblioteki wychodzą Sawyer i Ridoc, którzy się do nas przyłączają.

– Zrobiłem to dla ciebie. – Liam wręcza mi figurkę, kiedy schodzimy po spiralnych schodach prowadzących na drugie piętro.

To Tairn. Nawet udało mu się wiernie odwzorować jego wiecznie niezadowoloną minę.

– Jest... piękny. Dziękuję.

– Nie ma sprawy. – Liam posyła mi uśmiech, a w jego policzku pojawia się dołeczek. – Chciałem najpierw wystrugać Andarnę, ale za rzadko przebywam w jej obecności, wiesz?

– Jest dosyć skryta. – Odłączamy się od tłumu i zmierzamy na trzecie piętro, a ja wkładam figurkę do torby i wyciągam rękę, żeby go przytulić. – Naprawdę, bardzo mi się podoba. Dziękuję. – Korytarz jest zatłoczony, ale przy gabinecie profesora Carra robi się coraz luźniej.

– Drobiazg. – Potem odwraca się w stronę Rhiannon. – W następnej kolejności wystrugam Feirge.

Rhiannon żartuje, by nie zapomniał oddać jej majestatu, ale przestaje skupiać się na rozmowie, bo przed wejściem przenoszę wzrok na wysokie okno i zauważam wieżę, w której odbywają się zajęcia z analizy wojennej.

Xaden stoi z innymi dowódcami skrzydeł pogrążony w napiętej rozmowie, krzyżuje ramiona na klatce piersiowej. Komendantowi wystarczyło pięć minut, żeby wyznaczyć Lamani Zohar na nową dowódczynię Trzeciego Skrzydła po tym, jak Amber została stracona. To logiczne, zważywszy na to, że wcześniej była zastępczynią.

Nigdy nie przywyknę do tego, jak szybko ludzie przechodzą tu do porządku dziennego po czyjejś śmierci, jak spychają ją brutalnie pod dywan i kilka minut później po nim depczą.

Na bogów, Xaden wygląda dzisiaj oszałamiająco. Marszcząc lekko brwi, przysłuchuje się temu, co mówi do niego Lamani, a potem kiwa głową. Trudno uwierzyć, że jeszcze wczoraj te usta mnie dotykały, te ramiona trzymały w objęciach. Zapomnijmy o wątpliwościach. Chcę więcej.

Xaden unosi głowę, jakby mnie wyczuł i nasze spojrzenia się krzyżują. Ten wzrok działa na mnie tak samo jak jego dotyk, bo mój puls przyspiesza, a wargi lekko się rozchylają.

– Spóźnimy się – upomina Rhi, zerkając w moją stronę ponad ramieniem.

Xaden przenosi wzrok za mnie i zaciska usta.

– Vi, możemy porozmawiać? – odzywa się Dain nieco zdyszczanym głosem, jakby biegł, żeby mnie dogonić.

– Teraz? – Odrywam wzrok od Xadena i odwracam się do osoby, którą jeszcze do niedawna miałam za swojego najlepszego przyjaciela.

Dain krzywi się i drapie po karku, kiwając głową.

– Próbowałem złapać cię po zbiórce, ale zniknęłaś tak szybko, a po tym, co wydarzyło się wczoraj, uznałem, że lepiej porozmawiać teraz niż później.

– Zachciało ci się nagle ze mną rozmawiać po tym, jak ignorowałeś mnie przez kilka tygodni? Świetnie, ale ja mam teraz zajęcia. – Zaciskam palce na pasku mojej torby.

– Przecież jest jeszcze kilka minut. – Patrzy na mnie tak błagalnym wzrokiem, że robi mi się ciężko na sercu. – Proszę cię.

Spoglądam na Rhiannon, która teraz patrzy na Daina z czystą pogardą, zamiast z szacunkiem należnym dowódcy naszej drużyny.

– Zaraz do was dołączę.

Zerka na mnie i przytakuje, a potem wchodzi do sali wykładowej Carra wraz z resztą naszej drużyny.

Podążam za Dainem pod ścianę, żeby nie stać na środku przejścia.

– Pozwoliłaś, by Tairn podzielił się wspomnieniem ze wszystkimi, zamiast pokazać mi to sama – zaczyna z pretensją w głosie i bezradnie opuszcza ręce po bokach ciała.

– Co proszę? – O czym on mówi?

– Kiedy oskarżono Amber, poprosiłem cię, żebyś pokazała mi, co się wydarzyło, a ty odmówiłaś. – Przenosi ciężar z nogi na nogę, co zawsze świadczyło o jego zdenerwowaniu. Ten widok trochę mnie uspokaja.

Co jak co, ale przyjaźnimy się od dzieciństwa, nawet jeśli zachowuje się jak dureń.

– Nie uwierzyłem ci i to moja wina. – Unosi rękę i przykłada ją do serca. – Powinienem był cię posłuchać, ale nie byłem w stanie uwierzyć w oskarżenia pod zarzutem kobiety, którą znałem, a po ataku w ogóle do mnie nie przyszłaś. – Jego głos zabarwia uraza. – Usłyszałem o tym dopiero w trakcie zbiórki, Vi. Pomimo naszej sprzeczki na lądowisku wciąż jesteś... moją najlepszą przyjaciółką, która została brutalnie zaatakowana, niemal zabita, a mimo to nie napomknęłaś o tym ani słowem.

– Nie pytałeś – odpowiadam łagodnie. – Wyciągnąłeś ręce w stronę mojej głowy, jakbyś miał prawo zajrzeć do moich wspomnień, a wcześniej wyraźnie zaznaczyłeś, że mi nie wierzysz. Zażądałeś dowodu. – Z całych sił staram się zapanować nad swoim głosem.



Między jego brwiami pojawiają się dwie pionowe zmarszczki.

– Nie zapytałem?

– Nie. – Kręcę głową. – A przez to, że wielokrotnie powtarzałeś mi, że nie jestem wystarczająco twarda i silna, żeby wytrwać w tej szkole... cóż. To, co zaszło między nami na lądowisku, było tylko kwestią czasu, a najgorsze w tym wszystkim jest to, że byłam pewna, że i tak mi nie uwierzysz. Przez to niemal nie powiedziałam Xadenowi, kogo widziałam, bo byłam pewna, że on też mi nie uwierzy.

– Ale uwierzył. – Głos Daina przybiera ponurą nutę, a mięsień drga na jego szczęce. – I to on zabił ich w twojej sypialni.

– Ponieważ Tairn zawiadomił o tym Sgaeyl. – Krzyżuję ramiona na klatce piersiowej. – Nie dlatego, że już był na miejscu. I wiem, że go nienawidzisz...

– Ty też masz wszelkie powody, by go nienawidzić – przypomina mi. Wyciąga do mnie rękę, a potem rozmyśla się i ją zabiera.

– Jestem tego świadoma – odparowuję. – Jego ojciec przeszył strzałą pierś Brennana, zgodnie z raportami z bitwy. I żyję z tą wiedzą każdego dnia. Ale nie sądzisz, że on też patrzy na mnie i przypomina sobie, że moja matka zabiła jego ojca? Nasza relacja... – próbuję znaleźć odpowiednie słowa – jest skomplikowana. – Zalewają mnie wspomnienia z wczorajszej nocy, od pierwszego uśmiechu Xadena do ostatniego muśnięcia jego ust, ale szybko je odpycham.

Na jego twarzy pojawia się marsowa mina.

– Ufasz mu bardziej niż mnie. – To nie jest zarzut, ale boli tak samo.

– Nie o to chodzi. – Zaskoczenie wbija mnie w ziemię. Chwila. Czy to prawda? – Ja po prostu... muszę mu ufać, Dain. Oczywiście nie w każdej kwestii. – Kurde, coraz bardziej się płaczę. – Nikt nie może nic poradzić na więź między Tairnem a Sgaeyl i wierz mi, nam obojgu nie podoba się ta sytuacja, ale jakoś musimy sobie z tym radzić. Nie mamy wyboru.

Dain mamrocze przekleństwo, ale nie zaprzecza.

– Wiem, że zależy ci na moim bezpieczeństwie – zapewniam go szeptem. – Jednak kiedy próbujesz mnie przed wszystkim chronić, nie pozwalasz mi się rozwijać. – Mruga oszołomiony i coś się między nami zmienia. Jakby może w końcu był gotowy mnie wysłuchać. – Kiedy powiedziałeś mi, że ta uczelnia odziera cię ze wszystkiego, żeby ukazać to, co kryje się w środku, byłam przerażona. A co, jeśli pod tymi kruchymi kośćmi i słabymi więzadłami kryje się jeszcze więcej słabości? Tylko że tym razem nie mogłabym winić za to swojego ciała.

– Dla mnie nigdy nie byłaś słaba, Vi... – zaczyna, ale kręcę głową.

– Nie rozumiesz? – wchodzę mu w słowo. – To, co myślisz, nie ma żadnego znaczenia, bo liczy się tylko to, co ja o sobie myślę. I miałaś rację. Kwadrant Jeźdźców pozbawił mnie strachu i nawet gniewu za to, że zostałam tu wysłana siłą, by ukazać to, kim jestem tak naprawdę. Jestem jeźdźczynią, Dain. Tairn o tym wiedział. Andarna o tym wiedziała. To dlatego mnie wybrali. I dopóki nie przestaniesz szukać sposobów na to, by utrzymać mnie w szklanej klatce, nie uda nam się pokonać tej przeszkody, niezależnie od tego, ile mamy za sobą lat przyjaźni.

Przenosi wzrok za moje ramię.

– No i co? Riorson zostaje ułaskawiony za jego problemy z obsesyjną kontrolą? Bo, jak ostatnio sprawdzałem, Liam został przeniesiony do naszej drużyny celowo, żeby miał cię na oku.

Wspaniały argument.

– Liam mnie pilnuje, ponieważ nawet najsilniejszy jeździec nie jest w stanie mieć się na baczności, kiedy czyha na niego ponad trzydziestu niezwiązanych kadetów. Jeśli ja umrę, Xaden również. A ty jaką masz wymówkę?

Dain tężeje niczym posąg, drga tylko mięsień na jego szczęce.

Pochyla się i zaczyna szeptem:

– Posłuchaj, nie wiesz na temat Xadena wszystkiego, Vi. Ze względu na moją moc mam dostęp do wrażliwych informacji i musisz być ostrożna. Xaden ma swoje sekrety oraz powody, by nigdy nie wybaczyć twojej matce i nie chciałbym, żeby cię wykorzystał, by się zemścić.

Cała się zjeżam. W jego słowach jest cień prawdy, ale nie chcę się teraz skupiać na skrytym Xadenie. Jedna popaprana relacja jednocześnie.

Mrużę oczy, a Dain znowu przestępuje z nogi na nogę. W mojej piersi kiełkuje ziarenko podejrzliwości.

– Chwila. Błagałeś mnie, żebym opuściła Basgiath dlatego, że według ciebie nie byłabym w stanie przetrwać, czy dlatego, że próbowałeś trzymać mnie z dala od Xadena? – Potrząsam głową, nie dając mu dojść do słowa. – Wiesz, co? Nieważne. – I naprawdę tak myślę. – Zależy ci na moim bezpieczeństwie. Doceniam to, ale przestań, Dain. Xaden jest ze mną związany ze względu na Sgaeyl. Nic więcej. Nie potrzebuję ochrony, a jeśli zajdzie taka potrzeba, mam dwa straszne smoki, które mnie obronią. Czy możesz to uszanować?

Wyciąga rękę, żeby przyłożyć ją do mojego policzka, a ja wytrzymuję jego spojrzenie, bo chcę, by coś zrozumiał – że albo zacznie szanować moje wybory, albo nigdy nie naprawimy naszej przyjaźni.

– W porządku, Vi. – Jego oczy marszczą się w kącikach, gdy uśmiecha się półgębkiem. – Jak mogę spierać się z kimś, kto ma dwa straszne smoki?

Kamień z serca. Znow mogę oddychać. Posyłam mu przekorny uśmiech.

– No właśnie.

– Przepraszam, że poprosiłem cię o wspomnienie. – Opuszcza rękę. – Lepiej idź na zajęcia. – Ścisła moje ramię, a potem odchodzi.

Wypuszczam drżący oddech i odwracam się w stronę wejścia do sali Carra. Korytarz świeci pustkami.

Wchodzę do ogromnej podłużnej komnaty, obitej z każdej strony i bez okien. Pomieszczenie rozświetlają żyrandole magicznych świateł – na tyle jasnych, że dają wrażenie światła słonecznego, a na podłodze w równych rzędach siedzi ponad trzydziestu studentów z Trzeciego i Czwartego Skrzydła, zachowujących odpowiedni odstęp, żeby każdy miał dla siebie miejsce.

Rhiannon i Liam czekają na mnie przy drzwiach. Profesor Carr unosi białe krzaczaste brwi, kiedy podchodzimy na środek sali, gdzie stoi, dominując nad całą przestrzenią. Ten człowiek nie tylko robi wrażenie, ale jest też cholernie przerażający.

Przełykam ślinę, bo przypominam sobie, jak skręcił kark Jeremiahowi.

– W końcu raczyłaś zaszczyścić nas swoją obecnością, kadetko Sorrengail? – W jego oczach nie widać żadnej życzliwości, jedynie chłodną obserwację.

– Tak jest. – Przytakuję.

Przygląda mi się jak robakowi rozgniecionemu na ścianie.

– Moc więzi?

– Jeszcze nie wiem. – Kręcę głową. Zachowuję dla siebie moc zatrzymywania czasu, zgodnie z sugestią Xadena. „Ufasz mu bardziej niż mnie”. W tej kwestii Dain ma rację i poczucie winy łapie mnie za żołądek.

– Mhm. – Cmoka i mnie lustruje. – Wiesz, że twoje rodzeństwo posiadało wyjątkowe moce. Umiejętność Miry do rozciągania barier wokół siebie i jej drużyny jest najlepszą zaletą ich skrzydła i twoja siostra została odznaczona za swój wkład za linię wroga.

– Tak. Mira jest moim wzorem. – Zmuszam się do uśmiechu, dobrze świadoma waleczności mojej siostry na polu bitwy.

– A Brennan... – Odwraca wzrok. – Odnowiciele są tak rzadcy, że strata jednego z nich jest prawdziwą tragedią.

– Myślę, że utrata Brennana jest tragedią – poprawiam torbę na ramieniu – ale skrzydła niewątpliwie odczuły brak jego energii.

– Hm. – Mruga i obrzuca mnie mrożącym spojrzeniem. – Widać, że Sorrengailowie są obdarzeni wielką mocą, nawet ktoś tak... delikatny jak ty. Jako że wybrał cię Tairn, spodziewam się, że objawi się u ciebie zatrwazająca moc. Siadaj. Możesz przynajmniej zacząć od ćwiczeń z pomniejszą magią. – Odprawia mnie gestem ręki.

– Zero presji – mamroczę pod nosem, kiedy podchodzimy do rzucającego się w oczy pustego miejsca w rzędzie naszej drużyny.

– Nie przejmuj się – pociesza mnie Rhiannon, kiedy siadamy na obitej podłodze. – Właśnie to próbowałam wyjaśnić ci wcześniej. Że twoim smokiem jest Tairn.

– Co masz na myśli? – Odkładam torbę obok siebie.

– Tak bardzo martwisz się dezintegracją skrzydła, bo Riorson może być zmuszony do powracania tutaj, żeby uszczęśliwić swojego smoka, ale to nie on jest najpotężniejszym jeźdźcem naszego pokolenia, tylko ty, Violet. – Patrzy mi w oczy, by dać do zrozumienia, że mówi poważnie.

Serce podchodzi mi do gardła.

– A teraz zaczynajmy! – woła Carr.

\* \* \*

**G**rudzień przechodzi w styczeń.

Ćwicz uziemianie. Pracuj nad osłoną. Wyobraź sobie, że zamykasz mentalne drzwi. Zbuduj ścianę. Postaraj się wyczuć, kto i co wokół ciebie ma tam dostęp. Naucz się wyczuwać położenie smoka na podstawie więzi. W moim przypadku – smoków. Zbuduj drugie wejście – najlepiej okno – w Archiwach swojej mocy dla złotej energii Andarny. Blokuj te więzi, jak się da.

Zwizualizuj to sobie.

Wyobraź sobie przed sobą supeł mocy – ale niezbyt zawily, bo nikt jeszcze nie jest na to gotowy – i postaraj się go rozwiązać. Otwórz drzwi.

Zwizualizuj to sobie.

Cały czas dbaj o to, by jedna z twoich stóp miała kontakt z ziemią. Bez swoich mocy jesteś bezużyteczna, a kiedy nie potrafisz nad nimi zapanować – stanowisz zagrożenie. Dopiero odnalezienie równowagi między nimi czyni z ciebie świetną jeźdźczynię.

Wyobraź sobie, że twoja moc jest jak ręka, która zaciska się na tym ołówku i przynosi go do ciebie. Podnieś go. Nie. Nie tak. Spróbuj jeszcze raz. Nie, jeszcze raz.

Zwizualizuj to sobie.

Uczę się do egzaminów, przygotowuję do lotów. Podnoszę ciężary z Imogen. Zastanawiam się, jak długo Xaden będzie mnie jeszcze zmuszał do treningów na macie z Rhiannon. Wygrywam swoje pierwsze wyzwanie i zdobywam sztylet dziewczyny z Drugiego Skrzydła. Ale najbardziej męczącym zadaniem są godziny spędzane w Archiwach moich myśli, gdzie ucę się rozróżnić, która

moc należy do Tairna, a która do Andarny, a potem sumiennie pracuję nad tym, by je od siebie oddzielić.

Okazuje się, że chociaż moja moc pochodzi od smoków, to umiejętność kontrolowania jej wymaga ode mnie wysiłku i czasami są takie dni, gdy padam na łóżko i zasypiam, nie zdążywszy nawet zdjąć butów.

Pod koniec drugiego tygodnia stycznia nie tylko jestem wkurzona na Xadena za to, że od czasu pocałunku nawet ze mną nie rozmawiał, ale również wykończona. Mimo że moc więzi jeszcze się u mnie nie objawiła, kontrolowanie energii pochłania moje zasoby.

Ridoc potrafi panować nad lodem. Jest to dość popularna umiejętność, ale ogląda się ją z prawdziwym zachwytem.

Metalurgiczna zdolność Sawyera rośnie z każdym dniem.

Liam potrafi dostrzec pojedyncze drzewo oddalone nawet o wiele mil.

Ja potrafię zatrzymywać czas, ale nie chcę osłabić Andarny tylko po to, by znowu spróbować, bo po ostatnim razie spała równo tydzień, żeby się zregenerować. Bez mocy więzi potrafię władać jedynie pomniejszą magią. W końcu mogę używać pióra wiecznego, zamykać drzwi i je otwierać. Ale to zwykle sztuczki salonowe.

W trzecim tygodniu stycznia zdobywam kolejny sztylet w wyzwaniu przeciwko chłopakowi z Trzeciego Skrzydła. To już moja druga wygrana, gdy nie musiałam osłabiać przeciwnika truciznami. Mam po niej nadwyreżony nadgarstek, ale moje stawy wychodzą z tego cało.

A w czwartym tygodniu, podczas najzimniejszej nocy, jakiej kiedykolwiek doświadczyłam w Basgiacie, cichaczem zakradam się do sali wykładowców, żeby popatrzeć na tablice wyzwania.

Jack w końcu dostał szansę, by jutro wykończyć mnie na macie.

*On mnie zabije.* Nie mogę przestać o tym myśleć, kiedy ubieram się rano i wciskam sztylety we wszystkie strategiczne miejsca.

*Na pewno będzie próbował.* Tairn już nie śpi.

*Masz jakąś radę?* Wiem, że Liam czeka na mnie, żeby udać się przed śniadaniem do biblioteki.

*Nie pozwól mu na to.*

Parskam z ironią. Wydaje mu się, że to takie łatwe.

Kiedy wracamy z Archiwów, w końcu zdobywam się na odwagę, żeby porozmawiać o czymś z Liamem.

– Jeśli coś ci powiem, zamierzasz przekazać to Xadenowi?

Gwałtownie odwraca głowę, pchając wózek przez most łączący kwadranty.

– Skąd pomysł, że...

– Och, daj spokój. – Przewracam oczami. – Oboje dobrze wiemy, że zdajesz mu raport ze wszystkiego, co robię. Nie jestem głupia. – Śnieg uderza w okna z głuchym łoskotem.

– On się martwi. A ja te zmartwienia uspokajam. – Zerka na mnie, a potem przenosi wzrok przed siebie. – Wiem, że to nie fair. Wiem, że to naruszenie twojej prywatności. Ale to nic w porównaniu z tym, co mu zawdzięczam.

– Tak, wiem o tym. – Pospiesznie otwieram wielkie ciężkie drzwi prowadzące do cytadeli. – Może powinnam ująć to pytanie inaczej. Gdybym coś ci powiedziała i poprosiła, żebyś tę jedną rzecz zachował między nami, zgodziłbyś się? Jesteśmy przyjaciółmi, czy traktujesz mnie tylko jak twoje zadanie?

Zatrzymuje się, a ja zamykam drzwi. Sądząc po tym, jak stuka palcami o rączkę wózka, domyślam się, że się zastanawia.

– Czy jeśli zachowam to w tajemnicy, znajdziesz się w niebezpieczeństwie?

– Nie. – Doganiam go i ruszamy wzniesieniem, które ostatecznie rozwidła się na dwa tunele: jeden prowadzący do koszar, a drugi do sali jadalnej. – Nic nie możesz zrobić i właśnie w tym rzecz.

– Jesteśmy przyjaciółmi. Powiedz mi. – Robi zboląłą minę. – Zachowam to w tajemnicy.

– Dzisiaj Jack Barlowe będzie mógł mnie wyzwać.

Staje jak wryty. Ja też się zatrzymuję.

– Skąd o tym wiesz?

– I właśnie dlatego proszę cię, żebyś nikomu nie mówił. – Patrzę na niego z nadzieją. – Po prostu... uwierz, że to wiem.

– Instruktorzy nie mogą do tego dopuścić. – Kręci głową, a do jego oczu zakrada się panika.

– Pozwolą. – Wzruszam ramionami, siląc się na blady uśmiech. – Domagał się tej możliwości od pierwszego dnia, więc to nie tak, że się tego nie spodziewaliśmy. Rzecz w tym, że kiedy dzisiaj mnie wyzwie, pod żadnym pozorem nie możesz wkroczyć.

Wytrzeszcza niebieskie oczy.

– Vi, jeśli powiemy o tym Riorsonowi, będzie mógł to powstrzymać.

– Nie. – Łapię go za rękę. – Nie możesz tego zrobić. – Czuję skurcz w żołądku, ale przynajmniej nie wymiotuję tak jak wtedy, kiedy się o tym dowiedziałam. – Xaden nie może wiecznie mnie chronić ani tutaj, ani tym bardziej na froncie. Oboje wiemy, że jeśli się wtrąci, dojdzie do sprzeciwu, szczególnie po tym, co się wydarzyło z Amber.

– A ty oczekujesz, że będę tam stać beczynnym i patrzeć na to, co się dzieje? – pyta z niedowierzaniem.

– Tak jak robiłeś to przez ostatnie dwa wyzwania. – Zmuszam się do kolejnego uśmiechu. – Nie martw się. Wykorzystam każdą przewagę. – A wszystko, co mam, tkwi właśnie w fiolce schowanej w mojej kieszeni.

– Nie podoba mi się to.

– To jest nas dwoje.

Dzisiaj nie ma zajęć na lądowisku – tydzień temu smoki ogłosiły, że jest zbyt zimno, by latać, co oznacza, że po zbiórce wszyscy udajemy się na salę treningową. Nie zawracam sobie głowy śniadaniem, za to przyglądam się każdej rzeczy leżącej na tacy Jacka, gdy przechodzę obok, i zauważam, co się na niej znajduje... a co nie.

Moje serce wali jak młotem, kiedy osiemdziesiąt jeden pierwszaków, którzy przeżyli, zbiera się na sali.

Profesor Emetterio po kolei ogłasza wyzwania, wskazując parom odpowiednie maty. Pociesza mnie to, że wszyscy będziemy walczyć jednocześnie, co oznacza, że mniej par oczu będzie skierowanych na mnie.

I przynajmniej nie ma tu Xadena, więc Liam dotrzymał słowa.

– Mata numer siedemnaście. Jack Barlowe z Pierwszego Skrzydła kontra... – Unosi brwi i zaczerpuje oddechu. – Violet Sorrengail.

Dzięki bogom Rhiannon znajduje się na drugim końcu sali i przygotowuje do pojedynku z kobietą z Trzeciego Skrzydła, więc nie widzi, jak krew odpływa z twarzy Liama. W ogóle nie powinna tego oglądać. Sawyera również tu nie ma, bo czeka przy macie numer dziewięć.

– To niemożliwe – mamrocze Ridoc, kręcąc głową.

– W końcu! – Jack triumfalnie wyrzuca ręce w powietrze, jakby już wygrał.

– Zaczynamy. – Rozluźniam ramiona i ruszam w stronę maty. Ani Ridoca, ani Liama nie czeka dzisiaj żadna walka, więc idą razem ze mną.

– Powiedz mi, że mogę złamać obietnicę – błaga Liam, a jego zrozpaczona mina wyraźnie świadczy o tym, w jakiej pozycji go postawiłam.

– Trzeci rok jest zajęty swoimi sprawami – odzywam się, kiedy zatrzymuję się przy macie. – Nie zdążysz sprowadzić go tutaj w porę, ale wiem, jak bardzo chcesz dotrzymać słowa. Szczególnie danego jemu. Droga wolna.

Przenosi wzrok na Ridoca.

– Strzeż jej, jakbyś był mną.

– Czyli facetem o sześć cali wyższym i zbudowanym jak byk? – Ridoc pokazuje mu uniesione kciuki. – Jasna sprawa. Ale zrobię, co w mojej mocy. A tymczasem lepiej biegnij.

Liam odnajduje moje spojrzenie.

– Masz wyjść z tego cało.

– Pracuję nad tym i to nie tylko ze względu na siebie. – Uśmiecham się do niego. – Dzięki za to, że byłeś takim świetnym cieniem.

Wybałusza oczy i sprintem opuszcza salę treningową.

– Barlowe i Sorrengail – woła stojący po drugiej stronie maty Emetterio. – Broń.

Jack podskakuje z ekscytacji jak dziecko, które dostało prezent.

– Każda, którą ona jest w stanie utrzymać w tych swoich małych rączkach. – Od jego spojrzenia robi mi się niedobrze.

Wchodzę na matę, a Jack robi to samo i stajemy naprzeciwko siebie.

– Żadnych mocy – przypomina Emetterio. – Wygracie, jeśli to drugie odklepie lub straci przytomność.

Zapewne wszyscy stojący wokół tej maty wiedzą, że nie taki jest cel Jacka. Jeśli uda mu się zacisnąć ręce na mojej szyi, jestem martwa.

*Ta cała śpiewka o tym, że jak umrę, to Xaden też, to tylko hipoteza?*, dopytuję, wyciągając sztylety z butów, bo te najtrudniej wydobyć w trakcie walki.

*Wolałbym jej nie testować, warczy Tairn.*

Prostuję się, trzymając w rękach ostrza, a Jack zwraca się w moją stronę z jednym nożem.

– Żartujesz, prawda? Tylko jeden?

*Celuj w przętyk, sugeruje Tairn.*

*Nie mam teraz energii, żeby cię zablokować, więc proszę, żebyś na kilka minut zamilkł.*

W odpowiedzi dostaję jedynie warkot.

– Żadnych nieczystych zagrań – ostrzega Emetterio. – Start.

Serce wali mi tak szybko, że dosłownie słyszę jego dudnienie w uszach, kiedy zaczynamy się okrążyć.

*Przejdź do ofensywy. Ale już. Atakuj pierwsza, ryczy Tairn.*

*Nie pomagasz!*

Jack rzuca się na mnie z nożem przygotowanym do ciosu, a ja tnę ostrzem po wierzchu jego dłoni, aż do krwi.

– Szlag! – Odskakuje, robiąc się czerwony na twarzy.

Właśnie na tym mi zależy. Żeby wygrać ten pojedynek, muszę wkurzyć go tak bardzo, że zacznie działać bezmyślnie i popełni wreszcie błąd.

Jack daje susa w moją stronę i robi wykop, celując w mój brzuch, ale szybko robię krok w przeciwnym kierunku, ledwo unikając ciosu.

– Pewnie żałujesz, że nie możesz rzucić we mnie tym ostrzem, co? – drwi. Dobrze wie, że nie złamię tej zasady, bo mogłabym zranić inną osobę.

– Pewnie żałujesz, że wiesz, jak to jest wyciągać jeden z moich noży ze swojego ciała, co? – odgryzam się.



Zaciska usta w cienką linię, a potem wykonuje serię uderzeń i wymachów nożem. O ile nie jestem w stanie sparować jego ciosu – jest dla mnie zbyt silny, co udowadnia, wytrącając mi sztylet z dłoni – o tyle mogę wykorzystać swoją prędkość i i dzięki niej nurkuję pod jego ręką, tnąc go wzdłuż przedramienia.

– Cholera! – syczy i okręca się, kiedy staję za jego plecami. Niespodziewanie unieruchamia mi rękę i przewraca mnie na matę.

Przyjmuję upadek na ramię i krzywię się z bólu, ale nie słyszę dźwięku rozrywanych ścięgien czy pękających kości. Jeśli wyjdę z tego cało, w pierwszej kolejności podziękuję Imogen.

Trzymając mnie za rękę, Jack wyprowadza cios w moją klatkę piersiową, ale ostrze przesuwa się po kamizelce i utyka w macie.

– Chce zadać śmiertelny cios! – krzyczy Ridoc. – To niedozwolone!

– Przestań, Barlowe! – upomina go Emetterio.

– I co o tym sądzisz, Sorrengail? – szepcze mi na ucho Jack, wykręcając mi rękę za plecami. – Przyznaj. Oboje wiedzieliśmy, jak to będzie wyglądać: szybka walka, zawstydzająco łatwa i śmiertelna w skutkach. A twój ulubiony dowódca skrzydła cię nie uratuje.

Nie, ale Xaden będzie cierpieć... albo gorzej, jeśli Jack osiągnie swój cel. Ta myśl popycha mnie do działania. Ignoruję ból i przetaczam się, prawie wybijając sobie ramię, ale przynajmniej udaje mi się wyswobodzić z jego uścisku.

I kopnąć go prosto w jaja.

Upada na kolana i łapie się za krocze, a usta otwiera do niemego krzyku.

– Odklep – rozkazuję, podnosząc sztylet, który upuściłam. – Mogę cię poszlachtować w każdej chwili. Oboje wiemy, że gdyby to było prawdziwe życie, byłbyś skończony.

– Gdyby to było prawdziwe życie, zabiłbym cię w chwili, gdy weszłaś na matę – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– Poddaj się.

– Pierdol się! – Ciska nożem.

Unoszę ręce, żeby zablokować nadlatującą broń, więc ostrze zatapia się w mojej lewej ręce. Tryska krew, ból przetacza się przez zakończenia nerwowe, ale wiem, że nie powinnam go wyciągać. Dzięki temu ta rana pozostaje w miarę zamknięta.

– Żadnego rzucania! – grzmi Emetterio, ale Jack już atakuje mnie serią kopnięć i ciosów, na które nie jestem gotowa. Wbija pięść w mój policzek, a ja wyczuwam pękającą skórę.

Kiedy kopie mnie prosto w brzuch, powietrze uchodzi z moich płuc.

Utrzymuję się na macie, ale Jack przykłada dłonie do mojej twarzy. Każdą komórkę mojego ciała wypełnia silny ból, wibrująca energia przetacza się przeze mnie i mam wrażenie, że Jack odrywa więzadła od kości, mięśnie od ścięgien.

Krzyczę, wstrząsana wewnętrzną siłą, której nie rozumiem, jakby wmuszał swoją moc w moje ciało. Jego energia jest jak tysiące wbijających się we mnie szpilek.

Teraz. Jeśli nie zrobię tego w tej chwili, zabije mnie. Już czuję, że robi mi się ciemno przed oczami.

Wsuwam drżącą rękę do kieszeni skórzanych spodni i odkorkowuję fiolkę.

Widzę jedynie jego sadystyczny uśmiech i zaczerwienione oczy, kiedy wtlacza we mnie jeszcze więcej swojej mocy. Ma jednak zajęte ręce i jest obsesyjnie skupiony na zwycięstwie, więc nie zauważa, że przestałam krzyczeć i się ruszyłam.

Wpycham fiolkę w otwartą gębę Jacka z taką siłą, że wyczuwam dźwięk pękającego zęba.

Ktoś wyciąga w naszą stronę ręce i słyszę krzyk Ridoca i Emetteria. Odskakują błyskawicznie. To, co robi Jack, musi przenosić się na nich poprzez dotyk.

Moje zęby dzwonią o siebie, kiedy pochłania mnie ból, ciało walczy z nadchodzącym omdleniem. Próbuję uciec przed nieznośną torturą, ale nie chcę się poddać, dopóki Jack oddycha.

Oczy niemal wychodzą mu na wierzch. Zabiera ręce i chwytą się za szyję, kiedy jego drogi oddechowe się zamykają.

Gdy uginają się pode mną kolana, ląduję na macie, cała drżąc. Jack również, tylko że on drapie się po szyi, a jego twarz przybiera kolor purpury.

Sekundę później zawisa nade mną Ridoc.

– Oddychaj, Sorrengail. Po prostu oddychaj.

– Co mu jest? – pyta ktoś, gdy Jack nie przestaje rzeźnić.

– Pomarańcze – informuję szeptem Ridoca, bo moje ciało w końcu się poddaje. – Ma alergię na pomarańcze.

I zapadam się w nicość.

Kiedy się budzę, nie leżę na macie, a po oknach rozpoznaję, że jestem w izbie chorych w Kwadrancie Medyków i że zapadła noc. Musiałam być nieprzytomna przez kilka godzin.

Na krześle obok mojego łóżka nie siedzi Ridoc. I to nie on patrzy na mnie tak, jakby chciał mnie zabić osobiście.

To Xaden. Włosy ma potargane, jakby za nie szarpał. W ręce trzyma sztylet za czubek ostrza i podrzuca go w powietrze, w ogóle na niego nie patrząc,

a potem chowa go do pochwy.

– Pomarańcze?

*Wiem, że nie chcesz tego słyszeć, ale czasami trzeba zadać cios ostateczny, gdy nadejdzie pora, Miro. I właśnie dlatego musisz dopilnować, żeby Violet dołączyła do Kwadrantu Skrybów. Ona nigdy nie byłaby w stanie odebrać życia.*

Strona siedemdziesiąta, *Dziennik Brennana*



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

**P**rzesuвам się, żeby usiąść na łóżku, ale ból w ramieniu przypomina mi, że jeszcze nie tak dawno tkwił w nim sztylet. Teraz mam zabandażowaną rękę.

– Ile szwów?

– Jedenaście po jednej stronie i dziewiętnaście po drugiej. – Unosi ciemną brew i nachyla się, opierając łokcie o kolana. – Przerobiłaś pomarańcze na broń, Violence?

Siadam prosto i wzruszam ramionami.

– Radziłam sobie tak, jak tylko mogłam.

– Biorąc pod uwagę, że żyjesz, a raczej oboje żyjemy, nie mogę się z tym spierać i nie zamierzam pytać, skąd wiedziałaś, z kim przyjdzie ci się zmierzyć.

– W jego oczach dostrzegam gniew, ale również cień ulgi. – Powiedziałaś Ridocowi o alergii, a dzięki temu Emetterio sprowadził go tutaj na czas. Niestety Barlowe leży pięć łóżek stąd i żyje, w przeciwieństwie do kadeta z drugiego roku kawałek dalej. Mogłaś go zabić i oszczędzić nam kłopotu.

– Nie chciałam go zabijać. – Poruszam ramieniem, żeby sprawdzić jego sprawność. Jest obolałe, ale staw tkwi na miejscu. Moja twarz też wydaje się drażliwa. – Po prostu chciałam, żeby w końcu przestał mnie atakować.

– Powinnaś była mi o tym powiedzieć – wypomina z grymasem rozdrażnienia na twarzy.

– A ty nic nie mógłbyś na to poradzić, bo gdybyś do tego nie dopuścił, wyszłabym na słabą. – Mrużę oczy. – A poza tym unikasz mnie od tygodni, więc

nie mieliśmy okazji o niczym porozmawiać. Mogłabym pomyśleć, że ten pocałunek cię przeraził. – Cholera. Nie chciałam tego mówić.

– To nie jest temat do rozmowy. – W jego oczach pojawia się błysk, ale szybko znika pod chłodną maską obojętności.

– Poważnie? – Powinnaś była się domyślić, bo tak długo mnie unikał.

– To był błąd. Będziemy pełnić służbę wspólnie już do końca naszych dni i nigdy od siebie nie uciekniemy. Angażowanie się w cokolwiek, nawet pod względem fizycznym, byłoby kolosalną pomyłką. Nie ma sensu o tym rozmawiać.

Mam ochotę złapać się za serce, żeby sprawdzić, czy na pewno jest na swoim miejscu, bo czuję się tak, jakby tymi kilkoma zdaniem je wyrwał. Tyle że on wydawał się równie chętny co ja. Byłam tam i takiego... entuzjazmu nie da się pomylić z niczym. Ale może był pod wpływem churamu?

– A co, jeśli ja chcę o tym porozmawiać?

– W takim razie droga wolna, ale to nie oznacza, że będę częścią tej rozmowy. Oboje mamy prawo mieć jakieś granice i to jest moja. – Jego stanowczy ton głosu mnie podłamuje. – Zgodzę się z tym, że moja próba utrzymania dystansu nie wypaliła i jeśli twój dzisiejszy wybryk miał zwrócić moją uwagę, to gratulacje. Jest cała twoja.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Zsuwam nogi z łóżka. Muszę znaleźć buty, żeby uciec stąd, zanim zrobię z siebie jeszcze większą idiotkę.

– Najwyraźniej nie mogę polegać na codziennych raportach Liama, a Rhiannon nie daje rady wyszkolić cię na macie, patrząc na to, z jaką łatwością Barlowe cię unieruchomił, więc od tego momentu biorę to na siebie.

– Ale co? – Mrużę oczy.

– Wszystko, co dotyczy ciebie.

\* \* \*

**N**astępnego dnia nie możemy latać ze względu na wyjący, lodowaty wiatr, więc Xaden rzeczywiście zaciąga mnie na matę. Jest ubrany, więc nie rozprasza mnie to, co znajduje się pod spodem. Nie dość, że ma na sobie skórzany mundur do latania i buty, to jeszcze jest uzbrojony w tuzin różnych sztyletów poupychanych w pochwy rozsiane po całym ubraniu.

Czy to nie chore, że tak bardzo podoba mi się w tym wydaniu? Pewnie tak. Wystarczy jedno spojrzenie i robi mi się gorąco.

– Zostaw sztylety poza matą – rozkazuje. Kilkunastu jeźdźców z sąsiadujących mat zerka w naszą stronę.

Przynajmniej Liam ma czas, by potrenować i teraz mierzy się z Dainem, który po raz pierwszy przyjął zaproszenie. Jest tu większość drużyn i wszyscy wykorzystujemy nieoczekiwaną przerwę w lataniu. Na szczęście reszta jest zajęta własnymi treningami, więc ich uwaga nie skupia się na nas.

– Ale ty jesteś uzbrojony. – Przenoszę wymowne spojrzenie na pochwy w jego ubraniu.

– Albo mi ufasz, albo nie. – Nieznacznie przekrzywia głowę, odsłaniając piętno rebelii wijące się po jego szyi. To samo piętno, po którym przesuwałam dłoń, kiedy ponad miesiąc temu przyciskał mnie do ściany.

Nie. Nie zamierzam o tym myśleć.

Szkoda tylko, że moje ciało doskonale o to pamięta.

Wzdycham ciężko i schodzę z maty, żeby pozbyć się całego oręża, które należy do mnie oraz tego, które wygrałam i zostawiam je na podłodze.

– Jestem nieuzbrojona. Zadowolony? – Odwracam się w jego stronę z rozłożonymi na boki ramionami. Koszulka z długim rękawem zakrywa bandaż na ręce, ale ból wciąż jest natarczywy. – Chociaż może powinniśmy poczekać kilka dni, żeby moja ręka się zagoiła.

Szwy się naciągają, ale bywało gorzej.

– Nie. – Kręci głowę i podchodzi do mnie, wyciągając jeden ze swoich sztyletów. – Wróg nie będzie się przejmować tym, czy jesteś ranna. Wykorzystają to. Jeśli nie potrafisz walczyć pomimo bólu, to zabijasz nas oboje.

– Dobra. – Rozdrażniona przenoszę ciężar ciała na drugą nogę. Chyba nie jest świadomy tego, że mnie zawsze coś boli. Ból to niemal moja strefa komfortu. – To dobry argument, więc przyznam ci rację.

– Dziękuję ci za tę jakże niespodziewaną łaskawość. – Uśmiecha się drwiąco, a ja ignoruję falę ciepła rozlewającą się w dole mojego brzucha. Xaden wyciąga rękę i pokazuje mi sztylet z dziwnie krótkim ostrzem. – Twoim problemem nie jest walka. Jesteś szybka i od sierpnia stałaś się całkiem niebezpieczna. Problem w tym, że korzystasz ze sztyletów, które łatwo wytrącić ci z ręki. Potrzebujesz broni dopasowanej do twojego ciała.

Przynajmniej nie powiedział, że to moja wada.

Przyglądam się sztyletowi leżącemu w jego dłoni. Jest piękny, o solidnej czarnej rękojeści z grawerunkiem tyrreńskich węzłów – starych, mitycznych run składających się z zawitych splotów i zawijasów. Samo ostrze zostało ewidentnie wykute ze staranną precyzją.

– Jest zachwycający.

– I teraz jest twój.

Gwałtownie unoszę głowę, ale w jego onyksowych oczach nie dostrzegam kłamstwa.

– Zamówiłem go specjalnie dla ciebie. – Jego usta rozciągają się w lekkim uśmiechu.

– Co? – Otwieram usta ze zdziwienia, a w klatce piersiowej czuję ucisk. Poświęcił czas, aby zamówić coś takiego? Kurde. Budzi to we mnie uczucia, przyjemne, mieszające mi w głowie, których wcale nie potrzebuję.

– Słyszałaś. Weź go.

Przełykam niespodziewaną gulę, która blokuje mi gardło i biorę od niego sztylet. Wydaje się dobrze leżeć w dłoni, ale jest zdecydowanie lżejszy niż moje inne ostrza. Nie czuję napięcia w nadgarstku, a moje palce wygodnie zaciskają się na rękojeści, więc chwyt jest pewniejszy niż w przypadku broni leżącej na podłodze.

– Kto go wykonał?

– Znam odpowiednią osobę.

– To ktoś z kwadrantu? – Unoszę brwi.

– Byłabyś zdziwiona, ile można mieć kontaktów po trzech latach w murach tej uczelni. – Kącik jego ust podnosi się w zawadiackim uśmiechu. Gapię się na niego otwarcie, a dopiero potem przypominam sobie, gdzie się znajdujemy.

– Jest piękny. – Kręcę głową i oddaję mu broń. – Ale przecież wiesz, że nie mogę go przyjąć. Na to trzeba sobie zasłużyć. – Możemy mieć tu tylko broń, którą przynieśliśmy lub zdobyliśmy w wyzwaniach, lub szkoleniach. Ostatnio upatrzyłam sobie kuszę, ale jeszcze nie jestem ekspertką w jej używaniu.

– No właśnie. – Uśmiecha się przelotnie, a potem porusza się z taką prędkością, o której mi się nawet nie śniło. Jest szybszy niż Imogen i jednym ruchem podcina mi nogi.

Łatwość, z jaką rozkłada mnie na łopatki, jest zarówno zatrważająca, jak i... piekielnie pociągająca, tym bardziej że wyczuwam teraz jego ciężar między swoimi nogami. Wiele wysiłku kosztuje mnie powstrzymanie ręki, która aż świerzbi, żeby odgarnąć kosmyk włosów z jego czoła. „To był błąd”.

Cóż, to wspomnienie natychmiast ostudza mój zapał.

– I co chciałeś udowodnić tym żalonym ruchem? – pytam, dobrze świadoma tego, że zrobił to tak, by nie wyrządzić mi żadnej krzywdy.

– Mam na sobie tuzin sztyletów, więc zacznij mnie rozbrajać. – Unosi brew z sardoniczną miną. – Chyba że nie wiesz, jak radzić sobie z przeciwnikiem leżącym na tobie, ale jeśli tak, to zupełnie inny problem.

– Wiem, jak radzić sobie z tobą, gdy leżysz na mnie – rzucam wyzywająco.

Przysuwa usta do mojego ucha.

– Nie spodoba ci się to, co się stanie, jeśli mnie sprowokujesz.

Odwracam głowę nieznacznie, żeby musnąć ustami płatek jego ucha.

– A może wręcz przeciwnie.

Drga gwałtownie, a na widok jego rozpalonego wzroku zaczynam być świadoma wszystkich miejsc, w których stykają się nasze ciała.

– Pozbądź się wszystkich moich sztyletów, zanim przetestuję tę teorię na oczach wszystkich.

– A to ciekawe. Nie sądziłam, że jesteś takim ekshibicjonistą.

– Prowokuj mnie dalej, a się przekonamy. – Spuszcza wzrok na moje usta.

– A myślałam, że całowanie się ze mną było błędem. – Nie obchodziłoby mnie, że cały kwadrant nam się przygląda, jeśli miałby mnie zaraz pocałować.

– Bo to był błąd. – Uśmiecha się perfidnie. – Chcę ci tylko udowodnić, że używanie sztyletów nie jest jedynym sposobem na to, by rozbroić wroga. Powiedz mi, Violence, jesteś uzbrojona?

Arogancki dupek.

Kwituję to prychnięciem. Zaczynam wyciągać sztylety z pochw i rzucać je na matę, a on przygląda mi się z niecierpliwym rozbawieniem. Potem zaciskam nogi wokół jego bioder i przetaczam go w lewo, rozkładając na plecach. Oczywiście mi na to pozwala – i nie zamierzam usiąść na nim okrakiem, jeśli ewidentnie sobie tego nie życzy – ale na pozór przyciskam przedramię do jego obojczyków i kradnę kolejne ostrza uczone boku.

– I na koniec... – Zaczynam z uśmiechem i się pochylam. Nasze rozgrzane ciała niemal się stykają, kiedy wyrywam sztylet z jego prawej dłoni. – Dziękuję.

Gdy przejmuję ostatni sztylet, Xaden odpycha się od maty z nadnaturalną siłą i popycha mnie znowu na plecy.

– To... – Łapczywie wciągam powietrze, kiedy Xaden znowu usadawia się między moimi nogami. Z trudem powstrzymuję się, by się nie podnieść i nie sprawdzić, czy naprawdę uważał tamten pocałunek za błąd. – Używanie mocy na macie jest nie fair. – A także zmysłowe, podniecające. Nieważne. Przede wszystkim niesprawiedliwe.

– I w tym rzecz. – Podnosi się i wyciąga do mnie rękę. Przyjmuję pomoc, a kiedy wstaje, zaczyna mi się kręcić w głowie. Nie teraz. Nie możesz teraz zasłać. – Emitterio nie pozwala używać mocy, żeby wyrównać szanse w trakcie ćwiczeń. Ale w prawdziwym świecie nie ma sprawiedliwości i musisz nauczyć się wykorzystywać to, co masz.

– Nie potrafię niczego poza uziemieniem, wznoszeniem osłon i podnoszeniem przedmiotów siłą umysłu. – Chowam do pochwy nowy sztylet, a potem zbieram kolejne, żeby umieścić je na swoim miejscu. Wszystkie są piękne, a każdy oznaczony inną runą. Szkoda, że tak wiele elementów tyrreńskiej kultury przepadło w procesie zjednoczenia, wliczając w to większość run. Nawet nie wiem, co one oznaczają.



– Cóż, wygląda na to, że nad tym również będziemy musieli popracować. – Prycha i przyjmuje pozycję gotową do walki. – A teraz udowodnij, że przewisko do ciebie pasuje i postaraj się mnie zabić.

\* \* \*

**L**uty mija mi na niekończącym się zmęczeniu. Xaden wykorzystuje każdą wolną godzinę w moim planie dnia, a Dain zgrzyta zębami za każdym razem, gdy dowódca skrzydła wyciąga mnie z treningu drużyny, bo ma ze mną do zrobienia coś ważniejszego.

Co zazwyczaj kończy się na tym, że rozkłada mnie na łopatki na macie.

Muszę jednak przyznać, że nie traktuje mnie jak słabeusza tak jak Dain i nie oszczędza mnie jak Rhiannon. Na każdej sesji trenuje ze mną do granic moich wytrzymałości, ale nigdy ich nie przekracza – zazwyczaj kończę na podłodze w sali spocona, zziębnięta i nie mogę ruszyć żadną kończyną.

Wtedy zazwyczaj Imogen przypomina mi, że musimy poćwiczyć z obciążeniem.

Nienawidzę ich obojga.

Powiedzmy.

Trudno o zwycięstwo, gdy szkolę się pod okiem najsilniejszego jeźdźca w całym kwadrancie. Jeszcze nie udało mi się go pokonać, ale w ogóle mi to nie przeszkadza. To oznacza, że nie idzie mi na rękę.

A poza tym jeszcze mnie nie pocałował, mimo że nieustannie go prowokuję.

W marcu zasypuje nas śnieg i przed każdą zbiórką trzeba odśnieżać dziedziniec. To również czas, gdy symbol pali moją skórę na plecach, a ja mam wrażenie, że wyjdę z siebie i stanę obok, jeśli narastająca we mnie energia nie znajdzie ujścia, bo moja moc wciąż się nie objawiła. A minęły już trzy miesiące.

Każdego dnia budzę się z myślą, że dziś może być tym dniem, w którym spontanicznie eksploduję.

– Sharla Gunter. – Kapitan Fitzgibbons odczytuje zwój śmierci, a jego dłonie chronione rękawiczkami ślizgają się na zmrożonym pergaminie. W tym tygodniu jest cieplej, ale tylko nieznacznie. – I Mushin Vedio. Niech Malek ma ich dusze w opiece.

– Vedio? – pytam cicho Rhiannon pod koniec zbiórki, unosząc wysoko brwi. Nie znałam go zbyt dobrze, bo należał do Drugiego Skrzydła, ale jestem szokowana tą informacją, bo podobno był jednym z lepszych jeźdźców.

– Nie słyszałaś? – Mocniej owija szyję futrzanym płaszczem. – Jego moc objawiła się wczoraj w trakcie zajęć Carra i stanął w płomieniach.

– Sam... się podpalił?

Przytakuje.

– Tara mówi, że Carr podejrzewał u niego moc władania ogniem, ale przy pierwszym razie wyraźnie go przytłoczyła i...

– Zapłonął jak pochodnia – wtrąca Ridoc. – Pewnie cieszysz się, że twoja moc wciąż się ukrywa, co?

– Można tak to nazwać. – Nie licząc umiejętności, o której nie mogę rozpowiadać, udowadniam, że jestem taka, za jaką ma mnie moja matka – przeciętna. I przecież nie mogę pójść do Tairna czy Andarny po pomoc. Moc jest teraz zależna ode mnie i najwyraźniej nie potrafię z niej korzystać, o czym przypomina symbol na plecach, który nieustannie pali. Jakaś mała, skryta część mnie ma nadzieję, że moja moc jeszcze się nie objawiła, ponieważ jest inna niż u wszystkich, że może będzie nie tylko użyteczna, ale również... ważna, jak moc Brennana.

– Mam ochotę urwać się dzisiaj z zajęć – mamrocze Rhiannon i chucha na rękę, żeby je ogrzać.

– Żadnego urywania się z zajęć – zaznacza Dain, przeszywając nas protekcyjnym spojrzeniem. – Do Bitwy Drużyn zostało zaledwie kilka tygodni i musicie być w szczytowej formie, żeby wygrać.

Imogen reaguje drwiącym śmiechem.

– I po co te nerwy, Aetos? Wszyscy wiemy, że w Drugim Skrzydle jest Sekcja Ognia, która da nam wszystkim popalić. Widziałeś w ogóle, jak sprintem pokonali Rękawicę? Jestem pewna, że trenują na niej nawet teraz, mimo że jest skuta lodem.

– Wygramy – spiera się Cianna, zastępczyni naszego dowódcy, i z całym przekonaniem kiwa głową. – Sorrengail spowolni nas na Rękawicy – marszczy haczykowaty nos – i pewnie również we władaniu mocą, bo jej się do tego nie spieszy...

– Rany, dzięki. – Krzyżuję ramiona na klatce piersiowej. Potrafię za to stawiać osłony lepiej niż oni wszyscy razem wzięci.

– Ale umiejętności Rhiannon za to nadrabiają z nawiązką – ciągnie Cianna. – I wszyscy wiemy, że Liam i Heaton pozamiatają na macie. Musimy przyłożyć się jedynie do manewrów w powietrzu i tego, co w tym roku wymyślą dowódcy skrzydeł.

– O, i to wszystko? Kurde, a już myślałem, że będzie trudno – głos Ridoca ocieka sarkazmem. Dain piorunuje go wzrokiem.

– Została was dziesiątka – przypomina Dain, wodząc po nas wzrokiem. – Łącznie jest nas dwunastu, co stawia nas w gorszej pozycji niż kilka innych drużyn, ale chyba sobie poradzimy.

W zeszłym tygodniu straciliśmy dwie nowe osoby, kiedy jednej z nich w trakcie analizy wojennej objawiła się moc i obie zostały zamrożone na śmierć w ciągu kilku sekund. Ridoc niemal stracił życie, bo znajdował się za blisko. Skończyło się to dla niego jedynie odmrożeniem, ale nie pozostawiło żadnego trwałego uszczerbku na zdrowiu. Teraz Liam i Nadine są jedynymi nowymi osobami, które zyskaliśmy po Odsiewie.

– Ale jeśli mamy sobie poradzić, musicie iść na zajęcia. – Patrzy na mnie z uniesioną brwią. – Szczególnie ty. Najlepiej by było, gdyby w końcu pojawiła się u ciebie moc. O ile jesteś w stanie do tego doprowadzić.

Mam wrażenie, że ostatnio nie wie, jak się do mnie odnosić – jak do pierwszaka, który wciąż ma trudności, ale jakoś sobie radzi, czy jak do dziewczyny, z którą dorastał.

Nie podoba mi się panująca między nami napięta atmosfera, która uwiera mnie jak ubrania włożone na mokre ciało zaraz po kąpielu, ale to wciąż Dain. Przynajmniej w końcu zaczął mnie wspierać.

– Sorrengail nie zjawi się na zajęciach u Carra – wtrąca Xaden, który wyrasta za Sawyerem, a chłopak szybko schodzi mu z drogi.

– Wcale nie. – Kręcę głową i ignoruję przyspieszony puls na jego widok.

– Musi na nie iść – spiera się Dain i zgrzyta zębami. – To znaczy... o ile skrzydło nie ma ważniejszych zadań dla kadetki Sorrengail, najlepiej będzie, jeśli skupi się na rozwijaniu umiejętności władania mocami.

– Obaj wiemy, że jej moc nie objawi się na tych zajęciach. Gdyby to było kluczem, już dawno by się tak stało. – Nawet najgorszemu wrogowi nie życzyłabym spojrzenia, którym teraz Xaden mierzy Daina. Nie jest zły ani nawet oburzony. Wydaje się... rozdrażniony, jakby opór Daina był poniżej jego godności, co – zważywszy na hierarchię – jest zgodne z prawdą. – I tak, skrzydło ma dla niej ważniejsze zadanie.

– Po prostu nie podoba mi się, że miałyby ją ominąć dzień ćwiczeń we władaniu mocą i jako dowódca jej drużyny...

Dain nie ma pojęcia, że Xaden udziela mi dodatkowych lekcji w trakcie naszych pojedynków.

– Na litość Dunne. – Xaden wzdycha, przywołując boginię wojny. Wsuwa rękę do kieszeni i wyjmuje z niej kieszonkowy zegarek, a następnie wyciąga go w moją stronę na otwartej dłoni.

Przeskakuję wzrokiem między dwoma mężczyznami i żałuję, że nie są w stanie się dogadać, bo jest na to dokładnie zero procent szans. W celu potwierdzenia jego słów mocno dociskam stopy do ziemi w moich mentalnych Archiwach. Zalewa mnie gorąca fala mocy, od której ciało pokrywa się gęsią skórą, a włoski na karku stają dęba.

Podnoszę rękę i wyobrażam sobie moc oplatającą moje palce. Po skórze przeskakują iskry, gdy nadaję energii formę dłoni i nakazuję jej wyciągnąć się w stronę Xadena stojącego kilka stóp dalej.

Moc zamiera niespodziewanie, jakby macki mojej żywej magii natrafiły na ścianę, ale potem się przez nią przebijają i pcham dalej, utrzymując kontrolę nad rozpaloną ręką. W głowie słyszę trzask, jakby dźwięk dogasających płomieni, kiedy moja moc ociera się o dłoń Xadena, ale w myślach zaciskam pięść wokół zegarka i ciągnę.

Jest koszmarnie ciężki.

– Dasz sobie radę – kibicuje mi Rhiannon.

– Dajcie jej się skoncentrować – wtrąca Sawyer.

Zegarek upada na ziemię, ale unoszę rękę i szarpię za moją moc jak za linę, przyciągając zegarek do siebie. Łapię go lewą ręką, żeby nie uderzył mnie w twarz.

Rhiannon i Ridoc nagradzają mnie oklaskami.

Xaden podchodzi, zabiera mi zegarek i wkłada go do kieszeni swojego płaszcza.

– Widzisz? Trenowała. A teraz mamy coś do zrobienia. – Przykłada dłoń do dolnej części moich pleców i wyprowadza mnie z tłumu.

– Gdzie idziemy? – Nie podoba mi się to, że moje ciało pragnie zbliżyć się do niego bardziej, ale Xaden po chwili zabiera rękę.

– Zakładam, że pod tym płaszczem nie masz stroju do latania. – Otwiera drzwi do koszar i przepuszcza mnie przodem. Robi to z taką łatwością, jakby ten gest nie tylko był wyćwiczony, ale leżał w jego naturze, co zupełnie nie pasuje mi do... cóż, do całej jego osoby.

Zamieram i patrzę na niego tak, jakbyśmy spotkali się po raz pierwszy.

– No co? – pyta i zamyka za nami drzwi, odcinając dopływ lodowatego powietrza.

– Otworzyłeś dla mnie drzwi.

– Ciężko pozbyć się starych przyzwyczajzeń. – Wzrusza ramionami. – Mój ojciec nauczył mnie, że... – Jego głos natychmiast cichnie. Odwraca wzrok, a każdy mięsień w jego ciele napina się, jakby przygotowywał się na atak.

Boli mnie widok, który przetacza się przez jego twarz, bo dobrze go znam. To tęsknota.

– Nie sądzisz, że jest trochę za zimno na latanie? – zmieniam temat, żeby rozładować napięcie. Cierpienie w jego oczach wydaje się nigdy nie przygasać, jest jak wznosząca się nieprzewidywalna fala, która bezlitośnie uderza o brzeg.

Mruga i wrażenie znika.

– Zaczekam tutaj.

Kiwam głową i biegnę do swojego pokoju, żeby przebrać się w obszuty futrem skórzany strój, który wydano nam na czas zimowych lotów. Kiedy wracam, na twarzy Xadena zauważam nieczytelną maskę i już wiem, że dzisiaj nie przytrzyma dla mnie żadnych drzwi.

Wychodzimy na dziedziniec, przez który przebiegają kadeci w drodze na kolejne zajęcia.

– Nie odpowiedziałeś mi.

Skupia spojrzenie na bramie, za którą ciągną się schody prowadzące na lądowisko, a ja muszę szybko przebierać nogami, żeby za nim nadążyć.

– Pytałam, czy nie jest dzisiaj za zimno na latanie.

– Trzeci rok ma po południu zajęcia z latania. Kaori i reszta profesorów idą wam na rękę, bo zbliża się Bitwa Drużyn i wiedzą, że musicie skupić się na praktykowaniu mocy. – Otwiera bramę, a ja pospiesznie przeciskam się za nim.

– Ale ja nie potrzebuję praktyki? – Mój głos rozbrzmiewa echem w tunelu.

– Wygranie Bitwy Drużyn to nic w porównaniu z koniecznością utrzymania cię przy życiu. Znajdziesz się na froncie, zanim reszta z nich zjawi się tam za rok. – Magiczne światła podkreślają ostre rysy jego twarzy i rzucają niepokojące cienie, kiedy mijamy każde z nich.

– To właśnie czeka mnie w kolejnym roku? – pytam. Wychodzimy po drugiej stronie. Śnieg chwilowo mnie oślepia. Zasy wznoszą się wysoko po obu stronach ścieżki, skutek tej wyjątkowo srogiej zimy. – Służba na froncie?

– To nieuniknione. Nie wiadomo, jak Tairn i Sgaeyl zniosą rozłąkę. Domyślałam się, że oboje będziemy musieli się poświęcić, żeby ich zadowolić. – Widać, że sam nie jest z tego tytułu szczęśliwy, ale wcale mu się nie dziwię. Po trzech latach spędzonych w kwadrancie też chciałabym się stąd wynieść w cholerę. Przeraza mnie myśl, że kiedy ukończę uczelnię, znajdę się na jego miejscu. Nie będę miała żadnej kontroli nad tym, na który posterunek wyśle mnie więź naszych smoków.

Kiwam głową, bo nie wiem co odpowiedzieć. Kierujemy się w stronę Rękawicy w komfortowej ciszy.

– Drugie Skrzydło – zauważam, obserwując drużynę z Sekcji Ogona, która bez trudu pokonuje Rękawicę. – Jesteś pewien, że nie chcesz, aby twoja własna drużyna zaczęła tu trenować?

Kącik jego ust unosi się, a ta chłodna nieludzka maska spływa.

– Kiedy byłem na pierwszym roku, też myślałem, że wygrana jest najważniejsza. Ale kiedy znajdziesz się na trzecim i zobaczysz, czym się zajmujemy... – Zaciska szczęki. – Wiedz jedynie, że zabawa stanie się o wiele bardziej niebezpieczna.

Podążamy w stronę schodów prowadzących na lądowisko, ale zauważam grupę, która właśnie stamtąd schodzi, więc pozwalamy im przejść najpierw.

Ogarnia mnie lęk, kiedy się zbliżają, i staję na baczność, prostując plecy. To komendant Panчек i pułkownik Aetos.

Ojciec Daina, który pierwszy dociera na dół, wita się ze mną uśmiechem.

– Spocznij. Dobrze wyglądasz, Violet. Ładne odciski – zauważa i wskazuje na czerwone linie po goglach do latania na moich policzkach. – Widzę, że często latasz.

– Tak, dziękuję. – Rozluźniam się i odpowiadam mu uśmiechem, ale mięśnie twarzy mam napięte. – Dain również dobrze sobie radzi. W tym roku jest dowódcą mojej drużyny.

– Wspominał. – Jego brązowe oczy są równie ciepłe co u Daina. – Mira pytała o ciebie, kiedy w zeszłym miesiącu odwiedziliśmy Południowe Skrzydło. Nie martw się, na drugim roku zostanie ci przyznany przywilej pisania listów, potem będziesz mogła częściej utrzymywać z nią kontakt. Na pewno za nią tęsknisz.

– Każdego dnia – potwierdzam i przelykam dławiące mnie w gardle emocje. Łatwiej jest udawać, że poza murami uczelni nic mnie nie czeka niż przeżywać to, jak bardzo brakuje mi siostry.

Xaden sztywnieje, kiedy moja mama dociera na dół. *O w mordę.*

– Mamo – wyduszam z trudem. Odwraca głowę i napotyka moje spojrzenie. Po raz ostatni widziałam ją wiele miesięcy temu i chociaż chciałabym być tak powściągliwa i tak chłodna jak ona, nie potrafię. Nie jestem taka jak ona czy Mira. Jestem córką mojego ojca.

Obrzuca mnie spojrzeniem charakterystycznym dla głównodowodzącej, która taksuje kadetkę – w jej oczach nie zauważam nawet odrobiny ciepła.

– Słyszałam, że władanie mocą sprawia ci problem.

Mrugam oszołomiona i robię krok w tył, jakby fizyczny dystans miał ochronić mnie przed jej surową naganą.

– Potrafię wznieść najlepsze osłony na roku. – Po raz pierwszy cieszę się, że jeszcze nie objawiła mi się żadna moc, bo dzięki temu matka nie ma okazji do przechwałek.

– To konieczne przy takim smoku jak Tairn. – Unosi brew. – Jeśli ci się nie uda, cała ta niesamowita, godna pozazdroszczenia moc... – Wzdycha, a jej oddech tworzy w powietrzu białą chmurę. – Pójdzie na marne.

Staram się przełknąć gulę rosnącą w moim gardle.

– Tak jest, generało.

– Muszę przyznać, że często bywasz tematem naszych rozmów. – Przesuwa wzrokiem po mojej głowie i wiem, że zatrzymuje się na warkoczu o srebrnym

końcu, który według niej jest oznaką klątwy, i który kazała mi obciąć.

– Tak?

Naprawdę? Ona o mnie myśli?

– Wszyscy zastanawiamy się, jakie moce, jeśli w ogóle, czerpiesz od złotej smoczy. – Jej usta układają się w uśmiech, który według niej z pewnością jest ciepły, ale ja znam ją zbyt dobrze, by się na to nabrać.

*Nie.* Pojedyncze słowo pochodzące od Tairna wstrząsa całym moim ciałem. *Nie waż się o tym mówić.*

– Jeszcze nie mam od niej żadnych mocy. – Zwilżam językiem suche wargi. Zimowe loty źle odbijają się na skórze. – Andarna powiedziała, że piórogony na ogół nie potrafią przelewać mocy na swojego jeźdźcę. – Przekazują mu swój dar bezpośrednio, ale to zachowuję dla siebie. – Dlatego tak rzadko się wiążą.

– A raczej nigdy tego nie robią – wtrąca ojciec Daina. – Właściwie zastanawiamy się, czy mogłabyś zapytać swoją smoczy, czy pozwoliłaby nam siebie zbadać. Oczywiście w celach czysto naukowych.

Kwas podchodzi mi do gardła. Zamęczaliby i obserwowali Andarnę – bogowie tylko wiedzą jak długo – żeby zaspokoić swoją naukową ciekawość, i przez przypadek odkryliby jeszcze niezbadane moce młodych smoków. Mowy nie ma.

– Niestety raczej się na to nie zgodzi. Jest dość skryta, nawet przy mnie.

– Jaka szkoda. – Wzdycha pułkownik Aetos. – Po Odsiewie zleciliśmy skrybom badania w tym zakresie i udało im się znaleźć w Archiwach odniesienie do mocy piórogonów jedynie sprzed stu lat. To dziwne, bo pamiętam, że twój ojciec badał temat powstania krovlańskiego i na pewno wspominał tam coś o piórogonach, ale nie możemy znaleźć tych dokumentów. – Drapie się po czole.

Mama patrzy na mnie wyczekująco, jakby bezgłośnie zadawała mi to pytanie.

– Wydaje mi się, że przed śmiercią nie ukończył badań na ten temat, pułkownik. Nawet nie wiem, gdzie trzymał notatki. – Staram się, by moje słowa wybrzmiały tak prawdziwie, jak tylko się da, bo doskonale wiem, gdzie są jego notatki – w jedynym miejscu, w którym spędzał najwięcej czasu po pracy. Ale ostrzeżenie Tairna każe mi zachować tę informację dla siebie.

– No trudno. – Mama zmusza się do kolejnego uśmiechu. – Miło widzieć, że żyjesz, kadetko Sorrengail. – Przenosi wzrok na bok, a jej oczy błyskają jak stal. – Nawet jeśli obracasz się w wątpliwym towarzystwie.

*Niech to szlag.*

Nie mogę nawet spojrzeć na Xadena, bo będzie to wyglądało, jakby potrzebował ochrony, a także mogłoby uświadomić moją matkę, wobec kogo jestem lojalna.

– Zawsze sądziłem, że wszelkie wątpliwości rozwialiśmy już lata temu – odpowiada spokojnym głosem Xaden, ale jego ciało jest napięte jak struna.

– Hm. – Moja matka odwraca się w stronę cytadeli, bezczelnie go ignorując. – Zadbaj o to, by objawiła ci się jakaś moc, kadetko Sorrengail. Musimy podtrzymać tradycję.

– Tak jest, generało. – Jej komentarz kosztuje mnie więcej, niż jestem w stanie przyznać i z bezlitosną precyzją burzy moją pewność siebie, którą zaczęłam budować niemal osiem miesięcy temu.

– Miło było cię widzieć, Violet. – Ojciec Daina uśmiecha się do mnie współczująco, a Panchek jawnie nas ignoruje i dogania moją matkę.

Wspinając się po schodach, nie odzywam się do Xadena ani słowem. Z każdym krokiem gotuję się jeszcze bardziej, a po dotarciu na górę dosłownie kipię ze złości.

– Nie powiedziałaś jej o tym, jak uniknęłaś śmierci w swojej sypialni – odzywa się. To stwierdzenie, nie pytanie. – I nie mówię tu o tym, że ja się pojawiłem.

Doskonale wiem, do czego nawiązuje.

– Praktycznie się z nią nie widuję. A ty powiedziałaś, że mam nikomu o tym nie mówić.

– Nie sądziłem, że wasza relacja tak wygląda – przyznaje zaskakująco łagodnym głosem, kiedy ruszamy przez kanion w stronę lądowiska.

– Och, to nic takiego – rzucam, siląc się na obojętność. – Kiedy tata zmarł, ignorowała mnie niemal przez cały rok. – Z moich ust wyrывa się gorzki śmiech. – Co w sumie niczym nie różniło się od poprzednich lat, bo od zawsze ledwie mnie tolerowała za to, że nie jestem tak doskonała jak Brennan i daleko mi do utalentowanej wojowniczkii, jaką jest Mira. – Nie powinnam tego mówić. To są rzeczy, których nie wynosi się poza rodzinę, żeby utrzymać reputację idealnej, wypolerowanej zbroi w oczach innych.

– W takim razie wcale dobrze cię nie zna – zauważa Xaden. Z łatwością dotrzymuje mi tempa, mimo że pędzę przed siebie jak burza.

Parskam pogardliwie.

– Albo potrafi przejrzeć mnie na wylot. Problem w tym, że nigdy nie wiem, o co chodzi. Jestem zbyt zajęta próbami spełnienia jej niemożliwych wymagań i nawet nie mam czasu zastanowić się, czy w ogóle mi na nich zależy. – Patrzę na niego, mrużąc oczy. – A tak w ogóle, o co wtedy chodziło? Gdy mówiłeś o problemach rozwiązanych wiele lat temu?

– Przypominałem jej tylko, że już zapłaciłem cenę za moją lojalność. – Marszczy brwi, ale wbija niezachwiany wzrok na wprost.



– Jaką cenę? – Pytanie wyrywa mi się, nim udaje mi się powściągnąć mój głupi język. Mimowolnie przypominam sobie, co powiedział Dain – że Xaden ma powody, by nigdy nie wybaczyć mojej matce.

– Pamiętaj o granicach, Violence. – Spuszcza głowę na krótką chwilę, a kiedy ją unosi, ma na twarzy tę samą obojętną maskę, która zawsze wychodzi mu po mistrzowsku.

Na szczęście napięta atmosfera między nami zostaje przerwana przez Tairna i Sgaeyl, którzy lądują przed nami na polanie w towarzystwie mniejszej lśniącej smoczyca, na widok której uśmiech sam ciśnie mi się na usta.

– Będziemy latać wszyscy razem? – pytam, kiedy prowadzi mnie w stronę skrzydlatej trójki.

– Dzisiaj wszyscy będziemy trenować. Musisz poćwiczyć utrzymywanie się na grzbiecie, a ja chcę się dowiedzieć, co konkretnie sprawia ci trudność – odpowiada. – Andarna musi nauczyć się, jak dotrzymywać nam tempa. Tairn potrzebuje lekcji latania w ścisłej formacji, bo każdy smok poza Sgaeyl boi się przy nim latać.

Tairn warczy na zgodę, kiedy podchodzimy bliżej.

– A co ze Sgaeyl? – pytam, mierzając wzrokiem wielką granatową smoczycę.

Xaden uśmiecha się szeroko.

– Od trzech lat nieustannie przewodzi innym smokom. Teraz będzie musiała nauczyć się, jak podążać za kimś. Albo chociaż potrenować.

Prychnięcie Tairna wyjątkowo przypomina śmiech. Smoczyca obnaża zębiska i kłapie nimi tuż przy jego szyi.

– Smocze relacje są dla mnie kompletnie niezrozumiałe – burczę pod nosem.

– Tak? To przyjrzyj się czasem ludzkim. Są równie bezwzględne, tylko mniej w nich ognia. – Dosiada swojego smoka z łatwością, której mu zazdroszczę. – A teraz lećmy.

*Bitwa Drużyn jest ważniejsza, niż twierdzą dowódcy skrzydeł. Lubią sobie żartować, że to tylko zabawa, że zwycięska drużyna zyskuje jedynie prawo do przechwałek przed innymi, ale tak nie jest. Oni wszyscy obserwują. Komendant, profesorowie, zastępcy – wszyscy czekają, żeby dowiedzieć się, kto będzie górą. I z chórą satysfakcją obserwują tych, którym się nie udaje.*

Strona siedemdziesiąta siódma, *Dziennik Brennana*



## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

**P**oddaj się! – krzyczy Rhiannon, kiedy jeździec z Drugiego Skrzydła próbuje przesunąć się po macie, wbijając w nią paznokcie, a tymczasem Liam trzyma jego nogi w dźwigni i zmusza go do wygięcia w łuk, który powinien być niemożliwy dla kręgosłupa.

Moje serce bije z ekscytacji, bo dzisiejsze pojedynki podnoszą adrenalinę.

To ostatnie wyzwanie w tej części Bitwy Drużyn. Tłum napiera na nasze plecy, a ja ciągle muszę walczyć, żeby nie przewrócić się na matę. Po ukończeniu dwóch kategorii plasujemy się na siódmym z dwudziestu czterech miejsc na tablicy, ale jeśli Liam wygra, wskoczymy na trzecie.

Mój lot w trakcie wyścigu nad Rękawicą był najwolniejszy z całej mojej drużyny, ale to dlatego, że ciągle zmuszałam Tairna do luzowania magicznych opasek, a przez to straciliśmy wiele cennych sekund, bo musiał mnie łapać i umieszczać z powrotem na grzbiecie. Wielokrotnie. Przysięgam, siniaki na moim tyłku po twardym lądowaniu bołą mniej niż drwiący komentarz Tairna o tym, że upokorzyłam cały jego ród, kiedy dotarliśmy do mety jako ostatni.

Mikael wyje z bólu. Dźwięk jest tak rozdzierający i bolesny dla uszu, że ponownie przenoszę uwagę na walkę przede mną. Liam wciąż wywiera na niego morderczy nacisk.

– Ja pieprzę, ale to musi boleć – komentuję, przekrzykując kibicujących pierwszaków.

– Tak, chyba przez jakiś czas nie będzie mógł chodzić – zgadza się Ridoc i krzywi na widok wygiętych pleców Mikaela, które wyglądają, jakby zaraz miały pęknąć.

Z kolejnym krzykiem bóleści Mikael odklepuje trzykrotnie i tłum wrzeszczy jak opętany.

– Tak! Brawo, Liam! – wydziera się za mną Sawyer. Liam puszcza przeciwnika, który pada wycieńczony na matę.

– Wygraliśmy! – Liam rzuca się w naszą stronę. Utykam w plątaniu rąk, atakowana z każdej strony okrzykami radości.

Jestem pewna, że widziałam nawet Imogen w naszej małej rozwrzeszczanej grupce.

Nigdzie jednak nie widzę Daina. Gdzie on się podział? Na pewno nie ominąłby naszej wygranej.

– Wasz zwycięzca! – ogłasza profesor Emetterio, którego głos niesie się z mocą po sali treningowej, a Liam uwalnia się z naszego miażdżącego uścisku.

– Liam Mairi z Drugiej Drużyny Sekcji Ognia wchodzącej w skład Czwartego Skrzydła!

Liam triumfalnie unosi ręce i obraca się wokół własnej osi, a od pisków radości dzwoni mi w uszach, ale w ogóle się tym nie przejmuję.

Na matę wchodzi komendant Panchek, a Liam dołącza do naszej drużyny, spocony jak prosię.

– Wiem, że wszyscy spodziewaliście się ostatniego wyzwania w Bitwie Drużyn dopiero jutro, ale wraz z całą kadrą wykładowczą mamy dla was niespodziankę.

To przyciąga uwagę wszystkich.

– Zamiast powiedzieć wam, co będzie ostatnim nieznanym zadaniem, na które mielibyście całą noc, żeby się przygotować, dowiecie się tego teraz, bo wyzwanie zaczyna się w tym momencie!

– Teraz? – dziwi się szeptem Ridoc.

Zaczynam się niepokoić.

– Nigdzie nie widzę Daina. Ani Cianny.

– O cholera – szepcze Imogen, rozglądając się wokół.

– Jak z pewnością zauważyliście, brakuje waszych dowódców drużyn i ich zastępców. Powiedzmy, że zostali odprowadzeni przez dowódców sekcji i skrzydeł. I nie, zanim ktoś zapyta, waszym zadaniem nie jest znalezienie ich.

– Zaczyna krążyć wokół maty, zwracając się do każdej strony po kolei. – Tego wieczora, podzieleni na drużyny, będziecie musieli ukończyć wyjątkową misję bez instrukcji ze strony wykładowców i dowódców.

– A czy to nie jest sprzeczne z obowiązkami dowódców drużyn? – odzywa się ktoś stojący po drugiej stronie maty.

– Celem każdego dowódcy drużyny jest zadbanie o integrację całej grupy, która po ich zniknięciu będzie w stanie przeprowadzić misję. Uznajcie więc, że wasi dowódcy... zostali odwołani. – Panchek wzrusza ramionami z uśmiechem.

– Jesteście zdani tylko na siebie, jeźdźcy. Wasza misja jest prosta. Musicie znaleźć i zdobyć, wszelkimi możliwymi sposobami, tę jedną rzecz, która najbardziej pomogłaby naszym wrogom na polu bitwy. Dowództwo przyjmie rolę bezstronnych sędziów, a zwycięska drużyna zostanie nagrodzona sześćdziesięcioma punktami.

– To wystarczy, żeby wynieść nas na pierwsze miejsce! – szepcze podekscytowana Rhiannon i chwyta mnie pod ramię.

– Czy obowiązują nas jakieś zasady? – pyta ktoś po prawej.

– W murach tej szkoły możecie wszystko – odpowiada Panchek. – Aczkolwiek nie radzę wam ściągać tutaj smoków, bo spalą was tylko dlatego, że mieliście czelność zawracać im głowę.

Drużyna po naszej lewej stronie buczy rozczarowana.

– Macie. – Komendant wyciąga kieszonkowy zegarek. – Trzy godziny. Wtedy też oczekujemy, że zaprezentujecie ukradzione skarby w sali, gdzie odbywa się analiza wojenna.

Wszyscy patrzą na niego w milczeniu. Miałam wiele wyobrażeń na temat trzeciego i ostatniego zadania, ale... cóż, tego nawet nie brałam pod uwagę.

– Na co czekacie? – Panchek energicznie przegania nas ruchem rąk. – Czas, start!

I rozpętuje się chaos.

Tak właśnie się dzieje, kiedy brakuje naszych dowódców. Jesteśmy... zagubieni.

– Druga drużyna! – woła Imogen, unosząc ręce. – Za mną!

Sawyer i Heaton upewniają się, że wszyscy podążają gęsiego za Imogen, która prowadzi nas do sali z ciężarami.

– Świetnie sobie poradziłeś – chwałę Liamowi, który idzie obok mnie. Wciąż próbuje złapać oddech.

– Tak, to była świetna walka. – Ridoc wręcza Liamowi bukłak, który ten szybko opróżnia.

– Ruchy, ruchy – ponagla nas Imogen. Szybko przelicza obecnych i przy pomocy magii zamyka drzwi.

Znajduję sobie miejsce na jednej z ławek koło Rhiannon i Liama.

– Po pierwsze. Kto chce dowodzić? – pyta Imogen, rozglądając się po naszej dziesiątce.

Ridoc unosi rękę do góry.

Rhiannon odwraca się i siłą ją opuszcza.

– Nie. – Kręci głową. – Zmienisz to zadanie w jakiś głupi żart.

– W sumie racja. – Wzrusza ramionami.

– Liam? – pyta Quinn, unosząc brwi.

– Nie. – Chłopak kręci głową i zerka w moim kierunku, zdradzając się z powodem.

– Nikt nie będzie próbował mnie dzisiaj wykończyć – oponuję.

Odwraca się w stronę Imogen i ponownie potrząsa głową.

Ona oczywiście mu potakuje. Oboje stoją po stronie Xadena.

– Ty powinnaś dowodzić – sugeruje Rhiannon, patrząc na różowowłosą. – Zaszliśmy tak daleko dzięki tobie.

Przez pomieszczenie przetacza się pomruk zgody.

– Emery? Heaton? – pyta Imogen. – Jesteście z trzeciego roku, macie prawo.

– Nie, dzięki – odpowiada Heaton, opierając się o ścianę.

– Pasuje. Nie bez powodu żadne z nas nie chce dowodzić – wtrąca Emery, siadając obok Nadine. – Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie chciałabyś wykonywać rozkazów Imogen przez kilka godzin, Nadine?

Wszyscy odwracają się w stronę dziewczyny z pierwszego roku, która nie kryje swojej nienawiści do naznaczonych. Wiem już, że pochodzi z wioski położonej na północ od granicy Deaconshire i Tyrrendoru, więc rozumiem dlaczego. Po prostu się z tym nie zgadzam i dlatego za nią nie przepadam.

Dziewczyna głośno przełyka ślinę i przeskakuje po nas nerwowym spojrzeniem.

– Nie mam nic przeciwko.

– Doskonale. – Imogen zakłada ramiona na klatce piersiowej, widoczne na jej nadgarstku piętno rebelii wylania się spod rękawa tuniki. – Mamy niecałe trzy godziny. Jakie macie pomysły?

– Może jakaś broń? – sugeruje Ridoc. – Balista w rękach wroga byłaby śmiertelnym zagrożeniem dla wszystkich smoków.

– Jest za duża – oponuje stanowczo Quinn. – W muzeum jest tylko jedna i, szczerze mówiąc, to nie strzały są niebezpieczne, tylko mechanizm strzelający.

– Co jeszcze? – Imogen wodzi po nas wzrokiem.

– Moglibyśmy ukraść Panchekowi bieliz... – zaczyna Ridoc, ale Rhiannon zakrywa mu usta ręką.

– I właśnie dlatego nie pozwalamy ci dowodzić. – Patrzy na niego wymownie.

– Dalej, ludzie! Myślcie! Co najbardziej przydałoby się naszym wrogom? – Imogen ściera brwi nad jasnozielonymi oczami.

– Informacje – odpowiada Liam i przenosi na mnie wzrok. – Violet, co sądzisz o kradzieży listów z Archiwów? Tych, które przychodzą z frontu.

Potrząsam głową.

– Jest już po siódmej. Archiwa są zamknięte, a strzegą ich wrota, których nie ruszy nawet magia. Całe pomieszczenie jest szczelnie zamknięte na wypadek pożaru.

– To kicha. – Imogen wypuszcza zrezygnowane westchnięcie. – To byłby dobry pomysł.

Wszyscy wokół zaczynają przekrzykiwać się sugestiami.

Informacje. Przeszywa mnie zimny dreszcz, gdy pomysł zaczyna nabierać kształtów. To dopiero zrobiłoby wrażenie. Nikt nie mógłby się z tym równać. Ale... kręcę głową. To zbyt ryzykowne.

– O czym myślisz, Sorrengail? – pyta Imogen i w pomieszczeniu zapada cisza. – Widzę te trybiki obracające się w twojej głowie.

– To pewnie nie wypali. – Wodzę wzrokiem po członkach mojej drużyny. Ale czy na pewno?

– Chodź tu i przedstaw nam swój pomysł – rozkazuje Imogen.

– Serio, to szaleństwo. To wręcz awykonalne. Jeśli nas przyłapią, możemy trafić do aresztu. – Z opóźnieniem gryzę się w język.

Ale to na nic – w oczach Imogen skrzy się zainteresowanie.

– Chodź tutaj i przedstaw pomysł – rozkazuje ponownie, podkreślając każde słowo, żebym zrozumiała, że to nie jest sugestia.

– Wszyscy potraficie władać mocami, prawda? – Wstaję, muskając dłońmi rękojeści sześciu sztyletów, którymi mam obwieszony bok ciała.

– Ma się rozumieć – potakuje Heaton.

– W porządku. – Kołyszę się na piętach, a w mojej głowie powoli rozwija się plan. – Wiem, że Ridoc włada lodem, Rhiannon potrafi przyzywać przedmioty, Sawyer manipuluje metalem, Imogen może wymazać najświeższe wspomnienia...

– I jestem szybka – dodaje.

To ją łączy z Xadenem.

– Heaton, a ty? – pytam.

– Potrafię oddychać pod wodą – odpowiada.

Unoszę brwi ze zdziwienia.

– To super, ale tym razem ta umiejętność chyba nam się nie przyda. Emery?

– Kontroluję wiatr. – Szczerzy się od ucha do ucha. – I jestem w tym dobry.

W porządku, to mogłoby się przydać do obrony, ale nie tego szukam.

– Quinn? – Odwracam się do niej, moje buty piszczą na podłodze.

– Moja umiejętność to projekcja astralna. Ciało zostaje w jednym miejscu, ale jego projekcję mogę przenieść gdzie indziej.

Opada mi szczeka tak samo jak połowie drużyny.

– Wiem, to zarabista moc. – Puszczą do mnie oko, związując loki w kok.

– Tak. I to może nam się przydać. – Kiwam głową, zastanawiając się nad najprostszą metodą, by osiągnąć cel.

– O czym myślisz? – dopytuje Imogen i zakłada krótkie włosy za ucho po jednej stronie wygolonej głowy.

– Pewnie powiecie, że mi odbiło, ale jeśli nam się uda, bez wątpienia wygramy. – Raczej nie zyskam tym aprobaty mojej matki, ale wiem, gdzie przetrzymuje najcenniejsze informacje.

– No więc?

– Włamiemy się do gabinetu mojej matki.

\* \* \*

**J**esteś wręcz przerażająca. – Ridoc wzdryga się, kiedy dwie godziny później odsuwamy się od Quinn... cóż, a raczej jej astralnej postaci. Ciało natomiast zostało z Heaton w siłowni.

Teraz całą grupą zakradamy się korytarzami przez Kwadrant Medyków. Po drodze wpadliśmy na drużyny z Drugiego i Trzeciego Skrzydła, ale żadne z nas nie miało czasu, by przepytować innych, czy im przeszkadzać.

Jeśli przegramy, to na własne życzenie, bo zmarnowaliśmy dwie godziny, czekając na zapadnięcie zmroku, żeby przeprowadzić akcję.

– Nigdy wcześniej nie zaszedłem tak daleko – odzywa się Emery, kiedy mijamy drzwi izby chorych.

– Nigdy nie byłeś nawet w Archiwach? – dopytuje Imogen.

– Unikam wszelkich obowiązków jak zarazy – przyznaje Emery. – Skrybowie mnie przerażają. Małomówne mądrale, które zachowują się, jakby samym pisaniem mogły kogoś do czegoś zmusić lub go zniszczyć.

Uśmiech wypływa mi na twarz. Jest w tym więcej prawdy niż ludziom się wydaje.

– Piechota wciąż jest na terenie obozu. – Rhiannon wskazuje na okna, przez które widać dziesiątki ognisk rozświetlających pole.

– Pewnie miło jest mieć przerwę – stwierdza Nadine, ale w jej głosie nie wyczuwam pogardy, której się spodziewałam, tylko takie samo zmęczenie, jakie czujemy chyba wszyscy. – Skrybowie wracają do domu na lato, medycy spędzają weekendy na wyjazdach, podczas których uleczają swoje ciało i duszę,

a piechota w trakcie zimy co prawda musi ćwiczyć rozbijanie i składanie obozu, ale przynajmniej spędza te miesiące przy ogniskach.

– My też będziemy mogli wrócić do domów – zauważa Imogen.

– Po rozdaniu dyplomów – prycha Rhiannon. – I na ile? Kilka dni?

Docieramy do rozwidlenia, skąd możemy podążyć tunelem w stronę Archiwów lub wspiać się do twierdzy uczelni wojskowej.

– Teraz już nie ma odwrotu – informuję grupę, patrząc na spiralne schody. Każdy stopień znam jak własną kieszeń, bo wspinałam się tutaj wielokrotnie.

– Prowadź! – rozkazuje Quinn i wszyscy podskakujemy ze strachu.

– Ciiii! – syczy Imogen. – Wiesz, niektórzy z nas pójdą za to siedzieć.

– Racja. Przepraszam – odpowiada ze skruchą Quinn.

– Pamiętajcie o planie – odzywam się szeptem. – Nikt nie może nawalić. Nikt.

Wszyscy kiwają głowami i w milczeniu zaczynamy wspinaczkę po ciemnych schodach, a potem trzymamy się cieni, żeby przemierzyć kamienny dziedziniec Basgiathu.

Teraz przydałby się Xaden.

*Świetnie sobie radzisz*, zapewnia mnie Andarna radosnym głosem. Przysięgam, ona się niczym nie martwi. To najbardziej nieustraszony dzieciak, jakiego kiedykolwiek poznałam, a dorastałam z Mirą.

– Mamy do pokonania jeszcze sześć pięter – informuję, kiedy docieramy do kolejnych schodów i przemierzamy stopnie tak szybko i bezgłośnie, jak tylko się da. Ogarnia mnie niepokój, moja moc w odpowiedzi wzrasta, symbol na plecach rozgrzewa się i piecze boleśnie. Ostatnio ciągle tak mam. Czuję szumiącą pod skórą moc, która przypomina mi, że wykonywanie magicznych sztuczek nie zapewni jej ujścia, jeśli wkrótce nie rozwinę jakiejś umiejętności.

W końcu docieramy na samą górę, a Liam wychyla się zza rogu na tyle, by wyrzeć na korytarz, który zawsze wydawał mi się najdłuższym na świecie.

– W pochodniach płoną magiczne światła – szepcze. – I miałaś rację. – Chowa się za schodami. – Drzwi pilnuje tylko jeden strażnik.

– A widziałeś światło pod drzwiami? – pytam cicho. Moje serce wali głośno i mam wrażenie, że słyszy je cała szkoła, nawet kadeci piechoty śpiący kilkaset stóp pod nami.

– Nie. – Liam odwraca się w stronę Quinn. – Strażnik wygląda na około sześć stóp wysokości i sprawia wrażenie umięśnionego. Kolejne schody znajdują się na końcu korytarza po lewej, co oznacza, że będziesz musiała zwrócić jego uwagę i go czymś zająć.

Quinn kiwa głową.

– Żaden problem.



– Czy wszyscy wiedzą, co mają robić? – upewniam się.

Cała ósemka kiwa głowami.

– To do dzieła. Quinn, idziesz pierwsza. Pozostali, wycofujemy się, żeby nas nie zobaczył, jeśli spojrzy w tę stronę. – Nie mogę uwierzyć, że naprawdę zamierzamy to zrobić. Jeśli mama nas przyłapie, nie będzie miała dla nas litości. To nie leży w jej naturze.

Cofamy się, a Quinn rzuca się korytarzem. Kamienne ściany pochłaniają jej głos, a kiedy przebiega obok schodów, rozlegają się dudniące kroki strażnika.

– Wracaj tutaj! Tu nie wolno wchodzić!

– Teraz! – rozkazuje Imogen.

Przechodzimy do działania i puszczamy się korytarzem, zostawiając Rhiannon i Emery'ego na czatach. Sawyer biegnie w stronę przeciwległej klatki schodowej, zamyka drzwi i przy pomocy magii wykręca metalowe zasuwki.

Jeszcze nigdy nie biegłam tak szybko. Nadine już dotarła do drzwi i stara się rozpracować osłony, których użyła moja matka.

Liam zajmuje miejsce ochroniarza i zadziera głowę, przybierając tę samą pozycję.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiadam, dysząc ciężko. Imogen podchodzi, żeby pomóc Nadine, której moc to umiejętność zaburzania osłon, co z początku w ogóle nie wydawało mi się potrzebne. Jeźdźcy stacjonują na granicy, wznoszą osłony i utrzymują bariery wokół Navarry. Z drugiej strony mały który jeździec próbuje włamać się do gabinetu głównodowodzącej. – Poradzę sobie w środku – uspokajam ją z lekkim uśmiechem. – To zabawne, bo kiedy byłam tutaj ostatni raz, miałam zupełnie inne zdanie.

– Udało się! – szepcze Nadine i popycha drzwi.

– Jeśli usłyszysz gwizd... – zaczyna Liam. Jego czoło przecinają linie troski.

– Wyjdziemy oknem albo coś wymyślimy – zapewniam, kiedy Ridoc i Sawyer wchodzi do środka. – Wyluzuj.

Dołączam do pozostałych, zostawiając Liama na czatach.

– Nie dotykajcie magicznych świateł, bo to wyczuje – ostrzegam ich. – Musicie rozpalić własne. – Macham nadgarstkiem i kumuluję moją energię w jasnoniebieski płomień, pozwalając mu zawisnąć nade mną. To jedna z rzeczy, które przychodzą mi z łatwością.

– Ale odjazd, nie? – Ridoc rzuca się na czerwoną kanapę.

– Nie mamy czasu na to, żebyś... pajacował jak zawsze – upomina go Sawyer, podchodząc do biblioteczki. – Pomóż mi znaleźć coś bardziej przydatnego.

– My zajmiemy się stołem. – Imogen i Nadine zaczynają przeglądać papiery leżące na stole konferencyjnym dla sześciu osób.

– Czyli mnie pozostaje biurko – wnioskuję i podchodzę do ogromnego mebla, modląc się, bym nie naruszyła żadnych osłon, które mogła nałożyć. Na środku leżą trzy złożone listy. Podnoszę pierwszy z nich i odsłaniam ostry sztylet o rękojeści wykonanej ze stopu jakichś metali, ozdobionej tyrreńską runą. Matka pewnie używa go do otwierania korespondencji czy coś. Rozkładam pierwszy list tak ostrożnie, jak tylko się da.

*Generało Sorrengail,*

*najeźdźcy krążący wokół Athebynu zdziesiątkowali skrzydło. Posterunek poza barierami wiąże się ze znacznym ryzykiem i chociaż nie chcę prosić o wsparcie, to nie mam wyboru. Jeśli nie umocnimy posterunku, będziemy zmuszeni go opuścić. Chronimy navarriańskich obywateli własnym życiem, ręką i skrzydłem, lecz nie jestem w stanie wyrazić słowami powagi sytuacji, w której się znaleźliśmy. Wiem, że otrzymujesz codzienne raporty od naszego skryby, lecz ze względu na piastowaną funkcję zastępcy dowódcy Południowego Skrzydła niedbalstwem z mojej strony byłoby wstrzymywanie się z owym listem. Proszę o wysłanie posiłków.*

*Majora Kallista Neema*

Oddycham miarowo, żeby złagodzić ból w piersi na widok błagania w jej liście. Na analizie wojennej omawialiśmy codzienne ataki, ale miały one mniejszą skalę.

Może nie chcą nas straszyć.

Tyle że jeśli na granicy jest tak niebezpiecznie, to mamy prawo o tym wiedzieć, tym bardziej jeśli zostaniemy wezwani na służbę przed ukończeniem uczelni. Może nawet w tym roku.

– To tylko... liczby – mówi Imogen, przerzucając papiery na stole.

– Mamy kwiecień – odpowiadam, sięgając po kolejny list. – Matka oszacowuje budżet na następny rok.

Wszyscy przerywają swoje czynności i odwracają się w moją stronę z niedowierzaniem malującym się na twarzach.

– No co? – Wzruszam ramionami. – Myślicie, że ta uczelnia prowadzi się sama?

– Szukajcie dalej – rozkazuje Imogen.

Rozkładam kolejny list.

*W Tyrrendorze narastają protesty wobec prawa obowiązkowego poboru. Tyrrendor, ze względu na swoje rozmiary, zaopatruje nas licznie w poborowych, którzy zastępują poległych na linii frontu, toteż nie możemy pozwolić sobie na ponowną utratę wsparcia*

*tych ludzi. Być może zwiększenie budżetu na obronę tutejszych posterunków nie tylko poprawi warunki ekonomiczne prowincji, ale również przypomni Tyrreńczykom, że ich udział w obronie naszego Królestwa jest nieoceniony, a ponadto uspokoi protestujących. Proszę o rozważenie tego rozwiązania jako alternatywy dla siłowego stłamszenia protestów.*

*Z poważaniem  
Podpułkowniczka Alyssa Travonte*

Co to ma, u licha, znaczyć? Zwijam list i odkładam go na miejsce, a potem odwracam się w stronę wielkiej mapy wiszącej na ścianie nade mną.

Protesty nie są niczym nowym w Tyrrendorze, podobnie jak opór przeciwko obowiązkowemu poborowi, ale do tej pory nie słyszeliśmy na analizie o żadnych politycznych problemach. Wspomniane w liście rozwiązanie co prawda stłumiłoby zamieszki, ale zwiększenie wydatków na obronę nie miałoby sensu w tej okolicy, tym bardziej że znajduje się tam najmniej posterunków ze względu na naturalną barierę, jaką stanowią Klify Dralor, które dla gryfów są nie do pokonania. Tyrrendor powinien być obecnie najbezpieczniejszą prowincją na całym Kontynencie. Cóż, poza Aretią. W miejscu jego stolicy na mapie widnieje jedynie plama, jakby spalenie miasta odznaczało się również tam.

Przyglądam się mapie przez kilka cennych sekund i zauważam znaczniki bitew ciągnące się wzdłuż krajobrazu. Oczywiście najwięcej posterunków jest przy tych najbardziej obleganych fragmentach naszej granicy i zgodnie z tą mapą w tych miejscach stacjonuje również więcej wojsk.

Widać tutaj Navarrę, Krowlę na południu, Braevick i Cygnisen na południowym wschodzie, a nawet Pustkowia – zniszczone, opuszczone tereny położone na południowym krańcu Kontynentu. Zaznaczono tu również każdy z naszych posterunków i drogi zaopatrzenia w Navarze.

Moje usta rozciągają się w uśmiechu.

– Hej, już wiem, co ukradniemy.

Zdjęcie mapy i wycięcie jej z ramy zajmuje nam kilka minut, tak samo jak zwinięcie jej i związanie skórzanymi paskami, które Imogen wyciąga ze swojej torby.

Liam gwizdże i serce niemal wyskakuje mi z piersi.

– Cholera! – Ridoc pędzi do drzwi i uchyla je, a my przygotowujemy się do ucieczki. – Co się tam dzieje?

– Strażnik wali do drzwi! To może nas wydać w każdej chwili. Musimy uciekać, ale już – szepcze gorączkowo Liam i otwiera nam drzwi, żebyśmy

mogli wybiec na korytarz. Mapa jest zbyt duża, żeby uniosła ją jedna osoba. Sawyer i Imogen z trudem wyciągają ją z gabinetu, a na końcu korytarza słyszą walenie strażnika w drzwi.

Ogarniająca mnie panika zaraz wyprze logiczne myślenie.

– I jesteśmy w dupie – komentuje Nadine.

– Co wy wyprawiacie, do cholery? – woła strażnik, pędząc w naszą stronę.

– Jeśli przyłapie nas z mapą, jesteśmy już martwi. – Ridoc podskakuje na palcach, jakby przygotowywał się do walki. Na ogół byłabym skłonna powiedzieć, że jako jeźdźcy jesteśmy lepszymi wojownikami – bo musimy – ale ten strażnik może dać nam popalić.

– Nie możemy go zranić – protestuję.

Strażnik pokonuje pierwsze półpiętro, a Rhiannon staje na środku korytarza z wyciągniętymi rękami.

– Proszę, niech to zadziała, niech to zadziała, niech to zadziała – modli się Imogen.

Mapa znika z jej rąk i pojawia się w ramionach Rhiannon.

Nie mam czasu się z tego cieszyć, bo strażnik potyka się, ale biegnie dalej. Jeszcze trochę i zobaczy moją twarz.

– Tego nie było w planie. – Liam staje obok mnie.

– Dostosować się! Emery! – syczy Imogen. Chłopak wychodzi naprzód.

– Przepraszam, stary. – Robi zamach, jakby chciał coś popchnąć. Przez korytarz przetacza się wichur, który zrywa gobeliny i posyła strażnika na przeciwległą kamienną ścianę. – Uciekajcie!

Rzucamy się korytarzem w stronę nieprzytomnego mężczyzny.

– Daj go tutaj – rozkazuję. Otwieram sąsiednie drzwi, które należą do jednego z podsekretarzy mojej matki.

Liam i Ridoc zaciągają tam strażnika, a ja przykładam palce do jego szyi.

– Ma stabilny puls. Tylko stracił przytomność. Otwórzcie mu usta. – Z kieszeni skórzanego stroju wyciągam fiolkę, odkorkowuję ją i wlewam tonik w usta strażnika. – Prześpi całą noc.

Liam patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Jesteś przerażająca.

– Dziękuję. – Uśmiecham się szeroko i uciekamy ile sił w nogach.

Piętnaście minut później wpadamy zdyszani do sali od analizy wojennej tuż przed upływem czasu.

Zjawiamy się jako ostatni. Mięsień drgający na szczęce Daina, który siedzi w górnym rzędzie wraz z innymi dowódcami, świadczy o tym, że później będziemy mieć na ten temat kazanie.

Odwracam wzrok i odnajdujemy nasze miejsca, gdy zaczyna się prezentacja zgodnie z porządkiem skrzydeł, dzięki temu mamy mnóstwo czasu, by odpocząć po sprincie.

Drużyna z Pierwszego Skrzydła ukradła odręczne zapiski Kaoriego na temat przyzwyczajęń i wad wszystkich aktywnych smoków. Imponujące.

Drużyna z Drugiego Skrzydła zostaje nagrodzona pomrukami zadowolenia, kiedy pokazują mundur jednego z profesorów Kwadrantu Piechoty, mający plaketkę z nazwiskiem, której jeźdźcy nie noszą. To zapewniłoby wrogowi dostęp do naszych posterunków, patrząc po odznace na ramieniu.

Trzecie Skrzydło przyprowadziło oszołomionego skrybę, którego wyrwali prosto z łóżka, a sądząc po tym, że jego usta się nie ruszają... tak, czyjaś moc musiała odebrać mu mowę. Biedaczek będzie strauumatyzowany, kiedy w końcu go wypuszczą.

Gdy nadchodzi nasza kolej, by stanąć na podeście, Sawyer i Liam, najwyżsi z naszej drużyny, trzymają rozwiniętą mapę za rogi, żeby wszyscy ją zobaczyli.

Stoję z tyłu obok Imogen i przeczesuję grupę dowódców w poszukiwaniu pewnych onyksowych oczu. Tu jest.

Xaden opiera się o ścianę obok pozostałych i przygląda mi się z zaciekawieniem i wyczekiwaniem, od których mój puls przyspiesza.

– To był twój pomysł – szepcze Imogen i wypycha mnie naprzód. – Przedstaw go.

Markham otwiera oczy ze zdziwienia i podnosi się, a Devera, która komicznie rozdziawia usta, idzie w jego ślady.

Odchrząkuję i wskazuję na mapę.

– Przynieśliśmy najcenniejsze informacje dla naszych wrogów. Aktualną mapę wszystkich działających posterunków navarriańskich skrzydeł, włącznie z oddziałami piechoty. – Wskazuję na cztery forty wzdłuż granicy z Cygnisem.

– A także lokalizacjami wszystkich obecnych potyczek, do których doszło przez ostatni miesiąc. Oraz zeszłej nocy.

Przez kwadrant przetacza się zbiorowy pomruk.

– A skąd mamy wiedzieć, że ta mapa w istocie jest aktualna? – dopytuje Kaori, trzymając pod pachą zwrócony mu dziennik.

Nie da się powstrzymać uśmiechu, który rozciąga się na mojej twarzy.

– Ponieważ ukradliśmy ją z gabinetu generały Sorrengail.

I wtedy rozpętuje się piekło. Część jeźdźców rzuca się w stronę podestu, wykładowcy próbują przecisnąć się przez gąszcz ludzi, ale ja skupiam uwagę tylko na Xadenie, który unosi kącik tych pięknych ust i uchyla rondo niewidzialnego kapelusza, nieznacznie spuszczać głowę, a potem znowu

patrzy mi w oczy. Uśmiecham się do niego, czując rozpierającą mnie satysfakcję.

Czekające nas głosowanie nie ma żadnego znaczenia.

Ja już wygrałam.

*Nie ma silniejszej więzi niż ta pomiędzy dwoma związanymi ze sobą smokami.  
To coś więcej niż ludzkie dążenia do miłości i adoracji. To pierwotna,  
niezaprzeczalna potrzeba bliskości. Jeden smok nie może przeżyć bez drugiego.*

*Przewodnik po rasach smoków autorstwa pułkownika Kaoriego*



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

**D**obrze sobie radzę z lotami na krótkie dystanse. Przy manewrach – nurkowaniu i unikach, które wchodzą w skład bojowych formacji – ciągle spadam, chyba że Tairn przytrzymuje mnie niewidzialnymi opaskami.

Jednak sześciogodzinny lot w ramach naszej nagrody, tygodniowej wycieczki na posterunek, był nie do zniesienia.

– Mam wrażenie, że umieram. – Nadine pochyła się, opierając ręce na kolanach.

– Mam tak samo. – Każdy kręgosłup skrzypi, kiedy się przeciągam, a dłonie, które jeszcze chwilę temu zamarzały, teraz zaczynają się pocić w skórzanych rękawiczkach.

Oczywiście Dain sprawia wrażenie, jakby długi lot w ogóle nie dał mu się we znaki, jedynie jego plecy wydają się nieco sztywne, kiedy on i Devera witają wysokiego mężczyznę w skórzanej mundurze, który – jak się domyślam – jest dowódcą posterunku.

– Witajcie, kadeci – odzywa się dowódca z przyjaznym uśmiechem i krzyżuje ramiona na klatce piersiowej, na której opina się cienka skórzana kurtka. Szpakowate włosy utrudniają oszacowanie wieku mężczyzny, a jego twarz ma zmizerniały, zmęczony wyraz – jak u wszystkich jeźdźców, którzy zbyt długo stacjonują na granicy. – Z pewnością chcecie się rozpakować i przebrać w coś odpowiedniego do tutejszego klimatu. Potem oprowadzę was po Montserracie.

Rhiannon gwałtownie nabiera powietrza do płuc i wodzi wzrokiem po górach.

– Wszystko w porządku?

Potakuje.

– Później.

„Później” nadchodzi dokładnie po dwunastu minutach, kiedy spoceni docieramy do naszych dwuosobowych pokojów w barakach. Są przestronne, a jedyne meble, jakie się w nich znajdują to dwa łóżka, dwie szafy i jedno biurko ustawione pod szerokim oknem.

Rhiannon jest cicha, kiedy zmywamy z siebie znój podróży w łaźni i niepokojąco milcząca, gdy przebieramy się w letnie skórzane stroje. Kwiecień w Montserracie jest tak ciepły jak czerwiec w Basgiacie.

– Powiesz mi, o co chodzi? – pytam i wpycham swój plecak pod łóżko, a potem upewniam się, że wszystkie moje sztylety znajdują się na właściwym miejscu. Rękojeści w pochwach na udach są nieco widoczne, ale wątpię, by większość osób zamieszkujących te odległe wschodnie tereny rozpoznała tyrreńskie symbole.

Dłonie Rhiannon drżą ze zdenerwowania, kiedy zakłada miecz.

– Wiesz, gdzie się znajdujemy?

Przywołuję w myślach mapę Kontynentu.

– Jakies dwieście mil od wybrzeża...

– Moja wioska jest położona godzinę drogi stąd piechotą. – Patrzy mi w oczy z niewypowiedzianą prośbą, w brązowych tęczówkach kryje się tyle emocji, że dosłownie ściska mnie w gardle.

Łapię ją za ręce i kiwam głową. Dobrze wiem, o co prosi i jaką przyjdzie nam zapłacić cenę, jeśli zostaniemy przyłapani.

– Nikomu o tym nie mów – szepczę, mimo że w tym małym pokoju znajdujemy się tylko my dwie. – Mamy sześć dni, by coś wymyślić i na pewno nam się uda. – To obietnica i obie o tym wiemy.

Nagle rozlega się walenie do drzwi.

– Wychodzimy!

Dain. Jeszcze dziewięć miesięcy temu cieszyłabym się, że mogę z nim gdzieś wyjechać, teraz jednak unikam jego nieustannych roszczeń wobec mojej osoby – a raczej po prostu unikam go. To zabawne, ile może się zmienić w tak krótkim czasie.

Dołączamy do pozostałych i major Quade oprowadza nas po posterunku. Burczy mi w brzuchu, ale ignoruję głód, chłonąc chaotyczną atmosferę panującą w tym miejscu.

Na fortecę składają się cztery masywne mury, w których mieszczą się koszary i liczne komnaty, z wieżami w każdym rogu i wielkim łukowatym przejściem ze zwisającą broną, która wygląda, jakby w każdej chwili miała



opaść. Po jednej stronie dziedzińca znajduje się stajnia oraz zakład kowala i zbrojownia dla stacjonującej tutaj piechoty, a po drugiej – sala jadalna.

– Jak widzicie – zaczyna major Quade, kiedy stoimy pośrodku błotnistej dziedzińca – jesteśmy dobrze przygotowani na oblężenie. W razie ataku możemy udzielić wszystkim schronienia i ich wykarmić na wystarczającą ilość czasu.

*Wystarczającą?*, powtarza bezgłośnie Ridoc, unosząc brwi.

Zaciskam usta, żeby powstrzymać się od chichotu, a Dain rzuca mi spojrzenie obiecujące karę. Mój dobry humor wyparowuje.

– Jesteśmy jednym ze wschodnich posterunków i pozwalamy stacjonować tutaj dwunastu jeźdźcom. Trójka jest teraz na patrolu, druga trójka pełni wartę w gotowości, gdyby byli potrzebni, a szóstka zbiera siły – ciągnie Quade.

– Co to za mina? – pyta szeptem Dain.

– Jaka mina? – odpowiadam, kiedy w oddali rozlega się smoczy ryk odbijający się echem od murów.

– Właśnie wraca jeden z naszych patroli – oznajmia Quade i uśmiecha się, jakby miał dobre intencje, ale nie mógł znaleźć w sobie ani krztyny energii.

– Wyglądasz, jakby ktoś wyssał całą radość z twojego życia – odpowiada Dain i nieznacznie pochyla głowę. Mówi szeptem, żebym tylko ja słyszała.

Mogłabym go okłamać, ale przez to nasz częściowy rozejm stałby się jeszcze bardziej niezręczny.

– Właśnie przypominałam sobie chłopaka, z którym wspinałam się po drzewach, to wszystko.

Drga, jakbym go uderzyła.

– A zatem najpierw was nakarmimy i pozwolimy się wyspać, a potem ustalimy, komu będziecie towarzyszyć podczas swojego pobytu – kontynuuje Quade.

– Czy możemy uczestniczyć we wszystkich aktywnych działaniach? – pyta Heaton, dosłownie trzęsąc się z podekscytowania.

– Wykluczone! – warczy Devera.

– Jeśli będziecie świadkiem walki, to znak, że nie zapewniłem wam dostatecznego bezpieczeństwa na granicy – odpowiada Quade. – Ale twój entuzjazm jest godny pochwały. Niech zgadnę. Trzeci rok?

Heaton kiwa głową.

Quade odwraca się nieznacznie i uśmiecha w stronę trzech niewyraźnych postaci w jeździeckiej czerni, które właśnie przechodzą pod broną.

– Już dotarli. Chodźcie i poznajcie...

– Violet?

Odwracam się i zaciskam rękę na sercu, które dosłownie chce mi wyskoczyć z piersi. Niemożliwe. To po prostu niewiarygodne. Ruszam chwiejnym krokiem w stronę bramy, porzucając chłodną emocjonalną niedostępność, a kobieta puszcza się biegiem i rozkłada ramiona tuż przed tym, jak wpadamy sobie w objęcia.

Podnosi mnie i przyciska mocno do klatki piersiowej. Pachnie brudem, smokiem, miedzianą nutą krwi, ale w ogóle się tym nie przejmuję. Odwzajemniam jej uścisk z takim samym zapachem.

– Mira. – Ukrywam twarz w jej ramieniu. Łzy pieką mnie pod powiekami, kiedy kładzie rękę na warkoczu, który kiedyś sama nauczyła mnie zaplatać. Czuję się tak, jakby dopadł mnie ciężar wszystkiego, co wydarzyło się przez ostatnie dziewięć miesięcy.

Wiatr na moście.

Spojrzenie Xadena, gdy zrozumiał, że mam na nazwisko Sorrengail.

Jack obiecujący, że mnie zabije.

Zapach palonego ciała na dziedzińcu.

Mina Aurelie, kiedy spadała z Rękawicy.

Pryor, Luca, Trina i... Tynan. Oren i Amber Mavis.

Tairn i Andarna, którzy mnie wybrali.

Xaden, który mnie pocałował.

Nasza matka, która mnie ignorowała.

Mira odsuwa się na długość ramion i obrzuca moje ciało spojrzeniem, jakby próbowała doszukać się obrażeń.

– Nic ci nie jest. – Kiwa głową i przygryza dolną wargę. – Prawda?

Potakuję, ale wzrok mi się rozmazuje. Może i żyję, może nawet sobie radzę, ale nie jestem już tą samą osobą, którą zostawiła przy wieży i sądząc po jej zatroskanym spojrzeniu, ona również jest tego świadoma.

– Tak – odpowiada sama sobie i znowu mnie przytula. – Nic ci nie jest, Violet. Nic ci nie jest.

Może jeśli powie to wystarczającą liczbę razy, w końcu zacznę jej wierzyć.

– A ty? – Odsuwam się, żeby na nią spojrzeć. Ma nową bliznę, która ciągnie się od ucha aż po obojczyk. – Bogowie.

– To drobiazg – zapewnia i uśmiecha się szeroko. – Ale spójrz tylko na siebie! Nie umarłaś!

Do gardła podchodzi mi irracjonalny chichot.

– Nie umarłam! A ty nie jesteś jedynaczką!

Wybuchamy śmiechem, a po moich policzkach spływają łzy.

– Sorrengailowie są dziwni – słyszę z tyłu Imogen.

– Nawet nie masz pojęcia – odpowiada Dain, a na jego twarzy po raz pierwszy od miesiąca zauważam szczery uśmiech.

– Zamknij się, Aetos – rzuca Mira i otacza mnie ramieniem. – Musisz mi wszystko opowiedzieć, Violet.

Może i znajdujemy się setki mil od Basgiathu, ale to tu czuję się teraz jak w domu.

\* \* \*

**D**wa dni później po kolacji wykradam się z Rhiannon przez okno na parterze i lądujemy na ziemi. Mira ma dzisiaj patrol i chociaż dobrze mieć ją blisko, to nasza jedyna szansa.

*Jesteśmy w drodze.*

*Nie daj się złapać,* odpowiada Tairn.

*Staram się.*

Rhiannon i ja zakradamy się wzdłuż muru i skręcamy w stronę lądu...

Wpadam na Mirę z takim impetem, że aż odskakuję w tył.

– Cholera! – krzyczy Rhiannon, przytrzymując mnie.

– Nie wiecie, że trzeba zawsze sprawdzać, co kryje się za zakrętem? – poucza nas Mira. Krzyżuje ramiona na klatce piersiowej i patrzy na mnie w sposób, na który najpewniej zasługuję. Dobra, bez wątpienia sobie zasłużyłam.

– Na swoją obronę muszę zaznaczyć, że się tu ciebie nie spodziewałam – zaczynam powoli. – Powinnaś być na patrolu.

– Przy kolacji zachowywałaś się podejrzanie. – Przekrzywia głowę na boki i przygląda mi się, jakbyśmy znów były dziećmi. Jest zdecydowanie zbyt spostrzegawcza. – Dlatego zamieniłam się z kimś dzisiejszym patrolem. Chcesz mi powiedzieć, co robicie za murami?

Zerkam na Rhiannon, a ona odwraca wzrok.

– Poważnie? Żadna się nie wytłumaczy? – Wzdycha i zaciska palce u nasady nosa. – Wykradacie się z tej pilnie strzeżonej fortecy, aby...?

Znowu spoglądam na przyjaciółkę.

– I tak się dowie. Jest jak ogar, który zwęszył trop. Wierz mi – tłumaczę z duszą na ramieniu.

Rhiannon zadziera podbródek.

– Zamierzałyśmy polecieć do domu mojej rodziny.

Mira blednie.

– Że co?

– Chcemy polecieć do jej wioski. Według Tairna to pięciominutowy lot i... – zaczynam.

– Wykluczone. – Mira kręci głową. – Mowy nie ma. Nie możecie latać, gdzie dusza zapragnie, jakbyście byli na wakacjach. A co, jeśli coś wam się stanie?

– W domu jej rodziców? – pytam powoli. – Bo gdzieś po drodze czeka na nas wielka zasadzka?

Mira mruży oczy.

Niech to szlag. To nie wygląda dobrze, a sądząc po żelaznym uścisku Rhiannon na moim ramieniu, ona też tak uważa.

– U jej rodziców będziemy bezpieczniejsze niż w Basgiacie – upieram się.

Mira zaciska usta.

– Masz rację.

– Chodź z nami – proponuję. Mówię poważnie. – Ona chce tylko spotkać się ze swoją siostrą.

Mira smętnie zwiesza ramiona. Łamię się, więc szykuję cios ostateczny.

– Reagan była w ciąży, kiedy Rhiannon wyjechała. Wyobrażasz sobie, że miałoby cię przy mnie nie być, gdybym miała dziecko? Czy nie zrobiłabyś wszystkiego, włącznie z ucieczką z pilnie strzeżonej twierdzy, żeby tylko wziąć w ramiona swojego siostrzeńca lub siostrzenicę? – Marszczę nos, przygotowując się na jej odpowiedź. – Poza tym, co może pójść nie tak, skoro mamy przy sobie bohaterkę ze Strythmore?

– Nawet nie zaczynaj. – Patrzy na mnie, potem na Rhiannon, a potem znowu na mnie i wzdycha ciężko. – Dobra, niech wam będzie. – Kiedy obie się uśmiechamy, unosi ostrzegawczo palec. – Ale jeśli choćby pomyślicie o tym, by komuś powiedzieć, dopilnuję, żebyście żałowały tego do końca życia.

– Ona mówi poważnie – rzucam półgębkiem.

– Wierzę – odpowiada Rhiannon.

– Jesteś tu od dwóch dni, a już łamiesz zasady – zauważa Mira. – Chodźcie, tędy będzie szybciej.

Godzinę później siedzimy z Mirą wyciągnięte na obitych materiałem ławkach stojących przy stole jadalnym w domu Reagan i obserwujemy, jak Rhiannon kołysze swojego siostrzeńca przy kominku, pogrążona w rozmowie z siostrą, a jej szwagier i rodzice siedzą obok na kanapie.

Warto było zaryzykować, żeby popatrzeć na ich spotkanie.

– Dziękuję za pomoc. – Patrzę na Mirę, która siedzi po drugiej stronie stołu.

– Zrobiłabyś to ze mną lub beze mnie. – Uśmiecha się delikatnie, przyglądając się rodzinie i zaciska dłoń na cynowym kubku z winem, którym poczęstowała nas matka Rhiannon. – Wiedziałam, że ze mną przynajmniej będziesz bezpieczniejsza. Jakie jeszcze zasady złamałaś, siostrzyczko? – Bierze łyk wina i mierzy mnie badawczym spojrzeniem.

Uśmiech ciśnie mi się na usta i wzruszam ramieniem.

– Może jedną czy dwie. Jestem mistrzynią otruwania swoich przeciwników przed wyzwaniem.

Mira nieomal wypłuka wino, ale szybko zakrywa usta dłonią.

Śmieję się pod nosem, krzyżując nogi w kostkach.

– Tego się nie spodziewałaś, co?

W jej oczach błyszczy szacunek.

– Szczerze mówiąc, sama nie wiem, czego się spodziewałam. Po prostu modliłam się, żebyś przeżyła. A potem związałaś się nie tylko z najpotężniejszym smokiem, ale również z piórogonem. – Potrząsa głową. – Moja siostra jest twardzielką.

– Mama raczej by się z tym nie zgodziła. – Przesuwam kciukiem po uchwycie kubka. – Jeszcze nie objawiła mi się żadna moc. Potrafię się uziemić, wznieść całkiem silną osłonę, ale... – Nie mogę powiedzieć jej o darze Andarny, a przynajmniej na razie. – Jeśli wkrótce moc się nie uwolni...

Obie wiemy, co się wtedy stanie.

Przygląda mi się w milczeniu, a potem oznajmia:

– Coś ci powiem. Jeśli chcesz, aby objawiła się u ciebie moc więzi, to przestań blokować ją myśleniem, że ma to cokolwiek wspólnego z mamą. Twoja moc należy tylko do ciebie i do nikogo innego, Vi.

Pod jej baczny spojrzeniem robi mi się nieswojo, więc przenoszę wzrok na jej szyję i zmieniam temat.

– Jak do tego doszło?

– Gryf – odpowiada i kiwa głową. – Jakieś siedem miesięcy temu koło wioski Cranston. Bestia pojawiła się znikąd w trakcie najazdu. Bariery opadły i chociaż zazwyczaj moja moc częściowo chroni mnie przed magią wrogów, to nie działa na ich pieprzone ptaszyska. Popszywanie mnie zajęło medykom kilka godzin. Jednak dzięki temu mam niezłą bliznę. – Pochyla głowę, żeby ją pokazać.

– Cranston? – Próbuję przypomnieć sobie analizę wojenną. – Nie mieliśmy o tym na zajęciach. To... – Różdżek podpowiada mi, że lepiej zamknąć gębę.

– Co? – Bierze kolejny łyk wina.

– Myślę, że na granicach dzieje się więcej, niż nam mówią – przyznaję cicho.

Mira unosi brwi.

– Ależ oczywiście. Chyba nie spodziewasz się, że na analizie wojennej podzielę się zastrzeżonymi informacjami? Powinnaś się tego domyślić. I szczerze mówiąc, biorąc pod uwagę tempo, z jakim są atakowane nasze granice, analiza wojenna musiałaby trwać cały dzień, żeby omówić każdy atak.

– To ma sens. Otrzymujecie wszystkie informacje?

– Tylko te, które są nam potrzebne. Na przykład w trakcie tego ataku mogłabym przysiąc, że po drugiej stronie granicy widziałam stado smoków. – Wzrusza ramionami. – Ale nie płacą mi za pytania dotyczące sekretnych operacji. Pomyśl o tym w ten sposób: czy gdybyś była medyczką, musiałabyś znać szczegóły odnoszące się do pacjentów innych medyków?

Kręcę głową.

– Nie.

– No właśnie. A teraz mów, co, u licha, dzieje się między tobą a Dainem? Widziałam mniej napięcia na kuszy i to wcale nie jest napięcie seksualne. – Posyła mi spojrzenie, które nie daje mi prawa do wymówek.

– Żeby przetrwać, musiałam się zmienić. A on mi na to nie pozwalał. – To najprostsze podsumowanie ostatnich dziewięciu miesięcy. – Doprowadziłam do śmierci jego przyjaciółki Amber. Była dowódczynią skrzydła. A poza tym moja relacja z Xadenem oddaliła nas od siebie jeszcze bardziej i już nawet nie wiem, jak naprawić tę przyjaźń. Albo to, co z niej zostało.

– Egzekucja dowódczyni dotarła nawet do nas. Nie doprowadziłaś do jej śmierci. Sama się o to prosiła, bo złamała zasady Kodeksu. – Mira przygląda mi się przez kilka chwil. – Czy to prawda, że tamtej nocy Riorson cię uratował?

Przytakuję.

– Xaden to skomplikowany temat. – Tak skomplikowany, że sama nie potrafię zidentyfikować własnych uczuć. Już sama myśl o nim sprawia, że mam mętlik w głowie. Pragnę go, ale nie mogę mu zaufać, nie tak naprawdę. A mimo to pod innymi względami jest osobą, której ufam najbardziej.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. – Zaciska dłoń na kubku. – Bo dobrze pamiętam, że ostrzegałam cię przed synem zdrajcy.

Nie podoba mi się opis Xadena według Miry.

– Tairn ewidentnie nie wziął sobie tego ostrzeżenia do serca.

Parska śmiechem.

– Ale poważnie, gdyby Xaden nie zjawił się tamtej nocy albo gdybym nie spała w zbroi... – Milknę i pochylam się, żeby złapać ją za rękę. – Nawet nie wiesz, ile razy uratowałaś mi życie, chociaż nie było cię na miejscu.

Mira uśmiecha się szczerze.

– Cieszę się, że kamizelka się sprawdziła. Przysięgam, poświęciłam cały sezon liniienia, żeby zebrać łuski.

– A myślałaś o tym, by powiedzieć mamie? Żeby wykonać podobne dla innych jeźdźców?

– Podzieliłam się tym pomysłem z moim dowództwem. – Odchyła się i bierze kolejny łyk. – Powiedzieli, że to sprawdzają.

Obserwujemy, jak Rhiannon całuje idealnie pulchne policzki swojego siostrzeńca.

– Nigdy nie widziałam tak szczęśliwej rodziny – przyznaję. – Nawet kiedy tata i Brennan żyli, nie byliśmy... tacy.

– Nie, nie byliśmy. – Uśmiecha się ze smutkiem i patrzy na mnie. – Ale pamiętam mnóstwo wieczorów, gdy siedzieliśmy z tatą przy ognisku z tą twoją ulubioną książką.

– Ach, tak, książka, którą kazałaś mi zostawić w mojej starej sypialni. – Unoszę wymownie jedną brew.

– Mówisz o książce, którą zwędziłam, zanim mama postanowiła sprzątnąć twoje graty, gdy byłaś w kwadrancie? – Patrzy na mnie z przebiegłym błyskiem w oku. – Mam ją tutaj. Doszłam do wniosku, że będziesz wściekła, jeśli ukończysz uczelnię i odkryjesz, że zniknęła. Co ty byś zrobiła, gdybyś zapomniała choćby jeden mały szczegół z historii o tym, jak mężczyźni jeźdźcy pokonują armię wiwern i veninów, którzy wysysają z ziemi całą magię?

Mrugam oszołomiona.

– Kurde. Nie pamiętam. Ale wygląda na to, że wkrótce będę miała szansę znowu ją przeczytać! – Radość rozpiera moją klatkę piersiową. – Jesteś najlepsza.

– Dam ci ją na posterunku. – Odchyła się i patrzy na mnie zamyślona. – Wiem, że to tylko historia, ale nigdy nie rozumiałam, dlaczego złoczyńcy dobrowolnie skazują swoje dusze na potępienie i stają się veninami, a teraz... – Ściąga brwi.

– Teraz sympatyzujesz ze złoczyńcami? – naigrawam się.

– Nie. – Potrząsa głową. – Ale posiadamy moc, za którą niektórzy byliby gotowi zabić, Violet. Smoki i gryfy są strażnikami i jestem pewna, że ktoś wystarczająco zazdrosny oraz ambitny byłby gotowy zaryzykować swoją duszę, by móc władać mocami. – Wzrusza ramionami. – Po prostu cieszę się, że nasze smoki są takie bystre, a bariery trzymają jeźdźców gryfów z daleka. Kto wie, jakich ludzi wybierają sobie te futrzaste kreatury?

Zostajemy tu jeszcze przez godzinę, a potem musimy się zbierać, bo jeśli zostałybyśmy choćby minutę dłużej, ryzyko nakrycia byłoby większe. Dajemy Rhiannon trochę czasu na osobności, żeby pożegnała się ze swoją rodziną, wychodząc na zewnątrz. Noc jest parna, a Tairn od dwóch godzin wydaje się nietypowo milczący.

– Miałaś okazję stacjonować na posterunku z jeźdźcami sparowanych smoków? – pytam siostrę, kiedy zamykam za nami drzwi.

– Z jedną parą – odpowiada i mruży oczy, patrząc na ciemną ścieżkę przed domem. – A dlaczego?

- Zastanawiam się, jak długa może być ich rozłąka.
- Okazuje się, że wytrzymują maksymalnie trzy dni. – Xaden wyłania się z cieni.



*Za nieocenione, ponadprzeciętne zaangażowanie w wypełnianie obowiązków w bitwie pod Strythmore, podczas której jej odwaga pozwoliła nie tylko zniszczyć baterię artylerii za linią wroga, ale również uratować życie całej drużyny piechoty, Mirze Sorrengail należy się odznaczenie Navarriańskiej Gwiazdy. Lecz jeśli kryteria nie zostaną spełnione, choć zapewniam, że w moich oczach są, przyznanie niższej Odznaki Szpona będzie wystarczające, choć niezadowalające.*

List polecający przyznanie nagrody od majora Potsdama do generały Sorrengail



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

**A**więc mamy czekać, aż coś się wydarzy? – upewnia się Ridoc następnego popołudnia. Buja się na krześle i kładzie buty na końcu drewnianego stołu, który ciągnie się przez całą długość sali odpraw.

– Tak – odpowiada Mira siedząca u szczytu stołu. Macha ręką i przy pomocy magii przewraca krzesło Ridoca. – I zabieraj nogi ze stołu.

Jeden z montserrackich jeźdźców wybucha śmiechem i zmienia znaczniki na wielkiej mapie, która zajmuje jedyną ścianę w tym okrągłym pomieszczeniu z licznymi oknami. To najwyższa wieża na posterunku, z której rozciąga się zapierający dech w piersiach widok na góry Esben wznoszące się wokół nas.

Dzisiaj zostaliśmy podzieleni na dwie grupy. Rhiannon, Sawyer, Cianna, Nadine i Heaton spędzili w tym pomieszczeniu poranek w towarzystwie Devery i analizowali poprzednie walki, które miały miejsce w okolicy tego posterunku, a teraz polecili na patrol.

Natomiast Dain, Imogen, Ridoc, Liam, Emery, Quinn i ja spędziliśmy poranek na dwugodzinnym locie po okolicy wraz z towarzyszącym nam Xadenem. Odkąd zjawił się wczoraj wieczorem, nie mogę się skupić.

Dain nie może powstrzymać się od morderczych spojrzeń i kąśliwych uwag. Mira cały czas ma na Xadena oko i od wczoraj jest podejrzenie cicha.

A ja? Nie mogę oderwać od niego wzroku. Kiedy wchodzi do pomieszczenia, sprowadza ze sobą wręcz namacalną energię, która ociera się o moją skórę jak najczulsza pieśczoła za każdym razem, gdy nasze oczy się spotykają. Nawet teraz, gdy siedzi obok mnie pośrodku stołu, jestem świadoma każdego jego oddechu.

– Myślcie o tym jak o zajęciach z analizy wojennej – kontynuuje Mira, łypiąc na Ridoca, który ponownie zajmuje krzesło. – Tego ranka na patrol poleciała tylko jedna czwarta naszych sił, więc o tej porze już byśmy wrócili, żeby zdać raport naszemu dowódcy. Ale dla zabicia czasu, skoro tu jesteśmy i czekamy na powrót drugiej grupy, udajmy, że właśnie odkryliśmy nowy umocniony posterunek wroga na naszym terytorium. – Odwraca się w stronę mapy i wbija małą czerwoną flagę w wierzchołek położony około dwóch mil od cygniskiej granicy.

– Mamy udawać, że wyrósł tam w ciągu nocy? – pyta Emery z wyraźnym sceptycyzmem.

– Tylko na potrzebę tej dyskusji. – Mira patrzy na niego groźnie, a on siada nieco prościej.

– Podoba mi się ta zabawa – komentuje jeden z montserrackich jeźdźców, zaplatając palce za głowę.

– Jaki byłby nasz cel? – Mira rozgląda się po stole, umyślnie omijając Xadena. Wczoraj wieczorem zerknęła jedynie na piętno rebelii na jego szyi i odeszła bez słowa. – Aetos?

Dain, który świdruje wzrokiem Xadena, drga zaskoczony i odwraca się w stronę mapy.

– Jakie mają tam umocnienia? Mówimy o pospiesznie wzniesionej drewnianej konstrukcji czy czymś solidniejszym?

– Na pewno zdążyliby wznieść fortecę w ciągu nocy – kpi Ridoc. – Musi być więc drewniana, prawda?

– Czy wy musicie brać wszystko tak cholernie dosłownie? – Mira wzdycha i pociera kciukiem czoło. – Dobra, uznajmy, że zajęli strażnicę, która już istniała. Z kamienia i tak dalej.

– I żadni cywile nie wezwali pomocy? – pyta Quinn, drapiąc się po szpiczastym podbródku. – W przypadku obiektów ukrytych głęboko w górach obowiązujące przepisy nakazują wysłanie sygnału. Powinni zapalić latarnie ostrzegawcze i poinformować patrolujących jeźdźców, a wtedy smoki na patrolu powiadomiłyby te znajdujące się w pobliżu. Jeźdźcy przebywający w tym pomieszczeniu natychmiast dosiedliby swoje smoki, a pozostałych wybudzono by ze snu i wróg nie miałby nawet szans zająć fortecy.

Mira wzdycha i opiera ręce na końcu stołu, wbijając wzrok w blat.

– Wszystko, czego uczą was w Basgiacie, to tylko teoria. Analizujecie przeszłe ataki i uczycie się tych... bardzo teoretycznych manewrów. Ale na granicy nie wszystko idzie zgodnie z planem. Może więc porozmawiamy o tym, co może pójść nie tak, żebyście wiedzieli, co zrobić w takiej sytuacji, zamiast spierać się o to, że strażnica nie powinna była upaść?

Quinn wierci się na krześle zawstydzona.

– Ilu z was na trzecim roku zostało wezwanych do walki? – Mira staje prosto i krzyżuje ramiona na klatce piersiowej, przez którą przebiega pasek od jej miecza przewieszzonego przez plecy.

Ręce unoszą Emery i Xaden, chociaż Xaden robi to od niechcenia.

Dain wygląda tak, jakby głowa zaraz miała mu eksplodować.

– To niemożliwe. Nigdy nie wzywają nas do walki przed ukończeniem uczelni. Xaden zaciska usta w cienką linię i kiwa głową, pokazując uniesione kciuki w drwiącym geście.

– Taaa, jasne. – Emery parska śmiechem. – To poczekaj do następnego roku. Nawet nie zliczę, ile razy siedzieliśmy w podobnych pomieszczeniach w fortach w głębi Kontynentu, ponieważ ich jeźdźcy zostali nagle wezwani na front.

Krew odpływa z twarzy Daina.

– Skoro już to ustaliliśmy... – Mira wkłada rękę pod stół i wyciąga zestaw drewnianych figurek, a pośrodku stołu umieszcza sześciocalowy kamień. – Łapcie. – RzUCA każdemu z nas po jednym z kolorowanych modeli smoków, zostawiając dla siebie ostatni. – Udawajcie, że Messina i Exal nie istnieją, a my jesteśmy jedyną dostępną drużyną, która może odbić tę strażnicę. Pomyślcie o mocach obecnych tu jeźdźców. Zastanówcie się, co każdy z nas może wnieść i jak możecie wykorzystać te umiejętności, aby wspólnie pokonać wroga.

– Ale przecież nie uczą nas tego na pierwszym roku – odzywa się siedzący po mojej drugiej stronie Liam.

Mira zerka na zawiły symbol na jego nadgarstku, ale muszę przyznać Liamowi, że nie próbuje nawet zakryć go rękawem. Czasami trudno jest pamiętać, że jeźdźcy z trzeciego roku będą pierwszymi, którym przyjdzie służyć u boku dzieci przywódców tyrreńskiej rebelii. Buntu, przez który nasze granice mogły stać się zupełnie bezbronne, a śmierć poniosłoby o wiele więcej niewinnych mieszkańców Navarry. Wszyscy obecni w tym pomieszczeniu przywykli już do Liama, Imogen... nawet Xadena. Ale ci będący obecnie na służbie nigdy nie latali w towarzystwie osób naznaczonych piętnem.

Tyrreńscy jeźdźcy, którzy w trakcie buntu pozostali wierni Navarze, dostali awans, a nie karę, a jeźdźcy, którzy zwrócili się przeciwko królowi i naszej krainie, zostali zabici w walce lub skazani na egzekucję. Podobnie jak mój

gniew pierwszego dnia przy moście został skierowany na Xadena, inni jeźdźcy również przeleją swoją złość na naznaczonych.

Odchrząkuję.

Mira napotyka moje spojrzenie, a ja unoszę brew w wyraźnym ostrzeżeniu.

*Nie obrażaj moich przyjaciół.*

Siostra lekko otwiera oczy ze zdziwienia i przenosi uwagę z powrotem na Liama.

– Na pierwszym roku nie uczą was strategii wojennej, bo jesteście zbyt zajęci próbą utrzymania się na smoczym grzbiecie. Po raz pierwszy liznęliście strategii w trakcie Bitwy Drużyn, a mamy już maj, co oznacza, że końcowe Igrzyska Wojenne wkrótce powinny się zacząć, prawda?

– Za dwa tygodnie – podsuwa Dain.

– Dobre wyczucie czasu. Jeśli się nie przygotujecie, część z was może ich nie przetrwać. – Na chwilę zatrzymuje na mnie spojrzenie. – Ćwiczenia z myślenia strategicznego dadzą waszej drużynie, a także całemu skrzydłu, przewagę, bo gwarantuję wam, że dowódca waszego skrzydła już ocenia każdego z was pod kątem umiejętności.

Xaden bawi się figurką smoka, przetaczając nim po knykciach, ale nie odpowiada. Odkąd się zjawił, nie odezwał się do Miry ani słowem.

– A więc do dzieła. – Mira robi krok w tył. – Kto będzie dowodził? – Zerka na Quinn. – I udawajmy, że nie mam trzech lat doświadczenia więcej nawet nad osobą o najwyższej randze spośród was.

– W takim razie ja dowodzę. – Dain siada prosto i zadziera podbródek.

– Przecież jest tu dowódca naszego skrzydła – wytyka Liam, wskazując na Xadena. – Według mnie to on powinien dowodzić.

– Na potrzeby zadania możemy udawać, że mnie tu nie ma. – Xaden odkłada smoka na stół i rozpiera się na krześle, kładąc rękę na oparciu mojego. Ten widok wyraźnie drażni Daina. – Przyznajcie Aetosowi pozycję, której tak bardzo pragnie.

– Nie bądź wredny – szepczę w jego stronę.

*Jeszcze mnie nie widziałaś, kiedy jestem wredny.*

Gwałtownie przenoszę na niego wzrok i otwieram usta ze zdziwienia, patrząc na jego profil. To był jego głos... w mojej głowie.

Xaden odwraca się, a złote plamki w jego oczach migają w słońcu. Mogłabym przysiąc, że słyszę w umyśle jego śmiech, mimo że ma zamknięte usta, które układają się w ten pociągający uśmiezek.

*Przestań się na mnie gapić, bo za trzydzieści sekund zrobi się niezręcznie.*

– Jak? – syczę.

*Tak samo, jak ty rozmawiasz ze Sgaeyl. Wszyscy jesteśmy ze sobą cudownie, denerwująco związani. To jedna z zalet tej więzi. Chociaż żałuję, że zrobiłem to tak późno. Twoja mina jest bezcenna.* Puszczą do mnie oko i odwraca się twarzą do stołu.

Miał czelność puścić do mnie oko! I czy ja dobrze widzę, że uśmiecha się szelmowsko?

– To ty jesteś dowódcą skrzydła – przyznaje Dain przez zaciśnięte zęby.

– Mnie i tak nie powinno tu być. – Xaden wzrusza ramionami. – Ale jeśli cię to pocieszy, w trakcie Igrzysk Wojennych będziesz dostawał rozkazy od Garricka Tawisa, dowódcy sekcji, który z kolei będzie je otrzymywał ode mnie. Będziesz pilnował wykonywania manewrów drużyny dla dobra całego skrzydła. A teraz po prostu udawaj, że jestem kolejnym członkiem twojej drużyny i wykorzystaj mnie, jak chcesz, Aetos. – Xaden krzyżuje ramiona na klatce piersiowej.

Zerkam na Mirę, która przygląda się tej scenie z uniesionymi brwiami.

– Co ty tutaj w ogóle robisz? – pyta wyzywająco Dain. – Bez obrazy, ale raczej nie spodziewaliśmy się towarzystwa starszego dowódcy podczas tej wycieczki.

– Jesteś przecież świadomy tego, że Sgaeyl i Tairn tworzą parę.

– Ale trzy dni? – wypala Dain i się pochyla. – Nie mogłeś wytrzymać trzech dni?

– To nie ma z nim nic wspólnego – wtrącam i stawiam swojego smoka na stole nieco mocniej niż to konieczne. – To zależy od Tairna i Sgaeyl.

*A nie przyszło ci do głowy, że może to ja nie mogłem wytrzymać bez ciebie?*

Szturcham Xadena łokciem. Na pewno nie mówił poważnie, skoro wciąż się upiera, że tamten pocałunek był błędem. A jeśli jednak mówi prawdę... Nie, nie zamierzam tego analizować.

*Uważaj, bo jeszcze wydasz nasz nowy sposób komunikacji, który powinien pozostać tajemnicą, jeśli nie przestaniesz być taka... agresywna.* Ledwie powstrzymuje się od uśmiechu. Widać, że uwielbia mieć ostatnie słowo.

Muszę się dowiedzieć, jak on to robi, żeby móc klócić się z nim w myślach.

– No tak, mógłbym się spodziewać, że będziesz go bronić. – Dain posyła mi urażone spojrzenie. – Chociaż nie rozumiem, jak mogłaś zapomnieć, że jeszcze pół roku temu ten facet chciał cię zabić.

Wprost brak mi słów.

– Nie mogę uwierzyć, że wytknąłeś mi coś takiego.

– Gratuluję profesjonalizmu, Aetos. – Xaden drapie się po piętnie na szyi, chociaż jestem pewna, że wcale go nie swędzi. – Widać, że masz zadatki na prawdziwego dowódcę – szydzi.

Jeden z jeźdźców siedzących przy stole gwizdże przeciągle.

– Może po prostu ściągnijcie spodnie i porównajcie sprzęt? Tak będzie szybciej.

Liam dławi się od śmiechu.

– Dosyć tego! – Mira trzaska dłońmi w stół.

– Och, daj spokój, Sorrengail – jęczy jeździec, uśmiechając się szeroko.

Obie z Mirą patrzymy w jego stronę.

– Chodziło mi... o tę starszą. Dawno tak dobrze się nie bawiliśmy.

Potrząsam głową i się rozglądam.

– Mira potrafi rozciągać osłony, jeśli bariery padają, więc w pierwszej kolejności posłałabym ją na zwiady wraz z Teinem, żeby dowiedzieć się, czy mamy do czynienia z piechotą czy jeźdźcami gryfów.

– Dobrze. – Mira przesuwając swojego smoka bliżej twierdzy. – W takim razie założmy, że to gryfy.

– Może raczysz zająć się swoją pracą? – pytam, uśmiechając się słodko do Daina. – Bo nie rozumiem, jak mogłeś zapomnieć, że jesteś dowódcą drużyny.

Zaciska dłoń na swoim smoku i ucieka wzrokiem.

– Quinn, czy potrafisz stworzyć projekcję astralną, siedząc na swoim smoku?

– Tak – odpowiada.

– W takim razie wysłałbym cię do fortecy, by poszukać słabych punktów – rozkazuje Dain. – A potem musiałabyś zdać mi raport. To samo tyczy się Liama. Wykorzystalibyśmy twój sokoli wzrok, żebyś zlokalizował jeźdźców gryfów i sprawdził, czy zastawili tu jakieś pułapki.

– Świetnie. Słabym punktem jest drewniana brama – zauważa Mira, kiedy Quinn i Liam przenoszą swoje smoki na pozycje – oraz obywatele Navarry, których wróg przetrzymuje w lochach.

– Czyli nie da się wysadzić tego miejsca – komentuje z przekąsem Ridoc.

– Potrafisz władać wiatrem, prawda? – Dain zwraca się do Emery'ego. – Umiesz tak pokierować płomieniem swojego smoka, żeby dotrzeć do okupowanej części strażnicy, jednocześnie nie zabijając cywilów?

– Tak – odpowiada Emery. – Ale musiałbym być wtedy w strażnicy.

– W takim razie przedostaniesz się tam – odpowiada Mira, wzruszając ramionami.

Emery rozwiera szeroko oczy.

– Chcesz, żebym zostawił smoka i poszedł tam pieszo?

– A jak ci się wydaje, po co trenujemy walkę wręcz? Chyba że chcesz pozwolić umrzeć tym wszystkim niewinnym ludziom? – Mira macha ręką i przywołuje smoka Emery'ego, żeby postawić go pośrodku strażnicy. – Lepsze pytanie brzmi, jak mamy cię tam przemycić, żebyś nie został po drodze zabity? –

Rozgląda się po stole. – Domyślam się, że reszta będzie zajęta walką z gryfami, które przejdą do ofensywy, gdy tylko rozpocznie się atak ogniem.

– Jaką masz moc, Aetos? – pyta Quinn.

– Nie jesteś upoważniona do tej informacji – odpowiada Dain i rozgląda się po stole, unikając patrzenia na Xadena, a potem wzdycha. – Jakies pomysły?

Czy kwadrant naprawdę każe trzymać Dainowi umiejętność czytania wspomnień w sekrecie? Czy kiedy wyciągnął do mnie ręce, gdy Amber została oskarżona, po prostu stracił nad sobą kontrolę? Jak udało mu się utrzymywać tę informację w tajemnicy przed wszystkimi tak długo? Potrząsam głową.

– Jasne. – Biorę smoka Xadena i popycham go w stronę strażnicy. Stawiam jedną stopę w moich mentalnych Archiwach, gdzie trzymam moc i wykorzystuję ją, by podnieść figurkę smoka nad budynek. – Zapomniałeś, że masz do dyspozycji niesamowicie potężnego poskramiacza cieni, więc poproś go, by przysłonił okolicę, tak by nikt nie widział twojego lądowania.

– Ma rację – zgadza się Mira, ale brzmi na niezadowoloną.

– Potrafisz tak zrobić? – Dain niechętnie przenosi wzrok na Xadena.

– Pytasz poważnie? – prychna Xaden.

– Po prostu nie byłem pewien, czy jesteś w stanie zasłonić całą...

Xaden unosi rękę kilka cali nad stołem i spod naszych krzeseł wylewają się cienie, które wypełniają pomieszczenie i w okamgnieniu zasnuwa nas nieprzenikniona czern. Oblewa mnie strach.

*Spokojnie. To tylko ja.* Na policzku czuję delikatny dotyk.

Tylko on... jest przerażający. Odpycham tę myśl, ale nie dostaję odpowiedzi. Może to komunikacja jednostronna, bo wydaje mi się, że nie jestem w stanie rozmawiać z nim tak jak on ze mną.

Co Sgaeyl mówiła o mocach? Że odzwierciedlają to, jakim jest się w środku. Dain musi wiedzieć wszystko. A Xaden... ma tajemnice.

– Ja pieprzę – woła ktoś.

– Mogę przysłonić cały posterunek, ale wydaje mi się, że to mogłoby niektórych przerazić – stwierdza Xaden i cienie znikają, żeby ukryć się ponownie pod stołem.

Zaczerpuję oddechu i zauważam, że wszyscy poza Emerym – który pewnie już widział, jak Xaden wykonuje tę sztuczkę – zrobili się nieco bladzi.

Nawet Mira patrzy teraz na Xadena jak na zagrożenie, które należy oszacować.

Przewraca mi się w żołądku.

*Mam nadzieję, że nie wpadły ci do głowy żadne sprośne pomysły, kiedy tak siedzieliśmy w ciemności, droczy się ze mną Xaden i moje współczucie do tego*

dupka wyparowuje. Nie zwracam sobie głowy patrzeniem na niego, po prostu unoszę jeden palec.

Śmieje się, a ja zgrzytam zębami.

*Wyrzuć go z mojej głowy, zwracam się do Tairna.*

*Przywykniesz do tego, odpowiada czarny smok.*

*Czy to norma w przypadku wszystkich sparowanych smoków i ich jeźdźców?*

*Nie wszyscy tego doświadczają. Jednak to umiejętność bardzo przydatna w walce.*

*Cóż, teraz to co najwyżej upierdliwe. Tęsknię za Andarną. Jesteśmy od siebie tak daleko, że ledwie ją wyczuwam.*

*W takim razie odetnij się od niego barierą tak jak ode mnie... Albo zacznij z nim rozmawiać, burczy Tairn. Ty też potrafisz być upierdliwa. Wierz mi.*

*A niby jak mam to zrobić? Rzucam Xadenowi wkurzone spojrzenie, ale jest pochłonięty trwającą walką przeciwko wyimaginowanej strażnicy.*

*Dowiedz się, która ścieżka prowadząca do twojego umysłu należy do niego.*

O rany. Bułka z masłem.

Kończymy hipotetyczną operację, podczas której wszyscy wykorzystują swoje moce najlepiej, jak się da. Wszyscy poza mną. Kiedy jednak nadejdzie czas na pokonanie gryfów w powietrzu, Tairn przyćmi wszystkie smoki wokół.

– Dobra robota – chwali Mira, a potem sprawdza kieszonkowy zegarek. – Aetos, Riorson i Sorrengail, spotkacie się ze mną na korytarzu. Reszta może się rozejść.

Nie mamy innego wyjścia, więc podążamy za Mirą do krętej klatki schodowej.

Zamyka za nami drzwi i wyrzuca wiązkę niebieskiej energii, która je zakrywa.

– Bariera dźwiękowa – zauważa Dain z uśmiechem. – Nieźle.

– Zamknij się. – Mira odwraca się na górnym stopniu i celuje palcem w twarz chłopaka. – Nie mam pojęcia, co cię ugryzło, Dainie Aetosie, ale chyba zapomniałeś, że jesteś dowódcą drużyny. I że za rok masz szansę zostać dowódcą skrzydła.

O cholera, jest wkurzona i wcale nie chcę brać w tym udziału. Robię krok w tył, ale na stopniu za mną stoi Xaden, więc nie mam dokąd uciec.

– Mira... – zaczyna Dain.

– Poruczniczko Sorrengail – upomina go. – Nie zapominaj, że nie jesteśmy już sobie tacy bliscy. W ten sposób przekreślasz swoje szanse, Dain. Wiem, jak bardzo chcesz dostać tę posadę za rok. – Celuje palcem w Xadena. – A teraz chcesz narazić swoją karierę i to z jakiego powodu? Bo jesteś wkurzony, że Violet związała się ze smokiem będącym towarzyszem twojej smoczy?



Moja twarz szczypie ze wstydu. Mira zawsze była bardzo bezpośrednia, ale teraz... kurde.

– On jest najgorszym, co mogło ją spotkać! – protestuje Dain.

– Och, ja wcale temu nie przeczę. – Nachyla się w jego stronę. – Ale nikt nie ma wpływu na wybory smoków. One nie przejmują się opinią marnych ludzi, prawda? Jednak cokolwiek dzieje się między waszą dwójką – wskazuje palcem między mną a Dainem – ma wpływ na waszą drużynę. I jeśli ja jestem w stanie wyczuć napięcie między wami po czterech dniach, to oni też to potrafią. I gdybym wiedziała, że będziesz takim upartym osłem niemającym żadnej wyrozumiałości dla rzeczy, których ona nie jest w stanie kontrolować, to nigdy nie kazałabym jej znaleźć cię po przekroczeniu mostu. – Zerka na mnie, a potem wraca do niego. – Od dziecka jesteście najlepszymi przyjaciółmi. Ogarnijcie się.

Dain jest taki spięty, jakby zaraz miał pęknąć, ale spogląda na mnie i kiwa głową.

Robię to samo.

– Świetnie, a teraz wracaj tam. – Wskazuje ruchem głowy na drzwi. Dain przeciska się przez barierę. – A co do ciebie... – Mira schodzi dwa stopnie niżej i przeszywa Xadena morderczym spojrzeniem. – Czy tego Violet może spodziewać się na kolejnym roku?

– Że Aetos dalej będzie dupkiem? – pyta, opuszczając ręce po bokach. – Pewnie tak.

Mira mruży oczy.

– Sparowane smoki na ogół wiążą się z jeźdźcami z tego samego roku, i to nie bez powodu. Nie możesz oczekiwać, że twoje przyszłe skrzydło albo jej instruktorzy pozwolą wam wylatywać co trzy dni.

Wzrusza ramionami.

– To nie był mój wybór.

– A co niby mamy zrobić? Powiedzieć tym wielkim, plującym ogniem bestiom, jak to ma wyglądać? – pytam siostrę.

– Tak! – wykrzykuje, odwracając się w moją stronę. – Bo nie możesz żyć w ten sposób, Violet. To ty będziesz mieć zaległości w treningach, które są ci potrzebne, a on na tym nie straci, bo i tak z was dwojga jest silniejszy. I jeśli nie skupisz się na treningu, to już zawsze tak będzie. Nigdy nie będziesz tak silna, jak mogłabyś być dzięki Tairnowi. Na tym ci właśnie zależy, Riorson?

– Mira... – zaczynam, kręcąc głową. – Mylisz się co do niego.

– Posłuchaj. – Łapie mnie za ramiona. – Może i potrafi panować nad cieniami, Violet, ale dajmy mu wolną rękę, a sama staniesz się cieniem.

– Nie dojdzie do tego – zapewniam ją.

– Tak właśnie będzie, jeśli on postawi na swoim. – Przenosi wzrok za mnie. – Zabicie kogoś nie jest jedynym sposobem, by go zniszczyć. Powstrzymanie kogoś od rozwoju i osiągnięcia pełnego potencjału zdaje się świetną metodą, by zemścić się na naszej matce, co zresztą poprzysiągł. Dobrze się nad tym zastanów. Czy ty go w ogóle znasz?

Wstrzymuję oddech. Ufam Xadenowi. A przynajmniej tak mi się wydaje. Ale Mira ma rację; istnieje mnóstwo sposobów na to, by kogoś zniszczyć i nie trzeba go w tym celu zabijać.

– Tak właśnie myślałam. – Spojrzenie w jej oczach zmienia się w coś gorszego niż gniew. To litość. – Czy ty w ogóle wiesz, dlaczego on tak bardzo nienawidzi naszej matki? Dlaczego takie dzieciaki jak on są wysyłane na most...

– Jestem tutaj – wtrąca Xaden i staje na stopniu u mojego boku. – W razie gdybyś nie zauważyła.

– Ciężko cię nie zauważyć – odgryza się.

– Nie słuchasz mnie – dodaje niższym głosem. – Jestem. Tutaj. Tairn nie zaciągnął jej z powrotem do Basgiathu. Nie przedarł się przez jej osłony i nie zalał jej swoimi emocjami. Nie zażądał, żeby przeleciała całe pieprzone królestwo. Twoja siostra wciąż tutaj jest. To ja opuściłem własny posterunek, własną pozycję i własne skrzydło, zostawiając je pod opieką mojego zastępcy. Ona niczego nie traci.

– A za rok? Kiedy zostaniesz nowym porucznikiem? Co wtedy ją ominie? – pyta Mira.

– Coś wymyślimy. – Łapię ją za rękę i ściskam. – Mira, on poświęca każdą wolną minutę, by trenować mnie na macie przed wyzwaniem, i zabiera mnie na lekcje latania, żeby wymyślić, jak mam utrzymać się na miejscu tak, by Tairn nie musiał pomagać mi swoją mocą. On...

Na twarzy Miry maluje się przestrasz.

– Nie jesteś w stanie wysiedzieć na smoku?

– Nie – odpowiadam słabym szeptem, a wstyd rozpala moją twarz.

– Jak to w ogóle możliwe? – Otwiera usta ze zdziwienia.

– Bo nie jestem taka jak ty! – krzyczę.

Odsuwa się, jakbym ją uderzyła i wyrwa ręce z mojego uścisku.

– Ale... przecież wydajesz się teraz o wiele silniejsza.

– Moje mięśnie i stawy są silniejsze, ponieważ Imogen zmusza mnie do podnoszenia tych okropnych ciężarów, ale to... mnie nie naprawiło.

Mira blednie.

– Nie. Nie o to mi chodziło, Vi. Nie trzeba w tobie niczego naprawiać. Po prostu nie wiedziałam, że nie umiesz wysiedzieć na smoku. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Bo nie możemy nic na to poradzić. – Uśmiecham się blado. – Nikt nie może nic na to poradzić, bo taka już jestem.

Między nami zapada niekomfortowa cisza. I mimo że jesteśmy sobie bliskie, wciąż nie dzielimy się wszystkim.

– Idzie jej coraz lepiej – zapewnia spokojnym głosem Xaden. – Tylko w pierwszych tygodniach było... tragicznie.

– Hej, złapał mnie, zanim rozbiłam się o ziemię – oponuję.

– Ledwie – wypomina Xaden, a potem odwraca się w stronę Miry. – Nie musisz mi ufać...

– To dobrze, bo nie ufam – odpowiada. – Cała ta moc w rękach kogoś z twoją przeszłością jest wystarczająco niebezpieczna, ale myśl, że wasze smoki tworzą parę i przez to nie możesz przebywać z dala od Violet dłużej niż trzy dni, to najgorsze... – Nagle zamiera, a jej wzrok traci skupienie.

*W waszą stronę zmierza chmara gryfów!*, grzmi Tairn.

– Kurwa! Bariery opadły – mamrocze Mira, która najpewniej właśnie została powiadomiona przez Teinego. Zaciska ręce na moich ramionach i mnie przytula. – Musisz uciekać.

– Przecież możemy pomóc! – spieram się, ale trzyma mnie tak mocno, że nie mogę się ruszyć.

– Nie, nie możesz. I jeśli Tairn wykorzystuje swoją moc, żeby utrzymać cię na grzbiecie, to on również jest osłabiony. Musisz uciekać. Wynoś się stąd. Jeśli mnie kochasz, Violet, odleć stąd, żebym nie musiała się o ciebie martwić. – Puszczam mnie i patrzy na Xadena, a nasza drużyna otwiera drzwi do klatki schodowej i mija nas w pośpiechu. – Zabierzcie ją stąd.

– Idziemy! – krzyczy Dain. – Ale już!

– Nawet jeśli mi nie ufasz, jestem w tym momencie waszą najlepszą bronią – warczy Xaden do Miry.

– Jeśli to prawda, to jesteś najlepszą bronią, jaką ona ma. Pozostała część drużyny zaraz się tu zjawi, a Teine uważa, że do ataku gryfów zostało nam jakieś dwadzieścia minut. – Mira patrzy mi w oczy. – Musisz znaleźć się w bezpiecznym miejscu, Violet. Kocham cię. Postaraj się nie umrzeć. Nie chciałabym zostać jedynaczką. – Mimo tych słów nie uśmiecha się zadziornie tak jak wtedy, gdy zostawiała mnie w Basgiacie w Dniu Poboru.

Xaden przyciąga mnie do swojego boku, a Mira pokonuje pozostałe schody w drodze na dach.

To niemożliwe. Nie mogę uciec i zostawić tutaj siostry, żeby zamartwiać się tym, czy przeżyła. To są właśnie takie ataki, o których nie słyszymy w trakcie analizy wojennej.

Mowy nie ma. Każda komórka mojego ciała buntuje się na tę myśl.

– Nie! – opieram się, ale to na nic, bo on jest zbyt silny. – Mira! A co, jeśli będziesz ranna? Szybkość Tairna może być jedyną rzeczą, która cię uratuje. Przynajmniej pozwól nam zostać.

Staje w drzwiach i ogląda się przez ramię, a jej spojrzenie ciska gromy.

– Chcesz, żebym ci zaufała, Riorson? Zabierz ją stąd i znajdź sposób, żeby utrzymała się na grzbiecie smoka. Oboje wiemy, że jeśli tego nie potrafi, jest już martwa.

– Mira! – wołam, drapiąc Xadena po ramieniu, ale on już zaciąga mnie po schodach w dół, trzymając w talii z taką łatwością, jakbym ważyła mniej niż miecz na jego plecach. – Kocham cię! – wołam, ale nawet nie wiem, czy mnie słyszała.

– Pójdiesz po swój plecak? – pyta Xaden, maszerując korytarzem baraków. – Czy będę musiał cię stąd wynieść bez twoich rzeczy?

– Pójdę po nie. – Odpycham go, a on mnie puszcza.

Wzięcie plecaka mojego i Rhiannon zajmuje mi kilka minut, bo zostawiłyśmy je nietknięte, a nawet upchnęłyśmy tam nasze zimowe ubrania. Kiedy wracam na korytarz, Xaden już tam czeka z plecakiem przewieszonym przez ramię. Wydaje się znacznie mniejszy niż ten, z którym tu przyleciał, ale wolę nawet nie myśleć o tym, co musiał zostawić, żeby szybciej zjawić się pod moimi drzwiami.

Nie chcąc na niego patrzeć, maszeruję w stronę wyjścia, ale on łapie mnie za łokieć i okręca.

– Nie. Opuszczenie fortecy głównym wyjściem jest zbyt niebezpieczne. Wyjdziemy górą. – Otacza mnie ramieniem i zaciąga do najbliższej wieży. – Idź.

– To idiotyzm! – wrzeszczę, nie przejmując się, że inni członkowie mojej drużyny, którzy również wspinają się na tę samą wieżę, mogą mnie usłyszeć. – Tairn może im pomóc!

– Twoja siostra ma rację. Musisz się stąd wydostać, więc wylatujemy. A teraz idź na górę, do cholery.

– Dain – wołam, gdy dociera do mnie, że idzie przed nami.

Odwraca się, bierze plecak Rhiannon i zakłada go na ramię.

– Po raz pierwszy muszę zgodzić się z Riorsonem. Nie tylko ciebie trzeba stąd wydostać, Violet. Pomyśl o każdym innym pierwszaku. – Błaganie w jego oczach zamyka mi usta. – Zamierzasz skazać całą nieprzeszkoloną drużynę na śmierć? Bo ja przeżyję. Cianna, Emery i Heaton też. I wszyscy dobrze wiemy, że Riorson tak samo. Ale co z Rhiannon? Ridokiem? Sawyerem? Chcesz mieć ich krew na rękach? – wypomina w trakcie biegu na górę.

Tu nie chodzi o mnie.

Wpadamy na dach, gdzie Emery już dosiada swojego smoka, który balansuje niepewnie na cienkim murze.

Na bogów, nigdy nie uda mi się dosiąść Tairna pod tym kątem.

– Ridoc i Quinn już odlecieli – informuje nas Liam, kiedy Emery wzbija się w powietrze, gdzie czekają Cath i Deigh.

– Teraz ty! – krzyczy Xaden do Liama, a Dain kiwa głową.

Ładujący Deigh kruszy kamienną ścianę, a Liam przechodzi po wąskiej ścieżce w stronę wielkiego czerwonego sztyletogona.

– Ty jesteś następny, Aetos – warczy Xaden.

– Vi... – zaczyna Dain.

– To rozkaz. – Jego głos nie pozostawia miejsca na dyskusję i wszyscy o tym wiemy, tym bardziej że Cath właśnie zajmuje miejsce Deigha na murze. – Zajmę się nią. Leć.

– Leć – ponaglam go. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby przeze mnie coś się stało Dainowi. Może i przez ostatnie miesiące nie zachowywał się jak mój najlepszy przyjaciel, ale to jeszcze nie przekreśla tych wszystkich wspólnie spędzonych lat.

Dain wygląda, jakby chciał się spierać, ale potem kiwa głową i zwraca się do Xadena.

– Ufam, że ją stąd wyciągniesz.

– Widzę, że wszyscy nagle zaczynają mi ufać – komentuje z przekąsem Xaden. – A teraz wsiadaj na smoka, żeby ona mogła dostać się do swojego.

Dain posyła mi przeciągłe, zbolące spojrzenie, a potem odwraca się i z rozbiegu wspina po przedniej nodze Catha w taki sposób, że ostatnia przeszkoda Rękawicy wprost staje mi przed oczami.

*Gdzie jesteś?*, pytam Tairna, wodząc wzrokiem po pustym niebie.

*Już prawie na miejscu. Robię, co w mojej mocy.*

– Nie mogę stąd odlecieć. – Odwracam się w ramionach Xadena, by na niego spojrzeć. – Inni już zniknęli. Jesteś mi winien przysługę, więc możemy uznać, że teraz ją wykorzystam. Zostańmy. Nie mogę jej opuścić. Ona nigdy by mi tego nie zrobiła. Muszę ją wesprzeć. Po prostu muszę.

W jego oczach dostrzegam tyle współczucia, tyle zrozumienia, że kiedy zabiera ręce z mojej talii, już myślę, że pozwoli mi zostać. On jednak przykładą dłonie do moich policzków i przesuwają je na szyję, łącząc nasze usta.

Pocałunek jest ryzykowny, namiętny, ale oddaję mu się, bo wiem, że może być ostatnim. Xaden wsuwa język w moje usta z niecierpliwością, którą sama odwzajemniam i przekrzywiam głowę, żeby pogłębił pocałunek.

Na bogów, jest nie tylko tak dobrze, jak fantazjowałam, kiedy wspominałam tamtą noc, ale o wiele lepiej. Wtedy pod ścianą obchodził się ze mną ostrożnie,

teraz jego usta atakują moje bez żadnego wahania, a pulsowanie w dole mojego brzucha przybiera na sile. Przerywa pocałunek dopiero wtedy, gdy oboje dyszymy, a on opiera swoje czoło na moim.

– Odleć stąd dla mnie, Violet.

*Jestem już prawie na miejscu, informuje Tairn.*

Xaden celowo przeciągał ten moment, żeby dać Tairnowi i Sgaeyl czas na dotarcie. Rozczarowanie uderza mnie jak obuchem.

– Znienawidzę cię za to.

– Wiem. – Kiwa głową, przez jego twarz przetacza się wyraz czystego żalu, a potem się odsuwa. – Mogę z tym żyć. – Zabiera ręce z mojej twarzy i łapie mnie za ramiona, rozkładając je na kształt litery T. – Trzymaj się mocno.

– Wal się.

Za nim pojawia się ogromna sylwetka Tairna. Xaden zeskakuje na kamienną podłogę w chwili, gdy Tairn przelatuje nad nami, a jego cień przysłania mnie tuż przed tym, jak szponiasta łapa chwyta mnie tak, jak wielokrotnie w przeszłości, gdy spadałam w trakcie lotu.

*Musimy tam wrócić!*

*Zrobiłem wszystko, co mogłem i nie będę ryzykował twojego życia. Wznosi się coraz wyżej i podrzuca mnie wyćwiczonym ruchem, żebym wylądowała na jego grzbiecie. A teraz trzymaj się mocno, żebyśmy mogli ich prześcignąć.*

Oglądam się przez ramię i widzę Xadena lecącego na Sgaeyl, którzy nadciągają szybko, a za nimi, jakieś sto stóp poniżej, gryfy osaczają strażnicę.

*W wygranej Igrzysk Wojennych nie chodzi o siłę, ale o spryt. Musisz wiedzieć, gdzie uderzyć, gdzie twoi wrogowie – w tym przypadku przyjaciele – mają słaby punkt. Przyjaźń nie trwa wiecznie, Miro. Prędzej czy później ci nam najbliżsi stają się naszymi wrogami, nawet jeśli kryje się za tym szczerą miłość lub apatia, albo jeśli żyjemy na tyle długo, by stać się ich wrogami.*

Strona osiemdziesiąta, *Dziennik Brennana*



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

**K**amienna ściana, za którą znajduje się gabinet profesora Markhama w Kwadrancie Jeźdźców, wbija się w moje plecy i drażni smoczy symbol, kiedy opieram się na niej z całych sił. Jestem tak zmartwiona i zmęczona nawarstwiającą się we mnie mocą, która może eksplodować w każdej chwili, że zaraz wyjdę z siebie i stanę obok.

Minęły dwa dni, odkąd opuściliśmy Montserrat. Jeden dzień na powrót do Basgiathu i jeden przerażająco długi dzień ciszy w eterze.

Słońce ledwie wstało. Od powrotu nie wypełniłam swojego obowiązku w bibliotece i jakimś cudem udało mi się wymknąć z mojego pokoju, zanim Liam to zauważył. Nie mam ochoty na śniadanie i nie obchodzi mnie to, czy ominie mnie zbiórka. Nie mogę być teraz nigdzie indziej.

Na spiralnych schodach po lewej rozlegają się kroki i mój żołądek się kurczy, a puls przyspiesza. Unoszę głowę i wyczekuję widoku kremowej tuniki.

Zamiast tego na korytarzu zjawia się Xaden. Trzyma w ręce dwa cynowe kubki z parującą zawartością i zmierza prosto w moim kierunku.

– Wciąż mnie nienawidzisz?

– Zdecydowanie. – To nie do końca prawda, ale łatwiej jest zrzucić na niego całe poczucie winy, które odczuwam od dwóch dni.

– Domyśliłem się, że będziesz już tu czekać. – Wyciąga w moją stronę kubek.  
– To kawa. Sgaeyl mówi, że nie spałaś.

– Nie jej sprawa – rzucam oschle. – Ale dzięki. – Przyjmuję od niego kubek. Xaden wygląda, jakby od wczoraj przespał pełne osiem godzin i jeszcze miał wakacje. – Idę o zakład, że ty spałeś jak dziecko.

*Przestań obgadywać mnie ze Sgaeyl*, odpowiadam z pretensją w głosie.

*Nie zaszczycę tego rozkazu odpowiedzią.*

*Wolę Andarnę od ciebie.*

Tairn prycha.

Xaden opiera się o ścianę naprzeciwko mnie i bierze łyk kawy.

– Nie spałem dobrze, odkąd mój ojciec opuścił Aretię, żeby ogłosić secesję.

Otwieram usta ze zdziwienia.

– Ale przecież to było ponad sześć lat temu.

Wbija wzrok w swoją kawę.

– Miałeś... – Milknę. – Nawet nie wiem, ile masz teraz lat. – Mira się nie myliła. Prawie nic o nim nie wiem. A mimo to... mam wrażenie, jakbym wiedziała, kim jest w głębi duszy. Czy moje emocje względem niego mogą być jeszcze bardziej zagmatwane?

– Dwadzieścia trzy – odpowiada. – W marcu miałem urodziny.

I o tym też nie wiedziałam.

– Ja mam w...

– Lipcu – odpowiada z cieniem uśmiechu na ustach. – Wiem. Gdy tylko zobaczyłem cię przed mostem, postanowiłem dowiedzieć się o tobie wszystkiego, czego tylko się da.

– To w ogóle nie jest niepokojące – stwierdzam z sarkazmem. Pozwalam, by ciepło kawy ogrzało moje zmarznięte ręce.

– Nie można kogoś zniszczyć, jeśli najpierw dobrze się go nie pozna – przyznaje cicho.

Unoszę głowę i zauważam, że on już na mnie patrzy.

– I dalej masz taki plan? – Słowa Miry nawiedzają mnie od dwóch dni.

Xaden się krzywi.

– Nie.

– Coś się zmieniło? – Frustracja sprawia, że mocniej zaciskam dłonie na kubku. – Kiedy dokładnie postanowiłeś, że jednak mnie nie zniszczysz?

– Może wtedy, gdy zobaczyłem, jak Oren przyciska nóż do twojego gardła – przyznaje. – A może, kiedy zauważyłem, że siniaki na twojej szyi to odciski palców i miałem ochotę zabić ich wszystkich jeszcze raz, tym razem wolniej. A może, gdy po raz pierwszy bezmyślnie cię pocałowałem albo kiedy dotarło do mnie, że mam przesrane, bo nie mogę przestać myśleć o tym, by zrobić z tobą coś więcej niż całowanie. – Wstrzymuję oddech, a on odchyła głowę, opierając ją



na ścianie. – *Czy to w ogóle ma znaczenie kiedy? Najważniejsze, że to się zmieniło.*

– Nie rób tak – szepczę. Spuszcza głowę, żeby spojrzeć mi w oczy.

*Czego mam nie robić? Mam nie mówić, że nie mogę przestać o tobie myśleć? Czy mówisz o tym, bym nie odzywał się bezpośrednio w twojej głowie?*

– O obu tych rzeczach.

*Też mogłabyś się tego nauczyć. Jasna cholera, dlaczego tak trudno jest mi oderwać od niego wzrok? Dlaczego tak trudno jest pamiętać, że ten pocałunek na wieży był dla niego tylko zabawą, że może to wszystko jest dla niego tylko grą? Dlaczego nie potrafię zdusić tego niemożliwego żaru w moim brzuchu, który wywołuje każda myśl o nim? No dalej, chociaż spróbuj.*

Patrzę w jego upstrzone złotymi plamkami oczy i dochodzę do wniosku, że ma rację. Mogłabym chociaż spróbować. Stawiam jedną stopę w moich mentalnych Archiwach i czuję moc przetaczającą się przez żyły. Ze znajdujących się za mną drzwi wylewa się jasnopomarańczowa, skrząca energia, a w oknie, które stworzyłam dla Andarny, widzę złotą. Biorę głęboki wdech i odwracam się powoli.

I wtedy pod sufitem zauważam wijący się cień, który wygląda jak usiane gwiazdami nocne niebo. Xaden.

Nagle na schodach rozlegają się kroki i oboje patrzymy w tamtym kierunku.

– Wygląda na to, że mieliście ten sam pomysł – odzywa się Dain na nasz widok i zatrzymuje przy ścianie obok mnie. – Jak długo tu czekacie?

– Nie tak długo – odpowiada Xaden.

– Godzinami – rzucam w tym samym momencie.

– Kurde, Violet. – Dain przeczesuje dłonią wilgotne włosy. – Jesteś głodna? Chcesz pójść coś zjeść?

*Nie, głąbie. Jak widać, nie ma takiego zamiaru, moją głowę wypełnia uszczypliwy komentarz Xadena.*

*Odpuść, rozkazuję.*

– Nie, dziękuję.

*Patrzcie, kto w końcu się tego nauczył.* Usta Xadena unoszą się w przelotnym uśmiechu.

Nagle na schodach rozlegają się kolejne kroki i wstrzymuję oddech, patrząc na drzwi.

Profesor Markham zatrzymuje się na nasz widok, a potem rusza w stronę swojego gabinetu.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Proszę mi powiedzieć, czy ona żyje. – Staję pośrodku korytarza.

Profesor patrzy na mnie z dezaprobatą.

– Nie mogę udzielić ci zastrzeżonych informacji. Jeśli będzie trzeba coś omówić, zrobimy to na analizie wojennej.

– Byliśmy tam. Jeśli te informacje są zastrzeżone, to my już i tak o nich wiemy – odpowiadam. Zaciskam rozedrgane dłonie na cynowym kubku.

Xaden zabiera go ode mnie.

– Nie jestem upoważniony do...

– To moja siostra – błagam. – Zaslługuję na to, by wiedzieć, czy żyje. I nie chcę usłyszeć o jej śmierci w sali.

Wykładowca zaciska szczęki.

– Posterunek odniósł znaczące szkody, ale nie straciliśmy żadnego jeźdźca z Montserratu.

*Dzięki bogom.* Kiedy zalewa mnie ulga, kolana się pode mną uginają, a Dain łapie mnie i zamyka w swoich ramionach.

– Nic jej nie jest, Vi – szepcze w moje włosy Dain. – Mira przeżyła.

Kiwam głową, walcząc z napływem emocji. Nie załamie się. Nie rozplacę się. Nie okażę słabości. Nie tutaj.

Jest tylko jedno miejsce, do którego mogę się udać, jedna osoba, która nie będzie mnie strofować za łzy.

Gdy tylko biore się w garść, opuszczam ramiona Daina.

Xaden zniknął.

Omijam śniadanie oraz zbiórkę, żeby udać się na lądowisko. Ostatkiem sił docieram na środek polany i tam opadam na kolana.

– Nic jej nie jest – łkam, chowając głowę w dłoniach. – Nie zostawiłam jej tam na śmierć. Przeżyła. – W powietrzu rozlega się łopot skrzydeł, a zaraz potem wyczuwam przy swoich dłoniach twarde łuski.

Opieram się bezwładnie o bark Andarny.

– Przeżyła. Przeżyła. Przeżyła.

Powtarzam to tak długo, aż zaczynam w to wierzyć.

\* \* \*

**M**asz rodzeństwo? – pytam Xadena, kiedy spotykamy się później na macie. Może nie daje mi spokoju komentarz Miry o tym, że nic o nim nie wiem, a może to kwestia moich własnych sprzecznych emocji, ale on wie o mnie więcej niż ja o nim, więc muszę temu zaradzić.

– Nie. – Zamiera zaskoczony. – A co?

– Tylko pytam. – Przybieram pozycję bojową. – Zaczynamy.

Następnego dnia w trakcie analizy wojennej pytam go o ulubione danie, wykorzystując w tym celu naszą mentalną więź. Jestem pewna, że ze

zdziwienia upuszcza coś na ziemię, ale potem odpowiada.

*Tort czekoladowy. Dziwnie się zachowujesz. Przestań.*

Uśmiecham się od ucha do ucha.

Dzień później, kiedy Tairn daje mi popalić serią zaawansowanych manewrów powietrznych, podczas których większość kadetów z trzeciego roku nie byłaby w stanie wysiedzieć na grzbiecie, siedzimy na naszych smokach, które odpoczywają na szczycie góry. Postanawiam zapytać go, skąd zna Liama, żeby sprawdzić, czy ich odpowiedzi się pokryją.

*Trafiliśmy do tej samej rodziny zastępczej. O co chodzi z tymi wszystkimi pytaniami, które ostatnio mi zadajesz?*

*Ledwie cię znam.*

*Znasz mnie wystarczająco dobrze.* Posyła mi spojrzenie mówiące, że ma już dość.

*Wątpię. Powiedz mi coś znaczącego.*

*Co na przykład?* Obraca się, żeby na mnie spojrzeć.

*Na przykład skąd masz te srebrne blizny na plecach.* Wstrzymuję oddech, czekając na odpowiedź, pragnę, żeby w końcu się przede mną otworzył.

Mimo że dzieli nas dwadzieścia stóp i tak wyczułam, że cały się spina.

*Po co chcesz to wiedzieć?*

Zaciskam dłonie na smoczym łęku. W duchu wiedziałam, że temat tych blizn jest bardzo osobisty, ale jego reakcja świadczy o tym, że kryje się za tym coś więcej niż tylko bolesne wspomnienie.

*Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?*

Sgayel otrząsa się i wzbija szybko w powietrze, zostawiając w tyle mnie i Tairna.

*Drażysz ten temat z jakiegoś konkretnego powodu?*, wtrąca się Tairn.

*A wyjaśnisz mi, dlaczego miałabym tego nie robić?*

*Zależy mu na tobie. I tak jest mu wystarczająco ciężko.*

Kwituję to ironicznym śmiechem.

*Zależy mu na tym, żeby utrzymać mnie przy życiu. Jest różnica.*

*Nie dla niego.*

\* \* \*

**N**ad Basgiathem rozciąga się przejrzyste niebo, gdy w połowie maja rozpoczyna się pierwsza bitwa spośród Igrzysk Wojennych, zwiastujących nadejście końca roku. Mimo że chciałabym się cieszyć na myśl o przetrwaniu całego roku w Kwadrancie Jeźdźców, odczuwam jedynie niepokój.

Zajęcia z analizy wojennej stają się coraz bardziej okrojone. Profesor Carr zaczyna się martwić, że jeszcze nie objawiła mi się żadna moc, w przeciwieństwie do niemal wszystkich kadetów z pierwszego roku. Dain dziwnie się zachowuje – w jednej chwili odnosi się do mnie przyjaźnie, w drugiej staje się obojętny. Xaden robi się jeszcze bardziej tajemniczy – jeśli to w ogóle możliwe – i z niewyjaśnionych powodów odwołuje część naszych treningów. Mam wrażenie, że nawet Tairn czegoś mi nie mówi.

– Jak myślisz, jakie czeka nas zadanie? – pyta Liam stojący obok mnie w trakcie zbiórki pośrodku dziedzińca wraz z resztą Czwartego Skrzydła. – Deigh uważa, że czeka nas ofensywa. Ciągłe nawija o tym, że skopie dupę Gleannowi... – Zamiera, jakby przysłuchiwał się w myślach swojemu smokowi. – Wygląda na to, że smoki również chowają urazę – stwierdza ostatecznie.

Dowództwo zebrało się naprzeciwko nas i właśnie otrzymuje przydział zadań od Xadena.

– Na pewno czeka nas ofensywa – odzywa się Rhiannon z lewej. – W przeciwnym razie już bylibyśmy na polanie. A od lunchu nie widziałam ani jednego jeźdźca z Pierwszego Skrzydła.

Oblewa mnie zimny pot. Pierwsze Skrzydło. Mogłam się domyślić, że będą naszym pierwszym przeciwnikiem. W trakcie Igrzysk Wojennych wszystkie chwytaki są dozwolone, a Jack Barlowe nie zapomniał, że wysłałam go na izbę chorych na cztery dni. Po tym, jak Xaden zabił Orena i pozostałych napastników, tygodniami omijał mnie szerokim łukiem. Po śmierci Amber każdy bał się ze mną zadzierać. Mimo to, kiedy mijamy się na korytarzu albo w sali jadalnej, w jego lodowatych oczach wciąż płonie czysta nienawiść.

– Ona chyba ma rację – zwracam się do Liama i staram się nie wiercić, mimo że słońce grzeje mnie przez skórzany strój. Już dawno nie zazdrościłam skrybom ich kremowych tunik, ale przy tej pogodzie mam wrażenie, że dostaliśmy najgorsze z możliwych mundurów. Jakby tego było mało, źle dzisiaj spałam, bo boli mnie kolano, a opaska stabilizująca parzy, jakby miała milion stopni. – Jak wam się wydaje, dlaczego wszyscy jeźdźcy noszą czerń?

– Bo wyglądamy w tym groźnie – odpowiada Ridoc za moimi plecami.

– Trudniej jest zobaczyć, kiedy krwawimy – odpowiada Imogen.

– Zapomnijcie, że w ogóle pytałam – mamrocę i przyglądam się uważnie dowództwu, żeby sprawdzić, czy już kończą. Krwawienie jest ostatnią rzeczą, na którą mam dzisiaj ochotę.

*Czeka nas dzisiaj ofensywa czy defensywa?*, zwracam się do Xadena.

*Jestem teraz trochę zajęty.*

*O nie, czy ja cię rozpraszam?* Na moich ustach czai się lekki uśmiech.

*Kurde, czy ja flirtuję? Może.*

Czy mnie to obchodzi? O dziwo... nie.

*Tak.* Jego ton głosu jest tak nabzdyczony, że muszę mocno zacisnąć wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

*No dalej. Zajmuje wam to całą wieczność. Daj mi jakąś wskazówkę.*

*To i to,* warczy, ale nie odcina się ode mnie przy pomocy osłon – a wiem, że tak potrafi – więc lituję się nad nim i pozwalam mu zająć się spotkaniem, któremu ma przewodzić.

Nie dość, że ofensywa, to jeszcze defensywa? Czeka nas ciekawe popołudnie.

– Masz jakieś wieści od Miry? – pyta szeptem Rhiannon i posyła mi przelotne spojrzenie.

Potrząsam głową.

– To po prostu... nieludzkie.

– Naprawdę myślałaś, że złamię zasadę o zakazie korespondencji? Nawet gdyby próbowali, mama od razu by ich powstrzymała.

Rhiannon wzdycha, a ja wcale jej się nie dziwię. Nie można zrobić w tej sprawie zbyt wiele.

Spotkanie dowódców dobiega końca i Dain wraca do nas w towarzystwie Cianny. Uśmiecha się promiennie i podekscytowany mocno zaciska oraz rozluźnia pięści.

– I co? – pyta Heaton. – Ofensywa czy defensywa?

– Jedno i drugie – odpowiada, kiedy pozostali dowódcy informują swoich podwładnych.

Udaję zaskoczenie i zerkam za niego, ale Xaden i dowódcy sekcji gdzieś zniknęli.

– Pierwsze Skrzydło zajęło pozycję obronną w jednym z naszych fortów ćwiczebnych w górach i mają za zadanie strzec kryształowego jaja – wyjaśnia nam Dain. Starsi jeźdźcy z naszej drużyny szepczą między sobą podekscytowani.

To ma sens. To pewnie symboliczny ukłon w stronę innych ras smoków, które sprowadziły swoje jaja do Basgiathu, kiedy Navarra została zjednoczona.

– Co nam umyka? – dziwi się Ridoc. – Bo wydajecie się z jakiegoś powodu podekscytowani tym jajkiem.

– Z poprzednich lat wiemy, że jaja są warte więcej punktów – wyjaśnia Cianna, uśmiechając się z entuzjazmem. – Flagi są oceniane statystycznie najniżej, a porwani profesorowie gdzieś pośrodku.

– Ale czasami lubią zmieniać zasady – wtrąca Dain. – Równie dobrze możemy myśleć, że zmierzamy w stronę wartościowego celu, a po dotarciu odkryć, że jest niewiele wart.

– A więc dlaczego nasze zadanie polega zarówno na ofensywie, jak i defensywie? – wtrąca Rhiannon. – Jeśli mają jajo, to bez wątpienia powinniśmy je odbić.

– Bo oprócz tego wręczono nam flagę, której musimy bronić, ale przy tym nie mamy żadnego posterunku. – Uśmiecha się szeroko. – Nasza drużyna ma ją utrzymać.

*Daleś Dainowi misję obrony flagi Czwartego Skrzydła?*

*Mam nadzieję, że nauczył się czegoś po lekcji twojej siostry w Montserracie,* odpowiada Xaden, ale jego głos zdaje się cichszy, co – jak już zdążyłam się zorientować – oznacza, że jest daleko. Zastanawiam się, czy będziemy w stanie się ze sobą komunikować, kiedy za kilka miesięcy będzie nas dzielić większy dystans.

Na myśl o tym, że go tu nie będzie, boli mnie serce. Będzie ryzykować życie na linii frontu.

– A kto będzie dzierzył tę flagę? – zastanawia się Imogen.

Jakimś cudem Dain uśmiecha się jeszcze szerzej.

– I to jest właśnie najlepsza część.

Przez następne dwadzieścia minut w drodze na lądowisko zostajemy wtajemniczeni w strategię i – z tego, co zauważyłam – Dain rzeczywiście wyciągnął wnioski z ćwiczenia z Mirą.

Plan jest prosty: mamy korzystać z naszych indywidualnych mocnych stron i często przekazywać sobie flagę, żeby nie pozwolić, aby Pierwsze Skrzydło zauważyło, kto aktualnie znajduje się w jej posiadaniu.

Kiedy docieramy na lądowisko, na błotnistej polanie czekają dziesiątki smoków, ustawionych tak, jakby one również tworzyły formacje. Z łatwością zauważam Tairna, bo jego głowa wznosi się nad innymi.

W powietrzu da się wyczuć namacalną ekscytację, kiedy przechodzimy obok innych jednostek. Dowódcy drużyn i sekcji wydają ostatnie rozkazy.

– Na pewno wygramy – oznajmia Rhiannon z całym przekonaniem i łapie mnie pod rękę, gdy zbliżamy się do wyznaczonego miejsca.

– Skąd ta pewność?

– Mamy ciebie, Tairna, Riorsona oraz Sgaeyl. Oraz oczywiście mnie. – Uśmiecha się bezczelnie. – Przegrana nie wchodzi w rachubę.

– Jesteś pewna, że... – Zawieszam głos, kiedy patrzę na Tairna w całej jego okazałości.

Stoi dumnie na początku naszej drużyny, nie przejmując się tym, że zasłania Catha, smoka Daina, a tym samym okazuje mu brak szacunku, ale to nie jego pozycja zapiera mi dech w piersiach, tylko siodło przewieszane przez jego grzbiet.

*Słyszałem, że to najnowszy krzyk mody, puszy się Tairn.*

– To... – Nawet nie potrafię znaleźć odpowiednich słów. Czarne metalowe opaski wydają się misternie powiązane. Owijają się wokół jego przednich nóg i spotykają na klatce piersiowej, połączone trójkątnym napierśnikiem, a następnie ciągną się nad jego ramionami w stronę siodła wyposażonego w strzemiona. – To siodło.

– Ale super. – Rhiannon klepie mnie po plecach. – I muszę przyznać, że wygląda na wygodniejsze niż kościsty kręgosłup Feirge. Do zobaczenia na górze. – Mija Tairna, żeby wspiać się na swojego smoka.

– Nie mogę z tego korzystać. – Kręcę głową. – To niedozwolone.

*Ja decyduję o tym, co jest dozwolone, a co nie, warczy Tairn i spuszcza głowę, żeby owiać mnie gorącym oddechem. Nie istnieje zasada mówiąca, że smok nie może zmodyfikować swojego grzbietu, aby dopasować się do jeźdźcy. Pracowałam ciężko, jeśli nie ciężej, niż każdy jeździec w tym kwadrancie. To, że twoje ciało odbiega nieco od innych, nie oznacza, że nie zasługujesz na smoka. Trzeba czegoś więcej niż trochę skóry i łęk, by zostać jeźdźcem.*

– Wiesz, on ma rację – zgadza się Xaden, podchodząc do nas. Ciekawe, gdzie był, skoro wrócił tak szybko.

– Nikt nie pytał cię o zdanie. – Na jego widok mój puls przyspiesza, a skóra oblewa się rumieńcem. W naszych mundurach wszyscy jeźdźcy wyglądają dobrze, ale Xaden i jego umięśnione ciało szczególnie.

– Jeśli nie będziesz go używać, obrażę się. – Krzyżuje ramiona na klatce piersiowej i przygląda się osprzętowi. – Biorąc pod uwagę, że sam je dla ciebie zrobiłem i niemal spłonąłem, kiedy mu to wkładałem. – Unosi brew, patrząc na Tairna. – Mimo że sam pomagał projektować siodło, muszę zaznaczyć.

*Pierwsze modele były nieakceptowalne, a rano miałeś czelność uszczypnąć mnie w łuski, próbując je nieporadnie nałożyć.* Tairn mruży złote oczy.

– A skąd miałem wiedzieć, że skóra z prototypu tak łatwo się spali? Poza tym nie ma żadnej instrukcji dotyczącej tego, jak osiodłać smoka – ironizuje Xaden.

– To bez znaczenia, bo nie mogę tego użyć. – Odwracam się twarzą do Xadena. – Jest piękne, wspaniale wykonane...

– I? – zaciska szczęki.

– I wszyscy będą wiedzieć, że nie jestem w stanie utrzymać się na grzbiecie. – Moje policzki płoną.

– Przykro mi to mówić, Violence, ale wszyscy już o tym wiedzą. – Wskazuje na siodło. – A to najbardziej praktyczny sposób, by umożliwić ci latanie. Siodło jest wyposażone w paski, które oplatają twoje nogi i teoretycznie powinnaś być w stanie zmieniać pozycję w trakcie długich lotów bez odpinania się, bo zamontowaliśmy również pas na kolana.

– Teoretycznie?

– Tairn nie pozwolił mi przetestować siodła w locie.

*Prędej ciało zgnije na moich kościach, niż pozwolę ci na siebie wsiąść, dowódco skrzydła.*

Cóż, to bardzo obrazowe.

– Posłuchaj, żadna zasada tego nie zabrania. Sprawdziłem. Co więcej, wyświadcysz Tairnowi przysługę, bo nie będzie musiał marnować mocy na trzymanie cię w miejscu i zamartwianie się tobą. I ja też będę spokojniejszy, jeśli to coś dla ciebie znaczy.

Wbijam paznokcie w dłonie, próbując wymyślić kolejny powód, kolejną wymówkę, ale na nic takiego nie wpadam. Chcę udawać, że wcale nie różnię się od innych jeźdźców, ale prawda jest inna.

*Cholera, na widok tej twojej walecznej, zaciętej miny mam ochotę cię pocałować.* Twarz Xadena pozostaje beznamiętna, nawet znudzona, ale w jego oczach czai się żar, kiedy przenosi wzrok na moje usta.

*I mówisz to teraz, gdy wszyscy mogliby nas zobaczyć, jeśli byś to zrobił.* Oddech grzęźnie mi w gardle.

*Skąd pomysł, że przejmuję się zdaniem innych?* Kąciki jego ust się unoszą, a ja nie potrafię skoncentrować się na niczym innym. Niech go szlag. *Przejmuję się tylko tym, co myślą o tobie.*

Bo jest dowódcą skrzydła.

*Nie ma nic gorszego niż kadeci plotkujący na temat tego, że załatwiłaś sobie ochronę poprzez łóżko.* Tak właśnie powiedziała Mira przed spacerem po moście.

– Wskakuj, Sorrengail. Musimy wygrać bitwę.

Przenoszę wzrok na niesamowitą, zawiłą konstrukcję siodła.

– Jest piękne. Dziękuję, Xaden.

– Nie ma za co. – Pochyliła się, a przez mój kręgosłup przebiega dreszcz, kiedy jego usta ocierają się o ucho. – Uznajmy, że wykorzystałaś swoją przysługę.

– Czy to siodło?

Odskakuję od Xadena, ale on nawet nie drgnie, kiedy zjawia się Dain, który trzyma w ręce długi na cztery stopy drążek z żółtą flagą. Patrzy na Tairna szeroko otwartymi oczami.

*Nie, obroźa, prycha* Tairn, obnażając zębiska.

Dain robi kilka kroków w tył.

– Tak – odpowiada Xaden. – Masz z tym jakiś problem?

– Nie. – Dain patrzy na Xadena jak na idiotę. – Dlaczego miałbym mieć z tym problem? W razie gdybyś nie zauważył, zależy mi na bezpieczeństwie Violet.



– To dobrze. – Xaden kiwa głową i odwraca się w moją stronę.

*Pewnie zrobiliby się bardziej niezręcznie, gdybym pocałował cię teraz, co?*

Tak, chętnie.

*Kiedy pocałujemy się następnym razem, mam nadzieję, że nie zrobimy tego po to, by wkurzyć Daina.*

Do pocałunku powinno dojść pod warunkiem, że sami tego chcemy.

*Następnym razem, tak?* Ponownie zawiesza wzrok na moich ustach.

I oczywiście nie mogę teraz przestać myśleć o niczym innym. Przypominam sobie dotyk jego ust na swoich, jego język, to, jak trzymał mnie za kark. Mam ochotę się do niego przysunąć, ale z trudem się powstrzymuję.

– Idź poprowadzić swoje skrzydło... czy co tam zamierzasz robić.

– Ukradnę jajo. – Błyska uśmiechem i odwraca się w stronę Daina. – Nie pozwól, by Pierwsze Skrzydło dorwało naszą flagę.

Dain kiwa głową, a Xaden przechodzi przez polanę w stronę Sgaeyl.

– Piękne siodło – zauważa Dain.

– To prawda – zgadzam się. Uśmiecha się do mnie, a potem podchodzi do Catha.

Zbliżam się do przedniej nogi Tairna i niemal chce mi się śmiać, kiedy się dla mnie pochyla.

– Ej, nie ma drabiny?

*Myśleliśmy o tym i doszliśmy do wniosku, że mogłoby ci to zaszkodzić.*

– Oczywiście, że o tym pomy... – urywam, kiedy w moją stronę pędzi złoty pocisk. – Andarna?

*Ja też chcę wziąć udział w bitwie.* Wyhamowuje z poślizgiem bezpośrednio przede mną.

Otwieram usta i zamykam je. Andarna trenowała latanie z nami i przez krótki czas potrafi nadążyć za Tairnem, ale błysk tych złotych łusek w słońcu... przyciągnie uwagę wszystkich.

Ale jeśli ja mogę mieć siodło, to...

– W porządku. – Przesuwam wzrokiem po lądowisku, które po odwilży tonie w błocie. – Idź się wytarzać. – Wskazuję na kałużę. – Chyba że utrudni ci to poruszanie skrzydłami? Najbardziej martwią mnie łuski na twoim brzuchu, bo rzucają się w oczy.

*Żaden problem!* Puszczam się pędem, a ja wspinam się na Tairna. Okazuje się, że siodło znajduje się w zagłębieniu za jego karkiem, tuż przy łuskowym łuku.

– A nie mówiliście przypadkiem, że skórzane siodło do niczego się nie nadaje? – Zostało pokryte wspaniałą czarną skórą i zakończone dwoma łękami na moje ręce, a kiedy się na nim sadowię, okazuje się bajecznie wygodne. Pochyliłam się i poprawiam strzemiona, zwiększając napięcie pasków.

*Skóra jest ryzykowna tylko na mojej piersi, w razie gdybyśmy znaleźli się pod ogniowym ostrzałem, bo wtedy siodło od razu by się ześlizgnęło. Ale jeśli dostaniesz ognistym pociskiem na górze, siedzenie na kawałku metalu cię nie uratuje.*

Nie ma sensu wypominać, że tylko smoki są w stanie ziać ogniem, co nie będzie problemem, bo gryfy mają jedynie dzioby i szpony. Znajduję kolejne paski i zapinam je na udach.

*To jest genialne, zwracam się do Xadena.*

*Jak już dzisiaj wygramy, daj znać, czy będzie trzeba coś poprawić.*

Arogancki palant.

Chwilę później wzbijamy się w powietrze. Andarna podąża za nami, trzymając się blisko Tairna, tak jak ćwiczyliśmy.

Celem naszej misji jest utrzymanie flagi z dala od naszych wrogów, więc oblatujemy dookoła długie na sto mil pole bitwy, które graniczy ze środkową częścią łańcucha górskiego, podczas gdy pozostali lecą na zwiady i poszukiwania.

Po godzinie zaczynam się zastanawiać, czy to zadanie – które teoretycznie miało być dla niego zaszczytem – nie miało na celu ukarania Daina. Nasza dwunastka została podzielona na dwie spójne sześciuosobowe formacje. Jedna z nich liczy sobie siedem smoków, jeśli uwzględnić Andarnę. Dain, prowadzący swoją grupę przed nami, trzyma flagę, a kiedy docieramy do kolejnego górskiego wierzchołka, skręca w prawo.

Tairn nurkuje w lewo, a mnie oblewa zimny pot, kiedy suniemy wzdłuż górskiego zbocza. Szerokie paski wbijają się w moje uda, stabilnie trzymając mnie w miejscu, serce bije szybko, kiedy zalewa mnie czysta ekscytacja, a wiatr owiewa twarz i gogle. Lecimy coraz niżej i niżej.

I po raz pierwszy nie boję się, że spadnę. Ostrożnie puszczam łąki i chwilę później wznoszę ręce nad głową, kiedy pikujemy w stronę doliny.

Przeżyłam na tym świecie dwadzieścia lat i jeszcze nigdy nie czułam się tak żywa jak w tym momencie. Nie muszę nawet uziemiać samej siebie w moich mentalnych Archiwach, bo moc płynie moimi żyłami, iskrzy, wzmacnia wszystkie moje zmysły, co niemal graniczy z bólem.

Tairn rozpościera skrzydła, łapiąc w nie wiatr, żeby wyrównać lot.

*Będiesz musiała popracować nad mięśniami ramion, srebrnowłosa. Poćwiczymy w tym tygodniu.*

Wychylam się z siodła na tyle, na ile jestem w stanie, i zauważam Andarnę zaciśniętą w szponach Tairna, kiedy szybujemy nad doliną.

*Dzięki! Teraz sobie poradzę, woła Andarna, a Tairn ją puszcza.*

Moc wprawia moje kości w drgania, jakby szukała ujścia, a ja siadam prosto, tym razem jest jakoś inaczej... jakby moc, którą zazwyczaj to ja kształtuję rękami, teraz chciała ukształtować mnie.

Oblatuje mnie strach. A co, jeśli akurat dzisiaj dojdzie do eksplozji mocy, która jeszcze się nie objawiła? Potrząsam głową. Nie mam czasu zamartwiać się tym, co może się wydarzyć. Najważniejsze są teraz igrzyska. Pewnie moja moc poczuła wolność, bo w końcu nie skupiam się na strachu przed upadkiem. I to wszystko.

Siadam prosto i przelatuję wzrokiem po krajobrazie, gdy Tairn wznosi się coraz wyżej. Nagle moje serce staje. Wysoko w zachodniej części gór zauważam szarą wieżę, która niemal stapia się ze skałami. Nie zauważyłabym jej, gdyby nie...

*Czy ja dobrze widzę?* Strach jeszcze bardziej podsyca niekontrolowaną energię, od której mrowi mnie całe ciało.

Tairn już zdążył odwrócić głowę w tamtym kierunku.

*Smoki.*

Obracam się w stronę Liama i Rhiannon i zauważam, że Tairn musiał już przekazać wiadomość, bo odłączamy się od formacji, kiedy trzy smoki odbijają się od skalnej półki nad nami i się rozpraszają.

Teraz będziemy musieli zmierzyć się z nimi jeden na jednego, ponieważ nie stanowimy wspólnego celu.

Uderza we mnie lodowa nawałnica, grad odbija się od łusek Tairna. Musi złożyć skrzydła, żeby nie dopuścić do ich przedziurawienia.

Szybujemy w dół i zbliżamy się do ziemi z alarmującą prędkością. Mam wrażenie, że żar i energia zaraz strawią moje ciało. Nawet moje gałki oczne płoną. O kurwa, a jednak moja moc objawi się w trakcie igrzysk.

*Skup się na uziemianiu, ale już!,* ryczy Tairn.

Zamykam oczy, stawiam obie stopy na marmurowej podłodze Archiwów, wznoszę wokół siebie ściany, ale zostawiam wejścia tylko dla strumienia mocy Tairna, Andarny i myśli Xadena. Od razu odzyskuję nad sobą kontrolę.

Kiedy otwieram oczy i zaczynamy się wznosić, Tairn wymachuje skrzydłami z taką siłą, że z każdym łopotem coraz bardziej przesuwam się na tył siodła.

Zostawiliśmy władającego lodem kadeta z Pierwszego Skrzydła za sobą. Krzywię się, gdy smok ledwie wyhamowuje nad ziemią i odbija w kierunku przeciwnym do naszego.

*Właśnie tam muszą trzymać jajo.* Nie ma innej opcji, bo trzy kolejne smoki zajęły miejsce tamtych, które nadleciały ze skalnej półki.

*Masz rację. Trzymaj się.* Tairn ledwie kończy polecenie, bo z prawej strony nadlatuje smok i atakuje nas ognistym podmuchem.

– Tairn! – krzyczę, patrząc z przerażeniem na zbliżający się w naszą stronę strumień.

Tairn prostuje się, przyjmując atak na swój brzuch, dzięki czemu osłania mnie przed parzącymi płomieniami.

Czy kogoś pogięło?

*Andarna?* Jeśli coś jej się stanie tylko dlatego, że Pierwsze Skrzydło ma ochotę na rozlew krwi...

*Jestem odporna na ogień, pamiętasz?*

Oddycham drżąc. Jedno zmartwienie z głowy, ale kolejny smok siedzi nam na ogonie i już otwiera paszczę, przygotowując ognisty pocisk.

Tairn skręca niespodziewanie i robi zamach ogonem, trafiając atakującego smoka w bok, tuż pod skrzydłem. Bestia ryczy i zaczyna spadać z niepokojącą prędkością.

Nie skupiam się jednak na jej upadku, bo wykorzystuję ten czas, żeby przyrzeć się górskiej ścianie w poszukiwaniu wieży, którą widziałam wcześniej. Moje serce przyspiesza, kiedy zauważam ją tuż za półką skalną, strzeżoną tylko przez jednego smoka.

*Xaden! Jajo jest tam!,* informuję go.

*Już leczę. Jesteśmy dwadzieścia mil za wami.* Jego głos podszyty paniką napawa mnie strachem, który jeszcze się nasila, kiedy zauważam Deigha i Liama toczącego bitwę ze znajomym mi pomarańczowym skorpionem. To Baide.

I Jack.

*Musimy pomóc Liamowi.*

*Robi się.* Tairn przyspiesza, a Andarna odłącza się i zatrzymuje na skale, gdzie będzie bezpieczna. Pochylam się nad karkiem Tairna, żeby zmniejszyć opór wiatru. Lecimy w górę szybciej niż kiedykolwiek, podmuchy szarpiają moim warkoczem zaplecionym w koronę, luźne kosmyki chłoszczą mnie po twarzy, ale nie odrywam wzroku od Deigha i Liama.

Baide zaciska kleszczowy ogon z trucizną blisko gardła Deigha.

*Jego łuski są twardsze, niż ci się wydaje. To Liam jest w niebezpieczeństwie,* ostrzega Tairn, nie zaprzestając wspinaczki ku niebu.

Już prawie jesteśmy na miejscu, ale Jack dobywa miecza i niespodziewanie przeskakuje z Baide na Deigha, kiedy smoki mocują się tuż przy wieży, do której zbliżamy się z zastraszającą prędkością.

Liam nawet nie ma czasu złapać równowagi, bo Jack zatapia ostrze w jego boku.

– Liam! – Z mojego gardła wyrywa się krzyk, kiedy Jack kopie Liama w brzuch, żeby wyciągnąć z niego miecz... i zrzucić go ze smoka.

*Nie. Nie. Nie.*

Liam spada, wymachując rękami w powietrzu.

*Złap go!*, rozkazuję. Boję się, że nie zdążymy.

Deigh i Baide wpadają na wieżę, a Jack stacza się na najwyższą wieżyczkę. Jego sadystyczny uśmiech jest tak szeroki, że widzę go nawet stąd. Tairn drastycznie zmienia kurs i kieruje się w prawo.

Składa skrzydła, a mnie utrzymują w siodle skórzane paski, kiedy rzucamy się w pogoń za opadającym ciałem Liama. Niestety skały są coraz bliżej, a my znajdujemy się zbyt wysoko.

*Nie.* Czuję ucisk w gardle, nie mogę go stracić. Nie po tym, jak poświęcił kilka miesięcy swojego życia, żeby zadbać o moje bezpieczeństwo. Nie może upaść. To po prostu... niemożliwe.

*Andarno?*, wołam płaczliwie i już otwieram okno w myślach, gdzie czeka jej mieniąca się moc.

*Zrób to*, odpowiada. *Skup się na wszystkim poza tobą i Tairnem!*

Ma rację. Nie złapię Liama, jeśli zamrozę również Tairna.

*Dalej!*

Sięgam po złotą moc i wyginam się, kiedy spływa wzdłuż mojego kręgosłupa, rozlewa się aż po palce rąk i stóp, spowija każdą komórkę ciała, potem emanuje ze mnie falą, która omija Tairna.

Teraz tylko my się poruszamy, przecinamy pozbawione podmuchów wiatru niebo i kierujemy się w stronę nieruchomego ciała Liama, które znajduje się dosłownie kilka stóp od ostrych skał poniżej.

Mamy dosłownie kilka sekund. Całe moje ciało drży z wysiłku, z trudem utrzymuję moc wylewającą się z okna Andarny. Tairn rozkłada skrzydła i wyciąga szpony, łapiąc Liama w locie. Jego ogon ociera się o kamienne urwisko, bo sami ledwie unikamy śmierci.

*Mam go.*

Czas odzyskuje swój rytm, wiatr uderza mnie w twarz, kiedy wspinamy się coraz wyżej i wykonujemy płynny obrót, żeby uniknąć zderzenia z górą.

*Andarna?*

*Jestem bezpieczna.* Jej głos w mojej głowie brzmi jak słaby szept.

Krew wrze ze złości, kiedy odnajduję wzrokiem postać stojącą na wieży. To ostatni raz, gdy ten dupek atakuje moich przyjaciół albo mnie.

Pode mną pojawia się Feirge, a Rhiannon wyciąga ręce. Tairn zwalnia na tyle, by podać jej Liama. On żyje. Musi. Innego scenariusza nie zaakceptuję.

Kątem oka zauważam Catha i inne smoki, które nadlatują z północy tuż przed tym, jak kolejna drużyna zlatuje z półki skalnej powyżej.

Baide szybuje za nami w stronę swojego barbarzyńskiego jeźdźca, który wciąż szczerzy się na tej pieprzonej wieży.

– W górę! – krzyczę. Jedną ręką dobywam ostrza, a drugą przesuwam do zapięcia, żeby uwolnić się w odpowiedniej chwili.

*Nie pozwolę ci się odpiąć!*, ryczy Tairn, kiedy pędzimy naprzód, zostawiając za sobą mniejszego pomarańczowego smoka. Tairn obraca głowę w lewo i wypuszcza strumień ognia w stronę smoków z Pierwszego Skrzydła, żeby je ostrzec. Podziałało, więc możemy je ominąć.

Narastająca moc skwierczy w mojej klatce piersiowej, kiedy spoglądam na Jacka. Dostrzegam chorą satysfakcję na jego twarzy i krew kapiącą z jego miecza. Krew Liama.

Na horyzoncie pojawia się wielki smok. Nie muszę mu się przyglądać ani nawet zaglądać do jego myśli, bo wiem, że to Xaden, ale nie mogę poświęcić mu nawet chwili. Tairn wznosi się coraz szybciej, a moc prześlizguje się po mojej skórze i rozpala krew.

Jeśli to ten moment, jeśli moc zaraz ze mnie eksploduje, to zabiorę tego gnoja ze sobą do grobu. Tairn jest odporny na ogień – ale Jack nie.

– Szybciej! – rozkazuję z desperacją w głosie, bo boję się, że nie zdążymy na czas.

Tairn rzuca się w stronę wieży, wymachując energicznie skrzydłami, a ja instynktownie wyciągam ręce, jakbym mogła przekierować całą kotłującą się we mnie moc w stronę wroga, który właśnie próbował zabić mojego przyjaciela i który niejednokrotnie próbował mnie zabić.

Skwiercząca magia przeistacza się w śmiertelnie niebezpieczny wir energii i chociaż moje stopy są mocno uziemione, moc sięga zenitu i sufit moich Archiwów się kruszy. Moc trzaska nade mną, owija się wokół mnie, otacza stopy.

Jestem niebem i mocą każdej burzy, która kiedykolwiek się przez nie przetoczyła.

Jestem nieskończona.

Z mojego gardła wydobywa się krzyk w chwili, kiedy niebo przecina błyskawica, a za nią rozlega się przerażający grzmot.

W wieżę uderzają srebrno-niebieskie śmiertelne promienie, które w kontakcie ze skałą eksplodują deszczem iskier. Tairn odbija w bok, żeby uniknąć porażenia, a ja obracam się w siodle.

Jack spada z urwiska w lawinie kamieni i już wiem, że tego nie przeżyje.

Potwierdza to ryk żalości Baide.

Drżącymi dłońmi chowam sztylet do pochwy. Krew pokrywa jedynie skały poniżej, chociaż kiedy patrzę na swoje dłonie, powinny być nią upaprane.

Tairn ryczy z niewątpliwą dumą.  
*Poskramiaczka piorunów.*

*Śmierć każdego kandydata jest tragedią – nieuniknioną, lecz akceptowalną. Ten proces pozwala odsiać ziarno od plew, zostawić tylko najsilniejszych jeźdźców i póki przyczyna śmierci nie narusza zasad Kodeksu, żaden jeździec, który przyczynił się do śmierci innego, nie zostanie za to ukarany.*

*Przewodnik po Kwadrancie Jeźdźców autorstwa majora Afendry  
(wersja nieautoryzowana)*



## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

**D**ocieramy na lądowisko kilka minut później, chociaż mam wrażenie, że minęły całe wieki. Sama nie jestem już pewna.

Ziemia trzęsie się pod moimi stopami, kiedy smoki nadciągają z prawej i lewej, a polana szybko zapełnia się świętującymi jeźdźcami z Czwartego Skrzydła i wkurzonymi z Pierwszego. Smoki odlatują, gdy tylko kadeci z nich schodzą. Pozostaje jedynie Andarna, która czeka między przednimi łapami Tairna, aż uporam się z zapięciami.

Jack nie żyje.

Zabiłam go.

To przeze mnie jego rodzice dostaną list, to przeze mnie jego nazwisko zostanie wykute na nagrobku.

Po drugiej stronie pola Garrick wznosi nad głowę kryształowe jajo, Dain wymachuje flagą, a pozostali wiwatują, biegnąc w stronę tej dwójki jak do bogów, którzy zstąpili na ziemię.

Tairn wyciąga łapę, kiedy odpinam ostatni klips i wysuwam się z siodła. Kręci mi się w głowie, zapewne ze stresu, bo z trudem łapię równowagę i ześlizguję się po jego ramieniu.

Wpadam w błoto i podnoszę się na kolana, żeby podejść do Andarny, która wyraźnie wyczerpana leży między łapami czarnego smoka.

– Powiedz mi, że Liam żyje. Powiedz, że było warto.



*Deigh twierdzi, że nic mu nie jest. Miecz trafił go w bok, odpowiada Tairn.*

– To dobrze. Dobrze. Dziękuję ci, Andarno. Wiem, ile cię to kosztowało. – Patrzę w jej złote oczy, a ona mruga powoli.

*Było warto.*

Dopadają mnie mdłości. Zabiłam go. Zabiłam go.

– Ja pierdzielę, Sorrengail! – woła Sawyer. – Pioruny? I nikomu o tym nie powiedziałaś?

Pioruny, przy pomocy których odebrałam komuś życie.

Dopada mnie odruch wymiotny, gdy nade mną zatrzymuje się jakiś cień, ale to nie Xaden. Tairn. Otacza mnie skrzydłami, odcinając od świata, a ja pozbywam się z żołądka wszystkiego, co dzisiaj zjadłam.

*Zrobiłaś to, co konieczne, odzywa się Tairn, mimo to mój żołądek dalej się zaciska i teraz wymiotuję już samą zółcią.*

*Uratowałaś przyjaciela, dodaje Andarna.*

W końcu mdłości przechodzą i z trudem podnoszę się, ocierając usta.

– Pewnie musisz odpocząć, prawda?

*Jestem dumna z tego, że należysz do mnie, głos Andarny słabnie, a powieki stają się coraz cięższe. Nawet jeśli muszę się po tym wykapać.*

Tairn odsuwa skrzydła, a Andarna wysuwa się do przodu i wzbija się w powietrze, kierując się w stronę Kotła.

Patrzę na siodło. Muszę je zdjąć, żeby też odpoczął, ale nie mogę przestać myśleć o tym, że mam prawdziwą moc i przy pierwszym jej użyciu kogoś zabiłam.

– Violet? – U mojego boku pojawia się Dain. – Ten piorun, który uderzył w wieżę, to twoja sprawa?

Ten, który zabił Jacka.

Kiwam głową, przypominając sobie wszystkie razy, gdy celowałam w ramię, a nie w serce. Te wszystkie trucizny, które miały go tylko osłabić, nigdy zabić. W trakcie Odsiewu zostawiłam Orena nieprzytomnego na trawie, a kiedy wdarł się do mojego pokoju, nawet nie celowałam w jego gardło.

To wszystko dlatego, że nie chciałam być morderczynią.

– Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Wydaje mi się, że nie było żadnego poskramiacza piorunów od ponad stulecia... – Nagle zawiesza głos. – Violet?

– Zabiłam go – szepczę, przyglądając się napierśnikowi siodła. To tutaj muszą się łączyć te wszystkie paski, prawda? Jakoś trzeba go z tego wyswobodzić.

Mama będzie ze mnie dumna, kiedy dowie się, że jestem jak inni. Jak ona. Znowu przewraca mi się w pustym żołądku, a mną wstrząsają torsje, jakby ciało próbowało pozbyć się poczucia winy.

– O cholera. – Dain delikatnie gładzi mnie po plecach. – Już wszystko w porządku, Vi.

Tym razem atak mdłości przechodzi szybciej. Dain przyciska mnie do swojej klatki piersiowej i delikatnie mną kołysze, nieprzerwanie głaszcząc po plecach.

– Zabiłam go. – Dlaczego nie mogę wydusić niczego więcej? Jestem jak zepsuta pozytywka, która odtwarza tę samą melodię, a teraz wszyscy to widzą. Widzą, że nie jestem w stanie znieść konsekwencji własnej mocy.

– Wiem, wiem. – Całuje mnie w czubek głowy. – Jeśli nie chcesz używać takiej mocy, to nie musisz...

– Przestań pierdolić od rzeczy. – Xaden odpycha Daina i łapie mnie za ramiona, zwracając twarzą w swoją stronę. – Zabiłaś Barlowe'a.

Kiwam głową.

– Pioruny. Twoja moc to pioruny, prawda? – Patrzy z taką uwagą, jakby odpowiedź stanowiła klucz do wszystkiego, czego potrzebuje.

– Tak.

Zaciska szczęki i przytakuje.

– Tak myślałem, ale nie byłem pewien, dopóki nie zobaczyłem, jak atakujesz tę wieżę.

Tak myślał? Co to w ogóle ma znaczyć?

– Posłuchaj mnie, Sorrengail. – Unosi rękę i zakłada mi za ucho luźne kosmyki włosów. Jego dotyk jest zaskakująco łagodny. – Świat stanowi lepsze miejsce bez Barlowe'a. Oboje o tym wiemy. Czy wolałbym, żeby zaszczyt zakończenia jego żalostnego życia przypadł mnie? Oczywiście. Ale to, co zrobiłaś, ocali setki innych. Był zwykłym dręczycielem, a wraz ze wzrostem siły stałby się jeszcze groźniejszy. Jego smoczyca wybierze sobie innego jeźdźca, gdy będzie już gotowa. Cieszę się, że on nie żyje. Cieszę się, że go zabiłaś.

– Nie chciałam. – Mój głos ledwie zakrawa na szept. – Po prostu byłam taka wściekła, bo przed chwilą dopiero co złapaliśmy Liama. Myślałam, że moja moc mnie zaraz spali. – Patrzę na niego szeroko otwartymi oczami. – Było tak blisko, Xaden. Tak strasznie blisko. Musiałam coś zrobić.

– Wszystko, co zrobiłaś, pozwoliło mu przeżyć. – Kciukiem gładzi mój policzek, ten czuły gest zupełnie nie pasuje do jego tonu i gorejących oczu, które potwierdzają, że wie, czego się dopuściłam.

– Nie chcę tego – wypalam. – Rhiannon potrafi przenosić obiekty, Dain odczytuje wspomnie...

– Hej – upomina mnie Dain.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – rzuca Xaden przez ramię.

– Kaori ożywia swoją wyobraźnię, Sawyer potrafi zginać metal. Mira rozciąga bariery. Każdy ma jakąś moc, która nie tylko jest użyteczna w bitwie, ale

również przydaje się, aby uczynić ten świat lepszym. A co ja mam, Xaden? Jestem pieprzoną bronią.

– Nie musisz używać swoich mocy, Vi – zaczyna Dain łagodnym i pocieszającym głosem.

– Przestań się z nią, kurwa, cackać – cedzi Xaden. – To nie jest dziecko. To dorosła kobieta. Jeźdźczyni. Więc zacznij ją tak traktować i miej chociaż odwagę powiedzieć jej prawdę. Myślisz, że Melgren albo matka Sorrengail, czy którykolwiek z generałów pozwoli jej lekceważyć taką moc? Przecież nie może tego ukryć, bo właśnie zburzyła jeden z ćwiczebnych fortów.

– Zależy mu na tym, żebyś była taka jak on – spiera się Dain. – Żebyś stała się zimnokrwistą zabójczynią. Jeszcze chwilę, a będziesz jej mówić, że wszystko w porządku, że przyzwyczajai się do zabijania.

Xaden przeszywa go groźnym spojrzeniem.

– Krew w moich żyłach jest równie ciepła co w twoich, Aetos, a jeśli zależy ci na mojej posadzie od nowego roku, to lepiej pogódź się z tym, że człowiek nigdy nie przyzwyczajai się do zabijania, ale musi zrozumieć, że czasami jest to konieczne. – Odwraca się i wbija we mnie ciemne spojrzenie. – To nie jest przedszkole. To wojna. Już raz to mówiłem, ale przykra prawda, o której ci nieprzebywający na froncie ciągle zapominają, jest taka, że na wojnie zawsze są trupy.

Zaczynam kręcić głową, ale Xaden mruży oczy.

– Może ci się to nie podobać, możesz tym gardzić, ale taka moc jak twoja ratuje ludzi.

– Zabijając ich? – wołam płaczliwie. Jeśli Sgaeyl ma rację, jeśli moc odzwierciedla to, jacy jesteśmy w głębi, to przezwisko Xadena idealnie do mnie pasuje. Violence. Uosobienie przemocy.

– Dzięki temu, że pokonasz wrogie armie, nie uda im się skrzywdzić cywilów. Chcesz uchronić przed śmiercią siostrzeńca Rhiannon w tej małej wiosce przy granicy? Uda ci się to właśnie dzięki tej mocy. Chcesz ochronić Mirę, kiedy walczy za linią wroga? Oto twój sposób. Nie jesteś zwykłą bronią, Sorrengail. Jesteś bronią absolutną. Jeśli popracujesz nad swoją mocą, nauczysz się ją kontrolować, będziesz potrafiła ochronić całe królestwo. – Znowu odgarnia mi włosy z oczu, żebym mogła dojrzeć szczerłość w jego źrenicach. Kiedy upewnia się, że nie będę się więcej spierać, obraca głowę w bok. – Rhiannon, możesz zabrać ją do cytadeli?

– Oczywiście. – Rhiannon podbiega do mnie bez zwłoki.

Dain prycha i zostawia nas, żeby dołączyć do innych dowódców.

– Siodło... – zaczynam.

– Tairn sam potrafi je ściągnąć. Był to jeden z jego wielu wymogów. – Xaden odwraca się, żeby odejść, ale nagle się zatrzymuje. – Dziękuję za to, że uratowałaś Liama. Jest dla mnie ważny.

– Nie musisz mi dziękować... – Wzdycham, patrząc na jego plecy. – No i sobie poszedł.

– Macie najdziwniejszy związek, jaki widziałam – komentuje Rhiannon, łapiąc mnie pod ramię.

– Nie jesteśmy w związku. – Spoglądam na Tairna, który o dziwo powściągnął język przez całą rozmowę.

*Idź, ponagla mnie. Jednak nie uginaj się pod naporem wyrzutów sumienia, srebrnowłosa. To, co czujesz... Pozwól sobie to poczuć, a potem daj temu odejść. Dowódca skrzydła ma rację. Z taką mocą jesteś największą nadzieją królestwa przeciwko hordom zła, które chcą je zniszczyć. Odpocznij i zobaczymy się jutro. Sam wyswobodzę się z siodła.*

– Bez wątpienia jesteście w związku – kontynuuje Rhiannon, ściągając mnie z lądowiska. – Nie jestem tylko pewna, czy to partnerstwo z kategorii „przeciwieństwa się przyciągają”, przez które skaczecie sobie do gardeł, czy powoli rozpalający się śmiertelnie niebezpieczny ogień napięcia seksualnego. – Zerka na mnie z ukosa. – A teraz gadaj, jak to możliwe, że przemieściliście się tak szybko.

– O czym ty mówisz?

– Kiedy Liam spadał, Feirge i ja leciałyśmy tak szybko jak to możliwe, ale wiedziałam, że jesteśmy za daleko, by go dogonić i myślałam, że wy... – Kręci głową. – Po prostu wyglądało to tak, jakbyście w jednej chwili byli wysoko nad nim, a w następnej tuż obok. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby smok latał tak szybko. Mam wrażenie, że mrugnęłam i przegapiłam cały lot.

Teraz poczucie winy gryzie mnie z zupełnie innego powodu. Rhiannon jest moją przyjaciółką, najbliższą mi osobą w tej szkole, bo – jeśli mam być szczerą – z Dainem nie łączy mnie już przyjaźń. Kto jak kto, ale ona powinna...

*Nie miej wyrzutów sumienia przez to, że nie możesz jej powiedzieć. Ten sekret należy do smoków, nie do ciebie, ostrzega Tairn. Nikt nie może narażać naszych młodych na niebezpieczeństwo. Nawet ty, srebrnowłosa.*

– Tairn jest piekielnie szybki – rzucam tonem wyjaśnienia. To nie jest kłamstwo, ale też nie do końca prawda.

– Dzięki za to bogom. Zihnal musi kochać Liama, bo dzisiaj dwa razy uniknął śmierci.

Tyle że to nie Liam oszukał śmierć.

Tylko ja.

Zastanawiam się, czy w jakimś innym świecie Malek siedzi na swoim tronie rozdrażniony, bo wydarłam mu duszę z garści.

Z drugiej strony dałam mu tę Jacka.

A to z kolei mogło zniszczyć moją na zawsze.

\* \* \*

**D**rewniana tarcza na mojej ścianie kołysze się, kiedy zatapiam w niej sztylet tuż obok poprzedniego. Może i jestem wściekła na cały świat, ale przynajmniej wciąż mam celne oko. Jeśli spudłuję, istnieje szansa, że sztylet wyleci przez okno, bo tarcza znajduje się tuż obok.

Wyrzucam jeszcze trzy ostrza z zawrotną prędkością i trafiam w gardło drewnianej figury w kształcie człowieka.

Po co rzucać w ramiona, skoro potrafię zabijać ludzi samą błyskawicą? Po co do tej pory się hamowałam? Jednym ruchem nadgarstka ciskam sztylet, który utyka w tarczy. W tym momencie rozlega się pukanie do moich drzwi.

Albo to Rhiannon, która przyszła po raz dziesiąty zapytać, czy chcę porozmawiać o tym, co się dzisiaj wydarzyło, albo to Liam...

Zamieram. To na pewno nie on, bo Liam wciąż leży w izbie chorych, gdzie goi mu się rana.

– Proszę. – Kogo obchodzi, że mam na sobie tylko koszulę nocną? Przecież mogę rzucić w intruza nożem i zadać mu śmiertelne obrażenia albo strzelić błyskawicą.

Drzwi otwierają się, a ja posyłam w stronę celu kolejny sztylet. Ten wzrost i ciemne włosy, które widzę kątem oka? Ten niesamowity zapach? Nawet nie muszę się odwracać, bo moje ciało pamięta, że to Xaden.

A potem moje ciało przypomina mi dokładnie, jak to jest czuć na sobie jego usta i brzuch atakują motyle. Cudownie. Jestem zbyt rozdrażniona, by użerać się teraz z nim, albo z uczuciami, które we mnie wzbudza.

– Wyobrażasz sobie, że to ja? – pyta, zamykając drzwi i opiera się o nie, krzyżując ramiona na klatce piersiowej. Jego wzrok prześlizguje się po moim ciele od stóp do głów.

Kiedy tak na mnie patrzy, nawet wiosenny wietrzyk wpadający przez otwarte okno nie wystarcza do tego, by ochłodzić moją skórę.

Mój długi warkocz kołysze się na plecach, kiedy wychylam się, żeby wziąć z toaletki kolejny sztylet.

– Nie. Ale dwadzieścia minut temu ciskałam w twoją głowę.

– A teraz w kogo? – Unosi brwi i krzyżuje nogi w kostkach.

– I tak nie znasz. – Delikatny ruch nadgarstka i ostrze trafia w mostek. – Co ty tutaj robisz? – Zerkam w jego stronę na tyle długo, by zauważyć, że się wykąpał i ma na sobie normalny mundur zamiast stroju do latania. Oczywiście nie umyka mi to, jak bosko się prezentuje. Chociaż raz chciałabym go zobaczyć potarganego albo zdenerwowanego, bez tej całej kontroli, którą nosi jak zbroję. – Niech zgadnę. Skoro Liam jest niedysponowany, przyjąłeś sobie za punkt honoru, by walnąć mi kazanie na temat spania w samej bawelnie.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby walnąć ci kazanie – mówi łagodnie, a ja wyczuwam ciepło jego wzroku, które jak najczulsza pieśczoła prześlizguje się po cienkim czarnym materiale. – Ale dobrze widzę, że nie masz na sobie zbroi.

– Nikt nie będzie na tyle głupi, by mnie teraz zaatakować. – Biorę z toaletki kolejne sztylety, moja sterta sukcesywnie się pomniejsza. – Bo mogę zabić ich z odległości pięćdziesięciu jardów. – Stukam palcem w czubek ostrej jak brzytwa broni i odwracam się nieznacznie w jego stronę. – Myślisz, że to działa również w środku? Chodzi mi o to, jak osoba poskramiająca pioruny miałyby z nich korzystać, jeśli nad głową nie ma nieba? – Patrzę mu w oczy i rzucam sztyletem w cel. Rozlega się satysfakcjonujący dźwięk pękającego drewna, który świadczy o tym, że trafiłam.

– Cholera, to bardziej podniecające, niż powinno. – Zaczerpuje oddechu. – Myślę, że sama będziesz musiała do tego dojść. – Zatrzymuje wzrok na moich ustach i napina ramiona.

– Nie zamierzasz wkroczyć i powiedzieć, że możesz mnie trenować? Że możesz mnie uratować? – Cmokam. Mam nieodpartą ochotę, by przesunąć językiem po liniach piętna na jego szyi, śledząc ten skomplikowany wzór. – To bardzo nie w twoim stylu.

– Nie mam pojęcia, jak trenuje się poskramiaczkę piorunów, a z tego, co dzisiaj widziałem, nie potrzebujesz ratunku. – Lustruje moje ciało od nagich palców stóp, przez rąbek ubrania na udach, piersi i szyi, a na końcu patrzy mi w oczy z nieskrywaną tęsknotą.

– Tylko przed samą sobą – mamroczę. Kiedy tak na mnie patrzy, myślę o zrobieniu z nim takich rzeczy, że z pewnością bym się potem nie podniosła, ale dzisiaj chyba mam to gdzieś. To niebezpieczne połączenie. – W takim razie co tutaj robisz, Xaden?

– Wygląda na to, że nie jestem w stanie trzymać się od ciebie z daleka – mówi to niezadowolonym tonem, a mimo to i tak oddech więźnie mi w płucach.

– A nie powinieneś teraz świętować?

Jak wszyscy obecnie.

– Wygraliśmy bitwę, nie wojnę. – Odpycha się od drzwi i robi jeden krok, zmniejszając dystans między nami. Chwyta za mój warkocz przewieszony przez

ramię i powoli przesuwając kciukiem po jego kosmykach. – I domyśliłem się, że wciąż możesz być zła.

– Powiedziałaś, że mam nie przesadzać, pamiętasz? Więc co cię obchodzi, czy jestem zła? – Krzyżuję ramiona na klatce piersiowej, wybierając złość zamiast pożądania.

– Powiedziałem, że musisz pogodzić się z zabijaniem. Nigdy nie mówiłem, że masz nie przesadzać. – Puszczam mój warkocz.

– A jednak powinnam przestać, prawda? – Kręcę głową i wracam na środek pokoju. – Spędzamy tutaj trzy lata, żeby nauczyć się, jak zostać mordercami, co więcej, awansujemy i chwalamy tych, którzy robią to najlepiej.

Słowa nie wzbudzają w nim żadnej reakcji. Przygląda mi się jedynie z tym swoim wkurzającym spokojem.

– Nie jestem zła przez to, że Jack nie żyje. Oboje dobrze wiemy, że od czasu spaceru po moście chciał mnie zabić i w końcu by to zrobił. Jestem zła, ponieważ zabicie go mnie zmienia. – Klepię się po sercu. – Dain powiedział, że to miejsce odziera człowieka z pozorów i odsłania to, jacy jesteście w głębi.

– Nie zamierzam się z tym spierać. – Obserwuję, jak krążę po pokoju.

– I nie mogę przestać myśleć o tym, że jako dziecko zapytałam tatę, co by się stało, gdybym chciała zostać jeźdźczynią jak mama czy Brennan, a on powiedział, że nie jestem taka jak oni. Że moja ścieżka jest inna. Tyle że to miejsce pozbawiło mnie pokory, delikatności i okazało się, że moja moc jest bardziej destrukcyjna niż czyjakolwiek. – Zatrzymuję się przed nim i unoszę ręce. – I przecież nie mogę obwinić za tę moc Tairna. Nie żebym była do tego zdolna. Moc jest wynikiem charakteru jeźdźcy, smok ją jedynie podsyca, co oznacza, że ona zawsze czaiła się we mnie i tylko czekała, aż zostanie uwolniona. I pomyśleć, że... – W gardle dławi mnie gęsia łza. – Przez ten cały czas miałam maleńki promyczek nadziei, że będę taka jak Brennan, a to odmieni wymyśloną przeze mnie bajkę. Że moją mocą będzie uzdrawianie, że będę potrafiła naprawiać zepsute rzeczy. Zamiast tego sprawiam, że się rozpadają. Ilu ludzi zabiję przy pomocy tej umiejętności?

Jego wzrok łagodnieje.

– Tyłu, ilu postanowisz. To, że dzisiaj zyskałaś moc, nie oznacza, że straciłaś serce.

– Co jest ze mną nie tak? – Potrząsam głową, zaciskając dłonie w pięści. – Każdy inny jeździec byłby zachwycony. – Nawet w tej chwili czuję szumiącą pod moją skórą moc.

– Nigdy nie byłaś jak inni jeźdźcy. – Podchodzi bliżej, ale mnie nie dotyka. – Najpewniej dlatego, że nigdy nie chciałaś tu być.

Na bogów, pragnę jego dotyku, by wymazał ten koszmarny dzień, żeby pomógł mi poczuć coś poza tym dojmującym wstydem.

– Żadne z was nie chciało tutaj trafić. – Patrzę znacząco na piętno na jego szyi. – Ale wszyscy radzicie sobie świetnie.

Przygląda mi się tak badawczym wzrokiem, że mam wrażenie, jakby dostrzegł we mnie zbyt wiele.

– Większość z nas spaliłaby to miejsce do gołej ziemi, gdybyśmy mieli taką szansę, ale każdyznaczony chce tu być, ponieważ to nasza jedyna szansa na przetrwanie. Z tobą jest inaczej. Zależało ci na spokojnym życiu w otoczeniu książek i historii. Chciałaś opisywać bitwy, a nie w nich uczestniczyć. Wszystko jest z tobą w porządku. Możesz być wściekła za to, że zabiłaś dzisiaj człowieka. Możesz być wściekła za to, że ten człowiek próbował zabić twójgo przyjaciela. W tych czterech ścianach możesz czuć wszystko, co tylko chcesz.

Znajduje się na tyle blisko, że jestem w stanie wyczuć ciepło jego ciała przez cienki materiał ubrania.

– Ale nie poza nimi. – To nie jest pytanie.

– Jesteśmy jeźdźcami – odpowiada, jakby to wszystko tłumaczyło. Łapie mnie za rękę i przyciąga je do swojej klatki piersiowej. – Dlatego rób, co musisz, żeby się wyżyć. Jeśli musisz krzyżeć, krzyż na mnie. Jeśli chcesz coś uderzyć, możesz uderzyć mnie. Wytrzymam to.

Bicie go jest ostatnią rzeczą, na którą mam ochotę. Właściwie w ogóle nie mam już siły walczyć.

– No dalej – zachęca mnie szeptem. – Pokaż mi, na co cię stać.

Staję na palcach i całuję go.



*Romantyczne związki nie są zakazane, jednakowoż odradza się kadetom angażowanie się w owe relacje w trakcie nauki w kwadrancie, aby nie zaburzać działania drużyny.*

Artykuł Piąty, Ustęp Siódmy, Kodeks Jeźdźców Smoków



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Jego ciało tężeje na sekundę, dwie, a potem Xaden obraca mnie z oszałamiającą prędkością i przyciska do drzwi, aż dzwonią zawiasy. Wow. Jedną ręką unieruchamia moje nadgarstki nad głową.

– Violet – jęczy Xaden tuż przy moich ustach. Jego błagalny ton rozpala w moich żyłach zupełnie inną energię. Kręci mnie to, że nasza bliskość ma na niego taki sam wpływ jak na mnie. – Nie myślisz teraz jasno.

– Przeciwnie, właśnie tego chcę – odpowiadam. Chcę zastąpić gniew pożądaniem, wyprzeć śmierć, przypominając sobie o moim bijącym sercu i pulsującym ciele, które potwierdzają, że żyję. I dobrze wiem, że on może mi w tym pomóc. – Powiedziałaś, że mam zrobić to, czego potrzebuję. – Napieram na niego piersiami.

Jego oddech się zmienia, a w oczach zauważam walkę, którą zamierzam wygrać.

Czas przestać się cackać z tym całym napięciem i po prostu je uwolnić.

Xaden nachyla się, a jego usta od moich dzieli zaledwie cale.

– A ja ci mówię, że jestem ostatnią rzeczą, której potrzebujesz. – Przez jego klatkę piersiową przetacza się ledwie powstrzymywany warkot, który rozpala każde zakończenie nerwowe w moim ciele.

– Proponujesz mi kogoś innego? – Moje serce galopuje; właśnie mam okazję wytknąć mu kłamstwo.

– W życiu. – Mruży oczy, w których płonie niepodważalna zazdrość, a potem przyciska mnie biodrami do drzwi i moja ulga, która rozlała się po mnie po jego

odpowiedzi, zostaje zastąpiona czystym pożądaniem. Widzę, że jego słynna samokontrola wisi na włosku, balansując na krawędzi urwiska. Wystarczy tylko jedno lekkie popchnięcie. I będę tak bezczelna, że to zrobię.

– Świetnie. – Unoszę głowę i zaciskam zęby na jego dolnej wardze. – Bo pragnę tylko ciebie, Xaden.

Moje słowa coś w nim uwalniają i wtedy się poddaje.

*W końcu.*

Nasze usta nacierają na siebie, a pocałunek jest gorący, agresywny i zupełnie pozbawiony kontroli. Po moim kręgosłupie spływa fala pożądania, kiedy Xaden łapie w dłonie moje pośladki i przyciska mnie do swoich bioder. Drzwi za mną dygocą, bo odpycham się od nich, żeby jeszcze bardziej na niego naprzec.

Owijam nogi wokół jego talii i krzyżuję je w kostkach. Moja koszula nocna podwija się, ale mam to gdzieś, bo jestem zbyt zajęta jego namiętym pocałunkiem. Pieszczoty jego ust i ruchy zwinnego języka wypychają z mojej głowy wszelkie logiczne myśli, a mój świat zawęża się jedynie do tego pocałunku, tej chwili, tego mężczyzny. Mój. W tym momencie Xaden Riorson jest mój.

A może ja należę do niego? Kogo to obchodzi, póki mnie całuje?

Ciało zalewa uzależniająca fala żaru, rozpalająca każdy cal mojej skóry, kiedy Xaden zmysłowo wyznacza ustami ścieżkę wzdłuż mojej szyi. Wyrzywa mi się jęk.

– Bogowie – mruczy przy moim gardle i się przesuwa.

Drewno szura o podłogę i rozlega się trzask, a potem ląduję tyłkiem na blacie biurka. Kiedy pochyla się nade mną i wsuwa palce w moje włosy na karku, rozplatom nogi, które złączyłam za jego plecami. Oddaję jego pocałunki z taką pasją, jakiej zaznałam tylko przy nim.

Podpieram się rękami o biurko, strącając z niego wszystko, co stoi mi na drodze. Przedmioty przetaczają się po podłodze, a zegar przestaje tykać.

– Rano mnie znienawidzisz. Wcale. Tego. Nie chcesz. – Każde słowo podkreśla pocałunkiem wzdłuż mojej zuchwy i dociera do ucha. Przygryza je delikatnie, a ja wręcz rozpływam się w środku.

– Przestań mi wmawiać, czego chcę. – Sapię ciężko i przeczesuję palcami jego krótkie włosy, odchylając głowę, żeby dać mu lepszy dostęp. Korzysta z tego i zsuwa się z szyi na bark.

Jest mi tak piekielnie dobrze. Każdy dotyk ust na mojej rozgrzanej skórze jest jak żywy ogień, a kiedy skupia niespieszne pieszczoty na wrażliwym fragmencie skóry, z trudem łapię kolejny oddech. Wtedy nagle zamiera; jego gorący, wilgotny oddech owiewa bok mojej szyi.

Nagle dopada mnie niechciana myśl.

– Chyba że ty mnie nie chcesz?

– A czy to wskazuje, że cię nie chcę? – Łapie mnie za rękę i wsuwa ją między nasze ciała. Moje palce zaciskają się na jego długości przez skórzane spodnie. Jest tak twardy, i to dzięki mnie, że z mojego gardła wyrywa się jęk satysfakcji.

– Ja cię zawsze, kurwa, pragnę. – Warczy gardłowo, kiedy zaciskam dłoń, a potem unosi głowę i odnajduje moje spojrzenie. W jego czarnych tęczęwkach upstrzonych złotymi plamkami rozpoznaję dziką potrzebę. Odzwierciedla to, co na pewno odbija się w moich oczach. – Wystarczy, że wejdiesz do pomieszczenia, a ja nie mogę odwrócić od ciebie wzroku. Tak właśnie się dzieje, kiedy się do ciebie zbliżam. Od razu mi staje. A nawet gorzej, w twojej obecności ledwie myślę. – Napiera biodrami na moją rękę, a ja zaciskam palce, czując skurcz w dole brzucha. – Pożądanie nie jest tutaj problemem.

– W takim razie co nim jest?

– Staram się zachować honorowo i nie wykorzystywać cię, kiedy miałaś ciężki dzień. – Zaciska szczęki.

Uśmiecham się i całuję go w kącik ust.

– Tutaj każdy dzień jest ciężki. I wcale mnie nie wykorzystujesz, kiedy proszę – przygryzam jego wargi – nie, błagam cię, żebyś poprawił mi samopoczucie.

– Violet. – Wypowiada moje imię tonem ostrzeżenia, jakby był czymś, czego powinnam się bać. Violet. Używa mojego imienia tylko wtedy, gdy jesteśmy sami, kiedy opadają wszystkie mury i przestajemy udawać, i bogowie mi świadkami, że chcę słyszeć je z jego ust w nieskończoność.

– Wcale nie chcę myśleć, Xaden. Chcę skupić się na odczuwaniu. – Puszczam go i pociągam za wstążkę, by rozpuścić włosy i przeczesać palcami falujące kosmyki.

Jego oczy ciemnieją i już wiem, że wygrałam.

– Ja pieprzę, te włosy – mruczy i jego wargi zatrzymują się tuż nad moimi. – I te usta. Mam ochotę całować cię nieustannie, nawet kiedy mnie wkurzasz.

– To mnie pocałuj. – Wyciągam się i odnajduję jego wargi. Całuję go tak, jakby to była moja jedyna szansa. Taka desperacja nie jest naturalna; to nieokiełznany ogień, który najpewniej strawi nas oboje, jeśli na to pozwolimy.

Pocałunek jest piekielnie, rozkosznie zmysłowy, a ja dosłownie rozplływam się przy nim, odpowiadając na każde pchnięcie jego języka. Smakuje miętą i Xadenem, a ja nie mogę się nim nasycić.

Jest najgorszym uzależnieniem – niebezpiecznym i niedającym się zaspokoić.

– Powiedz mi, że mam przestać – szepcze, wodząc kciukiem po ultrawrażliwej skórze po wewnętrznej stronie mojego uda.

– Nie przestawaj. – Chyba umrę, jeśli to zrobi.

– Cholera, Violet – jęczy, zanurzając rękę między moimi nogami.

Nieważne. Od teraz pragnę, by wypowiadał moje imię właśnie w ten sposób. Właśnie tym tonem.

Muska moją łechtaczkę przez materiał bielizny, a ja odchyłam głowę, gdy przez moje ciało przetacza się eksplozja przyjemności tak słodka, że niemal czuję ją na języku.

Xaden znowu naciera na moje usta – język ociera się o mój, a palcami umiejętnie pieści mnie przez materiał, wykorzystując w tym celu jego tarcie. Próbuję kołysać biodrami, żeby jeszcze bardziej się o niego otrzeć, ale nie mam podparcia dla nóg. Mogę dostać jedynie to, co postanowi mi dać.

– Dotknij mnie – rozkazuję, wbijając paznokcie w jego mocną szyję. Pożądanie dudni we mnie jak werble.

– Jeśli cię dotknę, jeśli wyczuję pod palcami twoje ciepło, to chyba nie będę w stanie się powstrzymać – chrypi tuż przy moich ustach.

Wiedziałam o tym. Czułam to w głębi duszy. I właśnie dlatego byłam gotowa oddać mu ciało.

Ale serce? W tej kwestii nie miało nic do powiedzenia.

– Przestań być taki cholernie honorowy i zerznij mnie, Xaden.

Jego oczy płoną i całuje mnie z takim zapalem, jakbym była powietrzem, którego mu brakuje, jakby od tego zależało jego życie. Możliwe, że moje właśnie od tego zależy. Xaden wsuwa palce pod bieliznę i prześlizguje nimi po wilgotnej tkance. Jego dotyk jest tak porażający, że wyrywa mi się zboląły jęk.

– Jesteś taka miękka. – Całuje mnie głęboko, a jego palce droczą się ze mną i masują, aż dół mojego brzucha kurczy się rozkosznie. Wbijam paznokcie w jego ramię i wyginam plecy w łuk, kiedy wywiera coraz silniejszy nacisk na mój nabrzmiały, unerwiony pączyk. – I założę się, że smakujesz równie dobrze.

Przeszywa mnie przyjemność, która pali moją skórę jak żywy ogień.

– Jeszcze. – Nie jestem w stanie wydusić z siebie niczego więcej. Mój puls przyspiesza. Zaraz eksploduję, stanę w płomieniach, a kiedy wsuwa we mnie jeden palec, wyrywa mi się jedynie słaby jęk. Moje mięśnie zaciskają się, gdy dodaje kolejny.

– Jesteś tak cholernie gorąca. – Jego głos jest niski i chropowaty, jakby połknął rozpalone węgle. – Może to się dla nas źle skończy, ale nie mogę się doczekać, aż poczuję cię na swoim fiucie.

– O bogowie. – Te usta. Opieram ręce o ścianę, żeby złapać równowagę. Coś rozbija się na podłodze, kiedy ujeżdżam jego palce. Zagina je w moim wnętrzu, a mnie wyrywa się głośny okrzyk i zaciskam uda na jego biodrach. A kiedy kciukiem odnajduje łechtaczkę, tarcie i nacisk popychają mnie na skraj oziębiającej błogości.

Xaden zakrywa mi usta swoimi, żeby uciszyć mój jęk, całuje mnie zręcznymi pociągnięciami języka, którego tempo pokrywa się z ruchem palców w moim wnętrzu. Zalewa mnie moc, przedziera się przez moje kości i jeszcze mocniej uczepiam się Xadena, zaskoczona tym niespodziewanym przyływem trzaskającej energii.

*Spójrz tylko na siebie, Violet. Jesteś, kurwa, piękna. Odpuść. Zrób to dla mnie.* Jego słowa przetaczają się przez mój umysł, jego usta są scalone z moimi. Intymność tej chwili popycha mnie na skraj przyjemności.

Xaden pochłania mój krzyk, gdy odchylam głowę, atakowana pierwszą falą orgazmu, na skutek którego napięcie w dole mojego brzucha pęka i zasypuje mój wzrok eksplozją iskier, a ja trzęsę się niekontrolowanie. Za oknem uderza błyskawica, w pokoju błyska raz po raz, kiedy Xaden umiejętnie prowadzi mnie w stronę drugiego orgazmu.

– Xaden – jęczę, gdy przyjemność ustępuje i zapala się na nowo.

Uśmiecha się z satysfakcją i wyciąga palce z mojego ciała. Dyszę ciężko, zachłannie pragnąc więcej. Wyciągam ręce po jego koszulkę. Muszę się jej pozbyć w tym momencie. Xaden rozumie moje zniecierpliwienie, więc rozrywa materiał i wracamy do całowania, wodząc dłońmi nawzajem po swoich ciałach i splatając języki w tańcu. Jego nieprawdopodobnie miękka skóra rozciąga się na twardych mięśniach. Sunę palcami po jego plecach, zapamiętując wszystkie wgłębienia i ruch mięśni przy każdym jego oddechu.

– Potrzebuję cię w tej chwili – dyszę i wyciągam ręce, żeby rozpiąć mu spodnie.

– Wiesz, co mówisz? – upewnia się, kiedy ściągam ubrania z jego bioder, uwalniając długą i grubą męskość. W mojej ręce jest gorąca i twarda, a jęk, który wyrywa się z jego ust, napawa mnie poczuciem władzy.

– Proszę cię, żebyś mnie zerznął. – Wyciągam się, żeby go pocałować.

Z cichym stęknieniem ściąga moje biodra na skraj biurka i zdejmuje mi bieliznę, zostawiając mnie nagą.

Mój puls galopuje.

– Biorę środek hamujący płodność. – Oczywiście, tak jak wszyscy. Nikt nie chce dzieci biegających po uczelni. Ale lepiej powiedzieć niż potem żałować.

– Ja też. – Zaciska dłonie na moich biodrach i unosi je nieznacznie, ocierając się członkiem o moją lechtaczkę. Wyrywa mi się cichy okrzyk i nasze spojrzenia się spotykają. Głód widoczny w każdej napiętej linii jego ciała doprowadza mnie na skraj wytrzymałości. Jeśli to nas wykończy, trudno, potrzebuję go.

Koniec z powstrzymywaniem się.

Wyciągam rękę, żeby naprowadzić członek na moje wejście, ale ustawiliśmy się w niewygodnej pozycji. Jego biodra znajdują się znacznie wyżej niż biurko

i gdybym tak bardzo go nie pragnęła, roześmiałabym się. Przysuwam się bliżej, ale to nic nie daje. Każda sekunda zwłoki w moim odczuciu jest jak cała dekada.

– Pieprzone biurko – przeklina.

W pełni się zgadzam.

Jego bicepsy napinają się, kiedy łapie mnie pod udami, a ja chwytam go za szyję i otaczam nogami w talii. Moja koszulka nocna spływa między nami, kiedy się obraca, a nasze usta spotykają się w wygłodniałym pocałunku. Mocno przyciska mnie do szafy, ale nawet nie zwracam na to uwagi, bo jestem zbyt zajęta muśnięciami języka Xadena i jego ciałem między moimi nogami.

– Cholera. Wszystko w porządku? – pyta.

– Nic mi nie jest. Nie połamiesz mnie.

Wsuwa się we mnie na jeden cal. Krzyczę, zaskoczona doznaniem rozpierania.

*Więcej.* Jestem zbyt zajęta całowaniem go, by powiedzieć to na głos. *Potrzebuję cię całego.*

*Ty mnie wykończysz, Violet.* Resztki jego kontroli opadają i wchodzi we mnie do końca jednym pchnięciem.

Jęczę w jego usta. Jest tak cholernie głęboko, że czuję go dosłownie wszędzie.

*Powiedz, że nic ci nie jest.* Dzięki bogom, już zaczyna poruszać biodrami.

*Jest idealnie.* A nawet lepiej. Energia znów prześlizguje się po mojej skórze, wywołana gorączkową żądzą.

*Jest mi tak kurewsko dobrze.* Napiera na mnie raz po raz, jego pchnięcia są brutalne, ale miarowe, usta ześlizgują się z mojej szyi, rękę zaciska na piersi.

Rozkosz jest tak absurdalnie dojmująca, że nawet nie jestem w stanie myśleć. Z każdym ruchem jego bioder moje plecy obijają się o drzwi szafy, pokój wypełnia się odgłosem naszych stykających się ciał i pękającego drewna. Każde pchnięcie jest przyjemniejsze od poprzedniego. Nie mogę złapać tchu.

*Cholera, nigdy nie będę miał cię dosyć, co?,* odzywa się, ukrywając twarz w mojej szyi, a ja napieram na niego piersiami.

*Zamknij się, Riorson, i pieprz mnie.* Jutro będziemy mogli zacząć żałować.

Wyciągam ręce i jedną z nich chwytam za górny brzeg szafy, żeby móc napotykać każde jego pchnięcie z większą siłą, brać go w siebie jeszcze głębiej. Zsuwa jedno ramiączko mojej koszuli i chłodne nocne powietrze owiewa twardy sutek, ale jego gorące usta szybko go przysłaniają. Z każdej strony napierają na mnie szalejące, niekontrolowane doznania, które skutkują niemal nieznośnym skurczem rozkoszy w mojej głębi.

Drzwi szafy skrzypią i wypadają z zawiasów. Cienie Xadena wystrzeliwiają w powietrze i chronią mnie przed drewnianymi odłamkami. Moja moc rozpala

się w odpowiedzi na jego energię, skwierczy na skórze, a ja łapię go za ramiona i odnajduję jego usta.

Tego nie da się już zatrzymać. Nie możemy przestać.

– Kurwa – syczy. Nie zatrzymuje się nawet na chwilę, obracając nas tak, że za plecami czuję coś miękkiego. Ale to nie jest łóżko. To zasłona spływająca po boku okna.

Energia znów skrzy, kiedy nasze usta się spotykają, a wraz z każdym ruchem jego bioder ten skurcz w moim wnętrzu staje się jeszcze boleśniejszy.

A ta moc... jest nie do wytrzymania. Pali mnie, rozgrzewa krew, szuka ujścia.

– Xaden – wołam płaczącym głosem. Ocieram się o niego, kurczowo trzymając się jego ramion, jakby tylko on kotwiczył mnie na tej ziemi.

– Trzymam cię, Violet – obiecuje, dysząc w moje usta. – Uwolnij ją.

Przeszywa mnie błyskawica tak jasna, że muszę zamknąć oczy. Nad sobą czuję żar i grzmot.

A także wyczuwam dym.

– Niech to szlag. – Pomieszczenie wypełnia się mocą Xadena, która przyćmiewa całe światło. Zasłona opada, ale udaje nam się odsunąć, zanim spalony materiał dotknie mojej skóry.

Przyjemność coraz bardziej zbliża się do szczytu, a Xaden kładzie mnie na podłodze i w końcu mogę wyczuć na sobie ciężar jego ciała, kiedy we mnie wchodzi. Cienie się rozplývają, a jego ciemny wzrok skupiający się na mojej twarzy jest najpiękniejszym widokiem, jaki kiedykolwiek widziałam.

*Jesteś piękny.* Podkreślam każde słowo pocałunkiem.

Pochyla głowę, patrzy mi badawczo w oczy przez chwilę lub dwie, a potem atakuje mnie kolejnym pocałunkiem, po którym wciąż czuję niedosyt.

Ten mężczyzna całuje mnie całym swoim ciałem, jego biodra poruszają się w rytm każdego pchnięcia językiem. Podpiera się na ramionach na tyle, by mnie nie przygnieść, a jego klatka piersiowa ociera się o moje uwrażliwione sutki. Wiem, że on też jest już blisko i nie mam pojęcia, jak długo wytrzymam. Boję się, że zaraz podpale cały pokój.

– Potrzebuję... potrzebuję... – Patrzę mu głęboko w oczy. Nie mogę się wysławić.

– Wiem. – Znowu odnajduje moje usta i wsuwa rękę między nas, żeby tymi utalentowanymi palcami doprowadzić mnie do kolejnego orgazmu. Za oknem znowu błyska, rozlega się grzmot i spowija nas ciemność, kiedy pod nim dochodzę.

Spełnienie zalewa mnie falami, przetacza się raz po raz, a ja zaciskam ręce na ramionach Xadena i poddaję się mu z błogością.

– Jesteś zachwycająca – dyszy.

Gdy mój orgazm dobiega końca, Xaden zatrzymuje się, podkurcza mi nogi i przyciska je do moich piersi, żeby wziąć mnie jeszcze głębiej. Unoszę biodra, żeby wyjść mu na spotkanie, pot pokrywa nasze ciała, a ja z nieskrywaną fascynacją obserwuję, jak traci nad sobą panowanie. Uwielbiam, kiedy wyzbywa się kontroli równie bardzo, jak obawiam się utraty własnej. Kiedy zataczam biodrami koło, Xaden stęka, odchyła głowę i wbija się we mnie. Raz. Drugi.

Po trzecim z jego ust wyrywa się okrzyk i jego członek drga we mnie, a moc uderza smugami cieni w drewniany cel po drugiej stronie okna, rozłupując go na kawałki.

Xaden rozpościera kolejną falę ciemności, żeby osłonić nas przed opadającymi fragmentami, a potem mrok się rozplywa i sztylety, które tkwiły w tarczy, opadają na podłogę z brzękiem.

Wygląda na zszokowanego i zachwyconego zarazem. Leżymy nieruchomo, patrząc sobie w oczy, nasze klatki piersiowe falują. To, co właśnie zrobiliśmy, można opisać jedynie jako absolutne, nieskończone szaleństwo.

– Jeszcze nigdy nie straciłem tak kontroli – przyznaje, opierając ciężar ciała na jednym przedramieniu, żeby drugą ręką odgarnąć mi włosy z twarzy. Ten dotyk jest tak delikatny w porównaniu z tym, czego przed chwilą doświadczyliśmy, że mrugam oszołomiona i się uśmiecham.

– Ja też nie. – Moje usta rozciągają się jeszcze bardziej. – Nie żebym wcześniej miała jakąś moc, nad którą mogłabym stracić panowanie.

Parska śmiechem i przetacza się na bok, trzymając mnie blisko siebie. Wyciąga jedno ramię, żebym mogła oprzeć głowę na jego bicepsie.

W powietrzu wyczuwam dym.

– Czy...

– Podpałałaś zasłony? – Unosi brew. – Tak.

– Och. – Nawet nie jestem w stanie odczuć z tego tytułu zażenowania, więc przesuвам wierzchem palców po zaroście na jego szczęcie. – A ty je zgasiłeś.

– Tak. Tuż przed tym, jak zniszczyłem twoją tarczę do rzucania. – Posyła mi przepraszające spojrzenie. – Załatwię ci nową.

Przenoszę wzrok na szafę.

– I zniszczyliśmy...

– Tak. – Marszczy czoło. – I chyba będziesz potrzebowała również nowego krzesła.

– To było... – Nawet nie zdążyłam zdjąć mu całkowicie spodni, a moja koszula nocna zwisa smętnie z ramienia.

– Przerazająco doskonale. – Przykłada dłoń do mojego policzka. – Powinniśmy się umyć i iść spać. Jutro będziemy martwić się... twoim pokojem.



O dziwo łóżko jest jedyną rzeczą, której nie rozwaliliśmy.

Siadam prosto, żeby to potwierdzić, a Xaden idzie w moje ślady i się pochyła. Od razu tracę zainteresowanie wszystkim poza mięśniami na jego plecach i granatowym symbolem Sgaeyl.

Wyciągam rękę i przesuwam dłonią po zarysie smoczycy. Moje palce zatrzymują się na srebrnych bliznach, a Xaden sztywnieje. Wszystkie są krótkie, cienkie, zbyt precyzyjne, by były to pozostałości po chłóście, w ich wzorze nie ma żadnego porządku i żadna z nich nie przecina się z drugą.

– Jak do tego doszło? – pytam szeptem i wstrzymuję oddech.

– Nie chcesz wiedzieć. – Napina się, ale nie ucieka przed moim dotykiem.

– Chcę. – Te rany nie mogły być przypadkowe. Ktoś zranił go celowo, z premedytacją. Mam ochotę dorwać tę osobę i zrobić jej to samo.

Zaciska szczęki i patrzy na mnie ponad ramieniem. Przygryzam wargę, bo wiem, że ta chwila może skończyć się dwojako – Xaden odetnie się ode mnie na zawsze albo się przede mną otworzy.

– Jest ich tak wiele – mamroczę, przesuwając palcami po jego kręgosłupie.

– Sto siedem. – Odwraca wzrok.

Na dźwięk tej liczby robi mi się niedobrze, a moja ręka zamiera. Sto siedem. O takiej samej liczbie wspomniał Liam.

– Tyle było dzieci przed ukończeniem pełnoletności, które zostały napiętnowane symbolem rebelii.

– Tak.

Przesuwam się, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Co się stało, Xaden?

Odgarnia mi włosy, a przez jego twarz przetacza się wyraz tak bardzo zbliżony do czułości, że moje serce na chwilę traci rytm.

– Zobaczyłem okazję, żeby pójść na układ – przyznaje cicho. – I skorzystałem z niej.

– Co to za układ, po którym zostają ci takie blizny?

Dostrzegam walkę w jego oczach, ale w końcu wzdycha i mówi:

– Taki, przez który biorę odpowiedzialność za lojalność stu siedmiu dzieci rebeliantów i w zamian możemy walczyć o nasze życie w Kwadrancie Jeźdźców, zamiast podzielić los naszych rodziców. – Odwraca głowę. – Wybrałem prawdopodobieństwo śmierci zamiast jej gwarancji.

Okrucieństwo tej propozycji i poświęcenie, na jakie musiał się zgodzić, żeby uratować te wszystkie dzieciaki, uderza we mnie jak cios w brzuch. Przykładam dłoń do jego twarzy, żeby obrócić ją w swoją stronę.

– A więc jeśli któreś z nich zdradzi Navarrę... – Unoszę brwi.

– Przypłacę to życiem. A te blizny mi o tym przypominają.

Właśnie dlatego Liam powiedział, że zawdzięcza mu wszystko.

– Tak mi przykro, że cię to spotkało. – Tym bardziej że to nie on doprowadził do rebelii.

Spogląda na mnie tak, jakby potrafił zajrzeć w głąb mnie.

– Nie masz za co przepraszać.

Kiedy próbuje się podnieść, łapię go za rękę.

– Zostań.

– Nie powinienem. – Między jego brwiami pojawiają się zmarszczki, kiedy patrzy mi w oczy. – Ludzie będą gadać.

– A skąd pomysł, że obchodzi mnie, co myślą inni? – wypominam mu jego własne słowa i siadam, otaczając ramieniem jego szyję. – Zostań ze mną, Xaden. Nie każ mi błagać.

– Oboje wiemy, że to zły pomysł.

– W takim razie to będzie nasz zły pomysł.

Spuszcza smętnie ramiona i wiem, że już wygrałam. Tej nocy jest cały mój. Po kolei wykradamy się z pokoju, żeby się umyć, a potem Xaden kładzie się w łóżku ze mną.

– Tylko w tych czterech ścianach – zaznacza przyciszonym głosem. Rozumiem, co ma na myśli.

– Tylko w tych czterech ścianach – zgadzam się. Przecież nie jesteśmy w związku, ani nic z tych rzeczy. To... źle by wyglądało, bo jestem jego podwładną. – W końcu jesteśmy przede wszystkim jeźdźcami.

– Po prostu nie będę w stanie nad sobą zapanować, jeśli ktoś...

Uciszam go pocałunkiem.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. To... urocze.

Przygryza moją wargę.

– Nie jestem uroczy. Proszę cię, nie myśl sobie, że jakakolwiek część mojej osoby jest dobra lub łagodna. Będiesz przez to cierpieć. I w żadnym razie... – Ukrywa twarz w mojej szyi i głęboko zaciąga się moim zapachem. – Nie zakochuj się we mnie.

Wodzę ręką po jego naznaczonym ramieniu i modlę się, aby nie było już za późno. To przytłaczające połączenie tęsknoty i satysfakcji w mojej piersi na pewno jest skutkiem nie jednego, a trzech orgazmów, prawda? O nic więcej nie chodzi.

– Violence?

Wyglądam przez okno na nieskończone czarne niebo, a moje powieki z każdą sekundą stają się coraz cięższe.

– Dlaczego domyśliłeś się, że będę władać piorunami?

Wyciąga się na tyle, by oprzeć podbródek na mojej głowie.

– Wydawało mi się, że zrobiłaś to wtedy, kiedy Tairn po raz pierwszy przelał w ciebie moc, ale nie byłem pewien, więc niczego nie mówiłem.

– Naprawdę? – Mrugam, wracając myślami do przeszłości, ale mój umysł jest zbyt zmęczony i czuję, że sen zaraz zamknie mnie w swoich objęciach. – Kiedy? – Zamykam oczy.

Xaden mocniej otacza mnie ramieniem i przyciąga do siebie, tył moich ud przyciska się do jego spodni, kiedy zaczynam odpływać.

– Za pierwszym razem, gdy mnie pocałowałaś.

\* \* \*

**K**iedy się budzę, Xadena już tu nie ma, ale wcale nie jestem zdziwiona. Już samo to, że został ze mną na noc, jest szokujące.

Kiedy znajduję na szafce nocnej słoik z wiązką fiołków, moje serce wręcz rośnie w piersi. Mam przejebane.

Co więcej, pozbierał wszystkie połamane odłamki drewna i przeniósł je do jednego kąta, ale musiał zrobić to przy pomocy swoich cieni, bo niczego nie słyszałam.

Wciąż jestem wykończona, ale ubieram się i szybko spinam włosy, bo słońce już wstało. Liam leży w izbie chorych, co oznacza, że czeka mnie dzisiaj samotna wycieczka do Archiwów, ale może w drodze powrotnej uda mi się do niego zajrzeć.

Kiedy sznuruję buty, rozlega się pukanie do drzwi.

– To są chyba jakieś jaja – wołam tak głośno, by intruz usłyszał. – To, że Liam jest ranny, nie oznacza, że potrzebuję kolejnego – szarpnięciem otwieram drzwi i dokańczam – ochroniarza.

Na korytarzu stoi profesor Carr. Jego włosy sterczą we wszystkich kierunkach i patrzy na mnie z naukową ciekawością, a potem unosi brwi na widok zniszczeń w moim pokoju.

– Mamy wiele do zrobienia.

– A ja mam obowiązki w Archiwach – spieram się.

Kwituje to ironicznym śmiechem.

– Zostajesz zwolniona ze swoich obowiązków w Archiwach, dopóki nie opanujemy twojej mocy, żebyś nie spaliła tego miejsca. Błyskawice i papier nie idą ze sobą w parze. Wierz mi, Sorrengail, skrybom nie spodoba się, jeśli choćby zbliżysz się do ich cennych ksiąg, a sądząc po twoim pokoju, nie jesteś w stanie panować nad mocami nawet we śnie.

Próbuję zignorować jego przytyk, bo nie ma w nim krztyny prawdy, ale kiedy się odwraca i rusza korytarzem, podążam za nim.

– Dokąd idziemy?

– Gdzieś, gdzie nie będziesz w stanie podpalić lasu – odpowiada, nie zaszczycając mnie spojrzeniem.

Dwadzieścia minut później docieramy na lądowisko i ku mojemu zdziwieniu Tairn jest już osiodłany.

*Jak to w ogóle zrobisz?*

Prycha oburzony.

*Chyba śnisz, jeśli myślisz, że pozwoliłbym im zaprojektować coś, czego sam nie jestem w stanie włożyć. Pamiętaj, od kogo masz swoje moce, srebrnowłosa.*

*Jak się ma Andarna?*, pytam, kiedy profesor Carr wpycha mi do ręki worek.

– Co to?

*Śpi, ale nic jej nie jest*, zapewnia Tairn.

– Śniadanie – odpowiada Carr. – Czekają cię godziny treningu z użyciem energii, więc przyda ci się coś na ząb. – Dosiada swojego pomarańczowego sztyletogona, a kiedy ja wspinam się na Tairna i zapinam siodło, wzbijamy się w powietrze.

Lecimy w głąb łańcucha górskiego, a rześkie wiosenne powietrze szczypie moje policzki. Cieszę się, że włożyłam dziś strój do latania, bo wiedziałam, że przed obiadem będę miała trening.

Lądujemy niemal pół godziny później, wysoko nad wierzchołkami drzew.

Drzę na całym ciele i pocieram ramiona rękami, bo na tej wysokości temperatury są o wiele niższe.

– Nie przejmuj się. Zaraz się rozgrzejesz – zapewnia mnie Carr. Zeskakuje ze swojego smoka i z kieszeni wyciąga niewielką książkę. – Zgodnie z tym, co wyczytałem wczoraj, twoja umiejętność jest w stanie przegrzać organizm, dlatego... – Wskazuje gestem teren wokół.

– A poza tym nie ma tu niczego, co można by spalić, prawda? – I żadnego świadka, w razie gdyby zdecydował się skrócić mi kark. Zerkam na niego przelotnie, szybko rozpinam pasy siodła i ześlizguję się po przedniej nodze Tairna.

*Nie zostawiaj mnie.*

*Nigdy. Spalę go żywcem, jeśli zrobi chociaż krok w twoją stronę.*

– Zgadza się. – Przygląda mi się uważnie, a ja unikam jego wzroku i sprawdzam opaskę uciskową na kolanie, by upewnić się, że się nie zsunęła. – Zawsze intrygowało mnie to, że natura dąży do równowagi.

– Chyba nie rozumiem, co pan ma na myśli.

– Taka moc u osoby tak... – Wzdycha. – Nie sądzisz, że jesteś krucha?

– Jestem, jaka jestem. – Gotuję się ze złości. Nigdy nie dałam temu profesorowi powodu, by miał mnie za inną.

– Nie próbuję cię obrazić, kadetko. – Wzrusza ramionami i patrzy na siodło. – Chodzi o zachowanie równowagi. Przez całą swoją karierę udało mi się doszukać pewnej korelacji i wynika z tego, że istnieją ograniczenia mocy. W twoim przypadku jest to ciało.

W klatce piersiowej Tairna rozlega się niski pomruk i mój smok spycha na bok mniejszego pomarańczowego.

– Twój smok mi nie ufa – zauważa Carr, jakby stanowiło to naukową zagwozdkę, którą można rozwiązać w drodze badań. – A biorąc pod uwagę, że jest obecnie najsilniejszym w całym kwadrancie...

*Ale nie na Kontynencie, przyznaje Tairn.*

– ...to oznacza, że ty również mi nie ufasz, kadetko Sorrengail. – Wytrzymuje moje spojrzenie, a górski wiatr wprawia jego białe włosy w ruch jak pióra. – A to dlaczego?

*Nie ma sensu kłamać.*

– Poza tym, że właśnie nazwał mnie pan kruchą? – Podchodzę do nogi Tairna, gotowa wspiąć się na niego, jeśli zajdzie taka konieczność. – Widziałam, jak zabił pan Jeremiaha. Jego moc dopiero co się objawiła, a pan skręcił mu kark na oczach wszystkich.

Carr przekrzywia głowę w zamyśleniu.

– Tak, zaczął wyraźnie panikować, a jak ci zapewne wiadomo, myśliłowcy nie mają prawa żyć. Zakończyłem jego cierpienia, nim się zorientował.

– Nigdy nie rozumiałam, dlaczego czytanie w myślach jest karane śmiercią. – Przykładam dłoń do łapy Tairna, jakbym mogła w ten sposób czerpać jego siłę, mimo że ona już przeze mnie przepływa.

– Ponieważ wiedza to potęga. I powinnaś to wiedzieć, bo jesteś córką generały. Nie możemy pozwolić, by ktoś zyskał niekontrolowany dostęp do zastrzeżonych informacji. Stanowiłoby to zagrożenie dla królestwa.

A mimo to Dain żyje.

*Ponieważ Aetos im się przydaje, póki są w stanie go kontrolować.* Tairn wypuszcza obłok pary tuż nad moją głową, a pomarańczowy sztyletogon wycofuje się jeszcze bardziej. *Poza tym jego moc ogranicza się do dotyku, a to zdecydowanie da się kontrolować.*

– Oczywiście masz prawo mi nie ufać i jeśli chcesz, możesz nawet wsiąść na smoka i odlecieć, ale wiedz, że nie zamierzam cię zabić i mam nadzieję, że mi uwierzysz, kadetko Sorrengail. Możesz zapewnić nam znaczną przewagę w tej wojnie i utrata ciebie byłaby tragedią.

Przewaga.

– A to, że związałaś się z Tairnem, czyni ciebie i Riorsona najbardziej pożądaną parą jeźdźców, jaką do tej pory widziało to królestwo. Czy mogę

udzielić ci pewnej rady? – Mruży oczy.

– Droga wolna. – Jest brutalnie szczery, więc przynajmniej wiem, na czym stoję.

– Pamiętaj, wobec kogo jesteś lojalna. Ty i Riorson posiadacie wyjątkowe, śmiertelnie niebezpieczne moce, których zazdrości wam każdy jeździec. Ale razem? – Ściąga krzaczaste brwi. – Moglibyście stać się wrogiem nie do pokonania, a dowództwo nie mogłoby pozwolić wam żyć. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? – Jego głos łagodnieje.

– Navarra jest moim domem, panie profesorze. Oddam życie, żeby ją chronić tak, jak każdy Sorrengail przede mną.

– Znakomicie. – Kiwa głową. – A teraz bierzmy się do roboty. Im szybciej zapanujesz nad piorunami, tym szybciej przestaniemy odmrażać sobie dupy.

– Trafna uwaga. – Przenoszę wzrok na łańcuch górski. – A więc chce pan, żebym tak po prostu... – Wskazuję na skały wokół nas.

– Najlepiej wszędzie, byle nie w nas, jeśli łaska.

Wbijam wzrok w góry wznoszące się w oddali.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co takiego wcześniej zrobiłam, żeby wezwać moc. Doszło do tego pod wpływem emocji.

A tego, co wydarzyło się wczoraj w nocy, nie zamierzam wspominać.

– Interesujące. – Zapisuje coś w notatniku przy użyciu kawałka węgla. – Czy poza wczorajszym przedstawieniem w trakcie igrzysk miałaś okazję wywołać pioruny?

Przez chwilę zastanawiam się nad odpowiedzią, ale wiem, że milczenie mi nie pomoże.

– Parę razy.

– I za każdym razem w reakcji na emocje?

Tairn parska, a ja zderzam go ręką po łapie.

– Tak.

– To zacznijmy od tego. Ugruntuj się w swojej mocy i postaraj się wzbudzić w sobie te same emocje co wcześniej. – Przenosi wzrok na notes.

*Mam wezwać dowódcę skrzydła?*, Tairn bezczelnie drwi w mojej głowie.

*Stul dziób.* Uziemiam obie stopy w Archiwach i wyczuwam moc przepływającą wokół mnie. Zauważam również złotą energię Andarny, ale po wczorajszym dniu jest słabsza niż dotychczas, wysoko nade mną kłębią się atramentowe cienie, które reprezentują więź z Xadenem.

*Masz jakieś problemy?*, odzywa się nagle Xaden, jakby wyczuł moje pytanie. *I co robisz tak daleko?*

*Trenuję z Carrem.* Wystarczy, że słyszę jego niski głos, a na moich policzkach wykwita rumieniec. *A poza tym, skąd wiesz, że jestem daleko?*

*Kiedy twoja moc się wzmocni, też będziesz potrafiła to wyczuć. Znajdę cię wszędzie, gdzie pójdziesz, Violence. Ta obietnica powinna brzmieć jak groźba, ale wcale tak nie jest. Za bardzo podobają mi się te słowa.*

*W tej chwili wolalabym skupić się na wytworzeniu paru błyskawic. Carr patrzy na mnie wyczekująco i zaraz robi się niezręcznie, jeśli nie dowiem się, jak...*

Nagle mój umysł zalewają obrazy przedstawiające... mnie. Jakimś cudem patrzę na siebie oczami Xadena i wyczuwam niepodważalny ogień niezaspokojonego pragnienia. Tracę nad sobą kontrolę... Nie, to Xaden traci nad sobą kontrolę, kiedy jęczę pod nim, ocierając się o jego rękę, a paznokcie wbijam w jego skórę, wywołując przy tym ból graniczący z przyjemnością. Bogowie, pragnę... nie, on mnie pragnie. Pożądanie zakrawające na głód, by poznać mój dotyk, smak, wszystko, co...

Moc zalewa całe moje ciało, iskrzy pod skórą, a pod powiekami błyska światło.

Obrazy znikają, a moje uczucia znów należą tylko do mnie.

Cholera, jestem tak podniecona, że muszę przestąpić z nogi na nogę, żeby złagodzić napięcie między nimi.

– Dobra robota! – Profesor Carr zapisuje coś w notatniku, energicznie kiwając głową.

*Nie wierzę, że to zrobiłeś.*

*Nie ma za co.*

Przykładam wierzch dłoni do rozpalonych policzków.

– A nie mówiłem? – Carr unosi notes. – Ostatni poskramiacz piorunów twierdził, że również przegrzewał się od mocy. A teraz zrób to ponownie.

Tairn rechocze w mojej głowie.

*Ani, kurwa, słowa, ostrzegam go.*

Tym razem skupiam się na uczuciu przepływającej przeze mnie mocy, a nie na tym, co ją wywołało. Sięgam do każdego zmysłu i pozwalam palącej mnie energii sięgnąć szczytu. A kiedy ją wypuszczam, piorun uderza niecałą milę stąd. No i proszę. Wygląda na to, że jednak jestem zarąbista.

– Może tym razem spróbuj popracować nad celnością? – Profesor spogląda na mnie znad notatnika. – Tylko pamiętaj, żeby nie nadwyrężyć fizycznej siły, która pozwala ci kontrolować moc. Nikomu nie zależy na tym, żebyś się wypaliła. Moc Tairna jest tak silna, że cię spopieli, jeśli nie nauczysz się nad nią panować.

Błyskawica uderza jeszcze pięć razy, aż opadam z sił, ale ani razu nie trafia tam, gdzie celuję.

To będzie trudniejsze, niż mi się wydawało.

*Niniejszym ogłasza się dzień pierwszego lipca, rocznicę bitwy pod Aretią, Dniem Ponownego Zjednoczenia i będzie on obchodzony w Navarze co roku, aby upamiętnić poległych w wojnie, którzy oddali życie, żeby uratować nasze królestwo przed separatystami, oraz tych ocalonych dzięki Traktatowi Areteńskiemu.*

Królewskie rozporządzenie króla Tauriego Mądrego



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

**K**iedy zbieram naręczce ubrań z pozostałości mojej szafy, rozlega się pukanie do drzwi.

– Proszę – wołam, rzucając je na łóżko.

Drzwi otwierają się i do pokoju wchodzi Xaden. Jego włosy są potargane, jakby dopiero co zszedł z lądowiska, a mój puls od razu przyspiesza.

– Chciałem tylko... – zaczyna, a potem milknie, rozglądając się po zniszczeniach będących pokłosiem wczorajszej nocy. – Nie wiem, dlaczego wmówiłem sobie, że wcale nie wyrządziliśmy tylu szkód, ale...

– A jednak.

Patrzy na mnie i wymieniamy uśmiechy.

– Posłuchaj, ta rozmowa wcale nie musi być niezręczna czy coś. – Wzruszam ramionami, żeby rozluźnić napięte mięśnie. – Oboje jesteśmy dorośli.

Unosi przeciętą blizną brew.

– To dobrze, bo nie miałem niezręcznej rozmowy w planach. Ale mogę ci chociaż pomóc posprzątać. – Przenosi wzrok na szafę i marszczy nos. – Przysięgam, kiedy wychodziłem dzisiaj rano, po ciemku nie wyglądało to tak źle. I okazało się, że podpałiłaś wczoraj kilka drzew. Trzeba było pomocy dwóch poskramiaczy wody, żeby je ugasić.

Moje policzki płoną.



– Wcześniej wyszedłeś – staram się mówić nonszalanckim tonem. Podchodzę do biurka, które jakimś cudem przetrwało i pochylam się, żeby posprzątać książki, które zrzuciliśmy na podłogę.

– Miałem spotkanie dowództwa i musiałem być na miejscu wcześniej. – Jego ręka ociera się o moją, kiedy się pochyla i podnosi moją ulubioną książkę z baśniami – tę, którą Mira wsunęła do mojego plecaka, zanim opuściliśmy Montserrat.

– Och. – Robi mi się lżej na sercu. – To ma sens. – Dźwigam się i odkładam tom na biurko. – Czyli to nie dlatego, że chrapałam czy coś.

– Nie. – Kącik jego ust się unosi. – Jak poszło na treningu z Carrem?

Bardzo subtelna zmiana tematu.

– Potrafię przyzywać moc, ale nie umiem celować, a kontrolowanie jej jest wykańczające. – Zaciskam usta, przywołując w myślach pierwszą błyskawicę. – Wiesz, wczoraj na lądowisku byłeś dla mnie strasznie niemiły.

Mocno zaciska palce na książce.

– Masz rację. Powiedziałem ci to, co według mnie powinnaś wtedy usłyszeć. Wiem, że nie lubisz, kiedy ludzie widzą cię w chwili słabości, a...

– To była chwila słabości – dokańczam.

Kiwa głową.

– Jeśli cię to pocieszy, kiedy po raz pierwszy kogoś zabiłem, też nie mogłem utrzymać niczego w żołądku. Wcale nie potępiam cię za taką reakcję. To oznacza, że wciąż masz w sobie człowieczeństwo.

– Tak samo jak ty – stwierdzam, ostrożnie biorąc od niego książkę.

– Kwestia dyskusyjna.

Powiedział mężczyzna, który ma na plecach sto siedem blizn.

– Wcale nie. Nie dla mnie.

Odwraca wzrok i wiem, że zaraz znów zasłoni się murami.

– Otwórz się przede mną. Chcę usłyszeć coś prawdziwego – proszę, bo chcę go tu zatrzymać.

– Co takiego? – pyta takim samym tonem jak wtedy, gdy lataliśmy, gdy zostawił mnie samą na górze po tym, jak odważyłam się zapytać o jego blizny.

– Na przykład... – Wyteżam umysł, próbując coś wymyślić. – Na przykład gdzie byłeś tamtej nocy, kiedy spotkałam cię na dziedzińcu.

Marszczy brwi.

– Musisz być trochę bardziej konkretna. Trzeci rok ciągle jest gdzieś wysyłany.

– Byłeś wtedy z Bodhim. Krótco przed Rękawicą. – Nerwowo oblizuję dolną wargę.

– Och. – Podnosi kolejną książkę i odkłada ją na biurko. Widzę, że gra na zwłokę i próbuje zdecydować, czy się przede mną otworzyć.

– Nigdy nie powiedziałabym nikomu o tym, co od ciebie usłyszę – zapewniam.  
– Mam nadzieję, że to wiesz.

– Wiem. Nigdy nie zdradziłaś nikomu, że zeszłej jesieni widziałas nas wszystkich pod drzewem. – Drapie się po karku. – Byliśmy wtedy w Athebyne. Nie możesz wiedzieć, dlaczego ani pytać o nic innego.

– Och. – Nie tego się spodziewałam, nie powinno mnie dziwić, że kadeci zostają wysyłani na posterunek. – Dziękuję, że mi powiedziałeś. – Odsuwam się, żeby odłożyć książkę na miejsce i zauważam, że grzbiet został uszkodzony, kiedy strąciliśmy stary tom z biurka. – Cholera. – Otwieram okładkę i zauważam rozdarcie przy łączeniu.

Coś tam wystaje.

– Co to? – pyta Xaden, zaglądając mi przez ramię.

– Nie jestem pewna. – Kładę ciężką książkę na jednej ręce, a spod oprawy wyciągam jakiś sztywny kawałek pergaminu. Kolana nieomal się pode mną uginają, kiedy rozpoznaję pismo ojca i datę wskazującą na kilka miesięcy przed jego śmiercią.

*Moja droga Violet,*

*kiedy znajdziesz tę wiadomość, najpewniej będziesz już w Kwadrancie Skrybów. Pamiętaj, że folklor jest przekazywany z pokolenia na pokolenie, abyśmy wyciągnęły wnioski z przeszłości. Jeśli go stracimy, stracimy również więź z naszą przeszłością. Wystarczy tylko jedno zdesperowane pokolenie, aby zmienić historię – a nawet ją wymazać.*

*Wiem, że kiedy nadejdzie czas, podejmiesz właściwą decyzję. Zawsze łączyłaś w sobie najlepsze cechy swojej matki oraz moje.*

*Kocham cię*

*Tata*

Marszczę brwi i podaję list Xadenowi, a sama przeglądam książkę. Baśnie są znajome, a ja nadal pamiętam głos taty, kiedy czytał każde słowo, jakbym wciąż była dzieckiem zwiniętym na jego kolanie po długim dniu.

– To dosyć zagadkowe – zauważa Xaden.

– Tata w ogóle zrobił się jakiś... tajemniczy po śmierci Brennana – przyznaję.  
– Stał się jeszcze bardziej wycofany. Spędzałam z nim czas tylko dlatego, że ciągle przebywałam w Archiwach, przygotowując się do zostania skrybką.

Przekartkuję historie o starożytnym królestwie, które rozciągało się od oceanu do oceanu i Wielkiej Wojnie pomiędzy trojgiem braci, którzy walczyli o kontrolę nad magią na tej magicznej ziemi. Część baśni opowiada historie o pierwszych jeźdźcach, którzy nauczyli się tworzyć więź ze smokami oraz o tym, jak te więzi zwracały się przeciwko jeźdźcom, jeśli próbowali wchłonąć w siebie zbyt wiele mocy. W innych – wielkie zło ogarnia ziemię, gdy ludzie zostali sprowadzeni na złą drogę przez czarną magię i przemienili się w istoty znane jako veniny, które z kolei stworzyły skrzydlate kreatury zwane wiwernami i przeczesują ziemię w poszukiwaniu mocy. W kolejnych zawiera się przestroga, by nie czerpać mocy z ziemi, tylko z nieba, ponieważ człowiek mógłby z łatwością oszaleć.

Jednym z celów tych baśni jest pokazanie dzieciom, jakie niebezpieczeństwa pociąga za sobą zbyt wielka moc. Nikt nie chce stać się veninem – to potwory rodem z koszmarów. A już na pewno nie chcemy próbować kontroli nad magią bez naszych smoków. Jednak to tylko bajki czytane dzieciom przed snem. Dlaczego więc tata zostawił mi ten tajemniczy liścik – i to ukryty pod okładką książki?

– Jak myślisz, co chciał ci przekazać? – pyta Xaden.

– Nie mam pojęcia. Każda bajka w tej książce mówi o tym, że zbyt wielka moc niszczy, więc może czuł, że ktoś z dowództwa zszedł na złą drogę. – Zerkam na Xadena i dodaję zartem: – Nie zdziwiłabym się, gdyby generał Melgren któregoś dnia zerwał maskę i okazałoby się, że tak naprawdę jest strasznym veninem. Jest tak przerażający, że aż mam ciarki.

Xaden chichocze.

– Miejmy nadzieję, że nie. Mój tata mówił, że veniny zbierają siły na Pustkowiach i kiedyś po nas przyjdą... jeśli nie będziemy jeść warzyw. – Przenosi wzrok za okno i domyślam się, że wspomina ojca. – Powiedział też, że pewnego dnia w królestwie zabraknie magii, jeśli nie będziemy ostrożni.

– Przykro mi... – zaczynam, ale kiedy cały się spina, postanawiam zmienić temat, bo domyślam się, że właśnie tego potrzebuje. – To za który bałagan powinniśmy zabrać się najpierw?

– Mam lepszy pomysł, jak możemy spędzić naszą noc – oznajmia i odkłada stertę ubrań na moje łóżko.

– Naprawdę? – Obracam się i zauważam, że zatrzymał pociemniały wzrok na moich ustach. Serce bije mi jak szalone, sama myśl o tym, że mogę go zaraz dotknąć, sprawia, że przeszywa mnie fala energii.

„Nie zakochuj się we mnie”.

Jego wczorajsze słowa boleśnie kontrastują z tym, jak teraz na mnie patrzy.

Robię krok w tył.

– Powiedziałeś, że mam się w tobie nie zakochiwać. Zmieniłeś zdanie?

– W żadnym razie. – Zaciska szczęki.

– Jasne. – Nie spodziewałam się, że zaboli to tak bardzo, jak się okazuje i właśnie w tym problem. Ja jestem już zbyt zaangażowana w tę relację i nie potrafię odseparować seksu, nawet tak fenomenalnego, od uczuć. – Coś ci powiem. Nie wydaje mi się, bym potrafiła oddzielić przy tobie seks od emocji. – Pięknie. Powiedziałam to. Teraz już nie ma odwrotu. – Już teraz jesteśmy ze sobą zbyt blisko, by się wycofać, a jeśli znowu się ze sobą prześpimy, prędzej czy później się zakocham. – Po spontanicznym wyznaniu z dudniącym sercem czekam na odpowiedź.

– Nie zakochasz się. – W jego oczach błyska coś na kształt paniki, Xaden krzyżuje ramiona na klatce piersiowej i przysięgam, że dosłownie widzę, jak właśnie wznosi mury wokół własnych uczuć. – Nie znasz mnie. Nie tak naprawdę.

*A czyja to wina?*

– Znam cię wystarczająco – spieram się łagodnie. – I możemy mieć cały czas na świecie, żeby zastanowić się, jak to ma działać, gdybyś tylko nie był takim emocjonalnym boidupą i po prostu przyznał, że ty też się we mnie zakochasz, jeśli dalej będzie to tak wyglądać. – Nie uwierzę, że zaprojektował siodło, poświęcał tyle czasu, żeby szkolić mnie w walce i lataniu, gdyby nic do mnie nie czuł. On też będzie musiał się postarać, bo inaczej to nigdy nie wypali.

– Nie mam żadnego zamiaru się w tobie zakochiwać, Sorrengail. – Mruży oczy, podkreślając każde słowo, jakby bał się, że zrozumie to na opak.

Pierdolenie. Otworzył się przede mną. Powiedział mi o swoich bliźnach. Zaprojektował dla mnie broń. Zależy mu. Jest tak samo zaangażowany emocjonalnie jak ja, chociaż nie potrafi tego okazywać.

– Aua. – Robię zboląłą minę. – Cóż, widzę, że nie jesteś gotowy przyznać, dokąd to zmierza. W takim razie chyba będzie lepiej, jeśli pogodzimy się z tym, że to był tylko jednorazowy numer. – Wzruszam ramionami. – Oboje musieliśmy spuścić trochę pary i tak też się stało, prawda?

– Zgadza się – potwierdza, ale zaniepokojony marszczy czoło.

– Więc kiedy zobaczę cię następnym razem, będę zachowywać się tak oziębło jak ty teraz i będę udawać, że wcale nie pamiętam, jak to jest czuć cię w sobie. – Takiego twardego i gorącego. Niech mu będzie, ma niesamowite ciało, ale to jeszcze nie oznacza, że może mi mówić, co mam robić ze swoim sercem.

Podchodzi do mnie z rozbrajającym uśmiechem, jego wzrok rozgrzewa każdy cal mojego ciała.

– A ja po prostu będę udawać, że nie pamiętam, jak to jest czuć wokół bioder twoje miękkie uda albo słuchać tych cichych okrzyków, które wydajesz przed

dojściem. – Przygryza dolną wargę, a ja poświęcam sporo wysiłku, żeby go teraz nie pocałować.

– Więc ja będę ignorować wspomnienie twoich dłoni zaciskających się na moich biodrach, wbijających mnie w tę szafę, żeby wejść we mnie jeszcze głębiej oraz tych ust sunących po moim gardle. Łatwizna. – Rozchylam wargi i robię krok w tył. Moje serce chce się wyrwać z piersi, kiedy Xaden podąża za mną i zagania mnie pod ścianę.

Opiera rękę przy mojej głowie i nachyla się, a jego usta układają się w lubieżny półuśmiech.

– W takim razie ja będę ignorować wspomnienie tego, jak to było wejść w ciebie, taką gorącą i moką, jak błagałaś mnie o więcej, a ja robiłem wszystko, żeby dać ci to, czego potrzebujesz.

Niech to szlag. Jest lepszy w tę grę niż ja. Moja skóra się rozpala. Chcę poczuć go bliżej siebie. Chcę dokładnie tego, co wczoraj. A jednocześnie zależy mi na czymś więcej. Jego urywany oddech omiata moje usta, a ze mną wcale nie jest lepiej.

Pieprzyć to. Mogę go mieć, prawda? Przecież mogę wziąć to, co chce mi dać i rozkoszować się każdą minutą. Możemy rozwalić każdy mebel w tym pokoju, a potem przenieść się do niego. Tylko co będzie z nami rano?

W tym momencie oboje tego pragniemy, ale tylko jedno z nas jest wystarczająco odważne, by to wziąć, a ja zasługuję na coś więcej niż związek oparty na jego warunkach.

– Pragniesz mnie. – Przykładam dłoń do jego klatki piersiowej i wyczuwam dudniące serce. – Wiem, że cię to przeraża, mimo że pragniesz mnie tak samo jak ja ciebie.

Xaden sztywnieje.

– Ale musisz wiedzieć jedno. – Patrzę mu głęboko w oczy i wiem, że w każdej chwili może uciec. – Nie masz prawa dyktować mi, jak mam się czuć. Możesz wydawać mi rozkazy, ale tam, a nie tutaj. Nie możesz mówić mi, że możemy się pieprzyć, ale nie mogę się w tobie zakochać. To jest niesprawiedliwe. Możesz jedynie uszanować mój wybór. W związku z tym do niczego między nami nie dojdzie, dopóki nie będę chciała ryzykować swoim sercem. A jeśli się zakocham, to będzie mój problem, nie twój. Ty nie jesteś odpowiedzialny za moje wybory.

Zaciska szczęki. A potem odpycha się od ściany, dając mi więcej przestrzeni.

– Myślę, że tak będzie lepiej. Wkrótce kończę uczelnię i nie wiadomo, gdzie potem trafię, poza tym jesteśmy uwiązani przez Sgaeyl i Tairna, a to komplikuje... wszystko. – Wycofuje się krok po kroku, a pojawiający się między nami dystans jest już nie tylko fizyczny. – I przy okazji wciąż musimy udawać,

że nic nas nie łączy, więc jestem pewien, że wkrótce zapomnimy, że wczorajsza noc w ogóle miała miejsce.

Biorąc pod uwagę to, jak na siebie patrzemy, już wiem, że żadne z nas nigdy o tym nie zapomni. Może unikać tego tematu tak długo, jak zechce, ale prędzej czy później i tak dojdzie do niejednej powtórki, aż w końcu będzie gotowy zrozumieć, co nas łączy. Jedyne, czego jestem pewna to to, że zakocham się w tym mężczyźnie – o ile już tego nie zrobiłam – ale on też jest już w połowie drogi, czy jest tego świadomy, czy nie.

Odwracam się do niego plecami, podchodzę do roztrzaskanej drewnianej tarczy i podnoszę ją, a potem kieruję się do wyjścia.

– Nigdy nie miałam cię za kłamcę, Xaden. – Wciskam mu tarczę w rękę. – Możesz przynieść mi nową, kiedy już pójdziesz po rozum do głowy. I dopiero wtedy będziemy mogli spuścić trochę pary.

A potem wyrzucam tego wkurzającego faceta z mojego pokoju.

\* \* \*

Słyszeliście, że król Tauri zamierza świętować Dzień Ponownego Zjednoczenia tutaj? – pyta Sawyer i siada na ławce obok mnie w trakcie obiadu.

– Naprawdę? – Zachłannie rzucam się na swój kawałek pieczonego kurczaka. Odkąd zaczęłam trenować z Carrem, mój żołądek zdaje nie mieć dna. Dobrze, że zaciąga mnie w góry tylko raz dziennie na godzinę, ale mimo to, kiedy nadchodzi pora śniadania, umieram z głodu.

Od pierwszej lekcji minął miesiąc, a ja wciąż za nic nie potrafię celować błyskawicą. Ale jestem w stanie wzniecić do dwudziestu piorunów na godzinę, a to znaczna poprawa. Przenoszę wzrok na drugi koniec sali i wyłapuję spojrzenie Xadena, który siedzi przy stoliku na podwyższeniu wraz z innymi dowódcami.

Dzisiaj wygląda wprost bosko. Nawet ta ponura mina, która ostatnio nie znika z jego twarzy, wydaje się wyjątkowo atrakcyjna, kiedy przewraca oczami w reakcji na słowa Garricka.

*Nie patrz tak na mnie.*

*Niby jak? Unoszę brew.*

*W jego oczach pojawia się błysk.*

*Jakbyś myślała o wczorajszym treningu na macie.*

– Wcale nie jestem zdziwiona – stwierdza Rhiannon. – To dlatego Devera ściągnęła do wspólnej przestrzeni jakieś pięćset czarnych odświętnych mundurów. Tam, gdzie zjawia się król, tam jest impreza.

*Cóż, skoro już o tym wspomniałeś...* Oblizuję dolną wargę, przypominając sobie, jak przycisnął mnie do maty po tym, jak wszyscy już wyszli. Jak było blisko, by poddać się tej pulsującej potrzebie między nami.

Xaden mocno zaciska palce na widelcu i zgrzyta zębami.

*Serio, nie jestem w stanie myśleć, kiedy tak na mnie patrzysz.*

– Naprawdę? A wydawało mi się, że to stroje na zakończenie roku – dziwi się Ridoc.

Imogen prycha z drwiną.

– Na zakończenie roku nikt się nie stroi. To tylko wielka zbiórka, podczas której Panchek mówi: O, przeżyliście. Dobra robota. Podejdźcie odebrać swoje przydziały, a potem pakujcie manatki i wypad.

Wszyscy wybuchają śmiechem, bo udało jej się trafnie odwzorować jego głos i sposób mówienia.

*To ty wymyśliłeś sobie jakąś durną zasadę o tym, by się w sobie nie zakochiwać,* przypominam.

*Wciąż się gapisz.* Z wysiłkiem przenosi wzrok na talerz.

*Trudno jest oderwać od ciebie wzrok.* Tęsknię za dotykiem jego ust na skórze, za ciężarem jego ciała na moim. Tęsknię za wyrazem jego twarzy, kiedy patrzy, jak dochodzę. Ale najbardziej tęsknię za jego objęciami, gdy razem spaliśmy.

*Trzymam ręce przy sobie, wspomnienia również, bo mnie o to prosiłaś, a ty pieprzysz mnie wzrokiem. To nie fair.*

Upuszczam widelec i wszyscy przy moim stoliku patrzą na mnie zdziwieni.

– Wszystko w porządku? – upewnia się Rhiannon.

– Tak. – Kiwam głową, ignorując rumieniec wspinający się po mojej szyi. – Znakomicie.

Liam odkłada szklankę i przeskakuje wzrokiem między mną a Xadenem, a potem kręci głową, walcząc z uśmiechem. Oczywiście wie, co się dzieje. Musiałby być ślepy, żeby tego nie zauważyć, tym bardziej że pomógł Xadenowi i Garrickowi wnieść nową szafę do mojego pokoju.

*Mówiłem ci, że masz przestać się gapić.* W jego głosie wyczuwam rozbawienie, ale jego twarz jak zwykle pozostaje beznamiętna.

Sfrustrowana stukam widelcem o talerz. Mam tego dosyć. Nie tylko on może prowadzić tę grę.

*Gdybyś zebrał się na odwagę i przyznał, że coś między nami jest, rozebrałabym się do naga, żebyś zobaczył każdy cal mojej skóry. Potem doprowadziłabym cię na skraj wytrzymałości i kiedy zacząłbyś błagać, klęknęłabym przed tobą, rozpięta te skórzane spodnie i zacisnęła usta na...*

Xaden zaczyna się krztusić.

Wszyscy obecni w sali jadalnej odwracają się w jego stronę, a Garrick wali go po plecach. Xaden odpycha go i bierze łyk wody.

Uśmiecham się od ucha do ucha, za co otrzymuję sześć zdezorientowanych spojrzeń i jedno przewrócenie oczami od Liama.

*Ty mnie wykończysz.*

\* \* \*

**D**o końca roku zostało już tylko dziesięć dni, a ja odliczam każdy z nich. Wtedy dowiem się, jak daleko zostanie wysłany Xaden. Większość świeżo upieczonych poruczników dostaje pod swoje dowództwo posterunki w głębi lądu przy drogach prowadzących do przygranicznych strażnic, ale ktoś z takimi mocami jak Xaden? Nawet boję się myśleć, jak daleko go wyślą.

Tak samo boję się myśleć nad powodem, dla którego jeszcze nie przyznał, że coś nas łączy. Ani nawet nie dał znać, że nie żałuje tamtej nocy. To by mi wystarczyło.

„Nie zakochuj się we mnie”.

Czuję na skórze głowy znajome mrowienie i wiem, że Xaden wszedł do sali od analizy wojennej wraz z resztą brakujących kadetów i dowództwem.

Devera przechodzi dzisiaj od razu do rzeczy, ale ja jakoś nie mogę się skupić.

Dzisiaj mija sześć lat od śmierci Brennana. Pewnie byłby teraz kapitanem, a może nawet majorem, biorąc pod uwagę to, jaką wcześniej miał karierę. Może byłby już po ślubie. Może zostałabym ciocią. Może nasz ojciec nie dostałby ataku serca, tak jak za pierwszym razem, gdy nie wytrzymał utraty syna i potem po raz kolejny, wiosną, dwa lata temu.

*Zabierz mnie do łóżka*, wypalam w myślach i lekko osuwam się na swoim krześle. Mimo to nie żałuję, że to powiedziałam. Dziś jest taki dzień, że potrzebuję skupić uwagę na czymś innym.

*Może wyjść trochę niezręcznie na oczach tych wszystkich ludzi.*

Siedzi tak wysoko, że go nie widzę, ale jego słowa prześlizgują się po moim karku jak pieszczota.

*Może będzie warto.*

– I co zrobilibyście inaczej? – pyta Devera, rozglądając się po słuchaczach.

– Gdybym wiedziała, że bariery w okolicy słabną, poprosiłabym o posiłki – odpowiada Rhiannon.

*Nie zmieniłem zdania, Violence. Dla nas nie ma przyszłości.*

– A gdyby posiłki nie były dostępne? – Devera unosi brew. – Zapewne zauważyliście, że z roku na rok absolwentów Kwadrantu Jeźdźców jest coraz



mniej, a do tego w tym roku straciliśmy siedmiu jeźdźców i ich smoki, prawda? Aby zastąpić jednego jeźdźca, potrzeba całej jednostki piechoty.

*Koniec roku już za dziesięć dni. Zaczynam stresować się nadchodzącym terminem.*

– W takim razie tymczasowo ściągnęłabym jeźdźców z posterunków w głębi ładu, żeby pomogli odbudować nasze bariery – odpowiada Rhiannon.

*Nawet mi nie przypominaj.*

– Doskonale – chwali Devera.

*Naprawdę zamierzasz opuścić Basgiath bez... Bez czego? Wyznania swej dozgonnej... żądy?*

*Tak.*

Oczywiście. Xaden jest przecież mistrzem w tłamszeniu emocji i pewnie dlatego tak bardzo chce stłamsić moje. A może jest jeszcze inny powód, którego nie wzięłam pod uwagę? Seks był świetny. Chemia między nami? Zabójcza. Można powiedzieć, że jesteśmy nawet... przyjaciółmi, chociaż ten nieustanny ból w klatce piersiowej mówi mi, że to coś więcej. Gdyby zachowywał się jak typowy dupek, pewnie uznałabym to za przygodę na jedną noc – jedną noc oszałamiającego seksu – i bym się z tym pogodziła. Tyle że on wcale nie zachowuje się jak dupek... przynajmniej na ogół taki nie jest i teraz już rozumiem, dlaczego traktuje swoją pracę tak poważnie. Jest odpowiedzialny za wszystkich naznaczonych w tej uczelni.

*Nie wiem, o czym myślisz, ale to może poczekać, aż znajdziemy się sami, zaznacza.*

– Co jeszcze możecie mi powiedzieć? – kontynuuje Devera, zwracając się do kadetów z drugiego roku.

Odkąd zniszczyliśmy mój pokój, minęło półtora miesiąca – i do tej pory udawało nam się trzymać ręce przy sobie, mimo że żadne z nas nie było usatysfakcjonowane tą jedną nocą. A przynajmniej tak wywnioskowałam po napięciu między nami każdego wieczora na macie treningowej. Oczywiście oboje byliśmy świadomi tego, że rozwój naszej relacji jeszcze bardziej skomplikowałby tę i tak trudną sytuację.

Ale jestem pewna, że nie rozładowuje tego napięcia seksualnego, które utrzymuje się między nami, z kimś innym. Na pewno. Ta podstępna myśl rozchodzi się po moim ciele z zatrważającą szybkością.

Przestaję słuchać wykładu, bo dociera do mnie, że jest taka możliwość.

*Masz kogoś innego?*

*Nie zamierzam ciągnąć tej rozmowy. Skup się.*

Mam ochotę się odwrócić i na niego krzyknąć. Powstrzymanie się kosztuje mnie wiele wysiłku. Przez tyle nocy przewracałam się z boku na bok w łóżku,

zupełnie sama, podczas gdy on...

– To bardzo dobry pomysł, Aetos. – Wykładowczyni się uśmiecha. – W dodatku to odpowiedź godna dowódcy skrzydła, pozwolę sobie dodać.

Na bogów, ego Daina będzie dzisiaj nie do zniesienia podczas treningów, jeśli Devera dalej będzie go tak komplementować.

Trening... Mocno zaciskam palce na piórze, bo przypominam sobie, jak niedawno patrzyła na niego Imogen. Cholera. To by miało sens. Ona też jest naznaczona piętnem, a już na pewno nie jest córką kobiety, która zabiła jego ojca, więc tu ma nade mną przewagę.

*Czy to Imogen?*

Zaraz się porzygam.

*Na litość boską, Violence.*

*To tak czy nie? Wiem, że mieliśmy więcej tego nie robić, ale...* I teraz pluję sobie w brodę, bo właśnie przyznałam, że chcę do tego wrócić. A w dodatku powinnam teraz skupiać się na wykładzie, zamiast klócić się z Xadenem.

*Zastępuję, by wiedzieć.*

– Sorrengail – rzuca Xaden ze złością.

Zamieram. Mam wrażenie, że wszyscy obecni na sali wbijają we mnie wzrok.

– Tak, Riorson? – pyta Devera.

Xaden odchrząkuje.

– Gdyby posiłki były niedostępne, poprosiłbym o tymczasowy transfer Miry Sorrengail. Bariery w Montserracie są wystarczająco silne, a swoją mocą mogłaby wzmocnić ubytki, póki nie zjawiliby się inni jeźdźcy.

– Dobry pomysł. – Devera przytakuje. – A jacy jeźdźcy będą najlepszym wyborem do odbudowy barier w tej części gór?

– Kadeci trzeciego roku – odpowiadam.

– Kontynuuj. – Devera przekrzywia głowę.

– Na trzecim roku kadeci są uczeni odbudowy barier, o tej porze roku i tak opuszczają uczelnię. – Wzruszam ramionami. – Równie dobrze można wysłać ich wcześniej, żeby się do czegoś przydali.

*Mam nadzieję, że dotarło.*

Zamykam swoją osłonę, żeby go zablokować.

– To logiczne rozwiązanie – przyznaje wykładowczyni. – Na dzisiaj to już koniec. Nie zapomnijcie, że musicie przygotować się do ostatniego zadania z Igrzysk Wojennych przed końcem roku. Ponadto dzisiaj o dziewiątej wieczorem macie się wszyscy zjawić na głównym dziedzińcu, gdzie odbędzie się pokaz ognia z okazji Dnia Ponownego Zjednoczenia. I pamiętajcie, wymagane są odświeżone mundury. – Patrzy wymownie na Ridoca.

Chłopak wzrusza ramionami.

- A co niby miałbym włożyć?
- Nikt nie wie, co ci strzeli do łba – odpowiada Devera i nas odprawia.
- Czy powinienem wiedzieć, co się dzieje między tobą a... – Liam unosi brew, patrząc na mnie, kiedy zbieramy swoje rzeczy.
- Nic się między nami nie dzieje. Absolutnie nic – upieram się. Jeśli Xaden nie chce sprawdzić, czy między nami mogłoby być coś więcej, to w końcu to do mnie dotarło. Odwracam się w stronę Rhiannon. – Cieszysz się, że w końcu będziesz mogła napisać do swojej siostry? To już za dziesięć dni.
- Uśmiecha się podekscytowana.
- Piszę do niej co miesiąc, odkąd tu trafiłam. A teraz w końcu będę mogła te listy wysłać.
- Koniec roku pociągnie za sobą przynajmniej jedną dobrą rzecz. Wszyscy będziemy mogli skontaktować się ze swoimi bliskimi.

\* \* \*

**W**ieczorem poprawiam szarfę biegnącą na skos przez mój czarny odświętny mundur i odgarniam kosmyk włosów, który wysunął się z ładnego upięcia stworzonego wcześniej przez Quinn, a teraz spotykam się z Rhiannon na korytarzu.

Włosy, które zazwyczaj nosi zaplecione w warkocz, rozpuściła, a drobne sprężynki tworzą piękną aureolę wokół jej twarzy, którą przyprószyła pudrem ze złotymi drobkami. Włożyła dzisiaj dopasowane, eleganckie spodnie i kaftan, który przecina jej klatkę piersiową przekątnymi pasami. Jej wysoka sylwetka wygląda w tym stroju fenomenalnie.

– Robi wrażenie. – Kiwam głową, a ona poprawia szarfę.

Ja wybrałam bluzkę bez rękawów związaną na szyi, żeby ukryć moją zbroję, oraz rozkloszowaną, sięgającą ziemi spódnicę z rozcięciem na udzie, które – jak powiedziała Devera – ma umożliwić swobodę ruchów podczas ataku. Nie przeszkadza mi, że co jakiś czas odsłania udo, tym bardziej że ciężko pracowałam z Imogen, żeby wzmocnić nogi. Moja szarfa jest prosta, wykonana z czarnej satyny – jak u wszystkich – z nazwiskiem na wysokości ramienia oraz gwiazdą symbolizującą pierwszy rok.

– Słyszałam, że mają się zjawić żołnierze piechoty – odzywa się Nadine, dołączając do nas.

– A nie wolisz, gdy mężczyzna oprócz mięśni ma jeszcze mózg? – Ridoc pojawia się wraz z Sawyerem u boku.

– Nie wierzę, że próbowałaś wyjść beze mnie! – krzyczy Liam i rzuca się w naszą stronę korytarzem. Zdażyliśmy już dotrzeć do schodów prowadzących

na dół.

– Myślałam, że będziesz miał dzisiaj wolne – odpowiadam zgodnie z prawdą, kiedy mnie dogania. – Przystojnie dziś wyglądasz.

– Wiem. – Puszy się na pokaz i poprawia szarfę na czarnym jak noc kaftanie.

– Słyszałem, że medyczki mają słabość do jeźdźców.

– Szczerze wątpię. – Rhiannon kwituje to szerokim śmiechem. – Biorąc pod uwagę, jak często trzeba ich składać do kupy? Idę o zakład, że wolą skrybów.

– A na kogo lecą skrybowie? – ciekawi się Liam, kiedy schodzimy po stopniach tą samą drogą, którą każdego ranka podążaliśmy do Archiwów. – Pytam, bo byłaś jedną z nich.

– Na ogół podobają im się inni skrybowie – odpowiadam. – Ale jeźdźcy pewnie też, sądząc po wyborze mojego ojca.

– Ja tam się cieszę, że spotkam innych ludzi, którzy nie są jeźdźcami – stwierdza Ridoc i przytrzymuje drzwi, żeby wpuścić nas do tunelu.

– Tutaj tak się ze wszystkimi zżyłem, że z każdym zaczynam się czuć jak w kazirodczym związku.

– Zgadzam się. – Rhiannon kiwa głową.

– Jasne. Ty i Tara ciągle się ze sobą schodziłyście i rozchodziłyście – komentuje Nadine, a potem blednie. – Cholera. Znowu zerwałyście?

– Robimy sobie przerwę przed drugim rokiem – wyjaśnia, kiedy wchodzimy do Kwadrantu Medyków.

– Trudno uwierzyć, że już za niecałe dwa tygodnie będziemy na drugim roku – przyznaje Sawyer.

– Trudno uwierzyć, że w ogóle przetrwaliśmy – wtrącam. W tym tygodniu ze zwoju śmierci odczytano tylko jedno nazwisko. Chłopaka z trzeciego roku, który nie wrócił z nocnej misji.

Kiedy docieramy na wewnętrzny dziedziniec, przyjęcie już trwa. Pomiędzy rozproszonymi, ubranymi na czarno jeźdźcami zauważam medyków w błękitach, skrybów w kremowych szatach i żołnierzy piechoty w granatowych mundurach. Jest tu chyba ponad tysiąc osób.

Nad nami w dziesiątkach żyrandoli płoną magiczne światła, a kamienne ściany Basgiathu ozdobiono udrapowanymi aksamitnymi materiałami, dzięki którym dziedziniec zmienił się poniekąd w salę balową. W kącie gra nawet kwartet smyczkowy.

*Gdzie jesteś?*, zwracam się w myślach do Xadena, ale nie dostaję odpowiedzi.

Przyjaciele się rozchodzą, u mojego boku zostaje jedynie Liam, napięty jak cięciwa w kuszy.

– Powiedz mi, że masz pod tym strojem zbroję.

– Myślisz, że ktoś będzie próbował mnie zabić na oczach mojej matki? – Wskazuję na balkon, na którym stoi mama i rozgląda się po swoim małym królestwie. Nasze spojrzenia się krzyżują, a potem szepcze coś do stojącego obok niej mężczyzny i znika.

Ciebie również miło widzieć.

– Myślę, że jeśli ktoś chciałby cię zabić, to teraz byłaby na to odpowiednia pora, zwłaszcza że zabicie ciebie najpewniej oznacza również pozbycie się syna Fena Riorsona – zauważa przez zaciśnięte zęby.

Wtedy zauważam, że oficerowie i kadeci patrzą się na nas, ale nie na moje włosy czy nazwisko na szarfie, tylko na nadgarstek Liama, na którym widnieje piętno rebelii.

Łapię go pod ramię i zadzieram wysoko głowę.

– Przepraszam.

– Nie masz absolutnie za co przepraszać. – Delikatnie klepie mnie po ręce.

– Oczywiście, że mam – odpowiadam szeptem. Na bogów, wszyscy zebrali się tu dzisiaj, żeby świętować zakończenie tego, co on i inni nazywają separacją. Świętują śmierć jego matki. – Możesz iść. A nawet powinienes. To nie... – Potrząsam głową.

Czuję gulę dławiącą mnie w gardle i rozglądam się po zebranych, mimo to instynktownie wiem, że jego tutaj nie ma. Nie widzę nigdzie ani Garricka, ani Bodhiego, ani Imogen, a już na pewno nie Xadena. Nic dziwnego, że dzisiaj miał taki kiepski humor.

– To niesprawiedliwe. – Gromię wzrokiem żołnierza piechoty, który ma czelność wyglądać na oburzonego widokiem piętna Liama.

– Ty raczej też nie czerpiesz radości ze świętowania rocznicy śmierci swojego brata. – Liam nosi się z godnością, której mogłabym mu pozazdrościć.

– Brennanowi by się to nie spodobało. – Wskazuję ręką na tłum. – Wolał zajmować się pracą niż świętować jej owoce.

– Tak, to brzmi jak... – urywa, a ja mocniej ściskam jego rękę, kiedy zauważam, że goście przed nami się rozchodzą.

Król Tauri kroczy u boku mojej matki i sądząc po jego szerokim uśmiechu, zmierza w naszą stronę. Jego kaftan przecina purpurowa wstęga ozdobiona kilkunastoma medalami, których nigdy nie wygrał na polu bitwy, bo na żadnym się nie pojawił.

Mama zasłużyła sobie na wszystkie swoje odznaczenia, które lśnią jak kamienie szlachetne na jej czarnej wstędze nałożonej na odświętny mundur ze stójką i długim rękawem.

– Idź – syczę do Liama i zmuszam się do uśmiechu, kiedy do mojej matki przyłącza się generał Melgren. Może i jest wytrawnym strategiem, ale

przebywanie w jego towarzystwie nie jest przyjemnym doświadczeniem.

– Kiedy zbliża się twój największy wróg? Odmawiam. – Liam ściąga łopatki.

Urwę Xadenowi ten boski łeb za to, że zmusił do tego Liama.

– Wasza wysokość – mamroczę. Odsuwam nogę w tył i pochylam głowę nisko, tak jak uczyła mnie Mira, a kątem oka zauważam, że Liam zgiął się w pasie.

– Twoja matka oświeciła mnie, że związałaś się nie z jednym, a dwoma wyjątkowymi smokami – zaczyna król Tauri, uśmiechając się pod wąsem.

– Tak, jest całkiem potężna – wtrąca Melgren z lodowatym uśmiechem, bezczelnie taksując mnie wzrokiem.

– Pozwolę sobie się nie zgodzić – odpowiadam z uprzejmym uśmiechem. Spędziłam wystarczająco dużo czasu z tymi wszystkimi egoistycznymi generałami, politykami i arystokratami, więc wiem, jak okazać pokorę. – Wciąż uczę się władać mocą.

– Nie bądź taka skromna, córko – karci mnie mama. – Z tego, co mówią jej profesorowie, widzieli tak potężny dar tylko kilka razy w ostatniej dekadzie u Brennana i tego chłopaka Riorsona.

Ten chłopak jest dwudziestotrzyletnim mężczyzną, ale wiem, że nie powinnam jej poprawiać, bo przez to Xaden znalazłby się pod jeszcze większą obserwacją.

– Jaki jest twój dar? – Król zwraca się do Liama.

– Dalekowzorność, wasza wysokość – odpowiada Liam.

Melgren mruży oczy, patrząc na odsłonięty symbol rebelii, a potem przenosi wzrok na jego wstęgę.

– Mairi. Syn pułkownika Mairiego?

Mocno ściskam ramię Liama, żeby okazać mu wsparcie, co nie umyka uwadze mamy.

– Tak, generale. Chociaż w głównej mierze wychował mnie ksiązę Lindell w Tirvainnie. – Zaciska szczęki, ale to jedyna oznaka jego dyskomfortu.

– Ach. – Król kiwa głową. – Tak, istotnie ksiązę Lindell jest prawym, lojalnym człowiekiem. – Drażniące poczucie wyższości w jego głosie sprawia, że mam ochotę zerwać mu wszystkie odznaczenia z szarfy.

– Muszę mu podziękować za łaskawość, wasza wysokość. – Liam dobrze odgrywa swoją rolę.

– Tak, w rzeczy samej. – Melgren potakuje, rozglądając się po zgromadzeniu.

– Powiedźcie mi, gdzie ten chłopak Riorsona? Lubię przyjrzeć mu się raz do roku i upewnić, że nie przysparza problemów.

– Nie przysparza – odpowiadam, a mama posyła mi potępiające spojrzenie. – Tak się składa, że jest dowódcą naszego skrzydła. Uratował mi życie, kiedy znaleźliśmy się na linii frontu w Montserracie. – Bo zmusił mnie do ucieczki,

choć chciałam zostać i pomóc, ale zasługuje na słowa uznania za to, że nie próbowałam rozpraszać Miry, bo zapewne skończyłoby się to śmiercią moją, jej i Tairna. Xaden nie tylko mnie uratował. Uwierzył mi, kiedy zdradziłam mu, że to Amber wpuściła niezwiązanych do mojego pokoju. Podarował mi zestaw sztyletów wykonanych dla mnie na zamówienie. Zaprojektował siodło dla Tairna, żebym mogła brać udział w bitwach wraz z moimi rówieśnikami. Chronił mnie, gdy tego potrzebowałam i nauczył mnie bronić się, żebym nie potrzebowała ochrony do końca życia.

A kiedy wszyscy inni pospiesznie zasłaniają mnie swoim ciałem, żeby mnie ochronić, on stoi u mojego boku, bo wie, że sama dam sobie radę.

Tego jednak nie powiedziałam. Jaki byłby w tym cel? Xaden i tak nie przejmowałby się tym, co ci ludzie o nim myślą – więc i ja nie powinnam. Uśmiecham się zatem z wdzięcznością, udając zachwyt nad stojącymi przede mną potężnymi mężczyznami.

– Ich smoki są parą – oznajmia mama, uśmiechając się powściągliwie. – Dlatego z konieczności się do siebie zbliżyli.

Raczej z powodu pożądania, potrzeby i tego skurczu w moim sercu, który boję się nazwać, ale jasne, uznajmy, że chodzi o „konieczność”.

– To wspaniale. – Król uśmiecha się promiennie. – Dobrze wiedzieć, że twoja kolejna córka nad nami czuwa. Ale dasz nam znać, jeśli Riorson postanowi... no nie wiem – rechoce – rozpętać kolejną wojnę?

Melgren jest w stanie przewidzieć wynik tak absurdalnego pomysłu, a mimo to patrzy na mnie i Liama z niepokojącym skupieniem.

Cała się spinam.

– Zapewniam, że jest lojalny.

– W takim razie gdzie on jest? – Król rozgląda się po dziedzińcu. – Prosiłem, żeby zjawili się dzisiaj wszyscy, włącznie z naznaczonymi.

– Widziałam go dzisiaj, nieco wcześniej. – Uśmiecham się. To nie do końca kłamstwo. Analiza wojenna liczy się jako „wcześniej”. – Pewnie kręci się gdzieś na obrzeżach. Raczej nie przepada za przyjęciami.

– Och, proszę spojrzeć! Zjawił się Dain Aetos! – Moja mama kiwa głową, patrząc gdzieś za mnie. – Na pewno byłby zaszczycony, gdyby mógł się przywitać – ciągnie.

– Oczywiście. – Cała trójka odchodzi, zostawiając mnie i Liama w kompletnej ciszy. Odwracamy się, żeby odprowadzić ich wzrokiem, bo nie chcemy stać tyłem do króla. Mam wrażenie, że właśnie otarliśmy się o śmierć albo przynajmniej o jakąś katastrofę naturalną.

– Zabiję go za to, że kazał ci tu przyjść – złorzeczę pod nosem, kiedy Dain wita się z władcą, dbając o nienaganne maniery.

– Xaden mnie do tego nie zmusił.

– Co? – Przenoszę na niego wzrok.

– Nigdy by mnie o to nie poprosił. Nikogo by do tego nie zmusił. Ale powiedziałem, że chcę zadbać o twoje bezpieczeństwo i właśnie to robię. – Posyła mi krzywy uśmiech.

– Jesteś dobrym przyjacielem. – Wspieram głowę na jego ramieniu.

– Uratowałaś mi życie, Violet. Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić i znieść to pieprzone przyjęcie z uśmiechem.

– Nie jestem pewna, czy ja jestem w stanie się uśmiechać i tu wytrzymać. – Zauważam, że wszyscy wciąż gapią się na jego nadgarstek, jakby to on osobiście poprowadził armię na granicę.

Dain kłania się, kiedy król odchodzi, a potem ogląda się przez ramię i napotyka moje spojrzenie. Właśnie zmierza w naszą stronę.

Kiedy uśmiecha się szeroko, łatwo jest przypomnieć sobie, na ilu podobnych wydarzeniach byliśmy razem przez te wszystkie lata.

– Wyglądasz dzisiaj pięknie, Vi. – Delikatnie ujmuję dłonią moją twarz.

– Dziękuję – odpowiadam mu z uśmiechem. – Ty też wyglądasz zachwycająco.

Opuszcza rękę i odwraca się w stronę Liama.

– Próbowала już uciekać? Zawsze nie znosiła takich wydarzeń.

– Nie, ale noc jeszcze młoda – odpowiada Liam.

Dain chyba wyczytuje napięcie z twarzy mojego towarzysza, bo jego uśmiech znika. Przenosi wzrok na mnie.

– Schody znajdują się jakieś pięć stóp dalej na prawo. Zrobię zamieszanie, więc będziesz mogła się wymknąć.

– Dziękuję. – Kiwam głową z wdzięcznością. – Chodźmy już stąd – zwracam się do Liama.

Kiedy wracamy do Kwadrantu Jeźdźców, wychodzę przed budynek i uziemiam się, pozwalając mocy mnie spowić. Wyczuwam złotą energię Andarny, jarzący się strumień Tairna, który łączy mnie ze Sgaeyl, a na końcu – lśniące cienie Xadena.

Otwieram oczy i śledzę płynny ruch cieni, domyślając się, że musi być gdzieś niedaleko.

– Liam, wiesz, jak bardzo cię uwielbiam, prawda?

– Cóż, to miłe...

– A teraz spadaj. – Ruszam przed siebie.

– Co? – Liam mnie dogania. – Nie mogę zostawić cię tu samej.

– Bez obrazy, ale jestem w stanie usmażyć błyskawicą całe to miejsce, jeśli będę miała ochotę, a muszę zobaczyć się z Xadenem, więc zniknij. – Klepię go



po ramieniu i podążam za przeczuciem, pozwalając mu się prowadzić.

– Sama mówisz, że nie umiesz celować, ale rozumiem! – woła za mną, zostając w miejscu.

Nie zawracam sobie głowy zapalaniem magicznych świateł i przemierzam miejsce, gdzie zazwyczaj stoimy w formacji, a potem kieruję się w stronę postaci, które stoją przy jedynym wyjściu w tym przeklętym murze. Jest tylko jedno miejsce, gdzie Xaden może się znajdować.

– Powiedźcie mi, że go tam nie ma – zwracam się do Garricka i Bodhiego, których rysy twarzy są ledwie dostrzegalne w blasku księżyca.

– Mógłbym to powiedzieć, ale musiałbym skłamać – odpowiada Bodhi, drapiąc się po karku.

– Nie chcesz się z nim widzieć. Nie dzisiaj, Sorrengail – ostrzega Garrick z grobową miną. – Dobrze ci radzę, posłuchaj instynktu samozachowawczego. Jak zapewne widzisz, nie ma nas teraz przy nim, a jesteśmy jego najlepszymi przyjaciółmi.

– Tak, a ja jestem jego... – Otwieram usta i zamykam je parokrotnie, ale... cholera, nie wiem, kim dla niego jestem. Jednak przez tęsknotę trzymającą w szponach moje serce, to nieodparte uczucie, by być u jego boku, bo wiem, że teraz cierpi, nawet jeśli oznacza to, że miałabym zmierzyć się z niepewnością... Nie jestem w stanie zaprzeczyć, kim on jest dla mnie. Ściągam skórzane pantofle, które włożyłam do spódnicy, bo tylko bym sobie zaszkodziła. Wieje wiatr, ale... zobaczymy, jak mi pójdzie. – Po prostu jestem... jego.

I po raz pierwszy od roku wchodzę na most.

*A co do 107 niewinnych dzieci straconych oficerów, zostaną one naznaczone symbolem, który będzie znany jako piętno rebelii, wypalone przez smoka, który wymierzył sprawiedliwość w imieniu króla. Na polecenie naszego wielkiego władcy, który okazał swe miłosierdzie, zostaną oni wysłani do prestiżowego Kwadrantu Jeźdźców w Basgiacie, aby udowodnili swą lojalność wobec naszego Królestwa poprzez służbę lub śmierć.*

#### Aneks 4.2, Traktat Areteński



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

**P**rzejście po moście w Dniu Poboru jest niezaprzeczalnym ryzykiem. Natomiast przejście po moście w spódnicy, bez butów, w ciemności... to czyste szaleństwo.

Najłatwiej wykonać pierwsze dziesięć kroków, gdy jeszcze znajduję się pomiędzy murami, a kiedy je mijam, wiatr szarpie moją spódnicą jak żaglem i zaczynam wątpić w swój plan. Trudno będzie dostać się do Xadena, jeśli spadnę i umrę.

Jednak moje serce kurczy się boleśnie, kiedy widzę go, jak siedzi mniej więcej w jednej trzeciej wąskiego kamiennego mostu i patrzy w księżyc, jakby to jeszcze bardziej podsycalo jego cierpienie. Pozwolił wyciąć sobie na skórze życie stu siedmiu naznaczonych, za których wziął odpowiedzialność. Ale kto weźmie odpowiedzialność... a raczej zaopiekuje się nim?

Wszyscy teraz świętują śmierć jego ojca, a on jest tutaj i oplakuje ją sam. Kiedy Brennan umarł, miałam przynajmniej Mirę i tatę, ale Xaden nie miał nikogo.

„Nie znasz mnie. Nie wiesz, jaki jestem tak naprawdę”. Czy nie tak odpowiedział, kiedy wyznałam mu, że koniec końców i tak się w nim zakocham? Jakby poznanie go lepiej miało sprawić, że moje uczucia ostygną, tyle że im więcej się o nim dowiaduję, tym są silniejsze.

Na bogów. Znam to uczucie. Zaprzeczanie mu nie sprawi, że stanie się mniej prawdziwe. Moje uczucia są, jakie są. Nie uciekłam przed żadnym wyzwaniem, odkąd rok temu przemierzyłam ten most, i nie zamierzam uciec teraz.

Gdy dotarłam tutaj po raz ostatni, byłam przerażona, ale teraz moje serce bije szybko – nie z powodu potencjalnego upadku, tylko bólu w klatce piersiowej, który płonie jaśniej niż moc płynąca moimi żyłami.

Jestem zakochana w Xadenie.

To, że wkrótce stąd zniknie albo że nie odwzajemni moich uczuć, nie ma żadnego znaczenia. Tak samo jak nie zniechęca mnie jego ostrzeżenie, by się w nim nie zakochać. To nie przez zwykłe zauroczenie, chemię między nami czy więź naszych smoków nieustannie lgnę do tego mężczyzny. To przez moje lekkomyślne serce.

Trzymałam się z dala od jego łóżka i jego ramion, bo uparł się, że nie mogę się w nim zakochać, ale ten statek już dawno odpłynął, więc jaki jest sens się teraz powstrzymywać? Czy nie powinnam skorzystać z każdej wspólnej chwili, póki Xaden wciąż tu jest?

Stawiam pierwszy krok na wąskim kamiennym moście i rozciągam ręce na boki, żeby utrzymać równowagę. Wielokrotnie przechodziłam już w ten sposób po grzbiecie Tairna.

Tyle że teraz mam na sobie spódnicę.

A Tairn nie złapie mnie, jeśli upadnę.

Będzie wściekły, jeśli dowie się, co zrobi...

*Już jestem*, burczy Tairn.

Xaden gwałtownie podrywa głowę.

– Violence?

Robię kolejny krok, a potem kolejny, zachowując równowagę dzięki pamięci mięśniowej, której jeszcze rok temu nie miałam, i idę przed siebie.

Xaden podciąga nogi i dosłownie wskakuje na most.

– Zawróć w tym momencie! – rozkazuje.

– Chodź do mnie – przekrzykuję wiatr, który rozwiewa spódnicę wokół moich nóg. – Powinnam była wybrać spodnie – narzekam, ale brnę dalej.

Xaden już zmierza w moją stronę, pokonuje dzielącą nas przestrzeń długimi, pewnymi krokami, jakby stał na ziemi, a ja poruszam się w żółwym tempie. W końcu się spotykamy.

– Pogrzało cię? Co ty tu robisz? – pyta, łapiąc mnie w tali. Ma na sobie strój jeźdźca, a nie odświętny, i jeszcze nigdy nie wyglądał lepiej.

Co ja tutaj robię? Ryzykuję wszystko, by do niego dotrzeć, a jeśli mnie odepchnie... Nie. Na moście nie ma miejsca na strach.

– Mogłabym cię zapytać o to samo.

Wytrzeszcza oczy.

– Przecież mogłaś spać i umrzeć!

– To samo mogłabym powiedzieć o tobie. – Moje usta układają się w drżący uśmiech. Patrzę w jego zaniepokojone oczy. Wygląda tak, jakby stracił nad sobą panowanie i nie potrafił przywdziać tej beznamiętnej, nijakiej maski, którą zawsze nosi przy innych.

To mnie jednak nie przeraża. Wolę, kiedy jest przy mnie autentyczny.

– Czy w ogóle pomyślałaś o tym, że jeśli spadniesz i umrzesz, to ja też skończę martwy? – Nachyla się, a mój puls przyspiesza.

– Powtórzę się – odpowiadam cicho, przykładając dłonie do jego twardej klatki piersiowej tuż nad sercem. – To samo mogłabym powiedzieć o tobie. – Nawet jeśli śmierć Xadena nie zabiłaby Sgaeyl, to nie wiem, czy ja bym to przeżyła.

Cienie wznoszą się wokół nas i są ciemniejsze niż noc.

– Chyba zapominasz, że władam cieniami, Violence. Jestem tu tak bezpieczny jak na dziedzińcu. A ty uratujesz się swoimi piorunami, jeśli spadniesz?

Dobra. Tu mnie ma.

– Chyba... Nie przemyślałam tego tak dobrze jak ty – przyznaję. Chciałam znaleźć się blisko niego, no i znalazłam, a most był moim najmniejszym problemem.

– Ty mnie naprawdę wykończysz. – Zaciska palce na mojej talii. – Wracaj.

Nie czuję się przez niego odepchnięta, bo widzę, jak na mnie patrzy. Przez ostatni miesiąc, a nawet dłużej, toczyliśmy emocjonalną wojnę i któreś z nas musi odsłonić się pierwsze. W końcu ufam mu na tyle, by to zrobić i nie bać się, że zada mi śmiertelny cios.

– Pod warunkiem, że ty też wrócisz. Chcę być teraz przy tobie, gdziekolwiek będziesz. – Mówię poważnie. Wszyscy inni... Wszystko inne na świecie może zniknąć, a ja się tym nie przejmę, póki będę przy nim.

– Violence...

– Wiem, dlaczego powiedziałeś, że nie widzisz dla nas przyszłości. – Kiedy wymawiam te słowa, moje serce galopuje, jakby chciało odlecieć.

– Co ty nie powiesz? – Oczywiście nie zamierza mi tego ułatwić. Ten mężczyzna chyba nawet nie zna takiego słowa.

– Pragniesz mnie – oznajmiam, patrząc mu głęboko w oczy. – I nie, nie chodzi mi tylko o łóżko. Pragniesz. Mnie. Xadenie Riorsonie. Może nie jesteś w stanie tego powiedzieć, ale lepiej wychodzi ci okazywanie tego. Udowadniasz to za każdym razem, kiedy postanawiasz mi zaufać, za każdym razem, gdy zatrzymujesz na mnie wzrok, przy każdym wspólnym treningu latania i na

macie, na które nie masz czasu, bo zaniedbujesz przez to własną naukę. Pokazujesz mi to, kiedy nie chcesz mnie dotknąć, bo boisz się, że tak naprawdę wcale cię nie chcę, a potem udowadniasz to znowu, kiedy poświęcasz czas, żeby przed spotkaniem dowództwa zerwać fiołki i zostawić mi je przy łóżku, żebym nie czuła się samotna. Pokazujesz to na milion różnych sposobów. Proszę cię, nie zaprzeczaj.

Zaciska szczęki, ale milczy.

– Uważasz, że nie czeka nas żadna przyszłość, bo boisz się, że nie spodoba mi się to, jaki jesteś naprawdę za tymi swoimi murami. Ja też się trochę boję i potrafię to przyznać. Kończysz uczelnię, a ja nie. Za kilka tygodni znikniesz i najpewniej czeka nas ból rozstania. Ale jeśli pozwolimy, żeby strach zabił to, co jest między nami, to wcale na to nie zasługujemy. – Unoszę rękę i łapię go za szyję. – Powiedziałam ci, że to ja muszę zdecydować, kiedy zaryzykuję własne serce, więc oto ta chwila.

Patrzy na mnie z taką samą mieszanką nadziei i obawy, którą sama czuję, co tylko dodaje mi odwagi.

– Nie mówisz poważnie – odpowiada, kręcąc głową.

No i proszę, znowu wysysa ze mnie odwagę.

– Przeciwnie.

– Jeśli to ma związek z Imogen...

– Nie. – Kręcę głową, a wiatr szarpie lokami, nad którymi Quinn spędziła tyle czasu. – Wiem, że nie masz nikogo innego. Gdybym myślała, że ze mną pogrywasz, nie wchodziłabym na most w środku nocy.

Marszczy brwi i przyciąga mnie jeszcze bliżej swojego ciepłego ciała.

– To dlaczego w ogóle o tym pomyślałaś? Muszę przyznać, wkurzyło mnie to. Nie dałem ci żadnego powodu, byś myślała, że zapraszam do łóżka kogoś jeszcze.

Co oznacza, że jest tylko mój.

– To już jest mój brak pewności siebie i to, jak patrzyła na ciebie i Garricka w trakcie treningu. Może i ty niczego do niej nie czujesz, ale ona do ciebie tak. Znam to spojrzenie. Muszę wyglądać tak samo, kiedy na ciebie patrzę. – Moje policzki płoną z zażenowania. Mogłabym zmienić temat albo to wyśmiać, ale nasza relacja, jeśli tak to można nazwać, nie zyska na tym, jeżeli dalej będę ukrywać uczucia, nawet jeśli są irracjonalne.

– Jesteś zazdrosna. – Z trudem powstrzymuje uśmiech.

– Może – przyznaję, ale dociera do mnie, że ta odpowiedź brzmi żałośnie. – Dobra, tak. Ona jest taka silna, waleczna i równie bezlitosna co ty. Zawsze myślałam, że pasowałaby do ciebie lepiej.

– Dobrze znam to uczucie. – Kręci głową. – Ale ty też jesteś silna, waleczna i bezlitosna. Nie wspominając już o tym, że jesteś najinteligentniejszą osobą, jaką poznałem. Ten twój umysł jest cholernie seksowny. Imogen i ja tylko się przyjaźnimy. Wierz mi, ona wcale nie patrzyła na mnie, nawet jeśli... – Milknie i kładzie rękę na moim karku, utrzymując nas w miejscu, kiedy uderza w nas podmuch wiatru. – Przysięgam na bogów, ja jestem zapatrzony w ciebie.

Nadzieja uderza mi do głowy bardziej niż trunki, które serwowali na przyjęciu.

– Nie patrzyła na ciebie?

– Nie. Zastanów się, co powiedziałaś i wykreśl mnie z tego zdania. – Unosi brwi, czekając, aż wyciągnę wnioski.

– Ale przecież na macie... – Otwieram oczy ze zdziwienia. – Ona leci na Garricka.

– Aleś ty bystra, co?

– Tak. Już skończyłaś mnie odpychać?

Odchyła głowę i patrzy mi w oczy w blasku księżyca, a potem przenosi wzrok za mnie.

– A ty już skończyłaś narażać swoje życie, żeby coś udowodnić?

– Pewnie nie.

Wzdycha zrezygnowany.

– Dla mnie liczysz się tylko ty, Violence. To chciałaś usłyszeć?

Przytakuję.

– Nawet kiedy nie ma mnie przy tobie, jesteś dla mnie jedyna. Następnym razem po prostu zapytaj. Do tej pory zawsze byłaś przy mnie brutalnie bezpośrednio. – Owiewa nas wiatr, a on jest równie nieruchomy co sam most. – I jeśli dobrze pamiętam, rzucałaś nawet sztyletami w moją głowę i szczerze mówiąc, już wolę to, niż patrzeć, jak płaczesz się we własnych myślach. Jeśli mamy spróbować, to musimy ufać sobie nawzajem.

– A chcesz spróbować? – Wstrzymuję oddech.

Wzdycha ciężko i długo, a potem przyznaje:

– Tak. – Przesuwa rękę i gładzi mój policzek kciukiem. – Nie jestem w stanie złożyć ci żadnej obietnicy, Violence. Ale jestem już zmęczony walką.

– Tak. – To słowo jeszcze nigdy tak wiele dla mnie nie znaczyło. Nagle przypominam sobie jego wcześniejszy komentarz o zazdrości. – Co miałeś na myśli, kiedy powiedziałeś, że doskonale znasz uczucie zazdrości?

Zaciska dłonie na mojej talii i odwraca wzrok.

– O nie, jeśli mam ci zaufać i powiedzieć, co myślę, to oczekuję, że zrobisz to samo. – Nie będę jedyną osobą, która obnaża się emocjonalnie.

Warczy pod nosem i wraca do mnie spojrzeniem.

– Po Odsiewie widziałem, jak Aetos cię całuje i niemal wpadłem w szal. Gdybym już go nie kochała, najpewniej teraz by się to zmieniło.

– Już wtedy mnie pragnąłeś?

– Pragnąłem cię od chwili, gdy cię ujrzałem, Violence – przyznaje. – Jeśli byłem dzisiaj dla ciebie oschły... cóż. To był ciężki dzień.

– Rozumiem. Ale wiesz, że Dain i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi, prawda?

– Wiem, że tak uważasz, ale wtedy nie byłem pewien. – Przesuwa kciukiem po moich ustach. – A teraz wracaj na ziemię.

Chce tu zostać i dalej rozpaczać.

– Chodź ze mną. – Zaciskam palce na skórzanym mundurze, gotowa szarpnąć go, jeśli będę musiała.

Kręci głową i odwraca wzrok.

– Nie jestem dzisiaj w nastroju, by się kimś opiekować. I wiem, że to bolesne słowa, bo dziś jest również rocznica śmierci Brennana...

– Rozumiem. – Przesuwam dłońmi wzdłuż jego rąk. – Chodź ze mną, Xaden.

– Vi... – Kuli ramiona, a smutek, który przesycza powietrze między nami, dławi mnie w gardle.

– Zaufaj mi. – Opuszczam jego ramiona i łapię go za rękę. – Chodź.

Mija chwila napięcia, a potem Xaden kiwa głową i rusza za mną, przytrzymując mnie, kiedy się odwracam.

– Idzie mi znacznie lepiej niż w zeszłym roku.

– Właśnie widzę. – Trzyma się blisko mnie, jedną rękę zaciska na mojej talii, kiedy pokonuję ostatni fragment mostu. – I to jeszcze w kiece.

– To spódnica – poprawiam go ponad ramieniem, będąc już prawie przy murze.

– Patrz przed siebie! – rozkazuje i tylko strach w jego głosie powstrzymuje mnie przed zrobieniem czegoś lekkomyślnego – na przykład przeskoczeniem ostatnich kilku stóp.

Kiedy tylko znajdujemy się w bezpiecznej przestrzeni między murami, Xaden przyciąga mnie do siebie, plecami do swojej klatki piersiowej.

– Nigdy więcej nie narażaj życia, żeby zrobić coś tak trywialnego jak rozmowa ze mną. – Jego głos przypomina niski pomruk przy moim uchu, od którego dreszcz spływa mi po kręgosłupie.

– Na drugim roku czeka nas świetna zabawa – żartuję i idę naprzód, splatając nasze palce, żeby podążył za mną.

– Liam tu będzie i zadba o to, żebyś nie zrobiła niczego głupiego – pociesza mnie.

– Obiecuję, że spodobają ci się jego listy – zapewniam i zeskakuję z mostu na dziedziniec. – Hm. – Rozglądam się po pustym polu, wkładając buty. – Garrick

i Bodhi dopiero co tutaj byli.

– Pewnie doszli do wniosku, że ich zabiję za to, że pozwolili ci tu wejść. Czy ty jesteś poważna, Sorrengail? I to jeszcze w kiecce?

Łapię go za rękę i prowadzę przez dziedziniec.

– Gdzie idziemy? – Brzmi jak dupek, którego poznałam rok temu.

– Zabierasz mnie do swojego pokoju – rzucam przez ramię, kiedy docieramy do koszar.

– Że co?

Pokonuję próg, ciesząc się, że w środku są zapalone magiczne światła, bo dzięki temu mogę zobaczyć jego twarz i ten łobuzerski uśmieszek.

– Zabierasz mnie do swojego pokoju.

Skręcam w lewo i prowadzę nas korytarzem, mijając mój pokój, a potem wspinamy się po szerokich spiralnych schodach.

– Ktoś nas zobaczy – spiera się. – Nie martwię się o swoją reputację, Sorrengail. Ty jesteś dopiero na pierwszym roku, a ja jestem twoim dowódcą...

– Jestem pewna, że wszyscy już o tym wiedzą. Tamtej nocy prawie spaliliśmy pół lasu – przypominam mu, kiedy mijamy drzwi prowadzące na korytarz drugiego roku. – Wiesz, że kiedy wspinałam się z Dainem po tych schodach po raz pierwszy, byłam przerażona brakiem balustrady?

– Wiesz, że nie mogę znieść dźwięku jego imienia w twoich ustach, kiedy prowadzisz mnie do mojego pokoju?

Wlecze się za mną, cienie spływają ze ścian, jakby wyczuwały jego nastrój i nie chciały mieć z nim nic wspólnego. Ale mnie jego cienie nie przerażają. Ten mężczyzna już nie napawa mnie lękiem, w przeciwieństwie do siły moich uczuć względem niego.

– W każdym razie spójrz tylko na mnie. – Uśmiecham się szeroko, kiedy docieramy na piętro trzeciego roku i popycham drzwi. – Dzisiaj tańczyłam na moście w spódnicy.

– To chyba nie jest dobry moment, by mi o tym przypominać. – Podąża za mną. Korytarz prezentuje się tak samo jak piętro drugiego roku, tylko tutaj znajduje się mniej drzwi, a dach jest wyższy, sklepiony.

– Który pokój jest twój?

– Powinienem kazać ci się domyślić – mamrocze, ale nie puszcza mojej ręki, kiedy zmierzamy w stronę końca długiego korytarza. To jasne, jego pokój jest ostatni.

– Czwarte Skrzydło – pryham. – Zawsze musisz iść najdalej.

Rozprasza własne bariery i otwiera drzwi, a potem odsuwa się, żeby mnie przepuścić.



– Przed odlotem będę musiał uszczelnić barierami twoje nowe drzwi albo cię tego nauczyć.

Nie jestem w stanie myśleć o zbliżającym się terminie jego wylotu, więc wchodzę do pokoju i się rozglądam. Jest dwa razy większy od mojego, podobnie jak łóżko. Wygląda na to, że dotrwanie do trzeciego roku wiąże się z wieloma przywilejami. A może po prostu rozmiar pokoju ma związek z jego rangą?

Przestrzeń jest nieskazitelnie czysta, przy łóżku stoi wielkie krzesło, dalej szeroka drewniana szafa, uprzątnięte biurko, biblioteczka, na której widok robię się zazdrosna, a na podłodze ciemnoszary dywan. Na drzwiach wisi wieszak na miecz oraz tyle sztyletów, że nie jestem w stanie ich wszystkich zliczyć. Po drugiej stronie pokoju, przy biurku, wisi tarcza do strzelania – taka sama, jaką ja mam w swoim pokoju. W kącie znajdują się stół i krzesła, a okna wychodzące na Basgiath są przysłonięte grubymi czarnymi zasłonami z herbem Czwartego Skrzydła.

– Czasami urządzamy tu spotkania dowódców – odzywa się z wejścia.

Odwracam się i zauważam, że przygląda mi się z zaciekawieniem, jakby czekał, aż wyrażę opinię na temat jego pokoju. Podchodzę do wieszaka na broń i przesuwam palcami po rękojeściach najróżniejszych sztyletów.

– Ile wyzwań wygrałeś?

– Lepszym pytaniem byłoby, ile przegrałem – odpowiada i zamyka za sobą drzwi.

– Tu jest to wielkie ego, które znam i uwielbiam – kwituję i podchodzę do łóżka, które, podobnie jako moje, jest zasłane czarną pościelą.

– Mówiłem ci już, że wyglądasz dzisiaj pięknie? – zauważa z niskim pomrukiem. – Jeśli nie, to nazwij mnie idiotą, bo jesteś zjawiskowa.

Na moje policzki wkrada się rumieniec, a usta układają się w lekki uśmiech.

– Dziękuję. A teraz siadaj. – Klepię brzeg jego łóżka.

– Po co? – unosi brwi.

– Siadaj – rozkazuję, mierząc go wzrokiem.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– O nic takiego nie proszę. – Nie muszę pytać, o czym mówi i nie chcę również pozwolić, by wydarzenia sprzed sześciu lat doprowadziły do spięcia między nami, nawet na jedną noc.

Ku mojemu absolutnemu zdziwieniu wykonuje polecenie i siada na brzegu swojego łóżka. Wyciąga przed siebie długie nogi i podpira się z tyłu na ramionach.

– I co teraz?

Staję między jego nogami i przeczesuję palcami ciemne włosy. Xaden zamyka oczy i wtula się w mój dotyk, a ja mogłabym przysiąc, że moje serce pęka na

pół.

– Teraz się tobą zaopiekuje.

Gwałtownie otwiera oczy i... bogowie, jakie one są piękne. Nauczyłam się na pamięć każdej złotej plamki w tych onyksowych głębinach i to dobrze, bo nie wiem, gdzie zostanie wysłany po zakończeniu roku. Spotykam się z nim raz na kilka dni to nie to samo co dotykam go, gdy mam na to ochotę.

Zabieram ręce i klękam przed nim na podłodze.

– Violet...

– Ja tylko ściągam ci buty. – Uśmiech ciśnie mi się na usta, kiedy rozwiązuję sznurówki i pozbywam się butów, a potem zanoszę je do szafy.

– Zostaw je na podłodze przed – zaznacza.

Spełniam jego prośbę i zwracam się do niego.

– Nie zamierzałam przeglądać twoich rzeczy, chociaż i tak wszystkie już widziałam.

Xaden zatrzymuje wzrok na mojej spódnicy, który rozpala się za każdym razem, gdy przez rozcięcie wyłania się moje udo.

– Masz to na sobie cały wieczór?

– Wolaleś iść za mną, więc masz za swoje – żartuję i ponownie staję między jego udami.

– Na widoki od tyłu też nie mogę narzekać. – Zadziera głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Bądź cicho i pozwól mi to zdjąć. – Rozpinam biegnące po skosie guziki na jego klatce piersiowej, a on ściąga skórzaną kurtkę. – Lataleś dzisiaj?

– To zazwyczaj pomaga. – Kiwa głową, kiedy wyciągam się, żeby odłożyć ją na fotel. – Ten dzień zawsze jest...

– Przykro mi. – Patrzę mu w oczy, mając nadzieję, że dostrzeże w nich prawdę. Zabieram się za jego koszulkę.

– Mnie też jest przykro. – Unosi ręce, a ja pozbywam się ubrania szarpnięciem i zostawiam je na fotelu.

– To nie twoja wina. – Patrzę mu w oczy i łapię tę wyrzeźbioną twarz w dłonie, śledząc palcem bliznę przecinającą brew. – Wyzwanie?

– Sgaeyl. – Wzrusza ramieniem. – Na Odsiewie.

– Większość smoków zostawia blizny na swoich jeźdźcach, ale Tairn i Andarna nigdy mnie nie skrzywdzili – stwierdzam zamyślona i przesuвам dłoń na jego szyję.

– A może wiedziały, że już masz bliznę? – Przesuwa palcami po długiej srebrnej linii na moim ramieniu, śladem po mieczu Tynana. – Miałem ochotę ich zabić, ale musiałem stać i patrzeć, jak atakują cię we trójkę. Ledwie nad sobą panowałem i już miałem wkroczyć do akcji, kiedy Tairn wylądował.

– Było tylko dwóch na jedną, bo Jack dał nogę – przypominam. – I przecież nie mogłeś się wtrącić. To wbrew zasadom, pamiętasz? – Mimo to zrobił krok, jeden krok, który powiedział mi, że był gotów to zrobić.

Kącik jego ust unosi się w najseksowniejszym uśmiechu, jaki w życiu widziałam.

– I tego dnia zdobyłaś dwa smoki. – Nagle mina mu rzednie. – Za dwa tygodnie nawet nie będzie mnie tutaj, żeby obserwować wyzwania, w których bierzesz udział, a tym bardziej im przeszkodzić.

– Poradzę sobie – zapewniam. – Jeśli kogoś nie będę w stanie pokonać, po prostu go otruję.

Chyba wcale nie jest mu do śmiechu.

– Chodź, położmy się. – Pochyliam się i całuję bliznę na jego brwi. – Kiedy się obudzisz, będzie już jutro.

– Nie zasługuję na ciebie. – Zaciska dłonie na moich biodrach i przyciąga mnie bliżej siebie. – Mimo to i tak chcę cię zatrzymać przy sobie.

– To dobrze. – Pochyliam głowę i całuję go przelotnie w usta. – Bo myślę, że się w tobie zakochałam. – Moje serce wali jak szalone, panika rozdziera moją klatkę piersiową. Nie powinnam była tego mówić.

Xaden wytrzeszcza oczy i zaciska ramiona wokół mnie.

– Myślisz? Czy wiesz?

Bądź dzielna.

Nawet jeśli nie odwzajemnia moich uczuć, przynajmniej powiem prawdę.

– Wiem. Jestem w tobie tak szalenie zakochana, że nie potrafię wyobrazić sobie życia bez ciebie. I pewnie nie powinnam tego mówić, ale jeśli mamy spróbować, to najlepiej zacząć od całkowitej szczerości.

Miażdży moje usta w pocałunku i wciąga mnie na swoje kolana, żebym usiadła na nim okrakiem. Jego pocałunki są tak głębokie, że się w nich zatracam. Brak mi słów. Xaden ściąga moją szarfę, bluzkę, rozpina spódnicę – i to wszystko nawet nie przerywając pocałunku.

– Wstań – rozkazuje tuż przy moich wargach.

– Xaden. – Moje serce łomocze w piersi.

– Cholernie cię potrzebuję, Violet. A ja nie potrzebuję nikogo, więc nie mam pojęcia, jak obchodzić się z tym uczuciem, ale zrobię co w mojej mocy. Jeśli nie masz dzisiaj ochoty, w porządku, ale musisz stąd zaraz wyjść, bo w przeciwnym razie za dwie minuty rzucę cię nagą na łóżko.

Jego rozpalony wzrok i siła w jego głosie powinny mnie przerazić, ale tak nie jest. Nawet jeśli ten mężczyzna całkowicie straci nad sobą kontrolę, jestem pewna, że nigdy mnie nie skrzywdzi.

A przynajmniej fizycznie.

- Wyjdź albo zostań, ale w każdym razie musisz wstać – błaga.
- Myślę, że z tymi dwoma minutami nieco przecenileś swoje umiejętności w rozpinaniu gorsetu. – Spoglądam na swoją zbroję.

Uśmiecha się i ściąga mnie z kolan.

Staję przed nim na podłodze i oznajmiam:

- Będę liczyć czas.
- Czy to...
- Jeden. Dwa. – Unoszę po kolei palce. – Trzy.

W okamgnieniu zrywa się z łóżka, a jego usta odnajdują moje i przestaję liczyć. Jestem zbyt zajęta odpowiadaniem na każdą pieszczotę jego języka, dotykaniem jego mięśni falujących pod skórą, by przejmować się moimi ubraniami.

Czuję na nogach powiew chłodu, kiedy moja spódnica ląduje na ziemi. Pomagam mu, ściągając bieliznę i jednocześnie ssąc jego język.

Xaden jęczy gardłowo, wodząc dłońmi po moich plecach. Rozwiązuje sznurki w rekordowym czasie i gorset ląduje na podłodze, a ja staję przed nim w samej bieliźnie, bo nic innego nie pasowało pod ten odświętny strój.

Sztylety, zarówno jego, jak i moje, lądują na ziemi, kiedy odpina pochwy na moich udach i to samo robi ze swoimi. To piękna kakofonia metalicznych brzdęków, która towarzyszy nam przy rozbieraniu. W końcu oboje jesteśmy nadzy i całujemy się bez tchu.

Xaden wsuwa dłonie w moje włosy i wyciąga z nich wszystkie spinki, pozwalając lokom spłynąć na moje plecy. Odsuwa się na tyle, by prześlizgnąć się wyglodniałym wzrokiem po moim ciele.

– Jesteś piękna.

– Myślę, że mogło ci to zająć dłużej niż dwie mi... – zaczynam, ale łapie mnie pod udami i podnosi, a potem rzuca na łóżko. Szczerze mówiąc, powinnam była spodziewać się tego ruchu, bo rozkładał mnie na łopatki przez większą część roku.

– Wciąż liczysz? – pyta. Opada na kolana przed łóżkiem i przyciąga moje biodra na skraj.

– A mam to robić? – przekomarzam się.

– Droga wolna. – Uśmiecha się, a ja nie mam czasu wydusić z siebie głosu, bo jego usta odnajdują moją łechtaczkę.

Zapowietrzam się i odchylam głowę, czując nieskalaną przyjemność, gdy pięści mnie językiem, zataczając nim koła.

– Bogowie.

– Którego boga wzywasz? – odzywa się przy moim ciele. – Bo w tym pokoju jesteśmy teraz tylko ty i ja, Vi, a ja nie lubię się dzielić.

– Ciebie. – Wsuwam palce w jego włosy. – Wołam ciebie.

– Doceniam boskie porównanie, ale wystarczy moje imię. – Przesuwa językiem od wejścia aż po lechtaczkę i w końcu wywiera na niej nacisk, a mnie wyrywa się jęk. – Kurwa, tak dobrze smakujesz. – Unosi mi nogi i zakłada je na swoich ramionach, rozsiadając się przed łóżkiem wygodnie, jakby nie miał dzisiaj nic lepszego do roboty.

A potem robi mi dobrze językiem i zębami.

Gorąca i uporczywa przyjemność wije się w dole mojego brzucha spiralami, a ja zatracam się w doznaniach, na zmianę unosząc i osuwając biodra, żeby dogonić orgazm, do którego doprowadza mnie każdym umiejętnym ruchem języka.

Moje uda drżą, kiedy odnajduje jednostajny rytm i wsuwa we mnie dwa palce, którymi dopasowuje się do ruchu języka, a umysł zmienia się w papkę.

Moc zalewa mnie niczym potop, miesza się z przyjemnością, aż stają się jednym i tym samym, a kiedy Xaden doprowadza mnie na sam szczyt rozkoszy, z każdą potężną falą orgazmu wykrzykuję jego imię.

Rozlega się grzmot, który wstrząsa szybami Xadena.

– Pierwszy – odlicza, całując mnie po wiotkim ciele. – Chociaż myślę, że powinniśmy popracować nad fajerwerkami, bo ludzie będą wiedzieć, co robimy.

– Twoje usta są... – Potrząsam głową, kiedy wsuwa we mnie ręce i przeciąga mnie na środek swojego łóżka. – Nie mam słów.

– Ty za to – szepcze, muskając ustami mój brzuch – smakujesz cudownie. Nie powinienem był tak długo czekać, żeby to zrobić.

Wyrywa mi się okrzyk, kiedy bierze do ust mój sutek i pieści go ustami, drugi masuje między kciukiem a palcem wskazującym, rozbudzając we mnie kolejny płomień na zgliszczach pierwszego.

Gdy dociera do mojej szyi, mam wrażenie, że staję pod nim w płomieniach. Dotykam każdej części jego ciała, wodzę dłońmi po jego ramionach, plecach, klatce piersiowej. Na bogów, ten mężczyzna jest niesamowity, całe jego ciało zostało wyrzeźbione w walce i pojedynkach.

Nasze usta spotykają się w głębokim pocałunku, w którym wyczuwam zarówno jego, jak i swój smak. Unoszę uda, przyciskając go tam, gdzie powinien się znajdować – między moimi nogami.

– Violet – jęczy, a ja już wyczuwam go przy swoim wejściu.

– Ja nie mogę się z tobą pobawić? – droczę się z nim. Wypinam biodra, żeby się o mnie otarł, aż mój oddech grzęźnie w gardle.

Xaden przygryza mi dolną wargę.

– Możesz pobawić się później, jeśli będę mógł mieć cię teraz.

Taki plan mi odpowiada.

– Już mnie masz.

Patrzemy sobie w oczy, a Xaden podpira się na łokciach, żeby mnie nie przygnieść.

– A ty masz wszystko, co mogę oddać.

To mi wystarczy... na razie. Kiwam głową i znowu unoszę biodra.

Wślizguje się we mnie jednym pchnięciem, a potem wychodzi, by powtórzyć ruch, aż zanurza się po sam koniec.

Pasuje do mnie tak doskonale, wypełnia mnie i rozciąga w sposób, którego nie potrafię opisać.

– Jest mi tak dobrze. – Poruszam biodrami, bo nie mogę się powstrzymać.

– Mógłbym powiedzieć to samo. – Uśmiecha się, wykorzystując te same słowa, których użyłam wcześniej. Xaden narzuca powolne, ale ostre tempo, a ja napotykam każdy jego ruch i dochodzimy wspólnie raz po raz.

Potem przenosi nas pod wezglowie łóżka. Wyciągam ręce w tył i opieram się, żeby odpowiedzieć pchnięciem bioder na każdy jego ruch. Bogowie, każdy kolejny raz jest lepszy od poprzedniego. Kiedy próbuję go pospieszyć, on uśmiecha się do mnie złośliwie i celowo bierze mnie w tempie, od którego tracę zmysły, a serce próbuje mi wyskoczyć z piersi.

– Chcę, żeby to trwało jak najdłużej. Tego właśnie potrzebuję.

– Ale ja... – Ten ogień w moich trzewiach jest teraz tak napięty i gotowy do eksplozji, że dosłownie czuję jego słodki posmak.

– Wiem. – Znowu na mnie naciera, a ja jęczę od oszałamiających doznań. – Po prostu ze mną zostań. – Wchodzi we mnie pod innym kątem, tak, by przy każdym pchnięciu ocierać się o moją łechtaczkę i unosi mi kolana, by wejść jeszcze głębiej.

Nie przeżyję tego. Umrę na tym łóżku.

– W takim razie umrę z tobą – obiecuje i odnajduje moje usta.

Już nawet nie myślę. Jestem w takim stanie, że już nawet nie wiem, co mówię na głos, a potem dociera do mnie, że wcale nie muszę.

*Więcej. Chcę więcej.* Moc szumi pod moją skórą, a nogi mi drżą.

*Zaraz skończysz. Kurwa, jest mi w tobie tak dobrze. Nigdy nie będę mieć tego dosyć. Nigdy się tobą nie nasycę.*

– Kocham cię. – Te słowa są wyzwajające, nawet jeśli nie odpowiada mi tym samym.

Jego oczy płoną, opanowanie wyparowuje, kiedy wbija się we mnie, ta wijąca się przyjemność eksploduje wraz z moimi mocami, które przetaczają się z grzmotem przez pokój, rozbijając szkło. Xaden przewraca się na bok, pociągając mnie za sobą i goni za własnym spełnieniem, jęcząc w moją szyję. Ostatnie fale orgazmu wywołują drżenie całego mojego ciała.

Mijają długie minuty, zanim nasze oddechy wracają do normy. Moje uda, którymi go otaczam, owiewa lekki wiatr.

– Wszystko w porządku? – pyta, odgarniając mi włosy z twarzy.

– Jest wspaniale. Ty jesteś wspaniała. To było...

– Wspaniale? – podsuwa.

– Tak.

– Ja opisałbym to jako wybuchowe, ale myślę, że wspaniale również pasuje. – Przechodzi palcami moje luźne pasma. – Uwielbiam twoje włosy. Jeśli kiedykolwiek będziesz chciała wymusić na mnie uległość albo wygrać kłótnię, po prostu je rozpuść. Zrozumiem.

Uśmiecham się szeroko, wiatr rozwiewa brązowe kosmyki przechodzące w srebro.

Chwila. Nie powinno być żadnego wiatru.

Zaniepokojona podnoszę się na łokciu, żeby wyrzeć za ramię Xadena.

– O nie, nie, nie. – Zakrywam usta ręką, widząc zniszczenia. – Chyba wybiłam ci okno.

– O ile nie ma tu drugiej osoby ciskającej piorunami, to tak, to byłaś ty. Widzisz, co miałem na myśli? Wybuchowe. – Śmieje się.

Wstrzymuję oddech. To dlatego przetoczył się na bok, żeby osłonić mnie przed gradem szkła, do którego sama doprowadziłam.

– Przepraszam. – Przyglądam się zniszczeniom, ale na łóżku zauważam jedynie piasek. – Będę musiała nad tym zapanować.

– Wzniosłem barierę, nie przejmuj się tym. – Przyciąga mnie do siebie, żeby złożyć na moich ustach pocałunek.

– I co my teraz zrobimy? – Naprawienie okna to nie to samo, co zastąpienie szafy nową.

– W tym momencie? – Odgarnia włosy z mojej twarzy. – To był dopiero drugi orgazm, jeśli wciąż je liczymy, więc proponuję się umyć, strzepnąć piasek z łóżka, a potem do niego wrócić i zrobić to trzeci, a może nawet i czwarty raz, jeśli nie jesteś śpiąca.

Opada mi szczęka.

– Po tym, jak właśnie rozbiłam ci okno?

Uśmiecha się i wzrusza ramionami.

– Osłonię nas, jeśli następnym razem postanowisz wyżyć się na meblach.

Przesuwam wzrokiem po jego ciele i moje pragnienie znów się rozpala. Jak miałabym go nie pragnąć, kiedy wygląda, jakby sami bogowie pobłogosławili go wyglądem. Czuję się jak największa szczęściara.

– W porządku. Runda trzecia.

Zaliczamy ich pięć. Xaden zaciska dłonie na moich biodrach, a ja powoli go ujeżdżam, wodząc palcami po czarnych zawijasach piętna na jego szyi. Nie mam pojęcia, jakim cudem jeszcze mamy energię, ale dzisiaj chyba nie potrafimy przestać, nie możemy się sobą nasycić.

– Rzeczywiście jest piękny – przyznaję i unoszę się po to tylko, żeby opaść na niego znowu i poczuć go jeszcze głębiej.

Jego oczy rozbłyskują, a palce wbija w moje ciało.

– Kiedyś uważałem to za klątwę, ale teraz wiem, że to dar. – Wypina biodra, nacierając na mnie pod jeszcze lepszym kątem.

– Dar? – Bogowie, przez niego nie jestem w stanie dzisiaj myśleć.

Ktoś nagle wali do drzwi.

– Spadaj! – woła Xaden i otacza mnie ręką za ramiona, żeby zbliżyć do siebie podczas kolejnego pchnięcia.

Opadam na niego i jęczę w jego szyję.

– Niestety nie mogę. – W głosie intruza słyszę taki niepokój, że mu wierzę.

– Oby ktoś był martwy, jeśli mam wyjść z tego łóżka, Garrick – grozi Xaden.

– Myślę, że mnóstwo ludzi jest martwych, bo wzywają cały kwadrant do formacji, kretynie! – burzy się Garrick.

Xaden i ja zamieramy, patrząc na siebie w szoku. Zsuwam się z niego, Xaden okrywa mnie kocem, a potem wkłada skórzane spodnie i zmierza do drzwi.

– Co ty pierdolisz? – cedzi przez zaciśnięte zęby, gdy uchyla drzwi.

– Wkładaj mundur i lepiej zabierz ze sobą Sorrengail – oznajmia Garrick. – Zostaliśmy zaatakowani.



*Brak kontroli nad potężną mocą jest dla jeźdźca – a także wszystkich wokół niego – równie niebezpieczny jak brak jej manifestacji.*

*Przewodnik po Kwadrancie Jeźdźców autorstwa majora Afendry  
(wersja nieautoryzowana)*



## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI**

**J**eszcze nigdy w życiu nie ubrałam się tak szybko i nawet nie zawracam sobie głowy zapinaniem pochw na udach.

– Która godzina? – zwracam się do Xadena. Wkładam mój odświętny strój, pantofle i odgarniam włosy z twarzy.

Obowiązkowa pilna formacja dla całego kwadrantu oznacza, że musimy wyjść w tym momencie.

Bariery upadają. Ilu Navarriańczyków stracimy?

– Czwarta piętnaście. – Kończy wiązać buty i już jest uzbrojony po zęby, gdy ja zbieram swoje sztylety i jestem pewna, że brakuje jednego z nich. – Zamarzniesz tam.

– Jakoś przeżyję. – Klękam na podłodze i odnajduję brakujący sztylet, przyciągając go do siebie za pasek pochwy, a potem wstaję.

– Masz. – Xaden narzuca mi na barki swoją kurtkę do latania, przygniatając mi włosy. – Jeśli Garrick ma rację i rzeczywiście zostaliśmy zaatakowani, to zgaduję, że wezwą starsze roczniki na posterunki, więc nie powinnaś stać zbyt długo w formacji. Nie mogę znieść myśli, że zamarzniesz.

To oznacza, że będzie musiał wylecieć.

Zaniepokojona tą myślą niezdarnie wsuwam ręce w rękawy jego kurtki. Nic mu nie będzie, prawda? To tylko przydział wewnątrz Kontynentu, a on jest najsilniejszym jeźdźcem w całym kwadrancie.

W ręce trzymam broń, więc nie oponuję, kiedy zapina kurtkę na mojej klatce piersiowej.

– Musimy stawić się na zbiórce. – Łapie moją twarz w dłonie. – A jeśli będę musiał lecieć, to się nie martw. Jestem pewien, że Sgaeyl zaciągnie mnie z powrotem w ciągu kilku dni. – Całuje mnie mocno i szybko. – Kiedyś mnie wykończysz. A teraz chodźmy.

Chaos w murach tej szkoły ma swoje zalety. Nikt nie zauważa, że wymykam się z pokoju dowódcy skrzydła i dołączam do morza innych jeźdźców, którzy ubierają się pośpiesznie, żeby dotrzeć na formację. We wszystkich buzuje adrenalina, są zbyt zaniepokojeni, by zwrócić na mnie uwagę albo zauważyć, że Xaden przelotnie dotyka mojej dłoni, zanim dołącza do dowództwa zbierającego się na podeście przed budynkiem.

Nie tylko ja mam na sobie spódnicę.

Kiedy dołączam do formacji, lodowaty wiatr szczypie moją skórę, ale przynajmniej kurtka Xadena utrzymuje moje włosy w ryzach.

– Oby to było ważne, bo w końcu miałem dobrać się do tego boskiego bruneta z Kwadrantu Medyków – jęczy Ridoc, stając za mną.

Liam jest tuż obok i właśnie zapina kurtkę.

– Czyżby ktoś dobrze się dzisiaj bawił? – pytam Liama.

– Nie czepiaj się – mamrocze, a w blasku księżyca jego policzki przybierają różowy odcień.

– Czy ktoś widział Daina? – pytam Nadine, która dołącza do formacji naprzeciwko mnie.

– Wszyscy dowódcy drużyn są teraz z resztą dowództwa – rzuca ponad ramieniem, kiedy podbiega Rhiannon.

Rhi ziewa głośno, a potem obrzuca mnie zdziwionym spojrzeniem.

– Violet Sorrengail – szepcze, przysuwając się do mnie. – Czy ty masz na sobie kurtkę Riorsona?

Liam gwałtownie obraca głowę w moim kierunku. Niech szlag trafi ten jego dobry słuch.

– Skąd ten pomysł? – Próbuję udawać zdziwioną, ale mi nie wychodzi, więc zabieram się za chowanie pochw do wszystkich wolnych kieszeni. Doszukuję się trzech i wszystkie są głębsze niż te w mojej kurtce.

– Och, no nie wiem, może dlatego, że jest za duża i są na niej trzy gwiazdki? – Stuka palcem w jedyną gwiazdkę na swoim mundurze.

Cholera. Wygląda na to, że żadne z nas nie myślało logicznie.

– To może być kurtka kogokolwiek z trzeciego roku. – Wzruszam ramionami.

– Z herbem Czwartego Skrzydła na ramieniu? – Unosi wymownie brew.

– To trochę zawęży listę podejrzanych – zgadzam się.

– I z odznaką dowódcy skrzydła pod gwiazdkami? – droczy się ze mną.

– Dobra, to jego kurtka – odpowiadam szeptem. Komendant Panček wchodzi na podium, a za nim podąża ojciec Daina oraz dowódcy skrzydeł. Xaden unika patrzenia na mnie, ale ja nie mogę oderwać od niego wzroku, tym bardziej że najpewniej zostanie wysłany na pole bitwy, a ja wciąż czuję na skórze jego usta.

– Wiedziałam! – Rhi uśmiecha się triumfalnie. – Powiedz, że było bosko.

– Rozbiłam mu okno. – Krzywię się, a moje policzki płoną.

– W sensie... Czymś w nie rzuciłaś? – Marszczy brwi.

– Nie. W sensie, że błysnął piorun, zresztą nie raz, i rozbił szybę. – Zerkam na podium. – Ale patrz tylko, teraz stoi tam taki spokojny, opanowany, niewzruszony. – Czuję skurcz w piersi, bo zastanawiam się, która wersja Xadena jest prawdziwa? Ta stojąca teraz na podwyższeniu, całkowicie opanowana, gotowa dowodzić skrzydłem? Czy ta, która znajdowała się we mnie niecałe pół godziny temu? Ta, która twierdziła, że na mnie nie zasługuje, ale i tak będzie próbować?

Xaden wygląda teraz na rozdrażnionego i na ułamek sekundy krzyżują się nasze spojrzenia.

*Pieprzone Igrzyska Wojenne.*

Zalewa mnie jednocześnie ulga i rozczarowanie.

*Żartujesz.* Wyciągnięto nas z łóżek, żeby zorganizować Igrzyska Wojenne?

*Nie.*

– Ostro. – Rhiannon nie przestaje się uśmiechać. – Szkoda, że ja przez nikogo nie rozbiłam okna.

Patrzę na nią i przewracam oczami.

– Och, proszę cię, miałaś o wiele więcej...

– Hej, Aetos – woła Rhiannon. Wspiera się na mnie, otaczając moje ramiona tuż nad obojczykiem, żeby zakryć odznaczenia Xadena na kurtce. – Co za miły poranek, nie sądzisz?

Dain patrzy na Rhiannon, jakby wypięła za dużo miodu pitnego, i podchodzi do naszej drużyny.

– Nie powiedziałbym. – Rozgląda się po naszej grupie. – Wiem, że jest wcześniej... albo późno, zależy jak na to spojrzeć, ale trenowaliśmy do tego cały rok, więc się obudźcie. – Odwraca się twarzą do podestu, kiedy Panček podchodzi do mównicy.

– Dzięki – zwracam się szeptem do przyjaciółki, kiedy staje obok mnie. Nie mam ochoty wysłuchiwać kazania Daina na temat moich wyborów. Nie dzisiaj.

– Jeźdźcy! – Głos Pančeka niesie się po całym dziedzińcu. – Witamy na ostatnim wydarzeniu w tegorocznych Igrzyskach Wojennych!

Przez formację przetacza się zbiorowy szept.

– Alarm, który wybrzmiał, był podobny do prawdziwego, co miało sprawdzić, jak szybko zareagujecie, więc teraz będziemy kontynuować to ćwiczenie. Gdyby granice zostały zaatakowane, a bariery zaczęły padać, wszyscy zostalibyście wezwani, aby wzmocnić skrzydła. Pułkownik Aetosie, czy uczynisz nam ten zaszczyt i odczytasz scenariusz?

Ojciec Daina wychodzi do przodu ze zwojem w ręce i zaczyna czytać.

– Nadszedł moment, którego się obawialiśmy. Bariery, na zbudowanie których poświęciliśmy nasze życie, zaczynają upadać, a nasze granice zostały niespodziewanie zaatakowane na wielu frontach. Wioski znalazły się pod okupacją jeźdźców gryfów. Odnotowano ogromną liczbę zgonów wśród cywilów i piechoty, a także jeźdźców.

Widać, że się postarał, aby scenariusz nabrał dramatyzmu.

– Wysyłamy wszystkie skrzydła, tak jak zrobilibyśmy, gdybyście pełnili funkcję posiłków – ciągnie, skupiając się po kolei na każdej grupie. – Czwarte Skrzydło poleci na południowy wschód. Każda z drużyn zdecyduje, który posterunek w tym regionie wybierze. – Unosi jeden palec. – Kto pierwszy, ten lepszy. Jednakże dowódcy skrzydeł będą przypisani do własnych grup w celu ustanowienia kwatery.

Odwraca się w stronę dowódców, wydaje rozkazy, ale zerka w naszą stronę – bez wątpienia szukając Daina – a potem zwraca się do Xadena. Zauważam chwilowe drżenie jego uśmiechu, przez co włoski stają mi dęba na karku.

– Riorson, otrzymujesz kwaterę dla Czwartego Skrzydła w Athebyne. Pozostali dowódcy, wyznaczcie kwatery wedle własnego uznania, korzystając z sugestii pozostałych członków. Uznajcie to ćwiczenie za test dowództwa, jako że w scenariuszu rozgrywającym się w prawdziwym życiu nie ma ograniczeń. Po dotarciu na wybrane posterunki otrzymacie aktualne rozkazy na najbliższe pięć dni tego ćwiczenia. – Robi krok w tył.

Athebyne? Ale przecież to za barierami... To tam, gdzie Xaden poleciał na swoją tajną misję. Próbuję pochwycić jego spojrzenie, ale on jest skupiony na pułkowniku.

– Aż pięć dni? Ale będzie zabawa – woła Heaton z przerażającym zachwytem, przeczesując ręką fioletowe płomienie wymalowane na włosach. – Będziemy bawić się w wojnę.

– Tak – dodaje cicho Imogen. – Na to wygląda.

– Podobnie jak w prawdziwym życiu, dowódcy drużyn muszą szybko podjąć decyzję, a potem w ciągu trzydziestu minut dotrzeć na lądowisko – oznajmia Panchek. – Rozejść się.

*Tairn.*

*Już leczę.*

– Zajmiemy Dunek w Eltuval, najbardziej wysunięty na północ w przypisanym nam regionie – informuje nas Dain i odwraca się w naszą stronę, a Rhiannon znowu zasłania ręką odznaczenia Xadena na kurtce. – Nie zamierzam utknąć na jakimś posterunku przy brzegu, skoro Poromiel nigdy by tam nie uderzył. Czy ktoś ma z tym problem?

Wszyscy kręcimy głowami.

– W takim razie w porządku. Słyszeliście komendanta. Macie pół godziny na przebranie się, spakowanie rzeczy na pięć dni i dotarcie na lądowisko.

Formacja rozchodzi się i wszyscy biegną do swoich pokojów, żeby się przygotować.

– Jak myślisz, jakie będziemy mieć rozkazy, gdy dotrzemy na miejsce? – zastanawia się Rhiannon, kiedy przeciskamy się przez korek kadetów próbujących dotrzeć do koszar. – Kolejne jaja, które trzeba zdobyć?

– Chyba wkrótce się dowiemy.

Owinięcie kolan i ramion przed długim lotem zajmuje mi dziesięć minut, a potem przebieram się w mundur do latania. Kolejne pięć minut poświęcam na rozplątanie włosów i zaplecenie ich w warkocz, więc zostaje mi pięć ostatnich na spakowanie się. Wciskam do plecaka kurtkę Xadena, w razie gdyby ktoś kręcił się tu pod moją nieobecność.

*Włóż każdy sztylet, który posiadasz, rozkazuje Xaden, wprawiając mnie w zdziwienie.*

*Już mam ich na sobie dwanaście.* Wrzucam do plecaka wszystkie potrzebne rzeczy.

*To dobrze.*

*Zobaczmy się na lądowisku, prawda?*

Jeśli wyleci bez pożegnania, wytropię go i zabiję osobiście.

*Tak.* Jego odpowiedź jest krótka, więc dokańczam pakowanie i spotykam się na korytarzu z Rhiannon i Liamem.

Przez tłum przetacza się podeksytowanie, kiedy zmierzamy na lądowisko, biorąc po drodze racje żywnościowe od czekających przy sali jadalnej pracowników kuchni. Będziemy jeść w trakcie lotu.

Kiedy docieramy na miejsce, rozglądam się wokół oszołomiona. Na polanie zebrały się wszystkie smoki jeźdźców i stoją w takiej samej formacji, jaką my przyjmujemy na dziedzińcu. Nad nimi unosi się morze magicznych świateł, które wyglądają jak gwiazdy i nadają temu miejscu nierzeczywisty charakter, jakbyśmy znajdowali się w wielkiej sali, a nie na lądowisku. Jest pięknie, a jednocześnie niebezpiecznie.

W powietrzu unosi się nerwowa energia, a niejedna osoba właśnie wypija to, co ze sobą przyniosła, kiedy nadciągają pozostali jeźdźcy.

– Wygramy – deklaruje Rhiannon, kiedy omijamy skrzydła parszających i obnażających kły smoków. Nie tylko my jesteśmy dzisiaj podenerwowani. – Jesteśmy najlepsi. Wygramy to. – Na jej twarzy odmalowuje się wyraz determinacji. – Dosłownie czuję smak posady dowódcy drużyny za rok.

– Na pewno ją dostaniesz – potwierdzam, a potem odwracam się do Liama, kiedy docieramy do naszej sekcji. – A ty? Chcesz owiać się chwałą i zostać dowódcą drużyny? – Dzięki wynikom na zajęciach i w trakcie treningów wręcz idealnie by się nadawał.

– Zobaczymy. – Wydaje się nietypowo spięty.

Docieramy do naszych smoków, a ja zauważam, że Tairn stoi na przodzie, tam, gdzie powinien znajdować się Cath, natomiast smok Daina został wypchnięty na bok. Dowódca drużyny właśnie nas odlicza. Mój egoistyczny smok jest już osiodłany, a pod jego skrzydłem czeka Andarna.

Cholera. Zamierzają zmusić Andarnę, by za nami podążyła.

*I jeśli zostaniemy ostrzelani przez przeciwników, musisz znaleźć pierwszą lepszą kryjówkę i ukryć się, tak jak omawialiśmy. Jesteś zbyt błyszcząca i przyciągasz uwagę,* zwraca się do niej Tairn.

*W porządku.*

– Co ty masz na sobie? – pytam Andarnę, która wyłania się spod skrzydła Tairna z wysoko zadartą głową, chełpiąc się uprzężą, która przypomina siodło, ale nim nie jest.

*Dowódca skrzydła ją dla mnie zaprojektował. Widzisz? Można doczepić ją do siodła Tairna.*

Nie mogę powstrzymać uśmiechu cisnącego mi się na usta na widok trójkątnego kształtu na grzbiecie Andarny, który bez wątpienia pasuje do tego na piersi Tairna.

– Niesamowite.

*To na wypadek, gdybym nie mogła nadążyć. Teraz mogę już lecieć z wami!*

Kolejny powód, by ubóstwiać Xadena.

– Podoba mi się. – Odwracam się do Tairna, który właśnie kłapie zębiskami na Catha, żeby ten dał mu więcej przestrzeni. – Mam pomóc z zapięciem?

*Poradziłem sobie.*

– Nie wątpię. – Wtedy coś do mnie dociera. Pięć dni. O nie. – Poradzisz sobie w trakcie rozłąki z...

– Druga drużyna! – woła Dain. – Przygotujcie się na czterogodzinny lot. Przez pierwsze piętnaście minut będziemy musieli utrzymywać ścisłą formację, gdy pozostałe drużyny się rozleczą. – Zerka w moją stronę, a potem zatrzymuje wzrok za mną. – Riorson?

Obracam się i zauważam Xadena zmierzającego w naszą stronę. Zza jego pleców wystają dwie rękojeści mieczy, a mnie ściska w gardle. Jak mam się z nim pożegnać przy tych wszystkich ludziach? Co gorsza, jak przeżyją to nasze smoki?

*Nie martw się, srebrnowłosa, wtrąca Tairn zdecydowanym tonem. Wszystko będzie tak, jak musi być.*

– W czym mogę pomóc? – cedzi Dain, prostując ramiona.

– Jesteś mi potrzebna – zwraca się do mnie Xaden.

– Słucham? – wcina się Dain, nie dając mi dojść do słowa.

– Wyluzuj, on chce się tylko pożegnać – wyjaśniam.

– Jeśli masz się z kimś żegnać, to z nim – poprawia mnie Xaden i kiwa głową na Daina. – Zbieram własną drużynę, z którą udam się do kwatery i ty idziesz ze mną. Tak samo jak Liam i Imogen.

Opada mi szczęka. Że co?

– Chyba cię pojebało – syczy Dain, podchodząc bliżej. – Ona jest na pierwszym roku, a Athebyne znajduje się poza barierami.

Xaden patrzy na niego ze znudzeniem.

– Jakoś nie słyszę, żebyś walczył tak samo o Mairiego.

Oglądam się przez ramię i zauważam Liama, który stoi z zadartym podbródkiem przed Deighem. Wygląda, jakby się tego spodziewał.

*Co tu się dzieje?*, zwracam się do Xadena.

– Liam jest najlepszym kadetem na pierwszym roku, mimo że przypisałeś go do opieki nad Violet – spiera się Dain, krzyżując ramiona na klatce piersiowej.

– A Sorrengail włada piorunami – zauważa Xaden i robi krok w przód, ocierając się o moje ramię. – Nie żebym był ci winien jakieś wyjaśnienia, dowódco drużyny, ale Sgaeyl i Tairn nie zniosą rozłąki na dłużej niż kilka dni...

Oczywiście. Teraz ma to sens.

– Bo więcej nie mieliście czasu sprawdzić! – krzyczy Dain. – Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że Sgaeyl aż odchodziła od zmysłów, zanim pojawiliście się w Montserracie? Nigdy nie przetestowaliście, ile tak naprawdę mogą bez siebie wytrzymać.

– Chcesz ją o to zapytać? – proponuje złowróżbnie Xaden, unosząc brew.

Za mną rozlega się niski, groźny pomruk, kiedy Sgaeyl podchodzi do nas z niebezpiecznym błyskiem w oku. Oblewa mnie strach w imieniu Daina. Nie ma znaczenia, jak często się z nią spotykam – jakaś część mnie zawsze będzie uważać ją za chodzące zagrożenie.

– Nie rób tego. Jeźdźcy umierają w trakcie Igrzysk Wojennych, a ona będzie bezpieczniejsza przy mnie – oponuje Dain. – Z dala od Basgiathu może wydarzyć się wszystko, szczególnie jeśli zabierzesz ją poza bariery.

– Nie zamierzam zaszczyścić cię odpowiedzią. To rozkaz.

Dain mruży oczy.

– A może od początku to planowałeś? Chciałeś odłączyć ją od drużyny, żeby ją wykorzystać i zemścić się na jej matce?

– Dain! – Potrząsam głową. – Dobrze wiesz, że tak się nie stanie.

– A niby skąd mam wiedzieć? – wypala. – Obnosi się z tym, że jeśli ty umrzesz, to on również, ale skąd wiesz, że to prawda? Skąd wiesz, że Tairn rzeczywiście nie przeżyje twojej śmierci? A może to zawsze było tylko kłamstwo, żeby zdobyć twoje zaufanie, Violet?

Zapowietrzam się.

– Przestań, ale już.

– Tak, odpuść, Aetos – drwi Xaden. – Chcesz znać prawdę? Ona jest o wiele bezpieczniejsza ze mną za barierami niż z tobą tutaj. Obaj o tym wiemy. – Groźba w jego oczach może konkurować z Sgaeyl i już wiem, dlaczego go wybrała. Oboje są bezlitośni, gotowi zniszczyć wszystko, co stoi im na drodze do celu.

A teraz na drodze Xadena stoi Dain.

– Przestań. – Kładę rękę na ramieniu Xadena. – Xaden, przestań. Jeśli chcesz, żebym poleciała z tobą, zrobię to. Nie musisz prosić.

Przenosi na mnie spojrzenie i jego oczy natychmiast łagodnieją.

– To, kurwa, niemożliwe – szepcze Dain, ale jego słowa rezonują we mnie jak błyskawica.

Odwracam się w jego stronę, zabieram rękę z ramienia Xadena, ale po minie Daina widać, że domyślił się, co między nami jest, i czuje się zraniony. Przelykam ślinę.

– Dain...

– On? – Dain wytrzeszcza oczy, a jego twarz robi się bordowa. – Ty i... on? – Kręci głową. – Ludzie gadali, ale zawsze myślałem, że to zwykłe plotki, ale ty...

– Zrezygnowany zwiesza ramiona. – Nie leć z nim, Violet. Proszę cię. Zginiesz przez niego.

– Wiem, że w twoich oczach Xaden ma jakieś ukryte motywy, ale ja mu ufam. Miał mnóstwo okazji, by mnie skrzywdzić, ale nigdy tego nie zrobił. – Podchodzę do Daina. – Prędzej czy później będziesz musiał odpuścić.

Na twarzy Daina maluje się przerażenie, ale szybko je przysłania.

– Jeśli tak wybrałaś... – Wzdycha. – W takim razie chyba musi mi to wystarczyć, prawda?

– Tak. – Kiwam głową. Całe szczęście, że problem między nami wkrótce zostanie rozwiązany.

Dain głośno przelyka ślinę i nachyla się, żeby wyszeptać:



– Będę za tobą tęsknić, Violet. – A potem obraca się na pięcie i rusza w stronę Catha.

– Dziękuję za to, że mi zaufałaś – odzywa się Xaden, kiedy docieram do nogi Tairna.

– Zawsze.

– Musimy już lecieć.

Zamiera, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale potem odwraca się i zmierza w stronę Sgaeyl, a do mnie dociera, że dwóch najważniejszych dla mnie mężczyzn właśnie mnie zostawiło i obaj zmierzają w przeciwnych kierunkach. Moje życie zmieni się zaraz na zawsze przez to, za kim postanowiłam podążać.

*Pierwszy odnotowany atak gryfów miał miejsce w pierwszym roku p.p.z. (po Ponownym Zjednoczeniu) w okolicy współczesnej factorii w Resson. Ze względu na położenie blisko granicy chronionej przez smoki punkt ten zawsze był podatny na ataki i przez ostatnie sześćset lat zostawał odbijany aż jedenaście razy. Była to niekończąca się wojna, która zmusiła nas do wzmocnienia ochrony naszych granic przed złaknionymi mocy wrogami.*

*Navarra, niecenzurowana historia autorstwa pułkownika Lewisa Markhama*



## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY**

**L**ecimy cały poranek, aż dochodzi południe, a kiedy Andarna nie daje już rady, w trakcie lotu zahacza uprząż na napierśniku Tairna. Udało jej się zasnąć do czasu, gdy Xaden postanowił ominąć wysokie na tysiące stóp Klify Dralor, które zapewniają Tyrrendorowi geologiczną przewagę nad każdym innym królestwem – dosłownie nad każdą prowincją na Kontynencie – i przelecieć przez góry wznoszące się na północy Athebyne.

Kiedy przemierzamy bariery, w klatce piersiowej czuję jakieś szarpnięcie, a potem trzask.

*Jest jakoś inaczej, zwracam się do Tairna.*

*Bez osłon magia jest tutaj bardziej nieokiełznana. Smokom łatwiej jest się komunikować wewnątrz barier. Dowódca skrzydła będzie musiał wziąć to pod uwagę, kiedy będzie zarządzał skrzydłem z posterunku.*

*Jestem pewna, że już o tym pomyślał.*

Kiedy docieramy do Athebyne, jest prawie pierwsza po południu i na rozkaz smoków zatrzymujemy się przy jeziorze obok strażnicy, żeby mogły się napić. Powierzchnia jeziora jest gładka jak szkło, strzeliste wierzchołki gór odbijają się z dokładnością zapierającą dech w piersiach, a kiedy smoki lądują na ziemi, woda w jeziorze drży i tworzą się małe fale. Jeden z brzegów otaczają gęsty las

i wielkie głązy, a obok zauważam zgniecioną trawę, co oznacza, że smoki nie lądują tutaj po raz pierwszy.

Jest z nami dziesięć smoków i, chociaż nie rozpoznaję każdego z nich, wiem, że Liam i ja jesteśmy jedynymi kadetami z pierwszego roku w naszej grupie. Deigh ląduje obok Tairna, a Liam zeskakuje z grzbietu z taką energią, jakbyśmy wcale nie spędzili właśnie siedmiu godzin w przestworzach.

*Oboje musicie się napić i pewnie coś zjeść*, zwracam się do moich smoków, odpinając pasy siodła. Mam skurcze w udach, ale nie jest tak źle jak podczas wyprawy do Montserratu. Przez ostatni miesiąc spędzałam w siodle dodatkowe godziny, więc chyba zaczynam się przyzwyczajać.

Tairn wsuwa szpon w zatrząsk i Andarna odkleja się od niego, po czym ląduje na ziemi, trzęsąc głową, ciałem, a na końcu ogonem.

*A ty musisz się przespać*, odpowiada Tairn. *Nie spałaś całą noc.*

*Prześpię się razem z wami.* Ostrożnie omijam kolce na jego karku i zsuwam się po łapie na pokryty mchem brzeg.

*Mogę wytrzymać bez snu wiele dni. Wolałbym, żebyś nie usmażyła wszystkich piorunami, gdy będziesz padnięta.*

Już mam na końcu języka, że władanie piorunami wymaga energii, ale po tym, jak zeszłej nocy rozbiłam okno w pokoju Xadena, raczej nie jestem ekspertką w tym zakresie. A może to przez niego tracę nad sobą panowanie. W każdym razie przebywanie w moim towarzystwie jest niebezpieczne. Dziwię się, że Carr nie zrezygnował z lekcji.

*Dziwnie jest przebywać poza barierami*, zmieniam temat.

Tairn wbija szpony w ziemię, a Liam podchodzi do mnie i rozluźnia mięśnie szyi. Sądząc po ogólnym poruszeniu panującym wśród smoków, zaczynam się zastanawiać, czy wszystkie to czują, czy wyczuwają ten niepokój w powietrzu, od którego włoski na moim karku stają dęba.

– Do Athebyne zostało nam dwadzieścia minut, więc nawadniajcie się! Nie mamy pojęcia, jaki scenariusz nas czeka – woła Xaden, a jego głos niesie się po całej drużynie.

– Wszystko w porządku? – pyta Liam, stając obok mnie, a Tairn i Andarna podchodzą do zbiornika wodnego.

*Trzymaj się blisko Tairna*, rozkazuję Andarnie. Z dala od Kotła, w dodatku taka świecąca, stanowi łatwy cel.

*Oczywiście.*

Bogowie, powinnam była zostawić ją w Basgiacie. Co ja sobie myślałam? Przecież to dopiero pisklę, a ten lot z pewnością ją wymęczył.

*To nie była twoja decyzja*, upomina mnie Tairn. *Ludzie, nawet ci związani, nie decydują o tym, gdzie polecą smoki. Nawet tak młoda smoczyca jak*

*Andarna ma własny rozum.* Jego słowa mnie nie pocieszają. Kiedy przyjdzie co do czego, to ja będę odpowiedzialna za jej bezpieczeństwo.

– Violet? – Liam marszczy brwi zatroskany.

– Czy jeśli powiem, że nie mam pojęcia, uznasz mnie za głupią? – Na to pytanie można odpowiedzieć na wiele sposobów. Pod względem fizycznym nic mi nie jest, ale pod względem psychicznym... cóż, niepokoję się, a jednocześnie nie mogę się doczekać, co przyniosą igrzyska. Ostrzegano nas, że kwadrant może stracić około dziesięciu procent kadetów przy ostatnim zadaniu, ale tu chodzi o coś więcej, tylko nie jestem w stanie tego nazwać.

– Uznam, że jesteś po prostu szczerą.

Przenoszę wzrok na lewo i odnajduję Xadena pogrążonego w rozmowie z Garrickiem. Wcale nie jestem zdziwiona, że dowódca sekcji trafił do osobistej drużyny Xadena.

Xaden patrzy w moją stronę i nasze oczy na chwilę się spotykają. To wystarczy, bym przypomniała sobie, że kilka godzin temu widziałam go nagiego, te wyrzeźbione mięśnie napinające się tuż przy moim ciele. Jestem szaleńczo zakochana w tym mężczyźnie. Jak mam pozbyć się tych uczuć z twarzy?

*Po prostu zachowuj się profesjonalnie.* Nie mam innego wyjścia. Chociaż patrząc po tym, że od opuszczenia jego sypialni jestem nieustannie wyczulona na jego obecność i skupiam się na każdym jego słowie, udowadnia to tylko, że kadeci z pierwszego roku nie powinni sypiać ze swoimi dowódcami, a tym bardziej się w nich zakochiwać. Jak dobrze, że już za niecałe dwa tygodnie przestanie być moim zwierzchnikiem.

*Jeśli dalej będziesz tak na mnie patrzeć, będziemy musieli zostać tutaj na dłużej niż pół godziny,* ostrzega, nie patrząc na mnie.

*Obiecujesz?*

Przenosi na mnie spojrzenie i mogłabym przysiąc, że na jego twarzy zauważam uśmiech, ale szybko skupia się na Garricku.

– Jak sobie z tym radzisz? – pyta niespodziewanie Liam.

– A jeśli powiem ci, że nie jestem pewna? – odpowiadam tak samo jak wcześniej, uśmiechając się lekko.

– Wtedy uznam, że wpadłaś po uszy. – Na jego twarzy nie zauważam jednak cienia humoru.

– Jak na kogoś, kto zawdzięcza wszystko Xadenowi, nie brzmisz na zachwyconego moim wyborem. – Rzucam plecak na ziemię i przeciągam sztywne mięśnie pleców. – Nie zachowuj się jak Dain.

*Wszystko w porządku?*, pyta Xaden.

*Tak. Jestem tylko trochę obolała.* Nie chcę być dla niego ciężarem.

– Nie o to chodzi. – Twarz Liama przybiera ponury wyraz. – Po prostu wiem, jakie ma priorytety.

– Przepraszam, że zostałeś tu ściągnięty ze względu na mnie – zaczynam tak cicho, by inni nie słyszeli. – Powinieneś być teraz w głębi lądu na posterunku razem z Dainem, a nie za barierami. Pułkownik Aetos to dobry człowiek, ale jestem pewna, że to zadanie ma pokazać naznaczonemu dowódcy skrzydła „gdzie jego miejsce” – ostatnie słowa wypowiadam, naśladowując ton głosu ojca Daina, a Liam przewraca oczami.

– Wcale się nie boję i nikt mnie do niczego nie zmusza. Wierz mi lub nie, Violet, ale nie wszystkie moje zadania kręcą się wokół ciebie. A poza tym jestem dobry w wielu rzeczach, wiesz? – droczy się ze mną i szturcha mnie biodrem.

– Nigdy nie zapomniałam, jaki jesteś wspaniały, Liam – mówię poważnie. Liam odchrząkuje, a ja odprawiam go gestem ręki.

– A teraz daj mi chwilę na osobności.

Kłania mi się, wskazując ręką na rozciągający się za nami las, a ja zanurzam się w jego mrok.

Kiedy wracam na brzeg jeziora, Xaden właśnie zostawia Garricka i podchodzi do mnie, wyciągając ręce.

Unoszę brwi. Czy on... nie. Nie zrobiłby tego. Nie na oczach ośmiu innych kadetów.

Xaden splata nasze palce. Wygląda na to, że jednak to zrobił. Mój puls przyspiesza, ale nie tylko od dotyku jego skóry. Właśnie złamał swoją zasadę.

Rzucam wymowne spojrzenie w stronę grupy, która właśnie odpoczywa nad jeziorem, i ściskam jego dłoń.

– Żadne z nich nie powie nikomu nic na twój temat. Ani na nasz temat. Każdej obecnej tu osobie mógłbym zawierzyć własne życie – przyznaje, prowadząc mnie w stronę skupiska głazów, które przewyższają go niemal dwukrotnie.

– Ludzie będą gadać. Niech gadają. – Nie wstydzę się tego, że go kocham, i jestem w stanie znieść każdą plotkę pod moim adresem.

– Teraz tak mówisz. – Zaciska szczęki. – Napiałś się? Jadłaś coś?

– Mam w plecaku wszystko, czego potrzebuję. Nie musisz się o mnie martwić.

– Martwię się o ciebie przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu. – Kciukiem gładzi wierzch mojej dłoni. – Kiedy dotrzemy na posterunek, musisz odpocząć, zanim otrzymamy rozkazy. Liam zostanie z tobą, a ja najpewniej zabiorę trzeci rok na patrol.

– Chcę pomóc – protestuję. Nie po to mnie sprowadził? Ze względu na moje moce? Nie żebym była mistrzynią celowania, ale mniejsza o to.

– Pomożesz nam, jak już odpoczniesz. Musisz być w pełni sił, żeby władać swoją mocą, inaczej się wypalisz. Tairn jest zbyt potężny.

Ma rację, mimo że w ogóle mi się to nie podoba.

Kiedy ukrywamy się przed wzrokiem pozostałych, Xaden opiera mnie o wielki głaz i przykuca.

– Co ty wyprawiasz? – Przeczesauję jego włosy palcami. Wciąż nie mieści mi się w głowie, że mogę go dotykać, i zamierzam wykorzystać to tak często, jak się da.

– Zesztywniały ci nogi. – Zaczyna rozmasowywać moje mięśnie dłońmi.

– Chyba nie możemy zostać tu dłużej, co? – Jego dotyk jest boski.

– Niestety. Ale zostało nam jeszcze jakieś dziesięć minut. – Posyła mi przebiegły uśmiech.

Dziesięć minut. Biorąc pod uwagę, że nie wiemy, co przyniesie dzisiejszy dzień, jestem skłonna wykorzystać czas, który nam pozostał.

Jęczę i opieram głowę o głaz, a moje mięśnie rozluźniają się pod jego dotykiem.

– Co za cudowny ból. Dziękuję.

Wybuchą śmiechem i przenosi się do napiętych mięśni moich ud.

– Wierz mi, w moich zamiarach nie ma nic altruistycznego, Violence. Wykorzystam każdą okazję, by cię dotknąć.

Dotykam dłońmi jego szorstkich policzków i przesuwam na szyję.

– Podzielałam to pragnienie.

Jego oddech przyspiesza, kiedy dociera do szczytu moich ud, ugniatając mięśnie z tak dużą łatwością.

– Przepraszam za dzisiejszy poranek.

– Co?

Kiedy na mnie patrzy, słońce odbija się w złotych plamkach jego oczu. Unosi przeciętą blizną brew.

– Byliśmy czymś zajęci, jeśli nie pamiętasz.

Moje usta powoli rozciągają się w uśmiechu.

– Och, pamiętam doskonale. – Rozpinam górny guzik jego kurtki, łapię za materiał i przyciągam go do siebie. Kiedy to nieustanne pragnienie zacznie ustępować? Przez ostatnią dobę zaspokajał mnie wielokrotnie, a mimo to wciąż jestem chętna na kolejną rundkę... albo trzy.

– Czy to źle, że chciałabym, abyśmy mieli więcej czasu, by się sobą nasycić?

– Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miał cię dosyć. – Podnosi się, wodząc dłońmi w górę mojego ciała. – Przy tobie jestem zbyt zachłanny.

Pochyla głowę i powolnym, namiętym pocałunkiem przyćmiewa mi cały świat. Niespiesznie wsuwa język w moje rozchylone usta, jakby jego jedynym planem na dziś było zapamiętanie każdego zakamarka moich ust.

Całe moje ciało budzi się do życia, a potem dygocze, gdy jego pocałunki przesuwały się tak zachłannie. Xaden chwyta mnie za biodra, przyciskając moje miękkie partie ciała do jego znacznie twardszych, a ja płonę z nagłą potrzebą. Moje serce wali tak głośno, że w uszach brzmi jak łopot skrzydeł. Bogowie, nigdy nie będę mieć go dosyć.

Jęczy, zaciskając dłoń na moim pośladku.

– Powiedz mi, o czym myślisz.

Zakładam mu ręce na szyję.

– Myślę o tym, że jesteś dokładnie taki, jak się spodziewałam, gdy zaciągnąłeś mnie do pokoju.

– Naprawdę? – Odchyła głowę, a w jego oczach błyszczy zaciekawienie. – Czyli jaki?

– Niebezpiecznie uzależniający. – Przesuwam wzrokiem po srebrnej bliźnie na jego brwi, gęstych rzęsach, za które każda kobieta dałaby się pociąć, delikatnym garbie na jego nosie i tych idealnie zarysowanych ustach. Już mu mówiłam, że go kocham, więc nie mam przed nim żadnych sekretów. W porównaniu z nim jestem jak otwarta księga. – Uzależnienie, którego nie da się zaspokoić.

Jego oczy ciemnieją.

– Zamierzam zatrzymać cię przy sobie – obiecuje, tak samo jak wczoraj. A może dzisiaj rano? – Jesteś moja, Violet.

Zadzieram głowę.

– Pod warunkiem że ty należysz do mnie.

– Jestem twój dłużej, niż sobie wyobrażasz. – Xaden, jakby sam ugiął się pod naporem tych słów, zaciska rękę na moim karku i całuje mnie długo, mocno, kradnąc mi każdy oddech i każdą myśl przy pomocy języka i fali pożądania, która rozgrzewa moją skórę.

Niespodziewanie przerywa pocałunek i odwraca głowę na bok, jakby nasłuchiwał.

– Co się stało? – pytam. Wszystkie jego mięśnie napinają się pod moim dotykiem.

– Cholera. – Xaden patrzy mi w twarz, szeroko otwierając oczy. – Violet, tak mi przykro...

– A więc tak jeźdźcy smoków spędzają wolny czas? – Za Xadenem rozlega się kobiecy głos, który kojarzy mi się z aksamitem przeciągniętym przez zwirową drogę.

Xaden odwraca się tak szybko, że dosłownie rozmazuje mi się przed oczami, a potem otacza mnie gęsta chmura jego cieni.

Nic nie widzę.

– Xaden! – krzyczy ktoś i rozlega się dźwięk zbliżających się kroków. Może to Bodhi?

– To głupie ukrywać coś, co już widziałam – wytyka oschle kobieta. – I jeśli plotki są prawdziwe, w waszej fabryce śmierci, zwanej uczelnią, jest tylko jedna srebrnowłosa jeźdźczyni, co oznacza, że to młodsza córka generały Sorrengail.

– Kurwa – przeklina Xaden.

*Musisz zachować spokój, Violence.*

*Spokój?* Cienie się rozplývają, a ja przesuwam ręce do boków, w razie gdybym musiała złapać za sztylet albo użyć mocy. Wyłamiam się zza Xadena, żeby lepiej widzieć.

Na łące jakieś trzydzieści stóp dalej stoi para jeźdźców gryfów, a ich bestie wydają się niepokojąco ciche. Są wielkości jednej trzeciej przeciętnego smoka, ale te ostre dzioby i szpony gotowe rozedrzeć skórę na strzepy są tak samo niebezpieczne.

*Tairn!*

*Już lecę!*

*Zostań ze Sgaeyl, rozkazuję Andarnie.*

*Te gryfy wydają się smakowite.*

*Są tej samej wielkości co ty. Nawet nie próbuj.*

– Pieprzona Sorrengail. – Kobieta wydaje się tylko kilka lat starsza ode mnie, ale sprawia wrażenie doświadczonej jeźdźczyni. Unosi ciemne brwi i patrzy na mnie jak na końskie łajno. W powietrzu rozlega się łopot skrzydeł i dolatuje do nas garstka smoków. Imogen. Bodhi. Dziewczyna z trzeciego roku z blizną na ustach, którą kojarzę. Liam. Ale nikt nie sięga po broń.

Przynajmniej teraz mamy przewagę. Moc szumi pod moją skórą i otwieram drzwi Archiwów w głowie, pozwalając mocy zalać mnie parzącym strumieniem. Niebo przecina błyskawica.

– Nie! – Xaden odwraca się do mnie i przyciąga do swojej klatki piersiowej, przyciskając moje ręce do boków.

– Co ty wyprawiasz? – Próbuję się wyswobodzić, ale to nic nie daje. Za mocno mnie trzyma.

Uderza we mnie podmuch wiatru, kiedy Tairn ląduje obok.

– Ja pieprzę, ale bydlę – woła kobieta. Zauważam, że jeźdźcy gryfów cofają się pospiesznie, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia.

Xaden kładzie rękę na moim karku, żebym na niego spojrzała. Co on zamierza zrobić? Pocałować mnie przed śmiercią?



– Jeśli kiedykolwiek naprawdę mi ufałaś, Violet, to musisz to zrobić teraz. – Zamieram na widok błagania w jego oczach. Nasi wrogowie znajdują się zaledwie kilka stóp dalej, a on chce... a on chce rozmawiać o zaufaniu? – Po prostu zostań tu i zachowaj spokój. – W moich oczach doszukuje się odpowiedzi na pytanie, którego nie zadał, a potem oddaje mnie Liamowi.

Oddaje mnie. Jak pieprzony plecak.

Liam dociska moje ręce do boków ostrożnie, ale stanowczo.

– Przepraszam, Violet.

Dlaczego wszyscy mnie przepraszają?

– Puszczaj mnie – żądam, kiedy Xaden z Garrickiem u boku podchodzi do pary jeźdźców gryfów. Strach ściska mi serce w obawie, że będzie próbował osobiście stawić czoła gryfom i ich jeźdźcom.

– Nie mogę tego zrobić – odpowiada przeproszającym tonem Liam. – Chciałbym, ale nie mogę.

Tairn warczy tak głośno, że ślina opryskuje twarz Liama. Chłopak zabiera ręce i odsuwa się nieznacznie z uniesionymi dłońmi.

– Łapię. Dotarło. Żadnego dotykania.

Gdy w końcu jestem wolna, odwracam się w stronę Xadena, który właśnie dociera do jeźdźców.

– Zjawiliście się za wcześnie – odzywa się z wyrzutem.

I wtedy moje serce zamiera.

*W ostatnich dniach przesłuchania Fen Riorson stracił kontakt z rzeczywistością i zbuntował się przeciwko królestwu Navarry. Oskarżył króla Tauriego oraz każdego poprzedniego o konspirację tak niewystawioną i bezkresną, że historycy nie mają odwagi tego powtarzać. Egzekucja była szybka i litościwa jak na szaleńca, który pozbawił życia tak wielu.*

*Navarra, niecenzurowana historia autorstwa pułkownika Lewisa Markhama*



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Jakimś cudem udaje mi się oddychać miarowo, co jest dość imponujące, zważywszy na to, że moje serce właśnie pękło na milion kawałków. Przyglądam się wrogom, mrużąc oczy.

Jeszcze nigdy nie widziałam jeźdźców gryfów. Smoki na ogół palą ich na popiół, wraz z ich wierzchowcami będącymi połączeniem lwa i orła.

– A co z jutrzejszym spotkaniem? Jeszcze nie mamy pełnej dostawy – zwraca się Xaden do jeźdźcy spokojnym głosem.

– Dostawa nie jest problemem – odzywa się kobieta, kręcąc głową. W przeciwieństwie do jeźdźców w czarnych skórach ci są ubrani w brąz, pasujący do piór ich bestii... które właśnie patrzą na mnie jak na kolację.

*Jeśli spróbują cię zaatakować, zostaną przekąską, obiecuje Tairn.*

Dostawa. Jestem tak zszokowana słowami jeźdźczyni, że nawet nie jestem w stanie przetworzyć komentarza Tairna. I Xaden ich zna. Pracuje z nimi, pomaga naszym wrogom. Próbuję przełknąć ślinę, ale zdrada kłuje mnie w gardle jak odłamki szkła. To dlatego tak często wykradał się z kwadrantu.

– Więc po prostu tu czekaliście, w razie gdybyśmy przylecieli dzień wcześniej? – wypomina Xaden.

– Wczoraj patrolowaliśmy okolice Draithusa, to mniej więcej godzinę na południowy wschód stąd...

– Wiem, gdzie leży Draithus – ucina Xaden.

– Nigdy nie wiadomo. Wy, Navarriańczycy, zachowujecie się, jakby poza waszymi granicami nic innego nie istniało – prycha jeździec gryfów. – Nawet nie wiem, dlaczego zawracamy sobie głowę, żeby ich ostrzec.

– Ostrzec nas? – Xaden przekrzywia głowę na bok.

– Dwa dni temu straciliśmy pobliską wioskę podczas najazdu veninów. Zrównały ją z ziemią.

Zaskoczona otwieram szeroko oczy. Co ona powiedziała?

– Veniny nigdy nie zapuszczają się tak daleko na zachód – odzywa się stojąca po mojej lewej Imogen.

*Veniny.* Tak, obie użyły tego słowa. Co to ma w ogóle znaczyć? Gdyby nie te dwa wielkie gryfy siedzące za jeźdźcami, pomyślałabym, że ktoś robi sobie ze mnie jaja. Tylko że nikt się nie śmieje.

– Aż do teraz – odpowiada kobieta i przenosi wzrok na Xadena. – To bez wątpienia były veniny i miały...

– Nic więcej nie mów. – Xaden wchodzi jej w słowo. – Dobrze wiesz, że żadne z nas nie może znać żadnych szczegółów, bo wszystkich narazimy. Wystarczy, że chociaż jedna osoba zostanie przesłuchana.

*Czy ty to słyszysz?*, zwracam się do Tairna i rozglądam się na prawo i lewo, żeby sprawdzić, czy inni też słyszą te bzdury padające z ust kobiety, ale wszyscy wydają się... przerażeni, jakby naprawdę wierzyli, że wioska została zniszczona przez mityczne stwory.

*Niestety tak.*

– Pomijając już szczegóły, wygląda na to, że ich horda zmierza na północ – wtrąca mężczyzna. – Prosto w stronę naszej faktorii przy granicy naprzeciwko waszego garnizonu w Athebyne. Jesteście uzbrojeni?

– Tak – przyznaje Xaden.

– W takim razie nasza robota skończona, ostrzegliśmy was – podsumowuje mężczyzna. – A teraz musimy lecieć, żeby ochronić naszych. Już i tak straciliśmy godzinę, którą mogliśmy poświęcić na to, żeby do nich dotrzeć.

Atmosfera natychmiast się zmienia, staje się jakby cięższa, a jeźdźcy zdają się na coś przygotowywać.

Xaden patrzy na mnie ponad ramieniem i zamiast rozbawienia na jego twarzy wywołanego tym absurdem, dostrzegam jedynie ponurą minę.

– Jeśli uważasz, że przekonasz jednego z Sorrengailów, żeby ryzykował życie dla kogoś poza własnymi granicami, to jesteś kretynem – rzuca mężczyzna i prycha w moją stronę.

Moc skwierczy pod moją skórą, domaga się ujścia.

Mężczyzna pochyła się nieznacznie i taksuje mnie oceniającym spojrzeniem.

– Ciekawe, ile wasz król byłby gotowy zrobić, aby odzyskać córkę jednego ze swoich oddanych generałów. Jestem pewien, że dzięki uzyskanemu okupowi byłibyśmy w stanie uzbroić się tak, by chronić Draithus przez następną dekadę. Okup? O, nie sądzę.

Tairn warczy ostrzegawczo.

– Kurwa – mamrocze Bodhi i podchodzi bliżej mnie.

– Spróbujcie. Śmiało. – Przywołuję ich gestem palca i wypuszczam wystarczająco mocy, żeby chmury nad nami przecięła błyskawica.

Złowróźbne cienie spływają z koron drzew na polanę, a Xaden unosi ręce po bokach ciała i jeźdźcy gryfów zamierają, kiedy mrok zatrzymuje się zaledwie kilka cali od ich stóp.

– Nie radzę wam robić chociażby kroku w stronę Sorrengail, bo będziecie martwi, zanim w ogóle uniesiecie stopę – uprzedza upiornym głosem Xaden. – To nie podlega dyskusji.

Kobieta zerka na cienie, a potem wzdycha.

– Dołączymy do reszty naszego stada. Dajcie znać, kiedy uwolnicie się od niedowiarków. – Wraz z mężczyzną wraca do swoich wierzchowców.

Wspinają się na nie w ciągu kilku sekund i odlatują.

Wszyscy odwracają się w moją stronę z ostrożnym wyczekiwaniem granicznym ze strachem, a mój żołądek się kurczy. Nikt nie był zdziwiony widokiem jeźdźców gryfów ani słowem „venin”. I wszyscy wiedzieli, że Xaden pomaga wrogowi.

To ja jestem tu outsiderką.

– No to życzę powodzenia, Riorson. – Imogen zakłada różowe włosy za ucho, a spod jej rękawa wystaje piętno rebelii. Odwraca się, żeby dać nam trochę przestrzeni, a inni podążają za nią.

Mój żołądek się kurczy, myśli galopują. Próbuję doszukać się wyjaśnienia innego niż oczywiste, niż druzgocąca prawda.

Kiedy mijam mnie dziewczyna z trzeciego roku, na jej ręce również zauważam symbol.

Garrick tu jest. To dowódca sekcji, ale... towarzyszy nam, a nie którejś ze swoich drużyn. Imogen, Bodhi... ta brunetka z kolczykiem w nosie, która chyba ma na imię Soleil... na jej ręce niewątpliwie dostrzegam symbol. A ten chłopak z drugiego roku, z Sekcji Szpona? On też jest naznaczony.

Tak samo jak... Liam stojący obok mnie.

*Tairn.* Staram się oddychać równomiernie. Xaden patrzy na mnie, a jego twarz to pozbawiona emocji maska dowódcy skrzydła.

Tairn odwraca wielki łeb w moją stronę.

*Oni wszyscy noszą piętno rebelii, zwracam się do niego. Wszyscy w drużynie poza mną są dziećmi separatystów. W chaosie, jaki zapanował, Xadenowi udało się zebrać grupę składającą się z samych naznaczonych.*

*Oni wszyscy są pieprzonymi zdrajcami.*

*A ja dałam się na to nabrać.*

*Zakochałam się w zdrajcy.*

*Tak. Wiem, zgadza się zrezygnowanym tonem.*

*Kiedy uderza mnie prawda, ledwie mogę złapać oddech. Tu już nie chodzi tylko o to, że Xaden zdradził mnie i całe królestwo. Tylko w jeden sposób da się wyjaśnić, dlaczego moje smoki zachowywały taki spokój w obecności wroga.*

*Ty i Andarna też mnie okłamaliście. Ból zdrady jest tak silny, że dosłownie mnie przygniata. Wiedzieliście, co on robi.*

*Oboje cię wybraliśmy, wtrąca się Andarna, jakby to miało coś zmienić.*

*Ale wiedzieliście. Omijam wzrokiem Liama, który ma czelność patrzeć na mnie ze smutkiem w oczach, i skupiam się na Tairnie, który wbija morderczy wzrok przed siebie, jakby jeszcze nie zdecydował, czy spalić Xadena żywcem, czy darować mu życie.*

*Smoki kierują się w życiu więziami, wyjaśnia, kiedy Xaden do mnie podchodzi. I jest tylko jedna więź silniejsza od tej między smokiem a jego jeźdźcem.*

*Między smokiem a jego towarzyszem.*

*Wszyscy poza mną o tym wiedzieli. Nawet moje własne smoki. Na bogów, czy Dain miał rację? Czy wszystko, co Xaden zrobił, było tylko grą, żeby zyskać moje zaufanie?*

*Słodki płomień szczęścia, miłości, zaufania i uwielbienia, który jeszcze chwilę temu płonął w mojej piersi, teraz zostaje boleśnie stłamszony, jak zalane wiadrem wody ognisko, które stało się bezużyteczne. I teraz mogę jedynie patrzeć, jak węgle dogasają.*

*Xaden przygląda mi się z rosnącym niepokojem. Podchodzi do mnie ostrożnie jak do złapanego w pułapkę zwierzęcia, które będzie próbowało wyrwać się, walcząc zębami i pazurami.*

*Jak mogłam być tak głupia, by mu zaufać? Jak to możliwe, że w ogóle się w nim zakochałam? W płucach mnie pali, serce mi pęka. To się nie dzieje naprawdę. Nie mogłam być aż tak naiwna. Ale wygląda na to, że byłam, bo taka jest rzeczywistość. Całe jego ciało jest pieprzonym ostrzeżeniem, szczególnie ten ciemny symbol na szyi, który teraz wyraźnie rzuca się w oczy. Może i jego ojciec był wielkim zdrajcą, może przez to zginął mój brat, ale zdrada Xadena boli jeszcze bardziej.*

*Wzdryga się pod moim morderczym spojrzeniem.*

– Czy my w ogóle byliśmy przyjaciółmi? – zwracam się szeptem do Liama, chociaż szukam w sobie siły, by zacząć krzyczeć.

– Jesteśmy przyjaciółmi, Violet, ale to jemu zawdzięczam wszystko – odpowiada Liam. Kiedy unoszę głowę, widzę w jego oczach taką boleść, że niemal mu współczuję. Niemal. – Tak jak my wszyscy. Jeśli tylko dasz mi szansę, żeby to wyjaśnić...

No i proszę. Odnajduję w sobie gniew, który przyćmiewa poczucie krzywdy.

– Patrzyłeś, jak z nim trenuję! – popycham Liama, który chwieje się w tył. – Stałeś z boku i patrzyłeś, jak się w nim zakochuję!

– O cholera. – Bodhi zaplata dłonie na masywnym karku.

– Violence, pozwól mi wyjaśnić – zaczyna Xaden. Od początku widział moją zapalczą naturę, stąd to przezwisko, a cienie powinny wskazać mi, jaki jest tak naprawdę. Mistrz tajemnic.

Moc przeszywa moje kości, kiedy odwracam się w stronę Xadena.

– Jeśli chociaż pomyślisz o tym, by mnie dotknąć, przysięgam na wszystko, że cię, kurwa, zabiję. – Moja moc nasila się wraz z gniewem, a kolejna błyskawica przeskakuje z chmury na chmurę.

– Myślę, że ona nie żartuje – ostrzega Liam.

– Wiem. – Xaden zaciska szczęki i patrzy mi w oczy. – Wracajcie nad jezioro. Ale już.

Podchodzi bliżej, przyglądając mi się z obawą.

– Wiem, co sobie myślisz – zaczyna Xaden tym pozornie łagodnym głosem, a w jego oczach czai się strach.

– Nie masz pojęcia, o czym myślę.

Pieprzony zdrajca.

– Myślisz, że zdradziłem nasze królestwo.

– Cóż za logiczny wniosek. Gratulacje. – Wymyka mi się kolejny piorun, który rozcina niebo. – Współpracujesz z jeźdźcami gryfów? – Trzymam ręce luźno po bokach, w razie gdybym musiała użyć mocy, chociaż wiem, że nie mogę się z nim równać. A przynajmniej jeszcze nie teraz. – Bogowie, Xaden, ale jesteś przewidywalny. Złoczyńca ukrywający się na widoku.

Xaden się krzywi.

– Właściwie nazywają ich lotnikami – wyjaśnia cicho, nie spuszczać ze mnie oka. – Może i jestem złoczyńcą dla niektórych, ale nie dla ciebie.

– Słucham? Czy my naprawdę będziemy się teraz spierać o nazewnictwo w obliczu twojej zdrady?

– Smoki mają jeźdźców, gryfy lotników.

– A wiesz o tym, ponieważ z nimi współpracujesz. – Robię kilka kroków w tył, żeby nie poddać się wszechogarniającej pokusie, by przywalić mu

w twarz. – Konspirujesz z wrogiem.

– Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, że chociaż możesz znajdować się po dobrej stronie wojny, to potem kończysz po tej niewłaściwej?

– W tym konkretnym przypadku? Nie. – Wskazuję palcem na brzeg. – Zostałam wyszkolona na skrybkę, pamiętasz? Od sześciuset lat nieustannie bronimy naszych granic. To oni nie chcą przystać na pokojowe rozwiązanie. W co ich zaopatrujesz?

– W broń.

Przeszywa mnie zimny dreszcz.

– Żeby zabili kolejnych jeźdźców smoków?

– Nie. – Kręci głową ze współczuciem. – To broń do walki z veninami.

Otwieram usta ze zdziwienia.

– Veniny to potwory z bajek tak, jak w książce mojego ojca... – Mrugam powiekami. List. Co on tam napisał? „Folklor jest przekazywany z pokolenia na pokolenie, aby uczyć nas o przeszłości”.

To on próbował powiedzieć mi, że... Nie. To niemożliwe.

– One są prawdziwe – tłumaczy cicho Xaden, jakby próbował złagodzić cios.

– Chcesz powiedzieć, że ludzie, którzy jakimś cudem czerpią moc prosto ze źródła i nie potrzebują smoków ani gryfów, żeby władać mocami, co w konsekwencji nieodwracalnie wypacza ich dusze, naprawdę istnieją? – wypowiadam każde słowo powoli, dokładnie, żebyśmy mieli tu jasność. – Że nie są tylko stworami z baśni?

– Tak. – Marszczy czoło. – Wyssały całą magię z Pustkowi, a teraz rozprzestrzeniają się jak zaraza.

– Cóż, to mogłoby się przynajmniej pokrywać z bajkami. – Krzyżuję ręce na klatce piersiowej. – Jak to leciało w baśni? Jeden z braci związał się ze smokiem, drugi z gryfem, a kiedy trzeci stał się zazdrosny, zaczął czerpać moc bezpośrednio ze źródła, przez co stracił duszę i wytoczył wojnę przeciwko dwóm pozostałym.

– Tak. – Wzdycha. – Nie tak chciałem ci o tym powiedzieć.

– Zakładając, że w ogóle kiedykolwiek byś mi powiedział! – Zerkam na Tairna, który czeka ze spuszczoną głową, jakby mógł spopielić Xadena w każdej chwili. – Zamierzasz się wtrącić do tej dyskusji?

*Jeszcze nie. Wolałbym, żebyś doszła do własnych wniosków. Wybrałem cię ze względu na twoją inteligencję i odwagę, srebrnowłosa. Nie zawieź mnie.*

Mam ochotę pokazać własnemu smokowi środkowy palec i ledwie się powstrzymuję.

– Dobra. Jeśli mam uwierzyć, że władające czarną magią veniny istnieją i przemierzają Kontynent, to musiałabym również uwierzyć, że nigdy nie

zaatakowały Navarry, ponieważ... – Wytrzeszczam oczy, bo wytłumaczenie zdaje się logiczne. – Ponieważ nasze bariery nie przepuszczają żadnej magii, która nie pochodzi od smoków.

– Tak. – Xaden przestępuje z nogi na nogę. – Po przekroczeniu granicy Navarry stałyby się bezsilne.

Szlag by to trafił, jest w tym sens, chociaż wcale nie chcę go tu widzieć.

– To z kolei oznacza, że musiałabym uwierzyć, że nie jesteśmy świadomi nieustannego, brutalnego ataku na Poromiel ze strony władających mrokiem tuż za naszymi granicami. – Marszczę brwi.

Xaden odwraca głowę, bierze głęboki wdech, a potem znowu patrzy mi w oczy.

– Albo musiałabyś uwierzyć, że o tym wiemy, ale wolimy nic z tym nie robić.

Oburzona zadzieram podbródek.

– Dlaczego mielibyśmy siedzieć beczynn timer, kiedy ludzie są wyrzynani w pień? To wbrew wszystkiemu, w co wierzymy.

– Bo jedyną rzeczą, która zabija veniny, jest ta zasilająca nasze bariery.

Nie mówi nic więcej. Stoimy nieruchomo, jedynym towarzyszącym nam dźwiękiem jest szum wody napierający na brzeg oraz echo jego słów.

– Czy to dlatego dochodzi do najazdów na nasze granice? Szukają materiałów, które wykorzystujemy do zasilania barier? – pytam. Nie żebym mu wierzyła, co to to nie, ale on wcale nie próbuje mnie przekonać. „Prawda rzadko wymaga wysiłku”, jak mawiał mój tata.

Xaden kiwa głową.

– Materiał zostaje przekuty w broń, dzięki której mogą walczyć z veninami. Masz, weź to.

Unosi rękę i wyjmuję z pochwy u boku sztylet o czarnej rękojeści. Baczenie przyglądam się każdemu ruchowi, świadoma tego, że mógłby zabić mnie w każdej chwili, zarówno kiedyś, jak i teraz. Chociaż łatwiej byłoby mnie zabić, gdyby dobył miecza przewieszzonego przez plecy. Porusza się powoli i wyciąga do mnie sztylet na otwartej dłoni.

Biorę go do ręki i zwracam uwagę na szpiczasty koniec ostrza, ale najbardziej dziwi mnie, że zostało ono wykonane ze stopu metali, a rękojeść jest naznaczona runą. Wyrywa mi się zszokowany okrzyk.

– Ukradłeś go z biurka mojej matki? – Gwałtownie wbijam w niego spojrzenie.

– Nie. Twoja matka ma pewnie identyczny, z tego samego powodu. Żeby chronić się przed veninami. – W jego oczach dostrzegam tyle współczucia, że dosłownie dławi mnie w gardle.

Sztylet. Ataki na granicę. Wszystkie informacje mam tuż przed nosem.



– Ale przecież powiedziałeś mi, że nie ma szans, żebyśmy walczyli z czymś takim – szepczę, trzymając się resztek nadziei, że to wszystko jakiś okrutny żart.

– Nie. – Podchodzi bliżej i wyciąga do mnie rękę, ale potem ją opuszcza, jakby się rozmyślił. – Powiedziałem ci, że chciałbym mieć nadzieję, że jeśli takie zagrożenie się pojawi, nasze dowództwo nam o tym powie.

– Przekręciłeś prawdę, żeby pasowała do twojej narracji. – Zaciskam dłoń na rękojęści i wyczuwam szum mocy. Veniny są prawdziwe. Veniny. Są. Prawdziwe.

– Tak, i mógłbym cię okłamać, Violence, ale tego nie robię. Niezależnie od tego, co sobie teraz myślisz, nigdy cię nie okłamałem.

Mhm, jasne.

– A skąd mam wiedzieć, że to prawda?

– Bo boli mnie myśl, że jesteśmy królestwem, które nic z tym nie robi. Bo podważanie wszystkiego, w co do tej pory wierzyłaś, boli. Kłamstwa są wygodne. Prawda jest rozdzierająca.

Wyczuwam kolejną falę energii, którą roztacza sztylet, i patrzę na Xadena z wyrzutem.

– Mogłeś mi powiedzieć w dowolnej chwili, ale ty postanowiłeś wszystko przede mną ukryć.

Na jego twarzy maluje się skrucha.

– Tak. Powinienem był powiedzieć ci o tym wiele miesięcy temu, ale nie mogłem, nawet teraz wiele ryzykuję...

– Robisz to, bo nie masz wyjścia, a nie dlatego, że chcesz...

– Bo jeśli twój najlepszy przyjaciel będzie mieć wgląd w twoje wspomnienia, to wszystko będzie stracone – przerywa mi.

Zapowietrzam się.

– Nie wiesz, czy...

– Dain nie chciał złamać żadnej zasady, żeby uratować ci życie, Violet. Jak myślisz, co zrobi, jeśli posiadzie taką wiedzę?

No właśnie, co zrobiłby Dain?

– Muszę wierzyć, że nie wybrałby zasad Kodeksu ponad ludzi cierpiących za granicami. A może nauczyłabym się budować osłony, które powstrzymałyby Daina przed zaglądaniem mi do umysłu. A może uszanowałby moje granice i nigdy więcej tam nie zajrzał. – Mrużę oczy. – Ale teraz już nigdy się nie dowiemy, prawda? Bo ty nie zaufałeś mi na tyle, by postąpić właściwie, co, Xaden?

Sfrustrowany wymachuje rękami.

– Tu nie chodzi tylko o ciebie i o mnie, Violet. To o wiele poważniejsza sprawa, a dowództwo nie powstrzyma się przed niczym, żeby dalej siedzieć za swoimi osłonami i zachować veniny w tajemnicy. – Po chwili dodaje błagalnym głosem: – Patrzyłem na egzekucję własnego ojca, który próbował pomóc tym ludziom. Nie mogłem stracić również ciebie. – Z każdym słowem coraz bardziej się do mnie zbliża. Mój puls przyspiesza, ale już nie pozwolę, by serce podejmowało decyzje zamiast głowy. – Kochasz mnie i...

– Kochałam – poprawiam i odchodzę na bok, żeby mieć więcej przestrzeni.

– Kochasz! – krzyczy i zastępuje mi drogę, a jeźdźcy znajdujący się nieopodal odwracają się w naszą stronę. – Wciąż mnie kochasz.

Jeden z węgli w moim sercu próbuje się rozpaść, ale zduszam go zawczasu.

Powoli odwracam się twarzą do niego.

– Wszystko, co czuję... – Przełykam ślinę i staram się ze wszystkich sił trzymać swojego gniewu, żeby się nie rozkleić. – Wszystko, co czułam do ciebie, było oparte na kłamstwach i tajemnicach. – Moja twarz płonie z upokorzenia. Jak mogłam być tak naiwna, by w ogóle się w nim zakochać?

– Wszystko, co nas łączy, jest prawdziwe, Violence – mówi to z takim przekonaniem, że znów boli mnie serce. – Resztę wyjaśnię ci z czasem, ale zanim dotrzemy do wyznaczonego posterunku, muszę wiedzieć, czy mi wierzysz.

Zerkam na sztylet i przypominam sobie słowa ojca z listu, jakby odezwał się w mojej głowie. „Wiem, że podejmiesz właściwą decyzję, gdy nadejdzie czas”. Ostrzegł mnie w jedyny sposób, w jaki był w stanie – poprzez książki.

– Tak – odpowiadam, oddając mu sztylet. – Wierzę ci. Ale to nie oznacza, że ci ufam.

– Zatrzymaj go. – Jego mięśnie się rozluźniają, jakby poczuł ulgę.

Chowam ostrze do pochwy na udzie.

– Dajesz mi broń po tym, jak dopiero przyznałeś, że oszukiwałeś mnie przez te wszystkie miesiące, Riorson?

– Owszem. Mam jeszcze jeden i jeśli to, co powiedzieli lotnicy, jest prawdą i veniny zmierzają na północ, to będzie ci potrzebny. Kiedy mówiłem, że nie potrafię bez ciebie żyć, mówiłem prawdę, Violence. – Odsuwa się powoli, a na jego usta wkłada się smutny uśmiech. – Bezbronne kobiety nigdy nie były w moim typie, pamiętasz?

Nie jestem w nastroju do żartów.

– Po prostu lećmy już do Athebyne.

Kiwa głową i chwilę później wzbijamy się w powietrze.

*Wiemy, że cię nie okłamaliśmy. Po prostu nie powiedzieliśmy ci wszystkiego, odzywa się Andarna lecąca za Tairnem, gdzie jest mniejszy opór powietrza.*

*Przemilczenie to też kłamstwo, spieram się. Dzisiaj okazuje się, że wszyscy mi to robią.*

*Ona ma rację, złotołuska, napięcie wylewa się z każdego mięśnia i ruchu skrzydeł Tairna. Masz prawo być zła. Nurkuje i podąża wzdłuż łańcucha górskiego przy granicy. Pasy na moich udach wbijają się boleśnie w ciało. Podjęliśmy decyzję, żeby cię chronić, ale bez twojej zgody. Popętniliśmy błąd i więcej się tego nie dopuszczę. Moje emocje przytłacza poczucie winy, które odczuwa Tairn. Smok gasi mój gniew i dopiero wtedy zaczynam myśleć.*

Myśleć logicznie.

Jeśli veniny naprawdę istnieją, mielibyśmy o tym dane. A mimo to nie byłam w stanie znaleźć żadnej kopii *Baśni z Pustkowi* w Archiwach – jedynym miejscu w Navarze, w którym znajduje się kopia każdej napisanej lub przetłumaczonej przez ostatnie czterysta lat książki, co oznacza, że tata nie tylko podarował mi unikat... ale również zakazany tom.

Księgi zbierane przez czterysta lat i ani jednej o...

*Czterysta lat.* Ale przecież nasza historia sięga sześciuset. Wszystko jest kopią poprzednich dzieł. Jedynym oryginalnym tekstem w Archiwach mającym ponad czterysta lat – mniej więcej z okresu, gdy zaczęła się wojna z Poromielem – są zwoje dotyczące Zjednoczenia sprzed ponad sześciuset lat.

„Wystarczy tylko jedno zdesperowane pokolenie, by zmienić bieg historii... a nawet ją wymazać”.

Boże, tata wyłożył mi to jak krowie na rowie. Zawsze powtarzał, że skrybowie posiadają największą moc.

*Tak*, wtrąca Tairn, kiedy okrążamy ostatni wierzchołek, z którego letnie słońce rozpuściło śnieg. Naszym oczom okazuje się wybudowany na skalnym zboczu posterunek Athebyne oraz Klify Dralor. „Jedno pokolenie, by zmienić tekst. Drugie pokolenie postanawia uczyć o tym tekście. Kolejne dorasta i kłamstwo staje się historią”.

Tairn skręca w lewo, okrążając górę, a potem zwalnia, kiedy docieramy na lądowisko przy posterunku.

Mocno zaciskam dłonie na łąku, kiedy lądujemy przed wznoszącą się nad nami konstrukcją wybudowaną przy ostatnim wierzchołku w tym łańcuchu górskim. Projekt jest taki sam jak strażnica w Montserracie, sześcienna konstrukcja z czterema wieżami i murami nienadającymi się na żerdź dla smoków. A stacjonujący tu wojskowi nie zostali powiadomieni o naszym przybyciu.

Wypinam się z siodła i zsuwam po przedniej nodze Tairna.

– Jakim cudem mamy się jeszcze skupić na Igrzyskach Wojennych? – mamroczę i poprawiam plecak na ramionach, myśląc o faktorii, która wkrótce

najpewniej zostanie zaatakowana przez mityczne stworzenia.

Pozostali zeskakują ze smoków, a ja oglądam się za Andarną, która na szczęście siedzi między łapami Tairna.

Xaden idzie z Garrickiem i patrzy w moją stronę z miną zakrawającą na tęsknotę. Dałam mu wszystko, a on nigdy się przede mną nie otworzył. Ból, charakterystyczny jedynie dla złamanego serca, rozrywa moją klatkę piersiową. Wyobrażam sobie, że tak właśnie musi czuć się człowiek, któremu ktoś przeorał pierś tępym ostrzem. Nie jest wystarczająco naostrzone, by przeciąć szybko i istnieje sto procent szans, że rana będzie się jątrzyć. Jeśli nie jestem w stanie mu ufać, nie ma dla nas przyszłości.

Kiedy całą dziesiątką pokonujemy otwartą bramę i wchodzimy do środka, okazuje się, że nikogo tu nie ma.

– Co to ma znaczyć? – Garrick przechodzi przez dziedziniec znajdujący się pośrodku konstrukcji, szukając ludzi tłoczących się wewnątrz tak jak w Montserracie.

– Zatrzymajcie się – rozkazuje Xaden i rozgląda się po wszystkich ścianach. – Nikogo tu nie ma. Rozdzielić się i przeszukać teren. – Spogląda na mnie. – A ty masz nie odstępować mnie na krok. To chyba nie są Igrzyska Wojenne.

Już chcę się z nim spierać, że nie wie tego na pewno, ale podmuch wiatru, który wpada tu przez otwartą bramę, każe mi się zastanowić. Jedynym dźwiękiem w całej tej fortecy, w której powinno się znajdować przynajmniej dwustu ludzi, są nasze głuche kroki na kamienistej ścieżce. I on ma rację. Coś jest nie tak.

– Wspaniale – rzucam z sarkazmem i wszyscy poza Liamem, który znowu staje się moim cieniem, rozpraszają się w dwójkach i trójkach, żeby wspiać się na górę po schodach znajdujących się w różnych częściach strażnicy.

– Tędy – oznajmia Xaden i kieruje się w stronę południowo-zachodniej wieży. Cały czas się wspinamy, aż w końcu docieramy na trzecie piętro, gdzie drzwi prowadzą nas do otwartej sali obserwacyjnej, z której rozciąga się widok na dolinę oraz poromielską faktorię.

– To jeden z naszych najbardziej strategicznych punktów – zauważam, szukając wzrokiem śladów piechoty lub innych jeźdźców. – Nie mogliby go opuścić na czas Igrzysk Wojennych.

– Obawiam się, że właśnie to zrobili. – Xaden wodzi wzrokiem po dolinie, a potem mruży oczy, patrząc na faktorię poniżej. – Liam.

– Już się robi. – Liam podchodzi do kamiennego parapetu i skupia wzrok na konstrukcji w oddali. Faktoria znajduje się jakieś dwadzieścia minut spacerem stąd i prowadzi tam żwirowa ścieżka ciągnąca się po zboczu góry, na której stoi

nasz posterunek. Zza okrągłego kamiennego muru wystają dachy kilku budynków, a z południa nadciąga chmara gryfów i ich lotnicy.

Nagle Xaden odwraca się w moją stronę, a w jego oczach nie ma nawet namiastki ciepła.

– Co powiedział ci Dain tuż przed wylotem? Nachylił się do ciebie i coś wyszeptał.

Mrugam powiekami, próbując sobie przypomnieć.

– Powiedział coś w stylu... – Przeczესuję pamięć. – Będę za tobą tęsknić, Violet.

Jego ciało tężeje.

– I dodał, że przeze mnie zginiesz.

– Tak, ale on zawsze tak mówi. – Wzruszam ramionami. – Co Dain miałby zyskać na ewakuacji całego posterunku?

– Mam coś! – woła Garrick z południowo-wschodniej wieży. Trzyma w ręce coś, co wygląda jak koperta, a Imogen przemierza szeroki wał obronny, zmierzając w naszym kierunku.

– Powiedziałaś mu o moich wyprawach w to miejsce? – dopytuje Xaden, a jego oczy błyskają groźnie.

– Nie! – Potrząsam głową. – W przeciwieństwie do ciebie ja nigdy niczego przed tobą nie ukrywałam.

Odchyła głowę, patrzy w prawo, potem w lewo, a następnie wbija we mnie zaniepokojony wzrok.

– Violence – zaczyna łagodnie – czy Aetos dotknął cię po tym, jak powiedziałem ci o Athebyne?

– Co? – Marszczę brwi i odgarniam z twarzy luźny kosmyk włosów, który rozwiał wiatr.

– O tak. – Przykłada dłoń do mojego policzka. – Żeby jego moc zadziałała, musi dotknąć czyjejs twarzy. Czy on cię tak dotknął?

Otwieram usta ze zdziwienia.

– Tak, ale on zawsze mnie tak dotyka. Nigdy by nie... – jąkam się. – Wiedziałabym, gdyby odczytał moje wspomnienia.

Xadenowi rzednie mina. Zabiera rękę i kładzie mi ją na karku.

– Nie, Violence. Wierz mi, nie zauważyłabyś tego. – W jego tonie nie ma oskarżenia, jedynie rezygnacja, od której boli mnie to, co zostało z mojego serca.

– Nie zrobiłby tego.

Kręcę energicznie głową. O Dainie można powiedzieć wiele rzeczy, ale nigdy nie zrobiłby czegoś takiego wbrew mnie.

*Tyle że raz próbował.*

– Jest zaadresowany do ciebie. – Garrick przekazuje kopertę Xadenowi. Xaden zabiera rękę z mojej szyi i łamie pieczęć. Gdy rozkłada list, zauważam słowa:

*Igrzyska Wojenne, dla Xadena Riorsona, dowódcy Czwartego Skrzydła.*

– To pismo pułkownika Aetosa.

– Co tam jest napisane? – niecierpliwi się Garrick, krzyżując ramiona na klatce piersiowej. – To nasze zadanie?

– Ludzie, widzę coś tuż za faktorią – odzywa się Liam przy oknie. – O cholera.

Kolory odpływają z twarzy Xadena i zgniata list w pięści, a potem na mnie patrzy.

– Tu jest napisane, że naszą misją jest przetrwanie, o ile nam się uda.

Na bogów. Dain odczytał moje wspomnienia bez pozwolenia. Musiał powiedzieć swojemu ojcu, że naznaczeni się wymykają. Nieświadomie zdradziłam Xadena... zdradziłam ich wszystkich.

– To nie... – Garrick potrząsa głową.

– Ludzie, jest naprawdę kiepsko – woła Liam, a Imogen rzuca się w jego stronę.

– To nie jest twoja wina – zapewnia mnie Xaden, a potem odwraca się w stronę swoich przyjaciół, którzy właśnie do nas biegną. – Wysłali nas tu na śmierć.

*Albowiem tam, w krainie skrytej za mrokiem, nocą rosły w siłę potwory  
pożywiające się duszami dzieci, które za bardzo zbliżyły się do lasu.*

*Ryk Wiwerny, Baśnie z Pustkowi*



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

**X**aden podaje Garrickowi list, a wszyscy inni rzucają się do okna, żeby sprawdzić, co nas czeka, ale w oddali, ani w dolinie, ani na równinach ciągnących się przez wiele mil przed Klifami Dralor, nie dostrzegam żadnego zagrożenia.

*Coś jest nie tak, stwierdza Tairn. Zauważyłem to już przy jeziorze, ale tutaj wrażenie jest silniejsze.*

*Nie jesteś w stanie wyczuć, skąd pochodzi?,* pytam, a panika zaciska się na moim gardle. Jeśli ojciec Daina wie, że Xaden i pozostali zaopatrują w broń lotników gryfów, to istnieje spora szansa, że to egzekucja.

*Z doliny.*

– Niczego nie widzę – narzeka Bodhi, wychylając się przez okno.

– Cóż, ale ja tak – odpowiada Liam. – Jeśli to jest to, co mi się wydaje, to mamy przejebane.

– Nie mów mi, co ci się wydaje, tylko to, czego jesteś pewien – rozkazuje Xaden.

– W liście napisano, że to sprawdzian twojego dowództwa – odzywa się Garrick. – Masz wybór – musisz albo zostawić wioskę naszych wrogów, albo swoje skrzydło.

– Co to ma znaczyć? – Bodhi podchodzi i wyrywa mu list.

– Chcą sprawdzić naszą lojalność, chociaż nie mówią tego bezpośrednio. – Xaden krzyżuje ramiona na klatce piersiowej i staje obok mnie. – Zgodnie z treścią listu, jeśli teraz wylecimy, dotrzemy do nowej lokalizacji siedziby Czwartego Skrzydła w Eltuval na czas, by wypełnić rozkazy w ramach Igrzysk

Wojennych, a tym samym opuścimy faktorię w Ressonie i jego mieszkańcy umrą.

– Ale jak? – pyta Imogen.

– Podczas ataku veninów – odpowiada Liam.

Mój żołądek kurczy się boleśnie.

– Jesteś pewien? – docieka Xaden.

Liam kiwa głową.

– Bardziej nie będę, mimo że nigdy ich nie widziałem. Jest ich czterech. Fioletowe szaty. Wypukłe, czerwone pajęczynowate żyły okalające płomiennie czerwone oczy. Piekielnie przerażające.

– Opis się zgadza. – Xaden przestępuje z nogi na nogę.

– Już wolałem, jak tylko dostarczaliśmy broń – mamrocze Bodhi.

– Och, i jeden facet z wielką laską – kontynuuje Liam. – I przysięgam na Dunne, w jednej sekundzie równina była pusta, a w następnej... po prostu się pojawili i ruszyli w stronę bram. – Ma szeroko otwarte oczy i rozszerzone źrenice, dzięki którym może zajrzeć na sam dół doliny.

– Czerwone żyły? – dziwi się Imogen.

– Bo kiedy tracą duszę, magia bruka ich krew – mamroczę. Patrzę na Xadena, zastanawiając się, czy pamięta, co powiedziała Andarna, kiedy poszliśmy odwiedzić smoki tajemnym przejściem. – Natura dąży do równowagi. Oczywiście pod warunkiem, że baśnie są prawdziwe. – Jakaś część mnie chce w to wierzyć, bo w przeciwnym razie nie będę wiedziała nic o naszym nowym wrogu. A jeśli są prawdziwe, to oczywiście...

*Obok nas wylądowało siedem gryfów*, informuje mnie Tairn.

Wszyscy sztywnieją, bez wątplenia otrzymali właśnie tę samą wiadomość od swoich smoków.

*Andarno, zostań z Tairnem*, polecam. Może i Xaden ufa lotnikom, ale Andarna jest przy nich bezbronna.

*W porządku*, odpowiada.

– Ten facet z laską właśnie... – zaczyna Liam.

Rozlega się dźwięk eksplozji, który rozbrzmiewa echem w skąpo porośniętej drzewami dolinie, a potem w powietrze wznosi się chmura niebieskiego dymu. Po plecach spływają mi ciarki.

– To była brama – dokańcza.

– Ile osób mieszka w Ressonie? – pyta Bodhi.

– Ponad trzysta – odpowiada Imogen, kiedy w dolinie rozlega się kolejny huk.

– A to posterunek, przy którym co roku odbywa się handel.

– W takim razie chodźmy tam. – Bodhi odwraca się, ale Xaden zastępuje mu drogę wyciągniętą ręką. – Żartujesz, prawda?



– Nie mamy pojęcia, w co się pakujemy. – Ton głosu Xadena przypomina mi ten, który słyszałam w Dniu Poboru. Wszedł w tryb prawdziwego dowódcy.

– A więc mamy tu tak stać, gdy cywile będą umierać? – dziwi się Bodhi, a ja robię się sztywna. Podobnie zresztą jak pozostali. Wszyscy czekamy na reakcję Xadena.

– Nie to chcę powiedzieć. – Kręci głową. Tak było napisane w liście. Może albo opuścić wioskę, albo swoich podwładnych, którzy teraz czekają na niego w Eltuval. – To już nie jest pieprzony trening, Bodhi. Jeśli tu zostaniemy, część z nas, jeśli nie wszyscy, umrze. Gdybyśmy zostali wcieleni do aktywnego skrzydła, tę decyzję musiałby podjąć ktoś starszy i bardziej doświadczony, ale poza nami nikogo tu nie ma. Gdybyśmy nie byli naznaczeni piętnem rebelii, gdybyśmy nie zaopatrywali wroga – przelotnie patrzy na mnie – nie musielibyśmy dokonywać tego wyboru. Więc zapomnijmy na chwilę o strukturze dowodzenia i podzielcie się myślami.

– Mamy przewagę liczebną – zauważa Soleil, mrużąc brązowe oczy. Patrzy na dolinę i rytmicznie stuka jasnozielonymi paznokciami o kamienny parapet. – A także jesteśmy silniejsi.

– Przynajmniej nie ma z nimi wiwern. – Na wszelki wypadek rozglądam się po niebie.

– Eee... że co? – Bodhi unosi brwi.

– Wiwerny. Baśnie twierdzą, że veniny stworzyły je, aby móc mierzyć się ze smokami i zamiast czerpać od nich moc, wlewają ją w nie. – Miejmy nadzieję, że ten fragment książki nie jest zgodny z rzeczywistością.

– Tak, może lepiej nie wywołujemy wilka z lasu. – Xaden patrzy na mnie kątem oka, a potem przygląda się niebu.

– Veninów jest czterech, a nas dziesięciu – zauważa Garrick, odchodząc od okna.

– I mamy broń, żeby ich zabić – wtrąca Liam, odwracając się plecami do doliny. – A Deigh powiedział mi, że siedmiu lotników gryfów...

– Już jesteśmy – odzywa się brunetka, którą widziałam nad jeziorem. Nadchodzi z południowo-wschodniego rogu strażnicy. – Resztę stada zostawiłam na zewnątrz, kiedy zobaczyliśmy, że wasza strażnica wydaje się... opuszczona. – Wygląda przez wał na kłęby dymu wznoszące się z doliny i jej twarz przybiera wyraz rezygnacji. – Nie zamierzam was prosić, żebyście walczyli u naszego boku.

– Nie? – Garrick unosi brwi.

– Nie. – Posyła mu zrezygnowany uśmiech. – Czwórka veninów jest równoznaczna z wyrokiem śmierci. Reszta mojego zastępu już modli się do naszych bogów. – Odwraca się w stronę Xadena. – Przyszłam powiedzieć,

żebyście wylecieli. Nie macie pojęcia, jakimi dysponują mocami. W zeszłym miesiącu wystarczyło dwóch, żeby zburzyć całe miasto. Tylko dwóch. Straciliśmy dwa zastępy, żeby ich powstrzymać. Jeśli teraz nadchodzi czterech... – Potrząsa głową. – Czogoś szukają i zabijają każdą osobę w Ressonnie, żeby to zdobyć. Zabierz swoją drużynę i wracajcie, póki jeszcze czas.

Strach ściska mi serce, ale jednocześnie myśl o zostawieniu ich na pewną śmierć wzbudza we mnie opór. To wbrew wszystkiemu, w co wierzymy, nawet jeśli oni nie są navarriańskimi cywilami.

– Mamy smoki – wtrąca wyższym głosem Imogen. – To na pewno pomoże. I nie boimy się walczyć.

– A boicie się umrzeć? Czy któreś z was brało już udział w bitwie? – Brunetka wodzi po nas wzrokiem i nagle czuję się taka... młoda, bo odpowiada jej cisza. – Tak myślałam. Wasze smoki rzeczywiście mogą się na coś przydać. Mogą zabrać was jak najdalej stąd. Smoczy ogień ich nie zabije. Działają na nie tylko sztylety, w które nas zaopatrujecie, a tych mamy pod dostatkiem. – Patrzy na Xadena. – Dziękuję za wszystko, co zrobiliście. Dzięki wam przeżyliśmy te ostatnie dwa lata i mieliśmy szansę walczyć.

– Nie umrzecie dzisiaj – stwierdza rzeczowo Xaden.

– Przeciwnie. – Kiwa głową, kiedy w tle rozlega się kolejna eksplozja. – Zabieraj swoje stado i uciekaj stąd. Jak najszybciej. – Obraca się na pięcie i z wysoko zadartą głową znika w wieży na drugim końcu strażnicy.

Xaden zaciska szczęki, a ja widzę w jego oczach szalejącą burzę.

Na sercu ciąży mi nieznośny głaz.

Jeśli odlecimy, oni umrą. Każdy cywil. Każdy lotnik. Nie zabijemy ich osobiście, ale wydamy na nich wyrok śmierci.

Jeśli będziemy walczyć, najpewniej sami umrzemy razem z nimi.

Możemy żyć jako tchórze albo umrzeć jako jeźdźcy.

Xaden prostuje ramiona i robi mi się niedobrze. Podjął decyzję. Widzę to po wyrazie jego twarzy, po jego zaciętej postawie.

– Sgaeyl mówi, że nigdy nie wycofała się przed walką i dzisiaj nie będzie jej pierwszy raz. I ja również nie będę stać bezczynnie, kiedy zaczną umierać niewinni ludzie. – Kręci głową. – Ale nie zamierzam was zmuszać, żebyście do mnie dołączyli. Jestem odpowiedzialny za was wszystkich. Żadne z was nie przeszło tamtego mostu dlatego, że tego chcieliście. Zrobiliście to, ponieważ poszedłem na układ. To ja zmusiłem was do nauki w kwadrancie, więc nie będę miał wam za złe, jeśli wrócicie teraz do Eltuwalu. Podejmijcie decyzję. – Przechesuje włosy palcami.

*Nie chcę narazić cię na niebezpieczeństwo.*

W idealnym świecie to byłoby wszystko, co chciałabym usłyszeć.

*Jeśli inni mogą podjąć decyzję, to ja również.*

Zaciska szczęki.

– Jesteśmy jeźdźcami – oznajmia Imogen, kiedy rozlega się kolejna eksplozja.  
– Chronimy bezbronnych. Takie jest nasze powołanie.

– Uratowałeś każdego z nas, kuzynie – wtrąca Bodhi. – Jesteśmy ci wdzięczni. A teraz chciałbym zrobić to, do czego zostaliśmy wyszkoleni, i jeśli oznacza to, że nie wrócę do domu, to najwyżej moja dusza trafi do Maleka. Chętnie zobaczyłbym się ze swoją mamą.

– A ja powiem ci to samo, co powiedziałem po Odsiewie na pierwszym roku, kiedy postanowiliśmy zająć się szmuglerką broni – odzywa się Garrick. – Przetrwaliśmy tyle lat dzięki tobie. I teraz to my decydujemy, jaka czeka nas śmierć. Jestem z tobą.

– Piękne słowa! – potwierdza Soleil, stukając paznokciami tuż nad rękojęścią sztyletu przyczepionego do jej uda. – Wchodzę w to.

Liam wychodzi naprzód i staje u mojego boku.

– Wszyscy patrzyliśmy na egzekucję naszych rodziców, ponieważ mieli odwagę, by postąpić właściwie. Chciałbym, żeby moja śmierć była równie honorowa.

Nie mogę zaczerpnąć tchu. Ich rodzice zmarli, ponieważ ukazali prawdę, podczas gdy moi poświęcili Brennana, żeby zachować ten potworny sekret w tajemnicy.

– Zgadzam się. – Imogen kiwa głową.

Wszyscy idą w ich ślady.

A potem jeden po drugim wychodzą, aż zostają tylko ja.

Xaden odnajduje moje spojrzenie.

„Jeśli myślisz, że uda ci się przekonać jednego z Sorrengailów, by zaryzykował życie dla kogoś spoza granicy, to jesteś idiotą”. Nie to powiedziała ta lotniczka nad jeziorem?

Niech się wali.

*Tairn?* Nie tylko ja dołączę do tej wojny.

*Będziemy ucztować na ich kościach, srebrnowłosa.*

Obrazowe, ale przekaz jest jasny.

Nie pozwolę, by umarli niewinni ludzie, niezależnie od tego, po której stronie granicy żyją. Nie pozwolę, by moi koledzy i koleżanki z drużyny ryzykowali życie, żebym ja mogła uciec. Nawet jeśli Xaden błaga mnie o to spojrzeniem.

Dobrze, że nie ma tutaj Rhiannon, Sawyera i Ridoca. Dotrwają do drugiego roku.

Mira to zrozumie. Na pewno zrobiłaby to samo. Nie mam co do tego wątpliwości.

A co do mamy... Sztylet na jej biurku oznacza, że o tym wszystkim wie, ale tego nie powstrzymała. Chyba będę drugim dzieckiem, które poświęci, żeby utrzymać istnienie veninów w tajemnicy.

– Byłam bezbronna – oznajmiam Xadenowi, zadzierając głowę. – Ale teraz jestem jeźdźczynią. A jeźdźcy walczą.

Inni potwierdzają moje słowa entuzjastycznym okrzykiem.

Przez jego twarz przetacza się tysiąc emocji, ale Xaden kiwa tylko głową, a potem podchodzi do okna.

– Liam. Zдай raport.

Jego przyszywany brat staje obok i skupia wzrok.

– Lotnicy są zajęci bitwą, cała siódemka... szóstka. Wygląda na to, że starają się nie dopuścić, by ogień dotarł do cywilów, ale... cholera, veniny władają takim ogniem, jakiego jeszcze nie widziałem wśród jeźdźców. Trójka otoczyła miasto, ale jeden z nich zmierza w stronę konstrukcji wznoszącej się pośrodku. To wieża zegarowa.

Xaden kiwa głową, a potem dzieli nas na grupy i wyznacza zadania. Garrick i Soleil polecą na zwiady, podczas gdy reszta zajdzie veniny w Ressonie z każdej strony, jednocześnie cały czas mając na oku tego zbliżającego się do wieży zegarowej.

– Jedynym sposobem na pokonanie ich jest użycie sztyletu.

– To oznacza, że będziemy musieli zejść ze smoków i walczyć, kiedy już przeniesiemy ludzi w bezpieczne miejsce – dodaje Garrick z ponurą miną. – Nie rzucajcie waszą jedyną bronią, dopóki nie będziecie pewni, że traficie do celu.

Xaden kiwa głową.

– Musimy uratować tylu ludzi, ilu się da. Do dzieła.

Schodzimy po schodach i przemierzamy cicho dziedziniec, podążając za Xadenem. Kiedy opuszczamy strażnicę, nasze smoki już czekają na skałach, wierząc się niespokojnie. Wszystkie obserwują faktorię położoną w dolinie.

Kieruję się między Tairna i Sgaeyl.

*Tak myślałam, że podejmiesz właściwą decyzję, odzywa się Sgaeyl, zerkając w stronę Xadena i Liama idących po stromym zboczu po mojej lewej stronie. On również. Wiedział, że się zgodzisz, mimo że nie lubi narażać cię na niebezpieczeństwo.*

*Ewidentnie zna mnie lepiej niż ja jego. Patrzę na nią wymownie.*

Sgaeyl mruga powoli.

*Nie jesteś już tą samą roztrzęsioną dziewczyną, która po spacerze przez most stała na dziedzińcu i próbowała zamaskować swój strach. Ciesz się mnie to.*

*Nie proszę o twoją aprobatę. Jeśli mam umrzeć, to w ostatnich momentach swojego życia mogę być chociaż do bólu szczera.*

Smoczyca parska i szturcha łbem Tairna, ale on skupia wzrok na faktorii.

Kamieniste podłoże chrzęści pod moimi butami, kiedy podchodzę do Andarny stojącej między łapami Tairna, która przygląda się trwającemu poniżej atakowi. Zasłaniam jej widok swoim ciałem, bo na pewno rozpętała się tam rzeź.

*Zostań tutaj i się ukryj.* Nie zabiorę dziecka na wojnę. To nie podlega dyskusji.

*Zostań tutaj,* parodiuje mnie z ironią w głosie.

Powstrzymuję gorzki uśmiech. Jaka szkoda, że nie będzie mnie tutaj, żeby zobaczyć, jak wchodzi w buntowniczy okres dojrzewania.

*Zgadzam się z nią.* Tairn wyciąga łapę w moją stronę. *Staniesz się łatwym celem, mała.*

*Mówię poważnie, rozkazuję Andarnie, przesuwając dłonią po jej łuskowatym nosie. Jeśli nie wrócimy do rana albo jeśli zobaczysz, że veniny się zbliżają, masz wrócić do Kotła. Musisz znaleźć się za barierami za wszelką cenę.*

Jej nozdrza falują. *Nie zamierzam cię zostawić.*

Kłuje mnie w piersi i odruchowo masuję serce, żeby złagodzić ból. Staję prosto. Dobra, trzeba to w końcu powiedzieć.

– Kiedy wyczujesz odpowiedni moment, będziesz wiedziała, że nic tu po tobie. Może ci pęknąć serce, ale kiedy to poczujesz, musisz lecieć. Obiecay mi, że tak zrobisz.

Mija kilka chwil, ale Andarna w końcu potakuje.

– Idź – ponagliam ją szeptem, po raz ostatni gładząc ją po pięknym pysku. Poradzi sobie. Wróci do Kotła. Nie mogę brać pod uwagę innej możliwości.

Odwraca się i rusza w stronę strażnicy, a ja biorę się w garść i zatrzymuję między nogami Tairna, żeby rzucić ostatnie spojrzenie na dolinę. Xaden i Liam stoją obok i robią to samo.

W powietrzu rozlega się wysoki gadzi wrzask i z południowych gór... zza poromielskiej granicy nadciąga wielki szary smok. Dwie łapy trzyma zwinięte pod masywnym cielskiem i leci w stronę Ressonu.

– Czy w pobliżu znajduje się jakieś stado smoków? – pyta Liam.

– Nie – odpowiada Xaden.

Mam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg.

„Mogłabym przysiąc, że po drugiej stronie granicy widziałam stado smoków”. Czy nie to powiedziała Mira w Montserracie?

Smok znowu skrzeczy i pluje niebieskim ogniem, podpalając mniejsze drzewa porastające zbocze góry, a potem zmierza w stronę Ressonu. Niebieski ogień.

*Nie. Nie. Nie.*

– Wiwerna. – Serce dudni mi w piersi. – Xaden, ona ma dwie nogi, nie cztery. To nie jest smok. To wiwerna. – Może jeśli powiem to jeszcze kilka razy, w końcu uwierzę w to, co widzę.

Jasna cholera. Czy to są właśnie te utajone informacje, którymi nie chce dzielić się dowództwo?

Przecież wiwerny miały być mitem, a nie stworami z krwi i kości. Podobnie jak veniny.

– Cóż, to by było na tyle, jeśli chodzi o naszą przewagę – stwierdza Imogen, a potem wzrusza ramionami. – Pieprzyć je. Też zginą.

*To wynaturzenie. Oni je stworzyli,* odzywa się Tairn, a w jego piersi rozlega się niski pomruk.

*Wiedziateś o tym?*

*Podjeżdżałem. Jak myślisz, dlaczego byłem taki wymagający w trakcie lekcji manewrów?*

*Chyba będziemy musieli popracować nad naszą komunikacją.*

– Wygląda na to, że teraz znamy wszystkie szczegóły – zauważa Liam.

– Ktoś chce zmienić jeszcze zdanie? – pyta Xaden. Nikt mu nie odpowiada. – Nie? To na smoki.

Podchodzę do ramienia Tairna, ale Xaden zmierza w moim kierunku.

– Odwróć się, Violence – rozkazuje, a ja wykonuję obrót i patrzę na niego. Wyciąga jeden ze swoich sztyletów i wsuwa go do pustej pochwy na moich zębach. – Teraz masz dwa.

– Nie zamierzasz dać mi wykładu na temat tego, że byłabym bezpieczniejsza, gdybym została na posterunku? – pytam. Gdy jest tak blisko, burzą się we mnie sprzeczne emocje. Ukrył to wszystko przede mną, a mimo to serce mnie boli od samego patrzenia na niego.

– Gdybym poprosił cię, żebyś została, zrobiłabyś to? – Wwierca we mnie spojrzenie.

– Nie.

– No właśnie. Nie tracę energii na kłótnię, której i tak nie wygram.

Coś mi się przypomina.

– A skoro już mowa o wygranych, generał Melgren będzie wiedział, co tu się wydarzyło. Jest w stanie już teraz przewidzieć wynik tej bitwy.

Powoli kręci głową i wskazuje na swoją szyję, na wijące się po niej piętno.

– Pamiętasz, jak powiedziałem ci, że to piętno jest darem, a nie klątwą?

– Tak. – Byliśmy wtedy w jego łóżku.

– Wierz mi. Dzięki temu Melgren gównem widzi.

Otwieram usta ze zdziwienia i przypominam sobie, jak Melgren mówił, że lubi raz w roku doglądać Xadena.

– Masz przede mną jeszcze jakieś sekrety?

– Tak. – Kładzie rękę na mojej szyi, podchodząc bliżej. – Przeżyj, to powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Moje serce kurczy się od tego prostego wyznania. Mimo że jestem wściekła, nie potrafię wyobrazić sobie świata bez niego.

– A ty musisz przeżyć, bo wciąż cię kocham, nawet jeśli mnie to wkurza.

– Mogę żyć z tą myślą. – Kącik jego ust się unosi i Xaden opuszcza rękę, żeby wrócić do Sgaeyl.

Tairn znowu pochyła łapę, a ja wdrapuję się na górę i zapinam pasy na udach, a plecak mocuję za siodłem. Już czas.

*Znajdź dobrą kryjówkę, Andarno. Nie zniosę myśli, że coś ci się stało.*

*A ty celuj w gardło,* odpowiada i wraca do opuszczonego posterunku.

Sgaeyl wzbija się w powietrze, a ja mocno przytrzymuję się łąku, kiedy Tairn podąża za nią z ciężkim łopotem skrzydeł.

*W tej faktorii coś jest. Czuję to,* mówi Tairn i wraz ze Sgaeyl nurkuje wzdłuż stromego zbocza, aż żołądek wbija mi się w plecy. Pasy siodła wrzynają się w skórę, ale trzymają mnie stabilnie na miejscu, a gogle osłaniają oczy przed wiatrem. Słońce już chowa się za Klifami Dralor, więc lecimy ukryci w cieniu.

Przed nami znowu coś wybucha i tym razem odłamuje się fragment budynku. Tairn wyhamowuje gwałtownie, ledwie omijając gryfa. Przelatujemy na drugą stronę i pędzimy tak szybko, że nie słyszę niczego poza krzykami mieszkańców miasta, którzy przeciskają się ulicami w stronę bram, szukając schronienia.

*Gdzie się podziała ta wiwerna?,* pytam Tairna.

*Wróciła do doliny. Ale nie martw się. Jeszcze tu wróci.*

Fantastycznie.

Wodzę wzrokiem po dachach i wtedy go zauważam. Na szczycie drewnianej wieży zegarowej stoi postać odziana w długie purpurowe szaty, które powiewają na wietrze, i ciska niebieskimi płomieniami niczym sztyletami w uciekających cywilów.

Jest bardziej przerażający niżby udało się to oddać jakimukolwiek ilustratorowi. Bezduszne, wydrażone magią oczy otacza siateczka czerwonych żył rozchodzących się w każdym kierunku. Jego twarz jest wychudzona, o ostrych kościach policzkowych i wąskich ustach, a w kościstej dłoni trzyma długą czerwoną laskę wykonaną z jakiegoś poskręcane drewna.

*Tairn!*

*Tak, do dzieła.* Tairn odłącza się od Sgaeyl, wykonujemy ostry zakręt i zawracamy do miasta. Kilka uderzeń skrzydłami później otwiera wielkie

szczęki i w locie zalewa wieżę zegarową strumieniem ognia.

*Trafłeś!* Odwracam się w siodle i obserwuję, jak drewniana konstrukcja osuwa się na ziemię. Niestety po kilku sekundach venin wylania się z ognia i nie ma nawet zadrapania. *Zajebicie. Ciagle tam jest,* wołam. Zawracamy i kierujemy się w stronę wyznaczonego nam miejsca, a w duchu pluję sobie w brodę, bo myślałam, że to będzie takie proste. Nie bez powodu te istoty nawiedzają najgorsze koszmary Navarriańczyków. Musimy zbliżyć się na tyle, by przebić go ostrzem.

Odwracam się naprzód w porę, by zobaczyć wrzeszczącą bestię zmierzającą w naszą stronę. Tairn uderza ogonem w kamienną ścianę za nami i rozwała także mur, robiąc unik przed wiwerną. Ledwie udaje nam się ominąć syczącą kulę niebieskiego ognia, która wylatuje z jej paszczy i trafia w pobliskie drzewo.

*Wiwerna wróciła!*

*Ta jest inna,* zauważa Tairn. *Wydam rozkazy pozostałym.*

No jasne. Może i Xaden jest dowódcą jeźdźców na tym polu bitwy, ale Tairn przewodzi smokom.

Wiwerna zawraca i zmierza w stronę centrum wioski, podkurczając łapy i machając skrzydłami wyglądającymi, jakby były pokryte pajęczą siecią. Na jej grzbiecie siedzi jeźdźczyni w kasztanowym stroju do latania, który wygląda jak mój własny, a jej oczy mają ten sam dziwny czerwony kolor co venina z wieży zegarowej.

*Xaden, jest więcej niż jedna wiwerna.*

Nastaje chwila ciszy. Wyczuwam wręcz namacalny szok Xadena, potem słyszę jego gniew.

*Jeśli zostaniesz rozdzielona z Tairnem, daj znać, a potem walcz, póki nie przybędę.*

*Nie pozwolę na to. Nie spuszczę jej z grzbietu, dowódco skrzydła,* warczy Tairn, ja tymczasem po raz pierwszy dobrze przyglądam się miastu z perspektywy lotu ptaka i zauważam gryfy, smoki i wiwerny, tak samo jak opisywano w baśniach.

*Soleil znalazła zapieczętowane wejście, które zdaje się prowadzić do kopalni,* informuje Xaden. *Musisz...*

Tairn skręca niespodziewanie i kieruje się w stronę gór.

*...zrobić zamieszanie, żeby Garrick i Bodhi zdolali ewakuować mieszkańców,* dokańcza. *Liam już jest w drodze.*

*Jasne.* Mój puls przyspiesza. *Tairn, nie potrafię celować.*

*Dasz radę,* stwierdza, jakby był tego pewien. *Przekazałem rozkazy również gryfom.*



*Smoki mogą komunikować się z gryfami? Unoszę brwi wysoko.*

*Naturalnie. A jak niby komunikowaliśmy się ze sobą, zanim wtrącili się ludzie?*

Pochylam głowę, kiedy przelatujemy nad budynkiem wyglądającym na izbę chorych, nad szkołą i rzędami straganów, które obecnie płoną. Nigdzie nie zauważam venina w purpurowych szatach, którego widzieliśmy wcześniej. Lecimy nad wyschniętymi ciałami gryfa i jego jeźdźca, którzy leżą pośrodku miasta. Przewraca mi się w żołądku, tym bardziej że widzę zmierzającą w ich stronę wiwerne. A Sgaeyl zamierza przeciąć jej drogę.

*Poradzi sobie sama, przypomina mi Tairn. Tak samo jak on. Musimy wypełnić rozkazy. Skup się.*

Racja. Rozkazy.

Mijamy rodziny uciekające z zawałających się domów, a potem przelatujemy nad murami miasta i kierujemy się w stronę góry oraz półki skalnej, gdzie brązowy maczugon Soleil wymachuje ogonem, żeby przebić się przez drewniane deski zasłaniające wejście do opuszczonego tunelu. Przy pobliskiej drodze znajduje się kilka budynków, ale nic poza tym.

Tairn skręca ostro w lewo, skórzany pas wbija się w moje udo, gdy przechylam się w siodle od nagłego manewru. Zawisamy w powietrzu nad Soleil, odwróceni w stronę Ressonu i spanikowanego tłumu, który próbuje pokonać sto jardów dzielących miasto i kopalnię, prowadzonego przez parę gryfów i ich lotników, którzy ciągle rozglądają się po niebie.

Niestety nie widzą veninki zmierzającej w naszą stronę od północnej bramy, która przygląda się tłumowi, mrużąc czerwone ślepia. Żyły otaczające jej gałki oczne są wyraźniejsze niż u tej drugiej, a jej długa niebieska szata przypomina mi venina z laską, który przetrwał podpalenie wieży zegarowej.

*Już powiedziałem o tym Fuil. Będzie chronić Soleil, uspokaja mnie Tairn, kierując się w stronę zagrożenia.*

*Oddalmy się od tłumu. Moc skwierczy pod moją skórą.*

Jakieś dziecko potyka się na żwirowej ścieżce, a mnie dusi w klatce piersiowej, kiedy ojciec pochyła się i bierze córkę w ramiona, a potem puszcza się sprintem.

Wymija nas Deigh i kątem oka zauważam, że ląduje na ziemi. Unoszę ręce i pozwalam mocy się uwolnić, skupiając się tylko na venince.

Rozlega się grzmot. I zawala się mur otaczający miasto.

Cholera.

*Próbuj dalej. Deigh mówi, że potrzebują więcej czasu!, wyjaśnia Tairn.*

Pepełniam błąd i obracam się w siodle. Zauważam wtedy, że Liam i Soleil nie siedzą na swoich smokach, tylko zaganiają mieszkańców miasta do kopalni,

a Deigh i Fuil strzegą drogi. Jeśli cokolwiek się stanie, jeśli jedna z tych wiwern otaczających miasto ich zauważy, znajdują się w niebezpieczeństwie.

Zjawia się trójka gryfów niosąca w szponach mieszkańców miasta. Zostawiają ich przy wejściu do kopalni i wracają po kolejnych.

Przetacza się przeze mnie energia, kiedy próbuję dosięgnąć błyskawicą veninkę, ale roztrzaskuję jedynie budynek na zboczu góry po prawej. Kawałki desek i drewna wylatują w powietrze.

Veninka przenosi uwagę na niebo i robi mi się słabo, gdy mnie zauważa. W jej czerwonych oczach dostrzegam czyste zło, kiedy unosi rękę, przekręca ją i zaciska.

Kamienie staczają się po zboczu góry.

Soleil unosi ręce, powstrzymując lawinę kamieni przed zasypaniem ludzi u wejścia. Jej ramiona drżą, ale okruchy opadają po obu stronach ścieżki.

Odwracam się w stronę veninki i wstrzymuję oddech.

W powietrzu da się wyczuć namacalną moc, od której włoski na moich rękach stają dęba, bo veninka stoi nieruchomo z rękami skierowanymi ku ziemi. Wszystko wokół niej przybiera brązowy kolor, dzikie kwiaty więdną, a ich liście zwijają się, tracąc zieloną barwę.

*Tairn, czy ona...*

*Pobiera moc, warczy.*

Kiedy energia zbiera się u stóp veninki, jakby wysysała ją z ziemi, ciskam kolejną błyskawicą, ta jednak uderza zbyt blisko drogi i ludzi próbujących znaleźć schronienie.

*Uważaj. Deigh twierdzi, że w budynku po drugiej stronie drogi znajduje się skrzynia oznaczona herbem rodzinnym Liama, mówi Tairn. Wywołuję kolejną błyskawicę, ale ta również nie dosięga veninki. Twierdzi, że jest bardzo... niestabilna, dokańcza, kiedy otrzymuje więcej informacji.*

*Nie martwię się budynkiem, odpowiadam, kiedy pod skrzydłami Tairna rozpościera się na ziemi coraz większa martwa strefa. Zaczerpuję od niego więcej mocy i przygotowuję się do uderzenia.*

Kiedy mieszkańcy miasta skrywają się w kopalni, Soleil rzuca się na veninkę ze sztyletem w dłoni, a Fuil depcze jej po piętach.

Atak będzie tego warty, o ile obie przeżyją.

Od veninki rozpościera się fala śmierci, która dogania biegnącego drogą mieszkańca miasta. Mężczyzna upada i krzyczy bezgłośnie, kuląc się na ziemi, aż jego ciało zostaje tylko suchą, pustą skorupą.

Oddech grzęźnie mi w gardle, a serce zamiera. Ta veninka właśnie...

– Soleil! – krzyczę, ale już za późno. Dziewczyna potyka się w martwej strefie, a jej smoczyca ją dogania i obie lądują na ziemi, która rozbryzguje się od

smoczego impetu.

Życie uchodzi z nich w ciągu zaledwie kilku sekund, a ich ciała się kurczą. Nie mogą oddychać. Veninka ma teraz jeszcze więcej mocy.

*Przekaż to Deighowi!* Oglądam się przez ramię na Liama, który gna w stronę swojego smoka. Potrzebuje więcej czasu.

*Już.* Tairn skręca w bok, kiedy w naszym kierunku szybuje ognisty pocisk i musimy przelecieć na drugą stronę ścieżki.

*Straciliśmy Soleil,* informuję Xadena.

W odpowiedzi dostaję falę smutku i wiem, że należy ona do niego.

Gryfy podrywają się do lotu, a ich jeźdźcy kierują w stronę veninki pomniejszych umiejętności magiczne, ale w tym momencie nadlatują dwie pozbawione jeźdźców wiwerny.

*Każ im zmienić taktykę. Nie mają szans, jeśli nie zblizą się do tej veninki,* mówię do Tairna.

Gryfy zmieniają kurs, a ja znowu wypuszczam swoją moc, która tym razem trafia bliżej veninki. Czerwone oczy zwracają się w moim kierunku, ale na dźwięk chłostających powietrze skrzydeł kreatura odwraca głowę.

Nadlatują Garrick i pozostali naznaczeni z trzeciego roku. Przeciwniczka traci przewagę i mam nadzieję, że jest tego świadoma.

Gryfy wspólnie atakują jedną z wiwern, a Liam dosiada Deigha i wznoszą się w powietrze, w ostatniej chwili unikając poszerzającej się martwej strefy. Nagle druga wiwerna nurkuje w stronę veninki.

Po drodze mija budynek.

*Mówiłeś, że w tym budynku znajduje się jakiś niestabilny materiał, tak?,* upewniam się.

*Tak.*

Nie jestem pewna, czy uda mi się tam uderzyć, ale...

*Doskonały pomysł.*

Tairn zmienia pozycję i zatrzymujemy się jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią. Liam zmierza w kierunku gryfów, które celują wytworzonymi lodowymi szpikulcami w grdykę rannej wiwerny. Tryska krew, a bestia spada na ziemię z przeszywającym uszy jazgotem.

Jedna mniej.

Veninka dociera do ścieżki, a druga wiwerna zatrzymuje się obok, żeby mogła jej dosiąść.

*Teraz!,* krzyczę.

Tairn zaciąga się powietrzem i wypuszcza strumień ognia w chwili, gdy wiwerna podrywa się z ziemi. Jednocześnie zapala się budynek oraz to, co

znajduje się w środku. Gorące powietrze bucha mi w twarz, a budynek eksploduje.

Ogień niemal nas dosięga, ale Tairn odbija w lewo, cudem unikając płomieni.

Wyrywa mi się okrzyk. Wyrzucam pięść w powietrze i zataczamy koło, a wiatr łagodzi pieczenie na moim policzku. Pozbyliśmy się jednej wiwerny, ewakuowaliśmy znaczną część ludzi, a tego wybuchu nic nie mogło przeżyć.

Tairn obniża prawe skrzydło i skręcamy gwałtownie, żeby jeszcze raz okrążyć miasto. Patrząc w prawo i krzyk zamiera mi na ustach. Nie dość, że wybuch nie zabił wiwerny, to jeszcze jej jeźdźczyni żyje i... cóż, leci w stronę...

Niech to szlag.

Z doliny nadlatuje jeszcze więcej wiwern. Staram się nie panikować, kiedy mija nas pocisk niebieskiego ognia. Odwracam się i zauważam, że wiwerna siedzi nam na ogonie i dogania nas w zastraszającym tempie.

*Wiesz może, jak zabić tyle wiwern?*, pytam Tairna, a panika ciąży mi w piersi jak głaz. Czuję, że zaraz ugnę się pod naporem własnych myśli.

Jeśli się nie mylę, właśnie leci w naszą stronę sześć wiwern – wszystkie są przerażające, mają ogromną rozpiętość skrzydeł i ostre zębiska.

*W ten sam sposób, co nas*, rzuca Tairn, odciągając wiwernę od centrum miasta, gdzie Garrick i Bodhi ze sztyletami w dłoni gonią za wrogiem z wieży zegarowej.

*Nie mam przy sobie kuszy!*

*Nie, ale masz pioruny, a piorun prosto w serce zatrzyma każdego smoka.*

*Powiedz, że uprzedziłeś innych jeźdźców o śmierci Soleil i Fuil.*

Nikt nie powinien dotykać tamtej ziemi.

*Znają ryzyko.*

Na bogów, tutaj wciąż są dzieci, niektóre krzyczą, inne niestety milczą, kiedy matki ściągają ich martwe ciała z ulicy.

Nie mam na to słów.

*Musimy odciągnąć ich od miasta*, przekazuję Xadenowi. Obracam się w siodle na tyle, na ile pozwalają mi pasy, żeby rozejrzeć się po niebie i odszukać wiwerny. Część z nich zatrzymała się i zaczęła okrążyć wieżę zegarową.

*Musi zależeć im na tym, co znajduje się w środku*, zauważa Tairn.

*Zgadzam się w obu kwestiach. Róbcie, co musicie, żeby dać reszcie czas na ewakuację*, odpowiada Xaden. *Właśnie oczyszczamy skraj miasta.* Milknie, a potem przez naszą emocjonalną barierę przepływa fala jego niepokoju. *Postaraj się nie umrzeć.*

*Robię, co w mojej mocy.*

Jedna z wiwern przelatuje nad ziemią i wznosi się w niebo z ludzką nogą wiszącą między zębami.

Zataczamy koło, a potem zmierzamy na południe, z dala od centrum miasta oraz Bodhiego i Garricka, których zamiarów nie mogę odszyfrować.

*Nie lecą za nami, wzdycha Tairn.*

*Tamtej venince nie spodobało się, kiedy strzelałam piorunami.*

*Stanowisz zagrożenie.*

*W takim razie ściągnijmy ich uwagę i niech poczują strach.*

Tairn warczy z aprobatą.

Otwieram wrota prowadzące do mocy Tairna i pozwalam jej spłynąć po mojej skórze.

Gdy tylko opuszczamy mury miasta, wznoszę ręce w powietrze i uwalniam energię.

Błyskawica przecina niebo i ściąga na nas uwagę hordy wiwern. Jedna z nich zmienia kierunek lotu i mknie w naszą stronę, wymachując ogonem zakończonym trującymi kolcami.

Może to nie był najlepszy pomysł.

*Teraz już za późno, przypomina mi Tairn.*

Racja.

W końcu opuszczają miasto.

Przyzywam więcej mocy i ciskam nią w niebo, moje ręce drżą z wysiłku, bo kontrolowanie tak silnego strumienia nie jest łatwe. Uderza błyskawica, ale omija wiwernę szerokim łukiem. Moje usta wypełniają się strachem, który smakuje jak popiół. Nie jestem na to gotowa.

*Spróbuj jeszcze raz.*

*Nie jestem w stanie zapanować nad...*

*Jeszcze raz!, rozkazuje Tairn.*

Ciskam mocą, pozbywając się mentalnych murów oddzielających mnie od Tairna i przetacza się przeze mnie jeszcze więcej jego energii. Ciemniejące niebo przecina tak jasna błyskawica, że mrugam oszołomiona.

*Jeszcze raz!*

Pozwalam, by moc zalewała mnie raz po raz i koncentruję się na położeniu wiwerny, a tymczasem Tairn robi unik przed nadlatującym niebieskim pociskiem. W końcu jeden z piorunów trafia w gada lecącego za nami. Bestia spada i rozbija się o wzgórze z satysfakcjonującym trzaskiem.

*A co z veninką, z którą jest związana?* Trzęsę się z wysiłku, walczę o zachowanie kontroli, żeby moc mnie nie przytłoczyła. Czuję pot na twarzy.

*Mam nadzieję, że są tacy jak my – zabijemy wiwernę i jej jeździec umiera, ale trudno to stwierdzić, bo tak wiele z nich nie ma żadnego jeźdźca.*

*„Mam nadzieję” nie brzmi w tej chwili zbyt optymistycznie... Odwracam się w siodle i z przerażeniem zauważam, że dwie kolejne pozbawione jeźdźców wiwerny nadlatują z doliny. Mieszkańcy potrzebują więcej czasu, żeby dotrzeć do kopalni. Załatwmy im go.*

Tairn warczy na zgodę i wracamy do miasta.

Xaden trzyma jedną z wiwern za gardło, zaciskając na niej swoje cienie, a kadet z trzeciego roku ciska lodowymi okruchami w jej jeźdźca. Pozostała czwórka robi wszystko, by przepędzić kolejne bestie przy pomocy smoczego ognia i magii.

Moc przetacza się we mnie fala za falą. Wytworzyłam więcej błyskawic niż do tej pory na treningach. Robię zamach ręką i celuję w wiwernę lecącą w stronę bramy – a raczej w stronę tego, co z niej zostało. Niestety pudłuję, ale trafiam w pustą wieżę. Kamienie rozpryskują się na wszystkie strony i jeden z nich trafia wiwernę w ogon, aż gad obraca się w powietrzu.

Tairn wykonuje kolejny ostry zakręt i wracamy do miasta. Biorę głęboki wdech, a potem przyzywam błyskawicę – i ta trafia wiwernę bezpośrednio w grzbiet. Rozlega się satysfakcjonujące skwierczenie, wielka bestia skrzeczy, a potem roztrzaskuje się na pobliskim wzgórzu.

Podeksytowana zabójstwem ciskam trzy kolejne błyskawice, jedną po drugiej. Niestety prędkość nie równa się celności i przyływ adrenaliny również mi nie pomaga. Udaje mi się wywołać trzy niepokojące eksplozje, z czego jedna ściąga uwagę wielkiej wiwerny, która goniła Bodhiego i daje mu to chwilę na zyskanie przewagi. Jego smok to wykorzystuje i skręca gwałtownie w lewo, atakuje wiwernę od tyłu i zatapia kły w jej szarej skórzanej szyi. Rozlega się niepokojące chrupnięcie, a smok Bodhiego wypuszcza bezwładne ciało gada, które rozbija się na ziemi pięćdziesiąt stóp niżej.

*Po lewej!*, krzyczę, kiedy nadlatują kolejne dwie bestie.

Zostawiam manewry unikowe Tairnowi i skupiam się na próbie ustrzelenia doganiającej nas bestii. Ręce mi drżą, z każdym pociskiem stają się coraz słabsze i słabsze, bo poświęcam mnóstwo wysiłku, by jednocześnie nie trafić w moich własnych ludzi.

Sgaeyl znajduje się po wschodniej stronie strażnicy. Serce podchodzi mi do gardła, kiedy przelatuje nisko nad ziemią, a Xaden w imponujący sposób zeskakuje z jej pleców i ląduje na ziemi z przewrotem. Niemal natychmiast cienie rozciągają się w każdym kierunku i osłaniają krzyczących ludzi, którzy próbują uciec przed rozdziawionymi szczękami wygłodniałej wiwerny.

Jedna z tych, które mnie gonią, musiała zauważyć, że Xaden opuścił grzbiet smoka, bo składa skrzydła i nurkuje w stronę ziemi, a potem rozkłada je

w ostatniej chwili i przelatuje nad jedwabistymi cieniami. Cholera. Kieruje się prosto na Xadena i otwiera paszczę szeroko, jakby zamierzała go zjeść.

*Xaden!*, wydieram się, ale on już zauważył wiwerne i wypuszcza sznur cieni, które niczym lasso zahaczają się o głowę Sgaeyl, a ona szarpnięciem ściąga go z ziemi, z dala od nadlatującej wiwerny. W jednej chwili Xaden wisi na cienistym sznurze, w następnej – siedzi na grzbiecie Sgaeyl, która kieruje się w stronę miasta.

Byłam tak skupiona na Xadenie, że zupełnie zapomniałam o goniącej mnie bestii. Na szczęście Tairn miał ją cały czas na oku, bo wspina się coraz wyżej i wyżej, odciągając bestię od miasta. Nabiera prędkości tak gwałtownie, że robi mi się niedobrze.

*Violence!*, krzyczy Xaden. *Pod tobą!*

Patrzę w dół i wyrywa mi się pisk. W naszą stronę pędzi niebieski ognisty pocisk.

*W dół!*

Tairn przewraca się, a mój tyłek unosi się nad siodło. Przytrzymują mnie jedynie pasy na udach, kiedy Tairn zawisa głową do ziemi, ledwie unikając ognia. Gdy się przekręca, wiwerna wciąż pędzi za nami. Serce podchodzi mi do gardła, kiedy otwiera wielkie zakrwawione szczęki i rzuca się na bok Tairna.

– Nie! – Unoszę ręce, żeby cisnąć piorunem w jej stronę, i przygotowuję się na cios.

W naszą stronę pędzi niebieski pocisk i wiwerna zostaje strącona przez granatowego smoka – Sgaeyl. Jej szczęki rozrywają bok bestii w kilku brutalnych, szybkich kłapnięciach. Krew i mięso tryskają na wszystkie strony. To chyba najbrutalniejszy podniebny posiłek, jaki w życiu widziałam. Następnie obraca się, wbija zakończony sztyletem ogon w głowę wiwerny i posyła jej martwe ciało kilkaset stóp dalej.

Sgaeyl przyspiesza, nurkuje, a potem mija nas, muskając skrzydłem Tairna niemal w czułym dotyku – co zupełnie nie pasuje do groźnego spojrzenia, jakie wymierza we mnie, nie przejmując się krwią ociekającą z jej kłów. Zrozumiałam. Ona ma pilnować Xadena, a ja powinnam uważać na Tairna.

Okręcam się szybko w siodle i sprawdzam, czy nikt nas nie atakuje, a potem zwracam się do Tairna:

*Lećmy wyżej, żeby lepiej przyjrzeć się temu, z czym się mierzymy.*

Ledwie udaje nam się wzbić na sto stóp ponad miasto, bo zauważam Liama i Deigha, którzy uciekają ile sił w skrzydłach przed wiwerną i lecącym na niej veninem.

*Liam potrzebuje pomocy!*, rzucam.

*Zajmę się tym*, odpowiada Tairn. Przez chwilę wisimy w powietrzu, a potem łapie wiatr w skrzydła i obraca nas w stronę Liama.

Venin unosi laskę, celując niebieskimi pociskami w Deigha, ale udaje mu się ich uniknąć. Liam podnosi się na grzbiecie i biegnie do ogona, a Deigh w ostatniej chwili wyrzuca go w powietrze w stronę wiewny. Nie mam czasu krzyknąć, bo ląduje w przykucu na szarej bestii i wyciąga jeden z oznaczonych runami sztyletów. Wygląda tak samo jak te, które dostałam od Xadena.

Venin obraca się gwałtownie, unosi laskę, ale Liam jest szybki i podrzyna mu gardło z porażającą precyzją. Wiewna przestaje wymachiwać skrzydłami, a jej ciężkie ciało leci bezwładnie w stronę ziemi. Liam zeskakuje z jej pleców w chwili, gdy Deigh przelatuje poniżej i łapie go z łatwością.

Z naszej lewej nadlatuje wiewna, wściekle wymachując skrzydłami.

*Tairn!* Moc wypełnia moje żyły, unoszę ręce, ale Tairn przetacza się do góry nogami i przedziera szponami oraz kropaczem na końcu ogona wzdłuż wiewny, od gardła aż po drugi koniec. Rozpłata ją na pół i obraca się w powietrzu, pozwalając zakrwawionemu cielsku zderzyć się z ziemią.

W głowie mi szumi, ale nie tylko od powietrznej akrobatyki Tairna.

Po raz pierwszy, odkąd zgodziliśmy się dzisiaj bronić cywilów, odkąd dowiedzieliśmy się, że są tu cztery veniny i nie da się wygrać, ciężar paniki zaczyna ulatywać z mojego serca. Możliwe, że jednak dzisiaj wygramy. Możliwe.

Właśnie wtedy zza chmur nad nami wyłania się kolejna wiewna i rzuca się w stronę Tairna ze złożonymi skrzydłami. Przypomina strzałę z wielkimi kłami.

Nie ma czasu na skomplikowane uniki. Zaraz nas dopadnie. Nagle pojawia się Deigh i rzuca się w stronę wielkiej szarej bestii.

Nie czuję jednak ulgi, bo zderzenie sprawia, że Liam stacza się z grzbietu swojego smoka i prześlizguje po szyi Tairna z zatrważającą prędkością.

– Violet!

– Liam! – Łapię go za dłonie i z mojego gardła wyrywa się krzyk, kiedy stawy napinają się od wysiłku. Tairn skręca ostro, żeby podążyć za Deighem. – Trzymaj się!

Liam krzywi się i podciąga na łokciach mimo niemożliwego kąta, a potem chwytą się łęków siodła. Rzucam się na niego i osłaniam jego głowę, trzymając go z całej siły, a Tairn przetacza się i krąży wokół Deigha.

Bestie szarpia się pazurami i zębiskami, aż rozlega się przeraźliwy ryk bólu Deigha. Są zbyt blisko, bym mogła zareagować i nie ma pewności, że trafiłabym błyskawicą wiewnę, a nie Deigha.

Nie mogę zrobić niczego poza trzymaniem Liama.



Chwytam za pas na nogi, którego do tej pory jeszcze nie użyłam, i owijam nim Liama na wysokości torsu.

– To powinno cię utrzymać, dopóki nie zwrócimy cię Deighowi, ale nie jestem w stanie użyć mocy tak, by go nie uderzyć! – Próbuję przekrzyczeć silny wiatr.

Wyraz bólu w jego oczach odbiera mi oddech.

– Dlaczego to zrobiłeś? – krzyczę i zaciskam palce na jego mundurze, żeby przyciągnąć go bliżej. – Dlaczego tak ryzykowałeś? – Na bogów, jeśli coś im się stanie...

Liam patrzy mi głęboko w oczy.

– Ten stwór wyrwałby Tairnowi kawał ciała. Uratowałeś mi życie i teraz nadeszła moja kolej. Nawet jeśli masz do mnie żal za to, że trzymałem coś przed tobą w tajemnicy i tak jesteśmy przyjaciółmi, Violet.

Nie jestem w stanie odpowiedzieć, bo Tairn znowu się obraca. Pas wokół klatki piersiowej Liama przesuwają się pod pachy. Mocniej zaciskam dłonie na jego skórzanym mundurze, ale nie jestem w stanie dobrze go chwycić. Mijają sekundy, a ja wciąż nie mogę oddychać, myślę tylko o tym, by uratować Liama. Tairn wyrównuje lot i stara się trzymać tak blisko Deigha jak to możliwe, jednocześnie nie narażając nas na atak.

Niespodziewanie ryk Deigha przeszywa mnie aż do kości, kiedy obie bestie uczezione siebie nawzajem zaczynają spadać.

*Możesz coś z tym zrobić?,* błagam Tairna.

*Już nad tym pracuję!* Skręca w prawo i rzuca się w dół za wirującą w powietrzu dwójką, która zaraz rozbija się o ziemię. To my powinniśmy teraz walczyć o życie, a nie Liam i Deigh.

Bogowie, Deigh przegrywa, co oznacza, że Liam...

Czuję bolesny ucisk w gardle. Nie. To się nie może wydarzyć.

*Leć tam!,* krzyczę do Xadena. Energia skwierczy w moich dłoniach, ale nie jestem w stanie oddać czystego strzału. Bestie spadają zbyt szybko.

*Właśnie poluję na venina przy murze!,* odpowiada.

*Deigh walczy o życie!*

Moją klatkę piersiową przeszywa zgroza, która nie należy do mnie. Tylko do Xadena.

*Jeśli teraz odleczę, ci mieszkańcy umrą.*

A więc jesteśmy zdani tylko na siebie. Zerkam przelotnie na pole bitwy i zauważam, że wszystkie smoki są właśnie zajęte walkami.

Tairn wymachuje ogonem i trafia wiwerne w zad. Tryska krew, ale ta uparta kreatura nie chce wypuścić Deigha ze swoich szponów, które zatopiła w ciele czerwonego smoka.

– Deigh! – wrzeszczy Liam, a jego głos załamuje się przy końcu.

Tairn rzuca się do ataku, rozrywa zębiskami bok wiwerny aż do krwi, ale to nie wystarcza. Przelatuje na drugą stronę, żeby mieć lepszy dostęp, jednak przez ten manewr Liam niemal mi się wyslizguje. Na szczęście zapięcie wytrzymało.

W naszą stronę zmierza kolejna pozbawiona jeźdźca bestia.

*Po prawej!*

Tairn zarzuca ciałem szybciej niż kiedykolwiek i rozrywa gardło nowego przeciwnika, potrząsając nim jak szmacianą lalką, a potem rozluźnia szczęki i pozwala, by truchło upadło na skały pod nami.

Potem Tairn pikuje, żeby złapać Deigha i wiwernę, którzy zbliżają się do ziemi.

Przerażenie rozlewa się po mojej klatce piersiowej.

*Jesteśmy w drodze!*, woła Xaden.

Ale nie zdąży.

– Violet! – Liam przekrzykuje wiatr, a ja odrywam wzrok od toczącej się obok nas walki. – Musimy pokonać jeźdźców.

– Wiem! – odpowiadam. – Pokonamy! – Musisz wytrzymać jeszcze trochę. Deigh tak samo.

– Nie, chodzi mi o to, że...

Tairn znowu przypuszcza atak i rozrywa zębami skrzydła wiwerny, a szponami szarpie jej ogon, ale kreatura nie chce puścić Deigha. Jej skrzydła są rozdarte, jednak chyba się tym nie przejmuje, bo zatapia pazury w brzuchu smoka, jakby zamierzała poświęcić życie, byle tylko go zabić.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniam Liama, wiatr szczypie mnie w policzki. Musi być dobrze; mimo że ziemia zbliża się coraz bardziej z każdą sekundą.

Deigh znowu ryczy, ale tym razem dźwięk jest wyższy i słabszy niż ostatnio. To płacz.

*Musimy się wznieść!*, ostrzega Tairn.

*On umiera!* Liam wyciąga się na grzbiecie Tairna, jakby chciał dosięgnąć swojego smoka, jakby chciał go dotknąć po raz ostatni.

– Wytrzymaj jeszcze... – zaczynam, ale skrzek Deigha wywołany bólem zaciska mi gardło i odbiera głos. Został zabity i nie da się nic z tym zrobić.

Wiwerna ryczy zwycięsko i chwilę później rozbijają się o skały z potwornym trzaskiem. Wiwerna wiotczeje i osuwa się na tylnych nogach, próbując się odczołgać.

Deigh się nie rusza.

Moje serce przeszywa zbolały okrzyk Liama, a Tairn wymachuje skrzydłami, żeby wznieść się wyżej i uchronić nas przed podobnym losem.

*Deigh!* Uderza we mnie rozpacz Tairna, który atakuje oddalającą się wiwernę ognistym strumieniem, a moją głowę wypełnia płacz Andarny.

Nie. Jeśli Deigh...

*Czy on...* Nawet nie jestem w stanie dokończyć.

*Nie żyje.* Tairn zmienia kurs i kieruje się w stronę miejsca, gdzie wylądował Deigh.

Nie. Nie. Nie. To oznacza...

– Liam! – Mocno chwytam swojego przyjaciela, kiedy lądujemy z zawrotną prędkością, a Tairn zatrzymuje się tuż przy ciele Deigha.

*Zostało tylko kilka minut,* ostrzega Tairn.

– Deigh – szepcze Liam i wiotczeje na plecach Tairna.

– Pomogę ci do niego podejść – obiecuję i staram się odpiąć paski.

*Deigh nie żyje,* zanoszę się płaczem w stronę Xadena. *Liam umiera.*

*Nie.* Wyczuwam w moim własnym umyśle jego przerażenie, jego smutek, jego wszechogarniający gniew, który miesza się z moimi uczuciami i utrudnia oddychanie.

Mamy zaledwie kilka minut.

– Trzymaj się – szepczę do Liama, walcząc z potokiem łez. Patrzy na mnie błękitnymi oczami, które wypełnia szok i rozpacz. Po tym wszystkim, co Liam dla mnie zrobił, mogę chociaż być przy nim w tych ostatnich chwilach. Mogę zaciągnąć go do Deigha, bo wiem, że on postąpiłby tak samo, gdyby chodziło o Tairna czy Andarnę. Tairn leży nieruchomo na ziemi, a ja rozpinam pasy, otaczam ramionami potężną sylwetkę Liama i ześlizguję się po łapie Tairna. Ląduję na kamienistym wzgórzu z dala od faktorii.

Deigh leży kilkadziesiąt stóp dalej, a jego ciało jest wykrzywione pod nienaturalnym kątem.

To niesprawiedliwe. Tak nie powinno być. Tylko nie Deigh. Nie... Liam. Są najsilniejsi z całego roku. Są najlepsi z nas wszystkich.

– Nie przeżyję tego – odzywa się Liam, chwieje się i potyka.

Podbiegam bliżej, żeby go przytrzymać, ale jest dla mnie zbyt ciężki i oboje opadamy na kolana.

– Przetrywamy – zapewniam mimo ściśniętego gardła i próbuję założyć jego ramię na swoje barki. Jesteśmy już tak blisko.

Jeśli venin nas zaatakuje, poradzę sobie z nim.

– Nie uda się. – Liam osuwa się przy mnie. Siadam na piętach, a jego głowa ląduje na moich kolanach. – Ale wszystko w porządku, Violet. – Patrzy na mnie, a ja przesuwam gogle na czubek głowy, żeby lepiej go widzieć.

Nie może złapać tchu.

– Wcale nie jest w porządku. – Mam ochotę krzyknąć, bo to takie niesprawiedliwe, ale to nic nie da. Drżącą ręką ściągam mu gogle i odgarniam jasne włosy z czoła. – To nie powinno było się wydarzyć. Proszę, zostań ze mną – Błagam przez łzy, które spływają niekontrolowanie po moich policzkach. – Walcz z tym. Proszę, Liam. Walcz, żeby zostać.

– Kiedy rozpocznie się spacer po moście... – Jego twarz wykrzywia się z bólu. – Musisz zaopiekować się moją siostrą.

– Liam, nie – wyduszam przez ściśnięte gardło. – Będiesz na miejscu. – Głaszczę go po włosach. Nic mu nie jest. Pod względem fizycznym nic mu nie jest, nie jest ranny, a mimo to patrzę, jak gaśnie w oczach.

– Musisz tam być. – Uśmiecha się na myśl o siostrze, której nie widział od lat, a w jego policzku pojawia się dołeczek. Musi przekazać jej sterty listów, które do niej napisał. Zasługuje na to po tym wszystkim, przez co przeszedł.

Nie może umrzeć.

*Tairn, wołam rozpaczliwie. Powiedz mi, co mam zrobić.*

*Nic nie możesz zrobić, srebrnowłosa.*

– Oboje wiemy, że tego nie przetrwam. Obiecuj mi tylko, że zaopiekujesz się Sloane – błaga, patrząc mi w oczy, a jego oddech staje się cięższy. – Obiecuj.

– Obiecuję – zapewniam go szeptem. Łapię go za rękę i ściskam, nie przejmując się płynącymi łzami. – Zaopiekuję się Sloane. – On umiera, a ja nie mogę nic z tym zrobić. Nikt nie może temu zaradzić. Po co nam te wszystkie moce, skoro są bezużyteczne?

Jego puls pod moim kciukiem zwalnia.

– To dobrze. To dobrze. – Uśmiecha się z wysiłkiem, dołeczek w policzku pojawia się przelotnie, a potem rysy jego twarzy się rozluźniają. – I wiem, że czujesz się zdradzona, ale Xaden cię potrzebuje. Nie chodzi mi tylko o to, że masz przeżyć, Violet. On potrzebuje ciebie. Wysłuchaj go, proszę.

– W porządku. – Przytakuję, uśmiechając się przez łzy. Mógłby mnie teraz poprosić o wszystko, a ja bym mu to dała. – Dziękuję. Dziękuję za to, że byłeś moim cieniem. I przyjacielem. – Jego twarz rozmazuje się przed moimi oczami, bo łzy płyną teraz niekontrolowanie.

– To był... zaszczyt. – Oddech Liama rzeźbi w płucach.

Podmuch wiatru rozwiewa moje luźne kosmyki. Chwilę później przybiega do nas Xaden, a mnie atakuje nawałnica jego emocji.

– Nie, Liam – wykrztusza i klęka obok nas. Widzę, że stara się zapanować nad wyrazem twarzy, ale nie da się ukryć rozpacz, którą wyczuwam przez naszą więź.

– Deigh – błaga Liam ostatkiem sił i odwraca głowę w stronę Xadena.

– Wiem, bracie. – Xaden mocno zaciska szczęki i napotyka moje zapłakane oczy. – Wiem. – Podnosi się, biorąc przyjaciela w ramiona. – Zaniosę cię.

Powoli pokonuje wyboisty teren, zmierzając w stronę ciała Deigha. Mówi rzeczy, których nie jestem w stanie usłyszeć, a ja klęczę na kamieniach, które wbijają się w moje kolana i obserwuję Xadena, który żegna bliską osobę.

Kładzie Liama przy niepoharatanym ramieniu Deigha i siada obok, powoli potakując w odpowiedzi na to, co mówi Liam.

Nagle przed nami rozlega się wrzask wiwerny, a ja instynktownie zadzieram głowę.

Z doliny nadlatuje szara chmura skrzydeł. Wiwerny. Dziesiątki wiwern.

*Spójrz na dolinę!*

Liam powoli przetacza głowę i oboje unoszą wzrok we wskazanym kierunku.

Xaden pochyla głowę, a mój oddech zamiera w płucach, kiedy cienie na chwilę go spowijają jak całun złości i żalu.

Później słyszę jego bezgłośny, rozdzierający duszę krzyk, który wypełnia moją głowę z taką siłą, że serce pęka mi na kawałki jak szklanka, która rozbija się na podłodze.

Nawet nie muszę pytać. Domyślam się, że Liam odszedł.

Liam, który nigdy nie narzekał na to, że musi być moim cieniem, bez wahania oferował pomoc, nigdy nie chwalił się tym, że jest najlepszy na roku. Umarł, chroniąc mnie. Na bogów, a ja niecałą godzinę temu zapytałam go, czy naprawdę jesteśmy przyjaciółmi.

Jedna z tych bestii właśnie zabiła mojego przyjaciela. A co może uczynić cała ich chmara?

Pokryte krwią wiwerny rzucają się w naszą stronę, a Tairn osłania mnie swoim skrzydłem. Słyszę, jak kłapie szczękami, a nad nami rozlega się głośny wrzask.

*Na ziemi jesteście łatwym celem,* zauważa Tairn, kiedy wiwerny odlatują.

*Więc to my zapolujemy.* Staję na chwiejnych nogach i w tym samym momencie zauważam, że Xaden biegnie w moją stronę.

– Violence! – Xaden łapie mnie za ramiona, a jego twarz wyraża determinację. – Liam zdążył mi powiedzieć, że ta horda ma dwóch jeźdźców.

– Dlaczego powiedział to tobie, a nie...

– Bo wiedział, że to ja muszę być tym, który zajmie wiwerny tak długo, jak się da. – Patrzy na moją twarz, jakby nigdy więcej miał jej nie ujrzeć.

– A ja mam je wszystkie zabić. – Wytworzenie takiej ilości piorunów chyba mnie zabije, ale jestem w tym momencie naszym jedynym ratunkiem. I tylko tak Xaden może przetrwać.

– Możesz je zabić. – Przyciąga mnie do siebie i całuje w czoło. – Bez ciebie nie ma mnie – szepcze przy mojej skórze.

Nie mam czasu zareagować, bo odwraca się w stronę doliny i unosi ręce, a jego cienie tworzą mur, który pochłania całą przestrzeń między górami.

*Idź! Dam ci tyle czasu, ile się da!*

Każda sekunda ma znaczenie i bardzo możliwe, że to będą moje ostatnie. A raczej nasze ostatnie sekundy.

Obracam się, omijam wzrokiem Tairna i zauważam płonące ruiny factorii. Ludzie uciekają z miasta, nad którym krążą wiwerny. Ponieśliśmy porażkę – nie udało nam się uratować wszystkich cywilów.

Zaciągam się powietrzem ciężkim od dymu i zauważam samotnego gryfa przecinającego niebo, za którym podążają Garrick i Imogen na swoich smokach. Mogę mieć tylko nadzieję, że innym również udało się przeżyć.

Odwracam się w stronę martwych ciał Liama i Deigha, a moje żyły wypełnia gniew szybciej niż jakakolwiek błyskawica, którą do tej pory wypuściłam. Horda wiwern wkrótce przedrze się przez osłonę Xadena i zaatakuje Tairna oraz Sgaeyl, którzy skończą tak jak Deigh.

I Xaden... mimo że jest silny, nie będzie w stanie utrzymać cieni w nieskończoność. Widzę, że jego ramiona już drżą z wysiłku, jakim jest kontrolowanie takiej mocy. Umrze pierwszy, jeśli nie sprostam swojemu przezwisku, Violence, które nadał mi wiele miesięcy temu pod starą dębem.

Bo dopiero teraz, kiedy stoję nad martwym ciałem mojego przyjaciela i jego smoka, marzę o tym, by pokazać tym wszystkim potworom, jaka potrafię być agresywna.

Zakładam gogle, odwracam się do Tairna i dosiadam go w okamgnieniu. Nie muszę go prosić, by wzbił się w powietrze, bo nasze emocje są teraz do siebie dopasowane. Zależy nam na tym samym. Na zemście.

Zapinam pasy na udach, kiedy Tairn wznosi się coraz wyżej w powietrze wraz z każdym mocarnym uderzeniem jego wielkich skrzydeł. Zakrwawiona wiwerna waha się, bo Tairn leci prosto na nią. Nie obchodzi mnie, czy to ta sama, która zabiła naszych przyjaciół. Wszystkie umrą.

Gdy zbliżamy się wystarczająco, wyciągam dłonie i wypuszczam całą moc z rozdzierającym okrzykiem. Błyskawica uderza w najbliższą wiwernę i potwór opada bezwładnie koło murów miasta.

Niestety nie widzę tej, która atakuje nas z lewej strony.

Orientuję się dopiero, gdy słyszę ryk bólu Tairna.

*Dopiero trzeci brat, który nakłonił niebo, aby oddało mu swą bezkresną moc, w końcu pokonał zazdrosnego brata, lecz zapłacił za to wielką, straszliwą cenę.*

*Początek, Baśnie z Pustkowi*



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

**O**dwracam się na siodle i zauważam veninkę – tę, która zabiła Soleil, o żyłach rozchodzących się wokół jej czerwonych oczu niczym korzenie drzew – która trzyma w ręce miecz wbity w łuski Tairna za jego skrzydłami.

*Veninka za tobą!*, krzyczę do Tairna, kiedy potwór wymierza kulę ognia w moją głowę. Ledwie go unikam, ale wyczuwam na policzku piekący żar.

Tairn przetacza się i gwałtownie wznosi w powietrze, a ja wbijam się boleśnie w siodło, a mimo to veninka trzyma się mocno miecza. Gdy tylko Tairn wyrównuje lot, ona traci równowagę i patrzy na mnie jak na swój kolejny posiłek, zmierzając w moją stronę z determinacją w oczach i zakończonymi zielonymi czubkami ząbkowanymi sztyletami, które trzyma w ręce.

*Trzy kolejne siedzą mi na ogonie!*, krzyczy Tairn.

Kurwa. Coś mi umyka. Mam to na końcu języka jak odpowiedź na egzaminie, do którego się uczyłam.

– Nie jesteś trochę za mała jak na smoczą jeźdźczynię? – syczy veninka.

– Wystarczająco duża, by cię zabić. – Tairn i ja jesteśmy martwi, jeśli zaraz czegoś nie zrobię.

*Musisz utrzymać równy lot, rozkazuję, rozpinając paski na udach.*

*Nie pozwolę ci wysiąść z siodła!*, warczy Tairn.

*A ja nie pozwolę jej cię zabić!* Wstaję i wyciągam dwa sztylety, które dostałam dzisiaj od Xadena. Każde wyzwanie, każda przeszkoda, każda godzina spędzona w siłowni z Imogen, każdy trening na macie z Xadenem musiały dać jakieś efekty, prawda?

To tylko kolejne wyzwanie... z niezbyt fikcyjną zaklinaczką mrocznej magii... jak na moście.

Na latającym moście.

*Wracaj na siodło!*, rozkazuje Tairn.

*Nie dasz rady jej strząsnąć. Znowu zatopi w tobie miecz. Muszę ją zabić.* Odpycham na bok strach. Nie ma teraz na niego miejsca.

W dogasających promieniach słonecznych i ponurym blasku płonącego pod nami miasta wykonuję unik, żeby umknąć spod ostrza jej noża, a potem kolejny. Pochyliłam się, blokując cios ręką tuż przed moją twarzą. Impet jest tak silny, że rozlega się trzask i wiem, że to jedna z moich kości.

Rozdzierający ból na chwilę mnie zmraża, a sztylet wylatuje mi z ręki. Został mi tylko jeden. Z walącym sercem potykam się o jeden z kolców Tairna i niemal się przewracam.

Nawet nie jestem w stanie przycisnąć do piersi złamanej ręki, bo veninka naciera na mnie sztyletami o zielonych czubkach. Mam wrażenie, że jest w stanie przewidzieć każdy mój ruch, zanim go wykonam, jakby adaptowała się do mojego stylu walki po kilku chwilach starcia. Jest nadnaturalnie szybka. Nawet Xaden ani Imogen nie poruszali się w takim tempie.

Udaje mi się parować każdy atak, ale widzieć jak na dłoni, że tylko się bronię. Ona nawet nie ma na sobie skózanego stroju, tylko powiewającą na wietrze szatę, a mimo to...

Mój bok eksploduje ostrym, parzącym bólem i robię chwiejny krok w tył. Okazuje się, że zatopiła w moim ciele jedno ze swoich ostrzy, tuż pod rąbkiem mojej kamizelki ze smoczych łusek.

Tairn i Andarna ryczą głośno.

*Violet!*, rozlega się krzyk Xadena.

*Jest za szybka!* Wydaje mi się, że sztylet nie trafił w żaden organ, sądząc po kacie, pod jakim został wbity. Walczę z mdłościami, mocno zaciskając dłoń na jedynym sztylecie, który może pokonać veniny. Wyciągam ostrze ze swojego boku, ale coś jest nie tak. Rana zaczyna palić, a ja z trudem utrzymuję równowagę. Mam wrażenie, że moimi żyłami płynie kwas. Czubek ostrza nie jest już zielony, a broń wyślizguje mi się z palców.

– Taka dziewicza moc. Nic dziwnego, że zostaliśmy tu wezwani. Potrafisz nakłonić niebo, aby oddało ci swą bezkresną moc, ale mogę się założyć, że nie wiesz, co z tym zrobić, prawda? Jeźdźcy są tacy nieświadomi. Rozpłatom cię na pół, żeby sprawdzić, skąd pochodzi ta cała zachwycająca energia. – Wymachuje drugim ostrzem i dociera do mnie, że ona się mną bawi. – A może pozwolę zrobić to jemu. Jeśli oddam cię w ręce mojego Mędrca, będziesz błagać o śmierć.



Ona ma nauczyciela?

Jest tylko przekłętą studentką, tak jak ja, a mimo to ma nade mną ogromną przewagę. Ledwie jestem w stanie dostrzec, w której ręce trzyma ostrze. Moja ręka pulsuje, a rana w boku płonie.

*Więc musimy wyrównać ci szanse*, odzywa się Xaden. Oddziela część swojej mocy i cienie oddalają się od skał po mojej lewej, żeby spowić mnie oraz veninkę w całkowitej ciemności.

I to ja mam moc światła.

To ja mam teraz kontrolę, a w dodatku znam grzbiet Tairna jak własną kieszeń. Przechodzę na prawo, gdzie wyczuwam jego opadający bark, i przyjmuję pozycję bojową, mocno zaciskając sztylet w zdrowej dłoni, a potem pozwalam mojej mocy eksplodować w ciemności. Błyskawica przecina niebo na jedną cenną sekundę.

Veninka jest zdezorientowana, stoi odwrócona do mnie plecami. Zatapiam ostrze między jej zebrami – w miejscu, które Xaden wskazał mi wiele miesięcy temu – a potem je wyszarpuję, żeby go nie stracić. Veninka chwieje się, a jej twarz przybiera szary odcień i zsuwa się z grzbietu Tairna.

Tracę równowagę, bo kwas w moich żyłach jest coraz bardziej nieznośny, dosłownie trawi mnie od środka.

*Nie żyje*, udaje mi się powiedzieć w kierunku Tairna, Xadena, Andarny, Sgaeyl... Kogokolwiek, kto mnie teraz słucha.

Cienie opadają, zapraszając blednące światło zmierzchu, a ja podchodzę chwiejnym krokiem do siodła i przytrzymuję się go, zaciskając rękę na ranie kłutej, żeby powstrzymać krwawienie.

*Jesteś ranna*, niepokoi się Tairn.

*Nic mi nie jest*, kłamię, patrząc szeroko otwartymi oczami na czarną krew oblepiającą moje palce. Niedobrze. Nawet bardzo niedobrze.

Nie będę w stanie znowu walczyć, zaraz zrobię się zbyt słaba, by władać magią. Siła wylewa się ze mnie tak jak krew. Chowam ostrze do pochwy; teraz moją najlepszą bronią jest umysł.

Biorę głęboki wdech, staram się uspokoić bicie serca i pomyśleć.

*Spadają*, odzywa się Tairn, a ja przenoszę wzrok na bok i zauważam, że rzeczywiście trzy wiwerny rozbijają się na ziemi.

Wiwerny bez jeźdźców.

Stworzone przez veniny.

I wszystkie umarły, ponieważ zabiłam veninkę.

Właśnie to próbował powiedzieć mi Liam. Jeśli smok umrze, jego jeździec również. Ale najwyraźniej w tym przypadku jest inaczej – jeśli umrze venin,

umrą stworzone przez niego wiewerny. Wszystkie. Właśnie tak możemy ocalić wszystkich na polu bitwy.

Pośród hordy, którą powstrzymuje Xaden, zauważam dwóch jeźdźców.

*Musimy pozbyć się jeźdźców*, zwracam się do nich szeptem.

*Tak*, zgadza się Tairn, podążając moim tokiem myślenia. *Genialny pomysł.*

*Jesteś gotowy postawić swoje życie na szali?* Jeśli się mylę, to oboje jesteśmy martwi, tak samo jak Xaden i Sgaeyl.

*Tak jak robiłem to od chwili, gdy się poznaliśmy*, odpowiada i skręca w stronę doliny, a pozostałe smoki podążają za nami, bez wątpienia dzięki rozkazowi Tairna. Tylko Garrick i jego brązowy skorpiogon lecą niżej przed nami w stronę Xadena.

Trzy veniny nie żyją, ale ten jeden jest...

Ze zgrozą obserwuję, jak z mroku wyłania się venin z laską równie wysoką jak on sam i zatrzymuje mściwy wzrok na Xadenie.

*Po lewej!*, krzyczę do Xadena.

Sgaeyl odwraca się i zionie ogniem na venina, ale on się nawet nie zatrzymuje.

Garrick wychyla się zza grzbietu smoka i ciska sztyletem, ale odziana w szatę postać uderza laską w ziemię i rozplywa się w powietrzu, jakby w ogóle jej tam nie było.

Przeniósł się, tylko dokąd?

– Co jest? – przekrzykuję wiatr.

*Generał potrafi rozpoznać drugiego generała, a to ich przywódca*, wyjaśnia Tairn.

*Mędrzec?*

*Nie dam rady powstrzymać ich na dłużej!*, krzyczy Xaden. Jego ramiona się trzęsą, a ciało wygląda, jakby zaraz miało rozpaść się na kawałki. Tairn i ja pędzimy w stronę wejścia do doliny.

*Zmiana planu*, zwracam się do Xadena, a Tairn przyspiesza jeszcze bardziej. *Pozwól ceniom opaść.*

*Że co?* Widzę, że słabnie. Jego cienie bledną coraz bardziej i dostrzegam napierające na nie wiewerny.

*Tyle cierpienia.* Smutek w głosie Andarny wprawia mnie w osłupienie.

Odwracam głowę w stronę faktorii i zauważam błysk złota. Moje serce się kurczy.

*Nie! Tu nie jest bezpiecznie!*

*Potrzebujesz mnie!*

*Proszę, ukryj się. Jedna z nas musi to przetrwać*, zaznaczam, kiedy Tairn wymija Xadena i Sgaeyl.

*Xaden, musisz opuścić cienie. To jedyny sposób.*

*Tairn!*, ostrzega Sgaeyl głosem podszytym strachem, jakiego jeszcze u niej nie słyszałam.

*Nie prosź mnie o to.* Nawet głos Xadena drży. Te cienie opadną, czy tego chce, czy nie. Zbliża się do wypalenia.

*Jeśli kiedykolwiek mi ufaleś, Xaden, musisz zaufać mi teraz,* wypominam mu jego własne słowa. Ból w moim boku jest tak dojmujący, że ledwie oddycham. Jeśli mi nie zaufa, zaraz się wypali.

*Kurwa!* Ściana cieni znika w okamgnieniu i wiwerny rzucają się na nas z zastraszającą prędkością. Jeśli nie dam rady, nikt nie przeżyje. Jest ich zbyt wiele.

*Znajdź najsilniejszego jeźdźca, Tairn.* To moja najlepsza szansa. Jedyna szansa.

Od kolizji dzieli nas dosłownie minuta.

*Gdy już zabiję jeźdźca, pozostanie tylko jeden, Xaden. Zabij tego jednego, a reszta wiwern umrze.*

*Idę.*

Ale ja dotrę tam pierwsza. Tairn jest szybszy niż Sgaeyl.

*Uratowałeś nas, bo tak długo wytrzymałeś.*

Kiedy zaczyna odpowiadać, wznoszę osłonę. Muszę go zablokować, żeby się skupić.

Tairn rozgląda się na boki, a ja burzę ostatnią ścianę moich Archiwów i stanowczo przykładam stopę do marmurowej podłogi.

*Tam,* woła Tairn, patrząc w prawo. *Tamten.*

Na skraju hordy veninów dostrzegam jednego siedzącego na wiwernie. Szkarłatne żyły spływają z jego skroni aż do policzków.

*Jesteś pewien?*

*Tak.*

Od strony hordy nadciąga niebieski ogień. Ledwie udaje mi się nabrać powietrza do płuc, gdy z doliny nadciągają cienie, które tłamszą płomień.

Zmuszam ciało do przyjęcia tak ogromnej energii, że moje kości dosłownie dygoczą.

*Powiedz mi, że nie zamierzasz skoczyć temu veninowi na plecy,* upewnia się Tairn, a ja wstrzymuję oddech. Jeszcze tylko kilka sekund i znajdziemy się wystarczająco blisko.

*Nie muszę,* odpowiadam. *Nie słyszałeś, co powiedziała tamta veninka? Mogę nakłonić niebo do uległości, aby oddało mi całą moc, ale w tym celu będę potrzebować całej twojej.* Uwalniam swoją energię i uderzam raz. Pudłuję. Potem drugi. Znowu pudło.

Wiwerny niemal do nas docierają. Wypuszczam kolejny piorun i kolejny, doprowadzając się na skraj wytrzymałości, a Xaden gasi każdy ogień, żebym nie spłonęła żywcem.

Nie potrafię celować. Nie jestem gotowa. Może gdybym ćwiczyła jeszcze rok lub dwa, ale nie teraz.

*Tairn, potrzebuję więcej mocy!*

*Wypalisz się, srebrnowłosa!, warczy, unikając pocisku, którego Xaden nie zdążył zdusić. Już ledwie się trzymasz.*

Unoszę drżące dłonie.

*Tylko tak mogę ich uratować. Uratuję Sgaeyl. Ty musisz tylko zdecydować, że będziesz żyć, Tairn. Nawet jeśli mnie już nie będzie.*

*Nie będę patrzeć na śmierć kolejnego jeźdźca tylko dlatego, że nie znacie swoich własnych ograniczeń. Kolejny piorun może być twoim ostatnim. Czuję, że twoja moc słabnie.*

*Doskonale wiem, do czego jestem zdolna, obiecuję, gdy energia znowu wypełnia moje ciało. Serce podskakuje, nie może odnaleźć właściwego rytmu. Jest mi tak cholernie gorąco, jakbym zaraz sama miała stanąć w płomieniach. Przyjęłam za dużo mocy.*

*Nie jestem jak Naolin.*

Ogarnia mnie strach, kiedy venin na nas naciera. Jest już na tyle blisko, że widzę jego perfidny uśmiech. Ale to nie jest mój strach. Tylko Tairna.

*Pozwól mi sobie pomóc!,* krzyczy Andarna, a serce nabrzmiwa jeszcze bardziej i drga od energii przepływającej przez moje ciało. Nie mam czasu odszukać jej wzrokiem. Mam tylko nadzieję, że wciąż jest w strażnicy.

*Tylko tyle, ile będę potrzebować,* uprzedzam ją.

Przełykam głośno ślinę i zaciskam dłoń na zakrwawionym sztylcie, kiedy lecimy w stronę ściany wiwern. Sięgam po jej złotą moc, która rozplywa się po moim kręgosłupie i eksploduje. Czas wokół się zatrzymuje.

Tairn młóci skrzydłami, zbliżając się coraz bardziej, a wiwerny napierają na nas cal po calu, walcząc z magią Andarny przy użyciu swojej.

Muszę zabić tego venina. Nie mam innego wyjścia.

*Teraz!,* wyciągam ręce w stronę venina i rozkazuję piorunom rozciąć niebo, a kiedy tak się dzieje, błyskawica rozpościera się w każdym kierunku, ale ja muszę kontrolować tylko jedną z jej srebrnoniebieskich żył. Skupiam się na tej najbliższej veninowi i ściągam ją niżej w trakcie powolnej eksplozji, która opiera się upływowi czasu. Moje ręce drżą, moc Tairna napiera na granice mojego ciała, ale dalej szarpię za jedną odnogę, ostatkami sił rozciągam ją cal po calu i ustawiam nad veninem.

*Więcej, Tairn!*

Smok ryczy i błyskawica przesywa moje ciało, rozpala płuca i pali każdy oddech, moc Andarny słabnie. Nie muszę być blisko niej, by odczuć jej zmęczenie. Wzięłam tylko tyle, ile potrzebowałam. Andarna dzisiaj przeżyje, nawet jeśli będzie jedyna.

Zostało mi jeszcze kilka sekund, bo w przeciwnym razie moc mnie spali.

Krzyk Xadena przedziera się przez bariery mojego umysłu. Niemal nie mogę znieść dźwięku jego strachu i tej udręki. Nie mam jednak czasu się na nim skupiać ani zastanawiać, co się stanie, jeśli mi się nie uda. W tej chwili jestem skoncentrowana wyłącznie na zemście, z takim opanowaniem, że nawet matka byłaby dumna.

W końcu udaje mi się przeciągnąć błyskawicę na miejsce, skóra skwierczy i pali, ale wytrzymuję na tyle długo, by zobaczyć, jak uderza w cel i zabija venina przy pierwszym dotyku energii. Jego ciało powoli osuwa się z wiwerny, jakby czas wciąż był zamrożony.

Przy kolejnym oddechu spada z nieba ponad połowa potworów, jakby same zostały porażone. Nagle rana, zupełnie jakby czekała, aż osiągnę swój cel, zaczyna palić mnie żywcem.

*Po lewej!*, grzmi Tairn i odwraca się w stronę wiwerny i jej jeźdźca, którzy pędzą w naszym kierunku z mordem w oczach.

Pojawia się cienista lina, która owija się wokół szyi venina, a Tairn odbija w lewo, żeby uniknąć zderzenia. Ledwie udaje mi się wysiedzieć w siodle.

Xaden ściąga venina z grzbietu wiwerny i nadziewa go na sztylet, który trzyma w wyciągniętej ręce.

Dociera do mnie, że wszyscy przeżyją, więc pozwalam, by grawitacja upomniała się o moje ciało, i zsuwam się z Tairna.

– VIOLET! – Kiedy upadam, słyszę wrzask Xadena.

*W przypadku otrucia nieznaną substancją najlepiej podać każde możliwe antidotum. Tak czy siak, pacjent umrze, ale ty przynajmniej się czegoś nauczysz.*

*Współczesny przewodnik dla medyków, autorstwa majora Fredericka*



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

**C**hyba dzisiaj umrę.

Powietrze uchodzi z płuc, a żołądek zdaje się unosić gdzieś nade mną.

Bo upadam.

Spadam w nieskończoność.

Tairn ryczy i jego panika, ta wysoka nuta w jego głosie sprawia, że otwieram oczy dosłownie na chwilę, by zobaczyć, jak za mną leci, ale już nie czuję go w swojej głowie, nie czuję swoich stóp na podłodze Archiwów, nie mam dostępu do swojej mocy. Zostałam odcięta, nie jestem już uziemiona.

Uderzam w coś plecami i powietrze uchodzi z moich płuc. Spowija mnie lśniąca złota luna, wiatr ustaje, podobnie jak krzyki rozpacz i destrukcji, ale ogień wciąż trawi mnie od środka, zjada ognistymi zębami. Czas.

Andarna zatrzymała czas resztkami sił.

Znajduję się na jej plecach, upadamy... ponieważ nie jest wystarczająco silna, by mnie unieść, za to wystarczająco odważna, by dotrzeć na pole bitwy. Teraz nawet oczy mnie palą. Nie powinno jej tu być. Powinna czekać w strażnicy, bezpieczna, z dala od wiwern trzy razy większych od niej.

Czy ocalały jakieś wiwerny? Czy pozbyliśmy się wszystkich?

Kiedy czas wraca do normy, powietrze chłosta moją odsłoniętą skórę, a ja zsuwam się z jej pleców i otaczają mnie czyjeś silne ludzkie ramiona.

– Violet. – Znam ten głęboki, spanikowany głos. Xaden. Nie mogę się jednak ruszyć, nie mogę zmusić ust do wyrażenia całego bólu, który chce znaleźć ujście, kiedy Xaden dociska ranę. – Kurwa, to pewnie trucizna. Musisz z tym walczyć.

Trucizna. Sztylet o zielonym końcu.

Jednak jaka trucizna potrafiłaby mnie sparalizować nie tylko pod względem fizycznym, ale również magicznym?

– Zajmę się tobą. Po prostu... przeżyj. Proszę cię, przeżyj.

Oczywiście, że chce, abym przeżyła. Od tego zależy jego przetrwanie.

Kosztuje mnie to mnóstwo energii, ale udaje mi się unieść powieki dosłownie na sekundę i nieskrywany strach w jego oczach sprawia, że moje serce drga, a potem tracę przytomność.

\* \* \*

**M**oże to nie jest trucizna – słyszę czyjś głęboki głos, kiedy się budzę, ale nie jestem w stanie otworzyć oczu. Może to Garrick? Na bogów, wszystko mnie boli. – Może to magia.

– A widziałeś, jak wycelowała piorunem prosto w głowę tego venina? – pyta ktoś inny.

– Nie teraz – wypomina komuś Bodhi. – Uratowała ci życie. Wszystkich uratowała.

Wcale nie. Soleil i... Liam nie żyją...

– Kurwa, jej krew jest czarna – warczy Xaden. Mocno przytula mnie do swojej piersi.

– To musi być trucizna – dołącza Imogen płaczącym tonem. Nigdy nie słyszałam jej w takim stanie. – Spójrzcie tylko! Musimy zabrać ją do Basgiathu. Nolon może być w stanie jej pomóc.

Tak. Nolon. Powinni mnie do niego zabrać. Nie mogę mówić, nie mogę poruszać ustami, nawet nie jestem w stanie komunikować się z nikim w myślach, chociaż stało się to dla mnie tak proste jak oddychanie. Bycie odciętą od Tairna, Andarny i... Xadena jest torturą.

– To dwunastogodzinny lot. – Xaden podnosi głos. – I jestem niemal pewien, że ma złamaną rękę. Za dwanaście godzin będzie martwa. – Obietnica słodkiego zapomnienia wkrada się do mojej świadomości; obietnica spokoju, jeśli tylko odpuszczę.

– Jest ktoś bliżej – zauważa cicho Xaden. Czuję, że delikatnie przesuwa palcami po moim policzku. Jego dotyk jest niepokojąco łagodny.

Zalewa mnie kolejna fala ognia, smaży każdy nerw, ale nie mogę zrobić nic więcej, jak tylko leżeć i na to pozwalać.

Niech ktoś to przerwie. Bogowie, niech to się skończy.

– Chyba nie mówisz poważnie – syczy ktoś.

– Narazisz wszystkich – ostrzega Garrick, kiedy sen się o mnie upomina, bo tylko tam znajdę schronienie przed bólem.

Tairn ryczy tak donośnie, że dosłownie wprawia moje zębra w drgania. Przynajmniej jest blisko.

– Na twoim miejscu bym tego nie mówiła – mamrocze Imogen – bo zaraz zje cię żywcem. Nie zapominaj, jeśli ona umrze, istnieje spora szansa, że Xaden również.

– Nie twierdzę, że nie powinien tego robić, chcę mu tylko przypomnieć, jaka jest stawka – odpowiada Garrick.

Czy Tairn wyczuwa brak więzi między nami? Czy cierpi tak samo jak ja? Czy miecz, który zatopiła w nim veninka, również był zatruty? Czy Andarna może latać? Czy musi się przespać?

Sen. Właśnie tego chcę. Spokojny, błogi sen o niczym.

– Gównu mnie obchodzi, co się ze mną stanie! – wydziera się na kogoś Xaden.  
– Lecimy i to rozkaz.

– Nie musisz rozkazywać, stary. Uratujemy ją. – To Bodhi. Tak mi się wydaje.

– Potwierdź, że przezwisko do ciebie pasuje, Violence, i walcz – szepcze mi na ucho Xaden. A potem odzywa się głośnie: – Musimy ją do niego zabrać. Polecimy. – Czuję, że mnie podnosi, ale ruch wywołuje we mnie taką agonię, że zapadam się w nicość.

\* \* \*

**M**ijają godziny i w końcu się budzę. A może to były sekundy. Może dni. Może wieczność, a ja zostałam skazana na wieczne tortury przez Maleka za lekkomyślność, ale jakoś nie mam wyrzutów sumienia, że ich uratowałam.

Może będzie lepiej, jeśli umrę. Tylko że wtedy umrze również Xaden.

Mimo że mam do niego żal, nie życzę mu śmierci. Nigdy bym mu tego nie życzyła.

Wiatr owiewający moją twarz i rytmiczny łopot skrzydeł mówi mi, że lecimy, i uniesienie jednej powieki kosztuje mnie mnóstwo wysiłku, ale udaje mi się zobaczyć, że jesteśmy nad Klifami Dralor. Tego wysokiego na ponad tysiąc stóp urwiska nie da się z niczym pomylić. Z tego względu tyrreńska rebelia była nie tylko możliwa, ale niemal zakończyła się powodzeniem.

Trucizna pali moje żyły, każde zakończenie nerwowe, spowalnia bicie mojego serca. Jak na ironię umrę otruta, choć posiadam na ten temat rozległą wiedzę, bo nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu, żeby porozmawiać o antidotum. Co to by dało, skoro nawet nie wiem, czym mnie otruto? Jeszcze kilka godzin



temu sądziłam, że veniny istnieją wyłącznie na kartach baśni, a teraz czuję tylko ból i nadchodzącą śmierć.

To już tylko kwestia czasu, a tego czasu nie zostało mi wiele.

\* \* \*

**J**uż wolałabym śmierć niż kolejną sekundę życia w tym płonącym ciele, ale najwyraźniej nie jest mi to dane, bo ktoś mnie budzi.

Powietrze. Potrzebuję powietrza. Moje płuca nie mogą się napełnić.

– Jesteś pewien? – dopytuje Imogen.

Każdy krok stawiany przez Xadena rozbudza we mnie kolejną falę agonii, która ma swój początek w boku, a potem przetacza się przez całe ciało.

– Przestań ciągle go o to pytać – upomina Garrick. – Podjął decyzję. Albo będziesz go w niej wspierać, albo stąd spadaj, Imogen.

– Ale to zła decyzja – odzywa się jakiś inny mężczyzna.

– Jeśli będziesz miał na plecach sto siedem blizn, zyskasz prawo do podejmowania decyzji, Ciaran – wypomina Bodhi.

Zaskakuje mnie ryk Tairna i drgam nerwowo, co tylko nasila torturę trawiącą moje ciało.

– Co to miało znaczyć? – odzywa się Garrick gdzieś z lewej strony.

– Powiedział, że mnie ugotuje, jeśli zawiodę – odpowiada Xaden i mocniej przytula mnie do swojej piersi. Wygląda na to, że jego więź pozostała nietknięta. Opieram policzek na jego ramieniu i mogłabym przysiąc, że wyczuwam na czole dotyk ust, ale nie jestem pewna.

Nie można mieć sekretów przed kimś, na kim ci zależy, a już tym bardziej takich, za które w każdej chwili mogę przypłacić życiem, jeśli miałabym wnioskować po słabnącym biciu mojego serca.

Widać, że organ nie jest już w stanie pompować płynu, który wypala mi żyły.

Bogowie, niech już pozwoli mi umrzeć.

Zasłużyłam sobie na to. To przeze mnie Liam nie żyje. Jestem taka naiwna, że nawet nie zauważyłam, kiedy Dain odczytał moje wspomnienia i wykorzystał je przeciwko mnie – przeciwko Liamowi.

– Musisz walczyć, Vi – szepcze Xaden tuż przy moim czole, ale się nie zatrzymuje. – Kiedy się obudzisz, możesz mnie nienawidzić, ile zechcesz, możesz krzyczyć, bić mnie, ciskać we mnie tymi pieprzonymi sztyletami, ale musisz żyć. Nie możesz sprawić, że się w tobie zakocham, a potem umrzeć. – Brzmi tak szczerze, że niemal jestem w stanie mu uwierzyć.

I właśnie dlatego znalazłam się w tej sytuacji.

– Xaden? – rozlega się znajomy głos, ale nie jestem w stanie przypisać go do twarzy. Może to Bodhi? Może jakiś kadet z drugiego roku? Tyle obcych mi osób. I żadnych przyjaciół.

Liam nie żyje.

– Musisz ją uratować.

*Wszyscy jesteście tchórzami.*

Ostatnie słowa Fena Riorsona (cenzurowane)



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

*Xaden*

**N***ic jej nie będzie.* Głos Sgaeyl jest łagodniejszy niż kiedykolwiek. Wcześniej nigdy się tak do mnie nie zwracała. Z drugiej strony nie wybrała mnie dlatego, że potrzebowałem pocieszycielki. Wybrała mnie ze względu na blizny na moich plecach oraz dlatego, że jestem wnukiem jej drugiego jeźdźca – tego, który nie ukończył nauki w kwadrancie.

*Nie masz pojęcia, czy po wybudzeniu będzie z nią dobrze. Nikt tego nie wie.* Minęły trzy dni, a Violet wciąż się nie przebudziła. Siedziałem na tym fotelu przez całe trzy dni, balansując na granicy rozsądku i szaleństwa, przyglądając się każdemu uniesieniu i opadnięciu jej klatki piersiowej, by upewnić się, że wciąż oddycha.

Moje płuca wypełniają się powietrzem tylko wtedy, gdy jej własne to robią, a w międzyczasie bicie mojego serca dyktuje ostry, wszechogarniający strach.

W moich oczach nigdy nie była krucha, ale teraz właśnie tak wygląda, gdy leży pośrodku łóżka z tymi bladymi, suchymi ustami, z włosami, których końcówki są jaśniejsze niż zazwyczaj. Przez trzy dni miałem wrażenie, że życie wypłynęło z jej ciała, że pod jej skórą został tylko cień duszy.

Ale dzisiaj w porannym słońcu można przynajmniej dopatrzeć się nieco więcej koloru na policzkach wokół ciemniejszej linii po goglach.

Jestem pieprzonym idiotą. Powinienem był zostawić ją w Basgiacie. Albo wysłać ją z Aetosem, nawet jeśli miałyby na tym ucierpieć więź naszych smoków. Nigdy nie powinna była cierpieć z powodu kary wymierzonej przez pułkownika Aetosa. I to za zbrodnię, o którą nawet mnie nie podejrzewała.

Przeczesałam ręką włosy. I nie tylko ona ucierpiała.  
Liam mógłby żyć.

*Liam.* Poczucie winy spiera się we mnie z miażdżącą rozpaczą, a w klatce piersiowej boli mnie tak, że nawet nie mogę złapać oddechu. Rozkazałem mojemu przybranemu bratu, by zadbał o jej bezpieczeństwo, i przez ten rozkaz skończył martwy. Mam jego śmierć na sumieniu.

*Powinienem był się domyślić, co czeka nas w Athebyne...*

*Trzeba było powiedzieć jej o veninach. Za długo czekałem, aż podzielisz się tą informacją, i oto jak skończyła,* zarzuca mi Tairn. Ten smok jest uosobieniem mojego wstydu. Ale przynajmniej więź łącząca naszą czwórkę wciąż jest na miejscu, nawet jeśli on nie może się z nią komunikować – i to oznacza, że Violet żyje.

Może się na mnie wydzierać, ile wlezie, póki jej serce bije.

*Wiele rzeczy powinienem był zrobić inaczej.* Przede wszystkim nie powinienem był walczyć z moimi uczuciami do niej. Nie powinienem był się z nią rozstawać już po tamtym pierwszym pocałunku. Powinienem był się przed nią otworzyć.

Za każdym razem, gdy mrugam, czuję pod powiekami piasek, ale walczę ze snem każdą cząstką mojego ciała, bo we śnie słyszę jej przeraźliwy krzyk, jej lament nad ciałem Liama, jej głos, gdy nazywa mnie zdrajcą.

Nie może umrzeć i to nie tylko dlatego, że najpewniej tego nie przeżyję. Nie może umrzeć, bo jestem pewien, że nie mogę bez niej żyć, nawet jeśli wyjdę z tego cało. Ugiąłem się pod naporem uczuć gdzieś pomiędzy szokiem wywołanym chemią między nami, którą zrozumiałem na tamtej wieży, a tym, jak dotarło do mnie, że zamieniła się z kimś butem pierwszego dnia na moście, oraz kiedy rzucała sztyletami w moją głowę pod dębem. Powinienem był zrozumieć, że zbliżenie się do niej wiąże się z niebezpieczeństwem, już wtedy, kiedy popchnąłem ją na matę i udowodniłem jej, jak łatwo mogłaby zabić mnie na macie – a przy nikim się tak nie odsłaniałem – ale uznałem, że jest to jedynie zwykłe pożądanie do wyjątkowo pięknej kobiety. Kiedy patrzyłem, jak pokonuje Rękawicę, kiedy obroniła Andarnę w trakcie Odsiewu, byłem porażony zarówno jej przebiegłością, jak i poczuciem honoru. A kiedy wpadłem do jej pokoju i zastałem tam zdraźliwego Orena trzymającego ją za gardło, moja furia była tak wielka, że zabiłem całą szóstkę, nie mrugnawszy nawet okiem, i już samo to powinno było mi powiedzieć, jak bardzo przepadłem. A kiedy uśmiechnęła się do mnie po tym, jak w kilka minut nauczyła się stawiać osłony, a jej twarz promieniała, kiedy wokół nas padał śnieg, zakochałem się nieodwracalnie.

Zakochałem się, jeszcze zanim się pocałowaliśmy.

A może zrozumiałem to wtedy, gdy rzuciła nożami w Barlowe'a? Albo kiedy na widok Aetosa całującego jej usta, o których marzyłem niezliczoną liczbę razy i dosłownie gotowałem się z zazdrości? Jak się nad tym zastanowić, takich drobnych momentów, przez które zakochałem się w kobiecie leżącej teraz na łóżku, w którym zawsze ją sobie wyobrażałem, były tysiące.

I nigdy jej o tym nie powiedziałem. Musiała zostać otruta, żeby te słowa opuściły moje usta. Dlaczego? Ponieważ bałem się oddać jej władzę nad samym sobą, którą tak naprawdę już miała? Bo to córka Lilith Sorrengail? Bo dawała Aetosowi kolejne szanse?

Nie. Bo nie mogłem wyznać jej tych słów, nie będąc z nią wcześniej absolutnie i całkowicie szczery. Kiedy spojrzała na mnie nad jeziorem z poczuciem zdrady...

Na dźwięk szeleszczącej pościeli gwałtownie podrywam głowę i oddycham pełną piersią po raz pierwszy, odkąd spadła z grzbietu Tairna. W końcu otworzyła oczy.

– Obudziłaś się. – Mój głos brzmi tak, jakbym najadł się tłuczonego szkła, chociaż to moje serce rozbiło się na milion kawałków.

Pokonuję dwa kroki dzielące mnie od łóżka. Obudziła się. Żyje. I... uśmiecha się? Chyba mam zwidy. Ta kobieta chce mnie wykończyć.

– Mogę obejrzeć twój bok? – Materac ugina się pod moim ciężarem, kiedy siadam obok jej biodra.

Kiwa głową i przeciąga się jak kot po drzemce w słońcu, a potem zaciska rękę na kocu.

Odsuwam kołdrę i rozplątnię szlafrok zakrywający krótką koszulkę nocną, w którą przebrałem ją pierwszego wieczora i powoli unoszę materiał nad jedwabistą skórą jej biodra, przygotowując się na widok czarnych pajęczych użyłek, które rozeszły się po jej ciele w trakcie lotu, ale po przybyciu powoli zaczęły ustępować i teraz nie ma tu nic. Jedyne cienka srebrna linia tuż nad kością biodrową. Wzdycham z ulgą.

– To cud.

– Ale co takiego? – chrypi, patrząc na nową bliznę.

Cholera, nie nadawałbym się na medyka.

– Należę ci wody. – Moja dłoń trzęsie się ze zmęczenia albo ulgi, sam nie wiem, kiedy nalewam wody do szklanki z dzbanka stojącego na szafce obok mojego łóżka. – Musisz być spragniona.

Siada na łóżku, bierze ode mnie szklankę i wypija wszystko duszkiem.

– Dzięki.

– Ty. – Odkładałem szklankę na stolik i odwracam się do niej, patrząc w piwne oczy, które nawiedzają mnie od spaceru po moście. – Jesteś cudem –

odpowiadam na wcześniejsze pytanie szeptem. – Byłem przerażony, Violet. Nawet nie wiem, jak to opisać.

– Nic mi nie jest, Xaden – zapewnia cicho i unosi rękę, żeby przyłożyć ją nad moim dudniącym sercem.

– Myślałem, że cię stracę – przyznaję zdławionym głosem. Może i przeciągam strunę po tym, co przeze mnie przeszła, ale nie mogę się powstrzymać i muszę nachylić się, żeby musnąć ustami jej czoło, a potem skroń. Na bogów, całowałbym ją całą wieczność, gdyby oznaczało to, że nie dojdzie do czekającej nas rozmowy, że zatrzymamy się w tej błogiej chwili, gdy mogę wierzyć, że wszystko może być między nami dobrze, że wcale nie spieprzyłem nieodwracalnie najlepszej rzeczy, która mi się w życiu przydarzyła.

– Nie stracisz mnie. – Patrzy na mnie zdezorientowana i uśmiecha się, jakbym powiedział coś dziwnego. A potem pochyla się i mnie całuje.

Dalej mnie pragnie. Ta myśl sprawia, że dosłownie boli mnie serce. Pogłębiam pocałunek, przesuwam językiem po jej miękkiej dolnej wardze i delikatnie ją ssę. Tyle wystarczy, by zalała mnie gorąca i natarczywa potrzeba. Między nami zawsze tak było – wystarczyła mała iskra, żeby rozniecić gorejący płomień pochłaniający każdą myśl, która nie dotyczy tego, jak wydobyć jęk z jej ust. Teraz czeka nas całe życie takich chwil, gdy będę mógł rozebrać ją do naga i wielbić każde wgłębienie i każdą krzywiznę jej ciała, ale nie teraz. Obudziła się dopiero kilka minut temu. Odsuwam się powoli, uwalniając jej usta.

– Wynagrodzę ci to – obiecuję, trzymając jej delikatne dłonie w moich szorstkich. – Nie twierdzą, że nie będziemy się nigdy kłócić albo że nie będziesz chciała rzucić we mnie jednym z tych swoich sztyletów, kiedy znowu prędeż czy później cię wkurzę, ale przysięgam, że zawsze będę się starać.

– Co chcesz mi wynagrodzić? – Odsuwa się i uśmiecha pytająco.

Marszczę brwi. Straciła wspomnienia?

– Co pamiętasz? Bo kiedy tu dotarliśmy i trucizna dotarła do twojego mózgu...

Jej oczy płoną i coś się zmienia. Ta myśl napawa mnie niepokojem, tym bardziej kiedy wyrywa ręce z mojego uścisku.

Odwraca się, a jej nieobecne spojrzenie świadczy o tym, że kontaktuje się ze swoimi smokami.

– Tylko nie panikuj. Wszystko jest w porządku. Andarna nie jest do końca sobą, ale to nadal... ona. – Teraz jest gigantyczna, ale nie zamierzam powiedzieć tego Violet. Jej dar również zniknął, jak twierdzi Tairn, ale na tę wiadomość także jest jeszcze mnóstwo czasu. Dlatego postanawiam powiedzieć coś innego: – Odnowiciel powiedział, że nie jest pewien, jakie ta trucizna może

mieć skutki uboczne, bo nigdy czegoś takiego nie widział, i nikt nie wie, po jakim czasie wrócą twoje wspomnienia, jeśli czegoś ci brakuje, ale wszystko ci...

Unosi rękę, żeby mnie uciszyć, i rozgląda się po pokoju, jakby po raz pierwszy zauważyła, gdzie się znajdujemy. Schodzi z łóżka, otaczając się szlafrokiem. Na widok jej miny oblewa mnie zimny strach, a ona podchodzi do wielkiego okna mojej komnaty sypialnej i wygląda na zewnątrz.

Te okna wychodzą na górę, na której zbudowana jest forteca, a pod spodem rozciąga się dolina oraz zwęglone drzewa w miejscu, gdzie spalono ziemię w tym cichym mieście – które kiedyś było znacznie większe – zwanym Aretią.

Miasto, które w pocie czoła odbudowaliśmy z ruin.

– Violet? – Trzymam osłony uniesione, żeby uszanować jej prywatność i podchodzę do niej, ale... muszę wiedzieć, co myśli.

Rozgląda się po mieście z szeroko otwartymi oczami, po każdym budynku z identycznymi zielonymi dachami, a potem zatrzymuje się na Świątyni Amari, która poza biblioteką była naszym najbardziej znanym zabytkiem.

– Gdzie jesteśmy? I nie waz się kłamać – uprzedza. – Nie znowu.

Nie znowu.

– Czyli pamiętasz.

– Pamiętam.

– Dzięki bogom. – Wzdycham, przeczesując włosy palcami. To dobrze, bo oznacza to, że doszła do siebie, ale... kurwa.

– Gdzie jesteśmy? – cedzi przez zaciśnięte zęby, groźnie mrużąc oczy. – Powiedz to.

– Patrzysz na mnie tak, jakbyś już wiedziała.

Moja genialna kobieta na pewno poznała świątynię. Nie ma innej możliwości.

– Wygląda jak Aretia. – Wskazuje za okno. – Jest tylko jedna taka świątynia z tego typu kolumnami. Widziałam rysunki.

– Tak.

Piekielnie. Genialna. Kobieta.

– Aretia została spalona do gołej ziemi. Te rysunki również widziałam. Skrybowie je udostępnili. Moja matka powiedziała, że widziała zgliszcza na własne oczy. A zatem gdzie jesteśmy? – Podnosi głowę.

– W Aretii. – Cudownie jest móc powiedzieć jej prawdę. To takie wyzwalające.

– Odbudowanej? Czy może nigdy nie została spalona? – Odwraca się do mnie.

– W trakcie odbudowy.

– Dlaczego wcześniej o tym nie słyszałam?

Już chcę jej powiedzieć, ale unosi rękę i każe mi poczekać. Połączenie faktów zajmuje jej minutę.

Wskazuje na moje piętno rebelii i mówi:

– Melgren nie może przewidzieć wyniku bitwy, jeśli zbieracie się w więcej niż trzy osoby. Dlatego nie wolno wam się spotykać w grupach.

Nie mogę powstrzymać się od szerokiego uśmiechu. Ta genialna kobieta jest moja. Albo była moja. A jeśli mam w tej kwestii coś do powiedzenia, to jeszcze będzie moja. Ale pewnie nie mam. Wzdycham i uśmiech od razu spływa mi z twarzy. Niech to szlag.

Nie, nie zamierzam się poddać, dopóki nie powie tego jasno.

Nasza relacja jest skomplikowana, ale my również.

– To również. A poza tym nie jesteśmy na tyle dużym miastem, by zwrócić uwagę skrybów. Nie ukrywamy się. Po prostu... nie obnosimy się ze swoim istnieniem. – I to również dlatego to miejsce... należy do mnie. Arystokraci nie byli skorzy do inwestycji w spalone miasto ani nie chcieli płacić podatków na spalonej ziemi. Kiedyś to zauważą. Kiedyś je stracę. I wtedy oszaleję. – Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Po prostu zapytaj.

Zauważam, że jej ciało się spina.

– Na razie powiedz mi jedno.

– Co tylko zechcesz.

– Czy... – Bierze głęboki wdech. – Czy Liam naprawdę nie żyje?

*Liam.* Moje serce przeszywa świeże ukłucie bólu. Mijają chwile, a ja próbuję znaleźć odpowiednie słowa, ale takich nie ma, więc wkładam rękę do kieszeni i wyciągam z niej małą figurkę Andarny, nad którą Liam pracował.

Wbijają wzrok w smoka i jej oczy natychmiast zachodzą łzami.

– To moja wina.

– Nie, moja. Gdybym powiedział ci o wszystkim wcześniej, byłabyś przygotowana. Pewnie przeskoliłabyś nas wszystkich, żebyśmy wiedzieli, jak je zabijać. – Znowu pęka mi serce, kiedy widzę, jak ociera łzy wierzchem dłoni. Wkładam jej figurkę do ręki. – Wiem, że powinienem był to zrobić, ale nie mogłem się zmusić, by ją spalić. Odkąd tu dotarliśmy, nie opuszczałem tego pokoju. – Patrzymy sobie w oczy, a ja mam ochotę ją przytulić, ale wiem, że w tej chwili jestem ostatnią osobą, u której będzie szukała pocieszenia. – Nie zostawiłem cię.

– Cóż, jesteś wyjątkowo zainteresowany moim przetrwaniem – wypomina z sarkastycznym, drżącym uśmiechem. – Daj mi chwilę, żebym się ubrała, a potem porozmawiamy.

– Wyrzucasz mnie z własnego pokoju. – Używam sarkastycznego, żartobliwego tonu, który kiedyś przychodził mi z łatwością w rozmowie z nią. – A to nowość.

– Już, Riorson.



Niedobrze. Nigdy nie mówi do mnie po nazwisku. Może dlatego, że nie lubi sobie przypominać, że jestem synem Fena Riorsona i jak wiele musiała przez niego przejść, więc zawsze byłem dla niej Xadenem. Czuję się, jakbym trafił do bezdennej otchłani, jakby zadała mi śmiertelny cios.

– Łazienka jest tam. – Wskazuję na przeciwległą ścianę i kieruję się w stronę wyjścia, po drodze zgarniając miecz.

Mój kuzyn stoi oparty o ścianę i rozmawia z Garrickiem, którego twarz przecina świeża sześciocalowa blizna ciągnąca się od skroni aż po żuchwę, ale kiedy zamykam za sobą drzwi, obaj milkną, a Garrick się prostuje.

– Obudziła się.

– Dzięki Amari. – Wzdycha Bodhi. Rękę wciąż ma w temblaku, bo venin złamał ją w czterech miejscach.

– Będzie musiała wybrać. – Patrzę na Garricka i zauważam jego zmartwiony wzrok. Wierzy, że ona zachowa nasz sekret, bo powiedział mi o tym wcześniej. Martwi go mój stan psychiczny, w razie gdyby nie wybaczyła mi tego, że nie powiedziałem jej wcześniej. – Albo zachowa nasz sekret, albo nie.

– Będziesz musiał się tego dowiedzieć – odpowiada. – A potem nauczyć ją, jak ukrywać prawdę przed Aetosem, jeśli taka będzie jej decyzja.

– Lotnicy się odzywali?

– Syrena żyje, jeśli o to pytasz – odpowiada Bodhi. – Tak samo jak jej siostra. Ale reszta... – Kręci głową.

Przynajmniej one ocalały. A teraz, kiedy Violet się obudziła, w końcu mogę oddychać.

– Dowiedziałeś się już, co to była za skrzynia, do której tak ciągnęło Chradha w Ressonie? – pytam. Smok Garricka jest wyjątkowo wyczulony na runy, co pozwala je lokalizować i dzięki temu udało nam się wyłowić spod gruzów wieży zegarowej małą żelazną skrzynkę.

– Inni już się tym zajmują. Mam nadzieję, że uzyskamy odpowiedź w ciągu następnych kilku godzin. Cieszę się, że nic jej nie jest, Xaden. Przekażę pozostałym. – Kiwa głową, a potem rusza korytarzem. Jest zaznajomiony z rozkładem pałacu tak samo jak ja, bo przed separacją – albo secesją, jak nazywają rebelię taty Navarriańczycy – spędzaliśmy tutaj każde lato.

To zabawne, że ludzie zawsze nadają nowe nazwy temu, co wprawia ich w dyskomfort. Straciliśmy wiarę, że nasz król kiedykolwiek postąpi właściwie. I to nas nazywają zdrajcami.

Bodhi marszczy nos.

– Co?

– Śmierdzisz jak smocza dupa.

– Pierdol się. – Zaciągam się powietrzem i w sumie nie mogę się z nim spierać. – Skorzystam z twojego pokoju.

– Zrobisz nam wszystkim przysługę.

Pokazuję mu środkowy palec i ruszam do jego pokoju.

\* \* \*

Godzinę później jestem już wykąpany i przebrany w czyste skóry, a teraz zniecierpliwiony czekam przed moim pokojem razem z Bodhim, który próbuje rozluźnić atmosferę, tak jak zawsze, gdy nagle drzwi się otwierają.

Niemal połykam język na widok jej luźnych, wilgotnych włosów, które wiją się tuż pod piersiami. Nawet nie wiem, dlaczego widok jej włosów tak na mnie działa i na ogół jestem zbyt zajęty trzymaniem rąk przy sobie, żeby się nad tym zastanowić.

Podnieca mnie samo to, że ona istnieje. Przez ostatni rok już pogodziłem się z tą myślą.

Bodhi błyska uśmiechem, który wygląda tak jak u mojej ciotki.

– Dobrze widzieć, że nic ci nie jest, Sorrengail. – Klepie mnie po ramieniu i odchodzi. Na odchodne rzuca jeszcze ponad ramieniem. – Wymyślę plan awaryjny. Powodzenia.

Na bogów, mam ochotę wziąć ją w ramiona i kochać się z nią, aż zapomni o wszystkim poza tym, jak jest nam razem dobrze, ale jestem pewien, że to ostatnia rzecz, na którą ma ochotę.

– Chodź – odzywa się cicho, a moje serce podskakuje w piersi.

– Na twoje wezwanie zawsze. – Wchodzę i zauważam podejrzliwość w jej oczach, która w ogóle mi się nie podoba.

Niezależnie od tego, czy Violet mi wierzy, nigdy jej nie okłamałem. Ani razu.

Ale też nie mówiłem całej prawdy.

– Czy to pierwotny budynek? – pyta, rozglądając się po mojej sypialni.

– Forteca w większości jest zbudowana z kamienia – oznajmiam, kiedy przygląda się wyrzeźbionym łukom na suficie oświetlanym promieniami słonecznymi wpadającymi tu przez okna zajmujące całą zachodnią ścianę. – Kamień się nie pali.

– No tak.

Przełykam ślinę.

– Myślę, że po tym wszystkim, co widziałaś, zanim przejdę do czegokolwiek, najpierw muszę zadać ci jedno proste pytanie. Jesteś z nami? Czy jesteś gotowa z nami walczyć? – Równie dobrze mogłaby nas wszystkich wydać. Wcześniej nie miała wystarczająco informacji, by nas potępić. Nie to, co teraz.

– Tak, wchodzę w to. – Kiwa głową.

Zalewa mnie ulga silniejsza niż moc pobierana od Sgaeyl. Wyciągam do niej rękę.

– Tak mi przykro, że musiałem... – Słowa zamierają mi na języku, kiedy robi krok w tył, żeby się ode mnie odsunąć.

– Mowy nie ma. – W jej piwnych oczach błyska zranienie, a mnie aż odechciewa się żyć. – Wierzę ci i jestem gotowa z wami walczyć, ale to nie oznacza, że znowu powierzę ci swoje serce. Nie mogę być z kimś, komu nie ufam.

Mam wrażenie, że moje serce się rozpada.

– Nigdy cię nie okłamałem, Violet. Ani razu. I nigdy tego nie zrobię.

Podchodzi do okna i patrzy w dół, a potem powoli odwraca się w moją stronę.

– Już nie chodzi o to, że miałeś przede mną tajemnice. Rozumiem to. Chodzi o łatwość, z jaką to zrobiłeś. O łatwość, z jaką wpuściłam cię do swojego serca i nie dostałam tego samego w zamian. – Kręci głową, a ja dostrzegam w jej oczach miłość, ale jest ukryta pod murami, do których budowy sam ją zmusiłem.

Kocham ją. Oczywiście, że ją kocham. Ale jeśli jej o tym teraz powiem, uzna, że robię to pod presją. I może rzeczywiście tak będzie.

Ale nie zamierzam stracić jedynej kobiety, w której się zakochałem, bez walki.

– Masz rację. Miałem tajemnice – przyznaję i podchodzę do niej powoli, a potem zatrzymuję się niecałą stopę od niej. Przykładam dłoń do szyby po obu stronach jej głowy, unieruchamiając ją delikatnie. Oboje wiemy, że mogłaby odejść, gdyby tylko chciała. Ale się nie rusza. – Potrzebowałem mnóstwo czasu, żeby ci zaufać i drugie tyle, by dotarło do mnie, że straciłem dla ciebie głowę.

Rozlega się pukanie do drzwi. Ignoruję to.

– Nie mów tak. – Zadziera podbródek, ale zauważam, że na chwilę zawiesza wzrok na moich ustach.

– Straciłem dla ciebie głowę. – Patrzę prosto w jej piękne oczy. Ma prawo być na mnie wściekła, ale nie można powiedzieć, że jest niestabilna emocjonalnie. – I wiesz co? Może już mi nie ufasz, ale wciąż mnie kochasz.

Otwiera usta, ale nie zaprzecza.

– Podarowałam ci swoje zaufanie raz, dobrowolnie, i kolejnej szansy nie dostaniesz. – Ukrywa swoje zranienie, pospiesznie mrugając oczami.

Nigdy. Już nigdy nie zobaczę w tych oczach cierpienia, które sam wywołałem.

– Spieprzyłem, bo nie powiedziałem ci o tym wcześniej, i nawet nie próbuję się usprawiedliwiać, ale teraz zawieram ci swoje życie. A także wszystkich bliskich mi osób. – Ryzykowałem już poprzez to, że sprowadziłem ją tutaj,

zamiast odstawić do Basgiathu. – Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, a nawet to, czego nie chcesz. Poświęcę całe swoje życie, każdy jeden dzień, żeby odzyskać twoje zaufanie.

Już zapomniałem, jak to jest być kochanym tak naprawdę, bezinteresownie – od śmierci taty minęło tyle lat. A mama... nie, nie będę o tym myślał. Potem jednak usłyszałem te słowa od Violet, zaufała mi, podarowała mi swoje serce, i sobie przypomniałem. Teraz już ich nie oddam.

– A co, jeśli to nie jest możliwe?

– Wciąż mnie kochasz, a więc to jest możliwe. – Bogowie, tak bardzo chcę ją pocałować, przypomnieć jej, dlaczego w ogóle jesteśmy razem, ale nie mogę tego zrobić, dopóki mnie o to nie poprosi. – Nie boję się ciężkiej pracy, tym bardziej jeśli wiem, jaka słodka będzie nagroda. Wolałbym przegrać całą tę wojnę niż żyć bez ciebie i jeśli to oznacza, że muszę udowodniać ci to raz po raz, niech tak będzie. Dałaś mi swoje serce i zamierzam je zatrzymać. – Ona już ma moje, nawet jeśli nie jest tego świadoma.

Violet otwiera oczy szeroko i dostrzega moją determinację.

Czas, żeby dowiedziała się o wszystkim. Znając prawdę, nie będzie chować się za murami Basgiathu, szczególnie teraz, gdy wie, że wszyscy są tam oszustami.

Będzie walczyć w tej wojnie u mojego boku.

Znowu rozlega się uporczywe pukanie do drzwi.

– I po co to zniecierpliwienie – mamrocę. – Masz jakieś dwadzieścia sekund, żeby zapytać mnie, czy go znam.

Potrząsa głową.

– Wciąż mam nadzieję, że w tym liście z Athebyne naprawdę chodziło o Igrzyska Wojenne. Myślisz, że może po prostu przypadkiem trafiliśmy na atak wiwern na tamtym posterunku?

– To na pewno nie był przypadek, siostrzyczko – odzywa się gość.

Wzdycham i odsuwam się, patrząc, jak oczy Violet wychodzą na wierzch, gdy go zauważa.

– Mówiłem ci, że znam prawdziwego mistrza trucizn – odzywam się łagodnie.

– Nie uleczono cię lekami. Zostałaś uzdrowiona mocą.

– Brennan? – Patrzy na swojego brata z szeroko otwartymi ustami.

Brennan uśmiecha się od ucha do ucha i rozkłada ręce na boki.

– Witamy w rewolucji, Violet.

## PODZIĘKOWANIA

**P**rzede wszystkim pragnę podziękować Ojcu Niebieskiemu za obdarzenie mnie łaską, o której nie śmiałam nawet marzyć.

Dziękuję mężowi Jasonowi za to, że jest najlepszą inspiracją na książkowego chłopaka, jaką pisarka może sobie wymarzyć, a także za nieustające wspieranie mnie w podążaniu za marzeniami. Dziękuję za to, że trzymasz mnie za rękę, kiedy świat robi się przytłaczający, dziękuję za to, że zabierasz mnie na każdą wizytę u lekarza, za ogarnianie mojego pękającego w szwach kalendarza, co jest skutkiem posiadania czterech synów i choroby tkanki łącznej. Jesteś moją opoką w świecie operacji i wizyt u specjalistów. Dziękuję moim dzieciom, które każdego dnia uczą mnie więcej, niż ja nauczę je kiedykolwiek. Jesteście moją motywacją. Nigdy nie wątpię w to, że jesteście centrum mojego świata. Dziękuję mojej siostrze Kate. Kocham Cię, mówię poważnie. Dziękuję rodzicom, którzy zawsze mnie wspierają, gdy ich potrzebuję. Dziękuję najlepszej przyjaciółce Emily Byer za to, że szuka ze mną kontaktu, kiedy na wiele miesięcy zaszywam się w swojej jaskini, żeby pisać.

Dziękuję mojej ekipie z Red Tower. Nie ma takich słów, którymi mogłabym wyrazić wdzięczność mojej redaktorce Liz Pelletier za to, że dała mi szansę, aby rozwinąć skrzydła i napisać fantasy, a także dbała o to, żebym jadła i miała dobry humor w trakcie trzytygodniowego maratonu poprawek. Żadne laptopy nie ucierpiały w trakcie pisania tej powieści. Ale tak na poważnie, ta książka to moje marzenie. Dziękuję za to, że pozwoliłaś mi się ziścić dzięki swoim radom, pomocy, cierpliwości i nieustannemu wsparciu. Bez ciebie to nie byłoby możliwe. Dziękuję Stacy za redakcję w trakcie bezsennych nocy. Heather, Curtisowi, Molly, Jessice, Riki oraz wszystkim z Entangled i Macmillana za odpowiadanie na niekończące się maile, a także za marketing tej książki. Dziękuję Madison i Nicole za wszystkie wspaniałe notatki i spotkania do późna w trakcie sczytywania. Elizabeth, dziękuję za piękną okładkę, a Bree i Amy za niesamowite rysunki. Dziękuję mojej wspaniałej agentce Louise Fury, która nawet nie mrugnęła okiem, kiedy powiedziałam, że chcę napisać książkę fantasy, i dzięki której moje życie jest łatwiejsze, bo zawsze mnie wspiera.

Dziękuję moim żonkom, naszej nieświętej trójcy, Ginie Maxwell i Cindi Madsen – bez was bym zginęła. Dziękuję Kyli, która umożliwiła powstanie tej

książki, Shelby i Cassie za pilnowanie kalendarza i za to, że zawsze mi kibicujecie. Cindi za to, że mierzy się ze wszystkim z pokorą i humorem. Stephanie Carder za to, że znalazła czas, by przeczytać tę książkę. Każdej bloggerce i czytelniczce, które przez lata dawały mi szansę. Jestem Wam niezmiernie wdzięczna. Mojej grupie czytelniczej Flygirl za poprawianie mi nastroju każdego dnia.

I na koniec dziękuję jeszcze raz Jasonowi, bo jesteś moim początkiem i końcem. W każdym moim bohaterze jest jakaś część Ciebie.

# SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

Informacja

Informacja 2

Mapa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY  
PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna



Tytuł oryginału: *Fourth Wing*

Copyright © 2023 by Rebecca Yarros  
All rights reserved

Translation copyright © 2023 by Grupa Wydawnicza FILIA  
This edition is published by arrangement with Alliance Rights Agency  
c/o Entangled Publishing, LLC

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: Bree Archer i Elizabeth Turner Stokes

Grafiki na okładce:  
Peratek/Shutterstock  
Stopkin/Shutterstock  
Darkness222/Shutterstock  
detchana wangkheeree/Shutterstock

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-047-1

# FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

SERIA: HYPE